

James Jones

SMAK RYZYKA

(Przełożył: Robert Ginalski)

Tytuł oryginału: A Touch of Danger

Warszawa 1988

Chciałbym, aby bogowie i śmiertelnicy porzucili waśnie i gorycz, co sprawia, że człowiek w gniew rośnie mimo umysłu potężnego; tę gorycz gniewu, co jak dym kłębi się w sercu człowieka i staje mu się daleko słodsza niż miód.

Achilles w *Iliadzie* Homera

Rozdział 1

Taksówka, którą zabrałem się z ateńskiego „Hilona” na przystań promu w Pireusie, z wyciem silnika pokonała ostatni ślimak nowej szosy i niczym zdesperowany obrońca wybijający piłkę spod nóg napastnika, wyhamowała ślizgiem przy wysokim krawężniku. Omal nie urwało mi głowy. Wgniecione dekle zazgrzytały o chropowaty grecki beton. Jeszcze się nie zatrzymaliśmy na dobre, a już brzuchaty wąsacz wyskoczył zza kierownicy i wymachując rękami pędził na przystań, gdzie zbici w gromadkę oficerowie w białych mundurach odstawiali ważniaków.

Po drodze kazałem mu dodać gazu, tłumacząc, że jestem ciut spóźniony. Błąd. Licząc na suty napiwek, próbował teraz udawać, że osobiście wstrzymał odpłynięcie statku, by wsadzić mnie na pokład.

Przez chwilę prostowałem kark, po czym wziąłem wysłużony trencz, kapelusz i teczkę, wysiadłem i skierowałem się do budki, która udawała kasę biletową. Kiedy rzuciłem: „Tsatsos”, urzędujący w tym piecu starzec wypisał mi bilet na różowym blankiecie i pokazał na palcach, ile drachm jestem mu winien.

Dookoła nas równina Aten migotała z gorąca. Zdawało się, że budynki na tyłach przygotowanego pod budowę nowej szosy terenu dyszą ze spiekoty. U moich stóp kwadratowy trawnik, wpasowany w beton, rozpalony i szpetny, wręcz iskrzył się od skwaru. Samych Aten, Aten Sokratesa, Arystofanesa i Jackie Kennedy, nie było stąd widać.

Wrócił taksówkarz.

- W porządku. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Szafa gra, szefie. Załatwione.

- W bagażniku jest jeszcze moja walizka - powiedziałem.

Wytrzeszczył oczy. Zapomniał o niej. Po chwili wrócił, krocząc z godnością, i pompatycznie wręczył walizkę cherlawemu starcowi w długim niebieskim fartuchu i niebieskiej czapce, który w oczach frajerów mojego pokroju miał uchodzić za tragarza.

Zapłaciłem kierowcy. Dałem mu suty napiwek. Nie potrafię radzić sobie z cwaniaczkami, którzy udają, że zrobili dla ciebie więcej niż w rzeczywistości. Należałoby się wprawdzie spodziewać, że uparty detektyw prywatny nauczy się, jak załatwiać takie sprawy, ale ja się nie nauczyłem. To pewnie jeden z wielu powodów, dla których stale byłem bez grosza przy duszy.

Ruszyłem za starcem dźwigającym moją walizkę, mając nadzieję, że się z nią nie wykopyrtnie. Statek, przycumowany rufą do molo, łączyła z pomostem rachityczna, zbita ze

starych desek kładka, uginająca się przy każdym kroku wsiadających pasażerów. Oficerowie z promu pędzili po niej trzódkę Greków, objuczonych papierowymi torbami i kartonami powiązanych sznurkiem. Jeden z oficerów wziął mój bilet, rzucił na niego okiem i podał go następnemu. Ten zerknął na blankiet, oddał perforowaną końcówkę i wręczył ją stojącemu za nim rabowi, a bilet przekazał trzeciemu z nich. Ten zaś obejrzał go sobie dokładnie, jak gdyby szukał na nim śladów kontrabandy, i oddał mi go z ponurym spojrzeniem. Tym sposobem stworzyli pracę dla trzech ludzi z czynności, przy której jeden facet miałby kłopoty z zabiciem czasu. Odpowiedziałem im równie ponurym spojrzeniem. Nie byli do tego przyzwyczajeni.

Przeszedłem za starcem po chwiejnej kładce, balansując w rytm kołysania desek. Martwiłem się o starego. Ja sam zbyt długo i w zbyt wielu miejscach żyłem na skraju załamania. Ale on był dobry. Trzął się, lecz zachowywał swój skromny zapas energii. Zdeponował moją walizkę koło relingu, w przejściu i tak już zawałonym dobytkiem innych podróźnych - papierowymi torbami ociekającymi sokiem z rozpaćkanych owoców i pudełkami przesiąkniętymi od spodu roztopionym z gorąca cukrem. Jemu też dałem suty napiwek. Zawsze byłem naiwny, jeśli chodzi o przesadne napiwki - w teorii powinno się dzięki nim zapaść ludziom w pamięć. Nie zauważyłem jednak, żebym miał z tego tytułu lepszą obsługę czy więcej uśmiechów.

Malutka mesa, którą w końcu udało mi się odszukać w ryczącym, wrzeszczącym i szczekającym tłumie dorosłych, dzieci i zwierząt, okazała się całkiem miła. Niestety, opanowała ją grupa młodych, ekstrawagancko ubranych Anglików, którzy wyglądali na pedziowatych scenografów. Pod brezentową plandeką na głównym pokładzie znalazłem sobie zardzewiałe składane krzesło i usiadłem, opierając nogi o reling. Wkrótce syrena okrętowa zahuczała dwukrotnie i wypłynęliśmy. Za rufą port i równina rozmazywały się i zacierały w upalnej mgiele.

Tak zaczęły się moje darmowe miesięczne wakacje. Już wtedy, jeszcze zanim wsiadłem na statek, czułem, że popełniam błąd, decydując się na tę sześciogodzinną podróż na wyspę Tsatsos.

- Spodoba ci się tam - oświadczył mi pod koniec rozmowy Freddy Tarkoff, kiedy złapałem go telefonicznie w Nowym Jorku. Freddy Tarkoff był moim klientem. Moim bogatym klientem. Moim jedynym bogatym klientem. Freddy był zadowolony z roboty, którą wykonałem dla niego w Europie. - Włócz się po tawernach, pływaj, smaź się na plaży. Nic nie rób, bycz się na całego. Słyszałem, że polujesz pod wodą?

- Kiedyś się w to bawiłem - przyznałem.

- To prezent ode mnie. Doceniam to, co zrobiłeś, Lobo. Wszystko już załatwione. Jest tam moja przyjaciółka, która zorganizuje co trzeba i zaopiekuje się tobą osobiście. Hrabina Chantal von Anders. Powtórzyć nazwisko?

Ton jego głosu sugerował delikatnie, że ich znajomość daleko wykracza poza zwykłą przyjaźń.

- Poleciałem jej, żeby stosowała się do wszelkich twoich życzeń. Wynajmie ci dom. I łódź z ekspertem od polowań podwodnych.

- Zgoda, jadę. - Trochę się zająknąłem i wypadło to raczej blado, ale też trudno mi było wykrztusić te słowa. Miewam przerosty ambicji.

- Spodoba ci się tam - powtórzył.

I tak znalazłem się tutaj. Pod wielkim brezentem rozlokowała się grupa hipisów, złożona głównie z Amerykanów oraz kilku Anglików. Ledwie odbiliśmy od brzegu, wyciągnęli gitary i z pięćdziesiąt butelek taniego czerwonego wina. Śpiewali ballady, zalewając się i skutecznie odpychając na bok wszystkich pasażerów, którzy znaleźli się w pobliżu. Ich widok sprawił, że poczułem się stary. Usłyszałem, jak ktoś z nich powiedział, że też płyną na Tsatsos. Ponuro zapatrywałem się na perspektywę spędzenia sześciu godzin w ich szampańskim towarzystwie.

Sześć godzin drogi na Tsatsos. Nie powiem, miałem o czym myśleć. O robocie dla Freddy'ego. O moim życiu. O niedawnym rozwodzie. Nie chciałem myśleć o tych sprawach.

Nie byłem zadowolony z roboty dla Tarkoffa ani w połowie tak jak on. Z różnych powodów. Ze swego życia także nie byłem zadowolony, ale nie miałem pojęcia, co mógłbym w nim zmienić. A jeśli chodzi o rozwód, to sam nie wiedziałem, czy cieszę się z niego, czy nie.

Tarkoff był dobrym przyjacielem. Wiedział niemało o moim życiu osobistym. Pewnie dlatego zorganizował mi te wczasy. Nie podobało mi się, że ktoś wie tyle o moim życiu osobistym.

Poddałem się urokowi morza. W głębi głównego salonu znajdował się obskurny bar, który obsługiwało dwóch porywczych Greków przypominających Deana Martina i Jerry Lewisa. Zamówiłem tyle whisky, ile udało im się wlać do największej brudnej szklanki, jaką mieli na stanie, wróciłem i znów oparłem nogi o reling. Jak większość mężczyzn z wielkiej środkowej części kontynentu amerykańskiego, tak i mnie ponosiła irracjonalna namiętność do morza. Opuściłem nogi, bez słowa pozwoliłem odepchnąć się w stronę dziobu bezceremonialnie rozszerzającemu się kręgowi hipisów i ponownie uniosłem stopy.

Przytłaczające słońce nad brezentem migotało na drobnych falach, rozbijając lustro wody na srebrną mozaikę. Znad powierzchni unosiła się wilgoć, tak gęsta, że tworzyła w powietrzu opalizującą mgiełkę i zabarwiała na różowo mijane statki i wyspy. Silniki promu dudniły przyjemnie w morskiej ciszy. Popijałem whisky. Miałem przed sobą aż nadto czasu na rozmyślanie o nieprzyjemnych sprawach. Takich, jak moje życie.

Wysłuchany w dudnienie silników statku odprężyłem się, lecz nie powinienem był tego robić. Powinienem chwycić boję, wyskoczyć za burtę, zatrzymać jakiegoś przepływającego w pobliżu trampa i wrócić do ateńskiego „Hilona”, a stamtąd na lotnisko.

Rozdział 2

W ciągu tych sześciu godzin mineliśmy około dwudziestu wysepek, zatrzymując się na siedmiu z nich. Zewsząd wyrastały z morza wysokie, błękitne cyple. Bez mapy nie sposób było określić, co jest wyspą, a co górą na kontynencie. Dwa razy wędrowałem jeszcze z moją wielką brudną szklanką po dolewkę. Uznałem, że whisky zdezynfekuje szkło.

Ostatecznie statek wziął kurs na czarny, przypominający grzbiet wieloryba przylądek dokładnie na wprost nas, a hipisi zaczęli pakować gitary i wyrzucać za burtę opakowania po kanapkach i puste butelki po winie. Przyglądałem im się. Dopiero co słyszałem, jak dyskutowali o zanieczyszczaniu środowiska.

Jedyną cechą wyróżniającą Tsatsos była zieleń. Pozostałe wysepki, które mineliśmy, były suche jak harcerski kocher. Każdy napotkany Grek zapewniał mnie, że to nie oni, lecz Turcy powycinali wszystkie lasy w Grecji. Ktokolwiek to zrobił, sprawił się wyśmienicie, choć jakimś cudem przegapił Tsatsos.

Kiedy podплыliśmy bliżej, nad brzegiem morza ukazało się śnieżnobiałe, jedyne na tej wysepce miasteczko. Wznosząca się za nim zieleń jeszcze bardziej podkreślała jego biel. Stetryczała karykatura Anglika poinformowała mnie, że rozsiane tu i ówdzie białe cętki na wzgórzach to kaplice greckich ortodoksów. Każdą z nich zbudowano na miejscu dawnej świątyni pogańskiej.

Na jednym skraju miasteczka stała niewielka, lecz urocza latarnia morska - wrzeczono w biało-czarną szachownicę. Na drugim, od zachodu, widać było inny punkt orientacyjny, już nie tak sympatyczny. Na wielkim cyplu ktoś o smaku goryla rozpoczął budowę nowoczesnych segmentów mieszkalnych, której nigdy nie ukończył. Porzucona w trakcie roboty, sprawiała wrażenie, jak gdyby przerwano ją w pół ruchu kielnią. Stojące w jednej linii pudełkowe segmenty obliczone na cztery lub sześć mieszkań, wsparte na betonowych prefabrykatakach, zajmowały większą część cypla i majaczyły posepnie nad położonym nieco niżej miasteczkiem. Wykonane z czerwonej, nie otynkowanej cegły, pozbawione były nawet drzwi i okien. Koszmarny widok.

Poniżej, nad samym brzegiem morza, w zapadającym zmroku rysował się nowoczesny, luksusowy hotel z bujnymi ogrodami i prawdopodobnie klientelą.

Obok mnie dwie amerykańskie hipiski chichocząc wskazywały na teren budowy. Najwyraźniej tam właśnie się wybierały.

- To właśnie ta budowa - szepnęła jedna z nich.

Za nami z umocowanej pod szczytem masztu tuby rozległ się przeciągły dźwięk i silniki statku przeszły na bieg wsteczny, przygotowując prom do wysadzenia nas na wielkim betonowym moło, które służyło także jako falochron mikroskopijnego portu.

Nikt nie wyszedł po mnie na przystań. Podobno hrabina Chantal von Anders miała się mną zaopiekować, ale jakoś nie wywiązywała się z zadania. Oblała za pierwszym podejściem. Znów zaczęło mnie ogarniać przygnębienie. Podniosłem walizkę i ruszyłem na poszukiwanie taksówki.

Okazało się, że na wyspie obowiązuje zakaz używania samochodów prywatnych, toteż rolę taksówek spełniały dwukołowe dorożki, przypominające pojazdy zwane w dziewiętnastym wieku kabrioletami, od których zresztą wywodzi się angielskie słowo „cab” - „taksówka”. Kilka takich dorożek stało na małym placyku niedaleko moła.

Centrum miasteczka było oświetlone jak na pokazie ogni sztucznych, a w atmosferze wyczuwało się karnawałowy nastrój, typowy dla wszystkich kurortów w sezonie. Turyści oraz tłumy hipisów kręcili się w te i wewte. Nad niewielkim wzniesieniem, biegnącym od moła i małej przystani dla łodzi w porcie, górował wysoki wał, którego szczyt zajmowały ocienione drzewami tarasy kawiarenek. Pod konarami drzew wisały girlandy barwnych lampek.

Na szczęście znałem nazwisko osoby, u której miałem się zatrzymać. Znalazłem dorożkarza, który mówił jako tako po angielsku, i poleciłem:

- Do willi pani Georginy Taylor.

Skinął głową i zarechotał złośliwie, ale nie wyjaśnił dlaczego. Nie podobał mi się ten śmiech.

Z dala od portu miasteczko szybko pogrążyło się w ciemnościach. Kierowaliśmy się na wschód, ku uroczej latarni morskiej. Stukot kopyt towarzyszył nam na biegnącej wałem nadmorskim drodze, po której wałęsało się jeszcze więcej grup hipisów. Większość domów zbudowano tu wysoko - na szczycie dwupiętrowego, pochylego wału, mającego w zimie chronić przed wielką falą. Minęliśmy cypel i nagle roztoczył się przed nami widok na małą latarnię morską, przystań jachtów i światła tawerny.

Latarnia morska stała na samym skraju długiego, łukowato wygiętego przylądka. Dokładnie naprzeciwko niej, na lądzie, błyszczały światła tawerny. Pośrodku zaś, niemal u naszych stóp, kołysało się łagodnie na cumach kilka łódek i pięć jachtów, osłoniętych przed pełnomorską falą. Dorożkarz zatrzymał się przed ostatnim, najbliższym tawerny domem, oddzielonym od niej tylko pochylą, pustą parcelą. Dom położony był na stoku i otoczony murem. W murze znajdowała się wyblakła niebieska brama.

- Filla Georginy Taylor - oznajmił dorożkarz.

Wyciągnąłem otwartą dłoń i pozwoliłem mu wziąć tyle drobnych, ile zechce, w nadziei, że odwołując się do jego honoru, wykrzesam z niego iskierkę uczciwości. Później przekonałem się, że i tak mnie oszukał.

Kiedy otworzyłem bramę do ogrodu, zrobiło się jeszcze ciemniej, a to z powodu dwóch czy trzech rozłożystych drzew, rosnących za murem. Kamienny chodnik prowadził do domu oraz do drugiej niebieskiej bramy, zwieńczonej na szczycie mosiężnym dzwonem okrętowym i wychodzącej na górną ulicę. W domu było ciemno, lecz w czymś w rodzaju sutereny, zbudowanej dzięki nachyleniu stoku, paliło się światło, a na podwórzu kopciła lampa naftowa. W jej mrocznym świetle, na jakichś ogrodowych meblach siedziały cztery osoby - dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z postaci wstała. Mężczyzna. Wyszedł mi na spotkanie.

Przedstawił się jako Con Taylor, właściciel domu i mąż Georginy. Czekali na mnie. Odkąd usłyszeli przyptywający prom. Zaczynali już myśleć, że się nie zjawię. Mruknąłem coś o kłopotach ze znalezieniem dorożki. Uśmiechnął się.

- Chantal po pana nie wyszła? No cóż, ona jest trochę roztargniona.

Powiedział mi, że jest lekarzem zajmującym się pracą naukową w wielkim laboratorium zakładu fizjologii w Atenach i że musi wracać jeszcze tego wieczoru, tym samym promem. Władał angielskim niemal bezbłędnie. Nazwisko Taylor ma anglosaskie brzmienie, ale był to czystej krwi Grek. Dowiedziałem się później, że odziedziczył je po jakimś romantycznym przodku, który przybył do Grecji, by walczyć u boku Byrona, i wzenił się w tubylczą rodzinę.

Taylor przedstawił mi pozostałych. Georgina Taylor, Angielka już na pierwszy rzut oka, była wysoką kobietą o długich, zaczesanych do tyłu włosach, związanych na karku. Miała olbrzymie oczy i dwie małe brodawki na twarzy. Wyglądała tak, jakby pod wpływem słonego powietrza i siły grawitacji stopniowo kurczyła się i wysychała. Nie dostrzegłem w niej nic takiego, co usprawiedliwiłoby śmiech dorożkarza.

Drugą parę stanowili Sonny i Jane Duwalowie. Amerykanie. Sonny Duval był potężnym, bujnie owłosionym mężczyzną o długich włosach i wąsach a la Elliot Gould. Wyglądał na czterdzieści cztery, pięć lat, w każdym razie za staro, żeby się ubierać jak hipis. Jane Duval ustępowała mu wiekiem o ponad dwadzieścia lat, ale poza tym niewiele mógłbym o niej powiedzieć. Była wyraźnie zasepiona. Wydawało się, że zupełnie nie pamięta o trzyletniej córce, która, jak się okazało, siedziała tam z nimi. W kiepskim świetle nie zauważyłem malutkiej dziewczynki.

Było jasne, że Taylorowie się kłóć, lecz nie chcą się z tym przede mną afiszować. W powietrzu wisiało napięcie. Wdepnąłem w sam środek kryzysu małżeńskiego. Duwalowie najwyraźniej grali role świadków. Pomiedzy obiema parami wyczuwało się dziwny, skrywany przede mną gniew, jak gdyby przerwali sprzeczkę w momencie, gdy otworzyłem bramę.

W moim fachu człowiek szybko uczy się, jak oceniać podobne sytuacje w jednej chwili. Tyle że nie był to mój interes. Ale cóż za cholerny pech już na samym początku urlopu!

- To jest pan Frank Davies, który tu zamieszka - rzekł Gon Taylor. - O ile wiem, mówią na pana także Lobo. W Stanach Zjednoczonych tak, zdaje się, nazywają szarego wilka?

- Owszem - odparłem. - Ale na Zachodzie, skąd pochodzę, oznacza to również samotnika. Odludka.

- Wspaniale. Czy ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy tak pana nazywali? Lobo? - zapytał Gon Taylor. - Podoba mi się to imię.

- Nie, jeśli wam tak wygodniej - odrzekłem.

- Sonny będzie pana przewoźnikiem! - krzyknęła Georgina Taylor z przesadną wesołością i wydała z siebie przenikliwy, rozpaczliwy chichot. - Tak że w pewnym sensie wszyscy tu jesteśmy pańskimi pracownikami. Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że zatrzymaliśmy sobie mieszkanie w suterenie?

- Nie, nie przeszkadza - odparłem i znowu spojrzałem na wielkiego, podstarzałego hipisa.

Jak gdyby zdając sobie sprawę, że jest obserwowany, wielki facet podniósł się. Wyglądało na to, że wstając rozciąga się i rozciąga. Mierzył przynajmniej sześć stóp i dwa cale, bo był co najmniej o trzy cale wyższy ode mnie. Uśmiechnął się pogodnie zza zasłony wąsów, lecz miałem wrażenie, że myślami wybiega o milion mil. Z szyi zwisał mu olbrzymi medalion - pacyfa. Jego żona siedziała bez ruchu, zasepiona.

- Tak, będę pracował dla pana. - Wyciągnął mięsistą dłoń. - Chantal von Anders wynajęła mnie i moją łódź na miesiąc pańskiego pobytu na wyspie. Będę do pana dyspozycji od dziewiątej rano do szóstej wieczorem. - Usiadł z powrotem. Zdawało się, że zapadł w coś na kształt milczącego przygnębienia.

- Chodźmy - odezwał się Con Taylor. - Zaprowadzę pana na górę, pokażę panu dom i co jak działa. - Uśmiechnął się z samozadowoleniem.

Ruszyłem za nim po chodniku. Przyjemnie było wyrwać się z tego napięcia.

Dom był bardzo ładny, choć o wiele za duży dla samotnego mężczyzny. Za frontowymi drzwiami trzy stopnie prowadziły do długiego salonu z kominkiem, oknami balkonowymi i podłogą z kafli. Sufit podtrzymywała długa, okazała belka. Salon kończył się wspaniałą werandą z widokiem na port, ograniczoną grubymi kamiennymi łukami, co stwarzało przyjemne wrażenie pobytu w jaskini. Wszystko wykonane było z drewna, perkalu i materiałów, które nie poddają się pleśni w wilgotnym morskim powietrzu. Sypialnie znajdowały się na piętrze. Był to dom, w którym człowiek miał prawo spodziewać się, że w każdej chwili mogą wejść James Mason i Latający Holender i nalać sobie brandy.

Taylor pokazał mi, gdzie są korki i wyłącznik prądu oraz jak obsługiwać termę nagrzewającą wodę do wanny. Prysznic nie było. W spadku po Taylorach dostała mi się ponadto Greczynka, która na widok jednej tylko walizki zmarszczyła nos, jak gdyby poczuła zdechłego szczura, i zaniósła ją na górę do rozpakowania.

- Żałuję, że jeszcze dziś muszę jechać - powiedział Con Taylor, zanim wyszedł. - Ale wracam za dwa tygodnie. Spędzę tu wtedy dwa tygodnie wakacji.

Odparłem, że to wspaniale. Podaliśmy sobie ręce.

Wkrótce, po obejrzeniu sypialni, stojąc ze szklanką whisky w ręku na mojej nowej werandzie, usłyszałem kłótnię Taylorów w suterenie, kiedy Con pakował walizkę. Naturalnie, chodziło o kobietę.

A więc przyjechałem. A moi gospodarze wojowali ze sobą. I zatrzymali mieszkanie w suterenie. I spodziewali się, że będę tym zachwycony. Uniosłem szklankę, by wznieść toast za wschodzący księżyc. Na dole Con Taylor wychodząc trzasnął drzwiami i spiesznie ruszył chodnikiem, by złapać dorożkę na prom. Księżyc odbijał się pięknie w szemrzących wodach małej przystani.

Rozdział 3

Ucieszyłem moją grecką gospodynię niewymownie, zwalniając ją od gotowania mi kolacji. W oświetlonej tawernie po drugiej stronie pustej parceli zjadłem tłustą breję z jagnięcia i znów stałem ze szklanką whisky w ręku na jaskiniopodobnej werandzie, spoglądając na skapaną w świetle księżyca przystań, kiedy z dołu usłyszałem wołanie Georginy Taylor:

- Sam pan tam siedzi na górze?

Zaprosiłem ją uprzejmie na jednego. Był to gruby błąd i wiedziałem o tym. Zapraszanie ludzi na kieliszek do poduszki to jedna z wolniejszych metod popełniania samobójstwa.

Była już trochę wstawiona. A ledwie znalazła się u mnie, zaczęła trąbić whisky jak lewoskrzydłowy zespół ekstraklasy, który nie wybronił się przed spadkiem do drugiej ligi. Była to whisky, którą przewidująco podesłali mi na górę, razem z rachunkiem. Raz dwa zalała się nią w pestkę.

Wyglądało na to, że chcąc wypłakać swoje żale, nie może doczekać się końca wymiany uprzejmości.

- Wstyd, żeby pierwszej nocy u nas miał pan tak siedzieć samotnie.

- To mi nie przeszkadza - odparłem.

- Jak pan znajduje dom?

- Trochę duży, jak dla jednej osoby.

- Też im to mówiłam. Musiał pan zrobić dla Freddy'ego Tarkoffa coś nadzwyczajnego.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Przy drugiej dużej whisky zaniechała wybiegu z wodą sodową, ale przyjęła lód.

- Pan naprawdę jest prywatnym detektywem?

Machnąłem ręką.

- Powinam pana wynająć, żeby mi pan zebrał dowody przeciw Conowi.

- Nie przyjmuję spraw rozwodowych. Za brudna robota.

- Tak? Nieważne, i tak już sama zebrałam dowody przeciwko niemu. Nawet nie starał się niczego ukrywać.

- Więc teraz potrzebny jest pani adwokat.

- Hm - bąknęła bez przekonania. Po chwili dorzuciła: - Wydaje mi się, że w tej sprawie nigdy nic nie zrobię. Uroczą noc, tam na dworze.

- Uroczą.

- Cholernie pan mało rozmowny, co?

Nie odpowiedziałem.

Zanim przypuściła kolejny atak, wyciągnęła szklankę po trzecią whisky, z lodem.

- Con ma romans z żoną Sonny'ego Duvala. - Słowo „żona” podkreśliła znacząco, bym na pewno zrozumiał, że Jane Duval nie jest prawdziwą żoną Sonny'ego.

- A ja mam teraz powiedzieć, że bardzo mi przykro z tego powodu, tak? - wałęsam prosto z mostu.

Puściła to mimo uszu.

- Naprawdę to oni nie są małżeństwem, ci Duwalowie. Nie uznają małżeństwa. - Spojrzała na mnie, najwyraźniej oczekując komentarza. Nie doczekała się. Na tym etapie było bez różnicy, czy się odezwę, czy nie. - Nie jest to pierwszy romans Jane Duval na wyspie. Ale tym razem wygląda na to, że ją wzięło. To pewnie przez mojego Cona, on by samego diabła owinął sobie wokół palca słodkimi słówkami. W każdym razie ona twierdzi, że Con obiecał ją zabrać. Zabrać od „tego wszystkiego”. Con, który nie ma w planach nic podobnego, musiał się ratować ucieczką do Aten, ale Jane grozi, że pojedzie za nim. I jak zwykle, to ja mam go z tego wypłatać.

Znowu spojrzała na mnie. Milczałem. Jej głos przeszedł w fałszywy lament.

- Uważam, że mało to eleganckie ze strony Sonny'ego i Jane, którzy - nawiasem mówiąc - są milionerami. Amerykańskimi milionerami, i którzy rozpowiadają po całej okolicy, że wyznają wolną miłość i wolny seks.

Tym razem nie wyciągnęła szklanki, lecz sięgnęła po butelkę stojącą na małej tacy.

- Nie fatyguj się z lodem - rzuciła ochryple.

Wstałem, mając nadzieję, że pójdzie w moje ślady. Faktycznie, wstała, lecz zaraz postąpiła krok do przodu i trzymając się kurczowo szklanki, oparta się o mnie.

Tam, skąd pochodzę, kobiety nie opierają się o pierwszego lepszego mężczyznę. Te, które to robią, mają potem o czym rozmyślać, jeżeli tego nie żałują.

Jej nie skrępowane piersi pod spłowieiałą koszulą obijały się o moje dolne żebra.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że absolutnie nie jestem w stanie ci pomóc - rzekłem, odsuwając ją delikatnie.

Jedną ręką ocierała oczy, a drugą podnosiła do ust szklankę whisky.

- Tak mi przykro. Przepraszam, naprawdę. Nie powinnam tu była przychodzić i zawracać ci głowy. Możesz mi wierzyć, to się już nie powtórzy.

- Jasne. Wierzę ci. W końcu cała moja wina sprowadza się do tego, że tu przyjechałem i wynająłem od ciebie dom.

Roześmiała się.

- Będę się zbierać.

Wykwaterowanie jej zabrało jednak trochę czasu. Z jakiegoś tam powodu uznała za konieczne zachować pozory, że wpadła tylko po to, by sprawdzić, jak sobie dają radę, a nie żeby wypowiadać się ze swoich bieżących trosk, i usta jej się nie zamykały.

Dowiedziałem się kilku rzeczy. A więc, że Con to skrót od „Constantine”, a nie od „Conrad”. Dalej, że Georgina Taylor rzeczywiście jest Angielką, a Constantine’a Taylora poznała podczas wojny w Aleksandrii, gdzie służył jako oficer marynarki, i na koniec dowiedziałem się, że mają dwudziestodwuletniego syna, który mieszka w Londynie.

Kiedy wreszcie znalazła się za drzwiami, zachwiała się lekko, oddając mi szklankę z mizernymi resztkami piątej podwójnej whisky.

Zatrzasnąłem drzwi. Pomyślałem, że zaczynam rozumieć, co kryło się za złośliwym rechetem dorożkarza.

Pogasiłem wszystkie światła, wziąłem butelkę whisky ze sobą na górę i pustym korytarzem, obwieszonym kiepskimi obrazami, przeszedłem do sypialni. Zajmowałem sypialnię położoną bezpośrednio nad salonem, z widokiem na przystań. Nie zapalając światła, stanąłem popatrując na wciąż skąpane w świetle księżyca wody przystani i próbowałem wyłączyć słuch. Byłem całkowicie przytomny. Nalałem sobie solidną miarę, słuchając, jak moje wnętrzności protestują, że i tak już wlałem w nie za dużo whisky jak na jeden dzień.

Z dołu doleciała mnie muzyka z gramofonu Georginy Taylor. Później brzęk butelki. Ze szklanką w ręku wyszedłem na płaski dach werandy i stałem tam przez dłuższy czas, zamyślony. Przystań jachtów nadal wyglądała przepięknie w świetle księżyca.

To ci wakacje! Miałem wielką ochotę kopnąć Freddy’ego Tarkoffa w zadek. W głowie znowu jazgotały mi wszystkie nieprzyjemne sprawy. Moje życie. Moja robota dla Tarkoffa. Mój rozwód. Przepychając się, walczyły o pierwszeństwo.

Wciąż jeszcze nie byłem gotowy, żeby o nich myśleć.

Wśród jachtów w przystani był jeden naprawdę wielki, istne cacko. Kec. Nie oświetlony, wyglądał, jakby był zamknięty na cztery spusty. Miał smukłą linię pełnomorskiego żaglowca, a jego maszt mierzył co najmniej dziewięćdziesiąt stóp. Można by

na nim popłynąć dosłownie wszędzie. Kiedy się kołysał, potężny maszt kreślił olbrzymi łuk na błyszczącym, usianym gwiazdami niebie.

Próbowałem sobie wyobrazić, jakie to uczucie, mieć dość pieniędzy, żeby posiadać taki jacht, ale bez skutku. Dość pieniędzy, żeby starczało na życie, żeby móc jeździć dokąd tylko się chce, żeby wracać, kiedy ma się ochotę. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak to jest mieć tyle pieniędzy.

Po chwili wróciłem do sypialni i położyłem się do nieco garbatego łóżka.

Zamiast spać, przewracałem się tylko z boku na bok na garbach. Zmusiłem się więc, żeby znów myśleć o jachcie. Do wyboru miałem albo to, albo tamte sprawy. Obejrzałem wszystkie jego liny, wszystkie łańcuchy kotwiczne i sztagi. Obejrzałem każdy zwinięty żagiel i każdą cumę.

Następnie obejrzałem wszystkie zapasowe żagle, które musiały leżeć w komorze żaglowej. Obejrzałem w najdrobniejszych szczegółach wszystkie jego kabiny. Nigdy nie widziałem tych kabin, ale to nieważne. Wymyślone przeze mnie, wyglądały tak, jak sam bym je urządził, a teraz je oglądałem.

Był to wybieg, którego nauczyłem się podczas wojny. Mojej wojny. Jeśli nie chcesz o czymś myśleć, myśl o tym, czego chcesz. Ale musisz tego chcieć bardzo, naprawdę bardzo. Wówczas był to domek, który zobaczyłem kiedyś na Wind River Range. Jego też nie widziałem od środka. Ale wymyślałem go sobie setki razy. W tamtych czasach to skutkowało.

Teraz zrobiłem to samo z tym jachtem. Poskutkowało raz jeszcze.

Trwało to długo. Ale w końcu mój umysł wyłączył się i zasnąłem.

Rozdział 4

Następnego dnia rano poczułem się o niebo lepiej. Nic dziwnego, skoro przed domem miałem piękną przystań jachtów, łodzie, pracujących na nich ludzi, a dalej pełne morze.

Słońce obudziło mnie wcześniej; usiadłem na werandzie z mocną kawą po grecku, którą zaparzyła mi gospodyni, i obserwowałem ruch w porcie.

Sto stóp ode mnie w kierunku tawerny siedziała na wale nadmorskim Jane Duval. Z opuszczoną głową, sprawiała wrażenie zaszępionej i zmalretowanej. Na ziemi koło niej bawiło się dziecko, zostawione samo sobie.

Wkrótce pojawił się Sonny, zgarnął „żonę” i córkę i odmaszerował. Na molo przed tawerną wepchał je na swój skif i powiosłował w stronę pękatego, mierzącego sześćdziesiąt stóp długości greckiego kaika, na pierwszy rzut oka zaniedbanego, który stał na szpringach dwadzieścia jardów od wału, na wprost mojego domu. Wiedziałem już od Georginy, że oni tam właśnie mieszkają. Do kaika przywiązana była niewielka, lecz ładna motorówka.

Patrzyłem, jak Sonny wsadza Jane i dziecko na pokład i wiosłuje z powrotem do tawerny. Uwiązał skif, wszedł na trzydziestodwustopowej długości kaik rybacki, zacumowany przy molo, i zaczął doprowadzać go do porządku. Najwidoczniej szykował tę łódź dla mnie.

Za moimi plecami zadźwięczał dzwonek i grecka gospodyni wpuściła kogoś do domu. Wróciłem do pokoju, niemal oślepiiony palącym słońcem. Zbliżała się do mnie jakaś kobieca postać. Przez dłuższą chwilę skupiałem wzrok. To jeszcze jedna z tych rzeczy, które przychodzą z wiekiem - oczy nie przystosowują się już tak szybko jak za młodu.

Kiedy odzyskałem zdolność widzenia, zobaczyłem, że moja gospodyni pokonała już trzy stopnie prowadzące z hallu do salonu i że jest cała w rumieńcach i przejęta. Gościa zapowiedziała z pompą.

- Hrabina fon Hannders - zaintonowała. Mówiła po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem. Było to typowe dla wszystkich starych i biednych Greków z tych wysp, które przeszły okupację.

Kobieta, która stała przede mną, miała na sobie lekką, ale kosztowną sukienkę z drukowanej bawełny. Błysnęło kilka starannie dobranych klejnotów. Jej włosy nie były ani długie, ani krótkie, za to wdzięcznie potargane. Przystojna arystokratka po czterdziestce, szczupła i elegancka. Jak to się mówi, tchnęło od niej elegancją. Trzymała się świetnie jak na swój wiek, przynajmniej w tych partiach, które mogłem dojrzeć. Wyglądało na to, że pod

eleganckim wystrojem kryje się seksowna, wciąż atrakcyjna kobieta. Wiekiem w sam raz dla staranego życiem detektywa dobiegającego pięćdziesiątki.

- Zapowiedziała panią z pompą - odezwałem się.

- Oni wszyscy kochają tytuły - odparła von Anders. - Uwielbiają je wyliczać. My wolimy ich nie używać.

Posłałem jej szeroki uśmiech.

- Ja osobiście nigdy ich nie używam.

Nie wiedziała, czy jej się to podoba, czy nie.

- A zresztą, jako rozwódka nie mam już prawa do tytułu.

A więc to była ta kobieta, która według Tarkoffa miała się mną zajmować, służyć mi na wyspie za przewodnika i opiekuna, wszystko mi wynająć. Była to także kobieta, która nie wyszła na prom.

- Przepraszam, że nie wyszłam na prom - powiedziała, jak gdyby czytała w moich myślach. - Prawdę mówiąc, pomyliłam datę.

- O, nie ma o czym mówić - odrzekłem. - Nie miałem nic przeciwko temu, żeby się przespać na molo.

- Boże jedyny, naprawdę? Och, tak mi przykro. Naprawdę musiał pan spać na molo?

- Nie, żartuję. Miałem nazwisko Georginy Taylor.

Przyjęła to z wyraźną ulgą. Chociaż trudno było powiedzieć, czy nie gra.

- Jak się panu podoba dom? - zapytała. - Czy jest dość przestronny?

- Aż za bardzo, jak dla samotnego mężczyzny.

- Czy gospodyni jest jak należy?

- Jak dla mnie, znakomita. Nie wiem tylko, czy ja jestem równie znakomity dla niej.

- Dlaczego?

- Ba, przywiozłem tylko jedną walizkę.

Tym razem uśmiechnęła się szeroko, z pewnością siebie.

- To straszna snobka. Wszystkie się takie robią, jak trochę popracują.

- Jak my wszyscy.

Posłała mi kpiarski uśmiech.

- Ma pan cięty język. Freddy Tarkoff ostrzegł mnie przed tym.

Była na to szybka i prosta odpowiedź: czy Freddy ostrzegł ją także przed innymi stronami mojej natury? Nie powiedziałem tego, ale ona raczej nie oczekiwała riposty. Przeszła obok mnie do najbliższego okna i wskazała palcem na molo przed tawerną.

- To łódź, którą dla pana wynajęłam. Tutaj jest niezbędna. Ten człowiek to Amerykanin. W zasadzie nie potrzebuje pieniędzy, ale dobrze sobie radzi z łodzią i ma tę dodatkową zaletę, że mówi po angielsku.

- Czy dobrze poluje? Pod wodą? Freddy mówił mi, że to ekspert.

- Tego nie wiem. Może zejdziemy poznać pana z nim i zapytamy?

- Już go poznałem, i jego żonę.

- A, poznał pan Jane.

- Tak, poznałem ją - powtórzyłem tonem nie wyrażającym żadnego zdania.

Hrabina uśmiechnęła się. Był to czysty, niewinny uśmiech sekutnicy. Zdawało się, że rozświetla rozkoszą całą jej twarz, zdawało się, że ukazuje wszystkie jej drobne ząbki. Zdawało się, że trwa długo po tym, jak zniknął. Był to uśmiech damy z wyższych sfer, która przepada za dobrą babską bójką i w każdej chwili jest gotowa zakasać do niej rękawy.

- Urocza mała, prawda? - stwierdziła.

Sam sobie byłem winien. To ja wspomniałem o kobiecie Sonny'ego, nie ona. Ale i tak była to świetna odpowiedź.

Przypomniałem sobie, że jest to także kobieta, którą Freddy - co dawał do zrozumienia ton jego głosu - znał dużo bliżej niż tylko jako przyjaciółkę. Czy Tarkoff myślał, że i ja nawiążę z nią równie bliską znajomość? Nie podobało mi się to. Nie miałem nic przeciwko takiej idei, ale nie podobało mi się przypuszczenie Freddy'ego. Jeżeli coś takiego przypuszczał.

- Chantal - powiedziałem. - To francuskie imię, prawda? Sam nie wiem czemu zdawało mi się, że jest pani Angielką.

Roześmiała się.

- Jestem Angielką. Ale moja matka była Francuzką, i prawie całe dzieciństwo spędziłam we Francji. Tylko niech pan sobie czasem nie myśli, że Angielki nie potrafią być równie sekutnicze jak Francuzki.

- Tak słyszałem - odrzekłem. Podobała mi się.

Wróciła do rozmowy na temat domu, jego dobrych i złych stron i kłopotów związanych z utrzymaniem go. O prowadzeniu domu mówiła tak, jak gdyby sama była doświadczoną gospodynią, w co zresztą nie wątpiłem. Ale cała ta rozmowa o sprawach domowych skrywała tylko jej treść, zdenerwowanie, i to coraz większe. Nagle zaprosiła mnie na obiad.

- Nie będzie to nic specjalnego - dodała pośpiesznie. - Tylko kilka starych plotkar, które nazywam moim chórem greckim, i jeden starszy pan. Ale jedzenie będzie dobre. Poza tym chciałam z panem o czymś porozmawiać.

- Dlaczego nie tutaj? - zapytałam. - Nie zapowiada się to na obiad w moim guście.

- Tutaj nie chcę o tym mówić - ucięła von Anders.

Zaczynałem rozpoznawać symptomy. Być detektywem prywatnym to w pewnym sensie tak, jak być lekarzem. Gdy tylko lekarz pojawia się na przyjęciu, wszyscy zaczynają opowiadać mu o swoich ostatnich dolegliwościach. Kiedy zaś pojawia się detektyw, zaczynają mu się zwierzać ze swoich ukrytych trosk. Nudne to jak cholera. Uniosłem rękę.

- Proszę posłuchać, przyjechałem tu na wakacje, a nie szukać roboty - zaprotestowałem.

- Czy szantaż to dla pana wystarczająco poważna sprawa?

W każdym razie jej pytanie było wystarczająco bezpośrednie.

- Dobrze, przyjdę na ten pani obiadek - powiedziałam. - Ale nic więcej nie obiecuję. Zgoda? A teraz powinna pani wrócić do domu. Chcę popłynąć do miasta moją nową łodzią z moim nowym przewoźnikiem.

Niespodziewanie nieśmiałym ruchem wyciągnęła rękę - ciepłą, suchą i smukłą. Mrugnęła do mnie droga bransoletka. Niewątpliwie jej właścicielka była atrakcyjną kobietą. Przynajmniej dla takich starszych panów jak ja. Albo jak Freddy. Kiedy odchodziła, złapałem się na tym, że zastanawiam się, czy jej tyłeczek jest równie jędrny, jak się zapowiada przez sukienkę. Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, a ubranie, nawet z cienkiej bawełny, nie pozwalało się o tym przekonać. „Dość tego! - warknąłem na siebie. - Idź się przebrać na rejs”.

Nie przyjechałem romansować z hrabiną. Nie miałem pojęcia, po co przyjechałem, ale na pewno nie po to. Pakować się w miłostki na krótką metę i brać nogi za pas, zostawiając za sobą pobjowisko uczuć. Toż to tylko szpan i pic na wodę, jak mawiają małolaty. To nie dla mnie. Nie dla upartego, starego romantyka. Śmiechu warte.

Rozdział 5

Na kaiku, noszącym nazwę „Daisy Mae”, Sonny Duval skończył już robotę i czekał na mnie. Za pomocą falenia przyciągnął łódź do moła i podał mi rękę. Zignorowałem go i o własnych siłach zgrabnie dałem długiego susa na pokład.

Doszedłem do wniosku, że z kwestią mojej znajomości łodzi najlepiej będzie się rozprawić na samym wstępie.

- Dzięki - rzuciłem.

Spojrzał na mnie tylko i wzruszył ramionami. Cofnął kaik, lawirując wśród innych łodzi i stojących na cumach jachtów, i zaczął płynąć wzdłuż brzegu, obrysowanego wysokimi murami białych domów, które mijałem poprzedniej nocy w dorożce.

- Znasz się na łodziach, co? - odezwał się po jakimś czasie, nawet dosyć uprzejmie.

- Kiedyś całkiem sporo pływałem. - Uśmiechnąłem się pełną gębą. Prawdę mówiąc, byłem szczęśliwy jak wszyscy diabli, że znów jestem na wodzie.

Sonny przyglądał mi się badawczo.

- Prawie każdy tak mówi. - Małe oczka pod krzaczastymi brwiami, które wtórowały jego wąsom à la Elliot Gould, oderwały się ode mnie. - Chcesz spróbować?

- Jasne. Czemu nie? Jeżeli pozwolisz.

Przeszedłem na rufę, a Sonny oddał mi ster. Usadawiłem się wygodnie, by wczuć się w tę łódź. Nie miała koła sterowego, lecz staromodny rumpel: dwa cale na pięć, ociosany owalnie i połączony sworzniem z piórem sterowym. Swego czasu przepadałem za takimi na Karaibach.

Jak wszystkie greckie łodzie, także i ta była przyjemna i sprawna. Po chwili już sterowałem, kierując się na pełne morze i gładko tnąc nadpływające fale. Zawracając, wykonałem zwrot na szczycie fali, zamiast wpuścić łódź w bruzdę, ustawić ją bokiem i pozwolić jej się kołysać. Okręciła się pięknie. Podprowadziłem ją więc nieco do brzegu i powtórzyłem ten sam manewr przez prawą burtę, znowu wychodząc w morze. Oddałem ster Sonny'emu.

- Ładne to było - pochwalił Sonny. - Zgrabne, bardzo zgrabne. Chcesz ją wprowadzić do portu, jak dopłyniemy?

Tego też się nie spodziewałem.

- Jasne. Chyba tak. Jeżeli uważasz, że dam radę.

- Uważam, że dasz.

- Nie boisz się, że ci roztrzaskam łódź?

- Nie sądzę. Nie roztrzaskasz jej. - Uśmiechnął się. Nie wiedziałem, czego stara się dowieść. Wydawał się obojętny, jakby nie dbał o to. Być może dlatego, że był tak bogaty i stać go było na kupno nowej łodzi, czy nawet dwóch. W każdym razie ja z całą pewnością nie pozwoliłbym żadnemu obcemu wprowadzić mojej łodzi do portu, dopóki bym go nie przeegzaminował o wiele staranniej niż Sonny mnie.

To, co się działo na tej wyspie, przerastało moje możliwości pojmowania. Nie wiedziałem, co właściwie jest grane. Dać ludziom taki raj jak ten, a oni natychmiast postarają się go zamienić w jakiś klub z najrozmaitszymi tajemnymi gierkami. Nie podobało mi się to jak cholera.

- Zgoda - powiedziałem. - Wprowadzę ją do portu.

Zajęliśmy się rejsem. Ściągnąłem koszulę i rozpostarłem ramiona, opierając je na relingu za plecami. Jestem całkiem solidnej budowy i zauważyłem, że Sonny to zauważył. On też był silnie zbudowany, ale już zwiotczał. Spojrzałem na ład i na wszystkie jakże różne domy. Nie dostrzegłem ani dwóch choćby z grubsza podobnych do siebie. To mi się podobało. W pełnym słońcu wyglądały przepięknie. Znajdował się tam także ortodoksyjny kościół, z rzadko rozsianymi drzewami oliwkowymi na wyschniętym placu, opadającym po stoku aż do drogi i wody, i niskim, bielonym wapnem murkiem okalającym plac. Tuż za białym murem stała uwiązana koza. W tej okolicy wszystkie mury i ściany były bielone wapnem.

Piękny to był dzień, piękny widok i piękny rejs.

Nie wiem, dlaczego dylematy związane z moją robotą dla Tarkoffa wybrały sobie akurat ten moment, żeby mnie dopaść, zdominować moje myśli i domagać się, bym je rozważył. Ale tak się stało.

Rozdział 6

Sądę, że obejrzałem to już chyba ze wszystkich możliwych stron. Jak by na to nie patrzeć, nie wyglądało to dobrze. Jak by tego nie upiększać, nie mogło mi to przynieść żadnych złotych Oskarów za tolerancyjny humanitaryzm.

Trzeba mieć jakiś własny kodeks. Przekonałem się, że jedyny kodeks, który się sprawdza, głosi, że dopóki pracujesz dla klienta i bierzesz od niego pieniądze, dopóty jest on w porządku. Jeżeli uważasz, że klient nie jest w porządku, albo jeżeli nie podoba ci się to, czego od ciebie żąda, nie podejmujesz się zadania.

Sprawa Tarkoffa była całkiem prosta. Tarkoff zainwestował w Grecji duże pieniądze. Częściowo zawiadywał nimi w jego imieniu bogaty grecki prawnik, który miał uprawnienia pełnomocnika. Korzystając z tego, w ciągu roku zdefraudował on sto trzydzieści tysięcy dolarów Tarkoffa, wszystko, co posiadał, przepisał na nazwisko żony, i zbiegł z Grecji, wydawszy pieniądze co do grosza. Najwyraźniej na kobiety i luksusowe życie. Nie przeszkodziło mu to jednak dogadać się z żoną, kiedy w grę zaczął wchodzić jego własny majątek. Tarkoff, nie mogąc nic wydostać od nadal bogatej żony, postanowił wysledzić Greka i odkrył, że mieszka on w Paryżu, bez grosza przy duszy, pracując jako cieć w tanim hotelu przy rue Amsterdam, niedaleko placu Pigalle. Trudna sytuacja. Poza swym krajem Grek był bezpieczny. Żona nie zgodziła się przyjąć odpowiedzialności za jego długi. W greckich sądach nic nie udało się załatwić.

Był to cwany numer. Ja sam jestem z wykształcenia prawnikiem, podobnie zresztą jak Tarkoff. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę z tandetnej, śmierdzącej, bardzo nieuczciwej i bardzo przebiegłej prawniczej zręczności tego posunięcia. Bez wątpienia Grek wykombinował to już po wydaniu pieniędzy, żeby uratować rodzinę.

Tarkoff nie należał do tych, którzy biernie pozwalają się tak kantować. Nie bez powodu znany był jako młody zdolny z Wall Street. Polecił mi odszukać Greka i jakoś, nieważne w jaki sposób, odzyskać pieniądze, a przynajmniej tyle, ile się da.

Było jasne, że pieniądze trzeba będzie wycisnąć z żony.

- Nie ma powodu, dla którego nie miałbyś się tym zająć, pojechać tam i załatwić sprawy - oświadczył Tarkoff. - Po co mam płacić komu innemu. Jakiemuś zagranicznemu typkowi. Na dobrą sprawę, chyba tylko ty jeden potrafisz to rozegrać. Wątpię, żeby pierwszy lepszy facet dał sobie z tym radę. - Freddy lubił robić ze mnie papierowego bohatera. Obiecał mi furę pieniędzy i zwrot wydatków.

Podjąłem się tego. Podjąłem się, ponieważ zgadzałem się z opinią Tarkoffa. Jego zdaniem Grek liczył na zwykłą ludzką przyzwoitość, że zostawi się go w spokoju. Nie ulegało wątpliwości, że pracuję dla słusznej strony. Jak się okazało, Grek okantował także innych ludzi, na mniejsze sumy.

Znałem wtedy Freddy'ego mniej więcej od pięciu lat. Prawdopodobnie był najbogatszym z moich znajomych w Nowym Jorku. Po raz pierwszy trafił do mnie z powodu swojej sekretarki. Jakiś zadowolony ze mnie klient dał mu moje nazwisko. Kobiętę szantażował jej były przyjaciel, który przekwalifikował się na drobnego łajdaczka, i Freddy wynajął mnie, żebym ją od niego uwolnił. Spodobał mu się sposób, w jaki to załatwiłem, i zostaliśmy przyjaciółmi. Bawiło go, że dyplomowany prawnik może być prywatnym detektywem. Mnie też to bawiło, czasami. Pracowałem dla niego kilkakrotnie, przede wszystkim zdobywając mu informacje przydatne w interesach. Nigdy go nie spytałem, dlaczego tak się interesował sprawami swojej sekretarki. Podobnie jak i jego żona, należał do towarzystwa, lecz chętnie łąził ze mną, kiedy wybierałem się na obchód rozmaitych mordowni. Dużo czasu spędzałem na szukaniu zaginionych małolatów w East Village i Freddy lubił tam ze mną zaglądać.

Nie wiem, czy nasza przyjaźń przyczyniła się do tego, że podjąłem się tej sprawy. Mógłbym uznać to za pretekst, ale po co? Proponował mi całe mnóstwo pieniędzy. A wtedy akurat bardzo ich potrzebowałem. Rozwód miałem już za sobą, ale musiałem płacić, płacić i jeszcze raz płacić. Mimo że to moja żona chciała rozvodu. Alimenty, plus dwie nastoletnie córki uczęszczające do ekskluzywnych szkół, składały się na pokaźną sumkę, którą musiałem bulić co miesiąc. Oczywiście, Freddy wiedział o tym wszystkim.

Wyjechałem do Europy gotów zrobić wszystko, byleby wywiązać się z zadania. W Nowym Jorku, gdzie pomijając zawodowców takich jak ja, nie jest bezpiecznie wychodzić po nocy na ulicę, i gdzie nawet dla nas bywa to ryzykowne, coraz bardziej czułem się wyobcowany. Cieszyłem się, że mogę uciec.

Kiedy jednak wysiadłem z samolotu w Europie, poczułem się jeszcze bardziej obco. Stojąc na lotnisku Orly uświadomiłem sobie nagle, że wszyscy Europejczycy są sobie obcy. Żyją tak od setek pokoleń. Nie mają poczucia bezpieczeństwa, ale też nie oczekują go, co widać po ich twarzach. Wyglądają tak, jak gdyby przychodzili na świat ze świadomością, że nawet najbliżsi krewni podłożą im świnie. Poczułem się jak u siebie w domu.

Aby zorientować się w sytuacji, wybrałem się do Aten i odszukałem żonę prawnika. Miała dom w Atenach, imponującą willę nadmorską i szmat cennej ziemi. Nie było jak się

dowiedzieć, ile odłożyła w gotówce. Miała jednak aż nadto, by móc zwrócić pieniądze Tarkoffowi.

Po powrocie do Paryża wytropiłem Greka. Nadal pracował w tym samym obskurnym hotelu przy rue Amsterdam. Był to tłusty mały człowieczek o podłym uśmiechu. Gotów był przyznać się do wszystkiego. Mógł mi to nawet dać na piśmie. Ale nie był w stanie nic zwrócić. Nie miał pieniędzy. Obaj rozejrzeliśmy się po wilgotnym pokoiku. Jak mógł zapłacić? A nie było sensu próbować wyciągnąć cokolwiek od jego żony. Nienawidziła go do szpiku kości.

- To przecież naturalne. - Uśmiechnął się. - Co pan by do mnie czuł? Na jej miejscu?

Uśmiechnął się do mnie tym swoim przebiegłym, złośliwym uśmiechem. Wszystko miał przemyślane. Używał, póki mógł. Przehulał wszystko. A teraz tkwił tutaj. Nic więcej nie można mu było zrobić. Ale zapomniał o jednym. O człowieku nazwiskiem Freddy Tarkoff, który nie zapominał o niczym.

Nie rozgadywałem się. Nie było sensu. Wyjaśniłem tylko precyzyjnie, w czym rzecz. Uderzyłem go, bez ostrzeżenia. Po czym zacząłem bić metodycznie. Tak, jak się tego pewnie spodziewał. Choć szczerze mówiąc, nie wiem, czego się spodziewał. Może tego, że odejdę i zostawię go w spokoju. Ale znał zasady panujące w podziemiu równie dobrze jak ja.

Znałem wszystkie sztuczki. To się podłapuje. Biłem więc ostrożnie, żeby nie spowodować poważniejszych urazów ani nie połamać mu kości. Nie wzywał pomocy. Nie stawiał oporu. Kiedy wychodziłem, leżał prawie nieprzytomny na swoim wonnym łóżku.

Ze strony policji nie było się czego obawiać. Francuska policja i tak już wiedziała o nim wszystko, i nie lubiła go. Żaden z nas nie wybierał się na policję.

Kiedy wróciłem następnego dnia wieczorem, kto inny siedział w recepcji. Dowiedziałem się, że Grek jest u siebie, chory. Kiedy tam wszedłem, zastałem go na miejscu. Tyle że teraz był sino-czarny. Przywdział swój obmierzły uśmiezek niczym wyświechtany prochowiec. Jak na prawnika, wygłosił wcale nielichą mowę obrończą. Bijąc go nie zmienię jego żony. Mogę go zabić, a i tak nic to nie da. Nic nie osiągnę. Nawet gdybym go bił w nieskończoność, podkreślił.

Zrobił się niemal elokwentny.

Ponuro pokiwałem głową.

- Święta prawda. Może i tak zrobię. Masz dzieci? - Już wcześniej to sprawdziłem.

Wytrzeszczył oczy.

- Pan nie...

Milczałem.

- Pan tego nie zrobi - rzekł Grek.

- Tobie potrzebny jest jakiś bodziec - stwierdziłem. - I nie zapominaj, że bić też cię mogę w nieskończoność.

Mówiąc to, zakneblowałem go. Nawet się nie trudziłem, żeby go związać. W duchu powtarzałem sobie, że wszystko to robię dla starego, poczciwego Freddy'ego Tarkoffa. Po czym z zimną krwią złamałem mu palec.

Wrzasnął, a raczej zrobiłby to, gdyby nie knebel. Przez chwilę myślałem, że zemdleje. Ale nie. Padł tylko na wznak na łóżko, wywrócił oczy w głąb czaszki i powieki opadły mu na białka.

Kiedy go odkneblowałem, jęknął.

- Wrócę jutro - zapowiedziałem. - Podyskutujemy sobie jeszcze. Może nie będziesz już potrzebował dalszych bodźców. Nie próbuj uciekać. Znajdę cię. - Zostawiłem go jęczącego.

Na ulicy oblałem się potem. Miałem uczucie, że kapelusz nie chce mi siedzieć równo na głowie. Taka robota jednak mi nie leżała. Miałem nadzieję, że nie zdradziłem się z tym przed Grekiem, bo wiedziałem, że nie potrafiłbym już tego powtórzyć.

Była zimna wiosenna noc w tej strasznej, podłej dzielnicy Paryża. Francuska mgła opadała jednostajnie i bruk ulicy był śliski, wilgotny, błyszczący. W bramach innych obskurnych hoteli stały dziwki z mocno utapirowanymi włosami i wielkimi torbami przewieszonymi przez ramię. W pierwszej chwili chciałem pójść z którąś z nich, żeby zapomnieć o całej sprawie, ale zaraz o mało nie puściłem pawia. Musiałem się hamować, żeby nie wyrznąć pięścią w wilgotną ceglana ścianę. Melodramatyczny upust uczuć. Nie chciałem uszkodzić sobie ręki. No i dziwki patrzyły. Odszedłem.

Na pierwszym oświetlonym rogu wstąpiłem do pełnej alfonsów kafejki na parę głębszych.

O ile sobie przypominam, chodziła mi wtedy po głowie tylko jedna istotna myśl - dziękowałem opatrności, że nie jestem na miejscu Greka. Za nic na świecie nie chciałbym być na jego miejscu w kwaśnym smrodzie tej strasznej, złej, samotnej dzielnicy Paryża. Na jego miejscu umierałbym ze strachu.

Podjezwam, że tak też z nim było. Kiedy wróciłem, był już skłonny rozmawiać z żoną. Dłoń miał zagipsowaną. Byłem dla niego uprzejmy aż miło. Umówiliśmy się na spotkanie z żoną w Zurychu.

Wspomniałem o poczuciu wyobcowania. On miałby więcej do powiedzenia na ten temat. Ale w zamian za doświadczenie w tej materii mógł przynajmniej przepuścić sto

trzydzieści tysięcy dolarów. Ja w zamian za swoje mogłem się opiekować żoną i dwiema córkami.

Żona była równie godnym pożałowania okazem człowieka jak jej mąż. Długo rozmawiali ze sobą w kawiarni, obserwowani przeze mnie, po czym zechciała sama ze mną porozmawiać. Czy to ja jestem tym człowiekiem, który grozi, że porwie jej dzieci? Nie wiedziałem, o czym ona mówi: byłem tylko przyjacielem. Parsknęła i powiedziała, że osiemdziesiąt tysięcy to wszystko, co jest w stanie zebrać. Zapytałem o jej nadmorską willę. „Tylko nie moją willę!” - krzyknęła. A zresztą i tak musiałaby ją sprzedać, a to by trwało. Zauważyłem, że willa nie jest obciążona hipoteką; niech pożyczyci pieniądze i sprzeda ją później. Nie ustąpiłem ani na krok. W ciągu tygodnia pełna suma została przelana ze szwajcarskiego konta żony na szwajcarskie konto, które otworzyłem, grecki pokurcz był z powrotem w Paryżu, a ja w Atenach, gdzie załatwiałem transfer pieniędzy do Tarkoffa w taki sposób, w jaki sobie tego życzyłem.

Tarkoff przez telefon rozplęwał się w gratulacjach. Zaproponował wakacje na Tsatsos. Powiedziałem mu wcześniej, że nie mam jeszcze ochoty wracać do Nowego Jorku. Prawdopodobnie myślał, że ma to jakiś związek z moim rozwodem. Cóż, może to i prawda. Między innymi. W pewnym sensie. Miało to także związek z całym moim życiem.

Siedząc na łodzi Sonny'ego Duvala i kołysząc się w cudownym rytmie przecinanych fal, zatrasnąłem wieko moich myśli, blokując dwie następne sprawy. Mój rozwód. I moje życie. I tak już uwolniłem z głowy jednego chochlika.

Pociłem się na ostrym słońcu. Łódź kołysała wspaniale. Wkrótce mieliśmy wpłynąć do portu. Włożyłem koszulę.

Bez przerwy nachodziło mnie wspomnienie jego wywracających się w głąb czaszki oczu i powiek opadających na białka, kiedy łamałem mu palec.

Straszne w tym było to, że gdybym musiał, mógłbym to zrobić jeszcze raz. Gdybym kiedykolwiek znalazł się w takiej samej sytuacji. Miałem zamiar nigdy więcej nie znaleźć się w takiej sytuacji.

Odwalasz dla nich brudną robotę, a oni oczekują od ciebie, że weźmiesz forszę i będziesz trzymał gębę na kłódkę. To część umowy. Oni nie chcą wysłuchiwać krwawych szczegółów. No i chwala im za to.

Dopłynęliśmy już do długiego betonowego molo, które chroniło port przed falą. Uderzył w nie długi grzywacz, rozpryskując się aż na wysokość pomostu, i tocząc się, sunął wzdłuż molo na brzeg.

Rozdział 7

Gdy wpłynęliśmy za molo, falowanie ustało natychmiast i znaleźliśmy się na spokojnej wodzie.

A więc przyjechałem. Zdecydowanie wolałem myśleć o tym, jak przyjemnie spędzić wakacje. Jak przyjemnie wykorzystać część tych wszystkich pieniędzy, które Tarkoff na mnie wydawał.

Przystań dla łodzi znajdowała się kilkaset jardów przed nami. Sonny Duval zdławił nieco przepustnicę i uśmiechnął się do mnie szeroko. Nadal chciał, żebym wprowadził jego łódź do portu. Pomachał ręką, zapraszając mnie na rufę.

Nie śpieszyłem się; najpierw obejrzałem sobie port. W biały dzień wyglądał uroczo. Do tej pory widziałem go tylko nocą. Jaskrawo pomalowane kalki kołysały się na cumach. Dwa rzędy drzew zacięniały tarasy kawiarenek nad murem. Przez szczeliny w jego zwieńczonym blankami szczytce wyzierały krótkowzrocznie starodawne, bezużyteczne działa. Nad witrynami sklepów i kafejkami rozpostarto markizy. Odnosiło się wrażenie, że wszystko wypala się w nieruchomym, czystym słońcu. Wstałem i przeszedłem na rufę.

- Chyba się nie denerwujesz, co? - zapytał Sonny.

- A powinienem?

- Masz - rzucił z uśmiechem i przekazał mi ster.

Czyżby sprawdzał moją zimną krew? Próbował mnie zdenerwować, żebym sknocił manewr? No to mnie nie znał. Prędzej bym mu rozwalił łódź i zabił nas obu. Ciekawe jednak, czyżby wcale nie zależało mu na łodzi? Może był na to zbyt bogaty? Odszedł kawałek, ale niedaleko.

Przystań zajmowała sztucznie utworzoną zatoczkę, okoloną skałami tworzącymi z obu stron lekkie zwężenie. Wpłynąłem tam.

- Widzisz to wolne miejsce? O, tam? Dwadzieścia pięć jardów przed nim rzuć kotwicę. Potem chwyć linę kotwiczną i popuszczaj ją, jak będziesz dopływał.

Skinąłem głową.

- Tak samo robiłem na Karaibach. - W ustach poczułem wojowniczy smak agresji. Może podskoczył mi poziom adrenaliny? Musiał wiedzieć, że wyszedłem z wprawy.

Tak czy owak, chciałem spróbować, więc nagle podniosłem na niego wzrok znad rumpla i błysnąłem moim szczerozłotym, krwiożerczym uśmiechem numer jeden. Tym, który zwykle zatrzymywałem na lepszą okazję i stosowałem wobec wahających się,

niezdecydowanych klientów, widząc, że mogę dzięki niemu wygrać zaliczkę. Jeżeli Sonny myślał, że wycofam się w ostatniej chwili, to się przeliczył.

Było to łatwe, jeśli się nie traciło opanowania. Nawet pomimo braku wprawy, nie miałem najmniejszych kłopotów. Przepustnica wyglądała na skomplikowany twór amatorskiej roboty, ale działała znakomicie. Do regulacji służyła nakrętka motylkowa z długim ramieniem, osadzona na długim, zakończonym śrubą pręcie. Dokręcało się ją, by zwiększyć obroty, i odkręcało, by zwolnić. W ten sposób trudno wprawdzie wyłączyć silnik w jednej chwili, ale to mi nie było potrzebne. Po prostu przez cały czas odkręcałem nakrętkę. Kiedy do brzegu pozostało nam dwadzieścia stóp, przestawiłem silnik na jałowy bieg i pozwoliłem łodzi sunąć siłą rozpędu. A gdy jej dziób znalazł się o stopę czy dwie od kamiennego nabrzeża, po prostu zacisnąłem uchwyt na linie kotwicznej. Już wcześniej wyrzuciłem kotwicę. Nie musiałem nawet obkładać liny.

Sonny stał i patrzył na mnie w milczeniu. Potem pobiegł na dziób i przeciągnął cumę dziobową przez wielkie żelazne ucho. Ja obłożyłem linę kotwiczną na pachołku prawej burty. Łódź, nie potraciwszy niczego, stała ułokowana elegancko pomiędzy dwoma kaikami, oddalona od każdego z nich o stopę.

- Bardzo zgrabnie - pochwalił Sonny, wracając na rufę. - Bardzo, bardzo zgrabnie. - Wyraźnie lubił to słowo.

- Za młodu szmuglowałem gorzałę u wybrzeży Florydy - wyjaśniłem.

Stał gapiąc się na mnie.

- Gadanie - rzekł. - Aż taki stary to ty nie jesteś.

Doszedłem do wniosku, że nie jest to mistrz intelektu, ten Sonny. Zirytowałem się. Robił mnie w konia, czy co?

Był najwyżej o pięć lat młodszy ode mnie. Kiedy uśmiechał się i wykrzywiał usta, widać było, ile ma lat, nawet pomimo hipisowskiego stroju, długich włosów, wąsów i wielkiej pacyfy. Uśmiech tworzył pocięte zmarszczkami worki pod jego oczami i koło spojenia szczęk.

- To było bardzo dziwne - powiedziałem. - Pozwolić komuś zupełnie obcemu w ten sposób prowadzić swoją łódź.

Błysnął na mnie oczami. Nie odpowiedział.

Nagle po drugiej stronie portu wysoki, przystojny i opalony młody Grek, stojący w pełnym słońcu na wzniesionej rufówce wielkiego kaika o nazwie „Polaris”, uruchomił olbrzymi klakson, przymocowany do relingu rufowego statku. Niewielka grupka czekała już na wejście na pokład. Kiedy odezwał się czkający klakson, więcej ludzi nadciągnęło z

zacienionych drzewami tarasów. Nad kładką znajdowała się tablica z wymalowanym po angielsku napisem: PIKNIK-PLYWANIE-OBIAD. WYCIECZKI DO GLAUROS, PETKOS ITD. Wyglądało na to, że hałasowanie sprawia Grekowi przyjemność. Nagi od pasa w górę, w dzinsach, z bakami i bosa, wydawał się czysty, zdrowy i pełen wdzięku. Patrząc na niego, znów przypomniałem sobie, ile mam lat. Sonny krzyknął coś, na co Grek uśmiechnął się i pomachał ręką w odpowiedzi, ale nie przestał trąbić. Czkanie klaksonu roztrzaskało spokojną, słoneczną atmosferę portu niczym olbrzymie szklane tafle.

- Widzisz tego gościa? To nasz miejscowy dostawca - odezwał się Sonny koło mnie, kiedy klakson ucichł i znowu mogliśmy się słyszeć. Wykonał gest, jakby palił skręta z trawą.
- To Girgis. Miejscowy gwiazdor. Posuwa wyłącznie angielskie i amerykańskie turystki, zawsze blondynki. Girgis jest nie tylko kapitanem „Polarisa”. Ma też wiele do powiedzenia w zupełnie innej branży.

Powtórzył gest palenia skręta. Zaczynałem rozumieć, o co mu chodzi.

- Wygląda zdrowo, no nie? - powiedział Sonny z czymś w rodzaju gorzkiej rozkoszy.
- Jest zdrowy jak syfilityk. - Pokiwał głową. - Przyjrzyj mu się. Girgis naciska swój klakson. Girgis chce tam mieć swoich klientów. Ale nie wypłynie jeszcze przez dobrą godzinę. Klienci będą tam siedzieć. Girgis myśli o wszystkim. - Wyszczrzył zęby.

Wdrapaliśmy się na kamienne nabrzeże. Na molo natychmiast wchłonął nas ożywiony tłum. Turyści i hipisi krążyli tam i siam, kupując owoce i warzywa z małych, podobnych do naszego kaików, które przywoziły towar do miasta. Do portu zawinął jeden z promów po ładunek; kilku miejscowych przenosiło z molo na statek skrzynie melonów, wielkich pomidorów i jakichś zielonych jarzyn. Dokładnie naprzeciwko nas znajdował się szpetny budynek z napisem: BANK.

- Muszę otworzyć sobie konto - powiedziałem. - Gdzie mam cię szukać?

Sonny pokazał palcem.

- Na górze, w którejś z kafejek. Mam tu paru przyjaciół, z którymi chcę się spotkać.

Kasjer w banku badał mnie zimnym, czujnym spojrzeniem spoza okularów bez oprawki, typowym dla wszystkich lojalnych urzędników bankowych, którzy uwielbiają bronić pieniędzy swych szefów przed zakusami onieśmiałych ludzi pracy. Spojrzałem na niego równie twardym wzrokiem i przerwałem mu, kiedy zaczął mi wstawiać gadkę o obowiązujących przepisach. Cholera, myślałby kto, że to jego pieniądze! Kiedy wychodziłem kilka minut później, coś sprawiło, że stanąłem jak wryty. Cofnąłem się w cień bramy banku.

Na nabrzeżu, dokładnie na wprost mnie, Jane Duval z dzieckiem schodziła po kamiennych schodkach na niewielki pomost dla pasażerów. Dziewczynka miała trudności z

pokonaniem wysokich stopni. Wsiadły na statek, który - jak głosił napis - dowoził ludzi na małe lotnisko na kontynencie, skąd rano odlatywał samolot do Aten. Stałem w bramie, podczas gdy statek zawracał i odpływał. Wyglądało na to, że lokalna intryga w Filli Georginy Taylor mocno się komplikuje.

Wyszedłem z powrotem na słońce. Ostatecznie, nie moja sprawa. W porcie roіło się od hipisów. Ruszyłem po kocich łbach drogą wiodącą pod górę do zacienionych kawiarenek. Trudno było o stolik. Kiedy wreszcie usiadłem, dostrzegłem, jak Georgina Taylor wstaje po drugiej stronie tarasu, woła coś do mnie i zaprasza gestem.

Był z nią Sonny Duval i cała masa młodzieży. Wśród nich troje szczególnie rzuciło się w oczy: wysoki, chudy młodzieniec w bardzo grubych okularach i z krótko ostrzyżonymi włosami, Adonis o sennym, znarkotyzowanym spojrzeniu i jasnej lwiej grzywie oraz jeszcze jedna posepna dziewczyna w jeszcze jednej bezkształtnej sukience, całkiem jak Jane Duval. Wyglądało na to, że są razem. Wszyscy troje gapili się na mnie, kiedy machałem do Georginy i przecząco kręciłem głową.

Nie miałem ochoty rozprawiać o filozofii małolatów. Przez chwilę zastanawiałem się, czy Sonny wie, że jego żona właśnie daje dyla. Ale raczej nie wiedział.

Zamówiłem kawę i spytałem kelnera o toaletę. Okazało się, że jest nią cuchnąca buda w wąskiej alejce na tyłach kafejki, przylegająca do jej tylnej ściany, zaopatrzona w zbite z desek, nie domykające się drzwi. Zapach przywodził na myśl zakłady chemiczne firmy Dow. Wychodząc, usłyszałem czyjeś głosy i kobiecy płacz. Zatrzymałem się.

W alejce jakaś amerykańska hipiska molestowała Girgisa, chcąc kupić haszysz na kredyt. Dziewczyna chlipała. Girgis dobrze mówił po angielsku. Ale był dla niej szorstki i nieprzyjemny. Stałem i słuchołem. Nie podobało mi się to. Kiedy odeszła, zapłakana, Girgis zdał sobie sprawę z mojej obecności.

- Nieźle obtańcowałeś tę małą, co? - odezwałem się. - Za trochę haszu?

Obrzucił mnie wzrokiem. Poruszał się jak konkursowy kogut. Z rozkoszą bym mu przyłożył.

- To jej chłopak ją wysłał, bo sam nie miał odwagi przyjść - odrzekł uprzejmie. - I wcale nie chcieli ode mnie haszu, jak szanowny pan raczy sądzić, ale wynając mój statek, „Polaris”, na coś, co nazywają piknikiem. Który jednak zwykle kończy się orgią. Nie znoszę hipisów, a oni lubią mnie dokładnie tak samo.

- Czy na tej wyspie trzeba mieć zezwolenie na sprzedaż haszyszu, czy też każdy może go sprzedawać? - zapytałem.

- Sprzedaż haszyszu jest sprzeczna z prawem i właśnie dlatego nigdy bym się za to nie brał.

- Ale ja mógłbym go sprzedawać. Gdybym chciał, gdybym przywiózł trochę ze sobą?
- rzekłem.

Pokazał zęby w uśmiechu.

- Policjanci tu są twardzi. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jeżeli się ich nie zna.

- Nie wątpię, że lepiej ich znać - przyznałem.

Wyglądał groźnie, z tym uśmiechem. Wobec tego i ja się uśmiechnąłem i na jego użytek wypiąłem pierś. Zbliżył się do mnie.

- Pan tu jest nowy - powiedział. - Nigdy pana nie widziałem w okolicach Tsatsos.

- Dopiero co przyjechałem. Na wakacje. Ale poza tym nie ma we mnie nic nowego.

Tym razem przyjrzał mi się bardziej fachowo.

- Zamieszkał pan u Georginy Taylor.

- Właśnie.

Był wyższy nawet od Sonny'ego Duvala, więc nie da się ukryć, że górował nade mną. Ale z miejsca, gdzie stałem, mogłem go ślicznie zaprawić w brzuch lewym sierpowym. Wyszczrzył do mnie zęby, lecz nie mógłbym z ręką na sercu nazwać tego uśmiechem.

- W Atenach krążą pogłoski, że w okolicy kręci się jakiś nowy amerykański agent od narkotyków. Który może nam złożyć wizytę na Tsatsos.

- Nie może być.

- My tu jesteśmy mali. I dlatego trzymamy się razem. Nie lubimy obcych, chyba że to turyści, którzy przyjechali wydać pieniądze. Bywało, że ludzie znikali i wszelki śluch po nich ginął. Morze wokół nas jest duże. Na pańskim miejscu nawet bym nie kończył wakacji. Zabrałbym się stąd i wrócił wprost do Aten, panie...?

- Davies - powiedziałem. - No proszę, czy mi się zdaje, czy mi grozisz?

- Nie grożę - rzekł Girgis. - Ja tylko radzę. - Cofnął się o krok i znowu wyszczrzył zęby. Po czym odszedł, jak zawsze pełen wdzięku. Na tyłach kawiarni znajdowało się wielkie, puste i suche pole, które nazwali parkiem. Skierował się tam.

U wylotu alejki ujrzałem Sonny'ego Duvala, który stał, najwyraźniej gotów przyjść mi z pomocą w razie bójki. Zacząłem nabierać do niego sympatii.

- To twardy facet - odezwał się Sonny.

- Jasne. Oni wszyscy są tacy - odrzekłem. Zacząłem tracić do niego sympatię. Nasłuchiwałem się tego dosadnego określenia mężczyzn ile wlezie. Zazwyczaj odpowiadało

prawdzie. W każdym razie lepiej było w to wierzyć. Tak było bezpieczniej, niż sądzić, że samemu jest się twardszym. - Chodź, Sonny, napij się ze mną - zaproponowałem.

- Nie mogę. Muszę wracać na przystań jachtów, sprawdzić, czy u Jane wszystko w porządku.

Spojrzałem na niego. Nie wspomniałem mu, że widziałem Jane. Wyglądało na to, że o niczym nie wie.

Zamówiłem whisky i usiadłem z powrotem. Sonny wytłumaczył mi, jak dostać się do domu Chantal von Anders, wskazał ulicę, którą powinienem wejść na wzgórze, i odszedł.

Obracałem w palcach zimną szklankę i spoglądałem za nim, w zamyśleniu wydymając wargi. Mam taki nawyk. Robię tak, kiedy myślę, a rezultaty tego myślenia nie są ani specjalnie owocne, ani wesołe. Zwykle robię tak tylko wtedy, gdy jestem sam.

Rozdział 8

Siedziałem obserwując smażący się port. Patrząc z cienia, blask pełnego słońca był nieprzyjemny, porażał siatkówkę oka. Ta wyspa miała w sobie coś dziwnego, coś, czego nie potrafiłem określić. Nie podobało mi się to. Zapłaciłem młodemu kelnerowi o niezdrowej cerze i wyszedłem.

Za portem miasteczko wznosiło się stromo. Ruszyłem pod górę wąskimi, brukowanymi uliczkami, biegnącymi pośród murów. Za ledwie wyszedłem poza dzielnicę handlową, liczba hipisów wyraźnie zmalała. Pałace słońce waliło się na białe domy i mury i opierało się o mnie ciężko. Panował spokój. Zza murów niektórych ogrodów wystawały gałęzie, lecz większość z nich sprawiała wrażenie tak suchych i łatwopalnych, jak gdyby mogły się zająć od muśnięcia papierosa.

Dom von Anders znajdował się niemal na samym szczycie miasteczka. Cóż to był za dom! Wyglądał na ocalałą z dawnych czasów warownię, z której herszt zbójców organizował wypadki, by zmusić mniejszego kalibru łotrów do płacenia haraczu, ci zaś nie mogli nic na to poradzić, bo zawsze mógł ich znowu najechać, a oni nie mieli się do niego jak dobrać.

Domostwo miało wiekowe sale o ścianach z grubego kamienia, zakończone ostrołukami drzwi i łukowato sklepione sufity, stary, zwieńczony blankami mur biegnący od głównego budynku do niskiej wieży w ogrodzie, jednopoziomowy kamienny taras, wypielęgnowany dwupoziomowy ogród oraz kilka starych, od dawna nie używanych studni. Stanowczo nie był to dom dziewczyny bez grosza.

Za bramę ogrodową wpuściła mnie niewiarygodnie gruba, ponura Greczynka, na oko dwudziestoczteroletnia. Ruszała się jak kaczka. Komplet gości był już w komplecie. Siedzieli na kamiennym tarasie, pod zarośniętą winem pergolą, i popijali „krwawą Mary”. Uznałem, że trochę soku pomidorowego na wierzchu whisky nie powinno mi zaszkodzić.

W salonie, całym z kamienia, wisiał portret von Anders z lat młodości, oświetlony najwyraźniej nie wygaszanym światłem. Mrok panujący w tym salonie o małych okienkach niemal prosił się o wieczną lampkę, ale tylko niemal. Jeżeli tak wyglądała za młodu, to była naprawdę wspaniała. Widocznie wiele to dla niej znaczyło.

- Mam nadzieję, że przeżyje pan jakoś ten obiad - szepnęła przy powitaniu. Mając za sobą dwie mocne „krwawe Mary”, była milusia.

Obiad był jeszcze gorszy niż przewidywałem. Główny temat stanowili hipisi i narkotyki. Cztery starsze panie były podobne jak krople wody. Miałem kłopoty z

odróżnieniem jednej od drugiej. Fakt, że wszystkie myślały dokładnie tak samo, wcale nie ułatwiał zadania. Starszego gościa łatwiej było rozpoznać, ponieważ miał krótkie włosy, choć i na tym polu jedna z pań niemal mu dorównywała. Był to emeryt z amerykańskiego korpusu dyplomatycznego. Wszyscy tytułowali go ambasadorem, ponieważ był nim swego czasu. Ambasador Pierson. Starszy nerwowy jegomość, który prawie się nie odzywał. Gdyby nie był ambasadorem, założyłbym się, że to jakiś ćpun.

- To nie włóczędzy, lecz narkotyki, które ze sobą przywożą, są straszne - podsumowała jedna z pań.

- Bezwzględnie - przytaknął ambasador.

- Narkotyki? - wtrąciłem. - Czy haszysz?

- Haszysz! - powtórzyła dama. - Czyż to nie narkotyk?

Postanowiłem nie dyskutować z nią na ten temat. Znałem z milion ludzi, którzy nie uważali już haszyszu i trawy za poważne narkotyki. Niemal wszyscy moi znajomi w Nowym Jorku palili i jedno, i drugie.

Zamilkłem, nadstawiłem uszu i dowiedziałem się, że hipisi zlatują się już trzeci rok. Jak wędrowne ptaki. Do tej pory nie było problemu z haszyszem. A teraz wszyscy młodzi mieli do niego swobodny dostęp. Większość pań miała nastoletnie dzieci lub wnuki, które przyjeżdżały na lato. Starszym nie podobał się wpływ hipisów. Tracili wszelką kontrolę nad młodymi. Co roku było z tym gorzej, i tak dalej, i tak dalej. Czułem się jak ryba, którą właśnie wyciągnięto z wody i porzucono trzepoczącą się na brzegu, choć jedyną jej winą było to, że chwyciła robaka, spełniła swoje powołanie. Nie miałem pojęcia, gdzie ci ludzie spędzili ostatnie kilka lat. Ale ich zatroskanie było autentyczne.

Potem, kiedy już wszyscy wyszli, von Anders zabrała mnie na spacer na wzgórze, do ruin starej świątyni. Uroczy zakątek, panowała tam kamienna cisza. Był to jeszcze jeden z tych terenów, na których znajdowała się niegdyś świątynia pogańska. Ale tutaj nawet późniejszej kaplicy chrześcijańskiej pozwolono zapaść się w trawę i w ziemię.

Wyglądało na to, że hrabina jest mną oczarowana.

- Był pan nie z tej ziemi. Freddy Tarkoff mówił mi, że pan jest mężczyzną zupełnie innego kalibru. Ale nie sądziłam, że aż do tego stopnia.

- Czy nie odegrałem dobrze swojej roli?

- Aż za dobrze. Był pan taki uprzejmy. - Nagle zachichotała. - Zachowywał się pan jak wielki czarny niedźwiedź w przedszkolu. Miałam wrażenie, że gdyby się pan zapomniał i odetchnął głębiej, toby ich pan wszystkich zdmuchnął. Razem ze stołem i zastawą.

- Lekkie obiadki ze starszymi paniami nie są moją najmocniejszą stroną.

- Z całą pewnością nie.
- I to panią tak we mnie podnieca?
- No cóż, w każdym razie bardzo to męskie.

No cóż, w każdym razie ona była bardzo kobieca. Jej zachęta nie miała w sobie nic natrętnego. Jeżeli to była zachęta. Ale jej oczy pały głębokim flirciarskim żarem. Co więcej, mówiąc o Tarkoffie, dawała do zrozumienia - tonem, jakim wypowiadała jego nazwisko - że łączą ją z nim stosunki dużo bliższe niż tylko czysto przyjacielskie. Kobiety nieczęsto się z czymś takim zdradzają.

Skierowałem rozmowę na powody, dla których się tu znalazłem.

- A co z tą tajemnicą, tak głęboką i mroczną, że nie może pani o niej mówić przy mojej gospodynie?

- Mówiłam już. Jestem szantażowana.
- Na dużą sumę?
- Bardzo dużą. Aż nadto.

- Tak - mruknąłem. - No więc powiem pani to i owo na temat szantażu. Szantaż to zawsze parszywy interes. Dlatego, że osoba szantażowana zawsze zrobiła coś złego. Coś sprzecznego z prawem albo coś, o czym ludzie nie powinni wiedzieć. Inaczej szantażysta nie miałby nic do roboty. Prawda?

Była wyraźnie zakłopotana.

Powiedziałem to za nią.

- Czy chce mi pani zdradzić, co takiego pani zrobiła? Może jednak lepiej nic mi nie mówić?

- Chcę panu powiedzieć o wszystkim.

Ale widać było, że się waha. Nie odzywałem się.

- Kupowałam haszysz - wyznała wreszcie. - W miasteczku jest taki jeden człowiek, nazywa się Girgis.

- Już go poznałem.

- Szybko pan działa. Tak jak mówił Freddy. No więc to on sprzedawał mi haszysz, a teraz grozi, że wszystko rozpowie. Płacę mu, żeby milczał.

Czekałem.

- To już wszystko?
- Jeszcze panu mało?
- Nie brzmi to zbyt groźnie.

- Pan nic nie rozumie. Widział pan tych ludzi przy stole. Co by było, gdyby się o tym dowiedzieli? Ci ludzie, i inni podobni do nich, to całe moje towarzystwo na tej wyspie.

- Hrabino, jeżeli ci ludzie są pani całym towarzystwem, to rzeczywiście jest pani w poważnych kłopotach. Pal licha szantaż.

Patrzyła na mnie w milczeniu.

- Kobieta o pani urodzie - dorzuciłem.

Zarumieniła się. Ale opanowała się natychmiast.

- To nie jest temat do żartów. Chcę pana wynająć. Chcę, żeby pan coś zrobił z tym człowiekiem.

- Jest pani pewna, że to już wszystko?

Nie zagryzła wargi, choć wyraźnie miała na to ochotę.

- Tak, to wszystko.

Teraz już nie miałem wątpliwości, że kłamię. Nachyliłem się ku niej i ująłem ją za rękę.

- Hrabino, moja zaliczka wynosi tysiąc pięćset dolarów. Nie sądzę, żeby chciała mi pani tyle zapłacić. Poza tym jestem tu na wakacjach. Nie przyjechałem do pracy. W dodatku detektyw prywatny nigdy, ale to nigdy nie bierze pieniędzy od drogich, bliskich przyjaciół. Proponuję, żeby pani zwyczajnie przestała płacić temu Girgisowi. Jeżeli tylko o to chodzi. Ja się rozejrzę. Obiecuję, że nic złego się pani nie stanie z tego powodu. Zgoda? - Uśmiechnąłem się szeroko.

- Cały nędzny mężczyzna - skwitowała. Miałem wyraźne wrażenie, że nadal pozwoli trzymać się za rękę. - Proszę nie tytułować mnie hrabiną. Niech mi pan mówi Chantal - powiedziała słabym głosem. Doszedłem do wniosku, że to jedyny sygnał, na jaki sobie pozwoli. Miałem jednak wyraźne wrażenie, że być może pozwoli się nawet pocałować. Puściłem jej dłoń.

W oddali widać było budowę, gdzie zainstalowali się hipisi. Obejrzałem ją sobie dobrze płynąc promem. Ale stąd roztaczał się na nią wspaniały widok. Porzucony rządowy plan budowlany, zainicjowany przez państwo na apartamenty wakacyjne dla pracowników administracji państwowej, tak przynajmniej mówiono podczas obiadu.

- A więc to tam osławieni hipisi obrali sobie siedzibę? - powiedziałem.

- Tam? Tak. Wygląda na to, że się tu zjeżdżają. To tak, jak z tymi jaskiniami w innych częściach Grecji. Dowiadują się o nich i przybywają. To zmienia całą wyspę. Właśnie im Girgis sprzedaje haszysz.

- A skąd brałaś hasz przed hipisami?

- Och... - Wydawała się wzburzona. - Od Girgisa. Ale wtedy to nie był duży interes. Raczej... raczej przysługa, że tak się wyrażę.

- Rozumiem. - Splotłem ramiona na piersi i dalej patrzyłem na budowę.

- Jaka jest twoja stawka, Lobo? - Jej głos zmienił się nieco przy moim imieniu.

- Sto pięćdziesiąt dolarów dziennie plus wydatki - odparłem nie przesuwając wzroku.

Rozplotłem ramiona i uśmiechnąłem się. - Lepiej wracajmy.

- Tak. Ja... ja nadal chcę cię wynająć. Ale nie jestem w stanie tyle zapłacić.

- O to się nie martw. - Tak łatwo mogłem zacytować to oklepane powiedzonko o oddawaniu w naturze. Omal tego nie zrobiłem. - I nie daj się zastraszyć takim drobiazgiem. - Posłałem jej kpiarskie spojrzenie.

- Załatwiłam ci zaproszenie na kolację u jednego z tutejszych letników, pójdziemy razem - powiedziała Chantal. - Spotkamy się przed tawerną koło twojego domu o ósmej.

Byliśmy już prawie przed jej domem.

Samotnie zszedłem ze wzgórza, gwiżdżąc pod nosem złowieszczy motyw. Prawdopodobnie była w coś zamieszana. W co człowiek może być zamieszany, mieszkając w takim wakacyjnym rajku na greckiej wyspie?

Zdziwiłem się trochę faktem, że - jak twierdziła - nie jest mi w stanie zapłacić mojego normalnego honorarium. Kobietę mieszkającą w tak fantastycznym domu i żyjącą na takiej stopie z pewnością powinno być stać na moje wynagrodzenie. Na ile poważne było to coś, w co się wplątała? No cóż, obiecałem jej, że się tym zajmę.

W mojej wynajętej kwaterze, w której tłukłem się jak Marek po piekle, kolejny akt dramatu Taylor-Duval rozgrywał się na oczach licznie zebranej widowni. Gromada hipów, których widziałem rano w miasteczku, siedziała na podwórzu Georginy. Sonny był na swoim wielkim kaiku, a Georgina krzyczała do niego z wału. Skinąłem jej głową, wszedłem wprost do domu i nalałem sobie jednego głębszego. Przygotowałem się, by oglądać przedstawienie z werandy.

Poniżej, na przystani, Sonny zbiegł po drabince z kaika, ze złością wskoczył do motorówki i z rykiem silnika wystartował na brzeg. Tam rzucił się pędem do jednej z budek telefonicznych. Georgina wróciła z wału i weszła za mną do domu.

- Jane pojechała za Conem do Aten - powiedziała z lekką histerią w głosie, nim zdążyłem zaproponować jej kielicha.

- Naprawdę? - mruknąłem. - Może szklaneczkę?

- Tak. Pojechała. Nie chcę pić. Poleciała dzisiaj, rannym samolotem.

- A Con w związku z tym zadzwonił do ciebie? - spytałem cicho.

- Sonny próbuje dodzwonić się do hotelu w Atenach, gdzie zwykle zatrzymuje się z Jane. On po prostu musi coś z tym zrobić. Inaczej ja zrobię coś drastycznego.

Była wściekła. Nie wiedziałem, jak wygląda „coś drastycznego” w jej wykonaniu. Była zbyt wiotka, żeby komukolwiek wyrządzić krzywdę, chyba że śpiącemu.

- Chodź - powiedziała nagle. - Chcę, żebyś poznał kilku naszych przyjaciół.

- Mówisz o tych parchatych hipisach na podwórzu? Dzięki, wolę nie.

- Jesteś reakcjonistą. - Nie był to temat do dyskusji. Było to stwierdzenie. - I nie nazywaj ich hipisami. Oni nie znoszą, jak się ich tak nazywa.

- A jak chcą, żeby ich nazywać? W tym roku? Coraz trudniej przychodzi im wymyślać dla siebie nowe nazwy.

Zaskoczyłem ją na chwilę.

- Młodzi ludzie, oto czym są, i właśnie tak należy się do nich zwracać. Postaraj się to zapamiętać. Kłopot z tobą polega na tym, że jesteś za stary i zgorzkniały.

- Postaram się to zapamiętać, Georgino - rzekłem.

Przez chwilę gapiła się na mnie, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Jesteś cyniczny. Ci młodzi ludzie są ostatnią nadzieją tego okropnego świata.

- Mój Boże, oby nie!

- Och, zamknij się. - Teraz już naprawdę się śmiała. Wyrwałem ją z ciężkiej chandry. No i co z tego? Za piętnaście minut wpadnie w następną. Dla takich jak ona to typowe. - Zamknij się wreszcie i chodź ze mną - poleciła.

- Jak sobie życzysz, Georgino - zgodziłem się. - Nie cieszysz się, że masz mnie pod ręką i możesz na mnie wrzeszczeć pod nieobecność Cona?

- Och, jesteś niemożliwy.

Wyszedłem za nią na dwór.

Rozdział 9

Przypuszczam, że chciałem z nią pójść, bo inaczej by mnie nie zmusiła. Ale i tak wyszedł z tego niezły cyrk. Na podwórzu zgromadziła się siedmio - czy ośmioosobowa paczka. Wszyscy zachowywali się tak, jak gdyby u Georginy czuli się jak u siebie w domu. Trudno było nauczyć się naraz tylu nowych imion, lecz zwróciłem uwagę na trójkę, która rano w kawiarni tak rzucała się w oczy. Chudy krótkowidz nazywał się Chuck, jasnowłosy Adonis - Steve, a superpocząta, na oko niezgrabna dziewczyna w workowatej sukience - Diane. Całe towarzystwo częstowało się nawzajem skrętami i raczyło bez umiaru miejscowym białym, zaprawianym żywicą winem ze zdawałoby się niewyczerpanych zapasów Georginy. Biedna Georgina miotała się niespokojnie po podwórzu, usługując im. Słuchali muzyki z jej gramofonu, który wyniosła dla nich na dwór.

Wyraźnie zeszywnieli, kiedy im się przedstawiałem. Ale najgorsza była Diane. Nie kryła, że żywi do mnie jawną, zagorzałą niechęć. Prawdopodobnie uważała mnie za jakiegoś purytanina. Wpatrywała się wzrokiem niewolnicy w swoich dwóch mężczyzn, Steve'a i Chucka, a potem spoglądała na mnie, jak gdyby z zachętą, żebym ją potępił.

Czterdziestolatek Sonny sapiąc przytruchtał z tawerny z wieściami dla Georginy. Dodzwonił się do hotelu i rzeczywiście, Jane się tam zatrzymała. Ale wyszła.

- A teraz daj mi święty spokój, dobrze? - zakończył i usiadł wśród hipisów, jak gdyby był jednym z nich. Powitał go chórek różnych „Hej, człowieku!”, „Się masz, człowieku!”, „Znalazłeś swoją babkę, człowieku?”. W porównaniu z tym, jak mnie potraktowali, kontrast był uderzający.

Zjeżyło mnie trochę to ich wojownicze nastawienie, więc kiedy puszczonej w kółko skręt dotarł do mnie, umyślnie odchyliłem się do tyłu i potrząsnąłem głową. Między hipami nastąpiła wymiana pełnych wyższości spojrzeń. Przybrałem głupkowaty wyraz twarzy i po chwili zapytałem:

- Czy wy jesteście tak zwani hipisi?

Nastąpiło ogólne zeszywnienie. Georgina spojrzała na mnie ostrzegawczo.

- Niektórzy tak na nas mówią - odparł nerwowo Chuck, krótkowidz. - My tak siebie nie nazywamy.

- Rozumiem. A jak siebie nazywacie?

- Działki Boga - wtrącił się Adonis, Steve. - My siebie nazywamy Działkami Boga. - Miał mętne niebieskie oczy, sprawiające wrażenie, jakby nic nie widziały. Bardzo zimne oczy.

- Przyjeżdżacie tu co roku? - spytałem.

- My tu mieszkamy! Mieszkamy tu! - krzyknął Chuck, wzburzony. - Mieszkamy tu, człowieku. - Zaczął strzelać palcami. Po niepewnych spojrzeniach zorientowałem się, że strzelanie palcami jest swoistym barometrem wzburzenia Chucka.

- Spokojnie - przestrzegł go Steve. - Jestem właścicielem baru - zwrócił się do mnie.

- Jakiego baru?

Wszyscy byli zaskoczeni, jak gdyby każdy powinien to wiedzieć.

- „Cloud 79”, tam na wzgórzu - wtrąciła pośpiesznie Georgina. - To nowy bar, największy na wyspie. - Teraz już zasypywała mnie gradem spojrzeń niczym kulami z karabinu maszynowego.

- I ty jesteś jego właścicielem? - zapytałem. - Myślałem, że tutaj nie można posiadać nieruchomości, jeżeli nie jest się Grekiem?

Steve zamrugał.

- No... tak, ale mam greckiego wspólnika - wyjaśnił.

- A dużo palicie tego haszyszu?

- Owszem, dużo - odparł. - Bardzo dużo. I niech nam pan nie mówi, że to nielegalne. Sami o tym wiemy.

- I dostajecie go od tego całego Girgisa?

- No, niezupełnie. W każdym razie nie tylko. To płotka. Pracuje dla Syndykatu.

- Jakiego znów Syndykatu?

- Taka paczka Greków - rzekł Steve i wzruszył ramionami. - Skąd mam wiedzieć? Dość, że ja też mam swoją paczkę. Przywożę hasz ze sobą.

- A gdzie się zaopatrujesz?

- Tu i tam - odparł tajemniczo.

- W Atenach?

- Zawsze można to zorganizować, jeśli się zna odpowiednich ludzi - oświadczył Steve z uśmiechem.

Inni obserwowali go i teraz też się uśmiechnęli. Ich poczucie wyższości nawet świętego doprowadziłoby do szału. Było chyba jeszcze gorsze niż to samo u burżuazji, której tak nienawidzili.

- I to dopiero jest interes jak się patrzy - powiedziałem. - Czy to siano jest coś warte? Hej, daj no mi to. - Wziąłem najbliższego skręta od kogoś, kto akurat palił, i zaciągnąłem się długo i głęboko, wciągając dym i zatrzymując go w płucach, kiedy mówiłem. - Tak, to dobry gatunek. Dobre siano. To twoje? Czy od Girgisa?

- No, ten jest od Girgisa - przyznał Steve. - Z zapasów Georginy.

- A więc nie dość, że pijecie jej wino, to jeszcze palicie jej hasz? - Sztachnąłem się szybko kilka razy i przekazałem papierosa, a raczej to, co z niego zostało, następnej osobie. Potem klepnąłem się w kolana i wstałem. - Miło było z wami pogawędzić. Bardzo z was mili ludzie. To widać. No to na razie.

Obok mnie chudy Chuck wybuchnął nagle cichym, lecz przenikliwym krzykiem:

- W naszej społeczności nie będzie żadnych psów, człowieku. Żadnych psów! Nie trzeba nam takich w naszej społeczności. Dotarło? Żadnych psów!

- Ty też jesteś miły - powiedziałem. - Na razie. - Na ścieżce odwróciłem się. U podstawy czaszki czułem leciutki, nieznacznym szmerek od haszu. - Nie jestem psem - rzekłem. - Prędzej moglibyście mnie nazwać wilkiem. Albo wilkołakiem. - Nagle, po prostu dlatego, że mi się tak zachciało, odchyliłem głowę i wydałem z siebie wilcze wycie - długi, przewlekły, wibrujący krzyk górskiego wilka samotnika w zimową górską noc przy księżycu. Jako chłopiec nauczyłem się tego od starego trapera z Wyoming. Dźwięk ten miał w sobie tyle energii życiowej, co oni wszyscy razem wzięci, zaskoczył nie tylko dzieciaków; usłyszałem szmerek przechodzący wśród ludzi w tawernie po drugiej stronie pustej parceli. Odwróciłem się i odszedłem.

Później, siedząc na werandzie, ujrzałem, jak Chuck, Steve i Diane wychodzą razem przez bramę i kierują się w stronę tawerny. Poruszali się sztywnym, powolnym krokiem ludzi, którzy się solidnie naćpali. Ciekawość kazała mi zejść na dół i ruszyć za nimi. Na podwórzu jakiś chłopak o wysokim, niezbyt silnym, ale przyjemnym głosie grał na gitarze i śpiewał ballady, najwyraźniej własnego autorstwa.

- Wiesz, kto to jest? - zagadnął mnie bałwochwalczym tonem stojący przy bramie młodzian. - To Jason. Gwiazdor, nagrywa w Paryżu.

Zerknąłem na Jasona w zapadającym zmierzchu i ujrzałem chłopaka o wychudzonej, zaszczutej twarzy i rzadkiej brodzie. Skinąłem głową i ruszyłem dalej.

W tawernie, jeszcze zanim zdążyłem tam dotrzeć, wybuchła kłótnia i bójka. Krótkowzroczny Chuck stał w postawie karateki, pokrzykując. Jego okulary leżały bezpiecznie na stole. Właśnie zmiażdżył nos dużo większemu od siebie chłopakowi, który

brocząc krwią, oszołomiony, z pomocą innych stawał na nogi. Steve i jeszcze jeden chłopak trzymali Chucka, a Diane od tyłu zarzuciła mu rękę na szyję.

- Nikt nie będzie tak gadał do moich przyjaciół! Nikt nie będzie o nich gadał! - darł się Chuck dzikim, wysokim głosem. Steve i inni odciągnęli go gdzieś w ciemność. Wyciągnął jeszcze tylko rękę, porwał okulary ze stołu i wsadził je sobie na nos.

Podeszła do mnie jakaś postać. Sonny. Uśmiechał się przymilnie spod krzaczastych wąsów i brwi.

- Szkoda gadać, dotarłeś do nich tym wilczym wyciem. Gdzieżeś się tego nauczył?

Nie odpowiedziałem.

Sonny skinął głową w kierunku Chucka.

- Jest czymś w rodzaju ochrony osobistej Steve'a. Ale trochę za łatwo się podnieca.

- Trochę. To Steve potrzebuje ochrony?

- Właściwie nie. Oni - Steve i Diane - skądś go wytrzasnęli. Diane go lubi. Przywieźli go tu ze sobą w zeszłym roku.

- Który z nich jest jej kochankiem?

Sonny wyszczerzył zęby.

- Steve? A może Chuck? My już nie myślimy tymi kategoriami. Jesteś staromodny, Davies. Kto wie? Pewnie obaj. Albo żaden. Odkryliśmy, że wyłączność seksualna nie jest taka znowu istotna. Właśnie o to biega, człowieku.

- O to, i o prochy.

- Ty naprawdę jesteś... uhm... prywatnym detektywem?

- Georgina ci tak powiedziała?

Sonny pokiwał głową.

- Bez względu na to, kim jestem, jestem na wakacjach.

Oddaliliśmy się nieco od tawerny i usiedliśmy na wale.

Sonny nie chciał zejść z tematu.

- Nie, my jesteśmy za seksem dla każdego, z każdym. Jeżeli takie jest życzenie uczestników.

- Ja też jestem za tym. Dopóki nie mam żony. A nie mam.

- Podoba ci się moja żona? - zapytał Sonny znienacka. Mówił dziwnym głosem.

- Podoba? Nie wiem. Chyba tak. Prawie jej nie widziałem.

- Musisz ją zrozumieć. Jest młoda. Pytałem dlatego, że ty jej się podobasz. To rzadkość. Zwykle jest odwrotnie. Ona myśli, że jesteś uczuciowy.

- Słuchaj, jeżeli próbujesz namotać coś między mną a twoją żoną, to nic z tego. Zresztą zdaje się, że póki co jest zaabsorbowana kim innym. A ja nie mam czasu.

Potężne szczęki Sonny'ego stwardniały.

- Czyś ty na głowę upadł? My się nie bawimy w takie rzeczy. Georgina nagadała ci chyba jakichś głupot o Jane. Ona nie pojechała do Aten za Conem Taylorem. Pojechała, bo uważała, że jest mu to winna. Błagał ją, żeby przyjechała. Mówił, że jest mu potrzebna. Pojechała, żeby spróbować odtrącić go łagodnie. - Zamilkł, po czym rzekł niejasno, ponuro: - Nikt z nich jej nie rozumie. - Znów zamilkł. - Tak czy inaczej, wynająłem samolot. Na jutro skoro świt. Lecę po nią do Aten.

Pokiwałem głową szorstko. Nie miałem ochoty wysłuchiwać od każdego tych wszystkich zwierzeń.

- To pewnie nielecho kosztuje, te wszystkie samoloty. Często musisz ją ścigać?

- Mam pieniądze - rzekł Sonny nieco żartobliwym tonem. - Nie jestem z tego dumny. Ale pozwala mi to żyć tak, jak mam ochotę, żyć w sposób dotrzymujący kroku przyszłości. - Lekkie, uprzejme wahanie. - Georgina ci nie mówiła?

- Tak. Mówiła. Jesteś milionerem.

- Zgadza się. Ale nie jestem z tego dumny. Tak samo, jak nie jestem dumny z faktu bycia Amerykaninem. Przypadkowo urodziłem się jednym i drugim. Mój stary zrobił szmal na rzeźniach w Chicago, jakby już nie miał na czym.

Uśmiechnąłem się niewesoło.

- Krwawe pieniądze. Ano, krew zmywa się z solidnie wykonanych pieniędzy. Jak niemal wszystko. To też jakaś filozofia.

- Z ciebie jest lepszy filozof.

- Jasne. - Wstałem. - To nic nie kosztuje.

- Słuchaj, pozwól, że coś ci powiem. Utrzymuję się z tego, co zarabiam. Jestem zdania, że trzeba utrzymywać się z tego, co się zarabia. Pijemy najtańsze wino, jemy to, co jedzą miejscowi. Żyjemy z tego, co zarabiam na „Daisy Mae”.

- Może dlatego twoja... „żona” jest taka nieszczęśliwa.

- A kto mówi, że jest nieszczęśliwa?

- Odniosłem takie wrażenie.

- No więc nie jest. Ona wyznaje te same zasady, co ja.

- Ano, mam nadzieję, że znajdziesz swoją dziewczynę. Ona nie jest twoją żoną, prawda? To znaczy, nie macie ślubu?

- My nie uznajemy takich rzeczy.

- No nic, jestem umówiony - powiedziałem. Po chwili dorzuciłem: - Jakie studia kończyłeś?

- Uniwersytet w Chicago.

Pokiwałem głową.

- A Jane?

- Bennington.

- Przenieśliście się na wschód, co?

- Wszyscy się przenoszą na wschód.

- To na razie.

- Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi - rzekł Sonny.

- Czemu nie? - odparłem. - Myślałem, że już jesteśmy... Słuchaj, a co z Łodzią? Co z „Daisy Mae”? Umówiłem się na niej z Chantal von Anders na jutro. A tymczasem ty wyjeżdżasz.

Sonny sięgnął do kieszeni.

- Łap. - Rzucił mi kluczyki. Złapałem je. - W gruncie rzeczy właśnie po to tu przyszedłem. Łódź jest twoja. Płyn sobie, gdzie chcesz. Rób z nią, co tylko chcesz. Potrafisz, co trzeba.

- Dobra - burknąłem. Obejrzałem kluczyki. - I dzięki. - Schowałem je do kieszeni. - Będę na nią uważał. - Pomachałem mu ręką i odszedłem.

Pięć minut później podjechała dorożka z von Anders. Wsiadłem.

Rozdział 10

Kolacja odbywała się u jakiegoś zubożałego duńskiego hrabiego. Von Anders powiedziała mi, że jego rodzina straciła wszystko podczas wojny, kiedy jednak ujrzałem dom, wyszło mi na to, że mamusia hrabiego zachowała to i owo z klejnotów rodzinnych. Dom znajdował się przy jednej z wąskich, otoczonych murami, brukowanych alejek, w pół drogi na szczyt wzgórza. W środku pod wysokimi stropami błyszcząły geometrycznie ułożone płyty. Było to absolutne przeciwieństwo otoczenia hipisów, których zostawiłem w porcie. Inny świat. Czułem się nim znudzony, zanim jeszcze przeszliśmy przez wielkie, nabijane żelaznymi ćwiekami wrota.

Jedliśmy na zewnątrz, na tarasie. Siedziałem między dwiema damami, które desperacko usiłowały znaleźć ze mną jakiś wspólny temat, i dla nich, i dla mnie było to jedno wielkie piekło. Na kawę wróciliśmy pod dach, a cztery grube, kosmate Greczynki zaczęły sprzątać taras. Hrabia wniósł do salonu wielką srebrną tacę, na której znajdowała się okazała ilość haszyszu, fajki z przyborami do czyszczenia i zapałki. To właśnie był gwóźdź wieczoru.

Przedstawiono mi mnóstwo ludzi. Wszyscy nosili sportowe ubrania w jaskrawych kolorach. Był wśród nich wysoki, pewny siebie, siwowłosy jegomość, którego poznałem na obiedzie - ambasador Pierson. Kiedy wniesiono tacę, podszedł do mnie i po raz drugi tego dnia wymieniliśmy uścisk rąk. Z gramofonu dobiegała muzyka rockowa.

- Podobno łączą pana z Freddyem Tarkoffem interesy, mam rację? Jakoś nie dotarło to do mnie podczas obiadu.

- Owszem - przyznałem. Niewątpliwie i tak można było o mnie powiedzieć.

- Tak myślałem. No to witamy na pokładzie. - Roześmiał się ze swego żarciku. - Właśnie się żegnam. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, zanim pan wyjedzie.

- Ja także na to liczę - powiedziałem. Było to kłamstwo w żywe oczy. - Tak wcześniej pan wychodzi, ambasadorze?

- I owszem. Nie popieram tych imprez z haszyszem. Wiem, że podobno to teraz modne, ale dopóki jest to sprzeczne z prawem, uważam, że nie powinienem mieć z tym nic wspólnego. Chodźmy, Lizo.

Jego przystojna żona uśmiechnęła się do mnie i podała mi rękę.

Kilka innych osób także wychodziło. Nie wiedziałem, czy z tego samego powodu. Inna sprawa, że została cała masa ludzi, którzy ochoczo złapali za fajki. Wszystkie te brednie o towarzyskiej niełasce z powodu kupowania haszyszu, którymi von Anders karmiła mnie po

południu, zakrawały na grubą przesadę. Formalnie rzecz biorąc, można by je nazwać kłamstwem. Kiedy hrabia - wielki, mięsisty i nieco napuszony facet - podsunął mi zapaloną fajkę, uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

- Raczej łyknę sobie coś na wzmocnienie.

Podeszła do mnie von Anders, także ze szklanką w ręku i z nienaturalnie błyszczącymi oczyma. Podczas kolacji siedziała przy innym stole i prawie jej nie widziałem. Rzuciłem jej szybkie, badawcze spojrzenie. Zarumieniła się. Świetnie wiedziała, o czym myślę.

- Dobrze się bawisz? - zapytałem tylko.

Stanowczo skinęła głową.

- O tak. Ale jest z tym kłopot. Niektórzy z nas są zdecydowanie przeciwni paleniu haszu.

- Większość z was uważa, że to zabawa na sto dwa.

Znowu skinęła głową.

- Ja też do nich należę.

Rozejrzałem się.

- Takie bardziej hipiaste to towarzystwo. Niedawno rozstałem się z paroma autentykami. - W salonie nie było żywej duszy poniżej czterdziestki, a co dopiero trzydziestki.

Von Anders spojrzała na mnie przeciągle, z namysłem.

- My nie jesteśmy prawdziwymi hipami. I większość z nas zdaje sobie z tego sprawę. Zatańczysz?

Potrząsnąłem głową.

- Nie tańczysz rocka? A mnie pozwolisz?

- Tak.

- Nie bardzo się bawisz, co?

- Fakt. Ale to nieistotne.

- Ale się nie bawisz.

- Bawię się nie gorzej niż inni.

Rozejrzała się.

- Wiesz, że masz rację. Oni wszyscy sprawiają wrażenie przepracowanych, nie sądzisz? Pracują podczas tańca, pracują, żeby nie pokazać po sobie skrepowania. Nawet hasz palą z niepewnością i zażenowaniem. W sumie są trochę śmieszni.

Wybuchnęła śmiechem.

- Co mam zrobić, żebyś zaczął się bawić? Może wyjdziemy gdzieś porozmawiać?

- Jeśli chcesz. - Ale nie ruszyłem się z miejsca. Ona wciąż chciała, żebym zajął się sprawę jej „szantażu”. A ja wiedziałem, że to zrobię. Na przekór samemu sobie. To już było postanowione. Teraz jednak moje stopy wzbriały się przed wykonaniem pierwszego kroku w tym kierunku.

Von Anders spięła się, jak gdyby świadomie dopasowując swój nastrój do mojego. Oparła się plecami o mur koło mnie.

Płyta z muzyką rockową skończyła się i nastawiono jakieś greckie melodie. Utworzono korowód, złożony głównie z pań, i pod przewodnictwem jednej ze starszych kobiet rozpoczęto jeden z tych skomplikowanych greckich tańców. Niektórzy tańczyli całkiem dobrze. Kiedy utwór się skończył, rozległo się gromkie wołanie, by przenieść się do czegoś, co nazywali „tańcząca tawerna” - do lokalu zwanego „U Georgia”. Zatelefonowano po dorożki.

- Trochę to potrwa - odezwała się koło mnie von Anders. - Wyjdźmy na taras.

Na tarasie było przepięknie. Roztaczał się stąd widok na większość położonego niżej miasteczka oraz przystań jachtów. Księżyc był na posterunku. Daleko w dole światelko małej latarni morskiej mrugało z regularnością tętna. Cztery kosmate Greczynki już posprzątały i poza nami nie było tam nikogo.

- Myślałem, że w Grecji te tańce są dozwolone tylko dla mężczyzn - powiedziałem.

- To było dawno temu. Teraz jest inaczej.

- Ruch wyzwolenia kobiet, co?

Roześmiała się.

- Greckich kobiet.

Kiedy usiedliśmy na parapecie, zasypała mnie pytaniami na mój temat.

- Dziwny z ciebie człowiek.

Były to ciekawe pytania. Dopasowywała się do mnie tak, jak tylko doświadczona kobieta to potrafi, kiedy poważnie zagnie parol na jakiegoś mężczyznę, i chociaż jest to łatwe do rozszyfrowania, to jednak całe ciało i gruczoły reagują prawidłowo.

O sobie mówiłem z oporem. Wszystkie te sprawy składały się na część myśli, których próbowałem nie dopuszczać do siebie od chwili wyjazdu z Aten. Stopniowo ujawniłem kilka faktów z mojego życia. Opowiedziałem jej, jak po drugiej wojnie światowej wróciłem do Denver pełen entuzjazmu. Opowiedziałem jej, jak na mocy ustawy o weteranach dostałem się w Denver na prawo i jak rozpocząłem praktykę. Jak zamiast czystego prawa coraz bardziej pociągał mnie zawód detektywa prywatnego, gdyż był bardziej podniecający. Jak przenieśliem

się z Denver do Chicago, chcąc się dorobić klientów, a dorobiłem się żony i córki. Jak przeniosłem się do Nowego Jorku i dorobiłem się drugiej córki. Nie opowiedziałem o moim wspólniku i jego śmierci w Chicago. Nie opowiedziałem o mojej żonie i rozwodzie. Nie opowiedziałem jej o Freddym Tarkoffie i mojej ostatniej robocie dla niego.

- I oto jestem, dwadzieścia lat później. Banalna historia. - Pociągnąłem ze szklanki. - Prawie taka sama, jak każdego mężczyzny w średnim wieku, który wyrasta z szaleństw i optymizmu, i trafia do zawodu niemal przez przypadek. Stwierdza, że jego młodzieńcze marzenia nie wytrzymują pod naporem ciężaru, jaki nakłada na niego życie. Generalnie rzecz biorąc, wydaje się, że ludzi stać na wszystko z wyjątkiem ideałów. Myślę, że pomijając dzieci, ideały są chyba najdroższym luksusem na tym świecie. - Uśmiechając się, czułem skurcz szczęk.

- Uświadamiasz mi, ile mam lat - stwierdziła von Anders. - Staram się o tym nie pamiętać. Nie powinnam była pytać.

- Nie wiem, ile masz lat, ale nie wyglądasz na tyle. - Przerwałem niczym wytrawny aktor. - Przynajmniej nie w tej poświacie księżycy.

Myślałem, że może się uśmiechnie, lecz ona potrząsnęła tylko głową i dalej patrzyła na mnie. Po chwili odezwała się:

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Chcesz powiedzieć, że ci dzisiaj skłamałam.

- Na to wygląda. A nie?

- Mówiłam prawdę - odrzekła z uporem.

- Nie, skoro twierdziłaś, że szantażują cię, ponieważ kupowałeś haszysz. Każdy z tych ludzi sam go trzyma w domu.

- Czy to oznacza, że nie zajmiesz się śledztwem w mojej sprawie?

- Nigdy nie pracuję dla klienta, który nie jest ze mną szczery.

- Jesteś okrutny.

- A ty jesteś ładna. Bardzo ładna. Ale jeśli się czegoś boisz, to nie tego, o czym mi mówiłaś.

- Ja? Ładna? - Spojrzała na siebie z udanym przerażeniem. - Jestem starą kobietą, rozwiedzioną, utrzymującą się z okazałych alimentów, których nie mam zamiaru stracić.

- Ale bardzo ładną.

Ktoś nas zawołał z salonu. Przyjechały dorożki. Wróciliśmy do środka i razem z innymi tłumnie wysypaliśmy się na ulicę. Jakimś cudem, metodą, której nie byłem w stanie rozszyfrować, Chantal udało się załatwić dla nas osobną dorożkę. Teraz już w głębi duszy myślałem o niej jako o Chantal. To zawsze idzie szybko, no nie?

W dorożce, gdy koń puścił się truchtem, a my podskakiwaliśmy, kołysaliśmy się i kiwaliśmy, wsunęła mi dłoń do ręki. Nie protestowałem.

- Byłeś żonaty - powiedziała. - Jesteś nadal?

Potrząsnąłem głową.

- Nie.

- Rozwiedziony?

- Tak.

- Dlaczego?

Nie wiedziałem, czy w ogóle na to odpowiadać.

- Niedopasowanie - wyjaśniłem krótko.

- Seksualne czy społeczne?

Zanim zdążyłem zareagować, uniosła dłoń i rzuciła:

- Nie odpowiadaj. - Jej ręka, jakby przypadkowo, musnęła mój policzek; przez sekundę. - Pytanie było nieuczciwe.

- Wolałbym o tym nie mówić.

- To świeża sprawa? - Odpowiedziała sobie sama: - Świeża. Freddy Tarkoff mi mówił.

- Przerwa. - Stąd wiedziałam. No i widzisz? Znowu ci skłamałam. - Kolejna przerwa. - Jesteś naprawdę nie z tej ziemi. - Nachyliła się i cmoknęła mnie lekko w policzek.

Nie odwzajemniłem pocałunku. Była zbyt bliska prawdy, żebym mógł się czuć swobodnie, bez względu na to, czy Freddy opowiadał jej o mnie, czy nie. Dorożka zajeżdżała już przed wejście do „tańczącej tawerny”.

Wszystko to było bardzo wzruszające, bardzo romantyczne i stanowczo za proste. Kiedy wysiadaliśmy z dorożki, zapytałem:

- Czy Freddy mówił ci coś jeszcze?

- Nie. Nic. I Freddy nic nie wie o tym, że kiedykolwiek kupowałam haszysz.

- Wielu ludzi mówiło mi, jaki to jestem niesamowity. Prawie zawsze mieli w tym jakiś ukryty cel.

Zarumieniła się.

- Jesteś kawał drania! - Odwróciła się i pobiegła do drzwi. Przed wejściem zatrzymała się jednak i zaczęła na mnie. Tak, że kiedy doszedłem, wszyscy mogli nas sobie obejrzeć wchodzących razem. No i dobrze.

Przeszliśmy przez maleńką restaurację z cynkowym barem i może czterema stolikami, o tej porze już nieczynną, i wyszliśmy na wielkie jak stodoła patio, całkowicie pokryte dachem z falistego plastiku. Przy ścianie stała ciężka szafa grająca, a dalej ciągnęła się

chropowata podłoga z betonu. Stało tam mnóstwo tanich, chromowanych stolików, w większości zajętych. Było to pospolite i tandetne, co jednak nie przeszkadzało naszej kompanii.

Wielu gości z przyjęcia dotarło tam przed nami, a teraz śmieli się i przekrzykiwali, zasiadając przy jednym długim stole, zestawionym dla nich z wolnych pojedynczych stolików. Właściciel lokalu i jego kelnerzy odnosili się do nich z najwyższym szacunkiem, jak gdyby to miejscowa szlachta zawitała między plebs. Oni zaś znakomicie zdawali sobie sprawę ze swego wyższego statusu. Chantal też. Ledwie dostrzegalnie, na moich oczach, von Anders niczym jaszczurka zmieniła ubarwienie i stała się „hrabiną”.

Przy jednym ze stolików zauważyłem Girgisa w towarzystwie pięknej Amerykanki. Girgis uśmiechnął się i skinął mi głową. Ale wzrok Chantal przesunął się po nim, jak gdyby go tam nie było. Przy stole zamówiliśmy koktajle, na które trzeba było czekać godzinami.

Jeśli o mnie chodzi, uważałem cały ten najazd za kiepski pomysł. Byłem zażenowany atmosferą narzuconą przez nasz wielki stół. Zasiadający przy nim traktowali pozostałych jak chłopów pańszczyźnianych. Celował w tym zwłaszcza duński hrabia, który kelnerów - i właściciela lokalu - traktował z tak bezgraniczną pogardą, jak gdyby byli jego osobistymi niewolnikami. Kelnerom chyba się to podobało, ale ja miałem ochotę mu przyłożyć.

Interesujące okazały się tam tylko greckie tańce. Mało kto jednak był w tym dobry. Natomiast Girgis wyróżniał się i jako wspaniały tancerz, i jako naturalny wodzirej. Tutaj to on grał pierwsze skrzypce. Nie popisywał się przed możnymi tego świata czy przed Chantal. Po prostu bawił się w najlepsze. Ale w tej knajpie i w towarzystwie tej bandy arystokratów nawet patrzeć na niego wzbudzało niesmak.

- Wychodzę na chwilę. Przewietrzyć się - powiedziałem do von Anders. Spojrzała na mnie. Na jej twarzy pojawił się wyraz jakby powstrzymanej paniki. - Chcesz się przejść? - dorzuciłem.

- Ja... - Spojrzała na swoją sąsiadkę. - Naprawdę, nie powinnam. Ale... no dobrze.

Na zewnątrz wzięła mnie pod rękę.

- Bałam się śmiertelnie, że mnie tam zostawisz. - Umilkła. - Pomyślą sobie, że zaczynamy romans.

- A niech tam. Może to nawet dobry pomysł.

- Tobie to łatwo mówić. Ale ja muszę tu żyć.

Mimo to przywarła do mnie. Czuję ciężar jej piersi na moim ramieniu. Ona też musiała zdawać sobie z tego sprawę. Tutaj, na zewnątrz, było jeszcze jedno, otwarte patio, później kilka schodków na plażę, a za plażę - morze. Poprowadziłem ją w tamtą stronę.

Na skraju piasku uwolniłem się od niej, cofnąłem i rozejrzałem.

- Nie spodziewałem się tutaj morza - rzekłem. - Myślałem, że idziemy w głąb lądu.

- Każdy tak myśli - odparła. - Nie, my tylko przecięliśmy odnogę lądu od przystani jachtów. To wszystko.

Nagle, bez słowa, wsunęła mi się w ramiona, a ja nieoczekiwanie dla samego siebie całowałem ją namiętnie w usta. Byłem zaskoczony. Wyglądało to tak, jak gdyby te dwie niewinne wzmianki o morzu miały jakiś podtekst. Nieśmiało wsunąłem język między jej rozchylone wargi, lecz ona przyjęła go wilgotnie, gorąco - tak wilgotnie, tak gorąco i z taką namiętnością, że przed oczami stanęła mi erotyczna metafora. Później przyłożyła mi ucho do piersi.

- Słyszę twoje serce - powiedziała niczym jakaś stuknięta nastolatka. A potem: - Boję się. Przez niego.

- Nie sądzę, żebyś właśnie jego się bała.

- Ależ tak.

Puściłem ją i chociaż żadne z nas tego nie zaproponowało, wróciliśmy do tawerny.

W olbrzymiej, pokrytej dachem sali reszta towarzystwa zbierała się już do wyjścia.

- Odwiozę cię do domu - zaproponowałem.

- Och nie. Nie, nie. Mam transport. Z Sandersonami. W każdym razie dziękuję. Ale oni mieszkają zaraz nade mną. - Podeszła do nich. - Dobranoc - rzuciła lekko. - Dziękuję, że przyszedłeś.

Nie chciałem wobec nich okazywać zdziwienia, więc tylko skinąłem głową.

- Nie zapomnij o jutrzejszym obiedzie.

- Tak. Dobrze. Zadzwoń do mnie. - Ujęła Sandersona za jego wolne ramię.

Reszta towarzystwa wychodziła już tłumnie. Jej niespodziewana ucieczka kompletnie zbiła mnie z tropu. Usiadłem jeszcze na kilka minut, omal nie zamówiłem następnej kolejki, ale rozmyśliłem się.

Na betonowej podłodze biedota dalej tańczyła greckie tańce.

Rozdział 11

Siedziałem tak pewnie z pięć czy sześć minut. Wciąż jeszcze byłem otumaniony rejteradą von Anders. Zdumiewające, jak krańcowo zmieniała się atmosfera lokalu po wyjściu bogaczy. Skrępowanie zniknęło. Wszyscy się odprężyli. Najwyraźniej ja się nie liczyłem.

Nie przychodziło mi do głowy żadne miejsce w Stanach Zjednoczonych, gdzie pojawienie się grupki bogaczy w trzeciorzędnej speluncie mogłoby wywołać podobną reakcję. Choć może przemawiał przeze mnie zwykły szowinizm. W każdym razie czułem się szowinistą jak cholera.

Wciąż jeszcze siedziałem, kiedy do lokalu wśliznął się jakiś młody chłopak, najwyraźniej jeden z hipów z budowy, i zagadnął Girgisa. Ten wstał i wyszedł z nim na dwór. Skierowało to moje myśli na sprawy bieżące. Postanowiłem rozmówić się z nim.

Girgis zostawił swoją Amerykankę przy stoliku. Znaczyło to, że ma zamiar wrócić. Dałem im kilka minut na ubicie interesu, po czym wstałem i wyszedłem za nimi.

Girgis stał w świetle księżycyca mniej więcej w pół drogi do czekających dorożek. Chłopak oddalał się pod górę, mając w perspektywie dwumilowy spacer do miasteczka bez żadnego postoju dorożek po drodze. Ano, jego sprawa. Był młody i zdrowy. Zacerpnałem głęboki haust powietrza, wypuściłem je powoli i podszedłem do Girgisa od jego prawej ręki. Człowiek praworęczny odwracający się w prawo musi dysponować nie lada lewym sierpowym, żeby cię zwalić z nóg. A Girgis nie wyglądał na boksera.

- Przepraszam - odezwałem się.

Odwrócił się powoli. Bez strachu. Ale nagle odniosłem niezatarte wrażenie, że mam przed sobą na wpół udomowione zwierzę, zebrane w sobie, spięte na czubkach kopyt lub łap, gotowe do natychmiastowej ucieczki lub walki, w zależności od informacji, jakich dostarczy mu komputer układu nerwowego. Mógłby to być na wpół obłąskawiony jelen. Taki jak te, które mieliśmy u taty na Wind River Range.

- O, pan Davies. Witam. Rano jeszcze nie wiedziałem, kim pan jest. Proszę przyjąć moje przeprosiny. - Machnął ręką z dezaprobatą, jak gdyby wyrzucając sobie niepowodzenie w zbieraniu informacji. - Szuka pan haszyszu?

- Nie - odparłem. - Ale jeżeli będę kiedyś potrzebował, zwrócę się do ciebie. Zgoda? - Przerwałem na jedno uderzenie serca. - Jak długo byłeś w Ameryce?

- Dwa lata. Niecałe. - Uśmiechnął się szeroko. Miał w sobie coś sympatycznego. - Poznał pan, co? Po akcencie?

Skinałem głową.

- Powiedz no, co ci więcej przynosi, sprzedaż haszu czy szantażowanie kobiet?

Wlepił we mnie wzrok i zadarł szczękę. Niedbale przemieścił ciężar ciała na prawą nogę i wsunął prawą rękę do tylnej kieszeni spodni.

- Nie radzę - powiedziałem.

Równie niedbałym gestem schował drugą rękę do drugiej tylnej kieszeni. Ruch ten z powrotem przesunął ciężar jego ciała na obie stopy. Uśmiechnął się. Ale w tym uśmiechu nie było nic pojednawczego, ani śladu strachu. Był wściekły.

- Chantal z panem rozmawiała, co? Jest miła, ale niech pan nie wierzy we wszystko, co opowiada. Ma bujną wyobraźnię.

- Powiedziałem jej, żeby przestała ci płacić - rzekłem. - Więc koniec z żądaniami. Bo jeśli nie, to się o tym dowiem.

Zaśmiał się chrapliwie.

- Twardy z pana chłop. Dobra, koniec z żądaniami. Pan powie Chantal. - Znów parsknął. - Tu się dzieje dużo rzeczy, o których pan nie wie.

- Możliwe. Jeśli tak, to się dowiem.

- Pan powtórzy Chantal, że to koniec z żądaniami, co?

- Powtórzę.

- Pan powtórzy na pewno, co?

- A jak będę potrzebował haszu, przyjdę do ciebie. Ty do mnie nie przychodź.

Uśmiechając się, Girgis skinieniem głowy wyraził uznanie dla tego drobnego afrontu. Ale jego oczy były zimne i zamyślane, kiedy odwracał się, wciąż trzymając ręce w kieszeniach spodni. W prawej widziałem wybrzuszenie pałki pod jego palcami.

Chyba go nawet lubiłem. Był wyższy ode mnie i o niebo młodszy, ale sądzę, że dałbym mu radę. W każdym razie gdyby wyciągnął pałkę, byłem gotów spróbować. Byłem gotów doprowadzić do zwarcia i opleść go tak, żeby nie mógł nią uderzać, więc mimo wszystko dałbym mu pewnie radę. Odwróciłem się i ruszyłem wzdłuż rzędu dorożek, robiąc następny głęboki wydech. Czułem, jak energia musuje mi w czubkach palców, w nadgarstkach i po wewnętrznej stronie łokci, jak pulsuje, żeby się wyrwać. Wciąż jeszcze to lubiłem. Wskoczyłem do pierwszej dorożki.

Nadal nie miałem sprecyzowanego zdania o von Anders. O Chantal. Nadal nie wierzyłem, że Girgis szantażował ją z powodu czegoś tak błahego i powszechnego, jak kupowanie od niego haszyszu. Z drugiej strony Girgis nie wyparł się, że ją szantażuje, kiedy

mu to zarzuciłem. Uparcie nalegał, żebym powtórzył jej, że to „koniec z żadaniami „; powtórzył to trzy razy. Dlaczego?

Zaczynało mnie to intrygować z czysto zawodowego punktu widzenia. Co tu się działo na tej zwariowanej antycznej wyspie? Wsłuchałem się w stukot kopyt, próbując przetransponować jego rytm na mój tok myślenia. Bez skutku. Nic nie wymyśliłem, nie potrafiłem tego rozgryźć. Na razie miałem do dyspozycji za mało faktów.

Kiedy rozstałem się przed domem z sennym dorożkarzem i jego sennym koniem, wszyscy już pozwijali interes. Kaik Sonny'ego był ciemny. Georgina prawdopodobnie spała jak suseł, tawerna Dmitriosa po drugiej stronie pustej parceli była zamknięta na cztery spusty. Nagle coś zauważyłem. Wielki jacht w przystani kąpał się w świetle, a załoga krzątała się, jak gdyby szykowała go do wyjścia w morze.

Była to raczej dziwna pora, żeby szykować jacht do rejsu. Wszedłem do domu nie zapalając światła, po omacku znalazłem butelkę whisky i szklanę, ruszyłem na piętro i przeszedłem korytarzem do sypialni. Wziąłem stara lornetkę, którą Con Taylor zostawił na nocnym stoliku, i przyjrzałem się jachtowi. Rzeczywiście, szykowali go do rejsu. Naliczyłem pięciu czy sześciu marynarzy. Wszyscy nosili granatowe golfy z wypisaną białymi literami na piersiach nazwą statku, „Agoraphobe”. Kapitan odróżniał się od nich białą koszulą i zsuniętą na bakier białą czapką kapitańską. Był to wielki facet z wielkim tyłkiem, niemal tak szerokim jak jego potężne bary. Przez cały czas poganiał swych ludzi. Podczas gdy na niego patrzyłem, oddelegował wszystkich do jakiejś roboty, a sam zbiegł po trapie, wskoczył do szalupy i ruszył na brzeg.

W nocnej ciszy doleciał mnie warkot silnika szalupy. Gdzieś na jachcie rytmicznie dudniła pompa lub generator. Odłożyłem lornetkę i podniosłem szklanę. Miałem czas na dwie kolejki. Dwadzieścia minut później kapitan wrócił i znowu usłyszałem warkot silnika. Odstawiłem szklanę i podniosłem lornetkę. Wchodząc po trapie, kapitan niósł podobną do torby podróźnej teczkę, która budziła podejrzenie, że zawiera pieniądze. W każdym razie obchodził się z nią bardzo ostrożnie i nie wypuszczał jej z rąk. Osobiście zniósł ją pod pokład.

Obserwowałem jacht jeszcze przez chwilę, po czym schowałem lornetkę i położyłem się. Moje narządy wewnętrzne znowu uświadomiły mi, że w ciągu dnia i wieczorem wypilem za dużo. W nocy przebudziłem się; zdawało mi się, że słyszę zamierający odgłos silnika jachtu.

Kiedy rano otworzyłem oczy, ujrzałem, że „Agoraphobe” zniknęła, lecz poza tym był to zwyczajny, piękny poranek. Liczne motorówki śmigały już naprzeciwko przystani, ciągnąc

narciarzy wodnych. Zauważyłem, że motorówka Sonny'ego zniknęła, a jego wielki kaik jest zamknięty na cztery spusty.

Rozdział 12

Bez względu na to, co działo się na tej zwariowanej wyspie, poranna kawa na zacienionej werandzie, wychodzącej na skapaną w promieniach słońca przystań, sprawiła mi ogromną przyjemność.

Po drodze do łodzi Sonny'ego wstąpiłem do tawerny i znów wypilem kawę, przy stoliku nad samą wodą. Chciałem pogadać ze starym.

O tak wczesnej porze nie było tam nikogo. Kiedy płaciłem, z rozkoszą pobrzękując w kieszeni kluczykami do „Daisy Mae”, zapytałem starego Dmitriosa o wielki jacht.

Stary dopiero co bezwstydnie i skandalicznie mnie oszukał, licząc mi dwadzieścia centów więcej za filiżankę podłej kawy rozpuszczalnej, zalanej letnią wodą. Teraz zezował na mnie z wyrazem bezustannej chciwości w oczach, bez przerwy wycierając ręce w fartuch. Podświadoma żądza zysku wyrobiła w nim bezgraniczną cierpliwość. Czekałem. Nie mogąc znaleźć sposobu, by wydusić ze mnie całego, czy choćby ćwierć dolara, ostatecznie wzruszył ramionami. - Odplynął - powiedział.

- Widzę. Ale dokąd?

Znów wzruszył ramionami. Mogłem dosłownie odczytać tok jego ślamazarnych myśli: Czy mam jakieś specjalne powody, żeby pytać? Jak można by to zamienić na gotówkę? Rozumiałem, że miał ciężkie dzieciństwo i w ogóle, ale i tak doprowadzał mnie do szału.

- Może do Aten - powiedział wreszcie. - Czasami pływa do Aten. Żeby zabrać jakichś Francuzów czy Anglików na rejs po wyspach. Kapitan jest Amerykaninem. Nazywa się Kirk. Jim Kirk. Już prawie dwa lata jest kapitanem „Agoraphobe”. Piękny statek. Właściciel miał poczucie humoru, nazywając go w ten sposób.

- A kto jest właścicielem? - zapytałem.

Wzruszył ramionami. Wylał rękę. Niejaki pan Kronitis. Pan Leonid Kronitis. Grek. Bardzo bogaty Grek. Właściciel statków. Nie taki jak Onassis czy Niarchos. Ale i tak bogaty. Dmitrios płynął raz jednym z jego statków. Do Kalifornii i na Hawaje. Bardzo bogaty.

- On tu mieszka?

- O nie. To nie dla niego. Tsatsos dla niego za małe. Mieszka w Atenach. Ale ma wielką willę na kontynencie, gdzieś za Glauros, o tam.

Zerknąłem na miasteczko usytuowane na wybrzeżu kontynentu w odległości mili czy dwóch.

- Ale jego tam nigdy nie ma - powiedział Dmitrios. - Czasami korzysta z „Agoraphobe”, ale zwykle czarteruje go, żeby zarabiał na sobie. Bardzo ostrożnie poczyną sobie z pieniędzmi ten pan Kronitis.

- Pewnie dlatego jest taki bogaty - stwierdziłem.

- Nie zostawił pan napiwku za kawę - rzekł na to stary.

- Nie. Bo i tak policzyłeś mi za dużo.

Wzruszył ramionami i wytarł ręce. W ten swój fartuch. Nawet się nie zezłościł. Zawróciłem na pięcie i odszedłem.

Przez chwilę stałem na molo, przyglądając się „Daisy Mae”. Patrząc na nią, zapomniałem o Dmitriosach tego świata. Czułem się jak berbeć, który dostał od ojca pięćdziesiąt centów, żeby kupić sobie w sklepie ze słodyczami co tylko zechce. „Daisy Mae”, muskana delikatnie poranną bryzą, szarpiąc cumy kołysała się na lekko sfalowanej, brudnej wodzie przystani. Przyciągnąłem ją do molo, dałem susa na pokład, otworzyłem kabinę i pochłonał mnie rytuał szykowania łodzi do rejsu. Odruchowo zacząłem gwizdać. Pracując, nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałem tyle frajdy. I kiedy byłem tak zupełnie sam. Splukałem pokład, choć wcale nie było to potrzebne, wyszorowałem go szmatą na kiju, po czym zlałem wodą dach kabiny i też go wyszorowałem. Sprawdziłem toaletę w kabinie i wyczyściłem ją. W tawernie zaopatrzyłem się w lód, a teraz uzupełniłem zapasy w barku, schowałem koszulę i buty pod podkład i sprawdziłem silnik. Odcumowałem i przekładając rękę za ręką na linie kotwicznej, odciągnąłem łódź od molo, zwolniłem kotwicę, wyciągnąłem ją z wody i umyłem. W coraz mocniej przygrzewającym słońcu popłynąłem do miasteczka, lawirując między innymi jednostkami.

Droga do portu, wzdłuż oślepiająco białej, skąpanej w słońcu fasady miasteczka, była cudowna.

W porcie zacumowałem obok kaika z warzywami i wszedłem na kamienne, brukowane nabrzeże dzielnicy handlowej. Wciąż roilo się tu od hipisów. Kupiłem gazety i ruszyłem pod górę do zacienionych kawiarenek.

Ledwie zdążyłem zamówić campari z wodą sodową i rozłożyć gazetę, pojawił się jasnowłosy Adonis Steve ze swoim krótko ostrzyżonym przydupasem w grubych okularach, Chuckiem. Obaj nosili haftowane mongolskie kaftany, szorty i sandały.

Chyba mnie szukali. Najwyraźniej spacerowali tam i z powrotem, czekając. Na mój widok Steve natychmiast skierował się ku mnie; Chuck deptał mu po piętach. Steve opadł na krzesło przy moim stoliku, a Chuck klapnął na drugie. Bez pytania.

- Chcę z panem porozmawiać - odezwał się Steve.

- Naprawdę? To dlaczego nie siadasz? A raczej, dlaczego nie pytasz o pozwolenie? Chociaż nie jestem pewny, czy ja chcę rozmawiać z tobą. Widziałem, że ten twój Cyklop znalazł sobie wczoraj jelenia, który dał mu się pobić. Cześć, Cyklopie.

- Słuchaj pan - zaczął Chuck, poprawiając środkowym palcem okulary na nosie.

- Widzę, że dbasz o te okulary - przerwałem. - To twoja jedyna para? Miałbyś kłopot, gdyby tak ktoś ci je stłukł, co?

- Panie... - rzekł Chuck.

- Wyglądają jak dwa denka butelek po coca-coli.

- Panie...

- Powiedz jeszcze jedno słówko - rzekłem uprzejmie. - Jeszcze jedno słówko, Cyklopie, a stłukę ci je własnoręcznie. Będzie to dla mnie sama przyjemność. - Nie żartowałem. Kipiałem z wściekłości.

- Zamknij się, Chuck! - warknął Steve.

- Już lepiej - stwierdziłem. - To teraz może byście się tak zmyli, wy nieokrzesane prostaki. Zanim mnie zirytujecie i owinę wam łby tym żelaznym stołem. Stać mnie na to.

- Powiedziałem, że chcę z panem porozmawiać - rzekł Steve. Patrzył na mnie tymi dziwnymi oczyma niewidomego. - Żarty na bok. Zeszłej nocy widziano pana z Girgisem.

- Doniósł wam o tym wasz wywiad, tak?

- Nie wiem, co pan z nim kombinuje - ciągnął Steve cierpliwie. - Ale chcę pana ostrzec. Niech panu czasem nie przyjdzie do głowy, żeby się z nim wiązać. Ani wchodzić z nim w interesy, rozumiemy się? Tylko pan sobie napyta biedy. Bardzo prawdopodobne, że on wypadnie z obiegu, i to niedługo. Będzie miał kłopoty. Hipisi go nie lubią. Traktuje ich paskudnie, i zawyża ceny. Nie będzie trzeba długo czekać, żeby mu ktoś opuścił szlaban.

- A któż to opuści ten szlaban? - zapytałem.

- Dopilnuję tego osobiście. Więc jeśli chodzi panu po głowie, żeby z nim pokombinować, to daj pan sobie spokój. - Gapił się na mnie oczami ślepeca.

- Bo inaczej zostaną potraktowany tak samo?

- Właśnie.

- To znaczy jak?

- Nieważne. Przyjemne to nie będzie. Za to kosztowne.

Patrzyłem na niego, udając głęboką zadumę.

- Zapamiętam, co powiedziałeś. Dobrze to sobie zapamiętam.

- I słusznie. - Zaczął się zbierać. Chuck też.

- Słuchaj no, mówiłeś, że musisz mieć greckiego wspólnika do prowadzenia tego twojego baru - zatrzymałem go.

- Pan tak twierdzi, nie ja.

- Zgoda, ja tak twierdzę. Co to za wspólnik? Jak się nazywa?

- Hm, a komu to potrzebne?

- Mnie. Chcę wiedzieć. Jestem ciekawy.

- I tak go pan nie zna. Nazywa się Kronitis. On tu nawet nie mieszka.

- A, znam go. Leonid Kronitis. Ma wielką willę za Glauros - powiedziałem. Steve był wyraźnie zaskoczony. - To armator. Jego własnością jest ten wielki jacht, „Agraphobe”. Jasne, że znam Kronitisa. Prawdę mówiąc, wczoraj wieczorem byłem z nim na przyjęciu.

Wyraz powątpiewania przemknął po jego twarzy. Potrząsnął głową.

- Nie. Nie mógł pan z nim być. Bo to ja z nim wtedy byłem. Wyglądało mi na to, że oto siedzi dwóch łgarzy, z których każdy próbuje wyprowadzić drugiego w pole.

- Rozumiem. Może chodzi tu o dwie różne osoby.

- Niech pan pamięta, co mówiłem.

- Zapamiętam, synu. - Obdarzyłem go moim uśmiechem numer dwa, tym bez pogardy. - Wiesz co, nie widzę najmniejszej różnicy między waszym pokoleniem a jakimkolwiek innym. Bo i nie ma żadnej, prawda?

- Jasne, że jest. Przede wszystkim, my nie uznajemy gwałtu - odparł Steve kategorycznie i uśmiechnął się do mnie.

Roześmiałem się.

- Żegnaj, Cyklopie - powiedziałem, kiedy odchodzili.

Dokończyłem campari, zastanawiając się nad ich dobrą radą. Nie przyszło mi do głowy nic specjalnego. Przyjemnie siedziało się przy jednym z tych zacienionych stolików na częściowo tylko zajęтым tarasie. Moje paryskie wydanie „Heralda” i rzymskie „Daily American” straciły swój smak, ale za cholerę nie zamierzałem dopuścić, by mi zepsuli campari z wodą sodową. Czyżby te durne szczeniaki próbowały przejąć na siłę interes Girgisa?

Na to wyglądało. A jeśli tak, to w jakim sensie dotyczyło to - lub mogło dotyczyć - mojej klientki Chantal i jej problemu? Teraz już myślałem o niej jako o swojej klientce, i kim był ten cały Kronitis, który wciąż plątał się po życiorysie?

Po drugiej stronie tarasu ujrzałem Georginę Taylor, siedzącą samotnie przy stoliku zastawionym pustymi filiżankami i talerzami, jak gdyby jej hipisowskie ptaki czym prędzej zjadły co swoje i odleciały całym stadem. Patrzyłem, jak płaci wcale niemały rachunek. „I

poznasz ich po czekach, jakie wystawiają”. Zapłaciłem swój rachunek, podszedłem do niej i zapytałem, czy nie ma ochoty wrócić do domu na „Daisy Mae”. Była wyraźnie zachwycona tą perspektywą.

- Widzę, że zaprzyjaźniłeś się z młodymi ludźmi - powiedziała wesoło, kiedy schodziliśmy na dół.

- No, tak - odparłem rozsądnie. - Chyba nie są tacy źli, jak mi się zdawało.

- Jakże się cieszę - skwitowała.

Kiedy pomogłem jej wskoczyć na łódź Sonny’ego i sam też znalazłem się na pokładzie, ujrzałem, jak Steve i Chuck ładują się do zgrabnej motorówki i z rykiem silnika wypływają z portu, kierując się na zachód od przystani jachtów. Tył motorówki był upchany droгим sprzętem do uprawiania narciarstwa wodnego. Wystartowali tak gwałtownie, że wszystkie łodzie w porcie zaczęły kołysać się i obijać o siebie. Po drugiej stronie portu, na wytworzonym przez motorówkę kilwaterze, kołysał się „Polaris”. Girgis stał u steru, szykując się do uruchomienia klaksonu. Z uśmiechem pomachał im ręką.

- Powiedz mi, Georgina, kto jest właścicielem „Polarisa „? - zapytałem, wyprowadzając „Daisy Mae” za molo i skręcając na wschód.

- Pan Leonid Kronitis - odparła dumnie.

- Tak myślałem - burknąłem i poświęciłem się regulacji przepustnicy.

- Pan Kronitis to nasz miejscowy filantrop - ciągnęła Georgina niemal patetycznie. - A oprócz tego nieustannie służy pomocą finansową wszystkim tym, którzy chcą otworzyć własny interes. Takim jak Girgis.

- Naprawdę? - Skupiłem się, by nie stracić całej przyjemności z drogi powrotnej. Ostatecznie to ja płaciłem za paliwo. A raczej Tarkoff.

Trochę czasu zabrały mi rozmyślania o Kronitisie. Czy ten miejscowy armator miał udział we wszystkim na tej wyspie? Czy to możliwe, żeby nie wiedział, że jego dwaj kapitanowie zajmują się lokalnym, niemniej intratnym przemysłem haszyszu? A jeśli nawet, to co mi do tego? Czy to mój interes? Tylko o tyle, o ile mógł dotyczyć mojej klientki. Mojej cholernej klientki. Czy moja cholerna klientka znała Kronitisa? Rzecz jasna od strony interesów. Byłem pewny, że zna go na gruncie towarzyskim.

Przybiłem do molo przed tawernę Dmitriosa, wysadziłem Georginę i czekając na Chantal, zamówiłem następną filiżankę podłej kawy. Tym razem Dmitrios policzył mi tyle samo, co miejscowym. Przypuszczam, że gdybym się nie upomniał, do końca świata kazałby mi przepłacać dwadzieścia centów za filiżankę. Był nie z tej ziemi.

Chantal wyglądała szalowo, kiedy się w końcu pojawiła. Wskoczyła z dorożki w olbrzymich okularach, wdzięcznym kapeluszu zsuniętym na bakier, długim kawałku indyjskiej bawełny związanym w pasie nad kostiumem kąpielowym niczym rozcięta do samych bioder spódnica, i niebieskiej koszuli rybackiej z podkasanymi rękawami. Dorożkarz podał jej koszyk wypchany innymi strojami, ręcznikami i jakimiś płynami w butelkach.

- Wyglądasz szalowo - powitałem ją. - Ale tak, jakbyś się wyszykowała na tydzień. Nie boisz się plotek, że się wypuściliśmy na tyle czasu tylko we dwoje?

Uśmiechnęła się radośnie.

- Nie bardzo. Wszyscy tu chyba wiedzą, że jestem twoim oficjalnym przewodnikiem podczas wakacji.

Jej nagła dezercja zeszłej nocy nauczyła mnie ostrożności. Wziąłem koszyk. Na jej smukłych udach widać było ledwie cień tego zwiotczenia, które przychodzi z wiekiem. Jej przedramiona zdradzały tylko nikłe ślady tej dziobatej pulchności, której nabiera starzejąca się skóra. Ramiona powyżej łokcia miała jędrne. Żadnej z tych skaz nie było widać z odległości pięciu jardów.

- Co ty tu masz, na miłość boską? - zapytałem. - Myślałem, że zajrzemy do tawerny po drugiej stronie wyspy.

Ale z bliska były widoczne.

Zanim zorientowała się, że nie ma przewoźnika, była już na łodzi, rozciągnięta na pokładzie i wystawiona na słońce.

- Gdzie jest Sonny?

- Musiał pojechać do Aten. Dzisiaj ja prowadzę łódź.

Spojrzenia pełne wątpliwości.

- Hm, a potrafisz?

- Nie. Ale szybko się uczę. - Przerwałem. - Boisz się?

- Sama nie wiem. Nie mam pojęcia, czego po tobie oczekiwać.

- Grunt, to trzymać je w niepewności - rzuciłem.

Zapuściłem silnik z fasonem. Kiedy ujrzała, jak lawiruję między innymi łodziami i cumami, uśmiechnęła się.

- Mogłam się tego spodziewać.

Wyprowadziłem łódź na pełne morze, opływając cypel z latarnią morską - a więc kierując się w przeciwną stronę niż port. Morze iskrzyło się, słońce błyszczało, woda pluskała o burty. Wysoko ponad nami przez rozżarzone powietrze widać było na wzgórzach zielone

pola, skupiska sosen i białe cętki starożytnych kaplic. Kałuża to chyba właściwe słowo, pomyślałem.

- Czy zdecydowałaś się powiedzieć mi coś więcej o swoim tajemniczym życiu? - zapytałem.

Mina jej zrzędała i spochmurniała.

- Powiedziałaś mi wszystko.

- Wczoraj w nocy rozmawiałem z Girgisem - rzekłem obserwując ją z ukosa. Bezbronny wyraz powstrzymywanej paniki z ubiegłego wieczoru przesłonił jej twarz.

- I co powiedziałeś?

- Powiedziałem mu, że kazałem ci przestać płacić. Powiedziałem, żeby nic więcej od ciebie nie żądał. Roześmiał się i kazał ci powtórzyć to już koniec z żądaniem.

Na twarzy Chantal nie było widać ulgi.

- Ścisłej mówiąc, przypominał mi trzy razy, żeby ci powtórzyć, że to już koniec.

Także i tym razem nie odpowiedziała.

- Myślałem, że się ucieszysz.

- No... cieszę się. - Ale nie było tego po niej widać. Po chwili dorzuciła cicho: - Myślisz, że naprawdę przestanie?

- Jeśli nie, to mi powiedz.

- Nie ufam mu. Widzisz, ja go znam. Do tego potrzeba czegoś więcej.

- Nic więcej nie mogę zrobić, dopóki mi więcej nie powiesz - oświadczyłem kategorycznie.

- Och, nie mówmy już o tym! - wybuchnęła nagle i odrzuciła do tyłu głowę, wystawiając twarz na słońce. - Taki piękny dzień!

Rzeczywiście, był piękny. Wszystko pławiło się w słońcu. Po naszej prawej stronie wznosiła się wyspa - brązowe pola na samym dole, wyżej zielone, jeszcze wyżej szmaragdowa zieleń lasów, a wszystko to na tle głębokiego, morskiego błękitu nieba. Oślepiająca biel małych kaplic cętkowała na równi pola, jak i lasy. Na plaży widać było niską sylwetkę „tańczącej tawerny” Georgia.

- Miewałem już bardziej skore do współpracy darmowe klientki - stwierdziłem. - Hej, a to co? - Zauważyłem coś. - Widzisz? - Wskazałem palcem na jakiś obiekt, unoszący się na wodzie w oddali. Wyglądało na to, że się nie przesuwają. Po chwili przestawiłem ster w jego stronę.

Rozdział 13

Kiedy podpłynęliśmy bliżej, unoszący się na wodzie obiekt stał się pomarańczowym pływakiem, z którego sterczały w górę niewielkie drzewce. Kiedy zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, na powierzchnię wypłynęła postać w czarnej masce, czarnym kapturze z pianki i skafandrze, przetoczyła się i leżała twarzą w dół, oddychając przez rurkę. Potem zgięła się w pasie i znów zanurkowała, wyrzucając w górę stopy w płetwach i bezgłośnie zanurzając się pod wodę.

Słońce działało już paraliżująco; porażało oczy dokładnie tak, jak odbierałem to wczoraj. Morze było płaskie jak stół. Płynęliśmy już mniej więcej pół godziny i dochodziło chyba południe. Najlepszy podmuch wiatru nie burzył lustrzanej powierzchni. Nie mąciła jej najmniejsza zmarszczka. W zasięgu wzroku nie było widać żywego ducha. Byliśmy sami, tylko we dwoje. Nad wszystkim zalegała przytłaczająca cisza. Tylko nasz silnik ją zakłócał, bębniąc o nią, lecz nie przebijając jej twardej skóry. Zdawało się, że słońce dosłownie pali lustro morza, sprawiając, że wody powierzchniowe toczyły się bardziej ospale niż na głębokości kilku cali. Nurek wypłynął, odpoczął i zanurkował ponownie.

Widok ten napawał mnie grozą. Nawet pomimo iż wiedziałem, jak łatwo jest poczynać sobie tak samotnie. Byliśmy na pełnym morzu - ani jednej łodzi w zasięgu wzroku, a do brzegu z górą pół mili. I oto tutaj pływał ten samotny nurek.

- To Marie - odezwała się Chantal.

- Marie? - zdziwiłem się. - Dziewczyna?

- Tak. To ta amerykańska hipiska. - Zabrzmiało to, jakby miała polipy w nosie.

- Chyba się zatrzymamy - oświadczyłem.

Sądząc z miny Chantal, moja twarz musiała wyrażać nieskrywany podziw. - Kiedyś i ja sporo nurkowałem - wyjaśniłem.

Podprowadziłem łódź bliżej pływaka.

Nurek znowu wychynął z głębiny. Widzieliśmy, jak wypływał; powoli, niczym we śnie. Jego głowa przebiła powierzchnię morza i zwróciła się ku nam - odczłowieczona i bez wyrazu pod maską; przybysz z Marsa, z zamaskowaną twarzą i z ustnikiem rurki, zniekształcającym i ukrywającym usta. Po chwili wynurzyła się brązowa ręka, wyjęła ustnik, zdjęła maskę i ukazała nam się roześmiana twarz uderzająco atrakcyjnej dziewczyny.

- Dostałaś go? - zawołałem.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy i zaczęła ściągać linkę łączącą strzałę z kuszą.

- Wejdz na pokład! - krzyknąłem. - Może gdzieś cię podrzucić?

- Nie, dzięki - odparła. - Ale na pokład wejść. - Ułożyła kuszę w poprzek lekko wydrążonego pływaka. Na środku wgłębienia leżały w gumowej siatce trzy dorodne strzępiele. Ja zmagalem się z drabinką, chcąc ją opuścić za burtę.

Dziewczyna weszła po niej, niezdarnie poruszając się tyłem w płetwach - zjawa w czerni: szerokie ramiona, długa talia, krągłe biodra, śliczne długie nogi. Spłaszczone przez skafander, rysowały się dwie wypukłości jej piersi. Usiadła na relingu, zdjęła maskę i kaptur i zjawa przeistoczyła się w dziewczynę z krwi i kości, o długich, prostych, spłowiałych od słońca włosach, opadających zgodnie z hipisowską modą poniżej ramion.

- Witaj, Chantal - odezwała się.

- Witaj, Marie.

- Potrzeba ci czego? - zapytałem.

- Napiłabym się wody, jeśli można - powiedziała. - Człowiek strasznie wysycha tam na dole. Macie jakieś kanapki?

- Tak się składa, że mam - rzekłem. - Kazałem sobie zapakować worek prowiantu w tawernie. - Wyjąłem worek i podałem go jej razem z butelką wody. - Myślałem, że nam się przydadzą - zwróciłem się do Chantal. Spojrzała na mnie bez wyrazu.

Zaczynałem się tłumaczyć. Nie wiedziałem, czy wypływa to ze mnie samo, czy wymusza to na mnie Chantal. W każdym razie zirytowałem się. Co u licha? Uwielbiałem nurkować. Wolno mi chyba podziwiać młodą dziewczynę, która ma dość zimnej krwi, żeby polować tu pod wodą, o całe mile od świata i ludzi, mając do dyspozycji jedynie mały pływak.

Nagle poczułem, że muszę się roześmiać. Wszystkie te lata małżeństwa wytresowały mnie prawidłowo. A przecież nawet się jeszcze nie przespałem z tą damą!

- Ty też chcesz? - zapytałem ją z uśmiechem.

- Nie!

Dziewczyna siedziała na relingu i chrupała kanapkę, nieświadoma rozgrywającej się sceny.

- Dzięki temu nie będę musiała zaraz wracać. - Uśmiechnęła się. Miała w sobie jakiś dziwny smutek; milczącą przychylność.

- Kiedyś też często tak robiłem - rzekłem. - Siedziałem w wodzie cały dzień.

- Gdzie? - zapytała dziewczyna.

- Na Karaibach. Ale rzadko kiedy wypływałem na cały dzień sam.

- Słyszałam, że tam jest więcej rekinów. Ja robiłam to tylko tutaj. Dlaczego pan przestał? - Sprawiała wrażenie nieobecnej, jak gdyby siedziała wprawdzie z nami, lecz myślami była już z powrotem w wodzie.

- Jestem prywatnym detektywem. Miałem zlecenie na Jamajce. Potem praca zaniósła mnie gdzie indziej. Czasami jeszcze się w to bawię. Na wakacjach. Ale to już nie to samo. - Przerwałem. - To tak jak z każdym innym sportem. Trzeba go uprawiać przez cały czas.

- Pewnie tak. - Zaczęła wkładać gumowy kaptur.

- Czy nie widziałem cię wczoraj u Georginy Taylor z resztą paczki? - zapytałem.

- Tak. Byłam tam. Nie zauważył mnie pan. No, dzięki za poczęstunek. - Nie była zbyt rozmowna. Maska wróciła na twarz, po niej rurka. Znowu przeistoczyła się w seksowną Marsjankę. Niedbale wyskoczyła siedem stóp za burtę, oburącz przyciskając maskę do twarzy.

Stałem patrząc jak płynie do pływaka po kuszę. Potem zapuściłem silnik i wrzuciłem bieg. Pływak malał za naszą rufą. Przez dłuższy czas milczeliśmy.

- Pierwszy raz widziałam cię takiego - odezwała się w końcu Chantal.

- Jakiego?

- Ożywionego. Podnieconego. Zaciekawionego. Przez kilka minut byłeś niemal ciepły. Uśmiechnąłem się szeroko.

- Chyba się zapomniałem. Uwielbiam nurkować.

- Więc dlaczego tego nie robisz? Skoro lubisz to tak bardzo? Dlaczego nie rzucisz wszystkiego i się za to nie weźmiesz?

- Arrrgh! - warknąłem. Pomyślałem o żonie. Byłej żonie. - Muszę płacić bardzo wysokie alimenty. Mam dwie nastoletnie córki, które chodzą do szkół.

- Innymi słowy, obowiązki.

- Raczej grzechy. Co za różnica? Rezultat jest taki sam. Chyba sobie na to zasłużyłem. To była moja wina.

- Wszyscy sobie na to zasłużyliśmy - powiedziała cicho.

- Nie, nie wszyscy. Jedno musisz o mnie wiedzieć. Zawsze spłacam długi, jeżeli uważam, że jestem coś komuś winien. Spłacam, choćby miało mnie to kosztować życie.

- Co w twoim fachu jest bardzo prawdopodobne.

- To jedna wielka kaczka dziennikarska. - Uśmiechnąłem się. - W moim fachu ludzie nie umierają gwałtowną śmiercią... chyba że sami prowadzą samochód albo latają własnym helikopterem. Ja, jeśli to tylko możliwe, korzystam z transportu publicznego.

Wyraźnie nie wiedziała, co z tym fantem zrobić. Moja niechęć do prowadzenia z nią poważnych rozmów wciąż ją irytowała.

- Słuchaj no, dokąd my właściwie płyniemy? Daleko jeszcze? - zapytałem.

Odwróciła wzrok, jak gdybym ją obraził.

- Już niedaleko - rzuciła przez ramię. Dalej patrzyła przed siebie. Wobec tego ja też patrzyłem przed siebie. Łódź sunęła po lustrzanej wodzie, pod śmiertelnie spokojnym, porażającym słońcem.

Pamiętałem jeszcze ten długi, powolny, cichy, jakby ze snu wyjęty moment wypływania spod wody. Możesz spojrzeć w dół, pomiędzy stopami, i dostrzec dno, oddalające się i malejące, albo podnieść wzrok na falujący blask powierzchni daleko w górze i widzieć nad sobą przypominający pocisk kadłub łodzi. Podejrzywałem, że oprócz konieczności zaczerpnięcia powietrza, na górę wywabiła ją ciekawość, kto ją odwiedził; bo musiała nas dostrzec nad sobą. Tam w dole już z daleka słychać ostrzegawczy warkot silnika łodzi. W Stanach na tym małym drzewcu u pływaka Marie powiewałaby czerwona flaga z białym paskiem w poprzek, ale nie tu. Na Karaibach, gdzie polowałem, także tego nie stosowano. Kiedy wynurzasz się po głębszych zejściach, twoja maska, przyssana pod ciśnieniem do twarzy, wypuszcza sama bąbelki powietrza, a ty możesz spojrzeć w górę i zobaczyć, jak podskakują i tańczą w drodze na powierzchnię, niczym spłaszczony kulki rtęci. Zanim wyjechałem z Jamajki, potrafiłem schodzić na osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu stóp, pod opieką jednego z tamtejszych mistrzów. Amerykanina, który z naciskiem podkreślał, że nigdy nie miał lepszego ucznia. Ale to było dziesięć lat temu. A ja byłem o dziesięć lat młodszy.

- Opowiedz mi o tej Amerykance - poprosiłem.

- Nazywa się Marie jakaś tam. Hipisi wołają na nią Słodka Marie. Zarabia na życie sprzedając ryby, które ustrzeli. Poza tym gania z haszyszem dla Girgisa.

- Girgis korzysta z gońca? Tu nie ma gdzie ganiać, tak wszędzie blisko.

- On nie lubi hipisów, i nie chce, żeby go z nimi widywano. Więc wynajmuje ją, żeby dostarczała towar i ściągała dla niego pieniądze. - W jej głosie brzmiała nagana. - Poza tym spała ze wszystkimi na wyspie. Dosłownie. I z chłopakami, i z dziewczynami.

- Czyżbyś była zazdrosna, Chantal? - dociąłem jej.

- O nią? Myślę, że w przerwach pomiędzy jedną a drugą pracą żyje sobie całkiem wygodnie. Jak na nią. Zeszłego roku zarobiła w lecie dosyć, żeby tu spędzić zimę.

- Trzeba nie lada zimnej krwi, żeby wypływać samemu tak daleko na cały dzień, i to bez łodzi. Założę się, że prawie tyle, ile potrzeba, żeby spędzić tu zimę.

Chantal wzdrgnęła się.

- Co do tego akurat masz rację. Ale nie sądzę, żeby nurkowanie wiązało się u niej z zimną krwią. Myślę, że to dla niej ucieczka. Od czegoś.

Spojrzałem na nią z zaciekawieniem. Miałem wrażenie, że nie zdając sobie z tego sprawy, mówi sama o sobie.

- Nie ma tu na miejscu żadnej policji?

- Jest ich czterech. Jeden spasiony komendant i trzech nabitych mięśniami młodych kretynów, którzy też mają nadzieję się upaść. Tworzą tak zwany komisariat.

- I to wszystko?

- W Glauros, na kontynencie, jest prawdziwy inspektor policji. O ile nie siedzi akurat w Atenach.

- Ano, haszysz to w końcu małe pieniądze, mały zysk. Heroina, to jest prawdziwy interes.

Nie spodziewałem się jakiejś szczególnej reakcji ze strony Chantal. I żadnej nie było.

- Pewnie tak - bąknęła. - Widać już naszą tawernę.

Tawerna leżała pośrodku długiej, wąskiej plaży rozciągającej się między dwoma wzgórzami; które kończyły się urwiskiem wpadającym do morza. Porastały je bory sosnowe. W tym upalnym słońcu lokal kusił chłodem. Odkręciłem nakrętkę przepustnicy Sonny'ego. Nagle ujrzałem, że jednym z trzech statków turystycznych przycumowanych do jedyne go, chwiejnego molo jest „Polaris” Girgisa.

- Może wolisz się tam nie pokazywać?

Chantal zadarła brodę, a na jej twarzy pojawił się ten pełen rezerwy hrabiowski wyraz.

- Chyba żartujesz?

- Tak czy inaczej, nie mogę zacumować obok tych statków - powiedziałem i odprowadziłem „Daisy Mae” trzydzieści, czterdzieści jardów dalej.

- Popływamy? - zapytałem wracając od steru.

- Tak.

Wskoczyliśmy do wody. Była wspaniała i kryształowo czysta. Dookoła nas w morzu i na plaży roilo się od turystów ze statku Girgisa i z innych. Przeważali wśród nich Ateńczycy - grube, brzuchate kobiety, opasli, próżni mężczyźni, krzykliwe nastolatki obu płci. Dwa rozpalone promieniami słońca autobusy miejskie usychały w niedostatecznym cieniu rachitycznej sosny. Wszystkie stoliki pod zarośniętą winem pergolą były zajęte.

- Myślę, że jeżeli zostaniemy tu, napijemy się i poczekamy, to statki odpłyną - powiedziałem. I odpłynęły, wszystkie z wyjątkiem „Polarisa”.

Dwa gorące, przepełnione autobusy odjechały zakurzoną, bitą drogą, jęcząc na stromym podjeździe. Kiedy brnęliśmy we dwójkę przez piasek w stronę tawerny, ktoś leniwie podniósł się z ławki za relingiem „Polarisa”. Girgis, w krótkich spodenkach i wyświechtanej czarnej czapce kapitańskiej. Zeskoczył zwinnie na chwiejne moło. Za jego plecami jakaś nowa blondynka wstała poprawiając włosy i kostium kąpielowy.

- Idziecie coś zjeść? - Błysnął do nas białymi zębami na tle opalonej twarzy. - Ja też.

Nic więcej nie powiedział. Razem z dziewczyną, która wyglądała na Angielkę, dołączyli do grupy Greków. Chantal poprowadziła nas do stolika w głębi sali. Teraz już było dużo wolnych miejsc.

- On co tydzień ma nową. Zawsze blondynkę. Zawsze Amerykankę lub Angielkę. Uczy je greckich tańców. To jego odpowiednik pokazywania kolekcji sztychów. Kursuje to jako dowcip po całej wyspie.

- Co w tym złego? - rzekłem. - Dla nich to wielka romantyczna przygoda. Przystojny grecki kapitan z własnym statkiem.

- W ubiegłym roku miał niezłą przeprawę z Jane Duval.

Nadstawiłem uszu.

- Tak? I z nim też próbowała uciekać do Aten?

- Nie. Obawiam się, że o ucieczce z Girgiselem nigdy nie było mowy.

Obserwowałem ją z kpiarskim rozbawieniem. Chyba po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że być może i ona miała z nim romans.

- Na oko to wcale nie jest zły facet.

- Zły? Zły to za mało powiedziane. Nie byłby zły, gdyby pozostał rybakiem. Zniszczyła go Ameryka.

- Twój tytuł znów daje znać o sobie - stwierdziłem. - I nie obwiniaj Ameryki. On wygląda na takiego, którego łatwo zniszczyć. Dzisiaj na Amerykę zrzuca się winę za wszystko. Mój Boże, nawet za Girgisa.

Roześmiała się, patrząc na mnie błyszczącymi oczyma. Otwarcie, tak, żeby to zauważył, położyła dłoń na moim nagim przedramieniu. Spojrzałem na jej dłoń, spojrzałem na nią i zamrugalem. Aby pomóc jej wybrnąć z sytuacji, przykryłem jej dłoń swoją.

- Ludzie widzą dookoła siebie dobre strony życia i też chcą coś z tego uszczknąć - powiedziałem z moim smutnym uśmiechem numer dwa. - Tylko dzięki temu trzymam się w zawodzie.

Nad obiadem nie ma się co rozwodzić. Ale przyjemnie było jeść na powietrzu, pod pergolą i drzewami, mając tuż obok morze. Kulminacyjny punkt obiadu nastąpił, gdy Girgis

wstał ze swoją nową dziewczyną i zatańczył przy dźwiękach szafy grającej. Dziewczyna była beznadziejna, lecz Girgis dał wspaniały pokaz greckich tańców. Turyści z jego statku bili brawo i z aprobatą stukali o blaty stołów szklankami po winie. Doceniałem jego grację i wyśmienity refleks. Nie zerkał na nas, zupełnie jakby nie wiedział o naszej obecności.

Po odpłynięciu statku Girgisa zabawiliśmy tam jeszcze trochę. Przywiązałem „Daisy Mae” do molo i położyliśmy się na dachu kabiny pod brezentem.

- Na dole są koce - powiedziałem. - Moglibyśmy wziąć jeden na wzgórze i poleżeć trochę w cieniu drzew.

Chantal zeszywniała.

- W żadnym wypadku - oświadczyła tym swoim hrabiowskim tonem.

I znów mnie zaskoczyła.

- O - bąknąłem uprzejmie. - Jak sobie życzysz.

Po chwili odezwała się:

- Czy coś albo ktoś dał ci podstawę sądzić, że ze mnie jest jakaś łatwa dupa?

Zezłościłem się.

- Spokojnie. Nie próbuję cię wykorzystać. Jesteś już na tyle dorosła, żeby wiedzieć, czego chcesz. Nie chcesz? Świetnie, i niech tak zostanie. - Przerwałem. - I tak cię będę bronił przed tym twoim szantażystą. Taki już ze mnie frajer.

- To było wstrętne.

- I takie też miało być. To jak, wracamy?

Kiedy wypłynęliśmy na pełne morze, jak gdyby nieco zmiękła. Była zamyślona. Podeszła i usiadła obok mnie przy sterze.

- Przepraszam.

- Nie ma o czym mówić. - Temat jej dupy zaczynał mnie już nudzić.

- Nie, właśnie że chcę o tym mówić. Znowu umówiłam nas na kolację. W Tarquinia Hall. Tarquinia to najstarsza z tych kobiet, która przewodzi w greckich tańcach. Po kolacji przyjdiesz do mnie.

- Chcesz powiedzieć, że potem będę mógł cię odwiedzić do domu? - Też mi interes.

- Nie. Wprost przeciwnie. Znowu wrócę z Sandersonami. Ty przyjdiesz do mnie koło północy.

Zastanawiałem się nad tym przez pół minuty.

- Zgoda. Świetnie. Ale w takim razie pozwól, że się wykręcę od kolacji.

- Nie masz ochoty przyjść?

- Nie. Nie bawią mnie takie nasiadówki. To żadne wakacje, siedzieć i gapić się na tych wszystkich ludzi, którzy harują w pocie czoła, żeby się zabawić. Pracują nad tym tak ciężko, jak ci biedacy na plaży. Tyle że bardziej sobie cenię biednych. Należę raczej do nich niż do twoich bogatych przyjaciół. Ja tylko pracuję dla bogaczy.

- Powiedzieć im, że nie mogłeś przyjść?

- Powiedz im, co chcesz.

- Dziwny jesteś.

- Tylko dla takiej lwicy salonowej jak ty.

Milczenie.

- Ty lubisz tylko nurkowanie. I dziewczyny w obcisłych czarnych skafandrach.

Wyszczerzyłem zęby.

- Jasne, i w bikini. Jak każdy mężczyzna. - Wyciągnąłem rękę i strzeliłem gumką slipek jej kostiumu. - Gdyby kobiety wiedziały, ile przyjemności dają mężczyznom, byłyby... wściekłe.

Chantal roześmiała się w głos.

- Nie wyobrażałeś sobie chyba, że na oczach tych ludzi w tawernie pójde z tobą na kocyk.

- Nawet o tym nie pomyślałem. Ani na tak, ani na nie.

Puściłem do niej oko. Zmięła. Ja także zmięłem. Cóż za para durniów w średnim wieku! Trzymaliśmy się teraz bliżej brzegu, niż płynąc w tamtą stronę. Przed sobą widzieliśmy pływak, jeszcze dalej wysunięty w morze, jeszcze mniejszy. Marie wciąż polowała. Pokonała już dobre pięć czy sześć mil.

Wkrótce minęliśmy małą, skalistą i ciasną zatoczkę z wymyślnym betonowym molo i małą plażą. Nie zauważyłem jej przedtem, gdyż płynęliśmy zbyt daleko od brzegu. Poszarpane, faliste urwisko wznosiło się do starej, zamkniętej na cztery spusty willi, wysoko nad morzem. Na ścianie urwiska wylano betonowe schody prowadzące na otwartą werandę willi. Wcale przytulne gniazdko.

Być może nie zauważyłbym go, albo nie zwrócił na nie uwagi, gdybym przypadkowo nie spojrział w tamtą stronę. Ale skoro już je zauważyłem, przyjrzałem się baczniej. Gdzieś w głębi mojego starego policyjnego nosa coś drgnęło; coś zaświtało mi w głowie. Pewnie dlatego, że to gniazdko było tak cholernie przytulne.

- Czy nie jest to przypadkiem własność pana Leonida Kronitisa? - zapytałem.

Chantal była wyraźnie zaskoczona.

- No... tak. Owszem. - Nagle zmieszała się i poprawiła: - Ściślej mówiąc, nie jest to jego prywatna własność. Zdaje się, że należy do jakiejś spółki, z którą on jest luźno związany. Od czasu do czasu bogacze z Aten przyplływają tu wielkimi jachtami, z mnóstwem blondynek, i urządzają huczne przyjęcia. Chodzą słuchy, że wielcy biznesmeni sprowadzają tu swoich amerykańskich partnerów na wino, jadło i kobiety.

Pokiwałem głową.

- Skąd wiesz o Kronitisie? Co o nim wiesz? - spytała Chantal.

Wzruszyłem ramionami.

- Ja? Nic. Ludzie o nim wspominali. Podobno to wielki miejscowy filantrop. Jest właścicielem statku Girgisa i tego wielkiego jachtu, „Agoraphobe”. No i baru hipisów. To bogacz.

Zatoczyłem łodzią małe koło, po raz drugi przepłynąłem obok willi i przyjrzałem jej się powtórnie. Nos podpowiadał mi, że niewątpliwie jest to wymarzony zakątek do uprawiania wszelkiego rodzaju kantów i szwindli. Tak cholernie przytulny i tak całkiem na uboczu. Willa też się do tego nadawała. Na przykład do szmuglowania. Ale szmuglowania czego?

Ano, to już nie moja sprawa. Popłynąłem dalej.

- Co ci nasunęło myśl, że to posiadłość Leonida Kronitisa?

- Zwyczajne przeczucie - odparłem z uśmiechem.

Mała zatoczka zniknęła nam z oczu za cypłem. Ten sam cypel ukrywał przed naszym wzrokiem willę. Zauważyłem, że przytłaczające, cięższe od powietrza słońce wyraźnie zelżało. Na pełnym morzu pomarańczowy pływak Słodkiej Marie, nurkującej hipiski, także zniknął z widoku.

- Znasz go? - spytałem. - Kronitisa?

- No, tak. Chociaż bardzo słabo. Czasami przyjeżdża na wyspę na przyjęcia. Ale nie mieszka tutaj.

- Wiem. Ma wielką willę za Glauros, na kontynencie. Zgadza się?

Kiwnęła głową.

- Tak. Boże jedyny, Freddy Tarkoff miał rację, że wścibski z ciebie facet.

Przytaknąłem bez słowa i dokręciłem nakrętkę przepustnicy łodzi Sonny'ego o kilka obrotów.

Rozdział 14

Sonny Duval nie wrócił jeszcze z Aten.

Kiedy zawinęliśmy do przystani jachtów, Chantal poszła do domu, a ja zabrałem się do mycia łodzi. Sprawilo mi to taką samą frajdę jak rano.

Skończywszy robotę, wróciłem do domu i nalałem sobie whisky. Piliśmy ją do obiadu, plus trochę wina, lecz czułem, że muszę się jeszcze napić. Następnie zainstalowałem się na mojej stałej trybunie, by móc obserwować powrót Sonny'ego.

Jego motorówka nadpłynęła z rykiem silnika mniej więcej od strony Glauros na kontynencie. Na pokładzie znajdowała się zarówno Jane w brudnej bezkształtnej sukience, jak i dziecko z umorusaną buzią. Sonny skierował łódź wprost do basenu, zgasił silnik, podpłynął do wielkiego kaika na wprost mojego domu i przywiązał do niego motorówkę. W tym momencie wyniosłem się z werandy i obserwowałem resztę spektaklu przez drzwi balkonowe. Podejrzewałem, że przyjdzie mnie szukać, a nie miałem jeszcze ochoty na to spotkanie.

Trójka Duvalów weszła na kaik i zniknęła pod pokładem. Sonny miał ponury wyraz twarzy. Kilka minut później wyszedł z kabiny, wskoczył do swego skifa i ruszył na brzeg. W tym momencie kopnąłem się do sypialni na piętrze i położyłem.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, nie wstałem i nie otworzyłem. Po chwili dzwonięcie ustało, a ten, kto dzwonił, odszedł.

Bez specjalnego przekonania myślałem, że trzeba by wstać i wziąć prysznic, ale zrezygnowałem. Wyszuszonej sól wody morskiej przyjemnie szczypała moje nagie ciało. Po co ją zmywać?

Zapadałem w sen. Mój wewnętrzny komputer raz za razem przetwarzał nowe informacje dotyczące Kronitisa i niezmiennie podawał tę samą odpowiedź: brak dostatecznych danych. Mój instynkt starego gliniarza rozrastał się z wiekiem do granic paranoi. Co on mnie zresztą obchodził? Ten stary bogacz? Automatycznie myślałem o nim jako o starcu. Człowiek tak bogaty powinien być stary, nawet jeżeli nie był.

A co z Chantal? Co zrobię, jeżeli ten cały Girgis nie przestanie jej naciągać? Niczego jeszcze nie postanowiłem. Co mogłem mu zrobić?

A co z samą Chantal? Nie ulegało wątpliwości, że nadal mi kłamał. A jednocześnie broni swoich słodkich wdzięków jak tygrysyca. Ciekawe, jakich znów wybiegów i forteli użyje tej nocy?

Postanowiłem, że jeżeli jeszcze raz powtórzy dziś którąś ze swoich zagrywek, dam sobie z nią spokój raz na zawsze. W końcu nie zależało mi na niej aż tak bardzo. Jej proszone obiadki i kolacyjki nudziły mnie jak jasny gwint.

Chantal irytowała mnie. Żeby kobieta w jej wieku była tak bojaźliwa? A zresztą, czy aż tak mi na niej zależało?

Dalibyście wiarę, że istnieje zawadiaka ze Środkowego Zachodu, który dochował żonie wierności przez piętnaście lat? No więc to ja. A w ciągu ostatnich trzech z osiemnastu lat małżeństwa, które w związku z oziębieniem naszych stosunków raczej się nie liczyły, moje skoki w bok też należały do rzadkości.

Wciąż miałem wrażenie, że przegrałem z Joanie. To także była jedna z tych spraw, o których nie chciałem myśleć na Tsatsos. Joanie była zimna. Bóg jeden wie, jakimi uzdami i wędzidłami ją skrupowali, kiedy pierwszy raz wzięli ją pod siodło. Stała się jeszcze jedną z tych lwic salonowych. Odpowiedni dobór gości na kolację był zawsze na pierwszym miejscu. A w głębi tej kobiety kryła się całkiem inna, błagająca, żeby ją wypuścić, żeby mogła wyjść. Zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, bo tylko ja o tym wiedziałem.

Próbowałem ją rozbudzić, ale bez powodzenia. Może było to niewykonalne? A może nie potrafiłem tego dokonać dlatego, że byłem jej mężem? Doceniałem ironię faktu, że jakiś inny mężczyzna, któremu na niej nie zależało, mógł i prawdopodobnie osiągnął to, co mnie się nie udało. Lecz i tak bylibyśmy chyba razem, gdyby nie moja praca.

Chantal była dużo bliższa prawdy w swej ocenie naszych specyficznych amerykańskich stosunków niż miałbym ochotę przyznać przed kimkolwiek. Ale jak ją to ustawiało wobec mnie? Inne kobiety, które miałem w ciągu ostatnich trzech lat, traktowałem jednakowo. One się nie liczyły. Były albo dobre, albo nie tak dobre.

Seks stał się dla mnie niemal przegraną sprawą. Nie widziałem sposobu, żeby coś na to poradzić. Przeżyłem już większość z tego, co miałem do przeżycia. Byłem młody, nieśmiały i pokorny. Byłem dzikim, nie znającym skruchy łobuzem, z którym miłe panienki robiły wszystko to, czego nie chciały robić z przyzwoitymi, zakochanymi w nich chłopcami. W Denver mieszkalem przez dłuższy czas z dziewczyną, w której kochałem się jak szalony i którą zdradzałem w myśl teorii, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Po tej katastrofie byłem oddanym małżonkiem Joanie, wiernym przez piętnaście długich lat, i to też się nie sprawdziło. Seks i ja mieliśmy już siebie dość, w jakiś niemechaniczny, bezduszny sposób.

Mój senny umysł wysunął teorię, że Kronitis to w rzeczywistości przebrany Sonny Duval i że na koniec okaże się on właścicielem wszystkich trzech łodzi Sonny'ego.

Ziewnąłem. W stopniowo narastającym chłodzie uciałem sobie przedwieczorną drzemkę.

Rozdział 15

Kiedy się obudziłem, było ciemno choć oko wykol. Mój zegarek wskazywał dziesiątą piętnaście. Podniosłem się i usiadłem w ciemnościach na skraju łóżka.

Tawerna Dmitriosa po drugiej stronie pustej parceli tętniła życiem, światłami i gwarem. Kaik Sonny'ego także był oświetlony, podobnie jak i wszystkie inne zamieszkane łodzie w przystani. Odnosiło się wrażenie, że teraz, kiedy upał minął i nastąpiła noc, ludzie powrócili do życia i wyszli ze swych nor, gotowi do zabawy.

Stałem na odkrytej, nie zadaszonej werandzie sypialni, by odetchnąć wieczornym powietrzem, i ujrzałem, że „Agrophobe” wróciła. Najwyraźniej dopiero co zawinęła do portu. Była zalana światłem, a załoga wciąż nią manewrowała, starając się zacumować. Ktoś z załogi wsiadł do skifa i wiosłując skierował się do wału nadmorskiego, żeby obłożyć szpringi.

Stałem w ciemności, obserwując. Kiedy mężczyzna w skifie wiosłował z powrotem na jacht, potężny kapitan z wielkim tyłkiem, Kirk, zszedł pod pokład, wrócił z dziewięcioma czy dziesięcioma przedmiotami, przypominającymi zamrożone filety wołowe owinięte w biały materiał, i włożył je do worka marynarskiego. Znałem się na haszyszu wystarczająco, by wiedzieć, że tak właśnie wygląda on w hurcie. Kirk zniósł swój wielki tyłek i worek marynarski do szalupy jachtu i skierował się na molo przed tawerną. Cieszyłem się, że nie zapaliłem światła.

Na pokładzie załoga wciąż pracowała. Kirk zniknął z workiem na zwirowej ścieżce po drugiej stronie tawerny, ani razu nie wchodząc w krąg światła.

Chryste, patrząc na nich, wydawało się to takie proste.

Wróciłem do sypialni, nalałem sobie kielicha ze stojącej koło łóżka butelki i usiadłem z nim w ciemnościach. Prawie pewne, że Kirk miał powiązania z Girgiselem, że go zaopatrywał. Czy to znaczyło, że stary Kronitis pracował razem z nimi, z daleka obmyślając i finansując cały interes? Nie, nikt tak bogaty jak on nie bawiłby się w drobny przemysł z Girgiselem i Kirkiem. Chantal ani razu nie wspomniała o Kirku w mojej obecności.

Postanowiłem znowu zjeść kolację u Dmitriosa. Przechodząc przez podwórze zobaczyłem, że w ogrodzie Georginy hipisi urządzili sobie kolejną zabawę. Idąc w ciemności wzdłuż wału nadmorskiego, słuchałem dolatujących dźwięków. Zanim jednak dotarłem do tawerny, wielka postać Sonny'ego Duwała zagroziła mi drogę.

- Cześć! Wróciłem z Aten. - W jego ustach zabrzmiało to jak doniesienie o epokowym wydarzeniu.

- Właśnie widzę. - Sięgnąłem do kieszeni. - Masz kluczyki.

- A jak z łodzią, wszystko grało?

- Tak. Na medal. Nie rozbiłem jej.

- Widziałem, że wymyłeś ją jak się patrzy.

- Zawsze tak robię.

Sonny poruszył lwia głowę.

- Jasne, nie wątpię.

- Przywiozłeś swoją dziewczynę całą i zdrową? - Zrobiłem ruch, jakbym chciał przejść dalej. Miałem ochotę na spokojną, samotną kolację i chwilę rozmyślań o wyspie. Sonny jednak dotrzymał mi kroku.

- Naturalnie. Chociaż musiałem pogadać sobie z Conem Taylorem. A właśnie, z tobą też chciałbym pogadać.

Już i tak byłem rozdrażniony, a teraz zjeżyłem się jeszcze bardziej. Prośba, żeby z kimś „pogadać”, zawsze zapowiada coś złego. W ciągu jednego dnia zdążyłem zapomnieć, jak dziecinny i niedojrzały potrafi być Sonny.

- Tak? - mruknąłem. - A o czym?

- O paru sprawach.

Bomba. Pogadajmy. O paru sprawach. To zapowiadało się jeszcze gorzej. Dotarliśmy do tawerny. Zająłem wolny stolik nad samą wodą i skinąłem na kelnera.

- Można? - powiedział Sonny i też usiadł.

Wyglądało na to, że tu wszyscy mnie tak traktują. Widać mam w sobie coś takiego.

- A jeśli nie, czy to coś zmieni?

Wyszczерzył tylko zęby.

- Więc jak mówiłem, uciałem sobie dłuższą pogawędkę z Conem Taylorem.

- I co zrobiłeś? Złałeś go?

- To ty byś w ten sposób postąpił.

- Może tak. A może nie. Zależy.

- W każdym razie ja go nie zlałem. Nic z tych rzeczy. Ty jednak nic nie rozumiesz. Moim zdaniem mężczyzna nie powinien grozić dziewczynie, że popełni samobójstwo, jeżeli go opuści. A według ciebie?

- To Con jej groził? Nie wygląda mi na takiego - powiedziałem. Sonny uniósł dłoń, lecz dokończyłem: - Georgina przedstawia to nieco inaczej.

- Naturalnie, że Georgina przedstawia to inaczej. - Przerwał. - I nie wolno ci powtarzać jej tego, co teraz usłyszałeś. - Położył mi dłoń na ramieniu, by podkreślić wagę swych słów, i spojrzał mi głęboko w oczy, upewniając się o mojej wrodzonej uczciwości i przyzwoitości.

Kiedy już się upewnił, przeszedł do wyjaśnień, że on i Jane postanowili puścić ten incydent w niepamięć. Będą w stosunku do Taylorów uprzejmi, nie ignorując ich, ale też nie przestając już z nimi tyle co dotychczas.

- A właśnie, gdzie jest Jane? - spytałem. W pewnych sytuacjach ludzie zachowują się w sposób tak łatwy do przewidzenia. Sonny nie okazał się wyjątkiem.

- Jest na łodzi. Uznałem, że powinna tam zostać przez kilka dni.

- Za karę, co?

To go zezłościło.

- Nie. Nie za karę. Ja nie stosuję kar wobec Jane. Wszystko to stara śpiewka, człowieku. Nastaly nowe czasy. - Jego twarz jakby się rozchmurzyła. - Ale co sądzisz o takim rozwiązaniu? O tym, co mówiłem?

Zaczynało mnie to już poważnie irytować. Żadne z nich nie potrafiło wbić sobie do głowy, że nie obchodzą mnie ich układy i układziki. W dodatku kelner, który do tej pory stał z boku, cierpliwie czekając na zamówienie, właśnie odszedł z pustymi rękami.

- Słuchaj. Powiem ci, co ja myślę. Myślę, że wy tu wszyscy macie fioła. Wszyscy na całej tej wyspie. Może woda jest tu nie w porządku, czy co. Kiedy dwoje ludzi idzie ze sobą do łóżka, podejmują wielkie ryzyko, że się zaangażują. Dziewięć razy na dziesięć tak się to kończy. Przynajmniej dla jednej strony. Chyba że za to płacą. Ale nawet i wtedy się angażują, i nie zmieniają tego żadne „nowe czasy” ani żadna dęta filozofia.

- My już to zmieniliśmy.

- Nic podobnego. Jeżeli tak myślisz, to tylko oszukujesz sam siebie. A teraz odejdz i pozwól mi zjeść kolację, dobrze?

- Ależ my naprawdę to zmieniliśmy. Gadasz jak facet żywcem wyjęty z ubiegłego stulecia. Nie jesteś dużo starszy ode mnie. Obudź się, człowieku. Nadażaj za czasem.

Zacisnąłem wargi i nabrałem tchu.

- Posiadanie - rzekłem spokojnie. - Chęć posiadania. Tego nie da się tak łatwo wymazać. Nie można tego tak po prostu zdmuchnąć. Kilka źle napisanych dętych manifestów tego nie zmieni.

- To już się zaczyna. Dziś na uniwersytecie, jutro na całym świecie! - Uniósł zaciśniętą pięść i roześmiał się.

- Gówno prawda! - warknąłem. - Słuchaj no, zmyjesz ty się wreszcie i dasz mi zjeść?
Zmyj się, dobrze?

- Nie złość się już, nie złość. - Wstał pojednawczo. - Pogadamy później, jak będziesz w lepszym nastroju.

Nie odpowiedziałem, więc zostawił mnie i odszedł. Dałem znak kelnerowi.

- Zobaczymy się jutro z samego rana! - krzyknąłem za nim.

Na kolację dostałem taką samą jagnięcą breję, opływającą tłuszczem. Tym razem suto przyprawioną cayenne. Lubię cayenne. Sałatka z pomidorów i koziego sera też była smaczna. Kiedy zjadłem, przez jakiś czas stałem na molo. Kaik Sonny'ego był oświetlony. Światła i muzyka dolatywały z podwórza Georginy i z sutereny. Stałem obserwując ich wszystkich i rozmyślając.

Miałem prawie półtorej godziny do zabicia. Za tawerną Dmitriosa, ukryty po drugiej stronie cypla, znajdował się jeszcze jeden klub nocny. Dudniąca przez wzmacniacze muzyka niosła się aż do mnie na molo. Odwróciłem się i ruszyłem w tamtą stronę. Był to krótki spacer. Cypel tworzył zatoczkę, wzdłuż której stały baraki budowniczych jachtów. W nocy jeden z nich służył także za klub.

Olbrzymie, podwójne drzwi rozsunięto, by zrobić miejsce na scenę. Na lekko pochyłej, wysypanej żwirem rampie pomiędzy drzwiami a wodą ustawiono krzesła i stoły. Kiedy wszedłem, trzech młodzi Amerykanie rzępolili akurat rocka. Za ledwie trzy stoły były zajęte. Przy jednym siedział Girgis, nachylony nad swoją nową blondynką. Przy drugim zasiadał Jason, paryski „gwiazdor”, w towarzystwie dwóch hipisów i jednej dziewczyny. Przy trzecim Słodka Marie, pływaczka, siedziała z jakimś niechlujnie ubranym hipem.

Zawahałem się i omal nie wyszedłem. Zastanowiłem się jednak, usiadłem przy stoliku i zamówiłem whisky.

W chwili, gdy kelner mi ją podawał, zza rogu przystani wioślarskiej wyszła na ścieżkę wysoka, długowłosa postać. Mężczyzna. Wszedł w krąg światła i zatrzymał się, spokojnie lustrując cały lokal. Jak gdyby znajdując to, czego szukał, spojrzął wprost na mnie.

Z pewnością już go gdzieś spotkałem, prawdopodobnie nawet mi go przedstawiono. Może był wtedy u Georginy po południu. Miał długie włosy, elegancko przedzielone na boku i opadające swobodnymi falami na ramiona. Z całej jego postaci biła jakaś nienaturalna elegancja. Nosił wąsy à la Gould i krótko przystrzyżoną brodę. Jego oczy błyszczały nawet w tym mizernym oświetleniu. Wciąż skierowane były na mnie; on jednak, zamiast podejść, leniwie odwrócił głowę, odezwał się do kogoś za swoimi plecami i dwie kobiety weszły za nim w krąg światła.

Mężczyzna prowadził je nie oglądając się za siebie. Przechodził leniwie między stolikami. Widać było, że jego towarzyszki to matka i córka. Dziewczyna ledwie dobiegała szesnastu lat. Żadna z nich nie miała elegancji i opanowania mężczyzny. Zaprowadził je do najbardziej odległego stolika, i znów spojrzał na mnie.

Ludzie, którzy się na mnie gapią, działają mi na nerwy. Zastanawiałem się, czy nie podejść do niego i go nie objechać.

Ale właśnie wtedy Słodka Marie wstała od swojego stolika i hipisa i ruszyła w moją stronę. Wciąż była wysoka i szeroka w ramionach, wciąż długonoga, a jej wygląd wciąż usprawiedliwiał jej przydomek. Wciąż była wspaniale zbudowana. Nie poruszała się jak modelka, raczej sunęła niczym jakiś wielki, niebieski dźwig. Ale mając takie wyposażenie, nie musiała się poruszać jak modelka.

Stwierdziłem, że w tym wydaniu podoba mi się jeszcze bardziej niż w skafandrze.

Odpężyłem się i rozparłem na krześle.

Rozdział 16

Marie zatrzymała się; stała przed moim stolikiem na swych długich nogach, uśmiechnięta. W jej uśmiechu było nieustające drżenie. Miała na sobie tylko dżinsy i bawełniane koszulę. Żadnych majtek, żadnego stanika. Ale na jej ciele i dżinsy, i bawełniana koszula wyglądały zupełnie inaczej.

- Cześć! Mogę się przysiąść?

Odsunąłem dla niej krzesło stopą.

- Czuj się jak u siebie w domu. Patrząc na ciebie, jak tu szłaś, zrozumiałem, dlaczego nazywają cię Słodką Marie.

Splonęła rumieńcem.

- To słodkie. Dzięki. Ale w tej chwili nie czuję się specjalnie słodko. Tak w ogóle, to nazywają mnie tak właśnie dlatego, że ciągle używam słowa „słodki”. Jak przed chwilą. - Miała co najwyżej dwadzieścia dwa lata.

- W czym problem? - zapytałem.

- Chciałam przeprosić. Myślałam o panu przez całe popołudnie, odkąd się poznaliśmy, i mam wrażenie, że rano na morzu byłam okropnie nieobecna, więc przepraszam.

- Nie ma o czym mówić.

- Ale nie mogłam sobie wybić pana z głowy. Widać, że pan tak lubi nurkować i widać, że tak się pan na tym zna. Dlaczego pan tego nie robi częściej?

- Bo trzeba mieszkać tam, gdzie jest woda.

- Może pan nurkować tutaj.

- Nie ta forma. Zanim bym ją odzyskał, musiałbym się już zbierać.

Za nami, przy stoliku wysokiego mężczyzny, wybuchła nagle głośna kłótnia. Odwróciliśmy się w samą porę, by ujrzeć, jak starsza z kobiet wstaje, krzycząc coś. Wysoki facet też podniósł się niedbale, w milczeniu.

Kobieta wrzeszczała bez przerwy. Słowa „skurwysyn jebany”, wykrzykiwane kobiecym głosem, wybijały się z rozgardiaszu. Nagle kobieta odchyliła się i z całej siły uderzyła mężczyznę w skroń. Nie wyglądała na słabeusza, lecz na nim nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Wciąż krzycząc, kobieta zabrała swą córkę, która siedziała załamując ręce, i odmaszerowała z nią po żwirze rampy na ścieżkę. Wysoki facet spokojnie usiadł z powrotem i uniósł szklanę.

- Powinna sobie wybrać kogoś swojej wagi - zauważyłem. - Kim jest ten facet?

- O, to po prostu Pete - odrzekła Marie. - Nie zna go pan? To przedziwna historia. Zjawił się tu w zeszłym roku pod koniec lata, całkiem sam. Bez przyjaciół. Miał sporo szmalu. Poznał ją i jej córkę i zaczął dmuchać mamusię. Mamusia lubiła szmal. Córka była jeszcze dzieckiem. Ale nagle wyrosła. Tymczasem on cały szmal przepuścił. A starsza pani zaczęła chlać po wszystkich barach z rybakami. Więc Pete zaczął dmuchać córeczkę. Teraz mamusia znalazła sobie innego rybaka, najwyraźniej przy forsie. Ale nie chce, żeby Pete miał jej córkę.

- A Pete zniżył się do tego, że gania z haszyszem dla jakiegoś tutejszego kombinatora - dorzuciłem. Przypomniałem go sobie. - Georgina opowiada mi wszystko o wszystkich.

Marie uśmiechnęła się.

- A co panu opowiedziała o mnie?

- Noo - rzuciłem przeciągle. - Ty też ganciasz z haszyszem. Dla Girgisa. W sezonie letnim. Sprzedajesz ryby, które upolujesz. Zarabiasz dosyć na życie. W zeszłym roku zostałeś tu przez całą zimę. - Przerwałem. - To wszystko.

- Nic więcej panu nie mówiła?

- To wszystko, co sobie przypominam.

- Nie mówiła panu, że spałam ze wszystkimi na wyspie? I z chłopakami, i z dziewczynami? Pojedynczo i grupowo?

- Tego sobie nie przypominam.

- A ja myślę, że pan zwyczajnie jest dla mnie słodki, panie Davies.

- Co w tym złego?

- Nic. Tyle że nie jestem przyzwyczajona. - Ciągłe się uśmiechała swobodnym, niewymuszonym uśmiechem. - Zresztą zwykle tak właśnie o mnie mówią. - Fakt faktem, że jej słowa były niemal wierną kopią słów Chantal. - Rzecz w tym, że to prawda. No, może prawie. Okropne, co?

- Nie lada reputacja. Jest o co dbać.

Z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Cóż, miejscowi bardzo mi w tym pomagają.

- Mnie bardziej interesuje to twoje bieganie z haszyszem.

- O, to nic takiego. Znam większość studentów.

- To są sami studenci?

- Nie. Niektórzy... Girgis ma fioła na punkcie tego, żeby nie pokazywać się z, jak on to mówi, hiiiipisami. Więc dostarczam towar za niego. Dobrze mi za to płaci.

- A Kirk go zaopatruje?

- Tak. W lecie. Wtedy jest dużo większy popyt, jak są tu te wszystkie dzieciaki. Girgis sam sprowadza towar, kiedy może, ale ma mnóstwo innych zajęć z turystami. Więc Kirk przywozi mu go na „Agoraphobe”.

- Miły, prosty sposób zarobienia paru groszy.

- Właśnie. - Marie uśmiechnęła się tym swobodnym, lecz zawsze nieco drżącym uśmiechem. - Ale mnie bardziej interesuje pan. Powinien pan to robić częściej. Znaczy się, nurkować. Dlaczego pan tego nie robi cały czas?

- Jesteś dziś drugą osobą, która mnie o to pyta.

- Ale ja nie żartuję. Znaczy się, dlaczego nie rzuci pan tej swojej roboty - pracy detektywa - i nie zacznie po prostu nurkować? Skoro tak pan to kocha?

- Obowiązki - odparłem lakonicznie.

- Pan jest żonaty?

- Żona i dwoje dzieci.

- No, to przynajmniej ma pan żonę i dzieci. - Na jej twarzy pojawił się nagle nieskrywany smutek. Nie potrafiła maskować swych uczuć tak samo, jak nie potrafiła ich nie odczuwać. - To bardzo dużo. Niech pan tego nie zmarnuje.

- Tyle że ja właściwie tego nie mam.

- Rozwód.

- Ano. Ale wciąż muszę płacić. - Uśmiechnąłem się niewesoło. - Nie chciałabyś chyba, żeby przeze mnie obie moje córki nie skończyły szkoły?

- Ma pan dwie dziewczyny? - Po chwili, kiedy skinąłem głową, dorzuciła: - Pewnie mi pan nie uwierzy i pewnie się pan wścieknie, ale między innymi dlatego nie mogłam sobie pana wybić dzisiaj z głowy, że przypomniał mi pan ojca. Założę się, że jest pan wściekły.

Wydałem wargi z udanym smutkiem.

- Prawdę mówiąc, wcale nie. Chcesz powiedzieć, że twój stary był gliną?

- Cieszę się, że pan się nie wściekł. Nie, nie. Nie w tym rzecz. Nie był gliną.

- No, zawsze to jest za co dziękować.

- To nie dlatego, że pan jest gliną. To z powodu... pańskiego ja. To pan, taki, z jakim rozmawiałam, kazał mi o nim myśleć. - Nagle jej usta zadrżały. - Pan naprawdę sprawił, że tyle myślałam o tacie, panie Davies. A teraz wszystko to nagle powróciło. - Jej usta znowu zadrgały. - Jestem z Kalifornii. Ale moja rodzina pochodzi z Iowy - rzekła wysokim, załamującym się głosem. - To się zważyło na mnie tak niespodziewanie. Mój tata, nasz dom, podwórko i ulica, i dzieciaki z ulicy, i moja szkoła, i... Odkąd pana ujrzałam, nie przestaję o panu myśleć. - Szybkim ruchem przetarła najpierw jedno, potem drugie oko.

- Hejże, hejże! - rzuciłem. Błyskawicznie nabierałem sympatii do tej dziewczyny. Nagle ogarnął mnie przestach. - A to co znowu, jakaś nowa metoda na podryw?

- To wcale nie było słodkie, panie Davies - powiedziała Marie. Zdobyła się na drżący uśmiech.

Zdawało się, że otworzyła przede mną twarz. Jak mawiają małolaty, wywalą wszystko na pokaz.

Albo ta dziewczyna żyła z dnia na dzień na skraju załamania, albo ciągnęła od jednego wstrząsu nerwowego do drugiego, albo też z sobie tylko wiadomych powodów potrafiła włączać się i wyłączać jak kontakt.

- Masz rację - przyznałem. - To nie było słodkie. Przepraszam. Prawdę mówiąc, jestem dość stary, żeby być twoim ojcem. Rok w te czy wewte.

- Coś w pana oczach, ta uczciwość, z jaką spogląda pan na każdego, tak przypomina sposób, w jaki mój ojciec patrzył na ludzi. - Nagle wzdrygnęła się gwałtownie. - Od tej pory przez cały czas wałkuję swoje życie. Co się z nim stało? Jak doszło do tego, że tak się spaskudziło? O rany, sama już nie wiem.

- A spaskudziło się?

- Widzi pan tego chłopaka tam? Tego w okularach? Tego, z którym tu jestem? Żyję z nim. W tym miesiącu. W tym tygodniu. Przez te dwadzieścia cztery godziny. Nazywają go Powolny John. A wie pan dlaczego? Kwas. Bierze za dużo kwasu, zbyt długo. Jest bardzo bogaty. Ale to ameba. Poderwał mnie tego lata, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy. Ma mnóstwo pieniędzy, i co z tego? Wiem, że pewnego dnia, prędzej czy później, ruszy się i odejdzie... kiedy Tsatsos go znudzi, albo jakiś inny bodziec popchnie go w innym kierunku.

- Kochasz go?

- Tak. Nie. Nie wiem. Czy to ważne? Co za różnica? Pytanie bez sensu. On mnie nie kocha. Nie kocha nikogo. Nie potrafi. To ameba, i za bardzo przejmuje się swym duchowym szczęściem, i swoimi pieniędzmi. On kocha siebie. A ja wciąż będę siedziała tutaj na Tsatsos. Tylko czasem się zastanawiam, gdzie się to wszystko podziało? Co się z tym wszystkim stało? Kiedyś myślałam, że to taka wspaniała zabawa. Dlaczego to się tak skończyło?... Gdyby nie nurkowanie, czasami... Poza tym...

- Hola! - rzuciłem.

Nie zwróciła na mnie uwagi.

- Poza tym to orgiasta. Inaczej mu nie staje. Lubi mieć więcej niż jedną dziewczynę naraz. Dobra, w porządku. Nie ma sprawy. Jadłam chleb z niejednego pieca, panie Davies. Proszę mi wierzyć. Ale przychodzi w życiu taki czas, kiedy człowieka męczą już te wszystkie

gierki, całe to gówno, i chce się czegoś innego, i człowiek się zastanawia, gdzie się to wszystko podziało.

Zamilkła. Nareszcie. Ja także milczałem, oszołomiony jej wybuchem.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - odezwałem się cicho po dłuższej chwili. - Jeżeli prosisz mnie o radę. Czasami ja sam zadaję sobie to samo pytanie. Gdzie się to wszystko podziało? Nic nie wyszło tak, jak miało być, jak to sobie człowiek wyobrażał. Ale ja nie znam odpowiedzi. Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

Dziewczyna znowu przetarła ręką oczy.

- Jejku, ja wcale nie chciałam panu tak truć. Nie wiem, co mi się stało. Pan ma w oczach coś takiego. Przepraszam, naprawdę. To chyba zapłata za to, że przez pana myślę o ojcu.

- Chciałabyś pójść gdzieś porozmawiać o tym jeszcze?

- Nie. Nie mogę. Naprawdę nie mogę. Ale to słodkie, że pan zapytał. Po prostu nie mogę. On tam siedzi. Stary Powolny John. - Spojrzała na mnie przeciągle, niespodziewanie wyciągnęła obie ręce i uściskała mi dłoń. - Naprawdę nie mogę. Ale czy mogłabym jeszcze kiedyś przyjść pogadać z panem, jak pan tu zajrzy? Pan jakoś tak dobrze na mnie wpływa.

Odpowiedziałem jej równie przeciągłym spojrzeniem.

- Jasne, jeśli ci to w czymś pomoże.

- Boże, czyżbym na stare lata nabrała upodobania do kazirodztwa? - Marie odrzuciła do tyłu włosy i roześmiała się, lecz śmiech ten zabrzmiał nieszczerze. - Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym kiedyś do pana zajrzała?

Podniosła się, znowu przecierając oczy. Uświadomiłem sobie nagle, że przez cały czas oboje mówiliśmy niezwykle cicho, zupełnie jakby to była zwyczajna rozmowa. Zdziwiłem się.

- Przepraszam, naprawdę - powiedziała. - Proszę mi wybaczyć.

Machnąłem ręką.

- W końcu po to mam szerokie ramiona.

- Mój tata powtarzał mi to samo. O jejku! Pan naprawdę... No, to do zobaczenia. - I umknęła swym długonogim, niemal źrebięcym chodem.

Siedziałem wpatrzony w szklanke.

Miałem uczucie, że przeszło tornado. Potem zawsze następuje głęboka cisza i spokój, lecz jest to spokój pełen wyjących nerwów, połamanych zębów i kończyn, zwalonych drzew i rozbitych domów, samochodów i głów, a w oddali zawsze czeka karetka pogotowia: ktoś jest ranny. Taki to był spokój.

Nagle wydałem wargi. Wydałem je ponownie, wypuszczając powietrze z długim westchnieniem. Czułem się strasznie pobity, strasznie przegrany. Strasznie bezsilny, niezdolny pomóc komukolwiek. Strasznie stary.

Rozdział I 7

Nie byłem w najlepszym nastroju do rozmowy z brodatym gościem, który podszedł do mojego stołu.

Prawdę mówiąc, miałem właśnie wyjść, lecz moją uwagę zaprzętnął śpiewający gwiazdor Jason, którego zaczepił przy stoliku jeden z trójki kościstych Amerykanów produkujących się na estradzie, prosząc go o zaśpiewanie piosenki. Jason odmawiał, lecz tamten nalegał, wobec czego wszedł na estradę i ujął gitarę. Przepuszczony przez wzmacniacz, jego głos był o wiele silniejszy, bardziej nośny. Nie ulegało wątpliwości, że Jason jest o niebo lepszy od kościstego tria, którego członkowie, jak się później dowiedziałem, nie tylko sami dostarczali sprzęt grający, lecz jeszcze płacili właścicielowi baraku za przywilej grania w jego lokalu.

I właśnie gdy Jason grał na estradzie, wysoki, długowłosa mężczyzna wstał i ruszył w moją stronę. Kiedy stanął przy stole, uświadomiłem sobie, że wcale nie jest wyższy ode mnie, sprawia tylko takie wrażenie.

- Mogę się przysiąc na chwilkę?

Patrzyłem na niego bez słowa. W tym momencie nie byłem zbyt życzliwie nastawiony do świata i ludzi.

- Właściwie to czemu nie - powiedziałem w końcu. - Tu każdy się do mnie przysiąda, kiedy chce.

Niespecjalnie się tym przejął. Uśmiechnął się i bez pośpiechu opadł na krzesło.

- Pewnie mnie nie pamiętasz. Ale ja cię widziałem wczoraj u Georginy. A dzisiaj rano siedziałem przy stoliku na placu.

- Pamiętam cię - odburknąłem. - Masz może jakieś imię?

- Jestem Pete - odparł z uśmiechem.

- Bomba. A może masz do kompletu jeszcze jakieś nazwisko?

Wzruszył ramionami.

- Tutaj nie mają nabożeństwa do nazwisk. Ale nazywam się Gruner. Pytałem o ciebie u Dmitriosa. Powiedzieli, że może tu będziesz.

- No i jestem. O co chodzi?

- Chciałem cię poznać. - Złożył zamówienie u kelnera.

- Ta twoja przyjaciółka jakoś się nie paliła, żeby mnie poznać - powiedziałem ze złośliwym uśmieszkiem.

Na scenie Jason zakończył swój numer i przy skromnych brawach wrócił do stolika. Na dobrą sprawę był zbyt wiotki i sterany, by utrzymać gitarę. A co dopiero grać na niej i śpiewać. Jego pokolenie pewnie dziękuje Bogu za wzmacniacze i wszystkie te elektroniczne wynalazki.

- Ach, ona. Ta to nigdy nie chce zrobić ani zobaczyć nic interesującego - rzekł Pete. Mówił jak człowiek, od którego wymaga się, żeby zachowywał konieczny, lecz nieciekawy kamuflaż.

- No więc mnie poznałeś. Czego chcesz?

- Zwyczajnie, poznać cię.

- Powiedz no mi z łaski swojej, Gruner, czym ty się zajmujesz? W jakiej branży robisz? - Byłem przekonany, że już to zwietrzyłem.

- Raz w tej, faz w tamtej. Jestem uciekinierem z agencji reklamowej na Madison Avenue. - Brzmiało to trochę jak z góry przygotowane przemówienie. - Nie podobało mi się życie. Ameryka też mi się przestała podobać. Więc wyviałem do Europy. Jestem kukiem. Na jachtach. Przez jakiś czas pracowałem z francuską ekspedycją archeologiczną, jako kuk i pomagier.

- I co się z nimi stało? - zapytałem. - Bo mam wrażenie, że coś się im przytrafiło.

- No cóż, okazało się, że produkują czystą heroinę. Na bazie czystej morfiny. Towar z Turcji. Nawet nie miałem o tym pojęcia. No i... nakryli ich. Na szczęście tuż przedtem rozstałem się z nimi. Potem robiłem na paru prywatnych jachtach.

- Bardzo ciekawe. - Nagle wróciłem do swojej starej skóry, starego zawodowca. Niespiesznie pociągnąłem ze szklanki. - Czy wszystkim tu opowiadasz tę samą historię?

- Jasne. Bo co?

- I oni ci wierzą? Chryste! - Znowu upiłem łyk. - Wiesz, czym mi śmierdzisz, Gruner? Śmierdzisz gliną.

Pete zaśmiał się chłodno, z rozbawieniem unosząc brwi.

- A czym śmierdzą gliny?

- Starością - odparłem i zarechotałem nieszczerze. - Obolałymi plarfusami. Frustracją. Bo albo zbyt często flekują ludzi bez żadnych wyników, albo nieustannie łażą w ciasnych butach, żeby im pomóc, i też bez rezultatów. Śmierdzisz Urzędem Skarbowym, CIA albo Wydziałem Narkotyków.

Pete wciąż się uśmiechał.

- To nie ja.

- Nie jesteś gliną?

- Nie, nie jestem. A gdyby nawet, to nie sądzisz chyba, że bym ci o tym powiedział, co?

Spodziewał się, że przyznam mu rację. Ale nie miałem ochoty. Patrzyłem na niego w milczeniu. Trzej młodzi Amerykanie znów grali złą muzykę.

- Czego chcesz ode mnie?

- Niczego. Zastanawiam się tylko, czy nie sprowadziło cię tu coś konkretnego. A może tak się ogólnie rozglądasz? Albo co? I dla kogo?

- Jestem na wakacjach.

- Jasne. Słyszałem. Się wie, że każdy prywatny glina z Ameryki, jak już trafi do Aten, wybiera sobie Tsatsos na spędzenie wakacji. Jesteś prywatnym gliną?

- Chcesz zobaczyć moją legitymację?

- Ja? Nie. Ja nie mam żadnej władzy, człowieku. Jak mówiłem, jestem uciekinierem. Pracuję jakiś czas, póki nie odłożę trochę forsy. Potem przyjeżdżam tu i zostaję, aż całej nie przepuszczę. Ale ja tu mieszkam, człowieku. Więc jestem ciekawy.

- Tak, mieszkasz tutaj, i akurat tu, gdzie mieszkasz, trafia całe mnóstwo haszu. Ale to cię chyba specjalnie nie interesuje, prawda? Co innego heroina.

Uśmiechnął się i postanowił udawać, że mnie źle zrozumiał.

- Nic nie wiem o heroinie i mnie to nie interesuje. Nigdy jej nie brałem. Chociaż od czasu do czasu lubię sobie zapalić trochę haszu. Ale umiarkowanie. Heroina to kiepskie lekarstwo. - Nie brakowało mu zimnej krwi pod tą krótką brodą.

Ciekaw byłem, jak by zareagował, gdybym mu powiedział, co mój stary nos rodem z ubiegłego stulecia zaczął wietrzyć podejrzenie wokół imię Leonida Kronitisa.

- Heroina to kiepskie lekarstwo - zgodziłem się. - Ale nigdy się nią nie zajmowałem. Nie łączyła się z żadną sprawą, którą prowadziłem. Czy to cię jakoś urządza?

- Nie za bardzo. - Szkoda gadać, wesołek z tego Pete'a. - Możliwe natomiast, że pomogłaby mi informacja, dlaczego amerykański prywatny glina, znalazłszy się po raz pierwszy w życiu w Atenach, decyduje się spędzić miesiąc wakacji na wyspie Tsatsos, o której mało kto słyszał poza milionerami, hipisami i rodowitymi Ateńczykami.

- Może i ja znam milionera. Niewykluczone.

- To by wszystko tłumaczyło.

Nie podobał mi się jak cholera ten jego natrętny styl bycia.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Jeszcze nie wiem czy tak, czy nie. Zależy.

- No więc ci powiem - rzekłem konfidencjonalnie. - Znalazłem ją. Sam. Chcesz wiedzieć jak?

- Jak?

- Z palcem na mapie. I co? Może być? Wyciągnąłem starą mapę, zamknąłem oczy i bach! Tsatsos. Starczy ci to za odpowiedź?

- Jasne. To jest odpowiedź. No - wstał, nadal uśmiechnięty, i położył pieniądze na stole - to za moją whisky. Tu każdy płaci za siebie. - Skinął głową do tyłu, wskazując miasteczko. - Jeszcze się zobaczymy.

- Możesz mnie sobie oglądać jeszcze dokładnie przez dwa tygodnie, góra trzy. Póki mi się nie skończą wakacje. Jeżeli tu tyle wytrzymam.

W milczeniu skinął głową. Wciąż uśmiechnięty. Niewątpliwie było mu do twarzy w tym hipisowskim stroju. Bez pośpiechu, z całym szacunkiem dla siebie, odszedł w stronę ścieżki.

Skinąłem na kelnera i zapłaciłem. Ja także skierowałem się ku ścieżce. Marzyło mi się, by poruszać się choć w połowie tak dziarsko jak Pete, ale wiedziałem, że nic z tego. Marie pomachała mi od stolika.

Na drodze wszyscy już zniknęli. Nie było nikogo - ani Pete'a, ani matki z córką, ani dorożek, nic. Ruszyłem z powrotem do tawerny Dmitriosa.

Ano. Otóż i kolejna niespodzianka. Pete Gruner. Gliniarz - uciekinier. Droga eliminacji wywnioskowałem, że najprawdopodobniej był od narkotyków. Nic nie wskazywało na to, by w okolicy rozgrywały się jakieś afery polityczne, wymagające obecności CIA. Czy Urząd Skarbowy wysyłałby swojego człowieka, by śledził tu w lecie amerykańskich milionerów? Nieprawdopodobne, nieskuteczne. A więc prawie pewne, że był od narkotyków, a to oznaczało heroinę.

Czyżby odbywał się tu jakiś handel heroiną na większą skalę? Girgis i Kirk nie bawiliby się w rozprowadzanie detalicznych ilości haszu, gdyby byli zamieszani w przemyt heroiny na wielką skalę. A Kronitis? Człowiek tak bogaty? W tak ryzykownym interesie? Nie wydawało mi się to logiczne.

A może Pete Gruner zwyczajnie podróżował i węszył gdzie popadnie, bez żadnego upatrzonego celu? Prawdopodobnie na te wszystkie wysepki, położone tak blisko Turcji, docierało mnóstwo rozmaitego towaru. A może po prostu śledził narkomanów, licząc, że zaprowadzą go do dostawcy? Ilu ćpaczy hery mogło przebywać na budowie na wzgórzu? - pomyślałem nagle. Kilku niewątpliwie tak. Ten chłopak Marie, Powolny John. Leci na

kwasio. Jest bogaty. To niemal naturalny kandydat do brania hery. A skoro było tam paru takich, pytanie, skąd mieli towar? Może właśnie nad tym pracował Gruner?

Cholera, coraz bardziej przypominało to moje podwórko w East Village.

I dlaczego sam mnie zaczepił i tak się wsypał? Może nie przewidział, że się wsypie? Ale nie zdenerwował się, bynajmniej, kiedy się połapałem co i jak. Z drugiej strony, komu mogłem o nim powiedzieć? Marie, Georginie, Chantal? Ambasadorowi Piersonowi? Kogo tu jeszcze znałem? I kto by mi uwierzył?

A może właśnie zależało mu na tym, żebym komuś powiedział? Jakiejś grubej rybie, dla której, jak sądził, pracowałem? Żeby kogoś wypłoszyć?

Wszystko to nie miało najmniejszego sensu. Przede mną światło padające z tawerny Dmitriosa przeobraziło się z nieokreślonego blasku w serię odrębnych światełek. Teraz już nie dolatywały stamtąd żadne hałasy, dochodziła północ.

Wszedłem w krąg światła padającego z wiszących lamp, myśląc o tym, że wkrótce znajdę się u Chantal, gdy naraz na przeciwległym krańcu światła ujrzałem olbrzymiego kapitana „Agoraphobe” - Jima Kirka.

Dziwny miał układ ten lokal Dmitriosa. Przede wszystkim dlatego, iż jednopasmowa droga ciągnąca się wałem nadmorskim przecinała tawernę na pół, że tak się wyrażę. Droga ta, z ubitego piachu i żwiru, biegła wzdłuż frontu budynku, tak że kelnerzy chcąc dostać się do stolików usytuowanych nad samą wodą musieli przechodzić na jej drugą stronę. Dorożki oraz nieliczne służbowe jeepy i ciężarówki w każdej chwili mogły przejechać, gdy byłeś w trakcie kolacji, zostawiając ci na talerzu warstwę pyłu.

Tak więc Kirk i ja staliśmy na przeciwnych krańcach światła z tawerny, po dwóch stronach tej jednopasmowej drogi, która przecinała ów lokal niczym tunel. Wyglądało to jak doskonale wyreżyserowana scena pojedynku z greckiego westernu. Tyle że ja nie miałem przy sobie sploty.

Kirk nic nie robił. Stał w miejscu, gapiąc się na mnie. Prawdopodobnie świetnie wiedział, gdzie i kiedy się pojawię, choć nie mogłem być tego stuprocentowo pewny.

Lokal nie był przepełniony, ale też i nie pusty. Nad wodą zajęte były trzy albo cztery stoliki i tyleż samo w jasno oświetlonym, otwartym i zadaszonym patio na tyłach budynku tawerny.

Nagle Kirk zaczął płaszać. Wymachując ramionami nad głową, podskakiwał na czubkach palców, przygarbiony niczym karzeł. Jego twarz wykrzywiał szeroki, obleśny uśmiech.

Kirk był potężnie zbudowany, lecz niewysoki. Mierzył nie więcej niż pięć stóp i dziesięć cali. Był jednak nieprawdopodobnie szeroki, tak w ramionach, jak w biodrach, a mięso dosłownie go rozsadzało. Zdawało się, że jego głowa na wysokości uszu jest węższa od karku.

Bez dwóch zdań w tym momencie wyglądał dziwnie. Z nogami jak pnie drzew i potężnymi, nabitymi ramionami pląsał przede mną po drugiej stronie kręgu światła.

Co jednak dziwniejsze, żaden z gości przy stolikach nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Nie wiedziałem, jak się zachować. Czyżby Kirk próbował w ten sposób zrobić ze mnie balona? Czułem, że z urażonej próżności palą mnie uszy. Nie mogłem ot tak po prostu odwrócić się i odejść. Przez chwilę stara mania prześladowcza, zgrubiała i cała w guzach po latach flekowania mnie przez klientów i ich wrogów, kazała mi się nawet zastanawiać, czy wszyscy oni nie uknuli spisku, by wystawić mnie na pośmiewisko.

Ruszyłem przed siebie.

Kirk nadal pląsał i wywijał ramionami.

- Cześć! - ryknął niskim głosem, jakby basowym falsetem, jeżeli coś takiego jest w ogóle możliwe. - Cześć! Wróciłem z Aten! Pogadałem sobie z nią! Pogadałem sobie z nim! Naturalnie, że ją ze sobą przywiozłem! Czy sądzisz, że mężczyzna jest w porządku, grożąc dziewczynie, że popełni samobójstwo, jeżeli go opuści?! Nie uważam, żeby to było z klasą!

Przy stolikach absolutnie nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Nagle zrozumiałem, o co chodzi. Przedrzeźniał Sonny'ego Duvala, jego rozmowę ze mną sprzed godziny. Ale jakim cudem ją usłyszał? Nikogo wtedy koło nas nie było. Czyżby Sonny mu to powtórzył? Czyżby Kirk stał w ciemnościach za rogiem tawerny i podsłuchiwał?

I dlaczego ludzie przy stolikach nie zwracali na nas choćby najmniejszej uwagi? Czyżby uważali go za jakiegoś wariata? A może to naprawdę był wariat?

Nadal szedłem ku niemu. On nadal pląsał. Znajdował się dokładnie między mną a ścieżką prowadzącą do mojego domu, ale bez trudu mógłbym go wyminąć. Stwierdziłem jednak, że nie chcę. Kto wie, czy dzięki temu nie poznam pewnych faktów, na których mi zależało. Chantal mogła trochę poczekać.

Usiadłem przy wolnym stoliku blisko niego i skinąłem na kelnera. Kirk natychmiast przestał podskakiwać, ruszył ku mnie wielkimi krokami, wyciągnął rękę i usiadł.

- Jim Kirk - przedstawił się.

Podałem mu rękę. Moja dłoń nie jest mała, lecz zdawało się, że zniknęła kompletnie. Jego głos grzmiał niczym eksplodujący wulkan. Miałem wrażenie, że wydobywa się gdzieś spod jego kolan.

- Lobo Davies - odparłem. A jednak Kirk mówił jak absolutnie normalny, zdrowy człowiek; poza tym wcale się nie uśmiechał. - Co pijesz?

- Podwójną szkocką. Z lodem - rzekł Kirk spokojnie. - Albo, jeżeli uważasz, że stać cię na to, potrójną. Z lodem.

- Odstawiłeś przed chwilą niezły cyrk.

- Chciałem być pewny, że zwrócę twoją uwagę - powiedział beznamiętnie.

Zamówiłem u kelnera potrójną szkocką z lodem.

- No i udało ci się - stwierdziłem. Często tak robisz?

- Zależy od ludzi. Chodzi ci o to, że nikt nie zwrócił na nas uwagi?

- Tak.

- Tu wszyscy mnie znają. Wiedzą, czego się spodziewać.

- Ano, bez dwóch zdań to nowatorski sposób zwracania na siebie uwagi.

- Sam go wymyśliłem. Sam, samiutki. Oczywiście, nie zawsze robię to tak samo.

- Dobrze wiedzieć. - Kelner przyniósł nam whisky. Kirk wychylił swoją jednym wielkim haustem, wyrzucił kostki lodu ponad barierką do wody i postawił szklanekę do góry dnem na obrusie. - Skąd wiedziałeś, kiedy się tu pojawię?

Uśmiechnął się.

- Nie mogę zdradzać wszystkich swoich tajemnic.

- Fakt - przyznałem. - Pewnie nie.

- Niezła z niej dupa, co? - powiedział Kirk.

Zatkało mnie na chwilę.

- Nie wiem - odparłem. - Na mój gust jest gruba. Ale nie widziałem jej w niczym innym poza tym brudnym workiem.

- Poczekaj - rzekł Kirk. - Tylko poczekaj. - Ten szeroki, obleśny uśmiech sprzed kilku minut wrócił na miejsce. Zdawało się, że bierze początek na brodzie i stopniowo rozprzestrzenia się w górę, poszerzając całą jego twarz. - Niedługo już będzie się szlajać w którymś z tych swoich bikini, to zobaczysz. Ja też jej parę razy zjechałem dupę. Zanim zaczęła się nosić z Conem. Tak sobie myślę, że trzeba będzie do tego jeszcze wrócić.

- Wygląda na to, że przykleiła się do Cona na dobre - zauważyłem.

- Tylko do następnej zmiany krążka. Potem znów wyjdzie na łowy. Chętnie bym jej używał przez jakiś miesiąc czy coś. - Obleśny uśmiech zaczął stopniowo odpływać z jego

twarzy, zaczynając od góry. - Jak myślisz, co to jest, że taki facet pozwala swojej kobiecie tak się uganiać za chłopami? Gdyby należała do mnie, złamałbym jej szczękę.

- Sonny wyznaje wolną miłość - rzekłem. - I jest pacyfistą.

- Dla niego może i jest wolna, co nie znaczy, że darmowa - oświadczył Kirk uroczyście. - Chociaż przyznaję, że prawie darmowa. Kupił tę wielką łajbę za grosze, i ma dwóch przyciśniętych biedą Greków, którzy odwalają za niego całą brudną robotę na łodziach, a on im płaci tyle co nic. Karmi ją podłym sikaczem na żywicy. Za to ona lubi sobie jeździć po świecie. Żeby podtrzymać się na duchu. Ja tam jej nie winię. Gdybym musiał tak żyć, też bym chciał się podtrzymać na duchu. Kosztuje go to niewąsko w Rzymie i w Atenach. Do Rzymu wyjeżdżają na zimę.

- W jakiej sprawie chciałeś się ze mną zobaczyć, Kirk? Poza tym, żeby pogadać o Jane Duval?

- Ano, pomyślałem sobie, że może chciałbyś popłynąć moim statkiem - zagrzmiał.

- Gdzie?

- A bądź gdzie. Bądź gdzie na świecie. Chociaż wolałbym się trzymać Morza Śródziemnego. Na rejs po greckich wyspach? Albo wzdłuż wybrzeża tureckiego? Na Sycylię?

- A skąd ci przyszło do głowy, że może chciałbym wynająć twój statek?

- No, rozpytywałeś się o mnie i w ogóle - rzekł Kirk uroczystym głosem. - Na przykład starego Dmitriosa.

- Zapytałem go tylko o statek, bo uważam, że jest niezwykły, i piękny.

- Jest piękny. Tak sobie pomyślałem, że pewnie właśnie o to ci biega. Albo że chciałbyś wynająć go na rejs.

Jeżeli myślał, że dam mu się nabrać albo przekonać do czegoś - chociaż nie byłem pewny, czy o to mu chodzi - to nie widziałem powodu, żeby go wyprowadzać i błędu.

- Będę się musiał nad tym zastanowić.

- Zastanów się - rzucił Kirk i mrugnął do mnie powieką przypominającą cienki plaster befsztyka o puszystym brzegu. - A jakbyś miał jeszcze jakieś pytania, wal prosto do Jima Kirka. Chętnie opowiem ci historię statku. Albo wyskoczę z tobą do Aten na szproty. Co zechcesz. Znam parę niezgorszych sztuk.

- Może to i dobry pomysł.

- Chyba nie przeszkadza ci ta moja ekstra robota z dostawami dla Girgisa? Na wypadek, gdybyś chciał mnie wynająć? Niech cię o to głowa nie boli.

Milczałem.

- Girgis będzie sobie musiał znaleźć kogo innego. Nieraz już tak bywało. Jest coraz bardziej pewny siebie, ten Girgis.

Błaszany stolik zatrzeszczał, gdy Kirk pochylił się i przystawił mi do piersi paluch wielkości cygara.

- A może chcesz haszyszu? U mnie dostaniesz hurtowo, zamiast po trochu kupować u Girgisa. Będzie cię to kosztowało pięć razy mniej. - Rozsiadł się wygodnie.

- A heroinę? - powiedziałem.

- Heroina? Co to takiego? - zapytał Kirk niewinnie. - Heroiny nie tykam. Za dużo tych amerykańskich harcerzyków kręci się dziś po Europie. A ty nie wyglądasz na heroinistę.

- Może mam tu paru przyjaciół?

- Jasne, że masz. Znam ich wszystkich, i wątpię, żeby szukali u ciebie pomocy w załatwieniu towaru. Jeżeli mogą się tak wyrazić.

- Możesz się tak wyrazić.

- No - rzucił Kirk, a szeroki, obleśny uśmiech znów wypłynął mu na twarz. - Czas na mnie. Będę się zbierał. - Kiedy się podnosił, blaszany stolik dosłownie zajęczał. - Teraz już wiesz, gdzie zawsze możesz mnie znaleźć. - Wskazał oczami zacumowaną „Agoraphobe”. Światła i gwar na statku wskazywały, że jacht szykuje się do drogi. - Jeżeli chcesz, szepnę Janie jakieś dobre słówko o tobie.

- Z tym lepiej się wstrzymaj.

- Pewnie że tak, skoro za kilka minut odbijam - stwierdził z uśmiechem i odszedł w ciemność, kołysząc się na swych krótkich, masywnych nogach. Patrzyłem za nim. Miałem wrażenie, że nagle zacznie szarżować na oślep i zrobi cokolwiek, co tylko wpadnie mu do głowy, wszystko, na co będzie miał ochotę. Potem wymigałby się od konsekwencji, w razie potrzeby pyskując lub walcząc. Miałem niezachwianą pewność, że byłby do tego zdolny.

Nie wtrącaj się - oto, co mi powiedział. Na swój pokrętny, sobie tylko właściwy sposób. Nie wścibiaj nosa w nie swoje sprawy, gliniarzu, bo ci go utną. Wyglądało na to, że nikt tu nie rozumie, iż prywatny detektyw to nie gliniarz i że zazwyczaj gliny częściej niż ktokolwiek są naszymi wrogami. W każdym razie miał on przedziwne, swoiste poczucie humoru. Albo stwarzał tylko takie pozory.

Zapłaciłem. Znowu. Miałem wrażenie, że tutaj zawsze ja za wszystko płacę. Wyszedłem i przed tawerną złapałem dorożkę, by pojechać do Chantal.

Rozdział 18

Powiedziałem dorożkarzowi, że chcę jechać do tawerny Georgia. Doszedłem do wniosku, że reputacji Chantal należą się choć takie względy, skoro tak bardzo o nią dba.

Nocne niebo błyszczało nad otwartą dorożką. Bryza lądowa przyniosła chłodniejsze powietrze od sosen na wzgórzach. Księżyc albo zaszedł, albo jeszcze nie wstał. Panowała cisza, przerywana tylko stukotem końskich kopyt.

W połowie głównej ulicy, biegnącej po stoku wzgórza, kazałem dorożkarzowi zatrzymać się i zapłaciłem. Poczekalem, aż zniknie, i ruszyłem pod górę uliczką prowadzącą do domu Chantal.

W tej okolicy latarni było jak na lekarstwo. Wąską, brukowaną uliczkę z obu stron otaczały mury. W powietrzu unosił się zapach kwitnących drzew i krzewów. Właśnie z zaciekawieniem profesjonalisty rozmyślałem o tym, że trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce, by się na kogoś zasadzić, kiedy trzydzieści jardów przede mną trzech mężczyźni wyszli z cienia w światło latarni i ruszyli w moją stronę.

Poczułem, jak rozpiera mnie wrodzony duch walki. W głębi przełyku zaczęło mnie mdlić radośnie. Zawsze dzwoni mi wtedy lekko w uszach, zawsze wysuwam szczękę i rozchyłam usta w uśmiechu. Nic na to nie poradzę, lubię to.

Naturalnie, w każdej chwili mogłem odwrócić się i pobiec w dół, pozwalając się gonić. Mogłem też paść na kolana i błagać, żeby mnie nie bili. Możliwe oczywiście, że wcale nie czekali na mnie. Ale nie wierzyłem w to. Prawdopodobnie wywnioskowałem to z faktu, że nie rozmawiali ze sobą. Obliziałem wargi i wyszczerzyłem się do nich w uśmiechu, idąc im na spotkanie.

Kiedy zbliżyłem się do nich na pięć jardów, dwaj po bokach skoczyli w moją stronę, a ten w środku rzucił się na mnie. Wiedziałem, jak sobie radzić w takiej sytuacji. Ruszyłem z kopyta wprost na tego przede mną. Tym sposobem dwaj na skrzydłach zostali kilka stóp za mną. Zaskoczyło to środkowego, który starał się zwolnić. Nie dałem mu żadnej szansy. Oburącz chwyciłem go z przodu za koszulę, przyciągnąłem do siebie i strzeliłem go z byka. W ułamku sekundy mignęła mi jego zaskoczona twarz, nim zderzyła się z nią moja głowa. Usłyszałem trzask łamanej kości nosowej i wiedziałem, że on już ma dosyć walki na dzisiaj.

Pozostali dwaj musieli zmienić kierunek biegu, co kosztowało ich kilka sekund. Spróbowałem przeskoczyć nad leżącym, by odwrócić się do nich kawałek dalej i zyskać nieco miejsca, lecz nie starczyło mi zwinności. Znowu te moje lata. Jeden z nich od tyłu

przytrzymał mi ręce, a drugi podbiegł od przodu i zaczął mnie walić w twarz i brzuch. Czulem, jak ten obalony gramoli się pod nami, chcąc zejść nam z drogi.

W takiej sytuacji człowiek ma wrażenie, że trwa to w nieskończoność. Ale to nieprawda. Sześć, osiem, dziesięć, dwanaście ciosów. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak wiele silnych ciosów można przyjąć. Zwłaszcza gdy przez cały czas poruszasz się i możesz amortyzować niektóre z nich. Obaj ci faceci byli młodzi. Ten z przodu, blondyn, wyglądał na kretyna. Udało mi się oswobodzić, głównie dzięki końskiej sile, po czym odwróciłem się i lewym sierpowym powaliłem tego z tyłu na kolana, a następnie odwróciłem się do drugiego. Blondyn właśnie rzucał się na mnie. Zamiast stosować uniki, wyszedłem mu naprzeciw, złapałem go za klapy, poderwałem i również wyrzuciłem go czołem w twarz. Tym razem nie wycelowałem już tak dobrze i trafiłem gdzieś pomiędzy nosem a zębami. Wystarczyło to jednak, żeby go zwalić z nóg i wiedziałem, że przez dobry tydzień kilka zębów będzie mu się ruszać. Ten z tyłu zdążył tymczasem powstać, więc odwróciłem się do niego i wymienialiśmy ciosy, dopóki nie wycofał się na chwiejnych nogach. Blondyn, na wpół oślepiony, klęczał na jednym kolanie, kiedy się do niego odwróciłem. W jego dłoni błyszczał otwarty nóż sprężynowy. Ruszyłem ku niemu, lecz jego kumpel krzyknął coś po grecku i blondyn wycofał się. Posuwając się bokiem jak krab, okrążył mnie, by dołączyć do swojego kumpla. Staliśmy, mierząc się wzrokiem.

Obalony facet wciąż usiłował niezdarnie odpełznąć w mrok. Cofnąłem się o kilka kroków, pozwalając im przyjść po niego, i po chwili wycofali się w dół ulicy, na wpół wlokąc swojego kompana. Stałem patrząc za nimi. Poza tamtym krzykiem po grecku, przez cały czas nie padło ani jedno słowo.

Na pierwszym rogu skręcili w główną ulicę, ginąc mi z oczu. Nie poszli jednak w dół, w stronę portu, lecz w stronę lokalu Georgia. Nie wiedziałem, co to może oznaczać.

Dom Chantal znajdował się kawałek pod górę, za latarnią. Podeszedłem tam i przez chwilę stałem oparty o mur, usiłując dojść do jakichś wniosków, wymyślić, kim są ci faceci i co chcieli osiągnąć, próbując mnie pobić. Niewątpliwie zostali wynajęci. Niewątpliwie pobicie miało być ostrzeżeniem. O ile jednak ci trzej byli wcale nieźle zaprawieni w ulicznych bijatykach, o tyle z całą pewnością nie byli to zawodowi przestępcy.

Oparty o mur, wciąż jeszcze oddychałem nierówno i trochę krwawiłem. Kiedy rąbnąłem głową drugiego z nich, jego ząb skaleczył mi czoło. Miałem też rozciętą wargę, a poza tym parę ślicznych obrażeń na twarzy, które już zaczynały puchnąć. No i bolały mnie zębra. Od dawna już nie czulem takiej satysfakcji i takiego spokoju. Nie czulem takiej satysfakcji od spotkania z greckim adwokatem w Paryżu.

Prawdę mówiąc, musiałem zaciskać zęby, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem na środku ulicy. Bóg świadkiem, że jednak nie było jeszcze ze mną tak źle, pal licha moje lata. Wciąż jeszcze trafiałem w ruchomy cel.

Zdawałem sobie sprawę, że niektórym, na przykład Sonny'emu Duvalowi, nie podobałoby się, że tak mówię. Ano, nic na to nie mogłem poradzić. Nacisnąłem klamkę bramy do ogrodu. Otwarte. Przeszedłem po kilku schodkach.

Chantal była na miejscu, a jakże. Czekwała na mnie sama samiutka na tarasie. Najwyraźniej reszta domowników spała. Miała na sobie jedną z tych letnich sukienek, bez biżuterii. Noc wciąż była przepiękna. Chantal najwyraźniej nie słyszała żadnych odgłosów bójki. Przytknęła palec do ust, żebym był cicho. I wtedy ujrzała moją twarz.

- Boże jedyny, cóż ci się stało?

Wyciągnąłem chusteczkę.

- Paru gnojków chciało mi dać wycisk. Trzech. Ale zabrali się do tego niezbyt fachowo. Mogę usiąść? - Nagle poczułem się tak wesoły, że musiałem się opanować. Uśmiechnąłem się do niej ostrożnie. - Nie dochodzę już do siebie tak szybko jak kiedyś. Ale wciąż to lubię.

Patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Wyglądasz strasznie.

- Powinnaś zobaczyć tamtych. W sumie nie czuję się źle. Mniej więcej tak, jakby mnie ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. - Starłem strużkę krwi spływającą mi z czoła i poklepałem zakrwawioną wargę. - Kto wiedział, że mam tu przyjść?

- Jak to, nikt.

- Nikomu nie powiedziałaś?

- Czy twoim zdaniem mówiłabym komuś, że przychodzisz do mnie po nocy?

- Nie wiem. Być może.

To ją dotknęło.

- No więc nie powiedziałam nikomu.

- Wobec tego ten, kto na to wpadł, niewątpliwie miał przebłysk natchnienia. Dużego natchnienia. - Przypuszczam, że słabo zdawałem sobie sprawę z tego, że ją uraziłem. Nie obchodziło mnie to zresztą. Nie miałem zamiaru wdawać się w kolejne długie wyjaśnienia, że nie mogę jej ufać, ponieważ nie powiedziała mi prawdy o sobie.

Myślę, że uświadomiła sobie, jak się czuję. W każdym bądź razie przełknęła urażoną dumę.

- O co ci chodzi?

- Ano, kto mógł dojść do wniosku, że tu przyjdę? Po północy? Po drugie, kto mógł przewidzieć, że wysiądę z dorożki na głównej ulicy, jak to faktycznie zrobiłem, i podejść tu pieszo? Żeby ochronić twoje „dobre imię „? To wyjątkowo bystre wnioski.

- Ale kto by cię chciał tak urządzić?

- Nie wiem. Może twój przyjaciel Girgis. Może ten hipis Steve. Ale tamci trzej nie byli hipisami.

Wyprostowałem się na ławie i uśmiechnąłem do niej szeroko.

- Mógł to być nawet Kirk.

- Kirk? - powtórzyła słabym głosem.

- Kapitan „Agoraphobe”. Nie znasz go?

- Wiem, kto to taki. Skąd go znasz?

- Przedstawił mi się dziś wieczorem - oświadczyłem i posłałem jej kolejny szeroki uśmiech. - Wygląda na to, że dorobiłem się już na Tsatsos całej paczki przyjaciół.

Ciekawe, dlaczego tak zareagowała na wzmiankę o Kirku?

- Moim zdaniem, to była robota Girgisa - rzekłem. - Ale skąd mógł przypuszczać, że...

Nie skończyłem, widząc jej rozpacz. Spojrzałem na nią. Wyraźnie unikała mojego wzroku, i nagle, tylko z tego powodu, wiedziałem, że powiedziała o mnie Girgisowi lub komu innemu. Nie musiała mówić, że wybieram się do niej jakiegoś konkretnego wieczoru o konkretnej godzinie, tak jak dziś, ale wypaplała dosyć, żeby można było zaplanować całą resztę.

- Co byś powiedziała na to, żebyśmy się tak napili? - zaproponowałem cicho. Miałem wrażenie, że nagle domyśliłem się starego romansu między nią a Girgisem. Kiedyś już się nad tym zastanawiałem. Ale w żadnym wypadku nie zamierzałem o tym wspominać. - Szkockiej?

- Już ją dla nas przygotowałam - odparła sztywno, wstała i podeszła do barku na kółkach, stojącego w rogu patio. Wracając ze szklankami, panowała już nad twarzą. - Ty naprawdę to lubisz, prawda? Te bójki. Nawet ci nie przeszkadzało, że cię biją, co? To ci sprawia przyjemność.

- Musi. Inaczej zmieniłbym sposób zarabiania na życie, nie sądzisz?

- To szczeniackie. Zupełnie jak banda szczeniaków w szkole dla chłopców. Nic tylko męska próżność i pycha. Tylko okładanie się i obijanie nawzajem.

- Ta bójka nie była szczeniacka - zaprotestowałem.

- Nie spotkałam jeszcze nikogo takiego jak ty.

- Tak. Ciągłe to powtarzasz. Czy mógłbym dostać bandaż na głowę?

- Mam na górze.

- Więc chodźmy na górę. Przecież i tak się tam wybieraliśmy, prawda?

Chantal wyglądała, jakby dostała w twarz. Miałem to gdzieś. Rozchyliła usta. Ale zaraz zamknęła. Na szczęście. Bo byłem już gotów odesłać ją do diabła i zabrać się stamtąd, i byłbym tak zrobił, gdyby się oburzyła, przybrała ten hrabiowski wyraz twarzy i zaczęła trajlować.

Nie chciałem jej obrazić. Ale byłem wściekły. Jej tajemniczość, asekuracja i kłamstwa nie miały najmniejszego sensu, jeżeli naprawdę chciała, żebym jej pomógł. W dodatku tamci o mało mnie nie zatłukli.

Ale obyło się bez fochów. Zamiast tego spokojnie, z powagą podniosła się z miejsca. Nieśmiało, zupełnie jak mała dziewczynka - co wydało mi się raczej głupie po Freddy'ym Tarkoffie, tym jej mężu i Bóg wie kim jeszcze - wprowadziła mnie do domu, na piętro, zapalając i gasząc światła po drodze. Kilkakrotnie ruchem ręki nakazywała mi, żebym był cicho.

W sklepionym salonie o grubych ścianach zatrzymałem się na chwilę i ze szklanką w rękę spojrzałem na jej portret z lat młodości. Musiała być wtedy autentycznie piękna.

Ale co się z nią działo, do licha ciężkiego?

W sypialni bez słowa zaczęła się rozbierać, odwrócona tyłem do mnie. Zdjęła letnią sukienkę i półhalkę, którą nosiła pod spodem, i powiesiła je starannie. Zrobiła to skromnie, spokojnie, naturalnie, elegancko i bez śladu kokieterii - zupełnie jak gdyby była sama. Patrząc na nią czułem, że opuszcza mnie wściekłość. Była elegancka jak wszyscy diabli. Doceniałem to. Zauważyłem, że pomyślała o kubku z lodem, butelce i szklankach, które ustawiła na tacy na nocnym stoliku. Czego by o niej nie mówić, jedno było pewne - miała klasę. Miała klasę aż po czubki włosów.

- Musisz na mnie uważać - powiedziałem z uśmiechem.

W lustrze obserwowałem odbicie jej postaci z przodu.

- Tak. Założę się, że każda kobieta musi na ciebie uważać. Jesteś taki kruchy.

- Jestem obolały.

- Obawiam się, że będziesz musiał wyjść, kiedy się rozjaśni. Przykro mi. - Ściągnęła majtki, potem stanik. Ułożyła je na swoim miejscu.

- Chyba wyjdę trochę wcześniej.

- Co zamierzasz zrobić?

- Z czym?

- Z tymi trzema. - Wyjęła spinki i rozpuściła włosy.

- Jakimi trzema? A, z tymi. Nie wiem. - W trójskrzydłowym lustrze obserwowałem ją wciąż od przodu. Miała piękne, ciemne futerko.

Nagle odwróciła się twarzą do mnie.

- Ty naprawdę jesteś twardy. Prawda? - I zaraz dorzuciła cicho, żartobliwie: - Powiedz. Jesteś twardy?

- Jasne. Uczyli mnie tego w szkole - odparłem. - Ale w tym momencie nie czuję się specjalnie twardy.

- Właśnie teraz powinieneś być twardy. - W kąciu jej ust igrał zabawny, nieśmiały uśmiezek. - Bardziej niż kiedykolwiek. - Gibko, bez pośpiechu, podeszła do łóżka i sturlała się na nie. Wyciągnęła się na pościeli, po czym z niezwykłą skromnością, w której zawierała się wielka klasa, skrzyżowała nogi w kostkach. Tylko w kostkach, i oto leżała przede mną. Wciąż miała wspaniałe ciało. Byłem zdania, że to jej cholerne ciało jest najbardziej eleganckie ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. - Będiesz dla mnie twardy? - szepnęła.

Odstawiłem gdzieś szklankę i sam też zacząłem wyskakiwać z ubrania, mając nadzieję, że jeśli nawet mój styl nie dorównuje jej elegancją, to przynajmniej tak bardzo nie odbiega. Chociaż tyle mogłem dla niej zrobić. Na szczęście nie należę do mężczyzn, którzy dobiegając pięćdziesiątki muszą wciągać brzuch i wstrzymywać oddech.

- Jesteś piękny, Lobo - odezwała się z łóżka.

- Piękny? Piękny to nie jest właściwe określenie dla mnie. To ty jesteś piękna. - i była, faktycznie. Ale zawsze dobrze jest im to powtarzać.

Kiedy otoczyłem ją ramieniem, odwróciła się do mnie, piersią w pierś, i uśmiechnęła.

- Piękna? Taka stara baba jak ja? Jestem stara. No, może prawie. Piękna byłem dawno temu.

Pocałowałem ją, żeby się uciszyła.

W łóżku była równie elegancka jak wówczas, kiedy się kładła. Żadne z nas nie mogło nauczyć partnera niczego nowego, ale kochając się, prezentowała tę samą klasę i styl, co w każdej innej sytuacji.

Nie przeszkadzało mi, że ściska mi zebra. Nie przeszkadzało mi, że pociera głową o moją opuchniętą twarz. Nie przeszkadzało mi, że trochę soli dostało się na moją skaleczoną wargę.

Przypuszczam, że dotychczas nie miałem jeszcze okazji pójść do łóżka z kobietą, która potrafiła być jednocześnie i elegancka, i dzika.

Obudziłem się tuż przed świtem, gdyż tak nastawiłem mój wewnętrzny budzik w głowie.

Nocna lampka wciąż się paliła. Obok niej stała moja pusta szklanka. Zaniósłem ją do butelki i nalałem sobie solidną miarkę. Nie masz na świecie takiego kielicha jak ten, kiedy po całej nocy upojnego kochania się wstajesz, by ubrać się i wrócić do siebie z prywatnego apartamentu jakiejś pani. Zaniósłem szklankę z powrotem do łóżka i usiadłem, smakując trunku.

Kiedy wypilem, cmoknąłem ją delikatnie w policzek i wstałem. W tej samej chwili wyciągnęła rękę i złapała mnie za dyndusa.

Nie otwierając oczu wymamrotała przez sen:

- Nie zabieraj go - i ziewnęła.

- Już prawie świta - powiedziałem.

- No to do zobaczenia, kochany, zadzwoń do mnie po południu - mruknęła i przekręciła się na bok. Z jej pleców i ramion przebijała głęboka satysfakcja.

Zacząłem się ubierać. Wkrótce znalazłem się na dworze, na powietrzu, schodząc ze wzgórza w stronę portu. Ale po wyjściu na dwór przestałem być taki szczęśliwy i łagodnie nastrojony. Wiedziałem, że nie powinienem się wiązać z żadną kobietą. Zwłaszcza z taką, która coś ukrywa i nie chce mi powiedzieć, o co naprawdę jej chodzi. Podobno była moją klientką. A ja właśnie przyjąłem zapłatę. Mijając wystającą z za muru gałąź kwitnącego drzewa rąbnąłem w nią z dziką furją, aż posypały się płatki.

Rumieniec pierwszych promieni słońca ukazał się właśnie na wschodzie, ponad morzem i czarnymi, grubymi wyspami. Z tej wysokości widziałem je doskonale. Od czasu do czasu mogłem też dojrzeć poniżej przystań jachtów.

Zanim do niej dotarłem, wstał już prawdziwy świt. Tawerna otwierała podwoje, rybacy z wiosłami na ramionach wstępowali do niej na kawę, łodzie wracały z nocnego połowu. Przez chwilę stałem na szczycie mojego wynajętego ogrodu, za wychodzącą na górną ulicę bramą, obserwując poranny ruch. W tym właśnie zawiera się istota rzeczy.

Każdego zawsze ogarnia ta wielka, nowa, złudna nadzieja. Kiedy wstaje kolejny, nowy świt. Jest to nie tyle kwestia ludzkiej psychiki, co prawo natury. Po chwili i ja poszedłem do tawerny na kawę.

Gdy usiadłem i spojrzałem na przystań, zauważyłem puste miejsce pozostawione przez „Agoraphobe”. Bez dwóch zdań facet lubił zawijać do portu i wypływać w samym środku nocy.

Dałem Sonny'emu pół godziny. Kiedy minęło, powiosłowałem do kaika i zastukałem w kadłub.

To nie Sonny wyszedł na pokład, lecz Jane Duval. Akurat wkładała majtki od bikini. Stanik już miała na sobie. Jim Kirk nie przesadzał, mówiąc o jej ciele. Było wspaniałe i młode. Młode, młode i jeszcze raz młode.

- Powiedz Sonny'emu, że czekam w tawernie - odezwałem się szorstko.

- Czy to trochę nie za wcześnie? - odparła sennie. Przeciągnęła się i ziewnęła, a ja uświadomiłem sobie, że ona dobrze wie, że patrzę na jej ciało. To dlatego się przeciągnęła, prezentując mi się w całej okazałości.

- Mówiłem mu, że chcę wypłynąć wcześniej. - Odepchnąłem skif od kaika i zanurzyłem wiosła.

- Dobrze, powtórzę mu - oświadczyła i zeszła do kabiny. Nie lubiłem jej ani trochę bardziej niż dotychczas.

Ze złością powiosłowałem w stronę molo.

Kiedy Sonny wyszedł na pokład, krzyknąłem do niego, żeby przygotował łódź i kupił w tawernie coś na obiad. Mieliśmy wypłynąć razem, tylko we dwóch. Przedtem jednak chciałem zrobić zakupy w miasteczku.

W domu przebrałem się. Nikt jeszcze nie wstał. Sonny był w tawernie, lecz pozostałe łodzie spały na cumach. Złapałem się na tym, że spoglądam wygłodniałym wzrokiem na wodę. W miasteczku kupiłem sobie maskę, rurkę, pletwy i kuszę, i głębokościomierz. Żeby go dostać, musiałem obejść wszystkie sklepy ze sprzętem do nurkowania.

- Żadnych ludzi - zapowiedziałem Sonny'emu, kiedy odbijaliśmy od brzegu. - Żadnych ludzi przez cały dzień.

Sonny uśmiechnął się szeroko.

- Ludzie tylko sprawiają kłopoty - poinformował mnie. - I nigdy cię nie ostrzegają. Morze - powiedział rozkładając ręce - morze zawsze cię ostrzega, zanim ci sprawi kłopot.

Pomyślałem, że to okrutnie pompatyczne. Zwłaszcza że wiedziałem, iż to inni odwalają za niego brudną robotę. Wielka pacyfa zwisająca u jego piersi na surowym rzemieniu złapała promień słońca i błysnęła do mnie.

- Coś ty wyrabiał z twarzą? - zapytał.

- Zderzyłem się z maszynką do golenia.

Rozdział 19

Cały dzień spędziliśmy na wodzie. Zaczumowaliśmy koło maleńkiej, znanej Sonny'emu wysepki na wschód od Tsatsos i nie ruszaliśmy się stamtąd na krok. Starłem się nie myśleć o Chantal. Polowałem z kuszą albo próżnowałem, odpoczywając w cieniu brezentu. Sonny głównie próżnował, słuchając muzyki rockowej z tranzystora. Co chwila musiałem go sztorcować, żeby nieco ściszył.

Nurkował trochę, lecz od razu stało się jasne, że nie ma wprawy w posługiwaniu się płetwami i kuszą i że go to nie interesuje. Oto był „ekspert od polowań podwodnych” Tarkoffa.

Za wszelką cenę starałem się zejść na sześćdziesiąt stóp. Arbitralnie wyznaczyłem sobie taką granicę, ponieważ sądziłem, że stać mnie na tyle. Mimo iż od czterech lat nie nurkowałem. Ale osiągnąłem najwyżej czterdzieści, czterdzieści pięć stóp. Mój nowy głębokociomierz był wyskalowany w metrach i za każdym razem musiałem przeliczać metry na stopy, chcąc się dowiedzieć, na ile zszedłem. Był to deprymujący wyczyn. Dno było nieciekawe, a ryb mało. Mój cały łup stanowiły dwa średnie strzępiele. Na pokładzie spoglądałem na nie ponuro, kiedy zbieraliśmy się do drogi, i burknąłem, że w ogóle widziałem niewiele ryb.

- Bum, bum! - wyjaśnił Sonny. - Miejscowi łowią na dynamit, i oczywiście zabijają małe rybki razem z dużymi. Nie mają pojęcia o ekologii i ochronie środowiska naturalnego. - Sonny był również przeciwny polowaniu z kuszą dla sportu.

Powstrzymałem się od komentarza, i tak już byłem dostatecznie ponury.

- Żeby to zrozumieć, potrzebne jest wykształcenie - oświadczył Sonny.

Kiedy jednak zapuścił silnik, rozejrzałem się po morzu i skalistej wysepce z prawdziwym żalem. Mimo iż nieco frustrujące, były to chyba najprzyjemniejsze chwile, jakie tu spędziłem. A najbardziej cieszył mnie fakt, że nie było ludzi. Bez Sonny'ego moja radość byłaby jeszcze większa, ale niestety to on był właścicielem łodzi.

Zanim dobiliśmy do moła przed tawerną, wiedziałem, jak postąpię z Chantal.

Poczekalem, aż sprzątniemy łódź. Potem jednak ruszyłem wprost do budki telefonicznej, zadzwoniłem do niej do domu i powiedziałem, żeby nie spodziewała się mnie na kolacji.

Po drugiej stronie sznura zapanowała cisza.

- Znowu? - odezwała się w końcu. - Dobrze, powiem im. - Kolejna cisza. - Czy wobec tego przyjdiesz do mnie później?

- Niestety, nie dam rady. Coś mi wyskoczyło. Przepraszam.

Milczenie Chantal. A po chwili:

- Nie masz sobie równych w sprawianiu ludziom zawodu.

Nie odpowiedziałem.

- Wobec tego może ja zadzwonię do ciebie jutro? - zaproponowała.

- Tak. To dobry pomysł. Zadzwoń rano.

- Dobrze. Do widzenia. - W słuchawce trzasnęło i zapadła głucha cisza.

Wychodząc z budki miałem chyba dziki wyraz twarzy. W każdym razie stary Dmitrios zerknął na mnie. Nagle poczułem ulgę. Ulgę i gniew. Zaczerpnąłem kilka głębokich haustów ulgi. Sonny zabezpieczał łódź wodoszczelnym pokrowcem. Powiedziałem, że dam mu znać później, o której jutro wypłyniemy.

Wróciłem do domu i przebrałem się. Potem wyszedłem do miasteczka. Nie miałem nic do roboty. Wspaniałe uczucie.

Było jeszcze przed szóstą. Z przystani jachtów grupa rybaków wypływała już na nocny połów. Przy falochronie portu inna grupa rybaków dopiero szykowała łodzie. Pośrodku zaś, na dwóch plażach, ludzie zażywali wieczornej kąpieli. Kawiarenki były zatłoczone. Przed staromodnym angielskim hotelem z dziewiętnastego wieku, na wprost przystani, popijali w dwóch grupkach Anglicy z klasy średniej, niemal zagubieni na olbrzymim tarasie.

Koniec końców dotarłem do „Xeni”. „Xenia” to nazwa państwowych hoteli, których sieć obejmuje teren całej Grecji, łącznie z wyspami. Był to ten hotel, który widziałem z promu. Tuż za nim, na wzgórzu, znajdowała się budowa, gdzie mieszkali hipisi. W niebo wzbijały się stamtąd słupy dymu z ognisk. Postanowiłem się tam wybrać.

Wejście na teren budowy znajdowało się na drodze po drugiej stronie cypla, na wysokości małej zatoczki i plaży. Wszedłem do środka od razu. I od razu stałem się obiektem zainteresowania. Hipisi bez wyjątku rzucali mi przez ramię ponure, zimne spojrzenia, choć nie wszyscy z nich byli młodzi. Jeśli pytałem o drogę czy inne informacje, uzyskiwałem ponure, burkliwe odpowiedzi.

Wszystko to sprawiało wrażenie jakichś niesamowitych, obłądnie surrealistycznych slumsów. Gotowali sobie kolacje nad ogniskami. Tabuny brudnych dzieci biegały wszędzie bez żadnej dyscypliny. Nigdzie nie było widać toalet; ludzie wędrowali tam i nazad z łopatkami w rękach. Nie zasypane rowy budowlane nadal ciągnęły się przed, za lub po obu

stronach tych przeznaczonych dla czterech lub sześciu rodzin segmentów. Ludzie albo je przeskakowali, albo schodzili do nich i wdrapywali się na zwały ziemi po drugiej stronie.

Kiedy już napatrzyłem się na to do syta, wyszedłem. Nigdzie nie zauważyłem Steve'a, Chucka i ich paczki. Nikt mnie nie pozdrowił braterskim gestem.

Za bramą przystanąłem na chwilę, zastanawiając się, co właściwie tak mnie tam zirytowało. Nie miałem nic przeciwko biwakowaniu pod gołym niebem. Sam to robiłem przez całe życie i też sobie wykopywałem latryny. Uważałem wprawdzie, że dzieci potrzebują dyscypliny, więcej nawet - że jej pragną, pożądamy. Ale ta różnica zdań nie mogła przesądzić o mojej agresywności. Zjeżyło mnie co innego - to ich ziejące wrogością poczucie wyższości. Biwakowanie pod gołym niebem wywindowali na piedestał cnoty moralnej, kultywowali jak religijny mistycyzm, a teraz ponuro czekali z nadzieją, że znajdzie się ktoś, kto znienawidzi ich za to i zrobi z nich męczenników.

Z miejsca, gdzie zatrzymałem się na drodze, dostrzegłem poprzez listowie, że poniżej, na małej plaży, w przygasającym świetle wieczoru kąpią się jacyś ludzie. Niemal wszyscy bez wyjątku byli nadzy. Tylko kilka dziewcząt miało na sobie majteczki bikini. Gromadka nagich, obmytych wodą morską dzieci biegała w kółko, pokrzykując. W purpurowym świetle nagie ciała dziewcząt, długie i smukłe młodością, wyglądały prześlicznie. Oglądana przez liście z mojego miejsca, była to zachwycająca scena.

Stałem zapatrzony, nie pomny swoich lat. Sprawiało mi to niewiarygodną udrękę. Scena ta była czymś, czego nigdy nie doświadczyłem. Za bardzo wypaczyła mnie głupota rodziców i środowiska. Możliwe, że w związku z tym przywiązywałem do seksu nadmierną wagę, w każdym bądź razie scena ta miała dla mnie kolosalny, nieodparty urok erotyczny. Chciałem mieć każdą z tych dziewczyn. Nagle w jednej z kąpiących się dziewcząt poznałem Słodką Marie. Ona nic na sobie nie miała. Atrakcyjność ciemnego trójkąta jej krocza przyprawiała o męki. Wyższa od większości dziewcząt, miała długą, szczupłą i krągłą sylwetkę. Po kilku minutach przyglądania się, zwłaszcza Marie, spoza liści, odwróciłem się w stronę drogi. Czułem się spisany na straty, odstawiony na boczny tor, wykluczony ze wszystkiego, a przede wszystkim cholernie stary.

Tuż przede mną wracała akurat z miasteczka grupka hipisów w swych cudacznych strojach. Trzech chłopaków i dwie dziewczyny. Najwyższy z chłopców wyszczerzył do mnie zęby.

- Co tu robisz, dziadku? Podglądać się zachciało, co?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nie odezwałem się. Ruszyłem przed siebie zakręcającą drogą. Cóż mogłem im powiedzieć? Kolejny akt darmowego okrucieństwa? Kto się tym przejmuje? Ja do tego przywykłem.

Ale przynajmniej adrenalina znów zaczęła we mnie krążyć.

Zanim wróciłem do hotelu „Xenia”, było już ciemno. Teren hotelowy, porośnięty wielkimi kępami roślinności tropikalnej, oświetlały wysokie latarnie na słupach. Wysypana żwirem droga biegła skrajem parku. Powodowany nagłym impulsem, skręciłem na oświetlony deptak prowadzący do hallu hotelowego.

W środku ten nowy, wykwintny hotel był niesamowicie pusty. Solidny, kosztownie urządzony parter był wyludniony kompletnie. W restauracji posilała się jedyna, samotna para. Za ladą recepcji urzędował jeden pracownik. Miał na sobie zielony uniform ze złotym galonem. Zapytałem go o bar. Wskazał mi drogę. Poszedłem za jego wyciągniętym palcem, mijając długą, luksusowo urządzonej salę, przypominającą korytarz. Pod ścianami stały tam kosztowne stoły hazardowe ze wspaniałego białego i zielonego marmuru. Nad każdym stołem paliły się światła, choć w całej sali nie było żywej duszy.

Otoczenie to tak znakomicie pasowało do mojego nastroju, że wydawało mi się wręcz nierealne. Za salą do hazardu znajdowało się otwarte patio, równie luksusowo urządzone i równie opustoszałe. Bar był po prawej. Samotny młody barman ze splecionymi na piersiach rękami podpierał ścianę i palił papierosa. Nosił taki sam zielony uniform ze złotym galonem. Podeszedłem do niego.

- Szkocką z wodą - zamówiłem.

Odłożył papierosa i bez słowa zmieszał napój z zawodowym fasonem.

Wgramoliłem się na stół, wypilem i wpatrzyłem się w dno szklanki niczym w kryształową kulę, która przepowie mi przyszłość. Niczego się nie dowiedziałem. Podniosłem wzrok.

- Zdaje się, że interes nie idzie najlepiej.

Chłopak wzruszył ramionami pogardliwie. Z założonymi na piersiach rękami znów palił papierosa.

- Rozkręci się w sierpniu - odparł doskonałą angielszczyzną.

- A z czego człowiek ma wyżyć do sierpnia? - zapytałem.

- Dostajemy pensję, monsieur - wyjaśnił z taką samą pogardą. - Ważną pensję. Państwową. Wszyscy skończyliśmy specjalną szkołę w Mikonos. - Ironia była zbyt ciężka i bez krzty humoru.

Nie uśmiechnąłem się. Cały ten hotel był taki sam, jak jego ironia. Okręciłem się na stołku i opierając łokcie na barze, rozejrzałem się po pustym, rozrzutnie oświetlonym patio.

Koło nas przeszedł malutki chłopiec hotelowy, w takim samym zielonym uniformie ze złotym galonem, tyle że miał jeszcze zielono-złotą okrągłą czapkę bez daszka. Uśmiechnął się do mnie. Była to jedyna istota wykazująca ślady energii, jaką tam spotkałem. Zniknął po drugiej stronie patio. Odwróciłem się z powrotem i zgarbiłem nad barem.

W tej samej chwili z ogrodu doleciał zduszony, przerażony wrzask, i ja, i barman podskoczyliśmy. Małeńki chłopiec hotelowy gramolił się po schodach z ciemności, bełkocząc po grecku. Barman zacisnął dłonie na ladzie.

- Co on mówi? - zapytałem. Malec przeszedł na angielski.

- Proszę za mną! Nieżywy człowiek! - Zamilkł, z rozszerzonymi ze strachu oczyma. - On nie ma głowy!

Złapałem go za ramię. Oczy wyszły mu na wierzch do tego stopnia, że pewnie mnie nawet nie widział.

- Dobrze. Tylko spokojnie. Spokojnie. Chodź, pokażesz mi. Zaprowadził mnie na skraj patio do schodków i zatrzymał się.

- Nie mogę - wyszeptał. Sięgał mi akurat do łokcia. Mógł mieć najwyżej dziewięć lat.

- Więc pokaż mi, gdzie on jest - rzekłem.

Przez chwilę myślałem, że nawet na to się nie zdobędzie. Nagle jednak wyciągnął palec w ciemność, wskazując kępę tropikalnych traw. Za nami młody barman ani myślał ruszyć się zza lady i przyjść z pomocą.

- Na miłość boską, człowieku, chodź pan tu i zajmij się dzieckiem! - zawołałem go. - Odchodzi od zmysłów ze strachu.

Poklepałem chłopca po ramieniu i wszedłem w ciemność na trawnik prowadzący do kępy.

Z początku nic nie widziałem w ciemnościach. Wtem, tuż na skraju kępy, dostrzegłem bosą stopę. Rozsunąłem wysokie trawy i zajrzałem w głąb. Za stopą znajdowała się cała noga, za nią następna, podkurczona, a za nimi tułów. W miejscu, gdzie powinna znajdować się szyja, nie było nic.

Przez pół minuty stałem bez ruchu, zapatrzony. Szyję odcięto u podstawy, a ten, kto to zrobił, nie silił się na precyzję. W ciemności nie dało się dostrzec, czy na ziemi albo na trawie jest krew. Wszedłem głębiej w kępę i pomacałem trawę koło odciętej szyi. Spojrzałem na palce. Krwi nie było. Cofnąłem się.

Brak krwi oznaczał, że zabójstwa dokonano gdzie indziej, nie tu. Co wcale jednak nie przesądzało o tym, że w pobliżu nie ma także i głowy. Rozejrzałem się i znalazłem sandał, należący do bosej stopy. Nie dotykałem go. Głowy nie znalazłem, ale nie przejąłem się tym, bo byłem prawie pewny, że wiem już, kim jest zamordowany.

Jeszcze raz wróciłem do zwłok i spojrzałem na nie. Miały w sobie coś dobrze mi znajomego. Jedna z tylnych kieszeni spodni była wybrzuszona. Wyciągnąłem z niej portfel, nie dotykając niczego innego, i przejrzałem zawartość. W mrocznym świetle błysnęła karta marynarska ze zdjęciem Girgisa. Portfel był pełen pieniędzy. Schowałem go z powrotem i wyprostowałem się.

Z tyłu, od strony patio, słyszałem jakąś cichą amerykańską muzykę taneczną, dobiegającą z wewnętrznego systemu nagłaśniającego hotelu.

Miałem wrażenie, jakbym przez cały czas spodziewał się czegoś takiego. Nie wiedziałem kiedy, kto, gdzie i jak. I nie istniała najmniejsza nawet możliwość, żebym mógł temu zapobiec. Ale wszystko od samego początku pachniało mi czymś takim, i oto do czego doszło.

Było to szczególnie makabryczne zabójstwo. Nie miałem wątpliwości, że głowę odcięto już po śmierci Girgisa. Wszystko na to wskazywało. Ale to było bez znaczenia. Takie okaleczenie zwłok ma w sobie coś szczególnie poniżającego.

Bose stopy ofiary także miały w sobie coś szczególnie patetycznego i nieprzyzwoitego. Wiedziałem coś o tym, bo już to widziałem. Widziałem faceta, który podczas mojej wojny wyskoczył z butów i skarpetek, trafiony pociskiem mózdzierza. Było to nawet śmieszne, dopóki człowiek sobie nie uświadomił, że gość nie żyje. Dekapitację także już widziałem. Japończycy ucięli głowy kilku ludziom z mojego oddziału i ułożyli każdego z głową na piersi, żebyśmy ich tak znaleźli.

Nagle przypomniał mi się Girgis - stojący boso na rufie „Polarisa” w palącym słońcu i szykujący się do uruchomienia klaksonu. Wtedy bose stopy nie raziły. Nawet nie zdążyłem go bliżej poznać. Zły czy nie, miał w sobie jednak coś pociągającego, kipiał radością życia. Nie czuję nienawiści do śmierci. To nie ma sensu. Ale nienawidzę bezsensownej śmierci. A morderstwo to prawie zawsze śmierć bezsensowna.

Nie potrafiłem tego rozgryźć. Nic nie wskazywało na to, żeby jego drobny handelek haszyszem przynosił aż tyle pieniędzy, by uzasadnić morderstwo.

Młody barman, któremu w mojej obecności wróciła odwaga, odezwał się za mną ze schodków patio:

- Nie powinno się dotykać niczego na miejscu zbrodni, prawda?

Z irytacją odwróciłem głowę.

- Prawda. Chodź pan, wracamy do restauracji.

- Czy on naprawdę nie żyje? - zapytał. - I nie ma głowy?

- Nie żyje, a jakże.

Za jego plecami mały chłopczyk w zielonym uniformie ze złotym galonem i zielono-złotej czapce wybuchnął płaczem.

W hallu kazałem recepcjoniście wezwać policję. Kiedy czekaliśmy, obejmowałem roztrzęsionego chłopczyka, usiłując go pocieszyć.

- No już, no już. Umarli nikomu nie robią krzywdy. Słyszałeś kiedy, żeby jakiś nieboszczyk zrobił komuś krzywdę?

Miałem poważne wątpliwości czy to, co mu wmawiam, to prawda.

Rozdział 20

Nienawidzę morderstwa. Morderstwo zawsze wszystko komplikuje. Z chwilą, gdy dochodzi do morderstwa, sprawa przybiera całkiem inny obrót. Morderstwo wszystko wywraca do góry nogami. Wzywa się lokalnych tłuszciochów, a odgórnie przysyłają ciężką artylerię - kapitanów i inspektorów. Nie sądziłem, żeby w Grecji miało być inaczej - i nie było.

Policja zajechała niebieskim jeepem - gruby komendant i dwaj jego wiejscy posterunkowi. Widywałem go z daleka w miasteczku. Komendant udał się na oględziny zwłok i wrócił sypiać przekleństwami i ocierając twarz z potu. Ta woda była dla niego za głęboka. Powiedział nam - po angielsku, zapewne na mój użytek - że wezwie inspektora z Glauros.

- W Bogu nadzieja, że on tam będzie - oświadczył.

Po powrocie od telefonu stwierdził, że inspektor już jedzie. Powinien dotrzeć za godzinę.

Musiałem pomyśleć o mojej „klientce”. Mogłem zawieść w sprawie randki, lecz mimo to chciałem pierwszy przekazać jej nowiny, zanim dowie się od kogo innego, i kazać jej trzymać buzię na kłódkę. Wstałem bezczelnie.

- No, mam parę spraw do załatwienia na mieście. Wrócę, zanim przyjedzie.

- Pan? Pan nigdzie nie pójdzie. - Zdawało się, że oczka grubasa powoli wracają skądś na swoje miejsce. Jego poczwórny podbródek zatrzęsł się z oburzenia. - Widziano, jak pan wyjmował portfel z kieszeni zmarłego i odkładał z powrotem.

Posłałem młodemu barmanowi twardy, złośliwy uśmiezek.

- Myślałem, że wiem, kim jest ofiara - zwróciłem się do komendanta. - Chciałem to sprawdzić.

- Nikomu nie wolno nic ruszać na miejscu zbrodni - oświadczył grubas. - Zrewidujemy pana. - Po czym przeszedł na grecki.

Włożyłem ręce do kieszeni, żeby je wywrócić. Grubas natychmiast chwycił za pistolet i odbezpieczył go. Uśmiechnąłem się do niego bez słowa. Wyciągnąłem to, co miałem w kurtce. Potem wziąłem się za spodnie.

- Nie znoszę, jak mnie łaskoczą. Zwłaszcza wsiowe gliny.

- Ja wiem, kim pan jest, panie Davies - rzekł komendant. - Ale to panu nie daje żadnych specjalnych przywilejów.

Jeden z młodszych gliniarzy wziął mój portfel, spojrzął na moją licencję i wręczył ją znacząco swojemu szefowi. Grubas rzucił na nią okiem, pokiwał głową i schował ją do portfela. Nie mieli absolutnie żadnego powodu zachowywać się w tak szczeniacki sposób. Doszedłem do wniosku, że widocznie się boją.

- A teraz mogę już iść do miasteczka? - zapytałem.

- Zostanie pan tutaj.

Usiedliśmy, czekając.

Inspektor, kiedy już dotarł, dziarsko i gładko przejął sprawę w swoje ręce. Nie wyglądał na człowieka oderwanego od spokojnej kolacji z żoną i siedmiorgiem dzieci. Nosił granatowy garnitur, zapewne wcale nieźle skrojony, zanim go włożył na siebie, lecz stanowczo za gruby jak na ten upał. Był to nieduży człowieczek, ale twardy i krzepki. Roztaczał autorytet co najmniej pułkownika służby czynnej. Miał ponadto najbardziej brutalny i prymitywny komplet oczu, nosa i warg, jaki kiedykolwiek widziałem u gliniarza. Całkowicie zorientowany na władzę. Szybko obejrzał zwłoki, po czym zamknął się z komendantem w gabinecie.

Czekałem cierpliwie, zadowolając się kontemplowaniem szczupłego donosiciela za barem, którego inspektor wezwał do siebie, zanim jeszcze skończył z komendantem. Kiedy odprawił ich obu, wezwał z kolei mnie.

- No cóż, panie Davies, zdaje się, że zaniepokoił pan moich podwładnych, zaglądając do portfela ofiary. - Nie potępił mnie, ale też nie był po mojej stronie.

Wzruszyłem ramionami.

- Zdawało mi się, że go poznaję, i miałem rację. - Prawdopodobnie powinienem go uczciwie uprzedzić, że nigdy nie miałem wysokich ocen z posłuszeństwa, nawet w wojsku.

- Znał pan ofiarę? - Już przez sam fakt, że tam siedział, przekształcił gabinet dyrektora hotelu w swoją prywatną własność.

- Poznałem go. Był to przystojny młody człowiek. Zdaje się, że szastał pieniędzmi na prawo i lewo.

Inspektor kiwnął głową. Rozwierając wargi, skonstruował brutalny uśmiech.

- Przepuszczał dużo więcej, niż mógł zarobić jako kapitan „Polarisa” - dorzuciłem.

Znowu skinął głową, z tym samym uśmiechem na rozchylonych ustach.

- Słyszałem więcej. Więcej, niż wiem naprawdę.

- Co na przykład?

- Ano, powiadają, że przemycał na wyspę mnóstwo haszu, i sprzedawał go tutaj. Tym hipisom na wzgórzu.

Znowu szyderczy uśmiech. Znaczyło to, że jest dla mnie miły. Ale nie był pewny, czy mnie lubi, czy nie.

- Ja również mam takie informacje. Chociaż nie jestem pewien, czy cały haszysz trafia do hipisów. Coś jeszcze?

- Tyle tylko, że miejscowe władze podchodzą do tego dziwnie ślamazarnie. - Pomyślałem, że przyda mu się mała szpila. Choć trudno było przewidzieć, jak grubą miał skórę.

Nie wzruszyło go to.

- Panie Davies, nie jestem w stanie kontrolować handlu haszyszem na moim własnym terenie na kontynencie. A to jest wyspa. Potrzebowałbym do tego pół setki ludzi, każdego z własną łodzią.

- No pewnie. - Doszedłem do wniosku, że mówiąc to, niczym nie ryzykuję.

- O ileż lepiej jest mieć dokładne rozeznanie, ile towaru przychodzi i kto go sprowadza.

- Tak.

- Nie było z tym problemu, dopóki nie przyjechali hipisi. Teraz co roku ich przybywa.

- Wzruszył barczystymi ramionami. Wyglądał na dobrze odkarmionego, ten inspektor. - Wieści rozchodzą się po świecie. A wszystko z powodu tej rządowej budowy na wzgórzu, gdzie mogą mieszkać.

- Ale nic w tej sprawie nie zrobiono, prawda?

- Nie podejmuję się omawiać z panem tak skomplikowanej kwestii. Niemniej - znowu ten jego uśmiezek - powiem panu tyle, że choć tak źle ubrani i brudni, choć tak nędznie wola żyć, hipisi potrafią wydawać olbrzymie ilości pieniędzy.

Zrewanżowałem się uśmiechem.

- Jasne. Biedaków wśród nich niewielu. Prawda? Przynajmniej jeśli chodzi o Amerykanów.

Inspektor skinął głową.

- Niech pan się nie wysila na złośliwości. Tak, oni tylko lubią udawać nędzarzy. - Jego rozchylone w uśmiezku wargi były bardziej złowróżbne niż u kogo innego zaciśnięte. - Ale morderstwo to całkiem inna sprawa, panie Davies. Mieliśmy tu kilku nożowników, kilku desperatów, a nawet szaleńców. To nie to samo. Sprawcę morderstwa na moim terenie złapię. Może pan być tego pewny.

- Myśli pan, że to będzie takie proste?

Inspektor wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że nie obito się panu o uszy, kto rozprowadza haszysz dla tego Girgisa?

Udałem, że się nad tym zastanawiam. Dlaczego pytał o to właśnie mnie - obcego, który przyjechał zaledwie przed trzema dniami?

- Nie, nie obito mi się - skłamałem. - Myślałem, że sam go sprzedaje.

Z uśmiechem na ustach bawił się bezmyślnie ołówkiem dyrektora hotelu, który tymczasem stał się jego ołówkiem.

- Zna pan hrabinę von Anders?

- Tak. Ta pani opiekuje się mną podczas pobytu na wyspie. Nie sugeruje pan chyba, że jest zamieszana w tę niesmaczną sprawę?

Inspektor podniósł wzrok i uniósł gęste brwi.

- Ależ nic podobnego. Znam hrabinę od lat, panie Davies.

- Więc po co takie naprowadzające pytanie?

- To nie było pytanie naprowadzające, panie Davies. Po prostu byłem ciekaw, czy pan ją poznał. Ot, taka towarzyska wymiana uprzejmości. Ona jest przyjaciółką pana Tarkoffa. Pan pracował nad czymś dla niego w Atenach. To on pana tu przysłał.

- Ano, faktycznie, poznaliśmy się - odparłem obojętnie. Był na czasie, inspektorek. Nie zasypiał gruszek w popiele. - Fred Tarkoff napisał jej o mnie i dał mi do niej list polecający.

- Tak. Pan Tarkoff. Bogaty Amerykanin. Miałem przyjemność spotkać się z nim parę razy. Na Tsatsos mieszka kilku bogatych Amerykanów. Lubimy ich. - Nie sposób było przewidzieć, po której stronie gra. Czy wiedział o grupie handlarzy haszyszem i chciał się do nich dobrać? Czy też był przekupiony i osłaniał ich? Odsunął fotel obrotowy dyrektora hotelu jak swój własny. - To nie jest przesłuchanie, panie Davies. No, to by było wszystko. Jest pan wolny.

- I nie każe mi pan opuścić wyspy. - Uśmiechnąłem się szeroko. - Prawda?

- To jest bez znaczenia. Nie będzie mi pan już potrzebny. - Nie był światowym rekordzistą w poczuciu humoru.

Razem wyszliśmy do hallu. Trzej policjanci gdzieś zniknęli, a personel hotelowy zgromadził się przy wielkich szklanych drzwiach, obserwując, co dzieje się na zewnątrz.

Podeszliśmy do drzwi. Na podjeździe stała wyblakła niebieska furgonetka marki Volkswagen z otwartymi tylnymi drzwiami. Obok niej stał mikroskopijny starzec, tak kruchy, że wydawał się niemal przezroczysty. Dwaj młodzi policjanci i komendant trzymali nosze i sprzeczali się.

Spojrzałem na inspektora, który poruszył krzaczastymi brwiami.

- Miejscowy karawan - wyjaśnił. - I tutejszy przedsiębiorca pogrzebowy.

Jeden z młodych policjantów gorąco protestował po grecku. Tłusty komendant zlekceważył go i wszyscy trzej zniknęli koło kępy tropikalnych traw. Po kilku minutach wrócili z noszami, niosąc zakryte prześcieradłem zwłoki. W ciele nastąpiło już stężenie pośmiertne i zwłoki nie chciały się dopasować do noszy. Kolano podkurczonej nogi sterczało jak niewielka góra. Jedno ramię wystawało sztywno spod prześcieradła. Widać było, że mieli z tym sporo kłopotu. Wszyscy trzej się pocili. Wtaszczyli nosze do furgonetki i mikroskopijny, przezroczysty karawaniarz zatrzasnął drzwi. Młody policjant, który posprzeczał się ze swym szefem, oparł się o drzewo i wymiotował.

- Sam pan widzi, że tutaj nie przywykli do morderstw - odezwał się za moimi plecami inspektor.

Skinałem głową.

- Ma pan już odciski palców i tak dalej?

- Wszystko, co tylko może nam się przydać na Tsatsos - odparł inspektor.

Znowu skinąłem głową. Ucisnąłem mu dłoń ponuro, na znak, że rozumiem jego problemy, i skierowałem się na postój dorożek. Moja „klientka” Chantal wciąż zajmowała pierwsze miejsce w moich myślach. Musiałem wywołać dorożkarza z tłumu gapiów.

W porcie zwolniłem dorożkę i na piechotę ruszyłem do Chantal.

Była już noc - dziesiąta, może dziesiąta trzydzieści.

Nie spodziewałem się zastać jej w domu - i nie myliłem się.

Rozdział 21

Powiedziałem służącej, że zaczekam.

W niskim kamiennym salonie o grubych ścianach znowu spojrzałem na portret młodej Chantal. Pomyślałem, że wiele on mówi o jej życiu, wisząc tam pod nigdy nie wygaszanym światłem. Dominował nad całą tą średniowieczną salą. Ale nie dlatego, że Chantal koncentrowała wszystko wokół obrazu. Wręcz przeciwnie - powiesiła go samotnie, wszystko od niego odsuwając. Dominował więc w sposób niejako pośredni. Bardzo sprytnie.

Na antycznym stole znalazłem bogato ilustrowaną książkę przedstawiającą historię rodziny von Anders, po niemiecku. Wydawca nie podany. Trzysta numerowanych egzemplarzy. Książka wydana najwyraźniej własnym sumptem. Zabrałem się do lektury. Gdybym znał niemiecki, być może dowiedziałbym się czegoś o mojej klientce. Ilustracje zaczynały się już od średniowiecznych rycin. Zamki. Przodkowie w pełnej zbroi. Później - fotografie. Wojna z roku 1870. Wojna z 1918. Wojna z 1940. Lata międzywojenne. Pod koniec książki znajdował się wielki portret rodzinny, na którym rozpoznałem Chantal i - jak się domyślałem - jej męża, w otoczeniu braci, sióstr, kuzynów, bratanic i siostrzeńców. I surową, patriarchalną parę.

To ci rodzinka. Wciąż jeszcze trudno mi było lubić Niemców. Zmieszałem sobie koktajl i wróciłem do książki. Zdrzemnąłem się trochę. Wreszcie usłyszałem trzask drzwi wejściowych i czyjeś szepty. Weszła Chantal.

- Cóż za miła niespodzianka - odezwała się przesadnie słodkim tonem. - A więc mimo wszystko postanowiłeś mnie odwiedzić?

Rozmyślnie nie wstałem z miejsca. Odłożyłem książkę na stół.

- Widzę, że czytałeś historię rodziny Gunthera. Masz tu plejadę Niemców, nie sądzisz? Niemiecka arystokracja - dorzuciła z goryczą. - O ile pamiętam, jest tam nawet i moja podobizna.

- Widziałem.

- Nie wiedziałam, że znasz niemiecki.

- Nie znam.

Ponieważ uparcie nie wstawałem, przyrzadziła sobie koktajl i usiadła. Milczałem. Przyglądałem jej się otwarcie. Musiałem przyznać, że była czarująca, kiedy odrzucając kosmyk włosów sprzed oczu, spojrzała na mnie.

- Czemu zawdzięczam to niebywałe szczęście? Czy ta druga puściła cię kantem? A może to litość nie pozwoliła ci zostać u jej boku i kazała przyjść do mnie? Przynajmniej zaczynam poznawać twoje upodobania. Lubisz bardzo młode i bardzo długonogie. Lubisz nurkujące handlarki narkotykami.

- Przyganiał kocioł garnkowi - odciąłem się. - Ale spokojnie, przyszedłem w sprawie zawodowej. Poważnej sprawie, z twojego punktu widzenia. - Przerwałem. - Wiesz, że zabito Girgisa? Zamordowano?

- Nie mówisz chyba poważnie? - szepnęła Chantal ze ściągniętą twarzą.

Skinąłem głową.

- To ja go znalazłem. A ściślej, ja i dwóch chłopaków z hotelu. W zaroślach koło „Xeni”. Tylko dzięki portfelowi zidentyfikowaliśmy Girgisa, bo zwłoki były bez głowy.

- Och, ależ to straszne - wyszeptała po chwili. Tym razem już nie grała.

- Straszne albo i nie - stwierdziłem. Westchnąłem cicho i wydałem wargi. Podniosłem się i zająłem mieszaniem koktajlu, by dać jej trochę czasu. - No więc - powiedziałem zwrócony do niej plecami - przyszedłem jako twój przedstawiciel. Żeby ci powiedzieć, że masz trzymać buzię na kłódkę. Na temat Girgisa i wszystkiego, co o nim wiesz. - Usiadłem z powrotem. - Uznałem, że jest to na tyle ważne, by przyjść od razu. W pewnym sensie czuję się za ciebie moralnie odpowiedzialny. Skoro mnie „wynajęłaś”.

Wyglądała tak, jakby nie była pewna, czy mnie dobrze usłyszała. Jej twarz pobladła; przyciskając dłonie do policzków, wpatrywała się w kąt podłogi. Przyglądałem jej się bacznie. Po takim szoku one potrafią kompletnie się załamać, te wrażliwe damy pod ochroną. Wstałem, by nalać jej brandy.

- Masz.

Wzięła kieliszek, obrzuciła go wzrokiem i wypła połowę.

- Ja, hm... Jestem wstrząśnięta. Trudno mi w to uwierzyć. Nie wiem, co powiedzieć. Nic nie rozumiem. Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Wypij do końca. W tej sprawie nie mam nic do roboty. Poza tym, że muszę cię osłaniać i pomóc ci się trzymać od tego tak daleko, jak tylko ci pozwolą. Oczywiście, możliwe, że w ogóle nie będą cię niepokoić.

- Ale obcinać mu głowę? Po co robić coś tak straszego?

- Przyznaję, że z tą głową to dosyć makabryczna historia. Nie mam bladego pojęcia, po co to było.

Opróżniła kieliszek.

- Co teraz będzie?

- Na ten temat też nie mam zdania. Myślałem, że może od ciebie dowiem się czegoś więcej.

Chantal okręciła się na krześle, by spojrzeć na mnie, i odstawiła szklankę.

- Nie sądzisz chyba, że ja to zrobiłam?

- Nie. O ile nie jesteś znacznie silniejsza niż na to wyglądasz. Koło ciała nie było krwi. To znaczy, że ktoś musiał przenieść Girgisa ładny kawałek drogi. A nawet bez głowy nie był to ułomek. - Uśmiechnąłem się do niej blado.

- Jesteś straszny. Nie masz za grosz wrażliwości.

- Wybito ją ze mnie przez te wszystkie lata. - Zerknąłem na nią sponad szklanki. - Więc jak, zrobisz, co ci powiem?

- Tak... naturalnie. Zrobię, co każesz.

- Dobrze. - Odstawiłem szklankę i wstałem. - Przede wszystkim nic nie mów policji ani znajomym. Po drugie, chcę wiedzieć o wszystkim, co zaszło między tobą a Girgisem. Absolutnie wszystko.

Chantal poderwała się na nogi.

- Mówiłam ci już sto razy. - Zamilkła jednak, kiedy chwyciłem ją za ramiona i ścisnąłem lekko.

- Powiedziałem: wszystko. Bo wytrząsnę to z ciebie, jeśli mnie do tego zmusisz. - Szarpnąłem ją łagodnie do przodu i do tyłu. - Więc gadaj. Sądzę, że w ten czy inny sposób pracowałaś dla niego. Założę się, że tak samo myśli inspektor Pekouris.

Chantal zwiesiła głowę i spojrzała na podłogę. Podejrzewałem jednak, że teraz znów gra.

- Tak, to prawda. Pracowałam dla niego. Byłam „skrzynką kontaktową” i „kurierem” między nim a moimi przyjaciółmi na wyspie, którzy chcieli haszu. - Jej twarz rozjaśniła się nagle. - Zdziwiłbyś się, ilu ich jest. - Nagle znów zwiesiła głowę. - I... miałam z nim romans.

- Co jeszcze?

- To wszystko.

- Jesteś pewna?

- Nie chciałam ci mówić o tej ostatniej historii. Rozumiesz chyba. Nie jest to dla mnie powód do dumy. Zresztą ta sprawa z haszyszem też nie, jeśli już o to chodzi.

- Myślę, że to nie wszystko - rzekłem ponuro. Ale dałem jej spokój. Opadła na kanapę.

- Wszystko.

Potrząsnąłem głową powoli.

- W takiej wersji to nie ma sensu. W żadnej innej zresztą też nie, jak na mój gust.

- Szantażował mnie tym! Domyślasz się, jak bym się czuła, gdyby się ludzie dowiedzieli, że miałam romans z tym parweniuszem? Że rozprowadzałam dla niego haszysz i brałam za to pieniądze?

- Weźmy to na początek. Jak do tego doszło?

- Całkiem zwyczajnie. Co roku spędzam zimę w Paryżu. Wyjeżdżam stąd w listopadzie i wracam w marcu.

- To kosztuje - wtrąciłem. - Na to potrzeba pieniędzy. Jeżeli nie stać cię na zapłacenie mi tysiąca pięciuset dolarów i potrzebowałaś pieniędzy od Girgisa, to jakim cudem stać cię na spędzanie co roku zimy w Paryżu?

Zmierzyła mnie tylko wzrokiem i mówiła dalej. Nie widziałem sensu, żeby jej przerywać.

- W Paryżu paliłam haszysz. Jak wszyscy. Spodobało mi się to, więc pomyślałam, że może i tutaj uda mi się go kupić. Kiedyś, wynajmując od Girgisa łódź na przyjęcie, zwróciłam się z tym do niego i omówiliśmy sprawę. Obiecał mi sprzedać. A ludzie, którzy to u mnie palili, zaczęli prosić, żebym im też trochę załatwiła. To stało się jakoś tak samo przez się. Nigdy nie chodziłam po ludziach i nie namawiałam nikogo. Zawsze sami się do mnie zwracali. Girgis ucieszył się, kiedy zdał sobie z tego sprawę. Otworzył mu się nowy rynek zbytu. Powiedział, że jeżeli zgodzę się załatwić to dla niego, zajmę się czymś w rodzaju promocji, to dostanę czterdzieści procent zysków.

- Dużo tego.

- Prawdę mówiąc, najpierw zaproponował dwadzieścia procent. Ale wytargowałam się na czterdzieści.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem i roześmiałam się. Potrząsnąłem głową.

- Myślałem, że masz pieniędzy pod dostatkiem.

- Ja zawsze potrzebuję pieniędzy.

- Sądziłem, że dostajesz wielkie alimenty?

Bezradnie rozłożyła ręce.

- Przyjmuję mnóstwo gości. A pieniądze idą. Szczerze mówiąc, sama nie wiem na co.

- I mimo to stać cię na spędzanie zimy w Paryżu? No dobrze, a co z romanssem?

Chantal wydawała się wzruszająco bezradna, niczym dziecko przyłapanie na niewinnej psocie.

- Szczerze mówiąc, wolałabym o tym nie mówić.

- W porządku. Nie mów.

- To się zaczęło w zeszłym roku, na początku lata. A właściwie na wiosnę. Kiedy wróciłam. „Pracowałam” już dla Girgisa od roku. Przeżywałam właśnie rozstanie z Freddyem Tarkoffem. Freddy mnie rzucił. Cóż, zawsze wiedziałam, że tak się stanie. Spodziewałam się tego. Ale mimo wszystko to boli. A Girgis był pod ręką. W związku z haszyszem widywałam go dosyć często. No i jest przystojny. - Przerwała.

Nie odzywałam się.

- Przychodził tu kilka razy, późną nocą. Spotykaliśmy się w kaplicach na wzgórzach, i w lasach. Czasami na kontynencie, za Glauros. Na początku to było nawet podniecające. Dla mnie. Handel haszyszem też. To był psikus.

Jak na kobietę, która nie chce o tym mówić, poczyniła sobie moim zdaniem wcale nieźle.

- Ale w roli kochanka wychodził z niego cały prostak - oświadczyła Chantal i spojrzała na mnie.

Przez sekundę nie wierzyłem własnym uszom. Było to tak oburzające i tak typowe. Ciekaw byłem, co pewnego dnia powie o mnie. Uśmiechnąłem się, a po chwili roześmiałem w głos.

- Czy mam przez to rozumieć, że ze mnie nie wychodzi prostak?

Spoglądała na mnie przez dłuższą chwilę.

- Owszem - odparła wyzywająco. - Jeżeli już koniecznie chcesz to ode mnie usłyszeć.

A zresztą, czemu nie? To prawda.

Nie było żadnej reakcji z mojej strony. Wciąż próbowałem wywąchać prawdę w całej tej historii. Coś mi tu gdzieś nie pasowało. Ale nie potrafiłem tego zlokalizować.

- Dlaczego to się skończyło? - zapytałem.

- Zaczął mnie szantażować - odparła Chantal pośpiesznie. Była nie z tej ziemi. Po chwili ciągnęła: - I miałam go już dość. O, nie wątpię, że on też miał mnie dosyć. Ale powiedziałam mu, że nie chcę już dłużej dla niego pracować. - Wyraźnie nabrała animuszu. - Widzisz, o to właśnie chodziło. Szantażował mnie nie tylko dla pieniędzy. Szantażował mnie, żebym dalej dla niego pracowała.

Zapadło milczenie. Czekiła na moją reakcję. Wydałem wargi.

- No, teraz już z tym skończyłaś, i nie wracaj do tego.

Kolejne milczenie.

- Myślisz, że spróbują mnie w to wmieszać?

- Szczerze mówiąc, wątpię. Ale pewności nie mam. Jeżeli zaczną poważnie grzebać się w tym handelku haszyszem, to kto wie, czy nie zostaniesz wplątana. Kto jeszcze może o tym wiedzieć?

- Nikt. Zupełnie nikt.

- A ten jego grecki pomagier, który pracował z nim na „Polarisie „?

Potrząsnęła głowę.

- A Kirk?

Natychmiast stała się czujna; wyglądała jak spłoszona sarna.

- Właśnie dlatego chciałem pierwszy ci o tym powiedzieć. Na wypadek szoku, i dobrze się stało. Gdybyś w ich obecności zareagowała tak samo...

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Będę uważać.

- Chciałem ci przykazać, żebyś nic nie mówiła. Nikomu. O niczym, co się z tym wiąże.

- Czy miałeś zamiar zostać u mnie? - spytała Chantal. - Rzecz jasna, po załatwieniu spraw zawodowych?

Odrzuciłem głowę i spojrzałem na nią. Prawdę mówiąc, nie miałem takiego zamiaru. Sądziłem, że w tej kwestii podjąłem decyzję już po południu, kiedy do niej dzwoniłem. Ale musiała mieć jaja - a raczej ich kobiecy odpowiednik - żeby wystrzelić do mnie z takim pytaniem.

Świetnie wiedziałem, że robi to nie po to, żeby mi za coś zapłacić. Pamiętałem głęboką satysfakcję przebijającą z jej pleców ubiegłej nocy, kiedy przekręcała się na bok, zasypiając. Lubiła mieć mężczyznę pod ręką, ot co.

Nagle Chantal okręciła się ku mnie.

- Pozwól, że coś ci powiem - oświadczyła wyzywająco. - Czy nie mógłbyś mnie po prostu rznąć i się nie przejmować? Wy Amerykanie jesteście wszyscy tacy sami. Nic mi nie jesteście winni. Tak samo jak ja nie jestem ci nic winna. O nic cię nie prosiłam, prawda? Dlaczego wy Amerykanie musicie się tak samoudręczać? Chyba wam wszystkim wbito do głów jedno i to samo.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Miałem nadzieję, że moja twarz nie jest wymizerowana.

- Masz absolutną rację - przyznałem i skinąłem głową. - Absolutną.

- No więc?

- Tak - odrzekłem. - Miałem taki zamiar. Naprawdę. Myślałem o tym, żeby zostać.

- I to nad tym dumaleś teraz z taką żalobną miną? - zapytała ostro.

Prawdę mówiąc, nie. Prawdę mówiąc, myślałem o tej scenie na plaży, którą podglądałem tak dawno temu, wieczorem. O słodkiej nagości Słodkiej Marie, o wszystkich tych nagich dziewczynach, o tym wszystkim. Młodość. Co takiego siedzi w młodym ciele? Dlaczego młode ciało jest o tyle lepsze od starego?

- Tak. Nie. Prawdę mówiąc, zaniepokoiłem się - wyznałem. - Boję się, żeby się z tobą za bardzo nie związać.

- Niepotrzebnie. Nie chcę cię mieć podanego na tacy. W charakterze małżonka. Nie musisz się mnie bać. - Podeszła i wsunęła mi się w ramiona. - Cieszę się, że zostajesz. Jestem cała roztrzęsiona, i wystraszona.

Spojrzałem na nią i łagodnie spowiłem ją w moje wielkie, silne, męskie ramiona.

Byłem przekonany, że tej nocy odbędzie się to równie dziko i elegancko, jak ubiegłej.

Nie rozczarowałem się.

Rozdział 22

O ósmej piętnaście grecka gospodyni obudziła mnie pukaniem do drzwi sypialni i oznajmiła, że na dole czeka inspektor Pekouris i chce się ze mną zobaczyć.

Goląc się po filiżance wrzącej, mocnej greckiej kawy w łazience na końcu korytarza, zawołałem do niego, że schodzę za pięć minut. Napinając twarz przed lustrem, zadawałem sobie pytanie, o co chodzi tym razem.

Inspektor stał na werandzie, spoglądając na urodę przystani. Ale nie podziwiał jej. Całą swoją postawą z naciskiem dawał do zrozumienia, że to on osobiście zezwolił tym dorosłym dzieciom jeździć tam na nartach wodnych i bawić się żaglówkami.

- To wizyta grzecznościowa profesjonalisty - powitał mnie Pekouris na swój bezceremonialny sposób. - Będziemy szukali głowy. Pomyślałem, że pewnie chciałby pan wziąć w tym udział.

Jego niebieski jeep policyjny stał zaparkowany na drodze przy skraju pustej parceli.

- To ładnie z pana strony, że mnie pan zaprasza - odparłem. - Nie bardzo jednak wiem, do czego mógłbym się przydać.

- Nie oczekuję od pana pomocy. Myślałem, że to pana zainteresuje. Jako zawodowca. - Spojrzał na mnie znacząco.

Jeżeli spodziewał się, że zrozumiem, co to ma znaczyć, to oblałem egzamin.

- Ano, skoro tak, to wybiorę się z największą przyjemnością - rzekłem. - Niech mi pan tylko da jedną chwilę, żebym mógł zawiadomić mojego przewoźnika.

Sonny czekał w tawernie. Powiedziałem mu, że nie będzie mi potrzebny i dałem mu dzień wolny. Potem wsiadłem do niebieskiego jeepa, obok Pekourisa. Jeszcze nie całkiem się obudziłem. Ale byłem już dostatecznie przytomny, by zastanawiać się, czym sobie zasłużyłem na te specjalne względy. Po drodze Pekouris wstąpił na kawę, ale nie oświecił mnie w tej materii.

Dzień był równie uroczy jak poprzednie. Zdawało się, że na Tsatsos nie bywa inaczej. Prowadzenie otwartego jeepa sprawiało inspektorowi widoczną przyjemność. Jechaliśmy główną drogą, która biegła koło portu i dalej, na drugą stronę miasteczka, w kierunku hotelu „Xenia” i budowy na wzgórzu.

Bryza wydymała krótkie rękawy mojej sportowej koszuli. Inspektor Pekouris miał na sobie tę samą niebieską koszulę co wczoraj lub identyczną. Ale przynajmniej zmienił krawat.

- Myśli pan, że mamy szansę ją odnaleźć? - zapytałem. - Głowę?

- Wątpię. Ale nie zaszkodzi spróbować. Może nam to coś powie. A może znajdziemy coś innego. Jedno jest pewne. Zabójstwa dokonano niedaleko stamtąd.

- Na przykład na budowie, chce pan powiedzieć?

Wzruszył ramionami.

- Jak pan widział, rigor mortis był już w ostatnim stadium zaawansowania. Lekarz ocenia, że śmierć nastąpiła wczoraj, około trzeciej nad ranem. Czyli mniej więcej godzinę i czterdzieści pięć minut przed świtem. Ktoś musiał przenieść zwłoki do ogrodu „Xeni”, przecinając co najmniej jedną większą drogę, i złożyć je tam, gdzie je znaleziono. A wszystko to w ciągu półtorej godziny przed brzaskiem.

- Niełatwe zadanie - mruknąłem.

- Tak, wcale niełatwe. Niech pan nie zapomina, że musiał również pozbyć się głowy.

Dojechaliśmy do „Xeni”. Na „parkingu” hotelowym, gdzie zwykle czekały wolne dorożki, stała teraz grupka pojazdów: dwa samochody i kilka furmanek. Zaraz za parkingiem, w miejscu, gdzie droga zakręcała w głąb łądu, dopasowując się do konturów wzgórza z budową, dreptała grupka mężczyzn.

Inspektor zajechał na parking.

- A, jeszcze jedno. Kronitis. Pan Leonid Kronitis. Zna go pan?

- Nie. - Ale na sam dźwięk tego nazwiska zacząłem się mieć na baczności.

- Zadzwoił do mnie z samego rana, zanim wyjechałem z Glauros - rzekł Pekouris. - Prosił, żebym przekazał panu wiadomość. Jeśli to możliwe chciałby się z panem dziś zobaczyć o dogodnej dla pana porze. Życzy sobie, żeby pan do niego zadzwonił w tej sprawie. Proszę. - Wręczył mi skrawek papieru z numerem.

Wziąłem kartkę, rzuciłem na nią okiem i czekałem. Inspektor Pekouris nic więcej jednak nie dodał. Zajął się parkowaniem jeepa. Kiedy zgasił silnik, odwrócił się do mnie. Wciąż nic nie mówił.

- Kim jest ten Kronitis?

- On ma na Tsatsos, nazwijmy to, drobne interesy, panie Davies. Kocha tę wyspę i chce ją ochronić. To bardzo bogaty i szanowany obywatel. Ma wielką willę za Glauros. - Posłał mi ten swój uśmiezek.

- Czy powinienem się z nim spotkać?

Ukierunkowane na władzę brwi Pekourisa powędrowały w górę

- Mnie pan pyta?

- To pan mi przekazał wiadomość

- Nie widzę powodu, dla którego nie miałby się pan z nim spotkać. Te bardzo szanowany obywatel. Poza tym jest właścicielem „Polarisa”, które go nasz nieżywy przyjaciel był kapitanem - Znów się uśmiechnął - Może chce pana wynająć, żeby pan znalazł zabójcę?

- Nikt tu, zdaje się, nie wierzy, że przyjechałem na wakacje - stwierdziłem.

Inspektor nic na to nie powiedział.

Znowu ogarnęło mnie wrażenie, że nie mówi mi całej prawdy. A może należał on do tych, którzy wolą nie wiedzieć tego, co wiedzą? Żeby w razie czego nie można mu było nic zarzucić?

- Radzi mi pan pójść - rzekłem po chwili.

- Ja nic nie radzę.

Zmierzyłem go wzrokiem, lecz on patrzył na mnie spokojnie, szeroko otwartymi oczami, z twarzą kompletnie wypraną z wszelkiego wyrazu. Zwykle jego oczy wydawały się na wpeł przymknięte.

- Ale nie widzę powodu, żeby to panu odradzać. Może podejźmy do nich - rzekł i ruchem głowy wskazał grupę mężczyzn.

Podeszliśmy. Na zakręcie gruby komendant nadzorował robotę. Zdawało się, że na polecenie przełożonego zaczął mnie tolerować. Po wczorajszym spotkaniu z nimi dowiedziałem się od Chantal, że cała policja w Grecji podlega w jakimś sensie wojsku i że miejscowi policjanci są funkcjonariuszami wojskowej służby wewnętrznej. Inspektor był oficerem wojska. Nie powiem, żebym z tego powodu nabrał do nich szczególnej sympatii.

W jednej chwili wytworzyłem sobie obraz prowadzonych tam działań. Zakręt drogi opasywał ścianę niewielkiego, lecz spadzistego wąwozu. Poniżej urwisko opadało do nieuczęszczanej kamienistej zatoczki, powyżej zaś wznosiło się strome trawiaste zbocze. Na tym to zboczu miejscowi rybacy i chłopcy tyraliera przeczesywali teren, posuwając się w górę. Byli już w połowie stoku.

Prawą stronę parowu ograniczało wzgórze, na którym znajdowała się budowa. Niektóre segmenty mieszkalne wkraczały swymi wrzecionowatymi, szczudłowatymi nogami na opadającą stromo trawę. Prawe skrzydło tyraliery wieśniaków prawie już do nich dochodziło.

Miedzy segmentami, jak gdyby nie chcąc zapuszczać się poza ich linię, stali hipisi.

Było ich pewnie ze czterdziestu: mężczyźni o długich włosach, brodach i w dziwacznych ubraniach oraz kobiety, o włosach jeszcze dłuższych, z charakterystycznym przedziałkiem na środku, i w brzydkich, bezkształtnych długich sukniach lub dzinsach.

Wyglądali tak, jakby przez te poszukiwania czuli się zagrożeni. Zachowywali się niezwykle cicho. Mężczyźni stali z opuszczonymi rękami. Od czasu do czasu któraś z kobiet przesuwiała się lub szeptała uciszając dziecko. Sprawiali wyjątkowo nieprzyjemne wrażenie, ze wszech miar nieatrakcyjne; a jednak było w nich coś dziwnie znajomego. Nagle przypomniałem sobie. Ich widok przywołał na myśl zdjęcia ludzi z niemieckich obozów zagłady.

To uczucie oraz implikacje, jakie nasuwało, mocno mi się nie podobały, mimo iż ci ludzie znajdowali się tam z własnego wyboru. Zerknąłem szybko, na niewzruszonego inspektora. Z całą pewnością ten niczym się nie przejmował.

- Kiedy tyraliera rybaków i chłopów mijają hipisów, ci gapili się na nich w milczeniu. Między obiema stronami wyczuwało się wyraźny antagonizm.

Stojąc na dole, przemyślałem sobie wydane tym ludziom polecenia. Ich sens dotarł do mnie od razu.

- Co będzie, jeżeli w wąwozie nic nie znajdziecie? - zapytałem. - Przeszukacie budowę?

- To nasz obowiązek - odparł Pekouris. - Chociaż wątpię, żebyśmy znaleźli tam jakieś dowody.

- Fakt - przyznałem, spoglądając w górę na hipisów.

Nie miałem pojęcia, jak inaczej ich nazywać, jeśli nie hipisami. Wiedziałem, że nie lubią tego określenia. Wiedziałem też, że jest już mocno anachroniczne. Ale Georgina też ich tak nazywała, a nawet oni sami mówili tak na siebie od czasu do czasu. Z pewnością byli wśród nich nie tylko studenci.

W grupie hipisów niedaleko mnie dostrzegłem jasnogrzywego Steve'a, jego dziewczynę Diane i Sonny'ego Duvala z Jane. Wąska ścieżka prowadziła na pagórek, gdzie stali. Ruszyłem w ich stronę.

- Cześć! Co tu robicie?

Sonny uśmiechnął się.

- Dajeś mi wolny dzień - powiedział przyjaźnie, tonem człowieka, który w gruncie rzeczy nie musi dla ciebie pracować.

- Przyszliśmy, żeby być z naszymi! - krzyknęła zza niego Jane Duval przeszywającym głosem i wysunęła się do przodu. Zasmarkana i nie najczystsza trzyletnia dziewczynka wisiła kurczowo u jej długiej spódnicy, ona zaś obejmowała ją obronnym gestem.

Jej twarz stanowiła studium fałszywego oburzenia. W pełnych dezaprobaty oczach gniew i złość miały się jak chmury gradowe podczas burzy, szukające odpowiedniego celu.

- Chyba już czas powiedzieć sobie prawdę. Uznaliśmy, że nasze miejsce jest tutaj z nimi. - Spojrzała na mnie z obłudnym wyzwaniem. - Pan by wołał, żebyśmy zaszyli się w miasteczku, podczas gdy tutaj terroryzują naszych przyjaciół?

Ukryłem twarz pod maską cierpliwości. Bez słowa. Widywałem już takie spojrzenie na twarzach młodych kobiet jak Ameryka długa i szeroka. Tak jak Jane, żadna z nich nigdy nie wiedziała, w którą stronę je skierować. Stojąca obok Jane Diane też miała taką minę. W subtelnym wygięciu ich brwi zawierała się bezbrzeżna uraza i oburzenie. Głęboka, nieuleczalna rana - tak przynajmniej zdawały się myśleć.

Widząc, że nikt nie zabiera głosu, Jane Duval zaatakowała mnie:

- Czy to pan zainicjował tę nową akcję terrorystyczną?

- Obawiam się, że z tym pytaniem musi się pani zwrócić do inspektora Pekourisa z policji - odparłem uprzejmie. - Ja tylko zabrałem się nim na przejażdżkę. Jest tam, na dole. - Pokazałem go palcem.

- Jeszcze czego! - parsknęła Jane, wykrzywiając usta. - Nietrudne zauważyć, po której stronie barykady pan stoi, panie Davies, gdy tymczasem gwałci się nasze prawa.

Nadal byłem niewzruszony.

- Nie wiem, czy wy tu macie jakieś prawa. Poza tymi, które rząd Grecji zechce wam sprezentować. To ich grajdół.

- Nasze prawo, to prawo do życia - oświadczyła Jane.

- Moim zdaniem oznacza to tylko tyle, że macie prawo oddychać - stwierdziłem ponuro, choć uprzejmie. - I nic więcej. Jeżeli znajdziecie powietrze - dorzuciłem.

- Pańskie zdanie - prychnęła Jane Duval. - Zdanie człowieka systemu. - Brudne dziecko za jej plecami rozplakało się.

- Czy tak uczą na wykładach w Bennington? Wystraszyła pani dziecko. Być może nie obito się to pani o uszy, ale popełniono tu morderstwo. Oni szukają głowy zamordowanego.

- Słyszeliśmy o tym! A następnym krokiem - i to jest wasz prawdziwy cel - będzie z całą pewnością masowa deportacja tak zwanych hipisów. Ale niech pan nie sądzi, że daliśmy się wam oszukać, o nie!

- Chyba jednak tak - stwierdziłem z wisielczym humorem. Rozmawiałem już z tyloma takimi jak ona. - Pech chciał, że morderstwa dokonano bardzo blisko stąd. Słuchaj - zwróciłem się do Sonny'ego - przyszedłem ci powiedzieć, że będziesz mi jednak potrzebny. Muszę mieć łódź.

Zanim zdążył powiedzieć tak lub nie, Jane przysunęła się do niego i opadając z sił, wtuliła twarz w jego szyję, kręcąc głową jak niemowlę szukające piersi. Zupełnie jak gdyby przeszła dużo więcej, niż mogła znieść. Tworzyli coś na kształt piramidy cierpienia - na samym dole małe dziewczynka z twarzą ukrytą w spódnicy Jane, dalej Jane z twarzą wtuloną w szyję Sonny'ego i wreszcie gniewne oblicze Sonny'ego na samym szczycie.

- Słuchaj, nie musisz ze mną płynąć - powiedziałem. - Znajdę sobie kogo innego.

- Popłynę z tobą, popłynę - burknął Sonny. W jego głosie brzmiała złość, niemal gniew. - Będę na molo za godzinę. Pół godziny. Pracuję przecież dla ciebie. Odpowiada ci to?

- Cofnął się wraz z Jane i dzieckiem, jak gdyby usuwając je poza obręb wytyczonego przez siebie pola walki. Jane, przyssana do niego jak pijawka, nie odrywając twarzy od jego szyi pozwalała się holować.

W tym momencie na szczycie trawiastego zbocza, dokąd wdrapali się już pierwsi ludzie z tyraliery, rozległ się krzyk. Spojrzawszy w górę, zobaczyliśmy wymachujących rękami mężczyzn.

- Znaleźli ślady krwi! - zawołał do mnie z dołu inspektor. - Chce pan wejść zobaczyć?

- Nie. To za ciężka wspinaczka dla pana w średnim wieku. - Odwróciłem się z powrotem do hipisów, Steve i Diane wciąż tam stali, z kilkoma innymi, lecz Sonny wycofał się z całą rodziną.

- Ty też się czujesz prześladowany? - zapytałem Steve'a.

- Nie wiem. - Steve spojrzał na mnie swymi mętными oczyma, lecz miałem wrażenie, że patrzy przeze mnie na wylot. - Ona prawdopodobnie ma rację. Najłatwiej zwalić wszystko na nas. Zaczną nas stąd wykopywać, żeby siebie wybielić. - Wyciągnął ramię, gdyż milcząca Diane ruszyła ku niemu, jak gdyby szukając schronienia. Wsunęła się w jego objęcia.

- Nie, chyba że znajdą mordercę - powiedziałem.

- Chce pan powiedzieć, że nie dadzą nam też zezwolenia na wyjazd?

- Nie wiem. Mogą nie dać. - Rozejrzałem się. - Gdzie twój przydupas? Stary Cyklop?

- Gdzieś tu się kręci - odrzekł Steve. Zbyt szybko. - Jest w pobliżu, jak nic. Łazi gdzieś. - Bezwiednie odepchnął bierną dziewczynę i zbliżył się do mnie o krok czy dwa. - Czy komuś z nich powtórzył pan to, o czym mówiłem wtedy na placu?

- Nikomu nie powtarzałem. To nie w moim stylu.

- No... to dzięki.

- Nie masz mi za co dziękować. Nikt mnie o to nie pytał. Ale jeżeli mnie zapytają, powiem im. Zwłaszcza zeznając w sądzie pod przysięgą, jako świadek oskarżenia.

- Pan by to zrobił?

- Pod przysięgą? Jasne.

- Przejmuje się pan przysięgą?

- Czy się przejmuję? Ja się o moje przysięgi troszczę.

- To tylko wymyśl. Wymyśl systemu. „W obliczu Boga i ludzi”. Pan w to wierzy? Oni chcą, żeby pan w to wierzył. W ten sposób łapią człowieka na hak. Ja mam zasadę, żeby składać te ich pieprzone przysięgi, a gadać swoje. Wymyśl systemu.

Patrzyłem na niego bez słowa. W końcu spuściłem wzrok i potrząsnąłem głową z niedowierzaniem.

- Kłamstwo pod przysięgą jest poza tym sprzeczne z prawem - dodałem. Jak gdyby miało to jakieś znaczenie. Ja sam, być może, skłamię kiedyś pod przysięgą, jeżeli będzie to absolutnie konieczne. Ale dotychczas nie było takiej potrzeby, i nie robiłem z tego jedynie słusznej filozofii.

- W porządku, kolego - rzekł Steve z goryczą w głosie. - Dzięki wielkie, człowieku. Wiemy przynajmniej, na czym stoimy.

Odwrócił się, z roztargnieniem zgarnął swoją dziewczynę wyciągniętą ręką i odszedł. Ja ruszyłem w dół zbocza.

- Pan wie, że nie o to mi wtedy chodziło? - zawołał za mną, odwracając się. Szedłem dalej. Odwrócił się z powrotem do hipisów.

Usłyszałem, że ktoś schodzi za mną po stoku. Pete Gruner, barczysty brodac z klubu nocnego. Najwyraźniej był razem z hipisami. Pete Gruner, gliniarz uciekinier. A może wcale nie?

- Cześć, Davies. Poczekaj, człowieku. Chcę z tobą pogadać.

- Pogadasz ze mną innym razem - rzuciłem przez ramię, mało uprzejmie. - Ja mam dosyć gadania. Potąd. - Nie oglądając się za siebie, zszedłem ze wzgórza.

Rozdział 23

Wróciłem do jeepa i czekałem na inspektora. Usiadłem na rozgrzanym miejscu kierowcy i bezwiednie bawiłem się wyblakłą kierownicą. Co chwila spoglądałem w zadumie między drzewa. Próbowałem to rozgryźć. Czułem, że wbrew sobie samemu coraz bardziej wciągam się w tę sprawę.

Poranne słońce przeświecające między gałęziami nadawało listowiu żółtozieloną barwę i tworzyło wokół siebie gorącą, rozżarzoną aureolę.

Lekka, łagodna bryza znad otwartego morza przed hotelem powiała ku mnie pod koronami drzew.

Już i tak miałem za dużo materiału do powiązania. Za dużo ludzi za dużo powiedziało albo zrobiło. Nawet już wszystkiego nie pamiętałem. Będę musiał się z jakimś zeszytem i spędzić noc na spisywaniu faktów. Tak jak to zawsze robię prowadząc sprawę.

Steve i jego kumpel. Niejasne aluzje Kirka. Nieustająca powściągliwość Chantal. Pekouris. Pete Gruner. Ten nowy facet, Kronitis. Nikt nie wynajął mnie do wykrycia mordercy. Podobno spędzałem cholerne wakacje.

Inspektor nie kazał na siebie długo czekać. Aby zwolnić mu miejsce za kierownicą, przesunąłem się na fotel dla pasażera, czując, jak grzeje mnie przez cienkie spodnie. Ruszyliśmy z powrotem do miasteczka.

Pekouris zrelacjonował mi wyniki poszukiwań. Zdawało się, że chętnie mówi na ten temat. Nie znaleźli nic ważnego. Odkryli miejsce zbrodni, a w każdym razie miejsce, gdzie odcięto głowę. Co ciekawe, było to na kompletnie otwartym, zewsząd widocznym terenie, zaledwie sto jardów od budowy. Nie znaleźli głowy ani żadnych narzędzi czy innych przedmiotów mających wartość dowodową.

- Ludzie kontynuują - oświadczył tonem dyktatora. - Ale wątpliwe, żeby teraz udało im się odnaleźć głowę. Wątpliwe, żeby zakopał ją gdzieś w pobliżu, jeżeli w ogóle ją zakopał.

- Tak - mruknąłem.

- Może się znajdować gdziekolwiek w promieniu dwóch mil. Moim zdaniem musiał znieść zwłoki po tym trawiastym zboczu.

- Ciekawi mnie jednak, po co w ogóle odcinał głowę? - rzuciłem.

- Po lewej stronie miał budowę. Po prawej te urwiste skały, które pan widział. Wykluczone. Pozostawała mu jeszcze trasa przez wzgórza. Prawie mila do pokonania na piechotę, i to obok co najmniej pół tuzina domów na tej małej drodze.

Pedantycznie zestawiał fakty.

- Czy trawa była zgnieciona, jak gdyby ktoś po niej przeszedł? - zapytałem.

- Ta trawa jest na to za krótka - odparł Pekouris. - Ciekaw też jestem, po co w ogóle odcinał głowę - rzucił nagle. - Ale jeszcze bardziej ciekawi mnie fakt, że stało się to tak blisko komuny hipisów.

Moja uwaga wreszcie do niego dotarła. Tyle że z takim opóźnieniem, że potraktował ją jako własną i jemu przypadła cała chwała z tego tytułu. Nie powiem, żebym się przejął.

Wysadził mnie na skrzyżowaniu głównej drogi koło portu.

- Chce pan zadzwonić do pana Kronitisa? Poczta ma pan o, tam. Skinąłem głową. Wiedziałem, gdzie jest poczta. Kiedy jednak odjechał, przeszedłem jedną długą przecnicę obok wyschniętego, spragnionego „parku” i urzędu telefonicznego do ciągu kawiarenek wychodzących na maleńki port towarowy. Mógł przewidzieć, co mam w planie. Ale nie zamierzałem dzwonić do Kronitisa, dopóki sam nie nabiorę na to ochoty. Dochodziła dziesiąta. Kupiłem paryskie wydanie „Heralda”, usiadłem przy moim stałym stoliku i zamówiłem campari z wodą sodową.

Dookoła zauważyłem wielu przyglądających mi się hipisów. Nikt nie widział, jak wysiadałem z jeepa. Najwyraźniej wieść o poszukiwaniach została przekazana metodą telegrafu z afrykańskiej dżungli, a wraz z nią wiadomość o mnie.

Zauważyłem też, że Słodka Marie siedzi sama przy stoliku i czyta paryskiego „Heralda”.

Podszedłem do niej.

- Co ciekawego słysząc w stolicach Europy? Jak leci wojna?

- Wojna leci źle. Jak zwykle. Rozmowy paryskie znowu w impasie. Jakiś tam książę żeni się z jakąś tam księżniczką - odparła Marie wesoło. Uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem, który zawsze przyprawiał mnie o ból.

- Mogę się przysiąc?

- Ależ proszę. Przepraszam, że sama pana nie zaprosiłam. Tu nikt się w to nie bawi.

Klapnąłem na blaszane krzesło. Marie złożyła gazetę.

- Nie wybierasz się dzisiaj na polowanie? - spytałem.

- Nie planowałam tego. Dziś jestem wesoła. Może obejdę się jeden dzień bez terapii.

- Kiedy cię tu zobaczyłem, przyszło mi do głowy, że moglibyśmy się wypuścić dzisiaj razem. Kupiłem sprzęt.

- O rany! To by było wspaniale!

- Nie mam skafandra - powiedziałem. - Więc nie wysiedzę w wodzie przez cały dzień. Ale moglibyśmy popłynąć gdzieś moją łodzią.

- Zgoda! Świetnie! - Zdawało się, że wszystko mówi z wykrzyknikami, jak nastolatka. Przypomniało mi to o moich dwóch nastolatkach. Ale one miały siedemnaście i trzynaście lat.

- Muszę pójść po sprzęt - oświadczyła. - To o której? Gdzie?

- Ano, najpierw muszę załatwić jeden telefon, i pewnie coś jeszcze. Ale powinienem się z tym uporać do wpół do pierwszej. Powiedzmy, że o dwunastej trzydzieści spotkamy się u Dmitriososa. Przyniosę jakieś kanapki, zrobimy sobie piknik.

- Bomba!

Obserwowałem ją przez chwilę, patrząc, jak się uśmiecha.

- Nie słyszałaś o morderstwie?

Jej twarz wydłużyła się.

- Tak, słyszałam. Makabryczne, prawda, tak urządzić biednego Girgisa? Komu na tym zależało?

- Tego, zdaje się, nikt nie wie.

- To takie smutne - rzekła Marie. - Hipisi dużo o tym mówią. - Nie była zaniepokojona. Ani zdenerwowana.

- Czy teraz nie stracisz pracy?

- Przypuszczam, że mogę to samo robić dla Jima. Sądzę, że Jim przejmie po nim interes.

- Czy między Kirkiem a Girgisem nie było jakichś zatargów? - zapytałem.

Odpowiedziała powoli, z zachmurzoną twarzą.

- Myślę, że tak. Jim uważał, że ma za mały udział w zyskach. Ale on nie zabiłby Girgisa, prawda? Byłby przecież podejrzanym numer jeden?

- Jeszcze jak - przyznałem. - Nie pomyślałem o tym od tej strony. - Pilnowałem się, żeby zachować powagę. - No, ale to nieistotne. Nie moja sprawa. Spotkamy się o wpół do pierwszej.

- Zgoda! Ale proszę, nie mówmy więcej o tym morderstwie, dobrze?

Przytaknąłem jej ruchem głowy. Zabawne, jak czasami instynkt podpowiada, że niektórzy ludzie są niewinni. Nigdy by mi nie przyszło do głowy łączyć ją z tym zabójstwem.

- Prawdę mówiąc, nie wypłynęłam dzisiaj, bo myślałam, że może to by było nie na miejscu...? - Spojrzała na mnie pytającym wzrokiem.

Uśmiechnąłem się tylko. Przy swoim stole zapłaciłem za koktajl i wróciłem do urzędu telefonicznego. Zamówiłem rozmowę z Kronitsem. Pracownikiem poczty był typowy,

niechlujnie ubrany i nadgorliwy mikrus, z zezem rozbieżnym. Trwało to trochę, zanim uzyskał połączenie. Gdy mu się to wreszcie udało, tonem południowoamerykańskiego generalissimusa rozkazał mi wejść do kabiny numer dwa. Ułomność fizyczna wcale nie czyniła go miłszym dla otoczenia. Zamiast Kronitisa odezwał się jego sekretarz - mówiący z angielskim akcentem snob. Oznajmił, że wielki człowiek przyjmie mnie o trzeciej trzydzieści. Na przystani promu w Glauros będzie na mnie czekał samochód. Od pierwszej chwili poczułem do niego zagorzałą antypatię.

- Nie mogę przyjść o trzeciej trzydzieści - powiedziałem bez ogródek. - Mam co innego do roboty. Mogę przyjść teraz.

- Obawiam się, panie Davies, że albo przyjdzie pan o trzeciej trzydzieści, albo wcale - wycedził.

- A więc wcale - stwierdziłem. - Do widzenia.

- Chwileczkę, chwileczkę! Proszę nie odkładać słuchawki. - Gdy wrócił, powiedział, że może być teraz. Ale ton jego głosu dowodził, że mu się to nie podoba. Brzmiał tak, jakby przeżył głęboki szok. Kiedy dotrę na przystań?

- Za jakieś dwadzieścia minut - rzekłem i bez pożegnania odwiesiłem słuchawkę.

Mikrus już na mnie czekał, żebym nie zwiął nie uiszczając opłaty.

Pierwsze, co zauważyłem po powrocie do domu Georginy, to „Agoraphobe”, zacumowaną ponownie na swoim starym miejscu. Kiedy wszedłem do lokalu Dmitriosa, Jim Kirk siedział przy stoliku nad wodą. Była z nim Jane Duval.

Nieco dalej Sonny czekał na mnie przy moło na „Daisy Mae”. Na mój widok wyskoczył na brzeg i pomachał mi ręką.

- Zaraz! - krzyknąłem do niego. Zatrzymałem się przed Kirkiem. - Cześć. Widzę, że wróciłeś.

- No, no. Niech mnie pokreśli, jeśli to nie stary Lobo Davies we własnej osobie! - zagrzmiął.

Jane Duval, siedząca naprzeciwko niego bez ruchu, jak gdyby mnie tam w ogóle nie było, poderwała się nagle na blaszanym krześle i przekreśliła tak, że mogłem sobie obejrzeć jej prawą łopatkę. Jak gdyby celowo chcąc popsuć mi humor - chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego miałbym się tym przejąć - wyciągnęła rękę nad stołem i oparła dłoń na wielkiej łapie Kirka. Nie zakryła jej nawet w połowie.

- I co, pogodziłaś ich wszystkich na komisariacie? - odezwałem się do niej.

Jane odrzuciła głowę, a z nią swoje długie włosy. Ale milczała.

- Przypuszczam, że słyszałeś złe nowiny - zwróciłem się do Kirka.

- Odkąd wróciłem dziś rano, nie słucham o niczym innym. Smutne to i niesamowite. Żałuję, że mnie tu nie było. Gdybym nie wypląnął, prawdopodobnie byłbym razem z nim. I mógłbym mu pomóc. - Jak na Kirka, było to całe przemówienie.

- Obroniłbyś go - zawtórowałem.

- No, gdybyśmy byli razem, to raczej nikt by go nie załatwił.

- Masz jakiś pomysł, kto mógł to zrobić?

- Nie - zagrział Kirk. - Ale jestem pewny - dorzucił patrząc łakomie na Jane, jak kot na śmietankę - jestem pewny, że nie zrobił tego żaden z tych miłych ludzi z budowy na wzgórzu. Bardzo źle, że to się stało akurat tam.

- Inspektor Pekouris zdaje się myśli tak samo - powiedziałem.

- A, słyszałem, że inspektor też tam był - rzekł Kirk. - Cóż, życzę mu powodzenia.

Taką rozmowę można by ciągnąć w nieskończoność. Poza tym Sonny podszedł i stanął koło mnie. Muszę przyznać, że jednak zjeżyłem się, straciłem humor, widząc, jak jego żona na jego oczach trzyma dłoń na łapie Kirka.

Sonny jednak zdawał się nie zwracać na to uwagi. W każdym bądź razie nie przejmował się.

- Chodź - zwróciłem się do niego burkliwie. - Muszę popłynąć do Glauros. Będę tam jakieś pół godziny, może godzinę. Potem wrócimy i chciałbym mieć łódź na popołudnie.

Na łodzi Sonny zapuścił silnik, a ja zrzuciłem cumy, by mógł odbić od molo. Kirk i Jane wstali od stolika. Oboje pomachali do nas.

- Do widzenia! Do widzenia! - ryknął Kirk ponad wodą. - Na razie! Na razie!

Oboje wsiedli na motorynkę, którą Kirk garażował w tawernie Dmitriosa, by mieć środek transportu na łądzie, i z pyrkotaniem silnika wystartowali błyskawicznie drogą biegnącą wzdłuż wału nadmorskiego w stronę portu. Zdawało się, że nawet bez Jane, która siedziała za kierownicą, obejmując go w pasie, motorynka ginie pod cielskiem Kirka.

Sonny tymczasem wyprowadził nas z gąszczu cum i skierowaliśmy się wprost na kontynent.

- Możesz mi w przybliżeniu powiedzieć, o której będziemy z powrotem? - zapytał Sonny, kiedy mijaliśmy latarnię morską.

- Mówiłem ci. Mniej więcej za godzinę. Tak myślę. Ale nie jestem pewny. - Irytacja w moim głosie zaskoczyła nawet mnie.

- Pytałem, bo po południu chciałbym wrócić na budowę - wyjaśnił. - Jane chce tam pójść, zobaczyć się z przyjaciółmi. Powinienem iść z nią.

Pohamowałem irytację.

- Mówiłem ci już, Sonny, że potrzebuję łódź na popołudnie. Zresztą wygląda na to, że Jane nie zdąży wrócić, żeby pójść z tobą na budowę. - Było to chyba okrutne z mojej strony, ale nie mogłem się powstrzymać. To przez tę jego cholerną wyrozumiałość.

Twarz Sonny'ego zeszywniała nieco pod tym śmiesznym wąsem w stylu Elliota Goulda.

- Czy bylibyś skłonny jeszcze raz wypłynąć beze mnie? - zapytał.

Po zaproszeniu Marie na rejs, myśl taka przyszła mi już do głowy. Sądziłem jednak, że nie mam prawa prosić go o to po raz drugi.

- Tak - odparłem. - Zgoda, popłynę sam. Umówiłem się ze Słodką Marie na nurkowanie.

Sonny skinął głową w milczeniu. Po chwili odezwał się:

- Uważasz pewnie, że źle zrobiłem, puszczać Jane samą z Jimem Kirkiem?

- Źle? Co znaczy źle? Zresztą, nie moja sprawa. To twoja kobieta.

- Ty nie rozumiesz Jane - stwierdził. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wodę, po czym spojrzał na mnie. - Żaden z was jej nie rozumie. Jane to swobodny duch. Wy tu wszyscy myślicie, że to jakaś neurotyczka z... z napaloną cipą. Za żadną cenę nie chciałbym zniszczyć jej swobodnego ducha. To właśnie jest w niej najpiękniejsze.

- Dziwne tylko, że swobodny duch nieodłącznie jakoś wiąże się z brakiem poczucia obowiązku - odparowałem. - Czy to ty zawsze zmieniałeś dziecku pieluchy?

- Jane nie zapomina o obowiązkach, ona tylko uważa, że ma pełne prawa jako wolny człowiek. Chce z nich korzystać, i ma do tego pełne prawo.

- Ano, Bóg z nią.

- Sam jestem wolnym człowiekiem, więc nie mogę odmawiać jej prawa do tego samego. - Znów wpatrzył się w wodę. - To tylko wy jej nie docenicie i nie rozumiecie. - Sonny odchrząknął. - Wracając do dzisiejszego ranka...

- Daj sobie spokój z dzisiejszym rankiem - przerwałem. - Nudzi mnie to i nie chcę o tym mówić.

- Ale nie ma powodu, żebyśmy w związku z tą historią skakali sobie do oczu.

Zastanowiłem się nad tym. Nagle zrobiło mi się go żal. On wszystko rozumiał na opak.

- Nie sądzę, żebym dziś rano skakał ci do oczu - powiedziałem ostrożnie. - Jeżeli dałem ci podstawy do przypuszczenia, że rano się na ciebie obraziłem, to niechący. Przepraszam.

- Ale ty wciąż nie rozumiesz, jak to jest z Jane.

W jednej chwili zagotowałem się ze złości. Wstałem. Byłem od niego sporo niższy, lecz zapewne silniejszy. Czy to zresztą ważne? Dźgnąłem go palcem wskazującym w pierś.

- Słuchaj no, przesłań mi wreszcie gadać, co ja rozumiem, a czego nie. Prawdopodobnie lepiej rozumiem „hipisów” i młodzież niż ty. Lepiej, niż ty ich kiedykolwiek zrozumiesz. Chryste Panie, nie wiesz, że mieszkam w Nowym Jorku? Jak ci się zdaje, co robię z czasem? Myślisz, że nie zaglądam do East Village? Więc dowiedz się, że w East Village spędzam ponad połowę czasu. Na czym? Na ściganiu zaginionych gówniarzy. Ściganie zaginionych gówniarzy to dzisiaj moje główne źródło dochodu. Bez nich nie stać by mnie było na posyłanie obu moich córek do ekskluzywnych szkół. Rodzice przyjeżdżają do mnie aż z Kalifornii. Znajdź mi pan dziecko. No to znajduję. Oni mi płacą, a ja namawiam gnojków, żeby wrócili do domu. I wiesz, jak to się kończy? Za każdym razem? Urażoną dumą; urażoną próżnością. Jestem wdzięczny hipisom. Za każdym razem, jak siadam do stołu. Nie opowiadaj mi, że nie rozumiem hipisów. Jestem specjalistą, i wiesz, co myślę? Myślę, że to same cholerne szczeniaki. Uciekają przed dorosłością. Boją się dorosnąć. A jak im się coś zamarzy, muszą to mieć do razu. Bo nikt nigdy nie nauczył ich dyscypliny wewnętrznej, i taka właśnie jest twoja Jane.

Przerwałem. Byłem chyba bardziej zaskoczony moim wybuchem niż Sonny. Odwróciłem się od niego i usiadłem.

- Ale... - zaczął Sonny.

Znowu zerwałem się i miejsca. Znowu wbiłem w niego palec. Tym razem jednak mówiłem twardo, powoli.

- Popełniono morderstwo. Postaraj się to zrozumieć. Ktoś zabił człowieka. To usuwa wszystko na dalszy plan. Gadasz o prawach człowieka. Podstawowe prawo każdego człowieka to nie pozwolić się zamordować.

Zwolniłem jeszcze bardziej.

- Morderstwo wszystko zmienia. Rządzi się swoimi własnymi prawami. Pracowałem nad kilkoma morderstwami. Po morderstwie nic nie jest takie jak przedtem. Nie ma spokoju, nie ma prawdziwej radości. Od tej pory wszyscy są podejrzani. Ty. Jane. Wasi przyjaciele, Steve i Diane. Ten cały Pete. Słodka Marie. Każdy człowiek w miasteczku i każdy hipis na wzgórzu. Oto do czego prowadzi morderstwo.

- Nie musi tak być - rzekł Sonny.

- Nie? Ale jest. To dalszy ciąg twojego humanizmu? No więc do tego właśnie prowadzi morderstwo. Może i twoje życie trzeba będzie kiedyś ratować? Oto, co wy wszyscy zawdzięczacie mordercy: jesteście podejrzani.

- A Georgina?

- Też.

- A Chantal von Anders? - W jego głosie zaszła subtelna zmiana.

- Ona też - odparłem. - Wszyscy.

- A co z obcymi, którzy mogli tu przyjechać? - zapytał.

- Oni też - powiedziałem i spoglądając na wybrzeże Glauros, starałem się ochłonać. -
Jeśli o mnie chodzi, wszyscy są podejrzani. A to jest żadne życie. Wierz mi. Morderstwo to
afrofit wobec wszystkich. Cieszę się, że jestem z tego wyłączony.

- Cóż, chciałbym, żebyś rozumiał, że Jane jest wierząca. Ona wierzy.

- To świetnie - odparłem zgryźliwie. - Hiszpańscy katolicy z czasów inkwizycji także
wierzyli. Powołaj się raczej na cyników. Przy nich czuję się bezpieczniej.

- Przykro mi, że nie chcesz spróbować nas zrozumieć. Miałem nadzieję, że zostaniemy
przyjaciółmi - rzekł Sonny.

Najwyraźniej tylko o to mu chodziło. Tyle rozumiał z tego, co mu powiedziałem. A
raczej starałem się powiedzieć. Albo przyjaciel, albo nie.

Przyglądałem mu się, czując że drgają mi usta - z irytacji, gniewu, wreszcie z
niesmaku. Odszedłem od niego i usiadłem na dachu kabiny.

- Jesteś za stary na hipisa - zawołałem.

- Nie. Nie jestem za stary. Człowiek nigdy nie jest za stary, na nic. Jeśli tylko ma
odwagę... Hej, już jesteśmy! - krzyknął. - Zawijamy!

Rozdział 24

Przystań promu w Glauros tworzyła wychodząca w morze rampa z białego jak wylanego betonu. Nie mogę się nadziwić, jak fatalnie Grecy i Francuzi obchodzą się z betonem. Sam prom - amerykański kuter torpedowy z demobilu, pomalowany na biało i niebiesko - kołysał się przy osobnym moście, z opuszczonym trapem. Obok znajdowało się normalne moście dla kaików. Zaczekaliśmy przy nim.

Na szosie, koło paru wolnych taksówek, rozsiadła się niczym czołg największa i najbardziej czarna limuzyna rolls-royce, jaką w życiu widziałem. Taksówkarze - ponurzy faceci z bakami i w ciemnych okularach - stali wokół niej. Kiedy szliśmy pod górę lekko nachyloną rampą, zza limuzyny wynurzył się szofer w liberii. Natychmiast zauważyłem dodatkowy ciężar, który dźwigał pod lewą pachą. Niezgodny ciężar, tak na oko. Pewnie Magnum, kaliber 0,357.

- Pan Davies?

Skinąłem głową, na co otworzył mi drzwi pojazdu. Usłyszałem, jak Sonny Duval zagwizdał za moimi plecami - przeciągły, złośliwy komentarz.

Przy drzwiach wycelowałem w niego podbródek.

- Tylko dlatego, że muszę się tanio ubierać, myślałeś, że nie mam bogatych przyjaciół, co? - Wsiadłem.

Zza przydymionej szyby oglądałem w przelocie fragmenty Glauros, kiedy okrążyliśmy je, wjeżdżając na wzgórze. Musieliśmy je okrążyć, bo pewnie byśmy się w nim nie zmieścili. Na szczycie wzgórza skręciliśmy w główną szosę, która wyglądała na przyczerniony, dziurawy jak rzeszoto trakt. Miasteczko w dole najbardziej przypominało tandetnie zbudowaną na pustyni Arizony osadę z Dzikiego Zachodu, z wyjątkiem jednego szczegółu - wielkiego, obrzydliwie nowoczesnego hotelu ze szkła i zielonego marmuru, przykucniętego na samym skraju miejsciny. Poza hotelem było tam jeszcze kilka barów, do których nie zajrzałby biedak mający w kieszeni pięćdziesiąt centów, dziewiętnastowieczny ceglany ratusz i w zasadzie nic więcej. Wyglądało to na przystanek promu kursującego na pobliskie wyspy.

Zastukałem w szklaną przegrodę dzielącą mnie od szofera. Otworzył ją.

- To Glauros?

- Tak, proszę pana. - On też miał akcent Anglika z wyższych klas.

- Co tu ludzie robią?

- Niewiele, proszę pana.
- To po co ten wystrzałowy hotel?
- Przyjeżdżają tu Ateńczycy. - Wzruszył ramionami. - A także turyści.
- Po co?
- W okolicy znajdują się liczne ruiny, proszę pana.
- Liczne, to znaczy ile?
- W całym okręgu? Cztery, może pięć. Dwie są nawet niedaleko.
- To wszystko?
- W Petkos jest kasyno, proszę pana.
- Rozumiem. Pan z Anglii?
- Tak jest.
- Niech mi pan powie, po co pan nosi broń?
- Taki rozkaz - odparł szofer pośpiesznie. - Okolice jest tu zupełnie dzika.
- Dzięki. Miło wiedzieć, że człowiek jest w dobrych rękach.
- Czy to już wszystko, proszę pana?
- Tak.
- Dziękuję panu. - Zasuwał przegrodę.

Miał dobre maniere, bez dwóch zdań. Oraz tę armatę pod pachą. Cieszyło mnie to. Zresztą, może i mówił prawdę. Prawie cały czas jechaliśmy pod górę, aż dotarliśmy na płaskowyż. Dookoła rozciągał się stąd widok na morze, które zniknęło nam z oczu, kiedy wjechaliśmy w głąb lądu. Szofer zakręcał kilkakrotnie, aż wreszcie skierował się w dół wzgórza. W centrum widoku, który roztoczył się pod nami, leżała zapierająca dech w piersiach willa. Miała wszystko co trzeba. Własną elektrownię. Basen olimpijski. Możliwe, że miała też własną stację odsalania wody morskiej. Była do tego stopnia wyszukana. W miarę, jak się do niej zbliżaliśmy, coraz bardziej przypominała warowną fortecę. Była tam olbrzymia brama z żelaznej kraty, zamknięta łańcuchem, a przy niej odźwierny. Był tam wysoki bielony mur z groźnie wyglądającym tłuczonym szkłem na szczycie. Pochyliłem się i zastukałem w szklaną przegrodę. Szofer otworzył.

- Powiedz pan, czy to kasyno?

Po ledwie dostrzegalnej pauzie dobiegł mnie modulowany głos:

- Nie, proszę pana. To posiadłość pana Kronitisa.
- I my tam jedziemy?
- Tak jest.
- Zapomniałem kąpielówek.

Znów minimalna pauza i odpowiedź:

- Jestem przekonany, że znajdą się jakieś na miejscu, proszę pana.

- Dziękuję.

Pewnie myślał, że okazuję brak szacunku. Ano, nie czułem szacunku.

Tym razem szofer nie zasunął przegrody. Przed nami odźwierny, poznając samochód, otworzył bramę, zanim podtoczyliśmy się ku niej. Kiedy wjeżdżaliśmy do środka, podniósł rękę do czapki jak dobrze wychowany wieśniak.

- Macie tu dobrze wychowanych wieśniaków - powiedziałem.

- Tak, proszę pana.

Mój gniew wzmógł się, gdy szofer przekazał mnie w ręce kamerdynera. Człowiekowi nie potrzeba wiele więcej, by stać się komunistą. A jeszcze bardziej się wściekłem, gdy kamerdyner poprowadził mnie przez wyszukany salon, dalej koło wspaniałego basenu z marmuru i do pawilonu, gdzie przekazał mnie sekretarzowi, z którym rozmawiałem przez telefon. Ten nie odezwał się do mnie, poza uprzejmym „Panie Davies”. I całe jego szczęście. Doprowadził mnie ze swojej klitki do olbrzymiego gabinetu. Na wprost drzwi, przed wychodzącymi na morze oknami, wysoki, przygarbiony i szpakowaty mężczyzna siedział za biurkiem wielkości małego boiska do hokeja.

Z wysiłkiem zacząłem brnąć przez puszysty dywan. Kronitis wstał, uśmiechając się.

- Proszę spocząć, panie Davies. Dlaczego pan tak dziwnie chodzi?

- Zawsze tak chodzę, jak nie widzę własnych kostek - odparłem. - Poza tym boję się potknąć o jakąś kłodę, którą ktoś mógł tu zostawić przez pomyłkę.

Kronitis, wciąż z uśmiechem na ustach, wlepił we mnie zaskoczony wzrok.

- Ach. Tak. Jeden z tych pana żarcików. Freddy Tarkoff opowiadał mi o pańskich żartach. - Wskazał mi kryty białą skórą fotel przed biurkiem, jeden z wielu w tym pokoju. - Proszę usiąść.

- Trudno to nazwać żartem. Boję się tak grubych dywanów - rzekłem. - Jest pan pewny, że tego nie pobrudzę? - Spojrzałem na fotel. - Jeśli urządził pan to wszystko, żeby sprawić na mnie wrażenie, to jestem zaskoczony.

- Cha, cha, cha - zaśmiał się Kronitis uprzejmie, choć bez humoru. - Freddy Tarkoff opowiedział mi o panu wszystko, panie Davies. Spodziewałem się jednak, że poznamy się w innej sytuacji, w innych okolicznościach. - Był to niezwykle suchy mężczyzna. *Sec*, jak by to powiedzieli Francuzi. Prawdopodobnie doskonale władał francuskim.

- Na przykład na obiedzie u ambasadora Piersona.

- Coś w tym rodzaju.

- Ja wolę proste, bardziej egzotyczne baraki rybaków. W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć, panie Kronitis? - Usiadłem i rozmyślnie oparłem zakurzoną gołą stopę w sandale na kolanie drugiej nogi.

- Chcę pana wynająć, panie Davies. Chcę pana zaangażować do wykrycia człowieka, który zabił, który zamordował mojego Girgisa Stourkosa. Gotów jestem hojnie pana wynagrodzić. - Otworzył szufladę biurka.

- Chwileczkę. To nie takie proste, panie Kronitis - powstrzymałem go. - Zwykle nie podejmuję się spraw, o których nic nie wiem, dla ludzi, których nie znam. No i pan nic nie wie o mnie.

Kronitis siedział nieruchomo, z ręką w szufladzie biurka.

- Wiem o panu tyle, ile mi potrzeba, od Freddy'ego Tarkoffa.

- Nigdy mi o panu nie wspominał.

- Nie miał powodu. Ale gotów jestem powiedzieć panu o sobie wszystko, co tylko pana interesuje. Oczywiście, na temat niektórych moich posunięć finansowych nie mogę rozmawiać.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Nie. Tego nie oczekuję. - Uświadomiłem sobie, kogo mi przypomina. Starego profesora matematyki, który uczył mnie w Denver.

- Poza tym może pan pytać o wszystko.

- Nie wiem nawet, od czego zacząć. Czy to pan jest właścicielem „Polarisa”, panie Kronitis?

- Owszem. A raczej w większej części. Odstąpiłem Girgisowi Stourkosowi dwadzieścia procent zysków w charakterze premii motywacyjnej.

Przynajmniej w jednej sprawie się myliłem. Stary nie był pospolitym przemytnikiem heroiny.

- A czy nie wiedział pan przypadkiem, że Girgis wykorzystywał „Polarisa” do bardzo intratnego, nielegalnego przemytu haszyszu? A jeśli tak, to czy z tego również przypadało panu osiemdziesiąt procent?

Twarz Kronitisa znieruchomiła. Wydawał się autentycznie zaskoczony.

- Nie. I jest to odpowiedź na oba pytania. Nie miałem o tym pojęcia.

Był zaskoczony, to jasne.

- Wygląda na to, że to prawda - stwierdziłem. - Czy to nie zmienia pańskiej decyzji dotyczącej wynajęcia mnie?

- Nie. W najmniejszym stopniu.

- Nawet gdyby sprawa przemytu przedostała się do wiadomości publicznej?

Kronitis zastanowił się. Jego ręka wciąż spoczywała w szufladzie.

- Nie. To mi nie przeszkadza. Nie miałem z tym nic wspólnego i nie wiedziałem o tym. Jestem autentycznie wstrząśnięty, i nadal chcę, żeby ten, kto go zabił, został schwytany i poniósł karę.

Skinąłem głową.

- Świetnie.

- No cóż, panie Davies, on pracował dla mnie. - Poruszył dłonią w szufladzie. - Staram się dbać o moich pracowników.

Nagle postanowiłem nie wspominać przy nim o Kirku. Starszy pan wydawał się szczerzy i bezpośredni. Jego zaskoczenie na wieść o haszyszu było bez wątpienia prawdziwe. A nie chciałem, żeby Kirk stracił przede mną pracę. Jeżeli był niewinny. Jeżeli zaś był winny - tym bardziej. Jeszcze nie teraz.

Kronitis wyciągnął miłą dla oka paczkę banknotów studolarowych.

- Mam tu cztery tysiące dolarów, panie Davies. W gotówce. Które zamierzam wręczyć dziś panu w charakterze zaliczki. - Rozłożył je przede mną na stole. Wyglądały cholernie dobrze, cholernie prawdziwie. Kronitis wiedział o tym.

Wydałem wargi i zagwizdałem bezgłośnie.

- To dla mnie dużo pieniędzy, panie Kronitis. Więcej niż dostaję za dwóch zaginionych dzieciaków w Nowym Jorku.

- Wystawi mi pan rachunek na pańskie honorarium i wydatki. Oprócz tej zaliczki. - Zanim zdążyłem odpowiedzieć, mruknął cicho: - Przypuszczam, że to przez tych hipisów ze wzgórze. Nie mógł się oprzeć pokusie.

- Tak, proszę pana. Na to wygląda. Co by pan jednak powiedział na to, że jak dotąd głównymi podejrzanymi są ludzie, którzy pracują dla pana?

Brwi Kronitisa powędrowały w górę. Nadal trzymał dłoń na studolarowych banknotach, układając je w równym szeregu, tak jak mój profesor matematyki zwykł układać swoje książki.

- Mam na myśli dwóch ze wspomnianych przez pana hipisów - wyjaśniłem. - Amerykanina imieniem Steve i jego przydupka zwanego Chuck. Czy nadal chce mnie pan wynająć?

Kronitis nie odrywał ode mnie oczu; wzburzonych oczu. Odchylił się i oparł w fotelu.

- A więc to jakby porachunki gangsterów, tak? Spór o prawo do handlowania haszyszem?

- Coś w tym rodzaju.

- Ma pan także na myśli, jak sądzę, ten ich klub nocny, który pomogłem im założyć?...

Tak, panie Davies, nadal chcę pana wynająć.

- A czy zechciałby mi pan zdradzić, dlaczego sfinansował pan ten klub i w jakim stopniu należy on do pana?

- Jest wyłącznie mój. Tego wymagają greckie przepisy. Ale dzielimy się zyskami po połowie. Tak się umówiłem ze Steve'em. Uznałem, że nie byłoby najsmardziej faworyzować go zbyt i oddać mu całość zysków. Co do powodów, ten chłopiec zwrócił się do mnie. Uznałem, że będzie lepiej, jeżeli sam to sfinansuję, niż gdyby miał to zrobić jakiś niepożądany element z Aten. Zapewne nie wie pan o tym, panie Davies, że Tsatsos należy do wymierającego typu wśród wysp greckich. Zachowała stare tradycje i jak dotąd nie została jeszcze wyeksploatowana. Głównie dzięki temu, że był to kurort Ateńczyków na długo przed tym, nim turyści z Europy i Ameryki zaczęli masowo odwiedzać nasz kraj. Są wśród nas tacy, którzy mają nadzieję utrzymać ją taką, jaką zawsze była - spokojną, senną i zacofaną. Rzecz jasna, pozbawiony skrupułów Ateńczyk z gotówką, dla którego klub nocny stanowiłby odskocznię, byłby zagrożeniem. Z drugiej strony, istniało tam naturalne zapotrzebowanie na taki klub. Uznałem więc, że wspierając tego chłopca, rozwiążę problem. Poza tym wydaje mi się, że on całkiem dobrze potrafi rządzić tą hipisowską kolonią.

Na mój gust brzmiało to szczerze.

- Czy nie wie pan, dlaczego tak długo toleruje się tę kolonię, panie Kronitis?

- Nie. Rząd Grecji ma swoje powody, by czynić to, co czyni. Żyjemy w skomplikowanych czasach, panie Davies. Obecna władza z pewnością nie utrzyma się po wsze czasy. Ja nie jestem wtajemniczony w opinię rządu. Sądzę jednak, że nie bez znaczenia są tu pieniądze hipisów. To nie biedacy.

- Sprawa wydaje się czysta - rzekłem i zamilkłem na chwilę. - Jeżeli przyjmę pańskie pieniądze i pańską ofertę, to - by użyć porównania w nie najlepszym guście - mogą potoczyć się głowy.

Kronitis zmarszczył nos. Był wymagający, to jasne. Ano, mógł sobie na to pozwolić.

- Niczego innego nie oczekuję. Dlatego właśnie chcę pana wynająć, panie Davies. - Wyciągnął rękę i złożył banknoty w stos. - Proszę.

- Chwileczkę. Mam jeszcze jedno pytanie. Czy nie wie pan przypadkiem, dlaczego trzech mężczyzn, o ile mi wiadomo, spoza wyspy, przyjechało na Tsatsos, żeby dać mi wycisk?

- Dać panu wycisk?

- Pobić mnie.

- Czy to stąd wzięty się ślady na pańskiej twarzy?

- Tak. Chociaż myślałem, że już ich nie widać.

- Tylko trochę. Mały siniak. Pod skórą. A więc zbili pana?

- Raczej próbowali. Bez powodzenia. Ale nie wiem dlaczego. Może po to, żebym się przestraszył i wyjechał?

Kronitisowi stwardniały szczęki. Mój stary profesor matmy też miał potężne szczęki i potrafił w razie potrzeby robić z nich użytek. Kronitis uśmiechnął się ponad szczękami.

- Moim zdaniem to raczej murowany sposób, żeby pan został, panie Davies.

- Więc dobrze. Moje honorarium wynosi sto pięćdziesiąt dolarów dziennie plus wydatki. - Wstałem. - Przyjmuję pańskie pieniądze, panie Kronitis. - Schowałem banknoty do portfela i wyciągnąłem z niego wizytówkę - Wystawię panu pokwitowanie. - Nabity portfel był przyjemnie ciężki i gruby. Podałem rewera milionerowi. - Dlaczego nie ma pan zaufania do policji? Że złapią tego gościa?

- Mam do nich zaufanie. Znam inspektora Pekourisa od lat. Chcę jednak wiedzieć, że pracuje nad tym także ktoś pańskiego kalibru.

- Czy mogę im powiedzieć, że mnie pan wynajął?

Kronitis milczał przez chwilę.

- Jeśli mam wybór, wolałbym, żeby nie wiedzieli.

- Obawiam się, że będę musiał im to powiedzieć.

- Trudno. Niech im pan powie.

Wyprostowałem się. Bez pośpiechu schowałem wypchany portfel, po czym rzekłem cicho:

- Panie Kronitis, jeżeli odkryję, że powody, dla których mnie pan wynajął, nie są całkiem czyste, to z miejsca rzucam tę sprawę. A pan nie dostanie zaliczki z powrotem.

- Świetnie. - Kronitis wstał i wyciągnął rękę. - Znakomicie. Widzę, że jest pan dokładnie taki, jak mówił Freddy Tarkoff.

- Jeżeli mówił, że w zamian za honorarium zapewniam wysokiej klasy usługi uczciwym klientom, to miał rację - rzekłem. Ująłem jego dłoń. Była sucha jak on cały. - Do widzenia. Będę w kontakcie. - Zacząłem brnąć z powrotem przez dywan.

Zanim przymknąłem cicho drzwi za sobą, siedział już pochylony nad biurkiem.

Jego sekretarz rzucił mi pytające spojrzenie, lecz tylko zmierzyłem go wzrokiem z kamienną twarzą.

Potem nastąpił znany mi już ceremoniał, tym razem w odwrotnej kolejności. Sekretarz przekazał mnie kamerdynerowi. Ten odprowadził mnie przez posiadłość. Znow ogarnęły mnie komunistyczne ciągoty. Kamerdyner przekazał mnie szoferowi. Szofer otworzył mi z boku drzwi rollsa.

Byłem piłką futbolową. Albo do baseballu, kursującą niczym w zagraniach słynnego tercetu: od Tinkera przez Eversa do Chance'a.

W Glauros kazałem szoferowi zatrzymać się na końcu głównej ulicy przed zakrętem na molo. Pekouris mówił, że wraca do swego biura. Szofer, otworzywszy i zamknąwszy za mną drzwi, dotknął palcem czapki. Wciąż nosił pod pachą tę kupę żelastwa.

Uśmiechnąłem się do niego i bez namysłu oddałem mu szybki wojskowy salut. Nie widziałem nic złego w tym, że jakiś bogacz każe swojemu angielskiemu szoferowi nosić się z armatą kaliber 0,357. Zwłaszcza tutaj, w dzikiej głuszy greckich półwyspów.

Mój salut nie wzruszył go ani trochę.

Ruszyłem do maleńkiej miściny, w stronę dziewiętnastowiecznego ratusza z cegły.

Rozdział 25

Mieścina była kompletnie wyludniona, jeśli nie liczyć kilku znudzonych turystów na tarasie brzydkiego marmurowego hotelu. Idąc bitą drogą, przez ułamek sekundy poczułem się jak Wyatt Earp, kroczący w kurzu głównej ulicy Tombstone z nadzieją na strzelaninę.

Sonny Duval dopadł mnie galopem i wyrównał krok.

- Dokąd idziesz? Pójdę z tobą.

Zatrzymałem się na wyboistej drodze.

- Nie. Mam coś do załatwienia. I chcę to załatwić sam.

- Ojej! - rzucił Sonny. Udawał małego chłopca, by ukryć gniew. - O kurcze! Rety! Zgoda, szefie. Się robi, szefie. - Skierował się z powrotem na molo.

Spoglądałem za nim ponuro. Czasami wystawiał na próbę nawet moją anielską cierpliwość.

Dotarłem do ratusza. Był brudny, nie zamieciony, pusty. Miał wygląd i zapach wszystkich prowincjonalnych gmachów sądu w Stanach, które miałem okazję odwiedzić. W kątach na marmurowej podłodze zalegały kłaki kurzu, które moja mama nazywała „kotami”. Panujący mrok stwarzał złudne wrażenie przyjemnego chłodu. Strzałka wskazywała drogę do biura inspektora policji. Zapukałem do drzwi i wszedłem. Pekouris siedział za biurkiem, a jakiś facet tkwił koło włączonego, lecz milczącego odbiornika radiowego. Inspektor siedział w białej koszuli z krótkimi rękawami i krawacie, bez marynarki.

- I cóż, panie Davies - odezwał się z tym swoim brutalnym uśmiechem i przymkniętymi, groźnymi oczami. - Tak szybko? Czyżby wykrył pan już za nas mordercę?

Uśmiechnąłem się i ruchem głowy wskazałem tego drugiego.

- On? - rzekł Pekouris. - On się nie liczy.

- Owszem, liczy się.

Powiedział coś po grecku i tamten wyszedł.

- Zresztą i tak nie zna angielskiego. - Odsunął się na krześle od biurka. - Niech pan siada, panie Davies. Oto i moja mała, nieelegancka i niedroga posiadłość. U pana Kronitisa jest przyjemniej, nieprawdaż?

A więc wiedział już o mojej wizycie. Ano, w Glauros rolls wpada w oko.

- Słyszałem, że większość czasu spędza pan daleko stąd - powiedziałem.

- To prawda, dużo czasu spędzam w Atenach. Sprawy zawodowe. Ale teraz przez jakiś czas raczej mi to nie grozi.

- Wpadłem tylko na dwa słowa. Kronitis wynajął mnie, żebym zbadał sprawę tego morderstwa. Chce, żebym wykrył zabójcę. Powiedziałem mu, że będę musiał pana o tym poinformować. Więc informuję.

Węszące za władzą brwi Pekourisa drgnęły. Skinął tylko głową, jakby z góry o tym wiedział.

- No cóż, cieszymy się, że pracuje pan z nami, panie Davies. Nie wątpię, że współpraca ułoży nam się pomyślnie. - Posłał mi ten swój szeroki, dęty uśmiech. - Morderstwo, panie Davies, to jednak coś dla policji. Nie przepadamy za detektywami prywatnymi, którzy przylatują z Ameryki i tylko komplikują nam śledztwo, by w rezultacie zgarnąć dla siebie cały rozgłos i chwałę za wyjaśnienie zbrodni.

Mniej więcej coś takiego spodziewałem się usłyszeć. Zacząłem się już zastanawiać, czy w ogóle to powie. Odpowiedź miałem przygotowaną zawczasu.

- To rozumią. Dlatego do pana przyszedłem. Chwała mnie nie interesuje. A wszystko, co uda mi się odkryć, natychmiast przekażę panu. Ja tylko będę asystował.

- Przypuszczam, że i tak nie zdołałbym pana powstrzymać od wścibiania w to nosa. Nawet gdyby nikt pana nie zaangażował. Pan jest jak ten stary pies gończy. Więc do roboty. Jego uprzejmość była aż podejrzana.

- Chciałbym jednak pana ostrzec. Niech pan nie rozmawia o tej sprawie. Trzeba to rozegrać po cichu, jak to się mówi. Bez rozgłosu. Obecnie jest to dla nas sprawa najwyższej wagi.

- Sądzi pan, że będę opowiadał o tym wszem i wobec?

- Nie. Nie celowo. Ale pańskie śledztwo może zwrócić uwagę ludzi. Nie chcę tego teraz. Porozumiałem się z Atenami i dostałem jasne instrukcje: rozwiązać tę sprawę, i to szybko, i wyciszyć ją za wszelką cenę. Zaczyna się pełnia sezonu turystycznego.

- Będę ostrożny - obiecałem.

- To coś więcej niż tylko kwestia zachowania ostrożności. To taktyka.

- Machnął ręką. - Jeśli o mnie chodzi, sprawę i tak mam już zapiętą na ostatni guzik, jak wy to mówicie. - Zaczął szperać w papierach na biurku.

- Sprawcami są ten młody amerykański hipis, który prowadzi klub „Cloud 79”, i jego zwariowany przyjaciel. Pozostaje nam tylko zgromadzić dowody.

- Hm - mruknąłem powoli. - Niewątpliwie jest to możliwe. Ale nie byłbym tego taki pewny.

- Ja jestem pewny - oświadczył Pekouris stanowczo. Znalazł kartkę, której szukał. - Czy pan wie, że Chuck, ten chłopak w okularach, od pewnego czasu jest poszukiwany w Meksyku za to, że posiekał maczetą jakiegoś biednego Meksykanina, omal go nie zabijając?

Udałem, że mnie to zaskoczyło. Choć prawdę mówiąc, udawania było w tym niewiele.

- Nie, nie wiedziałem. A pan skąd się dowiedział?

- Ma się swoje sposoby, panie Davies. Mam swoje sposoby na zdobywanie przeróżnych informacji. - Pełen wyższości uśmiech dyktatora. - To prawda. - Podał mi odszukaną kartkę. Był to kablogram z Interpolu. Mój wzrok przykuło słowo MEXICO. Przeczytałem tekst. Zawierał głównie to, co usłyszałem przed chwilą. Zauważyłem, że datowany był na sześć tygodni przed morderstwem.

- Ano, to zmienia postać rzeczy - stwierdziłem, zwracając mu kartkę.

- Wie pan, panie Davies, że my zawsze sprawdzamy paszporty - rzekł Pekouris. - Przy wjeździe. Pozwala nam to dosyć dokładnie orientować się co i jak. - Wypracowane westchnienie. - Istotnie, jak pan powiedział, to zmienia postać rzeczy. Sam pan sugerował, żeby wyjaśnić, dlaczego odcięto głowę. A jakież może być lepszy powód niż człowiek, który posiada maczetę i ma wprawę w posługiwaniu się nią? Oczywiście, musimy jeszcze znaleźć dowody.

- Tak - rzekłem. - To też jest ważne.

- Wie pan coś o tych dwóch? - zapytał Pekouris znienacka. - Rozmawiał pan może z nimi?

- Tak, rozmawiałem. U Georginy Taylor. I parę razy w miasteczku.

Pekouris pokiwał głową. Obaj wiedzieliśmy, że z góry znał odpowiedź na swoje pytanie.

- Mówili coś ciekawego?

- Jeszcze jak - odparłem. - Grozili mu. Bez żadnych konkretów. To znaczy, nie śmiercią. Ale grozili.

- Może nie podobał im się sposób, w jaki prowadził handelek haszyszem, więc zamierzali przejąć jego interes i poprowadzić go lepiej? - zasugerowałem.

- Otóż to.

- No i widzi pan? Mamy motyw.

- Tak. Z pewnością. Ale, jak sam pan powiedział, brak na to dowodów.

Pekouris wzruszył ramionami.

- Zgarnął ich pan już?

- Jeszcze nie jestem gotowy. - Uśmiechnął się tym swoim nikłym uśmiechem. - Oni nie uciekną.

- Inspektorze - obiecałem mu od drzwi - nikomu więcej nie powiem, że dla kogoś pracuję.

Podniósł na mnie wzrok i pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Też tak panu radzę, Davies.

Nie podobało mi się to. Nie tak sobie wyobrażałem naszą rozmowę. Co on mi chciał powiedzieć? Że mam wziąć swoje pieniądze, zamknąć gębę i nie rozrabiać? Cieszyć się, że mam szmal pana K. i nie wchodzić mu w drogę? Na to wyglądało. Gdybym mu jednak zarzucił, że właśnie to chciał mi przekazać, miałby pełne prawo zaprzeczyć. A sobie wierzył bezwarunkowo.

Te szczeniaki miały mniej więcej takie same szansę wygrania z Pekourisem, jak ja na macie z kobrą. W walce z nim i ze mną byli jak trzyletnie dzieci, pływające w tym samym basenie co dwa stare rekiny ludojady. Niech Bóg ma ich w swojej opiece, jeśli byli winni.

Skłaniałem się ku teorii inspektora, przynajmniej na razie. Ale potrzeba było do tego dużo więcej dowodów. Dużo więcej dowodów niż te, którymi dysponowaliśmy, żebym nabrał do tego przekonania.

Wyszedłem z mrocznego, zatęchłego i zaśmieconego ratusza na greckie stonce.

Rozdział 26

Miałem aż nadto powodów, by drogę powrotną spędzić na główkowaniu.

Niewiele się jednak zmieniło. Miałem bardziej nabity portfel, i tyle. Wciąż byłem tym samym facetem.

Sonny dąsał się i zostawił mnie w spokoju. Rejs był cudowny jak zawsze. Pogoda wciąż była wspaniała, a sceneria piękna. Roziskrzzone morze, palący blask słońca, orzeźwiająca bryza morska łagodząca upał, zielona wyspa przed dziobem i brunatne wybrzeże za rufą, jasne cętki kaplic na wzgórzach, wyszorowana biel miasteczka; a nad tym wszystkim modre, kolosalne niebo, tak odległe, tak niezmacone i tak obojętne. Tu, na dole, my marne robaki, szamoczące się i pełzające. Czasami ma się wrażenie, że nikt z nas na to wszystko nie zasługuje.

Na moło przed tawerną Dmitriosa nie zauważyłem motorynki. Kirk i Jane Duval jeszcze nie wrócili. Słodka Marie także się nie pojawiła.

- No nic, zostawiam cię tu z „Daisy Mae” - rzekł Sonny. - Poczekam na Jane.

- A gdzie wasza córka?

- Zostawiliśmy ją na budowie, u przyjaciół Jane. Mamy ją odebrać po południu.

Stoliki nad wodą powoli zapełniały się klientami, którzy przychodzili napić się przed obiadem. Za każdym razem, gdy nadjeżdżał nowy motocykl czy motorower, Sonny z nadzieją spoglądał na drogę.

- Chodź, Sonny, postawię ci jednego - zaproponowałem. Było mi go żal. - Ale tylko pod warunkiem, że nie będziesz mnie nawracał na tę twoją cholerną hipisowską filozofię.

Kiedy złożyliśmy zamówienie, Sonny zapytał:

- Co ty tam dzisiaj robiłeś? Czyja to była limuzyna?

- Jestem pewien, że każdy z pół setki ludzi na tej skale z chęcią wyjaśni ci, czyja to limuzyna. Nie powiem, bo nie chcę ci psuć przyjemności wykrycia tego na własną rękę.

Nie zdążyłem powiedzieć nic więcej, gdyż ktoś zawołał mnie z zadaszonego patio, stanowiącego część budynku tawerny. Brodaty Pete Gruner, gliniarz, eks-gliniarz albo wcale nie gliniarz. Miał na sobie brokatowy, haftowany turkmeński kaftan, który musiał kosztować z pięćset dolarów.

- Hej, Lobo! Hej, Davies! Czy teraz masz czas pogadać?

Już miałem odmówić, lecz przypomniałem sobie, że teraz przecież pracuję. Nie wolno lekceważyć żadnego źródła informacji.

- Przepraszam - powiedziałem do Sonny'ego. - Zaraz wracam. Przeszedłem między filarami na patio i usiadłem przy stoliku Pete'a.

Poza nami nie było tam nikogo.

- Jestem wybredny w doborze ludzi, którzy mogą zwracać się do mnie po imieniu - powitałem go. - Jeżeli mamy pogadać, to napiłbym się czegoś.

Zamówił dla nas obu, po czym od razu wziął mnie w obroty.

- O co ci chodzi, Gruner? - zapytałem.

- O nic. Natomiast ciekaw jestem, o co chodzi tobie. Byłem w nastroju do walenia prosto z mostu.

- Niby z czym? - zapytałem szorstko.

- No, na przykład z tym morderstwem. Dużo bym dał, żeby wiedzieć, co o nim myślisz, i ciekaw też jestem, w jaki sposób wpływa ono na plany tych, którzy cię tu przysłali, żebyś zrobił to, co ci kazali zrobić.

Udałem, że z wściekłością nabieram głęboki haust powietrza i wypuszczam je powoli, by się opanować.

- Słuchaj, Gruner, jestem tu na wakacjach. Już ci to mówiłem, i naprawdę mam gdzieś całe to morderstwo.

- Tak, jasne - rzucił drwiącym tonem.

- To fakt. W Atenach pracowałem nad pewną sprawą dla mojego paryskiego klienta. Tak mu się spodobał sposób, w jaki ją załatwiłem, że opłacił mi tu miesięczne wakacje. Inaczej nie mógłbym sobie na nie pozwolić. A teraz zbieraj się i podaj to w swoim raporcie.

- W jakim znów raporcie?

- W tym, który wysyłasz do swojego wydziału, bez względu na to, co to za wydział.

- O, wciąż udajesz, że bierzesz mnie za gliniarza?

- Śmierdzisz gliną na kilometr. Postawiłbym na to ostatni grosz. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało ci się oszukać tych ludzi. Ile dałeś za ten kaftan? Musiał kosztować z pięćset dolców.

- Trzysta pięćdziesiąt - odparł z uśmiechem. - W Atenach.

- W Atenach. Jeżeli mają tam coś takiego. Gdzie indziej kosztowałby już pięćset.

- Ja naprawdę chciałbym wiedzieć, co sądzisz o tym zabójstwie - powiedział. - Rozumiesz coś z tego? Może jednak zaryzykujesz własne zdanie?

- Z tego, co wiem o Girgisie, najprawdopodobniej zrobił to jakiś zazdrosny mąż - odparłem. - A jeśli chcesz znać moją czysto amatorską opinię, załatwił go jakiś ateński gang -

prawdopodobnie rękami kogoś spoza wyspy - żeby jakiś drobny łajdaczek z Aten mógł przejąć tu handel haszyszem. To wszystko.

- Myślisz, że to ktoś spoza wyspy?

- Ja tu nie widzę nikogo podejrzanego, a ty?

- Ja bym znalazł nawet wielu. Słuchaj, tu się dzieje - rzekł Pete ponuro i rozejrzał się - tu się dzieje wiele rzeczy, których twoja uproszczona teoria w żaden sposób nie wyjaśnia.

- Już to kiedyś mówiłeś. Co na przykład?

Wykonał tylko zirytowany, ponury gest.

- Widzisz, myślę, że Girgis nie pracował sam. No dobrze, a co z tym śmiesznym gościem, który był pomocnikiem Girgisa na łodzi?

- Jak to co? Nawet go nie zauważyłem.

- No to go zauważ. Co on teraz robi? Czy sam będzie kierował „Polarisem „? „Polaris” należy do jakiegoś bogatego gościa nazwiskiem Kroanis czy Kronitis. Czy on wie, w czym robił Girgis? Czy Girgis pracował na własną rękę? Czy ten nabab wycofa teraz statek z komisu? A może odda go w ręce tego szpetnego zastępcy Girgisa?

- Nie mam bladego pojęcia - odparłem.

- Ten Kirk, kapitan jachtu „Agoraphobe”, który też zresztą należy do Kroanisa, zaopatrywał Girgisa w haszysz. Czy Kroanis wie o tym? Ale Kirk nie może zostawić „Agoraphobe”, żeby przejąć po Girgisie handel detaliczny. Zbyt często wypływa.

- Naprawdę nie wiesz, że on się nazywa Kronitis? - zapytałem

- Jasne, że wiem... - Spojrzał na mnie pytająco.

- No więc?

- Widzisz, tak sobie myślę, że może ja bym przejął interes po Girgisie - rzekł Gruner. - Czemu nie? Ten jego pomocnik najwyraźniej nie da sobie rady. Za głupi na to.

Zastanowiłem się nad tym.

- Jesteś pewny, że tego chcesz?

Rozmawialiśmy teraz, jak gdyby był gliną. Rozmawialiśmy jak dwaj gliniarze. Wprawdzie się do tego nie przyznał, ale za milczącą zgodą przyjęliśmy, że tak jest.

- Czemu nie? - powtórzył Pete i wyszczerzył zęby. - Można z tego wyciągnąć kupę szmalu, i dużo się dowiedzieć.

- Jest to jakiś sposób, żeby wyjaśnić całe mnóstwo spraw.

- Pewnie.

- Aż pewnego dnia stwierdzisz, że zostałeś bez głowy, jak Girgis.

- Nie sądzę. Jego przykład jest dla mnie ostrzeżeniem.

Uznałem, że czas już z tym skończyć.

- Uch, wy tajniacy zawsze szukacie okazji do zabawy w policjantów i złodziei.

Spojrzał na mnie.

- Do diabła, skończ z tym wreszcie. Jestem tylko cholernym uciekinierem, nic więcej. Który musi zarabiać na cholerne przyzwoite - albo nieprzyzwoite - życie. Już ja bym wiedział, co zrobić z tą forszą.

- Czy wam tajniakom wolno zatrzymać sobie ten zakazany łup, który zgarniacie w trakcie roboty, czy musicie go zdawać do magazynu? - spytałem. - Zawsze mnie to ciekawiło.

- Odwal się, Davies. Mówiłem ci już, że nie jestem gliną.

- Jak sobie życzysz, Gruner, jak sobie życzysz. Ano, na mnie w każdym razie nie licz. W żadnej sprawie - dorzuciłem. - Ja się w to nie bawię.

Pete wlepił we mnie wzrok i powoli wyszczerzył zęby.

- Chciałbym być tego pewny - powiedział niejasno. - Tędy przechodzi duży towar. Wstyd by było wypuścić go z rąk. - Podniósł się raptownie i rzucił pieniądze na stół. - Na razie. - Odwrócił się i wyszedł na słońce. Siedziałem, spoglądając za nim. Niewiele się dowiedziałem. Co to za „duży towar”, o którym mówił? Musiał być od narkotyków. A jeśli był od narkotyków, to chodziło mu o heroinę. Nie pasowało to do niczego, o czym wiedziałem. Wstałem i wróciłem do Sonny'ego.

Sonny wciąż siedział pielęgnując szklankę. Usiadłem. W mojej całej lodzie roztopił się na słońcu. Mimo to wypilem.

Zanim zdążyłem odjąć szklankę od ust, usłyszałem zbliżający się motocykl i poczułem, że Sonny aż podskoczył. Powoli odstawiłem naczynie i równie powoli odwróciłem się na krześle. To byli oni, a jakże.

Nie wstałem. Jane zeskoczyła na ziemię, a Kirk zaparkował motorynkę przy ścianie tawerny. Gdy Jane się odwróciła, dojrzałem żdźbła trawy na jej brokatowej sukience i z tyłu długich, rozpuszczonych na hipisowską modę włosów.

Nie powiem, żeby była wytarzana w trawie, ale żdźbła dawały się zauważyć gołym okiem. Nawet jej się nie chciało otrzepać. Kirk pewnie tego nie zauważył. A gdyby nawet, to i tak by się tym nie przejął.

Umyć prawdopodobnie też jej się nie chciało. Podejrzewałem, że nie nosi majtek. A zresztą, co mi do tego? Zawsze lubiłem dziewczyny, które nie noszą majtek. Nadal nie wstawałem.

- No, Sonny - zagrzmał Kirk wielkodusznie. - Wróciłeś. Twoja pani też wróciła, cała i zdrowa. - Zamaszystym gestem przekazał ją w jego ręce i podszedł do mnie. - Proszę, stary Lobo Davies we własnej osobie. Udał ci się rejs, Lobo?

- Znośnie - odrzekłem. Nadal nie wstawałem.

- Jak Boga kocham, z ciebie nie mniejszy mruk niż ze mnie. Jak się postarasz - rzucił Kirk z uśmiechem. - A ze mnie jest prawdziwy kawał mruka. - Przeciągnął się i ziewnął, zginając potężne ramiona. - Boże, ależ jestem śpiący. Chyba utnę sobie drzemkę na pokładzie. - Wesoło puścił do mnie oko, mrugając tą swoją powieką jak plaster krwistego befsztyka.

- Chodź, Jane - odezwał się za mną Sonny. - Przejedziemy się na budowę.

Patrzyłem, jak oboje zabierają swoje rowery spod ściany tawerny. Stały tam zaparkowane obok motorynki Kirka. Choć taki nadziany, Sonny najwyraźniej nigdy nie zainwestował w motocykl. Pewnie z powodu tych jego dętych liberalnych teorii, że trzeba utrzymywać się tylko z zarobków. Wiedziałem już, że w jego przypadku nawet to nie odpowiada prawdzie.

Odjechali pod górę, na biegnącą wałem nadmorskim drogę. Kirk zszedł w dół, wsiadł do skifa i powiosłował na jacht.

Przeniosłem się w cień i zamówiłem nową whisky.

Wiedziałem jedno - że cieszę się, iż jestem detektywem prywatnym, a nie hipisem. Ale pewnie byłem staromodny.

Wypiłem i czekałem na Marie.

Rozdział 27

Przyszła pieszo, w obcisłych dżinsach i bawełnianej koszuli bez stanika pod spodem, taszcząc spłowiałą torbę ze sprzętem do nurkowania.

Wysłałem ją na łódź, by upchała swój sprzęt, a sam ruszyłem do Dmitriosa po prowiant na piknik.

Kiedy wróciłem z zapasami na pokład, była już przebrana w bikini i wygrzewała się w słońcu na dachu kabiny. Jej opalenizna miała barwę starego brązu, a na ciele nie było widać ani grama zbędnego tłuszczu. Miała długi, szeroko otwarty pępek, jaki spotyka się u młodych dziewcząt. Można było weń zajrzeć aż do dna.

Znała pewne miejsce u wybrzeża kontynentu, gdzie chciała spróbować swych sił. Pływała tam jako pasażerka na łodziach, nigdy jednak nie polowała. Bez łodzi nie mogła się tam dostać.

Obrałem kurs w tamtą stronę. Trzysta jardów od brzegu jest płytka rafa - powiedziała mi, kiedy manewrowałem w gąszczu cum i łodzi i mijałem latarnię morską. Na brzegu jest długa piaszczysta plaża, zupełnie bezludna, w płytkiej zatoczce ukrytej między dwoma niskimi, skalistymi cyplami. Dostępna tylko od morza. Najbliższa droga przebiega o trzy mile w głąb lądu, najbliższe gospodarstwo zaś jest oddalone o milę. Nie powinno tam być żywej duszy, chyba że zawinie jakaś łódź.

- To ze dwanaście, trzynaście mil - odezwała się nagle po paru minutach ciszy i przekreśliła tak, że obejmując kolana siedziała naprzeciw mnie. Mikroskopijne bikini zakrywało tyle co nic.

Skinąłem głową w milczeniu.

- Wie pan, co mi się w panu podoba? - rzuciła Marie z uśmiechem. - To, że kiedy jestem z panem, nie czuję się zmuszona rozmawiać. Przeważnie z ludźmi trzeba rozmawiać na okrągło. Z panem jest inaczej, może pan siedzieć w milczeniu bez końca, i w porządku.

Teraz też nie odpowiedziałem.

Uparłem się, żeby dać jej dzień pierwszorzędnego polowania. Taki, który by chciała wspominać. Nie wiedziałem dlaczego. Po prostu naszła mnie taka ochota. Liczyłem też trochę na to, że dowiem się od niej czegoś w związku z morderstwem.

Gdzieś w głębi tej kapryśnej, trzpiotowatej główki, która nosiła tyle bólu i trosk młodości, mogła się znajdować wręcz bezcenna informacja, z czego Marie nie zdawała sobie sprawy.

Znów pograżyła się w milczeniu. Ja też się nie odzywałem. Dookoła nas dźwięczał letni dzień, przyjazny, leniwy, bez cienia wrogości, napawający cię szczęściem po prostu dlatego, że był, ofiarujący ci owoce natury za darmo, bez żadnych kosztów czy wysiłku z twojej strony.

Kołysała nas lekka fala, a łagodna bryza niosła ze sobą zapach gorącego łądu. Po naszej lewej ręce rozpościerał się, góra za górą, brunatny, wyschnięty łąd. Od strony pełnego morza horyzont zamykały górzyste wyspy, ciemnoniebieskie w upalnej mgiełce.

Czas jakby przestał istnieć. Minęliśmy długą, niską i luksusową posiadłość, wyposażoną we własną zatoczkę i basen portowy, w której rozpoznałem siedzibę Kronitisa.

Nieco dalej dotarliśmy do stożkowatego cypla, na szczycie którego stała dopiero co odnowiona kaplica. Stare kamienie ułożono na nowo i połączono spoiną, dookoła zaś zasadzono młode drzewka. Nowa droga z betonu dochodziła do kaplicy i rozdwoiwszy się, omijała ją, by dalej połączyć się i zniknąć w brunatnych, zarośniętych górach. Sprawiała wrażenie, jakby odwiecznie czekała w słońcu na samochody ewentualnych turystów.

- Okropne to, prawda? - odezwała się Marie.

Pokiwałem głową.

- Tak.

Kilka mil dalej Marie oznajmiła:

- To tu.

Nie było innych łodzi. Podpłynąłem niemal na skraj plaży, by się jej przyjrzeć. Była wspaniała. Miała co najmniej ćwierć mili długości, a w palącym słońcu nie było żywej duszy, z wyjątkiem kilku mew, wygrzewających się na skałach. Przy jednym krańcu plaży, na wzgórzu, które ograniczało ją od strony łądu, rosły trzy rosochate drzewa.

- Kiedyś i tu zbudują taką drogę - powiedziałem. - Jeżeli uznają, że się opłaci.

Wyprowadziłem łódź z powrotem w morze, na rafę, i zgasłem silnik. Zahipnotyzowany przez słońce, wpadłem w lunatyczny nastrój. Nawet ta droga w przyszłość i ludzie, i piekło, które tu kiedyś zaprowadzą, specjalnie mnie nie wzruszały. W nieruchomym słońcu rzucona kotwica wpadła do morza z głośnym pluskiem. Przyhamowałem ją na dnie, po czym siedziałem wpatrując się w czystą, kryształową wodę. Ciszy nie mąciły żadne dźwięki poza pluskaniem wody o burtę i sporadycznymi krzykami mew.

Za moimi plecami Marie zdjęła bikini i włożyła skafander.

- Nie lubię czuć pod nim żadnego ubrania - wyjaśniła otępiełym przez słońce i morze głosem.

W panującej ciszy nie chciało mi się odpowiadać. Miałem przesywającą świadomość jej nagiego ciała, poruszającego się za moimi plecami. Potom podeszła do mnie, znowu przeistoczona w tę wysoką, czarną zjawę. Pod skafandrem nie miała na sobie nic.

- Muszę wejść do wody - powiedziała. - W czymś takim trudno długo wytrzymać na powietrzu. - Nie założyła obcisłego kaptura. Opuściła maskę na twarz i z kuszą w rękę wyskoczyła za burtę, na nogi.

Założyłem sprzęt i poszedłem w jej ślady. Chłód wody natychmiast wyrwał mnie z otępienia. Wynurzając się, zabuczałem z radości przez rurkę. Dno znajdowało się na głębokości trzydziestu, trzydziestu pięciu stóp. Rafa ciągnęła się na prawo i lewo od plaży. Pięćdziesiąt jardów dalej opadała podwodnym urwiskiem o kolejne trzydzieści pięć stóp, na piaszczyste dno, które wychodziło na pełne morza, ginąc z widoku. Marie dopłynęła już na skraj rafy. Ruszyłem za nią.

Od razu zauważyłem, że nie potrafi zbyt wiele. Pływała i nurkowała całkiem nieźle, ale głębokość trzydziestu stóp przekraczała jej możliwości. Już przy dwudziestu stopach zaczynała się asekurować i wypływała. Z drugiej strony, na tym terenie była dużo lepsza ode mnie w wyszukiwaniu ryb.

- Chcesz, żebym ci dał parę wskazówek? - zapytałem.

- O, tak. Proszę mnie nauczyć. Wszystkiego, co sam pan potrafi. Chcę się nauczyć wszystkiego.

- Nie jestem zbyt apodyktyczny?

Zanurzona w wodzie po uszy, z wigorem potrząsnęła głową. Cechowała ją ta cudowna właściwość oddawania się w twoje ręce bez reszty. Podejrzewałem, że nadużyło tego wiele osób. Ja ze swej strony wykrzesalem z siebie całą delikatność, na jaką mnie było stać.

Zacząłem pokazywać jej niektóre sztuczki. Hiperwentylację i natlenianie płuc. Jak schodzić w dół powoli, a nie szybko. Im wolniej zejdziesz, tym dłużej zostaniesz pod wodą. Nie pędź ku powierzchni, wypływaj powoli. Nauczyłem ją nie zwracać uwagi na falowanie przepony.

Po może dziesięciu próbach schodziła na trzydzieści pięć stóp i wychodziła na powierzchnię tak leniwie i wdzięcznie, że nie powstydziliby się tego żaden ze starych zawodowców, którzy szkolili mnie na głębokości osiemdziesięciu stóp na Karaibach.

- Oooch! - westchnęła po ostatnim zejściu, depcząc płetwami wodę, by móc wystawić głowę nad powierzchnię. - To zawsze była frajda. Ale tak to jeszcze nigdy nie było! To zupełnie co innego.

Poczułem się, jakbym zarobił kilka punktów z przyzwoitości, u Pana Boga czy lichowiego kogo. Przez jakiś czas pływaliśmy po rafie w zatoczce, polując na strzępiele i nurkując. Pod nieruchomym, cudownym greckim słońcem była to wielka frajda. W końcu, kiedy uznałem, że nadszedł już czas, rzekłem:

- Chodź, coś ci zademonstruję.

Ująłem ją za rękę i poprowadziłem za skraj rafy, na głęboką wodę. Przekazałem jej linkę od boi z rybami.

Nie wiedziałem, na ile dam radę zejść, ale byłem pewny, że stać mnie na czterdzieści pięć stóp, które osiągnąłem dzień wcześniej z Sonnym. Położyłem się na wodzie, wentylując płuca, po czym zanurkowałem. Zdumiałem się, widząc jak opadam w dół. Nie pracowałem płetwami, a jednak dno zbliżało się do mnie coraz bardziej i bardziej, aż nagle znalazłem się na nim, bez najmniejszego nawet wysiłku.

Wyciągnąłem rękę i podniosłem martwą muszlę, na wpół zagrzebaną w piasku. Zdawało mi się, że do dyspozycji mam całą wieczność. Przekręciłem się na plecy, spojrzałem w górę i pomachałem Marie na powierzchni. Mała postać, tam wysoko, pomachała do mnie. Dla pewności zerknąłem na wyskalowany w metrach głębokościomierz. Odczyt wynosił dwadzieścia i pół metra. Mniej więcej sześćdziesiąt osiem stóp. To niesamowite, czego możesz dokonać popisując się przed podziwiającą cię widownią.

Odwrociłem się i zacząłem wychodzić. Mniej więcej dwadzieścia stóp od dna dostrzegłem pod występem rafy wielkiego strzępiela, machającego do mnie płetwami. Płynąłem dalej. Jak zawsze podczas wynurzania się, ogarnęło mnie uczucie nieopisanego żalu, że opuszczam ten inny świat. Płynąłem wolniej i wolniej. Przepona targnęła mną tylko parę razy. Aż nagle przebiłem powierzchnię, silnym dmuchnięciem oczyściłem rurkę z wody i położyłem się twarzą w dół, oddychając i spoglądając tam, skąd wróciłem. Zdawało się, że to tak daleko. Jak zawsze, przejmowało mnie to strachem.

- Ochhh! To było piękne! - odezwała się Marie obok mnie. - Po prostu piękne. Pan był piękny. Tak pełen wdzięku. Wydawał się pan taki wolny. Dałabym wszystko, żeby móc to robić tak samo.

Sądzę, że trafiła w sedno. Czujesz się taki wolny. Wolny od siły ciężkości. Wolny od ziemi, i pełen wdzięku. Czasami masz wrażenie, że gdybyś nie musiał oddychać, pozostałbyś tam na zawsze.

Kiedy odpocząłem, zszedłem po tę wielką rybę i ustrzeliłem ją bez problemu. W szczelinach i pod występami rafy dostrzegłem cztery czy pięć innych strzępieli.

Na powierzchni dołączyłem ją do innych ryb na boi i zacząłem ciągnąć Marie ze sobą w dół. Wiedziałem, że będzie to trudne; zawsze było. Ale z nią poszło dużo łatwiej, niż bym się spodziewał. Za pierwszym razem nie udało jej się odetkać uszu - wyszarpnęła mi rękę i wypłynęła. Za drugim razem ogarnęło ją ogólnie złe samopoczucie i strach, strach, że jest tak głęboko, i znów wypłynęła. Ale za trzecim razem zszedłem z nią dość głęboko, by ujrzała wielkie strzępiele. Na jakieś czterdzieści pięć stóp. Przełamała barierę psychiczną.

Byliśmy w wodzie już ze dwie godziny. Podczas następnej Marie ustrzeliła cztery z wielkich strzępieli pod nawisem, a ja zaczepiłem je na boi. Sam więcej nie strzelałem - schodziłem tylko razem z nią. W końcu uznałem, że czas już na przerwę.

Marie zachowywała się, jak gdyby chciała tam zostać na wieki. Nie pozwoliłem jej. Poza tym boja na końcu mojej linki zamieniła się w kotwicę, z którą trudno mi się było poruszać.

Kiedy weszła na łódź, oddałem jej boję z rybami, która na powierzchni była o wiele cięższa niż w wodzie, po czym zdjąłem płetwy i wszedłem za nią.

Na pokładzie moja genialna uczennica upuściła boję z rybami i żwawo zaczęła wyskakiwać ze skafandra. Górnej części prawie się już pozbyła. Kiedy i ja wszedłem na łódź, rzuciła ją i zabrała się do długonogiego dołu. Miała twarde, napięte i ciemne sutki, prawdopodobnie tym twardsze i bardziej napięte, że wyszła z zimnej wody. Nic nie wskazywało na to, że przejmuje się moją obecnością. Nic nie wskazywało na to, że krępuje się, bo patrzę. Ale ja się krępowałem. Odwróciłem się do niej plecami.

Być może to ze względu na mnie, w każdym razie założyła obie części bikini, zanim bez tchu wyciągnęła się na dachu kabiny.

- Uuuu - stęknęła w przerwie między oddechami, wystawiając twarz do słońca i zamykając oczy. - To chyba najwspanialszy dzień w moim życiu. Cieszę się, że pan to przerwał. Sama chyba bym nie skończyła do wieczora.

Postanowiłem nie odpowiadać. Wyciągnąłem butelkę dżinu, drugą wermutu i lód.

- O rany! Ja nie mogę! Nawet pan nie wie, ile mi pan dał, panie Davies. Nauczył mnie pan czegoś, co mi zostanie na całe życie.

Nie miałem ochoty odpowiadać. Zacząłem obracać kamionką z mieszaniną martini.

Po chwili usiadła, a ja podałem jej szklanekę. Sterując jedną ręką, a drugą trzymając swój koktajl, zawiozłem nas na plażę. Pod brezentem na pokładzie zjedliśmy obiad i brodząc w płytkiej wodzie, ruszyliśmy na plażę, poleżeć trochę na słońcu.

Po jedzeniu ogarnęła nas senność. W rezultacie nurkowania oboje umieraliśmy z głodu, ale nakupiłem mnóstwo jedzenia. Chleb, mięso, ser, musztardę, pomidory i grecką

sałatkę z sera. Wszystko smakowało bosko, zwłaszcza z czerwonym winem. Wcześniej wyrzuciłem butelki za burtę, żeby je schłodzić, a potem je wyłowilem.

Nie leżeliśmy na piasku nawet pięciu minut, gdy Marie zaczęła ściągać bikini. Zaczęła od stanika.

Leżałem na plecach, lecz twarz zwróciłem częściowo w jej stronę i widziałem ją kątem oka.

- Wolalbym, żebyś tego nie robiła - powiedziałem. Przerwała i odwróciła głowę, patrząc na mnie.

- Wszystko w porządku. Niech pan się nie martwi. Nie ma nikogo w promieniu kilku mil.

- Nie o to chodzi - rzekłem.

- Aha - bąknęła Marie. - Aha. No dobrze. - Wciąż trzymała ręce za plecami, na zatrzasku stanika. Zawahała się. - Stanika też nie?

- Jeśli ci to nie przeszkadza.

- Mnie to tam nie przeszkadza. Po prostu mam taki zwyczaj - wyjaśniła. - Opalać się nago. Wie pan? Nawet się nie zastanawiałam.

Milczałem. Zostawiła stanik w spokoju i w zamyśleniu położyła się na plecach, zamykając oczy.

Po dłuższej chwili odezwała się:

- Jeśli chce mnie pan przelecieć, to nie ma sprawy.

- Ale nie chcę - uciałem. - A ty powinnaś się wstydzić. Jestem w takim wieku, że mógłbym być twoim ojcem.

- To nie ma znaczenia - odrzekła. Przez dłuższą chwilę leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. - Tym lepiej. To podniecające.

- Nieprawda.

- Tak. Racja. Prawda jest taka, że chyba pana lubię. Jak to już kiedyś mówiłam.

- Doceniam twoją propozycję - rzekłem. - Ale jestem nieśmiały.

- Nie musi się pan tłumaczyć. Nie chce mnie pan przelecieć to nie, i już.

- Ale teraz cię uraziłem.

- Żarty pan sobie robi, panie Davies?

- Opowiedz mi lepiej o tych hipisach z budowy - powiedziałem. - Zamiast tego.

- To normalni hipisi.

- Mówiłaś, że nie wszyscy są studentami.

- Jest paru starszych. Ale większość to studenci. Albo z college'ów. Tak jak i ja swego czasu. Niektórzy ze szkół na wakacjach. Czego chce się pan dowiedzieć? Prawie wszyscy z nich wrócą i skończą naukę. Podejmą pracę. Założą rodziny. Zdziwiłby się pan, jak wielu z nich przysłali tutaj rodzice. Letnia włóczęga po Europie. Ale włóczęga za pieniądze starych.

- A ci dwaj, Steve i Chuck?

- Oni są inni. I ta dziewczyna, Diane, też. To nie są zwyczajni uciekinierzy. Myślę, że pochodzą z przyzwoitych rodzin. Ale to kanciarze. Kantują innych, żeby zarobić na sobie.

- Czy oni są tam przywódcami?

- Sądzę, że tak. W pewnym sensie. Właśnie w tym sęk. Widział pan kiedy przywódcę, który nie jest kanciarzem?

- Nie - odparłem. - Nie widziałem.

- Pewnie. Na tym właśnie polega cały kłopot, że nie potrafimy naprawić świata, i wszyscy o tym wiemy. W sumie to stąd się biorą awantury po powrocie do domu. Wiedzą o tym tutaj, na budowie, tak samo jak w domu, na zajęciach z polityki. Ale nie wiedzą, co z tym zrobić. Ich przywódcy też robią ich w konia.

- Nikt jeszcze nie wymyślił, co z tym zrobić - rzekłem. - Chuck i Steve nie wyglądają na przywódców.

- A jednak są przywódcami. Mają do tego dryg. Hipisi słuchają ich i idą za nimi. Tak naprawdę przywódcą jest Steve. Chuck to tylko jego obstawa. Ma nawet taką maczetę, z którą wszędzie się nosi i popisuje.

- O?

- Kiedyś ukradli zbłąkaną kozę na drugim końcu wyspy, zabili ją i upiekli. Chuck odciął jej głowę tą maczetą. Potem nosił się z nią, całą we krwi. Nie chciał jej zmyć. On ma bzika na punkcie krwi na swojej maczecie.

Skinąłem głowę. Nie potrafiłem zdobyć się na pytanie, czy jej zdaniem to oni zabili Girgisa.

- Wątpię, żeby to oni zabili Girgisa - powiedziała Marie. - Chuck nie jest taki. To po prostu dzieciak. Lubi odgrywać kowboja.

- Jasne, rozumiem. - Odwróciłem głowę. Nie zamierzałem jej mówić, w jaki sposób odgrywał kowboja w Meksyku. - Opowiedz mi o sobie. Jak to się stało, że wylądowałaś na Tsatsos?

- O sobie wolałabym nie mówić, panie Davies. Jeśli można. To mnie tylko przygnębi i wpadnę w chandrę. A taki miałam cudowny dzień z panem... Przyjechałam na Tsatsos z

chłopakiem, którego poznałam w Paryżu. Był tam przejazdem. Słyszał o Tsatsos i o budowie. Przyjechaliśmy razem. On wyjechał. Ja zostałam.

- Jak się znalazłaś w Paryżu?

- Przyjechałam z Haight-Ashbury, z innym chłopakiem. Widzi pan, przez rok chodziłam do Berkeley. Potem poznałam tego chłopca i związałam z nim. Chciał zostać piosenkarzem rockowym. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Haight-Ashbury. Potem wziął mnie do Paryża. Żyłam z nim w Paryżu przez rok, zanim mnie rzucił. Powiedział, że mam destrukcyjny wpływ na jego sztukę i że nie idzie mu najlepiej. Nie wiem, co się z nim teraz dzieje... Panie Davies, naprawdę nie chcę mówić o sobie.

- Twoi rodzice nie żyją?

- Tak - odparła po dłuższej chwili. - Od kilku lat. Matka zmarła na cukrzycę, ojciec na atak serca. On za dużo pił, ona za dużo jadła.

- Czy myślałaś kiedyś o powrocie?

- Tak, Ale to trudne. To kosztuje, i to naprawdę trudne, jak nie ma się do kogo wracać... Panie Davies, proszę!

- Zgoda. Przepraszam. - Przeturlałam się i podniosłam. - Chodź. Zbierajmy się, jeśli mamy jeszcze popływać.

Wyciągnęła do mnie ręce. Nachyliłam się i podciągnęłam ją na nogi. Zanurkowaliśmy w przejrzystą wodę nad piaskiem, dopłynęliśmy do łodzi i weszliśmy na pokład, ociekając wodą. Po skwarze na słońcu było to cudowne uczucie.

- Mamy czas, żeby jeszcze trochę ponurkować - stwierdziłam, patrząc na nią w mokrym bikini. Zaczynałam żałować, że odrzuciłam jej propozycję na plaży. Już żałowałam.

Uśmiechnęła się i otrząsnęła z wody. Zebrała swe długie włosy do tyłu i pokręciła głową.

- Nie, lepiej nie. Nie chcę już nic robić, żeby nie zepsuć wszystkiego. Było doskonale.

- Ano, wobec tego wracamy? - Teraz już żałowałam straszliwie. Była naprawdę wspaniała, i taka młoda. W tym właśnie sęk. A teraz chwila minęła i było za późno. Miałem ochotę kląć jak szewc.

- Tak. I strasznie panu dziękuję, panie Davies.

Odwróciłam głowę. Nie było nic takiego, co mógłbym jej powiedzieć. Ani zrobić. Wybrałam kotwicę i ruszyliśmy w drogę.

Przed nami słońce przesunęło się na zachód akurat o tyle, by spowić w bladą czerwień szczyt Tsatsos. Gdzie byli ludzie.

Skierowałam łódź w tamtą stronę.

Rozdział 28

Kiedy wróciliśmy, przedobiedni tłum zniknął, a Sonny Duval czekając siedział w tawernie niczym olbrzymia wąsata żaba. On i Jane wrócili z budowy, powiedział, a teraz Jane jest na kaiku, gotuje dziecku kolację.

Marie usiadła i napiła się z nami, przez pięć minut opowiadając Sonny'emu, jaki to ze mnie wspaniały facet i wspaniały nurek. Wepchnąłem ją do dorożki razem z jej torbą i odesłałem do miasteczka, mówiąc, że zobaczymy się później. Ryby obiecałem zostawić dla niej u Dmitriosa, żeby mogła je sprzedać. Zapłaciłem dorożkarzowi.

- Przez całe popołudnie na budowie była policja - oznajmił Sonny, kiedy wróciłem do stolika. - Przeczესali wszystko i wszystkich jak zgrzebłem. Chcieli wiedzieć, co tam robimy. Sprawdzili nasze dokumenty.

- A czegoś się spodziewał? Nie musieliście tam iść.

- Ale chcieliśmy - rzekł Sonny. - Jane chciała.

- To nie marudź.

- Przyjdą tu do nas na łódź. Prawdopodobnie jutro.

Słuchałem go jednym uchem. Wciąż z żalem rozmyślałem o Marie, tam na plaży, i myślałem o czymś jeszcze - o tym, czego się od niej dowiedziałem na temat dwóch tytanów hipisowskiej społeczności, Chucka i Steve'a.

- Słuchaj, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił - odezwałem się. - Wybieram się na budowę. Do meliny Steve'a. Możesz mnie tam zaprowadzić?

- Chyba tak. Ale czy dobrze się zastanowiłeś? Nie cieszysz się tam szczególną sympatią.

- Właśnie dlatego nie chcę pytać o drogę. Ty mnie możesz zaprowadzić.

- No dobra - odburknął. - Ale tam trudno zawinąć łodzią.

- Weźmiemy dorożkę. Stoją tu obok.

W dorożce przez jakiś czas milczeliśmy. Jeżeli krępował się tym, że w południe byłem świadkiem niedelikatnego powrotu Kirka i Jane, to nie pokazywał tego po sobie. Nagle odezwał się:

- A kiedy my dwaj znowu wybierzemy się na polowanie?

- Byliśmy wczoraj. Nawet cię to nie interesowało. Nie wiem - odparłem. W tym momencie miałem gdzieś, czy kiedykolwiek jeszcze będę polował.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki dobry. Słuchaj, pewnie nie ma sensu i nie wypada mi cię pytać... - Sonny zawiesił głos.

- To nic takiego - wyjaśniłem. - Po prostu chcę zobaczyć go w jego naturalnym środowisku. On mnie interesuje.

- Jasne - parsknął ironicznie. - Jeżeli chcesz wiedzieć, co ja...

- Nie chcę - uciąłem.

- Pete mówi, że według niego jesteś agentem federalnym, który tylko udaje prywatnego detektywa.

Zerknąłem na niego.

- Pete Gruner tak powiedział? - Byłem wściekły. Jeżeli Pete Gruner chodził po ludziach i gadał, że jestem federalnym, to pewne, że on sam nim jest. A może nie? W każdym razie był to cios tak poniżej pasa, jak to tylko możliwe.

- Pete to facet, który jadł chleb z niejednego pieca. Chociaż nie wszystko mi się w nim podoba. Ale zaczynam myśleć, że ma rację co do ciebie. - Wyszczrzył zęby. - Jane tak uważa.

- Pozwól, że ci coś powiem o Jane - wtrąciłem szorstko. - To, o czym ona nie ma pojęcia, wypełniłoby wiele grubych tomisk w Bennington. Jane to rozpaskudzony bachor.

- Ty jej po prostu nie chcesz zrozumieć. Nikt z was nie chce. Ona stanowi zagrożenie dla was, wyznawców męskiej supremacji.

Wlepiłem w niego rozbawiony wzrok. Parsknąłem śmiechem.

- Wyznawca męskiej supremacji? To ja, a jakże. - Pomyślałem o Marie. Jeżeli w ten sposób chciał mnie sprowokować do sprzeczki, to nic z tego. Ale niech tylko dorwę tego zakichanego Grunera! - Słuchaj, rząd Stanów nie wysyłałby tu agenta tylko z powodu paru takich, co mieszkają w Grecji na porzuconym placu budowy i palą hasz - rzekłem. - Agenci kosztują.

- Może chodzi o co innego - rzucił Sonny i uśmiechnął się tajemniczo.

- Tak? Musimy o tym pogadać - stwierdziłem. Kiedy jednak otworzył usta, podniosłem rękę i dodałem czym prędzej: - Innym razem.

Mijaliśmy właśnie pocziwy hotel „Xenia” - scenę tak niebywale podniecającego wydarzenia w życiu Lobo Daviesa. Po chwili dorożkarz wysadził nas u stóp tego samego zbocza, przed którym wysiadłem rano z Pekourisem.

Zapłaciłem mu. Zaczęliśmy się wspinać pod górę tą samą ścieżką, którą wspinałem się rano.

Zapadał już zmrok; ściemniało się szybko. Mijaliśmy ogniska i uwijających się wokół nich hipisów. Doleciał nas zapach duszonego mięsa. Wspinaliśmy się skrajem placu budowy. Sonny przystanął.

- To tam - powiedział, wskazując palcem. - Czwarty rząd od nas, drugie drzwi. Żeby znaleźć schody, musisz wejść od tyłu. - Po chwili dorzucił: - Na twoim miejscu trzymałbym się z dala od ognisk i pilnował, żeby mnie nie poznali.

- W porządku. Dzięki. Stąd już pójde sam.

- Możesz się wpakować w bijatykę, wiesz o tym?

- W razie czego ucieknę.

Zaszurał nogą po piachu.

- Sądzę, że nie warto ci proponować, że pójde z tobą? - Spojrzał na mnie i przekonał się, że istotnie nie warto. - Chcesz, żebym na ciebie zaczekał na dole?

- Nie ma potrzeby. Sam znajdę drogę powrotną. Zakładając, że w ogóle wrócę. - Uśmiechnąłem się do niego.

Stał ociągając się.

- Nie martw się, zwrócę ci za dorożkę - rzuciłem.

Jak gdyby to rozstrzygnęło sprawę, odwrócił się i zaczął schodzić ze stoku.

Patrzyłem na niego przez chwilę, po czym ruszyłem pod górę. Wokół mnie hipisi krążyli przy ogniskach. Przy jednym z nich dostrzegłem spaloną przez słońce, podobną do suszonej śliwki twarz i wytrzeszczone oczy Georginy Taylor, która zaśmiewając się piła coś z blaszanego kubka. Przy innym błysnął do mnie w migotliwym świetle cały szereg młodych amerykańskich twarzy. Ktoś trzącał struny gitary i śpiewał ballady ludowe. Nie miałem pojęcia, skąd wiem, że to Amerykanie, ale wiedziałem. Pewnie z powodu ich bezgranicznej naiwności. Może i nie są tacy niewinni ci amerykańscy hipisi, ale pewne jak dwa a dwa cztery, że naiwni.

Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Zatrzymałem się i wszedłem pod jeden ze stojących na wspornikach segmentów, by przez chwilę popatrzeć na nich. Wydawało się to całkiem niewinne. W żadnym wypadku nie była to orgia. Nawet nie orgia muzyki. Trudno uwierzyć, że wiedząc o mojej obecności wszyscy oni mogliby rzucić się na mnie i zatłuc. A jednak wierzyłem, że jest to co najmniej prawdopodobne. Nagle usłyszałem w pobliżu znany mi głos. Dochodził z któregoś z mieszkań nad moja głową. Głos Chucka - krótkowzrocznego przydupasa Steve'a.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi, więc przemknąłem się tak, by zajrzeć do środka przez otwór okienny, w który nikt nigdy nie wstawił framugi.

Chuck i jego okulary siedzieli na stercie poduszek zrobionych ze szmat i starych koców. Palili nargile i mieli domowej roboty turban na głowie.

Nargile bez wątpienia zawierały hasz. Chuck był na haju. Cztery pucołowate, nieduże Amerykanki w wieku szkolnym uwijały się, spełniając każde jego żądanie. A było tych żądań niemało. Dziewczątka wyglądały tyle patetycznie, co niepociągająco w swych obszernych, brudnych, workowatych sukniach. Z całą pewnością miały grube uda.

Scena ta była tak dziwaczna, że przez dłuższą chwilę przyglądałem się w kompletnym osłupieniu. Oparty o ścianę koło Chucka stał plecak z aluminiowym stelażem, a obok niego znajdowała się wielka południowoamerykańska maczeta w drewnianej pochwie. Oslawiona maczeta. W tych okolicznościach wyraźnie wpadała w oko.

Patrzyłem na to jeszcze przez chwilę, zwłaszcza na maczetę. Policja nie skonfiskowała jej dziś po południu? Po chwili wymknąłem się i ruszyłem wzdłuż usłanego gruzem placu budowy w stronę rzędu segmentów, które mi wskazał Sonny.

W izbie, której szukałem, migotało światło. Słyszałem czyjeś głosy i ciche dźwięki gitary. Nieco dalej, od tyłu, znalazłem schody, o których mówił Sonny, i wszedłem po nich na balkon biegnący wzdłuż wszystkich czterech mieszkań.

Stojąc na tym balkonie-tarasie, znajdowałem się trzydzieści stóp nad opadającą po stoku ziemią. Poręczy nie było.

Nie próbowałem się kryć, kiedy doszedłem do właściwych drzwi.

Nie miałem pojęcia, co im powiem. Nie przyszedłem, by powiedzieć coś konkretnego. Postanowiłem zwyczajnie przyjść i grać ze słuchu.

Światło padało z dwóch krótkich świec osadzonych na spodkach. Obok nich Steve trzymał odbity na powielaczu magazyn poetycki i czytał na głos jakiś bełkotliwy hipisowski wiersz o niedolach życia dokera.

W pokoju znajdowało się sześć osób. Oprócz Steve'a i Diane jeszcze trzech młodych mężczyzn i dziewczyna. To właśnie ona brzdąkała na gitarze, jak gdyby akompaniując Steve'owi. Steve, doskonale zbudowany i z tą grzywą jasnoblond włosów, był prawdziwie piękny fizycznie, dopóki nie podnosił na pozór martwych, niewidzących oczu.

- Cześć! To prywatna zabawa? - odezwałem się wesoło. Wszedłem do środka. - A może znajdzie się miejsce dla jednego starego piernika?

Rozdział 29

Wszyscy podnieśli na mnie wzrok. Zapadła cisza, a bijąca od całej szóstki wrogość uderzyła mnie w twarz jak smrodliwy oddech.

- Dlaczego pan po prostu nie odejdzie, panie Davies? - odezwała się Diane głosem, który przywodził na myśl zimny, gniewny lament. Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałem z jej ust.

- Z miłą chęcią, skarbie. Nie lubię was ani trochę bardziej niż wy mnie. Ale nie mogę. Tak się pechowo składa, że muszę pogadać z tym oto twoim starym.

- Policja tu była całe popołudnie - rzekł Steve.

- Wiem.

- Czego pan chce?

- Mogę rozmawiać tutaj - stwierdziłem. - Ale może wolałbyś pogadać na osobności.

- Jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia, to może pan mówić w obecności moich przyjaciół.

- Zgoda. Chcę z tobą pogadać o tym, coś mi powiedział wtedy na placu.

- Chwileczkę - przerwał mi. - Wyjdę na zewnątrz. - Skruszonym wzrokiem obrzucił pozostałych i wstał. Tamci trzej nie podnieśli się z miejsc, lecz widać było, że są gotowi zerwać się w każdej chwili. Wyszedłem za Steve'em na dwór.

Na zewnątrz Steve poprowadził mnie w dół.

- Dobra - odezwał się pełnym nienawiści głosem. - Gadaj pan.

- Dziś rano krzyknąłeś do mnie coś, co mi utkwiło w pamięci - rzekłem. - Krzyknąłeś: „Pan wie, że nie o to mi wtedy chodziło, no nie?”. Zdaje się, że powtórzyłem słowo w słowo.

Unikał mojego wzroku.

- I co? - zapytał posępnie.

- Chcę wiedzieć, o co ci chodziło. W tych okolicznościach to było raczej dziwne stwierdzenie.

- Nie wiem, o co mi chodziło. Co za różnica?

Westchnąłem z udanym niesmakiem.

- Ano, przeanalizujemy to. Chodziło ci, jak przypuszczam, o to, że nie traktowałeś poważnie gróźb wobec Girgisa. Ale skąd mam wiedzieć, że nie mówiłeś poważnie? Niezłe mu się wtedy odgrażałeś. Mnie też. A parę dni później on nie żyje.

- Nie groziłem, że go zabiję. Czy ja wyglądam na zabójcę? - Nadal unikał mojego wzroku. Miałem przecucie, że coś ukrywa. Ale co?

- Nie wyglądasz na nie-zabójcę - stwierdziłem. - Ani ten twój stuknięty przydupas. Zabójcy wyglądają jak wszyscy.

- Chuck? Chuck nie skrzywdziłby muchy.

- Nie postawiłbym na to złamanego grosza.

- Argh! Pan to jeszcze jeden pies. Jeden z nich. Wstawiał mi pan jakieś nopuszone głodne kawałki o ławie przysięgłych. Słyszał pan kiedy o ławie przysięgłych w tym kraju? - Warknął krótkim śmiechem. - Policja tu była całe popołudnie. Pytali, sprawdzali paszporty, weszli. Przegrzebali nasze rzeczy osobiste. Bez nakazu, bez niczego.

Zastanawiałem się, jakim cudem Chuck i jego maczeta są na wolności? Czyżby Pekouris nie chciał go zwinąć? Celowo?

- Słuchaj pan, ja z panem nie muszę rozmawiać - rzekł Steve. - Pan tu nie ma żadnej władzy.

- Zgadza się, nie musisz ze mną rozmawiać.

- Jak pan ma władzę, to pokaż mi pan. Pokaż pan znaczek. Albo oficjalne papiery. A jak nie, to dlaczego stąd nie spadasz, skurwysynu?

Bez słowa zrobiłem krok w przód i strzeliłem go. Nie był to silny cios - krótki prawy prosty, wyprowadzony z prawej, wysuniętej nogi. Wystarczył jednak, żeby go zwalić z nóg.

Było to wykalkulowane ryzyko. Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa, i pomyślałem, że jeżeli dostawszy w szczękę nie zacnie wrzeszczeć o pomoc, by mnie zniszczyć, to może zacnie myśleć. Może zmieni i ton, i kierunek.

- Mam uraz na punkcie nazywania mnie skurwysynem. Powiedzmy, że jestem staromodny. Wstawaj.

Wstał, pocierając szczękę. Był wyraźnie zaskoczony i ponury. Mimo budowy godnej kulturysty, nie próbował walczyć.

- Odważny z ciebie facet, człowieku - rzekł posępnie, wciąż na mnie nie patrząc. - Starczy, żebym krzyknął, a wyglądałbyś pan jako boisko piłkarskie po meczu. Starczy, że krzyknę. Zlecą się nie tylko ci z góry. Zlecą się wszyscy.

- To dlaczego nie krzyczysz?

- Żeby nam pan zwał na głowę pułk gliniarzy?

- Słuchaj no, kolego, nie lubię cię ani trochę bardziej niż ty mnie. Jeżeli jesteś przedstawicielem nowych czasów, to żal mi ich. Ale masz kłopoty. Ja ci próbuję dać szansę. Lepiej żebyś potrafił udowodnić czarno na białym, że nie jesteś zabójcą. Gdzie jest ten twój

przydupas? Rano mówiłeś, że się tu kręci. Chcę z nim pogadać. - Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Był to strzał na oślep. Ale celny.

- Wyjechał - odparł Steve. - Wysłałem go.

Zatkało mnie. Na chwilę zaniemówiłem.

- Chcesz powiedzieć, że wysłałeś go z wyspy? - zapytałem swobodnie.

- Nie. Żartuje pan? On by nie dotarł do Aten, nie mówiąc o wyjeździe z kraju. Nie, wysłałem go do St Friday.

- Jakiego znowu St Friday?

- To kaplica w zatoczce po drugiej stronie wyspy. Po grecku nazywa się Ayia Paraskevi. Paraskevi to była jakaś święta, ale to słowo znaczy także „piątek”, więc nazwaliśmy ją St Friday.

- Kiedy go wysłałeś?

- Dzisiaj, z samego rana. Jak tylko się dowiedziałem, że przychodzi policja.

- A policja wie, że to zrobiłeś?

- Pewnie. Oczywiście. Powiedziałem im od razu, jak o niego spytali.

- Ale nie wiesz, czy pojechali tam i go zwinęli?

- O ile wiem, nie. Wciąż mam jego paszport.

- Ty trzymasz jego paszport?

- No, jasne, sam chciał. - Unikał mojego wzroku.

To mi dało do myślenia. Jeżeli Steve trzymał jego paszport, to prawdopodobnie z Chucka był jeszcze większy wariat niż myślałem.

- Powiedz no, czy nie przyszło ci aby do głowy, że on może wrócić nic ci o tym nie mówiąc?

Steve zerknął na mnie z ukosa.

- Tego by nie zrobił.

- Jesteś pewny?

- Absolutnie.

- No dobrze. - Odsunąłem się od niego. - Jak wyjaśniłeś policji, dlaczego go tam wysłałeś?

- Powiedziałem im prawdę. Wysłałem go tam na trzydniowy post. Ponieważ od czasu tego morderstwa zrobił się nerwowy.

- Trzydniowy post?!

- Tak. Co w tym śmiesznego? Robimy tak od czasu do czasu, tu i tam. Wszyscy. No to jak skończyłeś pan już trzaskać dziobem, to może sobie pójdę?

- Nie. Jeszcze jedno. Gdzie on był tej nocy, kiedy popełniono morderstwo?

- Ze mną.

- A, to bomba - rzekłem. - A ty, oczywiście, byłeś z nim. Alibi super.

- Mamy na świadków pół setki ludzi, którzy widzieli nas obu w „Cloud 79” aż do zamknięcia - powiedział Steve.

Spojrzałem na niego i potrząsnąłem głową.

- Girgisa zabito o wpół do czwartej nad ranem.

- Tej nocy zamknęliśmy klub jeszcze później.

- Musisz się wiele nauczyć o wymiarze sprawiedliwości w Grecji - stwierdziłem.

Nie odpowiedział.

- Słyszałem, że twój kumpel lubi wywijać maczetą - rzekłem.

Uśmiechnął się do mnie bez humoru.

- Słyszał pan, co? Wiedziałem, że w końcu ktoś to wywlecze. Mówił pan o tym policji? - Dziwna rzecz, jak oni zawsze akcentowali słowo „policja”.

- Oni już o tym wiedzą. Właśnie od nich się dowiedziałem.

- Wiedzą? Jasne, założę się. To jak, mogę już iść, panie Psie?

Poczułem, że zaciskam wargi. Odetchnąłem powoli przez nos.

- Tak - odparłem krótko. Lecz zaraz, tak dla zabawy dorzuciłem: - Znajdziesz Chucka w trzecim budynku stąd. Z czterema dziewczynkami.

Zmierzył mnie wzrokiem, lecz nie powiedział ani słowa. Odwrócił się i odszedł.

Spoglądałem za nim przez chwilę, po czym też się odwróciłem i ruszyłem z powrotem.

Kiedy zatrzymałem się przy tamtym segmencie, by dla pewności jeszcze raz rzucić okiem, Chuck w okularach przypominających denka butelek od coca-coli i w turbanie siedział nadal przed nargile. Dziewczynki utworzyły teraz pełen czci krąg u jego stóp.

Wycofałem się i zszedłem ze wzgórza skrajem budowy.

Potrzebowałem czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. Wyglądało na to, że Steve myśli, iż jego kumpel zabił Girgisa, więc stara się go osłonić. To zresztą całkiem możliwe, że Chuck go zabił. Chuck najwyraźniej miał bzika, a kto wie, do czego jest zdolny bzik? Bodajże pierwszej nocy po przyjeździe widziałem, jak ciosem karate złamał nos tamtemu chłopakowi. Było też równie możliwe, że oni obaj maczali w tym palce.

A gdyby tak byli winni, to co dalej? Niepokoiło mnie, dlaczego Pekouris nic nie robił. Dlaczego nie zwinął ich razem z maczetą? Nawet nie zabrał im paszportów. Co mogło ich powstrzymać przed ucieczką łodzią do Turcji, z paszportami czy bez? Wysłanie Chucka do

tego St Friday było sprytnym posunięciem. Ale nie mogło przeszkodzić Pekourisowi, gdyby chciał ich zwinąć.

U stóp wzgórza przystanąłem na drodze, odwróciłem się i jeszcze raz spojrzałem na to niesamowite miejsce. Trudno o lepszy komentarz na temat stanu naszej zgniłej cywilizacji. Boże drogi, w Rosji czy w Chinach czegoś podobnego się nie widuje. Ale głupio czy nie, cieszyłem się, że mamy u nas takie rzeczy.

Kiedy patrzyłem na wzgórze, po mojej prawej stronie głośniki z klubu „Cloud 79” zaczęły łomotać powietrze. Poprzez drzewa widziałem kolorowe lampki, a wzmacniacze zaprowadziłyby mnie na miejsce nawet gdybym był ślepy. Ogarnęła mnie nagła pokusa, żeby wstąpić tam i się rozejrzeć.

Wiedziałem jednak, że nie pójdę. Tej nocy nie był mi sądzony żaden klub, lecz ciężka, nudna, przyprawiająca o wrzody żołądka praca. To właśnie było mi sądzone.

Pomyślałem o pieniądzach, które dostałem od Kronitisa. Czas najwyższy na nie zapracować.

Poszedłem do hotelu „Xenia” i złapałem dorożkę. W tawernie zaopatrzyłem się w kanapki na kolację i resztę nocy. U Georginy w ogrodzie odbywała się kolejna hipisowska impreza. Mnie ominęła, gdyż stare dziewczę z całą zgrają umknęło wcześniej pod dach. Z domu zadzwoniłem do Chantal, powiedzieć jej, że nie wpadnę. Słyszała już o mojej wyprawie na polowanie ze Słodką Marie. Powiedziałem jej, że czeka mnie praca i że jeśli nie wierzy, to może zajrzeć do mnie później i sprawdzić. Potem wyciągnąłem zamkniętą teczkę i wyjąłem z niej kilka notesów. Ułożyłem je starannie na biurku, rozejrzałem się po suficie w poszukiwaniu wymówki, której nie znalazłem, i w końcu zasiadłem do roboty.

W każdym bądź razie podjąłem jedną decyzję. Jeżeli Słodka Marie zaproponuje mi jeszcze swoje ciało, to pewne jak dwa a dwa cztery, że nie odmówię, i do diabła z moralnością.

Rozdział 30

Nie potrafiłem tego rozgryźć. Nie potrafiłem sformułować roboczej hipotezy.

Były dwie zasadnicze zagwozдки, z którymi zwyczajnie nie mogłem sobie poradzić. Po pierwsze - każdy podejrzany tylko tracił, a nie zyskiwał na śmierci Girgisa. Poza tym ranga motywu nie dorównywała randze tak drastycznego czynu.

Nasuwał się tylko jeden motyw. Handel haszyszem. Ale to nie trzymało się kupy. Nawet gdyby przynosił dziesięciokrotnie większe zyski, niż oceniałem, to i tak nie byłby wart ryzyka związanego z zabójstwem. Zabójstwo Girgisa równało się prawie pewnej likwidacji haszyszowego interesu.

Właściwie było tylko dwóch podejrzanych - obaj hipisi i Jim Kirk. Istniały też pewne uboczne podejrzenia. Związek Chantal z Girgisem. Fakt, iż Kronitis był właścicielem obu statków. Ale były to sprawy nieistotne. Głęboki szok, jaki przeżyła Chantal na wieść o morderstwie, był jak najbardziej autentyczny, jeśli znam się na rzeczy. No i postawiłbym ostatnią koszulę, że Kronitis dowiedział się o przemyśle haszyszu dopiero ode mnie.

Jim Kirk niewątpliwie był podejrzany. Ale on nie zabiłby Girgisa z powodu handlu haszyszem. Nie miało to dla niego aż takiego znaczenia.

Pozostawali więc dwaj hipisi. Niewykluczone, że zorganizowali to we dwóch, ale jakoś w to nie wierzyłem. Bardziej prawdopodobne, że stuknięty Chuck zrobił to na własną rękę, myśląc na swój wariacki sposób, że pomaga tym samym swojemu kumplowi, tak jak wtedy, gdy złamał nos chłopakowi w tawernie, teraz zaś Steve próbuje go osłaniać, mając nadzieję, że go w końcu wyciągnie. Możliwość wielce prawdopodobna, zważywszy inne fakty związane z Chuckiem.

Tak wyglądała jedyna konkluzja, do jakiej udało mi się dojść, i to dopiero po ośmiu godzinach solidnej pracy. Byłem nawet skłonny ją przyjąć. Ale niepokoiło mnie to, że opierała się wyłącznie na dowodach pośrednich.

Zostawała jeszcze ostatnia możliwość - inny motyw, z dużo większym elementem zysku, tak sprytnie ukryty, że od przyjazdu niczego nawet się nie domyślałem.

Myśl, że zrobił to Chuck, była mi w pewnym sensie wstrętą, bo nienawidzę wariackich morderstw. Wolałbym, żeby zabójcą okazał się Kirk. O ileż byłoby to przyzwoitsze. O ileż bardziej ludzkie.

Dochodziła piąta nad ranem, kiedy pakowałem teczkę i chowałem ją w zamykanej na klucz szafce. W nocy zjadłem sześć tłustych kanapek z wieprzowiną, które omal nie

zniszczyły resztek mojego układu trawiennego, wypaliłem dwie paczki papierosów, które zdecydowanie przybliżyły mnie do raka płuc, i wypilem pięć whisky, które mi w niczym nie pomogły, jak się tego zresztą spodziewałem. Byłem zmęczony. Chantal nie przyszła. Nalałem sobie nareszcie potrzebne szklaneczkę i poszedłem na górę do łóżka.

Było już po dziesiątej, kiedy Pekouris zajechał jeepem w asyście dwóch policjantów, by sprawdzić Sonny'ego Duvala. Pomachał do mnie ręką, zanim ruszyli na molo.

Siedziałem na wychodzącej na przystań werandzie, popijając kawę i obserwując, jak Pekouris w paradnym niebieskim garniturze wsiada z dwoma policjantami do skifa i wiosłuje na stojąco. Wyglądało na to, że w Grecji wszyscy - a przynajmniej wszyscy, których poznałem - wiosłują z wprawą zawodowców.

Tamci dwaj byli obcy, dotychczas ich nie spotkałem.

Patrzyłem, jak wszyscy trzej wchodzą po drabince na kaik Sonny'ego. U nas, na przystani jachtów, było gorąco i słonecznie, lecz za łodzią Sonny'ego, nad kontynentem, z północnego wschodu nadciągały skłębione, ciemnożółte chmury. Dzień był bezwietrzny; stojące powietrze zapowiadało niepogodę.

Pół godziny później przywiosłowali z powrotem, a Pekouris wjechał jeepem na pustą parcelę od strony mojego domu i zaparkował na trawie. Tamtych dwóch zostawił na słońcu. Idąc do mnie na górę, wyszukanie uprzejmymi słowy pozdrowił twardą jak podeszwa Georginę, która babrała się w ogródku.

- Napije się pan? - powitałem go w progu.

Spojrzał na mnie bez słowa.

Łatwość, z jaką wyprowadzał mnie z równowagi, zdradzała geniusza.

- To idź pan do diabła! - burknąłem. - Napiję się bez pana, Pekouris. Szefowa! - zawołałem do gospodyni. - Lód!

- Wpadłem zapytać, jak wam idzie śledztwo. Odkryliście coś?

- Niewiele - odrzekłem. - Nie przepracowałem się. Dużo obciążających dowodów znalazł pan na łodzi Sonny'ego?

Obdarzył mnie pełnym wyższości, krzywym uśmiechem.

- To była tylko wizyta rutynowa. Jest, jak wy to mówicie, czysty.

- Nieźle mu pan napędził strachu.

Wyszczrzył zęby.

- Mam nadzieję. Nie jest to człowiek, do którego mógłbym nabrać sympatii. Ani do jego żony. Ale jest czysty. Nie spodziewałem się tam nic znaleźć.

Uśmiechnąłem się.

- Więc chciał mu pan tylko napędzić strachu? - Nie byłem pewny, czy mi się to podoba, czy nie. Ale raczej tak. - A ja, mimo wszystko, trochę pogłówkowałem, i doszedłem do tego samego wniosku, co pan. Wygląda na to, że to ten chłopak z maczetą.

- Co do tego trudno mieć wątpliwości - zgodził się.

- Wie pan, że on ma tę maczetę ze sobą? - spytałem.

Pekouris skinął głową.

- A tak przez ciekawość, dlaczego pan go nie zwinął?

- Nie zastaliśmy go tam. Wyjechał do Ayia Paraskevi.

Nie wiem, co w nim było takiego, że nie potrafiłem nabrać do niego przekonania. W każdym razie nie byłem w stanie go polubić. Czy choć raz w życiu nie mógł się zdobyć na szczerą odpowiedź?

- Czy to tak trudno popłynąć tam łodzią i go zgarnąć? - zapytałem cierpliwie.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej wrednie niż zazwyczaj.

- Nie. Nietrudno. Ale chyba mnie wczoraj nie zrozumieliście, kiedy mówiłem o instrukcjach z Aten, Davies. Dostałem z Aten polecenie: rozwiązać to, byle szybko. Z akcentem na „szybko”.

Zwracanie się do mnie per „wy” miało być w jego przekonaniu wyrazem traktowania mnie jak równego sobie. Odebrałem to jednak jako protekcyjne, rozkazujące, apodyktyczne, wyniosłe i nاپuszone. To też mi się w nim nie podobało.

- Rozumiem. I co z tego?

- Czy nie mówi to samo za siebie? Jeżeli teraz zdejmę tego chłopaka - Amerykanina - to czeka nas burza w prasie i długotrwały, przewlekły proces. Być może nie uzyskam nawet wyroku skazującego. Gdyby był Grekiem - wzruszył ramionami - to co innego. Ale nie jest. Taka metoda nie prowadzi do szybkiego rozwiązania, jakie mi zalecono.

Sprawił teraz wrażenie człowieka przeciążonego. Jak ktoś, kogo dwie równoważne siły ciągną w przeciwnych kierunkach. Ale nie zamierzał się do tego przyznać. Z jednej strony miał własną koncepcję wypełniania obowiązków, z drugiej zaś koncepcję narzuconą przez zwierzchników w Atenach. Chciałem wykrzesać z siebie trochę litości dla niego. Ale nie było to łatwe.

- Potrzebny mi jest jakiś konkretny dowód. Albo przyznanie się do winy. To by było najlepsze. Wręcz idealne.

- A tymczasem ci dwaj mogą skombinować jakąś łódkę i wywiać do Turcji.

- Wysoce nieprawdopodobne. Proszę mi wierzyć, że nie zdołaliby tam dotrzeć. - Brzmiało to jak oświadczenie li tylko dla zachowania twarzy. Choć kto wie, może miał coś na poparcie swoich słów.

- Ano, skoro już mowa o dowodach, tak się składa, że wczoraj się z kimś spotkałem.

Pekouris uśmiechnął się.

- Wiem.

Puściłem do niego oko, powoli.

- Otóż ten ktoś powiedział mi ciekawą rzecz. Niedawno te szczeniaki ukradły komuś kożę, zabiły ją i upiekły. Ten Chuck odciął jej głowę maczetą. No i dobrze. Ale potem obnosił się z krwią kozy na ostrzu, nie chciał umyć maczety i przechwalał się.

Pekouris przyglądał mi się badawczo.

- Tak? Niezupełnie nadażam za waszym tokiem rozumowania.

- Prosta sprawa: jeśli zrobił to z kozią krwią, to możliwe, że tak samo postąpiłby z krwią ludzką, prawda?

Pekouris kiwnął głową.

- Rozumiem. Tak, to możliwe. Zwłaszcza u szaleńca.

- Czy istnieje jakaś metoda na oddzielenie zaschniętej na nożu krwi ludzkiej od koziej i poddanie jej analizie?

- Musiałbym zapytać lekarza.

- Ja nie mam dostatecznej wiedzy medycznej.

- Ja także nie. Ale nie zwracajcie sobie tym głowy. Dowiem się wszystkiego w naszym laboratorium. To znakomity pomysł. Ale teraz nie aresztuję jeszcze tego chłopca i nie skonfiskuję maczety. Najpierw muszę się porozumieć z laboratorium.

- Ja też raczej nie skonfiskuję jej dla pana - rzekłem. - Ani nie ukradnę dla siebie.

- Wcale was o to nie proszę - odparł Pekouris, w dalszym ciągu bez krzty humoru. - To by mogło rozwiązać wszystkie nasze problemy - dorzucił, bardziej do siebie niż do mnie. Najwyraźniej to swoje problemy miał na myśli.

- Nie sądzę, żeby były duże szanse - stwierdziłem. Odsunął się od krzesła, przy którym stał do tej pory.

- Skontaktuję się po rozmowie z laboratorium. - Słowo „laboratorium” wymówił z angielskim akcentem. Z powagą, na swój poważny sposób, ruszył do trzech schodków prowadzących do hallu i drzwi wyjściowych.

- Hej, chwileczkę - zatrzymałem go. - A co z Jimem Kirkiem? Co pan robi w związku z nim?

Pekouris odwrócił się.

- Sprawdzamy go.

- Wie pan, że on miał spółkę z Girgisem? On też jest podejrzany.

Mrugnął do mnie.

- Poruszamy niebo i ziemię, Davies - oświadczył uroczyście. Odwrócił się i zszedł po schodkach.

Odprowadziłem go wzrokiem. Potem wyszedłem na werandę, przyjrzeć się, jak odjeżdża. Był zupełnie nie z tej ziemi. Patrzyłem, jak siada za kierownicą jeepa, obok dwóch ugotowanych gliniarzy, którzy wciąż posłusznie siedzieli w pełnym słońcu.

Kiedy odjechał, nadszedł od strony tawerny Sonny Duval i spojrzał na mnie w górę. Nie przeszedł przez bramę.

- Widziałeś? - zawołał. - Wystawili mi świadectwo zdrowia. W milczeniu skinąłem głową.

- Słuchaj, będziesz chciał dziś pływać? - krzyknął. - Znosi się na jeden z tych szybkich letnich sztormów. Tu się prawie nie zdarzają. Ale jeśli już, to przez parę godzin wieje jak cholera. - Kiedy to mówił, pierwsze podmuchy nasilającego się wiatru wzbily tumany kurzu u jego stóp na tej suchej, wysypanej żwirem drodze. Upał był coraz większy. Parny skwar.

Spojrzałem na zwały chmur na północnym wschodzie. Widać było niebieskie ściany padającego deszczu - długie równoległoboki.

- Nie, nie będę - odkrzyknąłem.

Wzruszył ramionami i dumnym krokiem wrócił do tawerny.

Wszedłem pod dach i zdjąłem z półki jakąś książkę po angielsku. *Gorzkie cytryny* Lawrence'a Durrella, o Cyprze. Usiadłem z nią na werandzie, kazałem mojej Greczynce przynieść mi whisky i powiedziałem jej, że obiad zjem w domu.

Rozdział 31

Perspektywa deszczowego dnia sprawiła, że poczułem się zwolniony od pracy. Obiad tego dnia był pierwszym posiłkiem, jaki przyrządziła mi grecka gospodyni. Spaskudzić zwykłą jajecznicę to wyższa szkoła jazdy, ale jej się to udało. Spłukałem jajka całą butelką czerwonego wina i zaniósłem książkę z powrotem na osłoniętą werandę, wraz z brandy.

Chantal nie zadzwoniła. W zasadzie cieszyłem się z tego.

Kłęby żółtawych chmur wciąż nadciągały z północnego wschodu, a nad przystanią zaległo naelektryzowane przecucie sztormu. Rozpadał się ulewny deszcz. Wiatr nie słabł, morze zaś było wzburzone i łodzie w przystani kołysały się gwałtownie, a ich wysokie maszty kiwały się wściekle. Wszystkie jachty i łódki były zabezpieczone wodoszczelnymi pokrowcami i nagle wyludnione. Siedziałem oglądając to tak, jak ogląda się pasjonujący film.

Na zewnątrz mosiężny dzwon okrętowy przy górnej bramie zadzwieczał na deszczu, a po chwili rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Stara Greczynka poszła otworzyć. Do hallu weszła wysoka, długonoga i długowłosa blondynka w obcisłych dżinsach i bawełnianej koszuli bez stanika pod spodem. Przywitała się z moją gospodynią po grecku.

- Witam, panie Davies!

Moje sprośne stare serce opuściło jedno uderzenie.

Stałem na werandzie, kiedy szła ku mnie swym długonogim chodem przez salon, nieco mokra. Widać było, że zna ten dom.

Nagle, stojąc z kieliszkiem w ręku, ujrzałem to długie ciało nagie, takie jak wczoraj, kiedy zrzucała skafander, i przedwczoraj, kiedy wchodziła naga do wody na plaży hipisów. A dziś? Ano, dziś - to spokojne, przytulne dziś - czyż to nie wymarzony dzień na powtórkę?

- O rety, ale leje! - odezwała się bez tchu, na swój nieco dziecinny sposób. - i straszny wiatr! Ale myślę, że do wieczora przejdzie.

Ta wieczna radość na tej wieczystej krawędzi katastrofy.

- Tak - rzekłem. - No to chodź tu na zewnątrz. Dzisiaj nie wypłynęłaś, co? Na polowanie?

- Nie. Prawdę mówiąc, po zawietrznej jest całkiem spokojnie. Ale jakoś nie lubię polować na deszczu. To mnie przygnębia. A poza tym stwierdziłam, że jakoś tak od samego rana myślę o panu. Tak jakoś.

- Co ty powiesz?

- Więc pomyślałam sobie, że pana odwiedzę! Kiedyś mi pan powiedział, żebym wpadała, jak tylko będę miała ochotę, i pomyślałam, że dzisiaj pewnie nigdzie pan nie popłynie!

- Zabawne. Ja też właśnie myślałem o tobie - rzekłem. - Napijesz się?

- Nie. - Spojrzała po sobie. - O rety, cała jestem mokra! - Faktycznie, była mokra; bawełniana koszula oblepiała jej skórę. Podeszła do barierki i spojrzała na niebo. - Tak, to minie! Jutro będzie pogoda! - A po chwili, dużo ciszej: - Co pan o mnie myślał?

- Mam być szczery?

- Tak - powiedziała Marie. - Lubię, jak pan jest szczery.

- Myślałem, w jakim sensie dotknie cię to morderstwo. Wiesz chyba, że najprawdopodobniej zostaniesz bez pracy? Bo ta historia na jakiś czas ukróci interes z haszyszem. To spowoduje znaczna lukę w twoich dochodach.

- Tak, to prawda. Właśnie to mi się w panu podoba, że pan od ręki załatwia się z całym tym gównem. Prawdę mówiąc, między innymi przysłałam w tej sprawie. - Spojrzała mi prosto w oczy, uczciwie. - W tej sprawie i dlatego, że tyle o panu myślałam.

Nagle gwałtownym ruchem rozpostarła ręce i klepnęła się po udach.

- Ale tutaj wołałabym o tym nie mówić.

- Nie wiem, gdzie moglibyśmy pójść - rzekłem. - Do jakiegoś baru?

- Możemy pójść do mnie - odparła. - Mam pokój w prywatnym domu, gdzie mieszkałam zeszłej zimy. W lecie rzadko z niego korzystam. Siedzę na budowie. Ale mam klucz.

Nie odezwał się. Zabawne, jak nawet nie musisz nic robić. One same za ciebie wszystko załatwią, jeżeli dostrzegą w tobie łakomy kąsek.

Przyglądałem jej się przez dłuższą chwilę. Patrzyła mi prosto w oczy. Nie było najmniejszej wątpliwości co do dalszego ciągu. Milczące przyzwolenie trwało na posterunku, a jakże.

- Zgoda - powiedziałem. - Pozwól tylko, że dopiję. - Wychyliłem szklanekę jednym haustem.

Nagle zachichotała. Zerknąłem na nią w samą porę, by dostrzec mroczny błysk w jej oczach. Przez ułamek sekundy wyglądała jak stara kurwa, zaczepiająca klientów w ciemnej bramie hotelu.

Przy drzwiach odezwała się:

- Lepiej niech pan coś na siebie włoży. Na taki deszcz.

- A ty?

- I tak już jestem mokra. Zresztą, to mi nie przeszkadza. Lubię deszcz, i mogę się przebrać tam na miejscu. - Znowu milczące przyzwolenie.

Włożyłem stary trencz i zmaltretowany nowojorski kapelusz. W lustrze w hallu wydałem się sobie twardszy, starszy i bardziej podły. Bardziej przypominałem gliniarza. Płaszcz i kapelusz wyglądały dziwacznie w zestawieniu z letnim ubraniem i sandałami.

- Nareszcie przypominam siebie - stwierdziłem.

- I mojego tatę - dorzuciła Marie, śmiejąc się.

Odpowiedziałem wymuszonym uśmiechem.

- Prywatny tajniak w średnim wieku, który nie wierzy już nikomu. Który nie zwróciłby się do własnej babki, żeby mu rozmieniła dolara. Ze strachu, że wyda mu za mało drobnych, i słusznie.

Z uśmiechem na ustach otworzyła drzwi.

Wynajmowała pokój blisko centrum miasteczka. Wobec tego ruszyliśmy górną ulicą, biegnącą powyżej domu. Dwukrotnie, kiedy trafiliśmy na ścianę siekącego deszczu, wtuliła się we mnie. Ale poza tym szła spokojnie w strugach wody. Dwukrotnie odchyliła do tyłu głowę i zamykając oczy, wystawiła twarz na ulewę. Zanim dotarliśmy do jej domu, miała kompletnie mokre włosy i przemoczone ubranie. Ale ja tymczasem wycofałem się z gry.

Nie wiem, co sprawiło, że się rozmyśliłem. Może widok samego siebie w lustrze w hallu? Może sposób, w jaki odrzuciła głowę, wystawiając twarz na deszcz? Ja nigdy bym się na to nie zdobył; nie na serio.

Mniejsza o powód - wiedziałem, że nic z tego nie będzie.

A może sprawił to sposób, w jaki się we mnie wtuliła, szukając ochrony przed siekącą ulewą? Przypomniałem sobie, że tak samo tuliły się do mnie obie moje córki, kiedy spotkała je jakaś maleńka życiowa katastrofa, z którą nie mogły sobie poradzić inaczej, jak tuląc się do tatusia. Tak jak Marie. Tyle że jej życiowa katastrofa była ogromna.

A może najbardziej zawinił tu fakt, że byłem za stary? Tak stary, że aż śmieszny.

Dom był nijaki, z obowiązkowym ogrodem i murami. Marie poprowadziła mnie chodnikiem biegnącym do osobnych drzwi. Za nimi znajdował się mały, tandetny pokoik, w zasadzie pusty. Marie nie wniosła tam nic swojego. Mogłaby się wyprowadzić w pięć minut.

Ten pokój też mnie zabolął. Jedyne leżący w rogu sprzęt do polowania, pedantycznie wymyty, świadczył, że to jej mieszkanie.

- Tak tu wygląda - powiedziała. Zamknęła drzwi. Odwróciłem się i zdjąłem trencz i kapelusz, chcąc pozbyć się osobowości, którą mi narzucały.

Kiedy się odwróciłem z powrotem, Marie spoglądała na mnie z tym otwartym, dziecięcym wyrazem twarzy. Oddychała nieco za szybko. W ułamku sekundy ten sam dziwny, niezwykle błysk przemknął przez jej twarz, i zniknął.

Określenie „kurewski” byłoby dla niego zbyt silne, ale miał chyba w sobie coś takiego. Może masochizm? Właściwy kobietom? Coś na kształt kurewskiej rozkoszy.

- Lepiej się przebiorę - oświadczyła i siedząc na skraju łóżka, zrzuciła koszulę i wzięła ręcznik.

Nie nosiła stanika, to jasne. Piersi miała młode, wielkości dużej filiżanki. Kiedy się wycierała, w jej ruchach była jakaś nieśmiała bezbronność. Najpierw wytarła piersi. Nie patrzyła na mnie.

- Włosy też lepiej wysuszę - dorzuciła. Jej piersi podskakiwały przepysznie, kiedy machała ręcznikiem. Zwłaszcza gdy pochyliła się, by wytrzeć włosy.

Czułem się, jakbym dostał ataku serca. Nie miałem czasu ani sposobności wykonać najmniejszego ruchu. Stałem, wgniatając plecy w drzwi. Czułem nasilający się skurcz mięśni twarzy.

- Chcesz mi pomóc? - zapytała Marie, zerkając na mnie poprzez zasłonę włosów.

- Nie, dzięki. - Wypadło to bardziej szorstko, niż zamierzałem.

Z ręcznikiem na ramionach, odrzuciła włosy do tyłu i wstała. Ten zabawny, „kurewski” wyraz jawnie wrócił na jej twarz. Rozpięła pasek dżinsów i zamek błyskawiczny, zsunęła spodnie na podłogę i wyszła z nich. Zaczęła wycierać nogi i brzuch.

Stałem jak skamieniały. Miała jeden wielki kawał wspaniałego ciała. Przypuszczam, że byłaby zadowolona, wiedząc, jak straszliwie jej pragnę. Dłonie w kieszeniach zacisnąłem w pięści. Teraz je rozluźniłem. Wyprostowała się, trzymając ręcznik przed sobą, lecz nie po to, by się zasłonić, i spojrzała na mnie.

- Dość tego! - warknąłem chrapliwie. - Ubierz się.

- Nie podobam ci się?

- Nawet bardzo. Ale dość tego. Nic z tego nie będzie.

Ten dziwny wyraz zniknął z jej twarzy, zastąpiła go mina małej dziewczynki.

- Czy pan mnie ma za kurwę?

- Gdybym cię miał za kurwę, to do innego.

- No więc jestem kurwą.

- A ja jestem dostatecznie stary, żeby być twoim ojcem. Więc dość tego.

- Mówiłam panu, że chyba spróbuję kazirodztwa. - Roześmiała się dziewczęcym, perlistym śmiechem z głębi ślicznego, bujnego i nagiego ciała, które przyprawiało mnie o ból

zębów. Jej krocze było szczupłe, mocne i przepięknie owłosione. - Wszystkiego innego już próbowałam.

- Nic by z tego nie wyszło - rzekłam. - Potem miałabyś tylko niesmak. Małe dziewczynki nie powinny robić rzeczy, które pozostawiają niesmak. Tak samo jak mali chłopcy.

- Czy wie pan, że miałam romans z Jane Duval? - zapytała. Odwróciła się do mnie bokiem. - Proszę mi podać te spodnie.

Ruszyłem się, wziąłem suchą parę dżinsów i leżącą obok nich koszulę i rzuciłem jej.

- Nie, nie wiedziałem. Ale czemu nie? Wcale mnie to nie dziwi. Skoro romansowałaś ze wszystkimi.

- Z wyjątkiem pana. - Zwrócona bokiem, weszła skromnie w nogawki dżinsów i podciągnęła spodnie.

- Z wyjątkiem mnie - przyznałem.

Odwróciła się do mnie tyłem i nałożyła koszulę. Potem odwróciła się z powrotem i usiadła na łóżku.

- Nigdy więcej mi tego nie rób - przykazałem jej z uśmiechem. - Nie mam aż tak silnego serca, i nie jestem z kamienia. - Czułem, jak naciągany jest mój uśmiech.

Patrzyła na mnie bez słowa, z tą otwartą dziewczęcą minką. Wzięła szczotkę do włosów.

- Powinnam się chyba wstydzić - oświadczyła po chwili. - Ale nie wstydzę się. To dopiero jest wstyd.

- W ten sposób zachowasz lepsze samopoczucie - stwierdziłem.

- Ale chciał mnie pan. Prawda, że pan mnie chciał? Strasznie?

- Strasznie. Tak bardzo, jak jeszcze żadnej kobiety w życiu nie chciałem. Nawet bardziej.

- Więc dlaczego mnie pan po prostu nie wziął?

- Dlatego, że będę ci tu zastępować ojca - wyjaśniłem. - A to by nie wyglądało dobrze.

- Cieszę się, że pan tego nie zrobił, naprawdę.

- Świetnie. Pięknie. To ci bomba. A ja właśnie zaczynam tego żałować. Słuchaj no, mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać na temat Girgisa.

Rozdział 32

- Chciałam się pana poradzić. Właściwie to nie chodzi o Girgisa. Chodzi o Jima Kirka.

- I co z tym Kirkiem?

Najpierw jednak musiała dać mi coś do picia. Poszperała trochę, znalazła butelkę szkockiej i pół butelki wody sodowej. Usiadłem ze szklanką na krześle. Na zewnątrz deszcz bębnił donośnie. Przez pewien czas moje uszy tego nie rejestrowały.

- Przepraszam, że nie ma lodu.

- Nie potrzebuję lodu. Co z Kirkiem?

Sobie też naląła solidną miarkę. Wypiła połowę jednym haustem i usiadła na łóżku.

- Cała ta historia strasznie mnie zmartwiła. Śni mi się po nocach, mam koszmary. - Wzdrygnęła się gwałtownie. Uśmiechnęła się tym swoim drżącym uśmiechem. - Odciać mu głowę w ten sposób... W każdym razie zastanawiałam się nad wyjazdem z Tsatsos.

- Osobiście uważam, że to dobry pomysł - stwierdziłem lapidarnie.

- Kirk chce, żebym została. Mówił pan, że urwie mi się roznoszenie haszu. Kirk twierdzi, że przerwa potrwa tylko dwa tygodnie. Potem znów zaczniesz działać. Chce, żebym robiła dla niego to, co robiłam dla Girgisa.

- A to już bym ci odradzał - wtrąciłem zimno. - Dwa tygodnie? Brzmi to tak, jakby Kirk miał tu jakieś mocne plecy, o których nic nie wiem.

- Pan jest mądrzejszy. Ale możliwe, że on tu ma plecy, jak pan to mówi. Bo wie pan, że on tu przywoził heroinę? Wiedział pan o tym?

- A jednak! Nie wiesz czasem, gdzie się zaopatruje?

- Myślę, że w Atenach. Tu na budowie jest kilku ćpunów. Między innymi Powolny John. Kirk przywozi tego akurat na ich potrzeby. John mówi, że on sobie liczy dwa razy więcej niż to kosztuje w Atenach. Jim mówi, że to cena ryzyka, które podejmuje.

- Czy Girgis był związany z tym przemytem hery?

- Nie. Girgis hery nie tykał. Stary ambasador Pierson też ćpa.

- W jaki sposób Kirk dostarcza herę tym ludziom?

- Ja ją nosiłam na budowę.

Potrząsnąłem głową. Odstawiłem szklankę na podłogę i wstałem. Byłem wściekły, musiałem się opanować.

- Brak mi słów na twoją głupotę! - warknąłem. - Na całym świecie mogą cię za to wsadzić, i to na długie lata. Nie wiesz o tym?

- Z mojej strony to była tylko przysługa. Wcisnął mi potem kilka dolarów.

- W świetle prawa to żadna różnica. Dzisiaj hera to dynamit. Dlatego tak się z tym kryją. - Mówiąc to, myślałam o Chantal.

Marie spojrzała na mnie i uśmiechnęła się tym swoim skrzywdzonym uśmiechem, który zawsze tak do mnie trafiał.

- Wiem. Och, do diabła z tym! - Zamilkła na dłuższą chwilę.

Zastanawiałem się, czy ambasador Pierson i jego dostawy hery to kolejny z sekretów Chantal? Którego nigdy nie miałem poznać? Ale dlaczego miałyby się z tym przede mną kryć?

- To wszystko jest takie brudne, prawda? - odezwała się Marie.

- Nie bardziej niż jakakolwiek inna działalność. - Posłałem jej jeden z moich najlepszych uśmiechów. - W moim fachu ryzykujesz tym, że z czasem wszystko stanie się dla ciebie brudne. Wszystko i wszyscy. To niedobrze. Nie stań się taka.

- Nie jest to takie całkiem brudne, skoro pan się tym zajmuje - powiedziała Marie.

Spojrzałem na nią twardo.

- Nie bądź tego taka pewna, skarbie.

- Jestem pewna, jeśli o pana chodzi... W każdym bądź razie dlatego, że cena hery jest tutaj tak wysoka, John chce wyjechać z Tsatsos. I chce mnie zabrać ze sobą.

Zdawało się, że na zewnątrz przestało padać.

- John? To z nim wyjeżdżasz? - zapytałem.

- Jeżeli w ogóle wyjadę. Doszłam do wniosku, że pan by się ucieszył.

- A dokąd byś pojechała?

- Na Capri. On chce wynająć tam dom na miesiąc lub dwa. Był już kiedyś na Capri. I chce mnie tam zabrać.

- A jeżeli wyjedzie i zostawi cię tam samą?

- Sądzę, że zawsze coś bym mogła robić. Mogłabym tam chyba polować tak samo jak tutaj.

- Capri i Tsatsos to dwie różne rzeczy. Słyszałem, że to kompletnie wyuzdana i zdemoralizowana wyspa. Podobno roi się tam od pedałów i bogatych playboyów.

- Żaden pedał nie będzie napastował Johna. Ani mnie.

- Fakt - przyznałem. - Ale tam, gdzie są pedały, są także lesbijki. One ciągną za nimi i na odwrót.

Marie nie odzywała się przez chwilę.

- No, tak - powiedziała w końcu. - Tak, pewnie tak to jest.

Odwróciłem się do niej od drzwi.

- Słuchaj, ty nie jesteś lesbą. A gdyby nawet, to co z tego? Komu to przeszkadza? Ale nie jesteś. Nie myślę tak o tobie. Ale jeżeli pociąg Johna do dziewczyn ekstra jest tak silny, jak mówisz? Może cię wpakować w niezłą kabałę. To same lesby, te dziewczyny na doczepkę. A potem odjedzie i cię tam zostawi. Wątpię, czy jesteś dość silna, żeby dać sobie radę z takimi typami. Lesby często stręczą innym. Bogaci playboye płacą słono. A najwyższą cenę osiąga świeże ciało. Nowe, młode ciało. Takie jak twoje. Myślisz, że potrafisz odróżnić te normalne od zboczonych? - zapytałem ochryple.

- Nie wiem - odparła Marie z łóżka. Nie patrzyła na mnie. - Chyba nie.

- No więc? Myślałaś o tym, co ci wczoraj mówiłem? O powrocie do domu?

Pełnym rozpaczony gestem przeciągnęła ręką po włosach.

- To wszystko jest tak pogmatwane... Tak, myślałam o tym. Ale to takie trudne. Nie chodzi tylko o pieniądze. Gdzie się podzieję? Nikogo nie znając? Zaczynać od zera, zdana tylko na własne siły, w nowym, obcym mieście? Za dużo tego.

- Więc dobrze, do ciężkiej cholery. Sam ci pomogę z tego wyjść - rzekłem ponuro. - Dam ci mój adres w Nowym Jorku. Jeśli zbierzesz pieniądze, przyjedź tam. Wpadnij do mnie. W ten sposób nie będziesz sama. Powinnaś utrzymać się w jakiejś robocie. Pomogę ci załatwić pracę. Do diabła, nawet wyłożę forszę.

- Naprawdę by pan to zrobił? Pieniądze zbiorę, zmuszę Johna, żeby mi dał.

- Zdaje się, że przynajmniej tyle jest ci winien - powiedziałem. - Ale nie liczyłbym na to.

- Naprawdę by pan tak zrobił?

- Jasne.

- Możemy o tym porozmawiać później? Teraz mam straszny zamęt w głowie. Ale myślę, że tak zrobię, jeżeli pan nie żartuje.

- Nie żartuję.

- Nie mówię o pieniądzach. Chodzi mi o resztę.

- Nie żartuję.

- W tym wszystkim właśnie to jest najważniejsze - mieć przyjaciela. Otworzyłem drzwi za plecami i uśmiechnąłem się do niej.

- Gdzieś jeszcze musi być paru przyzwoitych kandydatów na męża. Znajdziemy ci jakiegoś.

- Wie pan, wybieram się jutro na polowanie. Chciałby pan ze mną pójść? Porozmawialibyśmy wtedy. Moglibyśmy popłynąć łodzią.

- Nie mogę. Mam tu parę spraw do załatwienia. Innym razem. Uśmiechnęła się do mnie z łóżka swym zranionym uśmiechem. Wyglądał teraz lepiej niż zwykle.

- Dobrze. Dobrze, wielki tato. Pan naprawdę jest wielkim tata, wie pan?

- Gówno prawda! - warknąłem, wyszedłem na dwór i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Rozdział 33

Nawałnica szybko oddalała się za góry. Zrolowałem trencz i wsadziłem go sobie pod pachę, a kapelusz wziąłem do ręki. Było tak sucho, że zdawało się, iż ziemia po bokach tej brukowanej ulicy nie zdążyła nawet zwilgotnieć na deszczu. Powietrze pachniało świeżością.

Sądzę, że wyglądałem dosyć śmiesznie. Jeśli chodzi o Marie, to jak by na to nie patrzeć, wyglądałem głupio. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odtrąciłby tak ślicznej dziewczyny. Ale ja, zamiast przyjemności, musiałem wziąć sobie na głowę kolejny obowiązek.

Stać mnie było na bilet lotniczy dla niej i trochę pieniędzy na początek. Poszłoby to na rachunek Kronitisa. W Nowym Jorku miałem kilka młodszych od siebie zaprzyjaźnionych dziewczyn, u których mogłaby waletować przez jakiś czas. Nie pierwszy już raz pomagałem w ten sposób jakiejś hipisce. Tyle że żadna z tamtych nie miała takiego ciała.

Lecz nie w tym tkwił problem, i wiedziałem o tym. Cały problem wiązał się zupełnie z czym innym. O tym także nie chciałem myśleć, ani przed przyjazdem, ani teraz. Cały problem wiązał się z wiekiem. Moim wiekiem. Nie potrafiłem się nim nie przejmować. Przypuszczam, że każdy staje wobec tego problemu, jeżeli oczywiście żyje dostatecznie długo. Ale dla mnie to żadna pociecha. Wciąż mi się to nie podobało, i wciąż nie chciałem o tym myśleć.

Kocie łby pod moimi stopami były suche jak pieprz. Czulem, że powinienem wziąć się do roboty, skoro burza minęła. Ale jak? Nic z tego, co Marie powiedziała mi o Kirku, nie zmieniało mojego poglądu na sprawę morderstwa. Postanowiłem, że wieczorem przejdę się do klubu „Cloud 79”, rozejrzeć się trochę.

Wróciłem spacerkiem do domu i zadzwoniłem do Chantal. Zastałem ją. Wieczorem znów miała w planie jedną z tych swoich kolacyjek. Ja się na coś takiego nie pisałem. Oświadczyłem, że może wpadnę do niej później, a może nie.

- Czy ona jest taka dobra jak ja? - spytała.

Nie odpowiedziałem.

- Założę się, że znalazłoby się parę takich rzeczy, których nie potrafi robić równie dobrze - powiedziała Chantal.

Prawdopodobnie miała rację. Mogłem sobie wyobrazić parę takich rzeczy, których Marie z całą pewnością nie potrafiłaby robić lepiej.

- Nie lubię twoich proszonych kolacyjek, skarbie - rzekłem. - i nie muszę na nich bywać. Tu, w porcie, znalazłem sobie paru własnych przyjaciół, z mojej sfery.

- Z bardzo długimi nogami, to pewne. - Jej głos zabrzmiał ostrzej.

- Postaram się wpaść później - obiecałem. - Ale jeśli mi się nie uda, nie denerwuj się. Nie ma tu takich, co marzą o podstarzałym detektywie prywatnym w roli kochanka.

- No cóż, gdyby mnie nie było, kiedy przyjdiesz - co nie jest wykluczone - wejdź wprost do domu i rozgość się - oświadczyła Chantal wyniosłym hrabiowskim tonem. - Prędzej czy później wrócę. - Odłożyła słuchawkę.

Zrobiłem to samo i wyszedłem na werandę. Odsłoniłem się przed nią tak dalece, jak tylko mogłem. Prawdopodobnie nic by się nie stało, gdybym się jej przyznał, że pracuję dla Kronitisa. Ale obiecałem Pekourisowi, że nie powiem nikomu.

Bogiem a prawdą, miałem zamiar do niej przyjść, o ile mi się uda. Jeżeli Chantal dla Kirka rozprawiała choćby minimalne ilości hery wśród wysoko urodzonych, tak jak Marie wśród plebsu, to chciałem sobie z nią porozmawiać na ten temat.

Stałem na werandzie z rękami opartymi na grubej kamiennej barierce. W tawernie po drugiej stronie pustej parceli Pete Gruner - w kolejnym drogim stroju - i jego broda siedzieli przy stoliku.

Po chwili namysłu wyszedłem i skierowałem się do tawerny, by się do nich przyłączyć. Mijając mały salon Georginy na wolnym powietrzu, pomachałem jej ręką.

Gruner oczywiście widział, jak nadchodzę. Zająłem osobny stolik, na co podszedł i przysiadł się do mnie.

- No dobrze, w jakiej sprawie chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Dlaczego myślisz, że chciałem się z tobą zobaczyć? - odparłem. - Sądziłem, że to raczej ty chcesz się ze mną spotkać.

- Bo przypadkiem siedzę w twojej prywatnej tawernie? Jasne. Dziwne to, ale masochistycznie zacząłem nabierać do niego sympatii.

- Ano, zwykle się tu nie pokazujesz. Przesiadywanie na budowie z twoimi kumplami bardziej do ciebie pasuje.

Uśmiechnął się szeroko.

- No, prawdę mówiąc, chciałem się z tobą zobaczyć.

- Najpierw moja kolej - rzekłem. - Zdaje się, że obrzucałeś mnie błotem, opowiadając po ludziach, że twoim zdaniem jestem agentem rządowym.

- Nie przypominam sobie, żebym to mówił.

- A jednak. Ja się póki co nie zrewanżowałem. Ale zrobię to z miłą chęcią. Masz mi do powiedzenia coś, co by mnie powstrzymało?

Uśmiechnął się fałszywie.

- Powiedziałem coś tylko jednej osobie. Kirkowi. Ale nie mówiłem o rządzie. Powiedziałem, że moim zdaniem pracujesz dla jakiejś bardzo grubej ryby.

- Dość grubej, żeby mogła być rządem Stanów Zjednoczonych - rzekłem. - W takiej wersji on to powtórzył przynajmniej jednej osobie. Jeszcze jeden taki dowcip z twojej strony, a załatwię ci tu opinię na cacy, przyjacielu. Na razie tego nie zrobiłem.

Wyszczrzył zęby.

- Wiedziałem, że jesteś swój chłop. Mimo tej twojej lipnej pozy niewiniątka. Przepraszam za tamto. Nie miałem innego wyjścia. Gdybym mógł ci to wytłumaczyć, zrozumiałbyś dlaczego.

- Nie, nie zrozumiałbym. Kto wie, czy się nie przekonasz, że nie jestem tak dobroduszny, jak ci się wydaje. No, to teraz dawaj te złe wieści.

Na twarz wystąpiły mu wypieki; wyglądał jak piejący kogut.

- Chciałem ci powiedzieć, że mam tę pracę, o której ci mówiłem. Będę pracował jako zastępca kapitana na „Polarisie”. Rozmawiałem już z wielkim człowiekiem.

Zatkało mnie.

- Widziałeś się z Kronitsem?

- Rozmawiałem z nim przez telefon. Mamy się spotkać za parę dni. Jak dobrze pójdzie, awansuję na kapitana.

- Gdzie masz się z nim spotkać? W jego willi?

- Nie, w Glauros. W tym wielkim hotelu. Nietrudno było go złapać. Po prostu zadzwoniłem do niego, tak jak ten Steve w sprawie baru.

Powstrzymałem się od komentarzy.

- Dlaczego przyszedłeś mi o tym powiedzieć?

Uśmiechnął się.

- Chciałem, żebyś wiedział. Gdyby coś mi się przytrafiło, będziesz wiedział, gdzie szukać. Szukaj tego, co ze mnie zostanie, na pokładzie „Polarisa”.

- Nie mam zamiaru cię nigdzie szukać, kolego - odparłem ponuro. - Za to mi nie płacą. Zechcesz mi wyjaśnić, po co to robisz?

- Wchodzę w ten interes z haszyszem. Razem z Kirkiem. Dlatego musiałem cię przed nim trochę obsmarować. Kirk ma chody u Kronitisa, a będzie mi potrzebny, żeby przywozić towar. Kronitis, oczywiście, nic o tym nie wie. Musiałem mu obiecać, że nie będę maczał palców w żadnym przemyśle haszyszu. Kirk i ja będziemy dzielić się po połowie. Kirk jest zadowolony, Kronitis jest zadowolony i ja jestem zadowolony.

- To jest odpowiedź na pytanie „jak”, a nie „dlaczego”.

- Wcale nie. Do diabła, w ciągu roku wyjdę na czysto tak, że kupię sobie własną łódź. I będę ustawiony, żeby mieszkać na wyspach greckich po wsze czasy.

- A ja będę mógł tu sobie przylecieć z Nowego Jorku i wynająć twoją łódź na najbliższe lata - powiedziałem. - Dalej, zasuń mi jeszcze coś wesołego.

Wyszczrzył się do mnie.

- Być może pewnego dnia będę ci mógł powiedzieć więcej, Lobo. O moich planach.

- Jasne - burknąłem. - Powiesz mi, kiedy następnym razem wpadnę do Waszyngtonu.

Potrząsnął głową.

- Pamiętaj tylko, co ci mówiłem o „Polarisie” - rzekł i podniósł się. Rzucił na stół kilka banknotów. W całej okolicy był chyba jedynym człowiekiem, który płacił rachunki, ma się rozumieć oprócz mnie. Już samo to czyniło go kimś niezwykłym. - Na razie. - Puścił do mnie oko i odszedł tym swoim długonogim krokiem sportowca, powiewając zadbanymi długimi włosami.

Siedziałem spoglądając za nim. Nie chciałem ujrzeć go w charakterze nieboszczyka. Zaczęło się ściemniać. Przeniosłem się od mojego pustego stolika do nakrytego obrusem i dałem znak kelnerowi.

Rozdział 34

Nie wiedziałem, jakie kłopoty mogą mnie czekać w klubie „Cloud 79” Steve’a, toteż nie jadłem zbyt obfitej kolacji. Zamiast tego wlałem w siebie dodatkowo kilka szkockich. Liczyłem się z tym, że zgotują mi jakieś bycze przyjęcie. Doszedłem do wniosku, że mógłbym rozłożyć pięciu. Ale nie dziesięciu. Żeby rozłożyć dziesięciu, potrzeba by Raya Nietschke albo Mean Joe Greena. W teczce miałem wprawdzie pałkę ze spłaszczoną końcówką, lecz nie wziąłem jej ze sobą. To był precyzyjny instrument. Nie chciałem używać go przeciw hipisom. Podczas beładnej bijatyki bardzo łatwo można nim kogoś zabić.

Dorożka sprzed tawerny Dmitriosa wysadziła mnie na skraju ścieżki prowadzącej do klubu. Ścieżka wiodła między drzewami po skalistej odkrywce i wychodziła na mały płaskowyż poniżej budowy. Kopyta koni i koła dorożek ubiły tu teren, tworząc placyk mieszczący z pół tuzina bryczek. Ogłuszający grzmot rocka słychać było co najmniej w hotelu „Xenia”.

Było to znakomite miejsce na klub pod gołym niebem. Z małego płaskowyżu, ponad zasłoną drzew, rozciągał się widok na morze i okoliczne wyspy oraz na Glauros na kontynencie.

Niewiele tam jednak zrobiono. Przypuszczałem, że Steve zgarnia pieniądze Kronitisa dla siebie. Wzniesiono tylko trzy baraki z dykty, kryte papą, i rozciągnięto między nimi rozklekotaną siatkę. Żeby się dostać do środka, trzeba było zapłacić. Zapłaciłem. Kiedy wręczałem sześćdziesiąt drachm, długowłosa na bramce obrzucił mnie zaskoczonym, twardym spojrzeniem. Uśmiechnąłem się i puściłem do niego oko.

Urządzenie wnętrza było równie tandetne. Wypaczony parkiet do tańca, zmontowany z kilku części, sklecono z wyrzuconych przez kogoś desek. Stoliki i krzesła, również wyrzucone z kafejek i tawern w miasteczku, sprawiały wrażenie, jak gdyby korzystanie z nich było co najmniej ryzykowne. Mimo to - a może dzięki temu - klub prosperował znakomicie i zdawało się, że klienci za nim przepadają. Siedziało tam mnóstwo młodych miejscowych Greków, mnóstwo bogatych dzieci urlopowiczów oraz mnóstwo turystów z Aten. I oczywiście mnóstwo hipisów z budowy. Wielu z nich tańczyło boso na ubitej ziemi wokół parkietu.

Jak się spodziewałem, wieść o mojej wizycie dotarła tam przede mną. Przekazał ją chłopak na bramce. Na mój widok wśród hipisów na parkiecie i przy stolikach przeszła fala ponurego gniewu. Inni - miejscowi i bogate dzieciaki - nie zwrócili na mnie uwagi. Usiadłem

przy zardzewiałym stoliku i nie bacząc na nic, zamówiłem szkoocką. Nie spodziewałem się, że będzie inaczej.

Dookoła widziałem wiele znanych mi twarzy. Steve i Diane siedzieli przy uprzywilejowanym stoliku służbowym. Był z nimi krótkowidz Chuck. A także Georgina Taylor. Kiedy mnie ujrzała, w jej zapadniętych oczach pojawił się niepokój, starała się nie patrzeć w moją stronę. Tuż obok nich siedziała Słodka Marie z Powolnym Johnem, a z nimi Jason, paryski „gwiazdor”, tak nawalony haszem, że spadał ze stołka. John i Marie wciąż musieli go podtrzymywać. W sąsiedztwie siedział brodaty Pete Gruner, jak zawsze uśmiechnięty.

Prowadząc na parkiet jakąś hipisiastą dziewczynę, Gruner przystanął koło mnie i przywitał się z sardonycznym uśmiechem.

- Nie przysiądę się. - Znów uśmiech. - Sam rozumiesz.

- Jasne - odparłem i też się do niego uśmiechnąłem. Przystojny gość, ten Gruner. Wstyd, żeby coś mu się miało przytrafić. Teraz jednak nie mogłem się tym przejmować. Wychyliłem resztę whisky i zamówiłem następną.

Kiedy składałem zamówienie, Steve wstał i podszedł leniwie. Błyskiem niebieskich oczu zatrzymał kelnera.

Za nim Chuck także wstał od stolika, lecz Diane przytrzymała go za poły koszuli. Najwyraźniej kazano mu się nie wtrącać. Dziewczyna próbowała skłonić go, żeby usiadł, on jednak się opierał.

Tutaj, we własnej knajpie, Steve roztaczał widoczny autorytet. Zrozumiałem, co Marie miała na myśli mówiąc, że on ma dryg. Tyle że prezentował to w sposób ciut za bardzo oczywisty.

- Wolałbym, żeby pan nie zamawiał drugiej kolejki.

Podniosłem na niego wzrok.

- Tak? Bo co? Chcesz powiedzieć, że mi stawiasz?

- Nie. Proszę, żeby pan wyszedł.

Wydąłem wargi.

- A jak nie zechcę, to co?

- Bez trudu mogę kazać pana wyrzucić.

Potoczyłem wzrokiem po wszystkich hipisach w sąsiedztwie. Jeden po drugim spuszczaali oczy pod wpływem mojego spojrzenia.

- Nie sądzę. Nie sądzę, żebyś miał dość ikry. W każdym razie nie obejdzie się bez takiej rozróby, że ci zamkną tę budę. Tylko czekają na pretekst, żeby ci przysolić, frajerze. -

Odwróciłem się do kelnera, jeszcze jednego młodzika z budowy. - Hej, ty! Młody człowieku! Podaj mi butelkę szkockiej.

Kelner spojrzał na Steve'a.

- Powiedz mu, żeby nie podawał - rzekłem. - No, dalej.

Steve wpatrywał się we mnie bez wyrazu, niesamowitymi, naćpanymi oczyma.

- No, dalej - zachęciłem go.

Patrzyłem, jak bieleją kostki jego dłoni, którą opierał się o blat stołu. Przez dłuższy czas Steve ani drgnął. Następnie powoli opuścił powiekę, mrugnięciem sygnalizując kelnerowi, że się zgadza.

Kelner raptownie skinął głową i odszedł do baru.

Uśmiechnąłem się do Steve'a szeroko.

- Czemu nie siadasz? Zdejmiesz ciężar z nóg, a przy okazji zachowasz trochę twarzy.

Opadł na jedno z krzeseł przy moim stoliku. Za jego plecami Chuck podniósł się z miejsca powolnym, świadomie złowróżbnym ruchem. Chciał przysiąc na drugim wolnym krześle.

- Ty nie - powiedziałem. - Nie będziesz siedział przy moim stole, „cztery oczy”.

Nagle przypomniało mi się to przezwisko z dziecięcych lat. Wtedy była to najgorsza obelga, jaką można było obrzucić chłopaka, który nosi okulary. Nie sądziłem, żeby w ciągu jednego pokolenia zaszły jakieś istotne zmiany.

Zareagował tak, jak na to liczyłem. Jego kolosalne, powiększone przez szkła oczy zasnuła dzika, szalona, płomienista czerwień. Bąbelki śliny zebrały mu się w kącikach ust. Zgarbił się, pochylając do przodu, i rozdarł się na mnie przenikliwym falsetem, który już kiedyś słyszałem:

- Nie muszę tego wysłuchiwać od ciebie, ty nędzny pomocie! Rozkwaszę ci gębę! Zęby ci powybijam! Wyłupię ci gały! Nie zostawię ci jednej całej kości!

Patrzyłem na niego w milczeniu, lecz złączone stopy podciągnąłem pod siebie. Obejrzałem go sobie od stóp do głów, ale nie był uzbrojony, jeśli nie liczyć kursu karate, czego, rzecz jasna, gołym okiem nie widać.

Zanim któryś z nas zdążył się poruszyć, Steve zerwał się na nogi, stanął przed Chuckiem i szturchał go w pierś, odpychając do tyłu.

- Spokojnie. Tylko spokojnie.

- Każ mu odejść i usiąść - odezwałem się zimno. Ale szalona żądza mordy, którą widziałem w oczach Chucka, sprawiła, że łomot serca dudnił mi w uszach. W każdym razie

sprawdziłem to, co chciałem sprawdzić. Był w pełni zdolny do tego, o co go posądzałem. Zwłaszcza jeśli mu odpowiednio ubliżyć. A Girgis był niedościgniony w ubliżaniu hipisom.

- Słyszałeś, co on powiedział - rzekł Steve. - Wracaj i usiądź z Diane. Zajmij się nią pod moją nieobecność.

- Nie muszę! - wyszeptał Chuck. - Nie muszę tego wysłuchiwać!

- Jazda - rzucił Steve. Powoli odpychał go ode mnie. Wkrótce Chuck odwrócił się i odszedł. Nie wrócił jednak do stolika Diane, lecz wyszedł przed barak, minął siatkę i zniknął w ciemnościach nocy.

- Gdzie on poszedł? - zapytałem. - Po tę swoją maczetę?

- Pan dużo myśli o tej maczecie - rzekł Steve. Usiadł z powrotem, uśmiechnął się i potrząsnął głową. Ale jego twarz zbladła pod opalenizną.

- O maczecie? Co za maczeta? Nic nie wiem o żadnej maczecie.

- On by panu dał radę i bez niej - stwierdził Steve poważnie. - Jest twardy.

- A poza tym szalony. Istna pluskwa.

- Rzykujesz pan niewąsko.

- Widać mnie to rajcuje - odparłem. - Bo tak naprawdę to mam to gdzieś, i lubię się bić. Zwłaszcza z gówniarzami, co znają karate.

Steve spojrział na mnie z hamowaną, niemniej widoczną nienawiścią.

- Pan wszystkich tak traktuje?

- Nie - odrzekłem z uśmiechem. - Tylko nielicznych wybrańców. Nadszedł kelner z zamówioną butelką. Postawił ją na stoliku razem z dwiema szklankami. Zrobił to mało delikatnie. Był wściekły, jak oni wszyscy.

- Już samo przyjście tutaj było ryzykowne, wie pan chyba.

Nalałem sobie whisky. Potem nalałem jemu. Nie tknął swojej szklanki.

- Doszedłem do wniosku, że nie pozwolisz swoim kumplom pobić mnie we własnej knajpie.

- Nie, ale nie odpowiadam za to, co się stanie, jak pan wyjdzie za siatkę.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

- Oczywiście, że nie.

- Mógłby mi pan wyjaśnić, skąd pan wiedział, że nie ma go w St Friday?

Pożyczyłem sobie zdanko od Pekourisa.

- Ma się swoje sposoby. Na zdobywanie przeróżnych informacji. Dlaczego mi go nie przyprowadzisz? Chciałbym z nim pogadać.

- Czyś pan oszalał? Po tym, co mu pan powiedział? Sam niech go pan sobie przyprowadzi. Jeżeli panu na tym zależy.

Uśmiechnąłem się.

- Nie, chyba nie. Nie chcę więcej nadużywać szczęścia, kręcąc się tak samemu po nocy. Zdaje się, że i tak go nadużyłem przychodząc tutaj.

- Bez dwóch zdań.

- Nie rozumiem, jak ty to sobie wyobrażasz. Wy dwaj jesteście głównymi podejrzanymi o dokonanie morderstwa. Powinniście wybrać się na policję i udowodnić, że jesteście niewinni.

- Po mojemu jak się gada mało, wychodzi się cało. Ma się paru przyjaciół.

- Na przykład tego twojego współnika?

- Na przykład.

Nie pozbawiłem go złudzeń.

- Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Myślę, że prawdopodobnie zrobiliście to wspólnie, we dwóch.

To go ruszyło. Po raz pierwszy. Nie podobało mu się, że choćby tyłku ktoś taki jak ja myśli w ten sposób.

- A nie przyszło panu czasem na myśl, że może obaj jesteśmy niewinni?

Wyszczrzyłem do niego zęby.

- Myślałem o tym. Ale nie dałbym za to złamanego grosza.

- Pan należy do tych, którzy instynktownie nienawidzą każdego stylu bycia innego niż swój własny, panie Davies.

- Tak ci się zdaje, co? Mnie jednak interesuje, co zamierzasz zrobić? Nie możesz go ukrywać. Nie tutaj.

- A kto mówi, że muszę go ukrywać?

Wzruszyłem ramionami.

- Nikt. Tyle że on sam nie dotrze do Aten i nie załapie się na samolot.

- Są jeszcze inne sposoby.

- Jasne. Jeżeli zwieje - i nawet przedostanie się do Turcji jakąś łódką - to Interpol w ciągu dwóch dni roześle jego zdjęcia po całej Europie i Bliskim Wschodzie. Chcesz, żeby musiał się ukrywać na Bliskim Wschodzie? Wątpię, żebyś miał tam aż takie stosunki.

- Teraz mam już pieniądze.

- W pięć dni okradliby was co do grosza. Nikomu byś nie mógł zaufać. Ty nigdy nie żyłeś wśród prawdziwych mętów. Ja tak. Tam nie masz co liczyć na przyzwoitość.

- Mamy szczęście, że policja pana nie wynajęła, prawda? - powiedział Steve i wstał. Spojrzałem na niego z rozbawieniem.

- Powiedz mi jedną rzecz, czy wszyscy hipisi są podobni do was dwóch? Gdzie ten cały pokój i miłość bliźniego, o których tyle słyszałem?

- My wychodzimy do ludzi. Ale nieczęsto nas akceptują.

- Więc zaczynacie walić na odlew. Jak wszyscy, co? Tak jak ja. Czy jest jakaś różnica? - Rozejrzałem się po sali. Zobaczyłem tylko ponury gniew. - Powiedzieć ci, co myślę? Myślę, że jesteście hipokrytami. Wszyscy. Ci tutaj też. Odrzuć te długie włosy i zwariowany strój, a okaże się, że jesteś tylko drobnym kanciarzem, który sprzedaje fałszowaną gorzałę i hasz - znowu się rozejrzałem - bandzie zwyczajnych frajerów, którzy uważają się za innych tylko dlatego, że ich włosy i ubrania są inne. Hipokryci. A ten twój przydupas to zwyczajny łobuz, płatny zbir, goryl, który przypadkiem używa maczety zamiast spluwy.

Dłonie Steve'a, spoczywające na blaszanym stole, zacisnęły się w pięści. Chłopak skinął głową, tylko raz, i odszedł bez słowa. Ale przynajmniej wygłosiłem swoje krótkie przemówienie. Czemu nie, skoro wkrótce i tak miałem za to zapłacić? Sam sobie udzieliłem zezwolenia.

W dzikim nastroju jeszcze raz nalałem sobie z butelki i rozejrzałem się. Hipisi dookoła ponuro odwrócili wzrok. Pozostali - miejscowi i dzieci bogaczy - nie orientowali się nawet, co jest grane. Nie rozumiałem, jak to możliwe. Atmosfera była naelektryzowana niczym pędzona przez burzę chmura, z której nie wystrzelił jeszcze żaden piorun.

Naprzeciwko Słodka Marie wstała od stolika, podeszła do mnie swym zrebięcym chodem i przysiadła się.

- Myślę, że powinien pan wyjść, panie Davies.

- Niedługo wychodzę.

- Proszę, niech pan wyjdzie zaraz. Oni wszyscy pana nienawidzą. Uważają pana za coś w rodzaju gliniarza. Boję się, do czego dojdzie, jeśli pan zostanie.

- Póki tu siedzę, do niczego nie dojdzie - uspokoilem ją. - Dopiero po moim wyjściu się zacznie.

- Niech pan już idzie.

- Przemyślałaś sobie to, o czym mówiliśmy?

- Nie myślałam o niczym innym. Zrobię tak, jak pan radził. Ale - niespokojnie wzruszyła ramionami - nie dostanę pieniędzy od Johna. Nie chce mi dać.

- Więc weź ode mnie. Tak jak mówiłem. Traktuj to jako pożyczkę. Zwrócisz mi, jak się urządzisz w Nowym Jorku.

Na swój jawny, słodki sposób uściśnęła moją leżącą na stole rękę i uśmiechnęła się szeroko.

- Pan naprawdę jest zupełnie niezwykły, wie pan?

- Widzę, że masz na głowie Jasona.

- Wraca do Paryża - powiedziała. - Spłukał się.

- Mam nadzieję, że będzie mógł jeszcze śpiewać, kiedy tam wróci. - Spojrzałem na Jasona. - Nie sądzisz, że w końcu wszystko sprowadza się do pieniędzy?

- Tak jakby. To niedobrze. A teraz proszę, niech pan już idzie.

- Dobrze.

Zatrzymała na mnie przez chwilę zmartwione spojrzenie i odeszła. Nalałem sobie jeszcze jednego, wypilem i zostawiwszy pieniądze na stole, wziąłem butelkę i rozpocząłem odwrót.

Kiedy wstawałem, dwaj hipisi siedzący najdalej ode mnie wymknęli się zza stolika i rozplęnęli w ciemnościach po drugiej stronie parkietu. Uśmiechnąłem się pod nosem, spoglądając za nimi.

Przy stoliku Steve'a zatrzymałem się. Nagłym ruchem rzuciłem mu butelkę. Musiał ją złapać albo pozwolić, żeby upadła i stłukła się.

- Masz - rzekłem. - Prezent.

Czekałem. Steve jednak siedział ze złapaną butelką na kolanach i milczał. Była to z mojej strony dziecinada, lecz chciałem go zmusić do takiej właśnie reakcji. Czując błogi spokój, wyszedłem.

Pozwolili mi zejść poniżej skalistej odkrywki, zanim mnie napadli. Nie miałem pojęcia, skąd się ich tam wzięło aż tyłu. Widziałem tylko dwóch wychodzących. Ale była ich chmara.

Trzech natarło na mnie z boku. Jednego zaprawiłem czysto w podbródek, wyłączając go z obiegu. Drugiego nie trafiłem już w szczękę, za to przyłożyłem mu idealnie w jabłko Adama, co odniosło wcale nie gorszy skutek, bo osunął się na ziemię, charcząc. Trzeci przebiegł obok mnie, nie odwracając się ani nie zatrzymując.

Tymczasem następny wskoczył na mnie z tyłu. Teraz już nacierali zewsząd. Spadali na mnie jak ulegątki. Sięgnąłem do tyłu, złapałem go za koszulę i cisnąłem nim ponad głowę w dwóch innych, którzy nadbiegali z przodu. Wszyscy trzej polecili na ziemię, lecz podnieśli się natychmiast. Tymczasem miałem już na plecach dwóch następnych. Zataszczyłem ich na

ubity parking, gdzie było lepsze oparcie dla stóp i gdzie udało mi się ich strząsnąć. W trakcie tego zarobiłem dwa ciosy w twarz, a sam strzeliłem prawą jednego z nich. Nagle, nie mając nawet takiego zamiaru, wydałem okrzyk. Jak gdyby bojowy ryk. I przyładowałem komuś przede mną. Co jak co, ale mogłem być całkiem spokojny, że nie uderzę żadnego z przyjaciół. Nie bałem się. Bawiłem się na sto dwa. Okrzyk po prostu sam mi się wyrwał. Szczerze mówiąc, miałem z tego uciechę. Odnosiłem wrażenie, że czekałem na to już od dawna, i wtedy jeszcze jeden wsiadł mi na plecy, a jednocześnie następny z nich rzucił się niczym rugbista, chwytając mnie za kolana, i we trzech runęliśmy na ziemię.

Leżąc próbowałem oswobodzić nogi, lecz ten, który mnie podciął, przyciskał mi je piersią do ziemi. Rękami waliłem we wszystko, co tylko znalazło się na wprost mojej twarzy. Czterokrotnie trafiłem w coś. Słyszałem stłumione głosy, krzyczące: „Lej go! Lej go! Łapaj! Trzymaj!” Wszyscy mówili po angielsku, z amerykańskim akcentem.

Podczas jednej z chwil absolutnego spokoju, typowych dla tego rodzaju wolnoamerykanki, zastanowiło mnie to. I trochę zdziwiło.

Ktoś kopał mnie w bok, sypiąc przekleństwami. Pomiedzy ciałami mignęły mi wystraszone, przejęte twarze greckich dorożkarzy, którzy siedzieli na swych pojazdach, zwróceni do mnie. Wtem coś uderzyło mnie w skroń i w głowie rozdzwoniły mi się dzwony, eksplodowały tysiące barwnych świateł, które wirując odpłynęły w ciemne niebo i zgasły niczym zamierające fajerwerki na pokazie ogni sztucznych. Coś ślicznego. Coś przemiłego.

Rozdział 35

Odzyskawszy przytomność, ujrzałem włochate oblicze Sonny'ego Duvala. Klęczał nade mną, delikatnie poklepując mnie po twarzy.

- Zostaw mnie - wymamrotałem. Kiedy poruszyłem szczęką, by się odezwać, przekonałem się, że jest zdrowa i cała. Wobec tego dorzuciłem: - To już nawet zdrzemnąć się nie można?

- Co się stało?

Zignorowałem go i zająłem się oceną rozmiarów strat. Od małego guza tuż nad uchem tętniło mi w prawej skroni. Ramiona i nogi miałem chyba w porządku. Zęby też. Czułem, że twarz mam zapuchniętą jak pierwszej nocy u Chantal, ale krew ciekła tylko maleńką strużką. Lobo Davies, worek treningowy Tsatsos. Płacisz sześćdziesiąt drachm, czekasz na swoją kolej i walisz. Mógłbym pobierać prowizję.

Uderzając sierpowymi, wybiłem sobie ze stawu lewy kciuk. Przy każdym oddechu czułem przeszywający ból w lewym boku. To pewnie rezultat tego kopania, które zapamiętałem, zanim straciłem przytomność.

Z wysiłkiem uniosłem się do pozycji siedzącej i zmusiłem, by odkaszlnąć, chrząknąć i splunąć na ziemię. Nie było krwi w ślinie.

W sumie byłem w całkiem niezłym stanie. Nie skakali mi po klatce piersiowej. Nie skopali mi szczęki. Poczułem do nich coś na kształt sympatii. Żadnych okaleczeń, tylko pocziwy, przyzwoity amerykański ubaw.

- Dorożkarze mówili, że pobiła cię jakaś banda.

Przetoczyłem się na dłonie i kolana, usiłując nie krzywić się z przejmującego bólu w boku. Wsunąłem pod siebie jedną stopę, potem drugą. Sonny podskoczył, by mi pomóc. Odprawiłem go machnięciem ręki.

- Do diabła, co się stało?

Podciągnąłem się na nogi. Szpila przeszywającego bólu w boku na chwilę przyprawiła mnie o zawrót głowy, czułem mrowienie pod włosami. Jeśli coś mi się stało, to złamałem żebro. Ale nic więcej. Nie czułem się w szczytowej formie, lecz z drugiej strony bywałem już znacznie bardziej pobity.

Spojrzałem na Sonny'ego i posłałem mu mój uśmiech numer cztery - twardy, lecz żaloszny.

- Skąd się tu wziąłeś?

- Właśnie przyszedłem. Dorożkarze powiedzieli mi, że leżysz tu w zielsku.

- A, tak. Szczęśliwi dorożkarze. Miejsca na trybunie honorowej. - Spojrzałem na nich. Teraz już stali na ziemi i palili papierosy.

- Powiedz mi, co się stało?

- Nic. Banda hipisów. Sam sobie jestem winny. Zachciało mi się zobaczyć krzepę i jaja, no to mi pokazali. Jeżeli jacyś z nich migają się przed wojskiem, to nie dlatego, że boją się walczyć.

- Buntują się, nie migają - poprawił mnie Sonny. - To nie to samo.

- Jak sobie chcesz - zgodziłem się. - Buntują się. Jestem za bardzo zmęczony, żeby się sprzeczać.

Zapomniałem o moim boku i z wysiłkiem głęboko zaczerpnąłem powietrza. Podskoczyłem i urwałem oddech w połowie.

- Wyjaśnijmy sobie jedno. Nie mam nic przeciwko miganiu się od wojska. Żałuję, że mnie samemu nie starczyło na to jaj. Chciałbym, żeby wszyscy na świecie migali się od wojska, nie tylko Amerykanie. A teraz zostaw mnie samego. Jestem zmęczony.

- Zdaje się, że niespecjalnie się tym przejąłeś.

- Zastanawiam się tylko, czy nie powinienem tam wrócić i golnąć sobie jednego.

- Pójdę z tobą, jeśli chcesz - zaproponował.

- Poszedłbyś, co? Z ciebie jest prawdziwy zabijaka, no nie?

- Jasne. Zdarzało mi się już bić.

- To gdzie ten twój pokój i miłość bliźniego?

- Walka na gołe pięści to co innego niż nieludzka imperialistyczna wojna przemysłowa - oświadczył Sonny.

Zmierzyłem go wzrokiem. Potrafił jak nikt zepsuć nawet najpiękniejszy gest jakimś sloganem.

- To prawda - przyznałem. - Tu akurat masz rację.

- Chcesz tam wrócić? - zapytał.

- Chyba nie. - Spojrzałem na przebijające między drzewami światła.

- Nic by to nie dało. Mam, czego chciałem. Wrócę chyba do domu.

- Chodź, odwiozę cię. - Wyciągnął do mnie rękę.

- Idź do diabła. - Odtrąciłem jego dłoń i skrzywiłem się. - Gdzieś się podziewał przez cały wieczór?

- W domu. Musiałem coś zjeść. Dopiero teraz wyszedłem. Jane, hm... - jakby się zawahał. - Jane nie chciała iść ze mną.

- Jane. Droga Jane. Jak się miewa droga Jane? Idź tam, do swoich przyjaciół.

Jego twarz spochmurniała nieco na moją ironiczną wzmiankę o Jane, ale zapytał tylko:

- Co mam im powiedzieć?

- Co chcesz. Świętuj zwycięstwo razem z nimi. Mnie to nie przeszkadza. - Odwróciłem się w stronę dorożek. - Powiedz im, że Lobo Davies przeżył. - Zamilkłem. - To nie są złe dzieciaki - dodałem. - Przynajmniej w większości. Tylko że ten przyjemniaczek Stevie ich ogłupia. A ja ich celowo rozdrażniłem.

- Przypuszczam, że jutro nie będziesz potrzebował łodzi? - rzekł Sonny.

Uśmiechnąłem się.

- Nie. Raczej nie.

Spoglądał na mnie z zadumą. Kiedy minąłem rząd czekających dorożek, zawołał za mną:

- Nie weźmiesz dorożki?

- Do diabła z nimi. A zresztą, spacer dobrze mi robi.

Wcale nie byłem tego pewny, choć miałem taką nadzieję. W każdym razie spacer powinien mnie rozluźnić. Bok jednak doskwierał mi coraz bardziej. Jak to się mówi, każdy oddech przyprawiał mnie o katusze. Choć prawdę mówiąc, nie było aż tak źle. Bolało, ale nauczyłem się, że jeśli zagłębić się w ból, wnikać weń do wszystkich jego zakamarków, to staje się znośniejszy niż wtedy, gdy człowiek próbuje od niego uciekać, nie odczuwać go.

Do skraju portu miałem mniej więcej milowy spacer. Noc była cicha i spokojna. Chłodniejsze wieczorne powietrze orzeźwiło kwitnące kwiaty, których delikatne zapachy mieszały mi się w nosie. W gruncie rzeczy nie było późno, dochodziła zaledwie dziesiąta.

Dotarłem prawie do końca terenów hotelowych i mijałem właśnie jedną z niezliczonych tu latarni, gdy rozległ się cichy dźwięk przypominający gwałtowny podmuch powietrza oraz trzask i w odległości czterech stóp od mojej głowy kawałek bielonego wapnem muru odprysnął i spadł na ziemię. Nie potrzeba wielkiego doświadczenia, by zorientować się, co to oznacza. Ktoś strzelał do mnie z pistoletu z tłumikiem.

Kolejny świst, kolejny trzask, kolejny kawałek muru odprysnął tuż obok pierwszego, tylko nieco wyżej.

Nie czekałem. Nie unosiłem się honorem. Wystrzeliłem z kopyta przed siebie. Możliwe, że ongiś rozwaga była atrybutem męstwa, lecz teraz, pod koniec dwudziestego wieku, atrybutem heroizmu jest rozgłos. A ja nie miałem pod ręką żadnych dziennikarzy.

Rozległy się jeszcze dwa świsty, jeszcze dwa kawałki wapna odpadły od muru. Wykonałem kilka ostrych skrętów. Nie wiedziałem, skąd dokładnie padają strzały, w każdym

razie gdzieś z terenów przylegających do hotelu „Xenia”. Dobiegłem do rogu i dałem nura w bok.

Wszystkie drzwi i furtki były tu zamknięte, lecz nieco dalej w górę uliczki znalazłem cofniętą bramę i rozpląsałem się w niej przy ścianie.

Tkwiłem tam, a wokół panował kompletny bezruch. Nie widziałem nikogo. Nic nawet nie drgnęło. Wysunięty róg ogrodów hotelowych z ciemnymi zaroślami prawie zachodził na wylot tej bocznej uliczki. Szansę odszukania tam kogoś miałbym mniej więcej takie same, jak w każdej innej dżungli. Zakładając nawet, że mógłbym tam bezpiecznie wrócić - a nie mogłem.

W mroku ogrodów nic się nie poruszyło. Po pięciu minutach zaryzykowałem i wymknąłem się z bramy. Żwawo ruszyłem pod górę, trzymając się muru i przyciskając prawe ramię do boku. Nic się nie stało. Nikt mnie nie śledził. Nikt więcej nie strzelał.

Nieco dalej skręciłem w przecznicę i w zamyśleniu skierowałem się do domu. Skrzyżowania mijałem ze szczególną ostrożnością.

Rozdział 36

W moim przekonaniu cała ta strzelanina zmieniała postać rzeczy. Strzał z odległości dwudziestu jardów zaledwie cztery stopy od głowy to ciut za blisko jak na zwykłe ostrzeżenie. Nasuwał się wniosek, że w grę wchodzi coś poważniejszego, na co jeszcze nie wpadłem.

Czyżby Chuck zbzikował do reszty, zdobył broń i zasadził się na mnie? Było to całkiem możliwe.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy po wejściu do mojego ogrodu przez górną bramę, to jacht „Agoraphobe”, cały zalany światłem w małej przystani, jak gdyby znów się szykował do wyjścia w morze.

Wszedłem do domu i z kubelkiem lodu w rękę poczłapałem po schodach na górę, by sprawdzić, które partie mojego ciała wymagają naprawy. Obejrzałem się w lustrze w łazience, po czym metodycznie zabrałem się do roboty. Okład z lodu na opuchlizny, plaster na skaleczenia. Z biegiem lat nabrałem w tym wprawy. Twarz wyglądała lepiej, niż się czułem. Do rana powinna wyglądać normalnie. Najgorszy był ból w boku, ale i to mogłem przeżyć. Zresztą i tak nic na to nie mogłem poradzić. Może rano namówię Georginę, żeby pomogła mi się obandażować. Powinno ją to mile polectać.

Było jeszcze przed jedenastą. Naprzeciwno lokal Dmitriosa tętnił światłami i gwarem. Ze szklanką w jednej ręce i okładem z lodu w drugiej przeszedłem do sypialni, rozebrałem się do rosołu i zgasilem światło. Następnie stanąłem w oknie i przyciskając okład do twarzy, obserwowałem „Agoraphobe”.

Nie wiedziałem, co tam robią, w każdym razie nie szykowali się do wyjścia w morze. Stopniowo wygaszano światła i wyłączano silniki. Wkrótce usłyszałem wołanie Kirka, stojącego na molo, na co ktoś z załogi zbiegł po trapie, wskoczył do szalupy i ruszył po niego na brzeg. Odłożyłem okład i wziąłem lornetkę Cona Taylora.

Obejrzałem sobie przez nią Jima Kirka nader dokładnie, kiedy szalupa telepała się z powrotem na jacht. Chciałem sprawdzić, czy ma przy sobie broń. Nie miał. A w każdym razie ja jej nie zauważyłem. Następnie przesunąłem szkła na marynarza i doznałem lekkiego szoku.

Przed oczami miałem najbystrzejszego z trzech gości, którzy owej nocy napadli mnie przed domem Chantal. Tego, który odwołał debilowatego blondyna, gdy ten wyciągnął nóż.

Przypuszczam, że miałem w stosunku do niego mały dług wdzięczności. Ale ani mi się śniło go spłacać.

Nie przyszło mi do głowy szukać moich niedoszłych oprawców pośród załogi Kirka. Przesunąłem szkła z powrotem na statek i wśród marynarzy na pokładzie od razu rozpoznałem debilowatego blondyna. Trzeciego z nich - tego, któremu zmiażdżyłem głową nos - nie było widać.

Odłożyłem lornetkę i podniosłem okład i szklankę. Na pokładzie jachtu zgasły światła, a załoga upchała się w szalupie i ruszyła na brzeg. Na statku został tylko Kirk z blondynem. Patrzyłem, jak schodzą włazem dziobowym do kajut załogi, skąd dwa oświetlone bulaje błyszczały ku mnie niczym oczy - jedyne zapalone światła na jachcie.

Z okładem i szklanką usiadłem na łóżku i siedziałem tak przez dłuższą chwilę, rozmyślając. Na dole załoga statku zacumowała szalupę i rozeszła się. Zabawne, że w miasteczku nie spotkałem żadnego z tych trzech.

Dumałem dalej.

W końcu wstałem i pomimo bólu zacząłem się ubierać. Choć wcale nie miałem na to ochoty. Zszedłem na dół, wyciągnąłem z zamkniętej teczki jeden z moich rewolwerów kaliber 0,38 z krótką lufą i włożyłem go za pas pod koszulę. Następnie wyjąłem giętką, spłaszczoną pałkę i schowałem ją do tylnej kieszeni dżinsów. Staromodna była ta moja pałka. Przedkładałem ją jednak nad okrągłe, zbliżone kształtem do maczugi. Była bardziej precyzyjna i trudniej ją było złamać. Tak czy inaczej, miałem zamiar dowiedzieć się, dlaczego ci trzej mnie napadli i na czyj rozkaz.

Gdybym zaś dowiedział się przy okazji czegoś w związku z morderstwem, to tym lepiej.

Rozdział 37

Z tawerny Dmitriososa dochodził gwar, śmiech i brzęk sztućców, a dudniąca z szafy grającej grecka pieśń niosła się ponad wodą. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Molo znajdowało się poza zasięgiem świateł tawerny. Odcumowałem czyjś skif i stojąc powiosłowałem wzdłuż hałaśliwego brzegu w kierunku cichego jachtu. Każde pociągnięcie wiosłami rozpałało nowy ogień pod moim lewym ramieniem.

Nie kierowałem się do trapu. To, co robiłem, było z gruntu nielegalne. Przy rufie złapałem za szpring i przez chwilę stałem w skifie, nasłuchując. Potem przywiązałem go i sztywno, lecz cicho wdrapałem się na rufę, powstrzymując się, by nie jęczeć z bólu.

Drzwi do ogromnej pokładówki były otwarte na oścież. Rozejrzałem się po niej, a następnie cicho zszedłem pod pokład. Znalazłem się w długim korytarzu, mającym z obu stron po cztery pary drzwi. Na przeciwległym końcu, od strony dziobu, zza sięgających do piersi i zasłoniętych od góry drzwi sączyło się światło i dobiegały ciche głosy.

Był to jacht moich marzeń, bez dwóch zdań. Oddałbym niemal wszystko, żeby być jego kapitanem i właścicielem. Z bólu po wspinaczce na rufę czoło miałem zroszone potem.

Nie wiedziałem, czego mogę się tam spodziewać. Z pewnością nie ukrytych zapasów heroiny milionowej wartości, nawet nie haszu. W każdym razie nie bez przerzucenia mnóstwa sprzętu, zrywania podłóg i potężnego hałasu.

Od dziobu nadal dolatywały głosy. Po lewej miałem kuchnię; obejrzałem ją w świetle latarki kieszonkowej. Następnie ruszyłem w stronę dziobu, zaglądając do kabin. Pierwsza po lewej stronie była zamknięta. Zdążyłem sprawdzić dwie następne, gdy naraz rozbrzły światła na suficie i usłyszałem za sobą głos:

- W porządku, stać spokojnie. Nie ruszaj się. Po nic nie sięgaj. - Głos Kirka.

Uniosłem ręce na wysokość ramion i odwróciłem się. Kirk stał u stóp chodów, z podłym uśmieszkiem na ustach i wielkim lugerem w ręku.

- Stephanos!

W zasłoniętych drzwiach ukazał się debilowaty blondyn, znany mi już z pamiętnej bójki. Kirk warknął coś po grecku, zasłona opadła i usłyszałem czyjeś kroki na trapie, a później na pokładzie.

- Powiedziałem mu, żeby nie przestawał gadać - rzekł Kirk, uśmiechając się od ucha do ucha. - Wiesz, co mnie na ciebie naprowadziło? Wyczucie. Zachwiała się równowaga

łodzi. Nie słyszałem cię. Tak jest, proszę szanownego pana. - Był wyraźnie zadowolony z siebie.

Powoli ruszyłem ku niemu. Gdybym tylko mógł się dostatecznie zbliżyć! Ciekawe. W boku wciąż czułem przeszywający ból po wspinaczce na rufę. Nie byłem w najwyższej formie bojowej.

- Po Atenach chodzą słuchy, że wokół Tsatsos kreci się jakiś agent - powiedział Kirk.

Debilowaty blondyn ukazał się za nim na schodach.

- Ani kroku dalej! - parsknął Kirk. - Pozwoli pan, że pana trochę obmacam, panie Lobo Davies.

Poklepał mnie tu i tam, znalazł rewolwer za pasem i wepchnął go za swój własny pasek. Już miał z tym skończyć, gdy nagle obmacał mnie z tyłu i znalazł pałkę.

- Oho. Regularny arsenał. Wybiera się pan na wojnę, panie Lobo Davies?

Schował pałkę do kieszeni i cofnął się.

- Wygląda też na to, że ktoś zrobił sobie z pana worek treningowy. - Wyszczерzył zęby. Znienacka zrobił krok w przód, szybki jak cholera, i zdzielił mnie w szczękę lewym sierpowym. Z wyjątkiem z bólu bokiem wylądowałem na tyłku i przejechałem kilka stóp korytarzem. Usiadłem, potrząsając głową, by odzyskać jasność myśli. - Pan chyba nie jest tym agentem, co, panie Lobo Davies? Wstawaj pan, panie Lobo Davies. Co się stało z pańską twarzą?

- Banda twoich hipiastych klientów chciała mi ją przefasonować - odparłem. Były to moje pierwsze słowa.

- Oni nie są moimi klientami. - Wyglądało na to, że ma zamiar jeszcze raz mi przyłożyć. Zamiast tego sięgnął jednak za siebie i otworzył kluczem zamknięte drzwi, które niedawno próbowałem sforsować. - Wejźmy sobie tutaj. To moje królestwo. Stephanos!

Blondyn poruszył się za moimi plecami. Kirk wszedł tyłem do kabiny, nie spuszczając ze mnie lufy lugera. Niewiele mogłem zdziałać. Blondyn popchnął mnie bezceremonialnie. Wzniciło to nowy ogień w moim boku.

Kabina była niezwykle surowa i pedantycznie czysta. Jedynym sprzętem, oprócz małego biurka i krzesła, była tam koja. Jediną ozdobę stanowiło urocze kolorowe zdjęcie przechylonej „Agoraphobe” pod pełnymi żaglami. Kirk odłożył mój rewolwer i pałkę na półeczkę nad koją i przyciągnął sobie krzesło.

Ale nie usiadł od razu. Prostując się po przeciągnięciu krzesła wzdłuż zewnętrznej ściany kabiny przedłużył ruch ciała, okręcił się i zaprawił mnie z boku lewą ręką w szczękę.

- A teraz gadaj, co robisz na moim statku?

Mimo iż cios nie był wyprowadzony z całą siłą, a ja starałem się go zamortyzować, i tak rzucił mnie w róg koi. Mój bok wysłał mi alarmujące sygnały. Wyprostowałem się, potrząsając głową. Ten kuksaniec odpowiadał mniej więcej dziesięciu ciosom, które zarobiłem wcześniej od hipisów.

- Chcę wiedzieć, czy jesteś tym agentem, o którym słyszałem - rzekł Kirk. - Więc jak?
- Jestem prywatnym detektywem - odparłem. - Na wakacjach.

Szturchnął mnie znowu, w to samo miejsce. Usiadłem na koi. Wiedziałem, że jeżeli mam coś zrobić, to muszę się zdecydować raz dwa. Zacisnąłem zęby z bólu, który przeszywał mi bok, powstrzymując go, nie pozwalając, by mnie opanował, i wstałem.

- Potrafię bić dużo silniej - oświadczył Kirk ze złośliwym uśmiechem. - i tym też mogę cię pomacać - dorzucił podnosząc lugera. - Zostawia ślady jak należy. A jeśli mi się spodoba, mogę cię też zastrzelić. Nikt nigdy się nie dowie. Zawinę cię w łańcuchy, wyrzucę za burtę i nikt cię nie znajdzie. Woda ma tu sześćdziesiąt stóp, nikt w niej nie nurkuje. Za brudno. I nikt nie wie, gdzie jesteś. Nikomu nie mówisz, że się tu wybierasz. No, gadaj. Byle do rzeczy.

- Wątpię, żebyś mnie zastrzelił - powiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to twardo. - Wątpię nawet, żebyś mnie obił pistoletem.

- Wątpisz, co? - Prawie nie podnosząc ręki uderzył mnie ponownie, jeszcze silniej. Znowu poleciałem w róg, tym razem lądując plecami na koi.

Usiadłem, potrząsając głową. Za uszami czułem ów senny szmerek, który zawsze stanowi ostrzeżenie. Czerwono-białe flagi bólu w moim boku znów łopotały na wietrze. Tym jednak razem powstając znalazłem się tam, gdzie chciałem - nieco po lewej i o włos od blondyna, którego debilowatą, ziejącą nienawiścią twarz wykrzywił złośliwy uśmiech.

- Mogę ci to przystawić do skóry, jak będę naciskał spust, i nikt nic nie usłyszy - rzekł Kirk. - Pytałem, co robisz na moim statku.

- Przyszedłem, bo rozpoznałem dwóch ludzi z twojej załogi - odparłem. - To dwaj z trzech facetów, którzy parę dni temu w nocy chcieli mnie pobić. Nie mam zwyczaju puszczać takich rzeczy płazem. Chcę znać powód.

- Chcesz znać powód, co? - parsknął Kirk. Tym razem cofnął pięść dla rozmachu. Niewiele, ale wystarczyło. W ciasnocie kabiny zrobiłem pół kroku w prawo, chwyciłem blondyna i cisnąłem nim w Kirka. Cios ześliznął się po ramieniu chłopaka. Popchnąłem go jeszcze silniej. Miałem wrażenie, że mój bok wrzeszczy wniebogłosy. Ale obydwaj przewrócili się splątani na koję, luger zaś uwiązał pomiędzy ich ciałami.

Kiedy się szamotali, przykopałem chłopakowi z całej siły w kość ogonową, wbiłem mu lewe kolano w krzyże i oparłem się na nim, jednocześnie ściągnając z półki nad koją swój rewolwer i pałkę. Cofnąłem się.

- Rzuć go - powiedziałem. - Chcę słyszeć, jak spada na podłogę.

Podczas gdy to mówiłem, chłopak podciągnął stopy pod siebie i wystrzelił w górę, odwracając się. Kopniak w kość ogonową musiał go nieźle zabołec, w oczach miał łzy bólu. Poczulem się świetnie. Wręcz znakomicie.

Gdy się odwracał ku mnie, rąbnąłem go pałką w prawy nadgarstek. Osunął się na podłogę, niańcząc bezwładną rękę. Luger spadł na pokład ze stukiem.

Zgarnąłem go, wyprostowałem się i wsadziłem go sobie za pas. Chłopak znów rzucił się na mnie z podłogi. Tym razem rąbnąłem go silnie w lewy bark. I znów się osunął, ze sparaliżowanym lewym ramieniem. Po chwili usiadł i położył ręce na kolanach.

Czułem, że tymczasem Kirk zbiera się na koi do ataku. Wysoki czy nie, teraz wyglądał jak prawdziwy olbrzym. Wyszedłem mu naprzeciw, celując w niego z mojej małej trzydziestki ósemki.

Spodziewał się ogłuszenia, ale nie chciałem pozbawić go przytomności. Uderzyłem go w kark po lewej stronie, w miejscu, gdzie szyja łączy się z czaszką. Usiadł na koi, z zamglonym wzrokiem, otwartymi ustami i wywalonym na wierzch językiem.

- Jakie to uczucie? - zapytałem.

- Dzięki, żeś mnie nie skaleczył - powiedział otepiałym głosem. Po takim ciosie każdy inny facet byłby nieprzytomny.

- Spierdalaj. Nie ma za co dziękować. - Cofnąłem się i oparłem plecami o ścianę.

- Nielicho ryzykujesz - stwierdził Kirk z koi.

- Wcale nie. Byłeś na przegranej pozycji. Nie chciałeś mnie zastrzelić. Gdybyś mnie choćby skaleczył, twoja reputacja raczej by na tym nie zyskała. Pokazałbym to Pekourisowi.

- Myślisz, że on by ci pomógł, co? - rzucił Kirk głucho. Zwróciłem uwagę na to przejęzyczenie, jeżeli to było przejęzyczenie.

Może tak, a może nie. Może powiedział to celowo. Zaparłem się nogami i przycisnąłem plecy do ściany, licząc, że ból w moim boku trochę zelżeje.

- No, to może sobie teraz porozmawiamy?

Kirk ospałym ruchem głowy wskazał blondyna.

- Przy nim nie lubię za dużo gadać.

Spojrzałem na chłopaka.

- On chyba nie zna angielskiego?

- To szczur lądowy z Pireusu. Z nimi nigdy nie wiadomo. Może znać angielski na tyle, żeby załapać, o czym gadamy.

- Załatwię to dla ciebie - stwierdziłem ochoczo. - Z największą przyjemnością. - Przełożyłem pałkę i rewolwer z ręki do ręki, podszedłem do chłopaka i z precyzją chirurga rąbnąłem go tuż za lewym uchem. Dla Chantal pewnie byłoby to straszne. Albo dla Sonny'ego Duvala. Ale nie dla mnie. I nie dla Kirka. Głowa chłopaka opadła jak kamień, bez najmniejszego dźwięku.

Kirk wyszczerzył zęby posepnie.

- Nieźle sobie radzisz z tą pałką.

- Nawet go nie rozboli głowa - powiedziałem. - W każdym razie nie bardziej, niż mnie boli przez ciebie. - Znow przełożyłem pałkę i rewolwer z ręki do ręki. - Na czym to stanęliśmy?

- Mówiłeś, że może byśmy tak pogadali - rzekł Kirk masując szyję. - Moim zdaniem to dobry pomysł.

Znowu zapałem się nogami, przyciskając plecy do ściany. Bok doskwierał mi już jak jasna cholera. Znow czułem mrowienie pod włosami. Twarz Kirka wirowała przede mną.

- Wiesz, że dopiero co ktoś do mnie strzelał?

Uśmiechnął się.

- Naprawdę? Znaczą się, ktoś cię tu nie lubi, he?

- Pewnie tak. I podchodzi do tego cholernie poważnie.

Wyciągnąłem jego lugera i powąchałem lufę. Zapach był słaby, lecz broń niedawno czyszczono. Wyciołem Hoppe'a numer dziewięć.

- To nie z tego strzelano - rzekł Kirk.

- Po pierwsze, chcę wiedzieć, kto stoi za tymi trzema przyjemniaczkami, którzy chcieli mi dołożyć tamtej nocy - powiedziałem.

- Chętnie ci na to odpowiem. Girgis.

- Najłatwiej zwałac na zmarłych. Dlaczego nie spotkałem żadnego z nich w miasteczku?

Wyszczerzył zęby i podparł się na koi. Zaczynał dochodzić do siebie.

- Uznałem, że lepiej dać im parę dni wolnego.

- Gdzie jest trzeci?

- Nie wrócił. Załatwiłeś mu nos jak się patrzy. Wyjmowali mu go z oczu po kawałku.

- Girgis chciał mnie nastraszyć, żebym się odczepił, o to chodziło?

- Taka była ogólna idea. Prosił mnie o to, więc wyświadczyłem mu tę przysługę.

- Poprosił cię, żebyś napuścił na mnie swoich goryli. A ty mu wyświadczyłeś przysługę. Tyle że twój statek tego samego dnia wypłynął wieczorem do Aten. Zanim mnie napadli.

- Zawinałem do najbliższego portu na wybrzeżu, dziesięć mil stąd, wróciłem i zabrałem ich. Szalupą nietrudno wrócić.

- A tej samej nocy zabito Girgisa. Równie łatwo było zorganizować obie te rzeczy za jednym zamachem. Albo mogłeś zrobić drugi kurs szalupą, sam.

- Łatwo, to fakt. Ale ja tego nie zrobiłem. Do diabła, mówiłem ci, że Girgis był moim kumplem. - Uśmiechnął się do mnie.

- Jak słyszałem, tacy z was byli kumple, że ponoć chciałeś przejąć jego handelek.

Kirk potrząsnął głową.

- Nie słyszałeś nic takiego. Kto by mógł tak twierdzić? Nic by z tego nie wyszło. Za często wypływam. Nie znam tych hipisów tak jak Girgis. Do tego trzeba być tu, na miejscu. Na tym polegał jego problem. Sam nie mógł wyjeżdżać tak często, żeby sprowadzać tyle towaru, ile chciał. Więc ja zacząłem przywozić mu go z Aten.

Obrałem inną taktykę.

- Nie przyszło ci do głowy, że ktokolwiek zabił Girgisa, może chce przejąć na siłę wasz interes? I że może jesteś następny na liście?

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie. Nie przyszło mi to do głowy i wciąż nie przychodzi. Nie ma tu takiego, co by był dość silny. No i z haszu nie wyciąga się aż tyle forsy. Kogo to obchodzi? Nikt by nie zaryzykował morderstwa dla czegoś takiego.

Nie mogłem odmówić mu racji, wobec czego zagrałem ostatnią kartę.

- O to chodzi. Właśnie o to chodzi. Zdaje się jednak, że wiązała się z tym także heroina.

- Nic o tym nie wiem - odrzekł Kirk pośpiesznie. - Możliwe, że Girgis sprzedawał herę, ale ja o tym nic nie słyszałem. Nigdy bym się za to nie brał. Dzisiaj heroina to niebezpieczny towar. Za dużo amerykańskich agentów kręci się po Europie. - Spojrzał na mnie z miną świętoszka.

Nie odzywałem się. Marie powiedziała mi wyraźnie, że nosiła niewielkie ilości hery tym, którzy jej potrzebowali, i co więcej, że Girgis tego nie tykał.

- Możliwe, że Girgis sprzedawał herę, ale ja o tym nic nie wiedziałem - powtórzył Kirk.

- A ten twój szef? - zapytałem. - Jak on się nazywa? Kronitis? On też siedzi w tym interesie? „Polaris” także należy do niego.

- Pan Kronitis? Gdyby się dowiedział, że robię w czymś takim jak handel haszyszem, wywaliłby mnie na zbity pysk. Girgisa tak samo. - Mówił tak żarliwie, że pewnie była to prawda.

Badałem go dalej.

- Kronitis musi wiedzieć, że wy dwaj rozprowadzaliście hasz.

- Na miłość boską, nie mów mu o tym! - powiedział Kirk. - Przez ciebie zostanę bez pracy. - Nie żartował.

Obok nas na podłodze blondyn poruszył się i jęknął. Spojrzałem na niego. Zaczynały mi już drzeć nogi, między innymi od zapierania się o ścianę.

- Będę się zbierał. Wygląda na to, że znieczulenie już mu przechodzi. - Uśmiechnąłem się do Kirka. - Chyba że chcesz jeszcze pogadać, to go znowu uśpię.

Nie odpowiedział. Spoglądał na chłopaka, najwyraźniej pogrążony w zadumie. Po chwili potrząsnął głową.

- Ale jedno wbij sobie do głowy - rzekłem. - Nie jestem żadnym agentem. Jestem prywatnym detektywem. Pewien klient wynajął mnie, żebym wykrył zabójcę Girgisa Stourkosa, i właśnie staram się to zrobić. Poza tym nic mnie nie obchodzi.

- Łatwo zgadnąć, co to za bogaty klient - stwierdził Kirk z szyderczym grymasem na twarzy. - Girgis posuwał Chantal von Anders przez ponad rok. Wiem wszystko.

Potrząsnąłem głową.

- Nie zgadłeś. Zresztą i tak nigdy nie zdradzam, kim są moi klienci.

- Ja też chciałbym wykryć zabójcę Girgisa. Chciałbym ci pomóc. Jak ci się zdaje, dlaczego z tobą gadam?

Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem, lecz bałem się, jak na tym wyjdzie mój bok. Przywołałem wspomnienie chwili, kiedy to on trzymał broń, i ciosu, i jego przewagi. Pomogło.

- Powinienem złamać ci tym szczękę - powiedziałem, znowu wyciągając lugera zza pasa. - Ale zostawię ci go w sterówce.

Kopniakiem usunąłem blondyna z drogi, by otworzyć drzwi. Ruch ten przeszył mnie bólem. Uświadomiłem sobie nagle, że gdyby Kirk chciał jeszcze pogadać, chyba bym nie wytrzymał. Otworzyłem drzwi i spojrzałem na nich obu.

- Hej, bez urazy, dobra? - rzekł Kirk masując szyję. - Twardy z ciebie chłop. Uszkodziłeś mi kark.

- A jak ci się zdaje, coś ty zrobił z moją szczęką? - odparłem. - Tak. Zgoda, bez urazy - skłamałem i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Na pokładzie wyjąłem z lugera magazynek i obejrzałem go. Brakowało jednego naboju. Odciągnąłem zamek i do sterówki wyskoczyła łuska. Był naładowany, a jakże. Zostawiłem wszystkie trzy przedmioty w sterówce.

Schodząc przez rufę do skifa myślałem, że chyba nie dam rady. Jedyne, na co było mnie stać, to nie jęczeć na głos. Kiedy wiosłowałem z powrotem, światła tawerny wirowały mi wściekle przed oczami. Zacisnąłem zęby i wiosłowałem dalej.

Przycumowałem skif, spokojnie przeszedłem między roz hulana klientelą tawerny, dotarłem do domu i położyłem się na łóżku. Tej nocy ani Chantal, ani nikt inny nie miałby ze mnie pożytku.

Pobito mnie do nieprzytomności, skopano mi żebra, strzelano do mnie i chybiono, później omal nie zemdlałem od obrywania w szczękę, której w rezultacie nie mogłem nawet dotknąć, wreszcie grożono mi śmiercią. Bez dwóch zdań tego dnia zarobiłem na honorarium od Kronitisa, nawet jeśli nie odkryłem nic istotnego. Co więcej mogło mi się przytrafić?

Otóż mogło mi się przytrafić to, że nie mogłem zasnąć. Przy każdym poruszeniu natychmiast budził mnie ból. Dotykając lewego boku czułem, że jest rozpalony z gorączki.

Spędziłem niespokojną noc, jak piszą w prasie o prezydentach i innych głowach państw. Nikt nie przyszedł spisać z tego relacji.

Rozdział 38

Wszelkie obrażenia mają to do siebie, że kiedy się budzisz następnego dnia, wciąż są tam, gdzie przedtem. Nie znikają. Rano z trudem udało mi się zwlec z łóżka. Rozluźniłem się trochę przy goleniu. Mój bok jednak niemal uniemożliwiał mi poruszanie się. Pokuśtykałem na dół, wlałem w siebie mocną kawę i zszedłem do mieszkania Georginy w suterenie.

- Jak myślisz, potrafiłabyś mi obandażować bok, gdybym ci pokazał jak? - zapytałem.

- Ależ oczywiście. - Była zachwycona. - Co ci się stało?

- Zwykle stłuczenie - odparłem. - Ale trochę to niewygodne.

Con Taylor miał kolekcję plastrów wszelkich możliwych rodzajów i rozmiarów. Wybrałem rolkę dwu i półcalowej taśmy firmy Johnson & Johnson. Podzieliłem ją na kawałki, przyklepiłem je końcami do krawędzi stołu i kazałem jej przynieść do kompletu nożyczki.

- Mój Boże, niezłe cię poturbowali - orzekła Georgina, kiedy ściągnąłem koszulę. Dotknęła moich ramion. - Pan ma bardzo męski tors, proszę pana. Nie oglądałam go jeszcze z tak bliska.

Bawiła ją każda sekunda tej operacji. Stałem na środku pokoju z uniesionymi rękami, niczym jakaś groteskowa łodyga kwiatu, podczas gdy Georgina bzyczała i latała wokół mnie jak koliber wysłany z misją na grządkę malw. Próbowwała wydusić ze mnie coś na temat bójki, ale milczałem jak grób.

Wygląda na to, że kobiety zawsze ochoczo przyjdą ci z pomocą, jeżeli jesteś pokiereszowany; dużo chętniej, niż kiedy nic ci nie dolega. Myślę, że daje im to jakąś przedziwną, tajemniczą i sadystyczną satysfakcję seksualną.

Bez przerwy zasypywałem ją na bieżąco instrukcjami.

- O to chodzi. Nie, najpierw dookoła, bardziej z tyłu. O to chodzi. Trochę niżej. A teraz ściągnij go. Ściągnij z całej siły. O to chodzi. Nie przejmuj się, że mnie zaboli. A teraz go wygładź. Nie przejmuj się wolnymi końcami. Obetniemy je potem. O to chodzi. A teraz przyłóż następny, dwie trzecie nad pierwszym, tak żeby go opasał. O to chodzi. Ściągnij go mocno. - Nie wiedziałem, czy ona orientuje się, że ten rodzaj bandaża służy do opatrywania pękniętych żeber. Nie pytała, a ja jej nie powiedziałem.

Kiedy skończyliśmy, cały lewy bok miałem opatulony niczym mumia, ale prawie natychmiast poczułem ulgę. W lustrze wyglądałem jak praworęczny gladiator szykujący się do wyjścia na arenę. Włożyłem koszulę.

Doszedłem do wniosku, że w tym stanie po krótkim odpoczynku dam radę zrobić niemal wszystko, co miałem do zrobienia. W żadnym wypadku nie zamierzałem zwracać Kronitisowi zaliczki.

Cmoknąłem Georginę w czoło, podziękowałem i wróciłem na górę.

Może z dziesięć minut później Pekouris z rykiem silnika zajechał policyjnym jeepem przed dom. Tym razem był sam. Nie tracił czasu na wstępne ceregiele.

- I to jest według was unikanie rozgłosu? Wdawanie się w publiczne burdy z bandą hipisów?

- Przepraszam - odrzekłem. - Nic na to nie mogłem poradzić. Napadli mnie.

Postanowiłem nie wspominać ani słowem o potyczce z Kirkiem i o strzelaninie.

- Według moich informatorów sprowokowaliście ich do tego stopnia, że chyba tylko święty mógłby się powstrzymać i was nie obić - odparował zimno Pekouris.

- Nie jest to pozbawione racji - przyznałem po chwili.

Fakt, że nie wyskoczyłem z nieodpartą argumentacją, wyraźnie zbił go z tropu. Prawdopodobnie był zbyt przyzwyczajony do europejskiego stylu, który zakłada, że najlepszą metodą obrony jest kontratak.

- Czy chcecie wnieść oskarżenie?

- Nie - odparłem. - Nie pamiętam ich twarzy.

- A na tego hipisa, Steve'a? I na jego lokal?

- To się stało poza jego lokalem. Nie. Chyba że to pan chce, żebym wniósł oskarżenie.

- Wyznaję, że was nie rozumiem, Davies. Nie da się ukryć, że nie odpowiadacie greckim wyobrażeniom o tym, jak winien postępować policjant.

Miałem ochotę mu podziękować.

- Sprawdziłem to, co chciałem. To znaczy, że ten cały Chuck jest szalony. Moim zdaniem na tyle, że może zabić.

- Już wam to mówiłem - rzekł Pekouris. - Wcześniej. Doszedłem do tego metodą dedukcji. Nie musieliście tego udowadniać... No, ale mam dla was wiadomości w tej sprawie, Davies. Dobre i złe.

- To może najpierw te złe - powiedziałem. - Co mówią w laboratorium?

- To jest dobra wiadomość. W naszym laboratorium w Atenach uważają, że z dużym prawdopodobieństwem będą w stanie wykryć i rozpoznać krew ludzką zmieszaną na ostrzu maczety z krwią kozy. Nie są jednak pewni, czy w tych okolicznościach uda im się określić grupę krwi.

- To dobra wiadomość. Zwinie go pan teraz?

- Nie zrobiłbym tego w żadnym wypadku - odparł Pekouris lekceważąco. - Skoro nie potrafiliby określić grupy krwi. Ale teraz to już czysto akademickie rozważania.

- Akademickie? Ja mam to rozumieć?

- Dziś rano dwukrotnie rozmawiałem z Atenami - rzekł Pekouris. - Nie licząc rozmów z laboratorium. Zamykają sprawę. Kazali mi zakwalifikować ją jako niewyjaśnioną i przesłać akta. - Nagle popadł w wyraźne przygnębienie. Bynajmniej nie ze względów moralnych. Był jak pies gończy, którego nagle odciągnięto od świeżego tropu i wzięto na smycz. Zdawało się, że tak jak psa gończego, bolą go szczęki.

- Zamykają sprawę! - powtórzyłem. - Ale przecież upłynęły zaledwie trzy dni! Co u diabła?

- To żadna tajemnica - wyjaśnił Pekouris. - Za dziesięć dni rozpoczyna się szczyt letniego sezonu turystycznego. Wolą uniknąć ewentualnego rozgłosu, a w konsekwencji anulowania przyjazdów. Sezon turystyczny ma dla nas wielkie znaczenie.

Wlepiłem w niego wzrok. Brzuch zaczął mi drgać ze śmiechu. Nie mogłem się pohamować i ryknąłem śmiechem na cały głos.

- Biedny Pekouris! - parsknąłem.

- Wcale nie - odrzekł sztywno. - Jestem jak żołnierz. Wykonuję rozkazy. Nie jest rzeczą żołnierza dociekanie przyczyn. Jego rzeczą jest wypełniać zadania i umrzeć.

- Nie widziałem tego filmu. Ale czytałem książkę.

Zmarszczył tylko brwi.

- Jeśli mam być szczerzy, całkowicie się z nimi zgadzam. Sezon turystyczny jest dla naszego kraju bez porównania ważniejszy niż zabójstwo jakiegoś drobnego przemytnika haszyszu. W tej chwili krążą już pogłoski, że to wcale nie człowiek zginął w ogrodach „Xeni”, lecz udomowiona przez kogoś biała, nie owłosiona małpa z Ameryki Południowej. A chłopiec, który ją znalazł, dał się wyprowadzić w pole.

- To pan rozgłasza te bzdury? - spytałem.

Mrugnął do mnie i zacisnął grube wargi.

- To spowoduje zamieszanie. Zasjeje wątpliwości. Tę wersję rozgłasza się już od rana. Do wieczora dwie trzecie ludzi na Tsatsos uwierzą, że nie było żadnego morderstwa. Pozostałej jednej trzeciej i tak to nie obchodzi.

- Niedobrze, że Girgis był tak znany - stwierdziłem sucho.

- Tak. Ale nic się na to nie poradzi.

- Biorę pieniądze za to, żebym wykrył zabójcę - rzekłem.

Pekouris oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

- Otrzymałem polecenie, żeby kazać wam przerwać śledztwo. Zmierzyłem go wzrokiem.

- Pan wie, że tego nie zrobię.

Kiwnął głową.

- Nie macie wyboru. Zostałem upoważniony, by wsadzić was do samolotu i wydalić z Grecji, jeżeli nie usłuchacie. Dla pewności jeszcze dziś rano zamawiam rozmowę telefoniczną z panem Kronitsem. To oficjalnie; oficjalnie macie zaprzestać wszelkich działań związanych z tym morderstwem.

- To już, dzwoń pan do niego.

- Właśnie mam taki zamiar.

- Gadaj zdrów - rzekłem i uśmiechnąłem się do niego szeroko. - Ty i ja wrogowie, Pekouris. - Wydałem wargi. Wszystko to brzmiało jak dialog z filmu z Dickiem Tracy. Ta pogłoska o nie owłosionej południowoamerykańskiej małpie kompletnie zbiła mnie z nóg.

- Nieoficjalnie - ciągnął Pekouris, rozglądając się, czy nie ma w pobliżu gospodyni - nieoficjalnie moglibyście jednak coś zrobić. Tak między nami kolegami.

- Niby co? - zapytałem, choć byłem przekonany, że i tak już wiem.

- Gdybym mógł dostać w swoje ręce tę maczetę - powiedział z uśmiechem. - W ten czy inny sposób. Gdybym ją mógł zbadać, a badania wypadłyby pomyślnie, to całkiem możliwe, że udałoby mi się nadal prowadzić tę sprawę. Myślę, że mając taki dowód, zyskałbym poparcie Aten. Ale, rzecz jasna, sam nie mogę jej skonfiskować. - Wyglądał w tej chwili jak libański bankier.

- Pan prosi, żebym ją dla pana ukradł?

- O nic was nie proszę. Nic nawet nie sugeruję. Jeżeli powiecie, że to zrobiłem, to...

- Wiem. Zaprzeczy pan. Do diabła, Pekouris, nie mogę tego zrobić. Idąc tam jeszcze raz, narażałbym się na śmierć. Młodsze pokolenie zapatruje się na mnie wyjątkowo pesymistycznie. Widział pan, co ze mną zrobili wczoraj w nocy.

- Przyznam otwarcie, że miałbym się czym pochwalić w Atenach - rzekł z uśmiechem.

- Założę się.

- Nie wam przypadłoby zaszczyty. Ale mielibyście satysfakcję z dobrej roboty.

Zanim zdążyłem go wyśmiać, uniósł ręce i przechylił na bok głowę niczym postać z *Kupca weneckiego*.

- Ale o nic was nie proszę.

- Odwołuje się pan do mojego sumienia? Kiepski z pana znawca ludzkiej natury. Wiadomo wszem i wobec, że takowego nie posiadam.

- Tak. Ale nadal chcecie brać pieniądze od Kronitisa.

- Ze wszystkich makiawelicznych, lewentyńskich, środkowoeuropejskich - musiałem przerwać - szwindlarzy... - Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. - Niczego nie obiecuję, Pekouris.

- Nikt was o nic nie prosi. - Odepchnął się od ściany i poprawił granatowy garnitur. - Ale pamiętajcie, jakkolwiek rozgłos związany z wami, jedno słówko o tym, że śledzicie tych chłopaków czy w ogóle kogokolwiek, jedno jedyne, a... - zawiesił głos i dźgnął kciukiem w kierunku roziskrzonego horyzontu, widocznego przez otwarte drzwi za zacienioną werandą i skąpaną w promieniach słońca przystanią. - Za parę dni spodziewam się wyjechać do Aten w sprawach służbowych. Na dłuższy czas.

- Rozumiem.

- Jeżeli cokolwiek ma się wydarzyć, to koniecznie przedtem.

Wyszedłem na werandę, by jeszcze raz przyjrzeć się, jak odjeżdża. Korpulentny, barczysty, lubił sobie zjeść, ten Pekouris. Dosiadał swojego jeepa jak ongiś dosiadało się rumaków i pędził nim drogą w ten sam sposób.

Wróciłem do salonu.

Z nie lada próżnością obnosił się ze swą działką władzy, inspektorek, i korzystał z niej bez skrpułów, gdy tylko mógł. A kiedy nie mógł, gotów był przełknąć ją pokornie. Był uosobieniem, żywym odbiciem wyobrażenia, jakie narosło we mnie przez pięćdziesiąt lat na temat tego, co znaczy i co jest wart cały gatunek ludzki.

Zestawienie takiego obrazu i pięćdziesięciu lat życia jest raczej przygnębiające. Kto nie potrafi zbyć tego śmiechem, ma ochotę palnąć se w łeb.

Usiadłem i zadzwoniłem do Chantal. W głowie miałem zupełną pustkę. Nie planowałem żadnych machinacji, i nie zamierzałem kiwnąć małym palcem dla Pekourisa.

Ranek był jedyną porą dnia, w której z pewnością można było złapać Chantal. Zostałem ją. Była już jednak umówiona na obiad, po południu na brydża, a wieczorem na kolację.

- Wczoraj nie dotarłem - powiedziałem.

- Wiem wszystko. Znowu wpakowałaś się w bijatykę. Wielki, twardy detektyw prywatny wojuje z garstką dzieci.

Ukłuło mnie to.

- Bili i kopali zupełnie nie jak dzieci - odrzekłem chłodno. - W każdym razie nie przyszedłem.

- Byłeś zbyt posiniaczony i zmaltretowany. Wiem. O niczym innym się nie mówi. Miałam już z pięć telefonów. Wszyscy aż się trzęsą, żeby zadzwonić. Mój nowy chłopak wojuje z dziećmi.

- Zejdź z tych dzieci! - warknąłem ostro. Nastąpiła pełna zaskoczenia cisza. Jeśli chcę, stać mnie na ostry ton. - Chciałem przyjść. A skoro już o tym mowa, to męczy mnie widywanie cię tylko w nocy, kiedy wracasz z proszonych kolacyjek, jakbym był jakimś chłopem na godziny. „Lobo Davies, Usługi Męskie. Czynne całą dobę. Satisfakcja zapewniona”.

Trochę ją to ostudziło.

- To wstrętne, co mówisz. Co prawda nie słyniesz z dobrych manier.

Nie odpowiedziałem.

- Czy na dzisiejszy wieczór masz zaplanowaną jakąś bijatykę? - zapytała nieco mniej sekutniczym tonem.

- Nie - odparłem. - Ale nie przyjdę do ciebie na parę minut nocnego seksu po odprawieniu służby. Chcesz się ze mną zobaczyć, to możemy się umówić na randkę.

- Mogę załatwić ci zaproszenie na kolację. Bez kłopotu. Ale ty nie lubisz tych proszonych kolacji.

- Nie, nie lubię. To za mało.

- No cóż, chcesz, żebym się z tobą gdzieś spotkała?

- Spotkamy się u Georgia - powiedziałem. - W tym lokalu, który nazywacie tańczącą tawerną. Będziesz miała blisko z kolacji.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Zgoda - powiedziała. Kolejna cisza. - Ale lepiej, żebyś tam był, jak przyjdę. Nie zamierzam siedzieć samotnie przy stoliku i czekać na ciebie.

- Jak pani sobie życzy, hrabino - odparłem.

Ustaliliśmy godzinę i rozłączyliśmy się. Przeszedłem przez pokój i zleżłem na kanapie przed kominkiem. Nie wiedziałem, czy w ogóle nadaję się na jakiegokolwiek spotkanie. Nieustające, zajadłe wycie w moim boku umilkło, lecz jego miejsce zajął przepotworny ból zębów, którego korzenie sięgały aż do krocza.

Nie zdążyłem się jeszcze zdrzemnąć, gdy zadzwonił telefon. Wstałem sztywno i poszedłem odebrać. Był to Kronitis.

Pekouris telefonował do niego, to jasne.

Najpierw jednak musiałem przejść przez długie i przygnębiające formalności, do których stary najwyraźniej miał słabość. Najpierw był więc sekretarz, który skrupulatnie sprawdził, czy ja to ja. Potem dopiero stary we własnej osobie i jego powitalne ceregiele.

- I jak pan się powinien zachować, pańskim zdaniem? - zapytał w końcu. Brzmiało to nader ostrożnie.

- Ba, ja tam uważam, że skoro policja odpuściła, pan powinien ciągnąć to dalej - odparłem zirytowany. - Zakładając, że chce pan wyjaśnić to morderstwo. Ale zastosuję się do pańskich instrukcji. Zaliczkę mogę panu zwrócić jutro.

- Nie, nie. Nie, nie. Zaliczka należy do pana. Zawarłem z panem taki układ. - Milczenie. - Jeśli chodzi o resztę, pozostawię to chyba do pańskiej decyzji... Ale Pekouris powiedział, że wyrzuci pana z Grecji, jeżeli nie zaprzestanie pan śledztwa. Nie chciałbym, żeby do tego doszło. Freddy Tarkoff też nie.

- Chciałbym jeszcze trochę powęszyć - rzekłem. - Przez kilka dni. O ile pan się zgadza.

- Nie sądzi pan, że lepiej dać temu wszystkiemu pokój? - I znów zabrzmiało to nad wyraz ostrożnie.

- Tylko wtedy, jeśli mi pan każe.

- A więc dobrze. Aprobuję to. To, o czym pan mówił. Cokolwiek uzna pan za stosowne, panie Davies.

- Wie pan, że wczoraj w nocy strzelano do mnie? - powiedziałem.

Po drugiej stronie usłyszałem szybkie wciągnięcie powietrza.

- Chce pan powiedzieć, że z pistoletu?

- Tak jest. Z prawdziwego pistoletu.

- Czy nie jest to okropnie, hm... profesjonalne?

- Nie wiem. Chybili. Nic panu w związku z tym nie przychodzi do głowy, panie Kronitis?

- Nic. - Przerwa. - Absolutnie nic.

Po czym nastąpiły długie i nad wyraz uprzejme formalności pożegnalne, które można było załatwić w dwóch słowach.

Wróciłem na kanapę i położyłem się. Wreszcie, po kilku szkockich, udało mi się zdrzemnąć.

Na obiad znów zadowolilem się podłą kuchnią starej i przez większość popołudnia snulem się po domu. Bok doskwierał mi za bardzo, by czytanie mogło mi sprawić

przyjemność. Na kolację tradycyjnie zjadłem tłustą breję z jagnięcia. Wyglądało na to, że innych mięs w Grecji nie mają. Moje zęby i szczęki łaknęły już grubej, soczystej polędwicy.

O jedenastej złapałem przed tawerną dorożkę, by pojechać za cypel, do lokalu Georgia.

Rozdział 39

Nie zaglądałem tam od dnia, kiedy zaczepiłem Girgisa. Wyglądało na to, że lokal mnie nie pamięta. Girgisa też nie pamiętał.

Z olbrzymiej szafy grającej dudniły te same greckie piosenki przeplatane fokstrotami.

Było tam mnóstwo greckich turystów. Po pewnym czasie człowiek uczył się ich odróżniać. Zająłem taki stolik, by móc obserwować drzwi, wypatrując Chantal.

Kiedy weszła, musiałem przyznać, że jest piękna. Jej niezbyt długie włosy wydawały się w sam raz na upalną letnią noc. I jak zawsze, znać było po niej klasę. Miała na sobie pomysłowy strój, który u Georgia nie raził, a jednocześnie byłby jak najbardziej na miejscu u duńskiego hrabiego. Z tej odległości, ubrana i z makijażem, absolutnie nie wyglądała na swoje lata.

Dostrzegłem ją wcześniej niż ona mnie. Przypadek zrządził, że mój stolik był ukryty przed jej wzrokiem. Dzięki temu mogłem obserwować, jak zmienia rolę w drzwiach tawerny.

Przypominało to oglądanie aktorki, która otrząsa się i zmienia osobowość przed wyjściem na scenę. Z twarookiej, podejrzliwej, zachłannej Europejki, całkowicie zapatrzonej w siebie, przeistoczyła się w młodą, beztroską, kapryśną zabawkę bogaczy, zbyt wesołą i zepsutą, by pamiętać aktualny stan swojego konta.

Podniosłem się z miejsca.

W trakcie kilku naszych ostatnich rozmów telefonicznych przejawiała tak otwartą wrogość i gniew, że zapomniałem poczucia kręactwa, które ogarniało mnie za każdym razem, gdy stawała przede mną.

- Nie jest to miejsce, które bym sama wybrała, ale nieważne. - Uśmiechnęła się wdzięcznie. - Miło cię widzieć. - Była nieco wstawiona.

Zabrałem swoją szklankę i przenieśliśmy się do stołu w samym rogu sali, skąd mieliśmy widok na zewnętrzne patio, a za nim morze. Księżyc mrugał do nas z wody migotliwą drabiną.

- Ja piję koniak - oświadczyła Chantal.

Zamówiłem dwa.

- Mam dla ciebie nowiny. A potem chciałbym z tobą porozmawiać o paru sprawach - powiedziałem.

Rozglądała się po sali. Zdawało się, że mnie nie słyszy.

- Nie wiedziałam, że zacząłeś się pasjonować greckimi tańcami. Wzruszyłem ramionami i mimowolnie skrzywiłem się z bólu.

- Och. Ty naprawdę jesteś poturbowany.

- Do rana się zagoi.

Spojrzała na mnie wielkimi oczyma.

- Że też jesteś taki głupi. Wszyscy mówią, że cię pobili do nieprzytomności.

Skrzywiłem się.

- Co się boli?

- Plecy - odparłem. - Stłukłem je.

- Czy musimy przejść przez całą tę ceremonię z randką, zanim będę cię mogła zabrać do domu i wziąć w obroty? - zapytała z uśmiechem. - Pewnie tak. Trzeba zaspokoić męską próżność.

- Miło zobaczyć cię od czasu do czasu poza twoim bastionem - odciąłem się. - Powoli zapominam, jak wyglądasz w ubraniu.

Nadał się uśmiechała.

- O! Ty naprawdę jesteś kawał drania. Sam powiedz.

- Skoro tak twierdzisz.

- I za to właśnie kobiety cię kochają. Wiesz o tym i na tym jedziesz. Lobo Davies, kochany drań. Co to za nowiny?

Spojrzałem na żółty księżycowy szlak.

- Może się najpierw przejdziemy?

- Jeśli chcesz. - Wstała.

Wyszedłem za nią na zewnątrz. W tej samej chwili kelner przyniósł koniak. Pokazałem mu gestem, żeby zostawił kieliszki na stole. Na dworze spacerowaliśmy tam i z powrotem po kamiennym patio. Było tam nieco chłodniej. Kiedy się do niej odwróciłem, wyciągnęła ręce i objęła mnie. Naprężyłem się, by się nie krzywić, gdy mnie ścisnęła. A jednak cofnęła się.

- Co to jest? Co masz na boku?

- Plaster. Na plecy. To nic.

- Och, naprawdę, że też jesteś taki głupi. Nawet cię nie będę pytała, po co tam poszedłeś, i co takiego zrobiłeś, że aż doszło do bójki. - Tym razem objęła mnie delikatnie, bez ściskania. Pocałowałem ją. Pod moimi rękami czuła się dobrze, naturalnie, jak gdyby moje ręce należały do kobiety w jej wieku. Nie mogłem jednak wymazać z pamięci pierwszego widoku jej twarzy, w drzwiach.

- Uum, dobrze było - odezwała się, gdy ją puściłem. - Chodź, wracajmy. Chcę się napić koniaku.

Wracając spojrzałem na wodę i zobaczyłem unoszący się na skraju księżycowego szlaku jakiś przedmiot, który wyglądał jak kloc. Fale rzucały nim co chwila o piasek. Nachyliłem się, lecz plecy zbyt mnie bolały, bym miał sobie zawracać głowę oględzinami. Zresztą, w tym roku nie planowałem rzeźbić w wyrzuconym na brzeg drewnie. Wszedłem za Chantal pod dach.

Uniosła kieliszek.

- Więc co to za nowiny?

- Ano, po pierwsze ktoś mnie wynajął, żebym wykrył zabójcę Girgisa. I to za piękną sumkę.

- O, naprawdę? - Przyglądała mi się. Nie była ani trochę zaskoczona. - Któż to taki?

Ogarnęło mnie nagle dziwne przeczucie, że ona wie.

- Nie zgadłabyś za milion lat.

- Kto wie? - Spojrzała na mnie z namysłem. Zdawało się, że rozważa, czy zaryzykować domysł. Jedynym człowiekiem, który mógł jej to powiedzieć, był Kronitis. Oprócz Pekourisa tylko on o tym wiedział. Spuściła wzrok. - Nie, chyba nie zgadnę.

- Spróbuj - zachęciłem ją.

- Nie, nigdy nie zgadnę - powiedziała nie podnosząc wzroku.

Zapisałem punkt dla siebie.

- Po drugie, odkryłem, że Jim Kirk dostarczał herę na Tsatsos.

- Jim Kirk? - Podniosła wzrok, a w jej oczach pojawił się ten wyraz spłoszonej sarny, który już raz widziałem na wzmiankę o Kirku. Zapisałem sobie drugi punkt. - Kapitan „Agoraphobe”?

- Nikt inny - potwierdziłem chłodno. - Ciekaw jestem, czy staruszek Kronitis o tym wie?

- Nie mam pojęcia - odparła Chantal. - Ale wątpię. Moim zdaniem wyrzuciłby Kirka natychmiast. - Odwróciła ode mnie wzrok, wyglądając na dwór. - Czy ten księżycowy szlak nie jest uroczy?

- Wiedziałaś, że stary ambasador Pierson bierze herę? - zapytałem. Zerknęła na mnie z ukosa.

- Z ciebie naprawdę jest wścibski drań. Freddy Tarkoff miał absolutną rację.

- Za to mi płacą.

- Nie masz się czym szczycić. Nikt ci nie płaci za śledzenie biednego ambasadora Piersona.

- Nie powiedziałem nikomu oprócz ciebie. A ty już i tak wiedziałaś.

Podrzuciła ramionami, jak gdyby coś ukuło ją w plecy.

- Dobrze. Zrobiłam to w ramach przysługi dla Kirka. Prosił mnie, bo wiedział o haszyszu i Girgisie. Robiłam to też w ramach przysługi dla starego ambasadora. Ale nie wzięłam za to ani grosza!

- W świetle prawa to żadna różnica.

- Wszystko to wiem. Ale i tak zrobiłabym to jeszcze raz!

- Od jak dawna wiesz o ambasadorze?

- O, od dawien dawna. Wszyscy moi znajomi na wyspie o tym wiedzą.

- Ale jak Kirk na to wpadł?

- Tego nie wiem. Może starszy pan sam do niego poszedł?

Nie próbowałem obalać tego twierdzenia, choć nie trzymało się kupy. Gdyby Pierson osobiście poszedł do Kirka, to ten nie potrzebowałby korzystać z pośrednictwa Chantal. Milczałem.

- Ostatnio w Europie wysychają źródła heroiny, tylu Amerykanów tu węszy - powiedziała Chantal. - Sądzę, że starszy pan miał trudności ze zdobywaniem jej swoimi zwykłymi kanałami.

- Ciekaw jestem, jak to się dzieje, że Kirk zdobywa ją tak łatwo?

W jej oczach znowu pojawił się ten martwy wyraz spłoszonej sarny.

- Najwyraźniej ma w Atenach przeróżne dojścia do przeróżnych rzeczy. Ale jestem pewna, że Leonid Kronitis nic o tym nie wie.

- Też jestem pewny. Czy to jest ta, cytuję, kolejna tajemnica, koniec cytatu, którą ukrywałaś przede mną przez cały czas?

Spojrzała na mnie, jak gdyby nie rozumiała.

- Mogłaś mi o tym powiedzieć - dorzuciłem łagodnie.

Wciąż patrzyła tak, jakby nic nie rozumiała. Potem wypuściła powietrze - długi, długi wydech, który wstrzymywała przez kilka ładnych chwil, zupełnie jakby namyślała się lub podejmowała decyzję.

- Tak. Właśnie tak. Chciałam ci o tym powiedzieć. Chciałam to zrobić tej samej nocy, kiedy powiedziałam ci o haszyszu i Girgisie. Ale nie mogłam znieść myśli, że wmieszam w to biednego ambasadora. Zrobiłabym wszystko, byleby go nie zranić. - Kłamała, znowu.

- Nie martw się, że ja go zranię - wtrąciłem.

- Ale skąd się dowiedziałeś? - zapytała słabym głosem.

Zaczynała mnie irytować. Wszystkie te jej cholerne uniki. Ale przełknąłem to. Chantal najwyraźniej nie wiedziała, że Słodka Marie nosiła od Kirka herę hipisom z budowy, bo inaczej nie zadałaby mi tego pytania. Raz jeszcze podparłem się Pekourisem.

- Ma się swoje sposoby.

- Tak. Tak, nie wątpię - bąknęła Chantal. - Czasami żałuję, że w ogóle przyjechałeś na tę wyspę. Czasami żałuję, że jeszcze tu jesteś. Wyjedź od razu, machnij ręką na resztę wakacji. Kiedy wbijesz w coś zęby, jesteś jak ten cholerny buldog.

- Raczej jak murena - powiedziałem. - Ona nie puszcza nawet jak utniesz jej głowę. Trzeba jej rozwierać szczęki nożem albo śrubokrętem. A w zębach ma jad.

- Ambasador Pierson wpadł w nałóg zażywania heroiny na Dalekim Wschodzie, gdy reprezentował tam swój kraj - rzekła Chantal.

- Jednym słowem, wypadek przy pracy.

- Otóż to.

- I to właśnie jest tak zwana zemsta Wschodu - powiedziałem. - Wykombinowali sobie, że w ten sposób wyrównają z nami rachunki za wszystkie okropności, których od nas doświadczyli. - Uśmiechnąłem się szeroko. - To wszystko spisek Chińczyków.

Patrzyła na mnie bez słowa.

Być może wydawało jej się to zbyt pozbawione skrupułów. Ale zaczynałem pozbywać się skrupułów. Zresztą, jeśli już o to chodzi, ona sama też nie cierpiała na ich przerost.

Nie było jednak okazji, żeby się w to zagłębić. Nie powiedziałem jej więc, że byłem przeciwny wojnie wietnamskiej, już choćby z czysto wojskowych powodów - organizacja zaplecza, trudności z zaopatrzeniem - nie mówiąc o innych przyczynach, jak to, że nie mieliśmy tam żadnych interesów, teraz ani w przeszłości, i że utrzymujemy tam bandycki rząd, który zbija majątek sprzedając nam na boku heroinę, a przy okazji rujnuje naszą gospodarkę.

Nie było okazji powiedzieć jej tego wszystkiego, ponieważ na skraju zewnętrznego patio, nad samą wodą, jakiś mężczyzna zaczął wykrzykiwać coś po grecku. W jego głosie brzmiało usilne ponaglenie.

- *Voitheia!* - krzyczał. - *Voitheia, voitheia!*

Nauczyłem się kilku greckich słów i wiedziałem, że słowo to oznacza ratunek. „Ratunku, ratunku!” - krzyczał Grek.

- *Voitheia! Voitheia!* - rozległo się znowu.

Zerwałem się na równe nogi, zapominając o Chantal. W jego głosie brzmiała nieklamana prośba, i szok. Był to młody chłopak, który minął nasz stół wychodząc z dziewczyną na spacer na patio, tak samo jak my nieco wcześniej. Stojąc widziałem ich sylwetki odcinające się na tle księżycowego szlaku. Mężczyzna kuczał nad samą wodą, kobieta stała cofnięta o kilka kroków.

- Zaczekaj tu - rzuciłem.

- Nie, pójdę z tobą - odezwała się Chantal za moimi plecami. Nie traciłem czasu na sprzeczkę.

Nie wiem skąd, ale wiedziałem co i jak jeszcze zanim tam dobiegłem. Być może sprawił to łańcuch skojarzeń. Morze. Łódź Sonny'ego. Widok niskiej tawerny z pełnego morza. Wtedy to ujrzałem tę postać po raz pierwszy. Wracając znów minęliśmy budynek, lecz czarna postać i mały pływak oddaliły się już o całe mile. Najwyraźniej było to jej prywatne podwórko, ten pas wybrzeża.

To była ona, a jakże. Mężczyzna odwrócił ją twarzą w górę i przekonał się, że nic nie da się zrobić. Miała na sobie kaptur z gumowej pianki i skafander. Maski nie było.

W świetle księżyca na tle czerni jej twarz była tak blada, jak blada może stać się opalona skóra. Bledsza niż kość słoniowa. Przyczyna od razu rzucała się w oczy. W jej ciele nie zostało ani kropli krwi.

Słyszałem za sobą ludzi, którzy biegli tak jak ja. Zapomniałem o moim boku. Przyklęknąłem na jednym kolanie na skraju wody.

Wszystko było jasne. Skafander był lżejszy od wody. Założyła tyle ołowianych ciężarków, że miała odrobinę ujemną wyporność. Po śmierci unosiła się więc o stopę czy dwie pod powierzchnią, dopóki wiatr i fale nie wyrzuciły jej tutaj.

Jej lewa ręka została niemal amputowana na wysokości łokcia, a prawy bark rozcięty aż po szyję. Gumowy skafander nie stanowił najmniejszej ochrony przed tak potężną siłą, jaka uderzyła Marie. Przyjrzałem się ranom uważnie. Wykrwawiła się do ostatniej kropli dużo wcześniej, niż morze wyrzuciło ją na brzeg.

Nic nie dotknęło jej ani nie drasnęło, nie ruszyła jej ani jedna ryba. Przebywała w wodzie na tyle krótko, że nie wystąpiły jeszcze obrzęki. Pomijając rany, leżała na brzegu doskonale jak zawsze. Pomijając, ma się rozumieć, fakt, że nie żyła.

- O nie - usłyszałem za sobą jęk Chantal. - O nie!

W świetle księżyca lakier na paznokciach wypielęgnowanych palców wydawał się czarny w zestawieniu z białą skórą. Zebrało mi się na mdłości. Nie było nic, nic takiego, co mógłbym dla niej zrobić. Miałem wrażenie, że żołądek wymknął mi się spod kontroli.

Za sobą słyszałem narastający pomruk innych głosów. *Karcharias, karcharias* - szeptali niektórzy. Rekin, rekin. Obejrzałem się, szukając potwierdzenia u Chantal. - Rekin - powiedziała. Skinąłem głową i jeszcze raz spojrzałem na rany i całe jej ciało. Mylili się. Wiedziałem lepiej. Widziałem, jak gryzie rekin. Żłobione zęby rekina są ostre jak brzytwa. No i żaden rekin na świecie nie zostawiłby ofiary, której nie zjadł.

Marie uderzyło coś ciężkiego, o tępych krawędziach, co obracało się ze znaczną prędkością. Na przykład śruba łodzi. W dodatku uderzyło ją to nie jeden raz, lecz dwukrotnie. Łódź prowadzona przez kobietę lub mężczyznę, która uderzyła Marie, zawróciła i najechała na nią ponownie. Ona nie zginęła w wypadku. Została zamordowana.

Wstałem i odszedłem. Mokra nogawka spodni objęła mi się o gołe nogi. Woda chlupotała mi w butach. Zarejestrowałem nagły przebłysk wspomnienia jej postaci, kiedy wchodziła nago do wody na plaży hipisów, i znów ogarnęły mnie mdłości. Te ciężkie, spiczaste piersi i szczupłe, okrągłe pośladki. Ten piękny, pełen życia chód.

Przez całe życie wszyscy ją wykorzystywali. Wykorzystywali i oszukiwali ją niemal wszyscy, z którymi miała styczność. A teraz ktoś wykorzystał ją i oszukał w ostateczny, najgorszy z możliwych sposobów.

A ja się martwiłem, że spotka to Pete'a Grunera.

- Może lepiej odwieź nas do domu - usłyszałem za sobą cichy głos Chantal.

- Tak. Chodź.

Ano, właśnie zaoszczędziłem kilka tysięcy dolarów zaliczki Kronitisa - pomyślałem, posyłając Chantal blady, gorzki uśmiech.

Nad wodą jakiś nadęty człowieczyna z brzuchem jak bania przejmował sprawę w swoje ręce. Gestykulując odsunął gapiów i zwrócił się do dwóch potężnych rybaków, którzy posłusznie weszli do wody, by wyciągnąć dla niego Marie.

Poczułem nieprzepartą ochotę, by wrócić, zdzielić go w nadęte brzuszysko i złamać mu szczękę.

- Chodź - powiedziałem. - Idziemy.

- Nic nie możemy zrobić.

- Nic - przytaknąłem. - Nic a nic.

Minęliśmy komendanta policji i dwóch jego młodych podwładnych. Taszczyli nieodłączne nosze i koce. Komendant skinął mi głową. Zaczął się do mnie nawet uśmiechać ostrożnie, odkąd Pekouris mnie zaakceptował.

Pomyślałem, że jego zdaniem odwalam tu pewnie byczą robotę, kręcąc się po okolicy i wynajdując mu zwłoki.

Rozdział 40

W dorożce milczeliśmy. Byłem w stanie zbliżonym do szoku. Chantal miała dość wycucia, by zdawać sobie z tego sprawę, i nie otwierała ust.

Nie mogłem pogodzić się z tym, co stało się z Marie. Nie mogłem przejść nad tym do porządku. Trwałem w tym stanie skrajnego niedowierzania, kiedy człowiek próbuje odtworzyć rzeczywisty przebieg wypadków. Kiedy chce się, by wydarzenia, które już minęły płynąc z prądem rzeki czasu, ułożyły się w inny wzór, kiedy chce się doprowadzić je do innego zakończenia, które także odpłynęło już w nieodwracalne. Nazwałem to bluesem *Gdybym tak...*

Gdybym tak wypłynął z nią, gdy...

Gdybym tak nie dał się pobić i nie został...

Było to bezowocne. Ale nie mogłem się z tego otrząsnąć. Brakuje ci słów, gdy walisz w ceglany mur rzeczywistości, która minęła. Nie kończysz zdań.

W domu Chantal postawiła pełną butelkę brandy na wypolerowanym ciężkim stole w kamiennym salonie.

Uśmiechnąłem się do niej głupkowato i rzekłem:

- Dzięki, ale ja wracam do szkockiej. Lepiej mi idzie przy tankowaniu na dłuższą metę.

Nalała sobie i wychyliła szybko dwa kieliszki, po czym wyciągnęła butelkę whisky i cichutko postawiła ją obok brandy.

- A masz zamiar tankować na dłuższą metę?

- Rozumiesz chyba, że została zabita? - powiedziałem. - Zamordowana?

Wytrzeszczyła na mnie oczy. - Nie, nic takiego nie rozumiem.

- Nie zaatakował jej żaden rekin - wyjaśniłem. - Zaatakowała ją łódź. Która zawróciła i przejechała ją po raz drugi - prawdopodobnie gdy szamotała się w wodzie z amputowaną, czy prawie amputowaną ręką. Tą, którą wyrzuciła obronnym ruchem w górę, żeby odparować pierwszy cios. Prawdopodobnie zobaczyła, że nadciąga drugi atak, i udało jej się szarpnąć głową w bok i zejść z drogi, ale w trakcie tego wpakowała bark w śrubę łodzi.

Chantal nie odezwała się ani słowem.

- Tak to wygląda zebrane do kupy - dorzuciłem. - Sądząc z wszelkich oznak.

- Boże - powiedziała z długim westchnieniem.

Po chwili odstawiała kieliszek i podniosła butelkę brandy tak, jak gdyby była dla niej za ciężka.

- Jesteś pewny, że to była Łódź?

- Nie ulega wątpliwości.

- I jesteś pewny, że wrócili i przejechali ją po raz drugi?

- To też nie ulega wątpliwości. Łódź dwusilnikowa nie mogłaby za jednym zamachem przeciąć jej w ten sposób. Śruby ma zbyt oddalone od siebie. Nawet łódź z podwójnym silnikiem przyczepnym nie dałaby rady.

Wychyliła trzecią brandy.

- Ktokolwiek ją zabił, zabił także Girgisa. Albo zabili - oświadczyłem.

- Myślę, że ty masz obsesję na punkcie morderstwa - stwierdziła Chantal.

- Jeżeli znajdę mordercę Girgisa, to będę miał mordercę Marie. Wiem o tym.

- Lubieś ją bardzo, prawda?

- Tak. Ale nie spałem z nią, jeśli o to ci chodzi.

- Więc jesteś jedynym, który tego nie robił.

- Była młoda. Człowiek tak młody, i taki jak Marie, nie zdaje sobie sprawy, że udreki młodości da się przeżyć. Że młodość przemija, a człowiek żyje nadal.

- Żyje nadal - powtórzyła Chantal. - Żyje nadal tylko po to, żeby zyskać kolejną udrekę.

- Ale innego rodzaju. Nie tak głęboką. Taką, z którą da się żyć, o której wiesz, że ją przetrwasz.

- Czasami zastanawiam się...

- Nie. Ty nigdy się nie zastanawiałaś ani przez chwilę.

Podniosła butelkę brandy i utkwivszy w niej wzrok, kołysała ją w zamyśleniu.

- Nie napiłbyś się?

- Pewnie. Zaraz się napiję, i to nielicho.

Westchnęła i grzbietem dłoni odgarnęła włosy do tyłu.

- Nie mam ci tego za złe.

- Znowu ją oszukano - powiedziałem. - Marie zawsze ktoś oszukiwał. Ludzie naprawdę młodzi prawie zawsze są oszukiwani. W ten sposób spłacają swe długi. Im się to nie podoba, mnie się to nie podoba, ale nikt na to nic nie poradzi. A teraz ktoś znów ją oszukał. Nie dano jej szansy przekonać się, że młodość da się przeżyć.

- Przypuszczam, że teraz to już dla ciebie vendetta, mam rację?

- Jeszcze jak.

- Chyba zostawię cię tu na dole - powiedziała Chantal. Uniosła biodro ze skraju stołu, na którym siedziała, wciąż kołysząc butelką brandy i przypatrując się jej. - Ale będę na górze. Jeśli będę ci do czegoś potrzebna. Do czegokolwiek - dorzuciła.

- Dzięki. Chciałbym zostać sam przez jakiś czas.

- Rozumiem. - Podeszła do schodów i ruszyła na górę z butelką brandy.

Wstałem i naszykowałem sobie szklankę. Wielką. Napelniłem kryształ w dwóch trzecich czystą whisky. Nie chciałem lodu. Chciałem płonąć.

Zabrałem whisky i stanąłem przed oświetlonym portretem Chantal jako młodej kobiety. Patrząc na niego, pociągnąłem dwa tęgie łyki. Chantal musiała być o trzy, cztery lata starsza od Marie, kiedy malowano ten portret. Whisky przyjemnie paliła mi wnętrzności. Odwróciłem się i ujrzałem, że wciąż stoi na schodach, patrząc jak patrzę na jej portret. Widząc, że spoglądam na nią, powiedziała tylko: - Dobranoc - i weszła o stopień wyżej. Zatrzymała się. Zeszła o trzy stopnie.

- Obawiam się, że się w tobie zakochałam, Lobo - rzuciła z uśmiechem i uciekła po schodach na górę. Słuchałem odgłosu jej kroków.

Zaniosłem szklankę do stołu, naładowałem ją ponownie i usiadłem w jednym z wielkich foteli.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ją wykończono. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ten, kto ją załatwił, załatwił także Girgisa. Ale od tego punktu wszystko zaczynało się gmatwać. Tak samo jak w przypadku Girgisa. Nie potrafiłem tego rozszyfrować.

Na pierwszy rzut oka musiało to mieć związek z haszyszem. Wydawało mi się jednak, że ten lokalny handelek był zbyt błahy, żeby z tego powodu zabijać człowieka. A teraz już były dwa zabójstwa.

Na pozór więc wszystko wracało do osoby mojego młodego przyjaciela - Chucka.

Nie miałem wątpliwości, że był do tego zdolny. Ale dlaczego? Dlaczego także Marie?

Wątpiłem, by zabójcą okazał się Jim Kirk. Nie wierzyłem, że mógłby tak bezsensownie załatwić równie śliczną dziewczynę. Lubił kobiety nie mniej niż ja. Z całą pewnością nie zabiłby dwojga ludzi tylko z powodu tego drobnego przemytu haszyszu. Tym sposobem wróciłem do punktu wyjścia.

Musieli ją załatwić motorówką. Kirk miał swoją. Ale przypomniałem sobie, że Chuck i Steve też mieli własną. Łódź tak ciężka i trudna do manewrowania jak „Daisy Mae” nie mogłaby tego zrobić. Dokładnie obejrzałem jej twarz i nie znalazłem najmniejszego

zadrapania ani otarcia skóry, które musiałyby pozostawić łądz o tak głębokim zanurzeniu. Motorówka zaś mogła się ślizgać po powierzchni, tnąc fale jak brzytwa włosy.

Ale na tej cholernej wyspie prawie każdy miał motorówkę.

A może coś ciekawego kryło się za tą historią z heroiną? Oni wszyscy tak niechętnie mówili na ten temat. Czyżby miał tu miejsce jakiś większy przemyt heroiny w połączeniu z haszyszem lub niezależnie od niego? Prowadzony równolegle, osobno, lecz przy udziale tych samych ludzi? Stosunki międzyludzkie jest tak obłądnie trudno rozwickłać. Nigdy nie są proste. Głównie dlatego, że wszyscy kłamią.

Będę musiał przyjrzeć się bliżej tej historii z heroiną. Mógłbym zacząć jutro od Pekourisa. Dziwnie ostrożny był ten Pekouris. Mógł coś wiedzieć. No i mógłbym pogadać z Petem Grunerem.

Wstałem i jeszcze raz naładowałem kryształową szklankę. Bardzo ładne szkło miała Chantal w tej średniowiecznej fortecy. Co to ona mówiła? Zakochała się we mnie?

Jednego byłem pewny. Dostanę tego skurwysyna, choćbym miał poświęcić na to dziesięć lat życia i wydać ostatni grosz.

Usiadłem z powrotem. Byłem zniewolony - przeniknięty, jak to się mówi - wizją sekwencji obrazów, niby serią migawek filmowych, przedstawiających ostatnie chwile Marie w wodzie. Zupełnie jakby jakiś fantastyczny mechanizm wciąż odtwarzał to na okrągło.

Byłem człowiekiem przywiązany do krzesła i poddanym torturom. Prawdopodobnie nawet się nie zorientowała, co się dzieje, kiedy najechali na nią po raz pierwszy. Prawdopodobnie myślała, że to wypadek, i nagle - nie ma ręki; albo prawie nie ma. Czy poradziłaby sobie z tym w wodzie? Tak ciężko ranna? Czy wiedziała o punktach ucisku? Jak płynąć z rozerwaną tętnicą? Prawdopodobnie i tak umarłaby po pierwszym ataku. Najlepszym wyjściem byłoby zrobienie z linki od kuszy opaski zaciskającej. Czy pomyślała o tym? Ale do tej pory oni zdążyliby zawrócić i ponowić atak. Czy widziała ich z daleka? Czy tylko z bliska, w ostatniej chwili? Może myślała, że wracają jej na ratunek? A tu nie. Starczyło jej przytomności umysłu, by szarpnąć głową w bok. Czy wtedy już wiedziała?

I tak na okrągło. Mój obłąkany hitlerowski pułkownik SS z czerwoną opaską na ramieniu nie przestawał naciskać guzika.

Na szczęście whisky stopniowo sprowadziła mnie na ziemię. Mój umysł powoli przestał nurkować i zbaczać z kursu bez kontroli. Potem już tylko siedziałem apatycznie.

I nagle wszystko to przerwało tamę. Wypłynęły wszystkie te sprawy, o których tak usilnie starałem się nie pamiętać. Przewidywałem, że kiedyś nadejdzie moment, gdy upomną się o swoje prawa.

Najwyraźniej teraz właśnie nastąpił ów moment. Wylało się to na mnie jak pomyje z kubła lokatora czynszówki na głowę Bogu ducha winnego przechodnia.

Grecki pokurcz w Paryżu; rozwód; moje życie i prawdziwe pasmo niepowodzeń, jakim się stało; nieudane małżeństwo; coraz większa przepaść między mną a córkami; olbrzymie sumy, których nie miałem, a które tak czy inaczej musiałem bulić, żeby cała gromadka mogła żyć w stylu, do jakiego chciała przywyknąć. Myśli wybiegały jeszcze dalej wstecz: do mojego współlnika i jego śmierci w Chicago w 1955 roku; do wcześniejszej o dwa lata przeprowadzki z Denver; do późniejszego awansu na bohatera w Chicago, kiedy złapałem i zabiłem jego mordercę; do moich burzliwych zalotów w Chicago, zakończonych związkiem; do przeprowadzki do Nowego Jorku pięć lat później; do ponurych lat w Nowym Jorku, które potem nastąpiły.

Nie było ani jednego punktu, ani jednej chwili, które mógłbym wytknąć palcem. W tym sęk. Żaden czyn, żadna decyzja nie były złe. Żadne ważniejsze posunięcie ani zmiana nie były niewłaściwe, i oto jak skończyłem.

Przede wszystkim, dlaczego trafiliśmy do tego fachu? Szukaliśmy przygód. Byliśmy młodzi, chcieliśmy działać, nie kontemplować. To naturalne. Przenieśliśmy się do Chicago po prostu dlatego, że w Denver nie starczało dla nas roboty, i wciąż szliśmy w górę. Ale mój współlnik nie zginąłby, gdybyśmy nie trafili do tego fachu. Prawdopodobnie nie zginąłby, gdybyśmy zostali w Denver. To właśnie te trzy miesiące, kiedy robiłem za bohatera Chicago - „DETEKTYW PRYWATNY ZABIJA WŚCIEKŁEGO MORDERCĘ W OSTREJ STRZELANINIE” - sprawiły, że poznałem moją przyszłą żonę.

Wpakowały mnie w to te trzy miesiące robienia za lokalnego bohatera. Od tej pory zawsze przenosiłem się z powodów słusznych moralnie i niesłusznych finansowo. Wówczas wymagało to ode mnie pięciu lat życia, małżeństwa, żony, a później córki, by opuścić Chicago. Joanie z oporem poczłapała za mną, z dzieckiem na plecach.

Być może powinienem ulec jej wtedy i zostać doradcą prawnym jakiejś spółki. Właśnie o to zaczęły się wówczas nasze kłótnie, i nigdy nie ustały. Mogłem się na to przerzucić. Okazji miałem pod dostatkiem. Mogłem też zrobić to później. Okazji nadal nie brakowało. Być może powinienem ustąpić, ustatkować się i zostać nudnym smutasem, żyjącym z cudzego sadła.

A to dlatego, że na moralnie słusznym postępowaniu nie zyskałem dokładnie nic. Ludzie nie podziwiają cię, jeżeli nie wiedzą, że jesteś życiowym bankrutem z własnego wyboru, z powodów moralnych. Nie podziwiają cię nawet wtedy, gdy o tym wiedzą. Uważają cię za dziwaka. Albo głupca.

Zamiast tego rzuciłem więc wszystko w cholerę, przeniósłem się do Nowego Jorku, wywiesiłem swój mały szyld i zacząłem od nowa.

Nie mogłem ścierpieć Chicago. Nie mogłem ścierpieć grubych ryb. Nie mogłem ścierpieć tego, co należało robić, by stać się jednym z nich. Poza tym nudziło mnie to. I prześladowało mnie wspomnienie mojego współnika i jego śmierci. Jeff Watson. Kim był Jeff Watson? Kto kiedy o nim słyszał? Jeff Watson, chodząca biała konserwa. Jeszcze jedna chodząca biała konserwa. Jeszcze jedna chodząca biała konserwa z Denver. Denver w sercu Zachodu. Jeff Watson, jeszcze jedna chodząca biała konserwa z Denver w sercu Zachodu. Zastrzelony przez naćpanego czarnego rewolwerowca na South State Street w Chicago. Stało się to dużo wcześniej, niż weszło to w modę.

W żadnym razie nie powinienem był go wysyłać. Powinienem pójść sam. Mnie by ten facet nie zastrzelił. Ja bym mu nie zaufał. Tak jak to zrobił Jeff Watson, chodząca biała konserwa z Denver w sercu Zachodu.

A w Nowym Jorku? Degeneracja. Życie Lobo Daviesa zawarte w jednym słowie. Degeneracja tu, degeneracja tam. Woda, wszędzie woda. East Hampton na kosztowne lato. Życie ponad stan tylko po to, by dawać się zanudzać kosztownym bogaczom. Degeneracja. Apartament w sąsiedztwie Sześćdziesiątej Wschodniej. Degeneracja. Dwie śliczne młode córki kompletnie odsunięte od ojca przez matkę, uczęszczające do ekskluzywnych szkół, polujące na bogatych mężów.

Degeneracja.

Na szczęście moja żona odziedziczyła nieco pieniędzy po wuju ze strony matki. Już po Chicago.

Wstałem i znów nalałem whisky do kryształowej szklanki.

Nie były nawet zbuntowanymi hipiskami, te moje córki. Czasami chciałem, żeby uciekły i przystały do hipisów. Wtedy przynajmniej mógłbym pójść je odszukać. Wiedziałem, jak to się robi. Ale to nie one. W domu nic tylko Princetony i Harvardy. I to nie zwyczajne Princetony i Harvardy, lecz Grotony i St. Paule Princetonów i Harvardów. Degeneracja.

Degeneracja wszędzie z wyjątkiem pracy. Ale nawet praca była kpina. Lobo Davies, Poszukiwacz Zaginionych Dzieci. Lobo Davies, niańka długowłosych. Odszukacie swe dzieci szybciej i taniej przy pomocy Franka „Lobo” Daviesa - jeszcze jednej chodzącej białej konserwy z Niebotycznego Miasta w sercu Zachodu.

Czasami miałem wrażenie, że wszyscy czarni, Żydzi, Portorykanie, Japońce i Chińczycy na Zachodnim Wybrzeżu, imigranci zza granicy Teksasu, ustawiają się w kółko i wytykają palcami Franka Daviesa skandując: „Biała konserwa!”.

Wszyscy kanciarze i migające się przed wojskiem nastolatki wytykają mnie ze wstydem paluchami jednej ręki, skandując: „Biała konserwa!”, a drugą sięgają mi do kieszeni.

Dlatego, że jestem im to winien, twierdzili.

Biedny, stary Lobo Davies, który nic na to nie mógł poradzić, że jego rodzina żyła w Ameryce jeszcze przed rewolucją młodzieżową. Który gotów był przeproszać, że urodził się biały, lecz nie znajdował słuchaczy.

Wstydziłem się i krępowałem, że wychowano mnie w przekonaniu, iż nie wolno kraść i kłamać. Nikogo to nie obchodziło.

Kiedyś miałem jakieś mętne, mgliste ideały, żeby pomagać ludziom, a jednocześnie użyć życia i zyskać rozgłos.

I oto jak skończyłem. Jako nieokrzesany, konserwatywny detektyw prywatny, który zniżył się do łamania palców greckim pokurczom w obskurnych hotelach.

Nie potrafiłem nawet ochronić jedynej prawdziwie szlachetnej i uczciwej istoty, jaką spotkałem w tym parszywym kraju. Nie potrafiłem ustrzec jej przed posiekaniem na mięso dla rekinów przez czyjąś nienawistną łódź, w lazurowym greckim morzu.

Pycha. Byłem skłonny przyznać się do niej. Ale nawet ona nie przynosiła mi żadnej satysfakcji. Poza tym to przede wszystkim pycha wprawiała mnie w ruch. Ale nawet z niej nie czerpałem żadnej pociechy. Pycha dana - i pycha odebrana.

Kogo to obchodzi?

Tylko Lobo Daviesa. Lobo Daviesa przebywającego w Grecji, w okazałym salonie średniowiecznej fortecy należącej do autentycznej, prawdziwej hrabiny, której dostarczał męskich rozrywek, zasiadającego w wielkim, przepastnym fotelu, popijającego jej whisky Chivas Regal z kryształowej szklanki. No i fajnie.

Podniosłem się z miejsca i ostrożnie odstawiłem kryształową szklankę na ciężki, wypolerowany stół. Co to ona mówiła? Zakochała się we mnie? No i jak tu się nie śmiać?

Przeszedłem starymi kamiennymi schodami i starym kamiennym korytarzem na piętrze do jej sypialni. Spała, z butelką brandy koło łóżka. Łagodnie potrząsnąłem ją za ramię, aż w końcu otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Nie, nie przesuwaj się. - Odkaszlnąłem. - Nie chciałabyś posłuchać historii mojego życia?

Przysunąłem sobie krzesło.

Rozdział 41

Opowiedziałem jej prawie wszystko. Nie mówiłem o greckim pokurczu w Paryżu. Doszedłem do wniosku, że ona może go znać, ewentualnie jego rodzinę, a zresztą była to prywatna sprawa między mną a Freddy Tarkoffem. Ale opowiedziałem jej o wielkim czarnym z chicagowskiej South Side. O tym, który zabił mojego wspólnika i po którego sam się tam wybrałem. Policja szukała go, lecz bezskutecznie. Ja znalazłem go dzięki temu, że miałem na South Side dobrych przyjaciół. Powiedziałem jej, że była taka chwila, kiedy mogłem uratować mu życie. Przez mniej więcej trzydzieści sekund w trakcie naszej dyskusji gotów był zrezygnować i poddać się, gdybym tego zażądał. Ale nie zażądałem. Pozwoliłem mu natomiast myśleć, że dałem się wyprowadzić w pole i że nabrałem do niego zaufania. Zrobiłem tak celowo. Wobec tego zagadywał mnie przymilnie, obserwując śliskimi, złośliwymi oczkami, dopóki nie uznał, że może mnie już uziemić tak, jak mojego wspólnika. Kiedy sięgnął po broń ukrytą za pasem, ja już byłem zwarty i gotowy. Na sensacyjnie opisywaną „OSTRĄ STRZELANINĘ” z czołówek gazet w gruncie rzeczy składały się trzy wystrzały - jeden z jego broni, który rozminął się z moją pierś, gdy odwróciłem się bokiem, i dwa moje.

- Dzisiaj prawdopodobnie załatwiłbym to inaczej - powiedziałem. - Wtedy byłem młody i wściekły. Dzisiaj prawdopodobnie bym go zwinął. A sześć miesięcy później znów urzędowałby na ulicy, terroryzując i zmuszając do płacenia haraczu innych czarnych i chwalać się, jak to nabił białych w butelkę. Zakładając, że w ogóle trafiłby do więzienia.

- Nie rozumiem cię - stwierdziła Chantal szorstko. - Ja bym go zabiła bez skrupułów. Zabił twojego przyjaciela, tak? I nabrał go?

- Był czarny.

- Co za różnica?

- W zasadzie żadna. Chyba go nawet lubiłem. Prawdopodobnie miał ciężkie życie. Lubić go to tak, jak lubić napotkanego przy drodze grzechotnika.

Wzruszyła ramionami.

- I w rezultacie tej przygody byłeś przez pewien czas lokalnym bohaterem?

- Przez jakieś trzy miesiące. Ale dołem to o wiele dłużej. Gdybym chciał zostać w Chicago, mógłbym dość to jeszcze i jeszcze i wycisnąć z tego dużo więcej.

- Nie rozumiem was Amerykanów - oświadczyła Chantal. - Żaden Europejczyk nie wyjechałby w ten sposób. Miałeś uznanie i wielkie możliwości, na które sobie uczciwie

zapracowałeś. Miałeś pełne prawo wyciągnąć z tego, co się da. Tak właśnie postąpiłby Europejczyk.

- Z nas są dziwni ludzie - powiedziałem. - Przynajmniej niektórzy, jak sądzę. No, w każdym razie w ten sposób poznałem moją żonę. Była damą z towarzystwa z Lake Forest. A raczej niedoszłą damą z towarzystwa. Jej dziadkowi w Lake Forest powodziło się całkiem nieźle, w latach dwudziestych. Ale wykończyła go fuzja kapitałów Samuela Insula. Jej ojciec nigdy sobie tego nie powetował.

- Więc przeniosła wszystkie swoje ambicje na ciebie?

- Można i tak powiedzieć. - Wziąłem głęboki oddech, pociągnąłem nieco whisky, wydałem wargi i wypuściłem powietrze. - Mówiłaś, że się we mnie zakochałaś, więc pomyślałem, że lepiej ci to wszystko opowiem.

- Żebym się odkochała?

- Powinnaś, nie sądzisz? Po tych wszystkich starych brudach. Nie była to specjalnie budująca opowieść.

- Albo jesteś tępy, albo o wiele sprytniejszy, niż cię o to posądzałam. Taka historia życia, opowiedziana przez taki kłęb mięśni jak ty, sprawia, że prawdziwa kobieta jeszcze bardziej się zakochuje. Zamiast odkochać się.

- Strasznie jesteś pewna, że z ciebie prawdziwa kobieta - rzuciłem.

- O to jedno akurat nigdy się nie martwiłam - odparła. Przesunęła się na łóżku i dotknęła miejsca obok siebie. Pod prześcieradłem była naga. - Wskakuj. Chcesz, żebym ci to udowodniła?

Wstałem i zacząłem się rozbierać. Nagle poczułem się obity jak pies i śmiertelnie zmęczony.

- Boże jedyny, popatrz na swój bok! - powiedziała.

- Nie jestem pewny, czy ci się na coś przydam - stwierdziłem wyskakując ze spodni. - Po tej całej whisky, i po tym... - Nie wiedziałem, jak mam to nazwać. Nie chciałem używać słowa „morderstwo”. Po tym, co się stało.

- To nie ma znaczenia - powiedziała miękko. - Szz, szsz. Odpocznij sobie.

Zacząłem całować ją i przesuwać dłońmi po jej piersiach. Możliwe, że były trochę mniej sterczące niż piersi młodej dziewczyny, ale to nic, podobały mi się tym bardziej. Przynurzałem nos do jej włosów, koło ucha. Lekki zapach perfum zmieszany z kobiecym potem w tę upalną noc był kojący, przepyszny.

- Nie myśl o tym, że musisz się ze mną kochać - rzekła. - Leż spokojnie.

- Skręca mnie - wyszeptałem jej do ucha, nie odsuwając nosa. - Skręca mnie całego. Skręca mnie w sercu, skręca mnie w brzuchu. Skręca mnie w głowie, kiedy pomyślę o niej tam w wodzie, całej we krwi, i o tej cholernej śrubie, przecinającej ją po raz drugi. Skręca mnie w kroczu i stopach. Kurczę palce u nóg.

- Wiem. To smutne. Straszne - powiedziała Chantal. - Ale nie możemy nic zrobić. - Jej ręka ugniatała mi krzyże. Tam, gdzie było napięcie.

- Nic, za cholere - przyznałem. - W każdym razie nie dla niej. Ale jedno pewne, że mogę coś zrobić dla siebie.

- I zrobisz to - stwierdziła Chantal kojącym tonem. - Zrobisz.

- Taki mam zamiar - powiedziałem i znowu przesunąłem dłonią po jej lewej piersi. Jej sutki zmarszczyły się, stwardniały i wezbrały. Jak gdyby samorzutnie. Jak gdyby powodowane własnym maleńkim rozumkiem. Tak to wyglądało.

I co dziwniejsze, to samo działo się ze mną. Miałem erekcję. Nawet nie myślałem o seksie. Myślałem o Marie, zalanej krwią. Zalanej krwią w wodzie, i o zawracającej łodzi.

Zupełnie jak gdyby komórki naszych ciał żyły własnym życiem, nie dbając o to, co my czujemy i myślimy. Jak gdyby oba nasze ciała składały się wyłącznie z kolekcji podmorskich stułbi, zooidów i meduz w stadium rozrodu, pływających w słonej wodzie, których komórki bezmyślnie łączą się, bezmyślnie mnożą, bezmyślnie skupiają w łańcuchy, bezmyślnie tworzą polipy, które tworzą pływające swobodnie meduzy, które znów płodzą polipy. Był to obraz tak okrutny, że mnie zastopowało. Okrucieństwo, zachłanność i beztroska prostego życia komórek przyprawiła mnie o wstrząs. Biedna Marie.

Podparłem się na łokciu, spojrzałem na Chantal i nagle jej głowa przemieniła się w głowę mojej żony. To Joanie mówiła do mnie, pocieszała.

- Zrobisz to. Już dobrze.

Zamrugalem, lecz głowa Joanie nie zmieniła się w głowę Chantal. Wciąż do mnie mówiła, próbując mnie pocieszyć. Nie była to żadna fantazja. Była to prawdziwa głowa. Ciało należało do Chantal. Zastanawiałem się, czy nie tracę resztek zdrowego rozsądku, jeżeli mi jeszcze takowe zostały.

Zanim zdążyłem zareagować, głowa znów się zmieniła. Głowa Joanie stała się głową Marie, która wciąż mówiła do mnie, lamentowała.

- Już dobrze. To nie ma znaczenia.

Postanowiłem zaryzykować i przetrzeć oczy ręką. Przetarłem. Głowa Marie wciąż zawodziła, i nagle zebrało mi się na płacz, nad nimi wszystkimi. Nad Chantal, nad Joanie, nad Marie. Nad wszystkimi. Nad wszystkimi i nad każdym, a przede wszystkim nad sobą.

W jaką sytuację wpakował się nasz gatunek. Skazani na separację. Nie chcący separacji. Ale kochający ją. Trzymający się jej do końca życia. Inna sprawa, że nie mieliśmy wyboru. Kolekcje komórek. Zooidy i stułbie. Bylibyśmy śmiechu warci, gdyby nie było to tak bolesne.

Głowa na ciele Chantal stała się wreszcie jej głową. Ująłem ją oburącz i pocałowałem w usta, zanim zdążyła się rozpuścić.

- Nie musisz do mnie nic mówić - powiedziałem.

- Mnie to nie przeszkadza - odparła. Po omacku odszukała ręką moje krocze. - Co byś chciał? Chcesz, żebym ci zrobiła coś specjalnego?

- Nie. To ja ci zrobię coś specjalnego - rzekłem. - Nic nie rób. Leż tylko spokojnie na plecach.

Zacząłem od jej piersi i przesuwalem się w dół. Nie śpieszyłem się. Mikroskopijne jasne włoski na jej skórze, widoczne dopiero z tak bliska, zdawały się drgać samoistnie. Każdy oddzielnie. Wargami, językiem, zębami i nosem próbowałem wyrazić wszystkie te smutne i radosne rzeczy, których nie potrafiłem powiedzieć żadnej z nich, żadnej kobiecie. Jakże cenne są kobiety - dla mężczyzn. Jej pępek pulsował niczym wydęte usta, skurczone na spotkanie moich ust. Zajęczała gdzieś nade mną. Rozpaliłem ją, i o to mi właśnie chodziło. Jej włosy łonowe, kędzierzawe jak poskręcane liście endywii, łaskotały mnie w nos, kiedy podsuwałem je sobie garściami do twarzy i wachałem. Zapach kobiety: trochę perfumowany, trochę siuszkowaty, trochę sam nie wiem jaki.

- Och. Och, Boże. Jeszcze nigdy tak nie było - odezwała się Chantal nade mną. - Och, Boże. Och. Jeszcze nigdy nic takiego nie było.

Miała rację. Jeszcze nigdy tak tego nie robiłem. Robiłem to z wieloma kobietami, ale nie tak. To było dla nich wszystkich. Dla Marie, i dla Joanie, i dla Chantal. Dla setek innych. Dla tych wszystkich, które zawiodłem i które zawiodły mnie. Tych wszystkich, których pragnąłem, a których nie miałem. Tych wszystkich, których pragnąłem i które miałem, a które zostawiłem lub one zostawiły mnie. Tych wszystkich, które tylko widziałem i których pragnąłem. Dla wszystkich zranionych kobiet. To było dla nich wszystkich. Chantal zebrała tylko plon.

Jej nogi zadrgały pod moimi ramionami.

- UNNHH. NNHHNN. AARR. NNHHH! NN! AAARRRGHHH! - krzyknęła Chantal.

Oparłem głowę na jej brzuchu, czując, jak skurcze mięśni słabną i zamierają.

- Och, daj mi go! - wyjęczała nade mną. - Och. Daj go, Lobo, daj go! Chcę cię mieć w środku. Chcę go poczuć w sobie.

Przeturlałem się i wszedłem w nią. Czułem jak wewnętrzne partie jej ciała wychodzą mi na spotkanie. - Och. Och. - Patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem. Nie wiem, co widziała. Może siebie. Swój portret odbity w moich oczach. A potem i ja eksplodowałem.

Po chwili sturlałem się z niej.

- Chętnie zostałbym na noc, jeśli pozwolisz - odezwałem się stłumionym głosem.

- Zostań jak długo chcesz - odparła. - Zostań na zawsze. - I wsunęła mi ramię pod głowę, a ja wtuliłem twarz w wilgoć jej pachy.

Rozdział 42

Słońce wstało tylko trochę wcześniej niż ja. Chantal nie bała się już, że zobaczy mnie służba, ale miałem sprawy do załatwienia. Chciałem zobaczyć się z Pekourisem w związku z Marie, i chciałem pogadać z Petem Grunerem o heroinie. Poza tym czas najwyższy, żebym spotkał się twarzą w twarz z szalonym Chuckiem. Jeżeli wciąż był na wyspie, zamierzałem odszukać go i się z nim policzyć.

Stoczyłem się z łóżka, powstrzymując jęk. Za dnia opatrunek pomógł mi ogromnie, co jednak broń Boże nie znaczyło, że mnie wyleczył.

W słonecznym, rześkim porannym powietrzu ruszyłem spacerkiem na przystań. W domu przebrałem się w świeże ubranie i zmyłem z siebie ostatnie zapachy erotyczne w ohydnej wannie bez prysznicza, uważając na bandaż.

Co to ona powiedziała? Zostań na zawsze? Ano. W łóżku ludzie zazwyczaj mówią rzeczy, za które później, kiedy podniecenie opadnie, chętnie ugryźliby się w język. A co do miłości, wydaje się, że jest skazana na zagładę przez prawo grawitacji, jak siła czy uroda. Trzeba tylko swoje odczekać. Czasami to nie trwa długo.

Nawet teraz nie byłem pewny, czy mogę jej ufać. Czy heroina starego ambasadora była ostatnią z jej „kolejnych tajemnic”, które przede mną ukrywała? Coś mi mówiło, że nie.

Nie widziałem mojego przewoźnika Sonny'ego od czasu, gdy pomógł mi po bójce. Czekałem na werandzie, póki nie wyszedł na pokład i nie powiosłował na brzeg. Wyszedł dosyć późno. Złapałem go i kazałem się zawieźć do miasteczka.

Wiedział już o Marie. Słyszał o tym zeszłej nocy u Dmitriosa. Ale był zdania, że zabił ją rekin. Poza tym, jak mi doniósł, Girgis wcale nie został zabity w „Xeni”. Naprawdę było tak, że Girgis uciekł z kraju, bo policja poszukiwała go za handel haszyszem, a zwłoki bez głowy, znalezione w ogrodzie „Xeni”, były ciałem nie owłosionej południowoamerykańskiej małpy, którą ktoś trzymał jako zwierzątko domowe.

To tyle, jeśli chodzi o prawdę. W głębi duszy chyliłem czoła przed Pekourisem.

Jak się jednak przekonałem w porcie, wiadomość, że Marie przejechano łodzią, zdążyła się rozejść. O niczym innym nie mówiono.

Przeszedłem z gazetą przez cętkowany cieniem taras do stolika, przy którym zwykle siadałem. Nie bardzo chciało mi się czytać. Skupiłem się na campari. Od strony moło towarowego za kioskiem nadszedł jakiś długowłosey, zmierzając do obsadzonego przez hipów stolika Georginy. Na mój widok zatrzymał się i po chwili ruszył bokiem ku mnie.

- Cześć? Ładny dzień? - Zabrzmiało to jak pytanie.

- Pewnie tak - odparłem. - Jak się nazywasz? - Powiedziałem to modulowanym głosem, łagodnie.

Był przeraźliwie chudy. Prawdopodobnie jedną dłonią mógłbym objąć nadgarstki obu jego rąk. A dłonie mam nie takie znów duże. Wąski w ramionach. Długa, chuda i krucha głowa, wybrzuszona na czubku. Olbrzymie oczy. Wielki, sterczący jak ostrze pługa nos. Nosił wąską, przygnębiająco rzadką brodę.

- Jestem Harvey Richard - przedstawił się. - Mogę się przysiąc? O ile dobrze pamiętam, był pierwszą osobą, która mnie o to zapytała.

- Jasne. Siadaj, Harvey.

Cały rozedrgany, usadowił się na krześle. Ja zaś przypomniałem sobie nagle jego twarz. Był to ten sam młody hipis, który chyba pierwszego dnia po moim przyjeździe, kiedy Chuck rozbił komuś nos, z lękiem w głosie pokazał mi w ogrodzie Georginy Jasona, paryskiego „gwiazdora”.

- Czym mogę ci służyć, Harvey?

- Pan chyba zna mojego ojca. To chyba pański przyjaciel. Z Nowego Jorku. - Uśmiechnął się nerwowo. - Arthur Richard?

- Do licha, tak. To prawda. - Przyjrzałem mu się. Podobieństwo istniało, a jakże, choć nie rzucało się w oczy. Fizycznie przedstawiał sobą niemal karykaturę swego ojca, który był zdrowym, krzepkim ekstrawertykiem, i znakomitym tenisistą. Arthur Richard kierował dystrybucją samochodów Volkswagena na połowę Wschodniego Wybrzeża. Zналиśmy się od dziesięciu lat. - Czy my się znamy? Ty i ja?

- Spotkaliśmy się kilkakrotnie u nas w domu. Ale byłem wtedy dużo mniejszy. Chyba mnie pan nie pamięta. Ja też pana na początku nie poznałem. - Pomimo całej nerwowości, mówił autorytatywnie.

- Pamiętam cię - stwierdziłem. - O co chodzi, Harvey?

- Wracam z komisariatu, tam na dole - odrzekł precyzyjnie. - Właśnie zawiadomiono ich, że śmierć Słodkiej Marie oficjalnie uznano za wypadek. Słyszałem, jak o tym mówili.

Zastanowiłem się nad tym.

- Potrafisz mówić i pisać po grecku?

- Trochę. Mieliśmy w domu greckiego kamerdynera.

Skinąłem głową.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Szedłem właśnie powiedzieć Georginie i paczce przy jej stole, kiedy zobaczyłem pana.

- Ale po co mi to mówisz?

Wykrętnie wzruszył wąskimi ramionami. Ale jego wzrok był pewny, wręcz przeszywający.

- Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć. Widziałem, jak Marie rozmawiała z panem wtedy w „Cloud 79”. i widziałem, jak rozmawiał pan z nią tutaj. Wiem, że wybrał się pan z nią nurkować. Więc pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, że uznali jej śmierć za wypadek.

- Masz jakieś powody sądzić, że było inaczej?

- Ja? Kurczę, nie. - Spojrzał na mnie okrągłymi oczami. - Pomyślałem tylko, że skoro był pan jej przyjacielem, to chciałby pan wiedzieć.

- Ano, dzięki wielkie, Harvey. Kłaniaj się ode mnie ojcu, jak wrócisz do Nowego Jorku.

- Nie zapomnę. Ucieszy się, że spotkałem pana w Grecji. - Uczynił ruch, jakby chciał wstać, lecz rozmyślił się. - Panie Davies, jestem jednym z tych, którzy pobili pana tamtej nocy. Myślę, że powinienem to panu powiedzieć. - Był spłoszony, lecz zdecydowany.

- To nie ty mnie skopałeś, prawda?

- Nie. To nie ja. Nawet tego nie widziałem. Nie wiem, kto pana kopał. - Znów wzruszył ramionami wykrętnie. - Ale nawet wiedząc o tym, nie powiedziałbym panu, panie Davies.

- Wcale na to nie liczyłem. Ano, dzięki, żeś o mnie pomyślał i pozdrów ojca.

- Wtedy, tamtej nocy, nie wiedziałem, kim pan jest - rzekł Harvey. - Oczywiście, inaczej bym tego nie zrobił.

- Nie martw się - pocieszyłem go. - Ja też cię nie poznałem.

- No, to do zobaczenia, panie Davies - powiedział patrząc na mnie na swój zdecydowany sposób. Wstał i zaczął wycofywać się bokiem. Przywołałem go.

- Jak ci się układa z Jasonem, gwiazdorem z Paryża? - zapytałem.

Uśmiechnął się do mnie krzywo.

- A, tak. To ja go panu pokazałem u Georginy. Przeważnie jest pijany albo naćpany, to fakt. Spłukał się. Faktem jest, że nie pociągnie bez elektroniki do wzmocnienia głosu.

Puściłem do niego oko.

- Co studiujesz, Harvey?

- No cóż, z przedmiotów kierunkowych zdaję filozofię i ekologię. - Znów wzruszył ramionami wykrętnie, ze skruchą. Ale w jego oczach nie było skruchy. - A z pobocznych

socjologię. Choć tak naprawdę to chciałbym dostać się do branży kaset video dla telewizji. Już wkrótce to będzie wielka sprawa, a do rozwiązania jest mnóstwo problemów technicznych.

Nie odpowiedziałem.

- No, to do zobaczenia, panie Davies - pożegnał się i oddalił bokiem. Najwyraźniej chodzenie bokiem było u niego chroniczną przypadłością, a nie przejściowym tikiem pod wpływem chwili. Prawdopodobnie miał to być przejaw pacyfizmu, na który pozował. Obserwując go, jak odchodził, myślałem o jego ojcu. Jeżeli mnie pamięć nie zawodziła, Harvey miał na jesieni rozpocząć ostatni rok nauki w Harvardzie.

Bogu dzięki, że coś ich jednak chroniło. Może po prostu naiwność? A może inteligencja? Ale nie zawsze mieli tę ochronę, prawda? Nie, nie zawsze. A więc Pekouris zrobił kolejny krok i uznał jej śmierć za wypadek?

Nie przejąłem się posunięciem inspektora. Spodziewałem się tego. Na zdrowy rozum, jeżeli wycofywał się ze sprawy zabójstwa Girgisa, to nie pozwoli się obarczyć następnym, które musiałby uznać za niewyjaśnione. A jednak informacja Harveya dała mi bodziec do działania.

Wyglądało na to, że na placu nic więcej się nie dowiem. Dałem znak Sonny'emu, który przysiadł się do stolika Georginy. Kiedy podszedł, powiedziałem mu, że chcę się dostać do Glauros.

Pekouris siedział w swym biurze na końcu ulicy rewolwerowców Wyatta Earpa.

Pakował się. Dwa olbrzymie otwarte nesesery leżały płasko na stołkach, inspektor zaś rozdzielał sterty papierów i wkładał je najpierw do jednego, potem do drugiego z nich. Facet od radia siedział tam tak jak poprzednim razem. Wielki odbiornik wciąż szumiał znacząco, lecz nic nie mówił.

Tym razem zignorowałem radiooperatora. Jeżeli Pekouris nie chciał, żeby słyszał on naszą rozmowę, to sam mógł to załatwić.

- Wyjeżdża pan trochę wcześniej - powitałem go.

- Tak. Przykro mi. - Wzruszył ramionami. - Rozkaz z góry. - Spojrzał na faceta od radia, kiwnął głową i rzucił coś po grecku. Facet wstał i wyszedł. - Macie coś dla mnie? Jakoś nie widzę żadnych paczek.

- Nie, nie mam - odparłem. - W sprawie maczety nie udało mi się nic zrobić.

- Dam wam numer telefonu, pod którym zawsze możecie mnie złapać w Atenach. - Wziął skrawek papieru, zapisał numer i podał mi go. - Gdyby mnie nie było, przedstawcie się,

to do was zadzwonię. Przylecę samolotem natychmiast po waszym telefonie. Chyba że wolelibyście przyjechać do mnie do Aten. W gościnę - dorzucił z uśmiechem.

- W porządku - odrzekłem, chowając kartkę do kieszeni. - Dziękuję.

Podniósł swoje papiery, lecz zatrzymał się i spojrzał na mnie.

Uśmiechnąłem się.

- Coś jeszcze?

- Prawdę mówiąc, przyszedłem w innej sprawie.

- Tak? W jakiej?

- Słyszałem, że uznał pan śmierć dziewczyny za wypadek?

- Zgadza się. A co? Czy ta sprawa też was interesuje?

- Nie. Ale przypadkiem byłem tam, kiedy ją znaleziono, i miałem okazję przyjrzeć się jej bardzo dokładnie. Moim zdaniem została zamordowana.

- O? Lekarz sądowy i ja jesteśmy innego zdania. Tak samo jak pozostali funkcjonariusze, którzy ją badali. Co was naprowadziło na taką myśl? - Uniósł gęste brwi.

Wiedział, że ja wiem, że lekarzem sądowym na Tsatsos jest cherlawy starzec - przedsiębiorca pogrzebowy. Wiedziałem też, że owi pozostali funkcjonariusze to komisariat Pekourisa - gruby komendant i jego dwaj nabici mięśniami posterunkowi. Słyszałem już lepsze odpowiedzi.

- Ano, wygląda mi na to, że została uderzona dwukrotnie, dwa razy pod rząd - wyjaśniłem. - Przez tę samą śrubę. Dwa silniki byłyby zbyt szeroko rozstawione, żeby dokonać tego za jednym zamachem. Nawet podwójne silniki przyczepne nie mogą być aż tak blisko siebie. A te rany nie wyglądają tak, jakby spowodowała je łódź z pojedynczym silnikiem zaburtowym.

- Zauważyliśmy to. I wzięliśmy pod uwagę.

- Nie miała na twarzy żadnych obrażeń spowodowanych przez dno łodzi.

- Mogła wpaść pod łódź od tyłu.

- Mogła. Ale według mnie rany wskazują na to, że została przejechana od przodu.

Pekouris wzruszył ramionami i lekko zmarszczył wciąż uniesione brwi.

- My uważamy, że od tyłu.

- A poza tym za dziesięć dni rozpoczyna się, rzecz jasna, sezon turystyczny.

- Wydaje mi się, że trochę pan przeholował.

- Pan wybaczy.

- Ja wciąż jestem tutaj najwyższym rangą przedstawicielem prawa. Jeżeli wam się nie podobam, możecie jedynie pójść wyżej i odwołać się do moich przełożonych w Atenach.

Skinałem głową.

- Ani mi to w głowie. Chciałem tylko podzielić się z panem moimi wnioskami, skoro i tak już tu jestem. Byłem pewny, że chętnie pozna pan każdą opinię.

- Doceniam wasze zainteresowanie i troskliwość. Ale szczerze mówiąc nic z tego, co usłyszałem, nie zmienia naszego zdania.

Znowu skinąłem głową.

- Ano - bąknąłem wstając.

- Tak przy okazji, Davies, polecenia moich przełożonych w Atenach co do was są nadal w mocy. Zakładam, że obejmują one także sprawę śmierci tej dziewczyny. Wiecie, że w każdej chwili jestem gotów je wypełnić.

- Spokojna głowa - uspokoiłem go. - Nie bidzie pan musiał robić nic z tych rzeczy.

- Mam nadzieję. Wiecie, my też rozważaliśmy koncepcję morderstwa. Nie mam zamiaru ignorować poważnych morderstw. Ale na przykład brak nam motywu. Nigdzie nie udało nam się natrafić na motyw do zabicia tej dziewczyny.

- Motywów jest pod dostatkiem. Na przykład ten Chuck - który, jak przypuszczamy, być może zabił Stourkosa - mógł wykończyć dziewczynę z tego samego przygłupiego powodu, z jakiego zabił Głrgisa. Jeżeli go zabił.

- Jeśli tak, to możecie się nie martwić.

- Jak mam to rozumieć?

- No cóż, gdyby udało wam się zdobyć tę maczetę, oczywiście dla was, a badania byłyby zgodne z naszymi oczekiwaniami i nadziejami, to i morderca dziewczyny zostałby złapany, nieprawdaż?

- Podałem to tylko jako przykład - odparłem.

- Macie jakieś inne teorie?

- Nie. Ale od naszej ostatniej rozmowy zmieniłem zdanie w niejednej sprawie. Niejedno wyszło przez ten czas na wierzch.

- Co na przykład?

- Czy wiedział pan, że ambasador Pierson zażywa nałogowo heroinę?

- Tak. O tym powszechnie wiadomo. Nawet w Atenach. Z oczywistych powodów nic w tym kierunku nie zrobiliśmy. Wasz kraj nie byłby zachwycony, gdybyśmy aresztowali byłego amerykańskiego ambasadora pod zarzutem narkomanii.

- Czy wiedział pan, że heroinę przywozi ambasadorowi Jim Kirk?

- Nie, tego nie wiedziałem. Osobiście jednak nie mam nic przeciwko temu. Trochę heroiny dla ambasadora...

- Mnie to też nie przeszkadza.

- Dlaczego więc zmieniliście zdanie?

- Nie zmieniłem. Jeszcze nie. Tyle tylko, że wokół Tsatsos dzieją się przedziwne rzeczy.

- Zdaję sobie sprawę, Davies, że mieliście, uhm, powiedzmy słabość do tej dziewczyny - stwierdził Pekouris nieprzekonywająco. - Nie powinniście jednak z tego powodu przekraczać granic zdrowego rozsądku.

Mrugnąłem do niego powoli, przyglądając mu się. Nie wspomniałem o Chantal. I nie wspomniałem o obecności Pete'a Grunera na wyspie. Jeżeli jednak kiedykolwiek zamierzałem mu o tym powiedzieć, to teraz już nie.

- Pozostaje faktem, że ten, kto zabił dziewczynę, choćby przypadkowo, popełnił przestępstwo nie zgłaszając natychmiast o wypadku - rzekłem. - Mam rację?

Poruszył głową.

- Całkiem możliwe, że ktoś mógł wjechać na dziewczynę nawet o tym nie wiedząc. Niemniej zamierzam zająć się tą sprawą po powrocie z Aten.

- Chętnie zająłbym się tym razem z panem - powiedziałem.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Kiedy spodziewa się pan wrócić?

- O, za jakieś pięć dni. Może za tydzień.

- A kiedy pan wyjeżdża?

- Dzisiaj. Lecę wieczornym samolotem.

- Zadzwoń, jak pan wróci - rzekłem. - Bez wątpienia termin wyjazdu jest dla pana bardzo niedogodny. Podobnie jak długa nieobecność.

- Być może zadzwonicie do mnie jeszcze zanim wrócę, czyż nie? - odparł z uśmiechem.

- Tak. To możliwe - przyznałem. Otworzyłem drzwi.

- Zadzwoń do was - obiecał Pekouris. - Zaraz po powrocie.

Wychodząc, spoglądałem w zamyśleniu na kłaki kurzu zalegające podłogę korytarza. Wyglądało na to, że od czasu mojej ostatniej wizyty nikt tam nie sprzątał.

Na zewnątrz oślepiło mnie upalne słońce.

- Dokąd teraz, komandorze? - zapytał Sonny, kiedy wskoczyłem na pokład.

Już miałem odpowiedzieć, żeby zawiózł mnie do domu, na przystań. Rozmyśliłem się jednak i kazałem mu wracać do portu towarowego, skąd wyruszyliśmy. Nadal szukałem Chucka i Grunera.

Rozdział 43

Sonny sterował z powrotem na Tsatsos, a mnie z minuty na minutę ogarniała coraz większa wściekłość.

Idę z dowodem, że Marie zamordowano, a wracam ze wspaniałomyślną zgodą na pomoc w sprawie niekryminalnej.

Na myśl o kręactwie Pekourisa miałem ochotę gryźć i kąsać. Cóż to za materiał na pokerzystę! Był mistrzem w gmatwaniu spraw i arcymistrzem w unikaniu szczerých odpowiedzi.

Przyczyną tego wszystkiego mógł być ów bezcenny sezon turystyczny. Nic nie przemawiało przeciwko takiemu rozumowaniu. Zdawało się, że wszyscy tutaj uwielbiają ten sezon turystyczny ponad życie.

Gdyby jednak Pekouris był zamieszany w jakiś nielegalny a dochodowy interes, gdyby czerpał z tego zyski, gdyby kogoś osłaniał, wówczas postąpiłby dokładnie tak samo. Przestało mnie to już bawić.

Czułem się zupełnie inaczej, gdy chodziło tylko o zabójstwo Girgisa. Wtedy była to po prostu gra, w którą chętnie grałem razem z Pekourisem. Teraz sytuacja wyglądała inaczej.

Jeżeli miał rację i Chuck był mordercą, to dostanie tę cholerną maczetę. Zdobędę ją dla niego. Ale jeżeli odkryję coś zupełnie innego w związku z Marie, to nie wycofam się z tej sprawy dla nikogo. Niech mnie wyrzuci z Grecji. Tyle że nim zdąży to zrobić, ja już będę miał w ręku dowody i nie będzie mógł powstrzymać biegu wypadków.

Usiadłem w cieniu na dachu kabiny, od czasu do czasu wciągając nosem mgiełkę pyłu wodnego, i próbowałem zebrać do kupy to, co wiem. Wyszło mi na to, że zero. Przepiękna letnia pogoda nad roziskrzonym morzem dopełniała mojego kielicha gorzycy.

Po przybiciu do mołu kupiłem w kiosku następną gazetę i usiadłem przy innym stoliku w kawiarni. Pierwszą gazetę zostawiłem w biurze Pekourisa, tak byłem wściekły. Właściwie nie miałem ochoty czytać, lecz był to dobry pretekst, żeby tam usiąść. Szukałem Pete'a Grunera.

Tymczasem znalazłem Steve'a. Nadszedł z drugiej strony, od budowy. Sam. Chucka z nim nie było. Nie miał ze sobą nawet Diane.

Minął mnie i zatrzymał się przy stoisku z przezroczami na rogu znanej mi już alejki. Wyglądało na to, że wałęsa się bez celu. Stał spoglądając mętnymi, naćpanymi oczyma na zatłoczone stoliki w cieniu drzew i nad przystanią.

Starannie złożyłem gazetę i zostawiłem ją obok campari, aby zarezerwować stolik, po czym wstałem i podszedłem do niego, nim zdążył oddalić się od alejki.

- Chcę z tobą pogadać, koleś - warknąłem moim najlepszym głosem prywatnego tajniaka.

Co chwila potracali nas przechodnie.

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać, Davies - odrzekł i zwrócił na mnie ospały wzrok lunatyka. Właśnie takiej odpowiedzi mi było trzeba. Na taką liczyłem.

Zrobiłem dwa kroki w głąb uliczki, odwróciłem się i złapałem go za mongolski kaftan, wciągając za sobą w cień alejki. Poleciał jak wystrzelony z katapulty. Usłyszałem trzask pękającej owczej skóry kaftana. Tandetna robota. Chwyciłem go drugą ręką i oburącz wyrznąłem nim w ścianę budynku tak, że głowa odskoczyła mu do tyłu. Przyłożyłem lewe przedramię do jego gardła i nacisnąłem, mocno. Spurpurowiał na twarzy. Odwróciłem się do niego bokiem, żeby nie mógł mnie kopnąć kolanem, gdyby mu to wpadło do głowy.

Nawet nie próbował. Potrzymałem go tak przez chwilę.

Za wylotem alejki, kilka cali od nas, ludzie popychali się i potracali, rozmawiając wesoło i kupując przezrocza przy stoisku. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Tak, jak się spodziewałem.

Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek zauważył, jak wystrzelił on nagle niby z katapulty i zniknął. Jeżeli nawet ktoś zjrzał w głąb alejki, to nam nie przeszkadzał.

Twarz Steve'a lekko zsiniała. Cofnąłem nieco przedramię. Wydał zduszony jęk, łączywie chwytając powietrze.

- A teraz - powiedziałem cicho - nie chcę słyszeć żadnego kitu. Żadnego pyskowania. Żadnej filozofii.

Otworzył usta. Przycisnąłem ramieniem.

- Nie. Nie odzywaj się. Nic nie mów. Na razie słuchaj. Zmniejszyłem trochę ucisk, widząc jak krew nabiega mu do twarzy.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest twój kumpel okularnik. Twój kumpel Chuck. Chcę wiedzieć, gdzie jest w tej chwili, w tej sekundzie. A nie gdzie był pół godziny temu. Ani gdzie będzie za godzinę.

Steve próbował wyciągnąć szyję.

- Nie. Jeszcze nie - powiedziałem, naciskając ramieniem. - Nie śpiesz się tak. Kiedy opuszczę rękę, powiesz mi, gdzie jest twój kumpel. Zgoda? To już.

- Wysłałem go do St Friday - zaskrzeczał Steve.

Przycisnąłem go z powrotem, czysto instynktownie.

- Nie igraj ze mną, synu. Nie przyszedłem tu zbijać bąków. Nie tym razem. Gdzie on jest?

Steve usiłował przełknąć ślinę. Chyba go zabolalo. Ucieszyłem się.

- To prawda - wyszeptał. - Wysłałem go do St Friday. Był przygnębiony śmiercią Słodkiej Marie. Wysłałem go tam znowu na trzydniowy post. Zaczął się wdawać w bijatyki.

- Jak dawno wyruszył?

- Jakaś godzinę temu.

- Jak chce się tam dostać?

- Idzie na piechotę. Drogą wzdłuż wybrzeża. Kazałem mu iść pieszo.

- Jeżeli to kant - syknąłem przez zaciśnięte zęby, uśmiechając się - to cię załatwię tak, że wylądujesz w szpitalu, jeśli tu taki mają. Z miłą chęcią zabrałbym cię stąd ze sobą, żebyś sam mi go znalazł.

- Mówię prawdę - wyszeptał. - Słowo.

Ponownie wbiłem w niego ramię, z nienawiścią, i cofnąłem się o krok. Po przejściach ostatnich kilku dni stałem się krwiożerczy. Chwyciłem go za gardło rozwidloną lewą dłonią, a prawą zacisnąłem w pięść.

- Przygotuj się - rzekłem i z całej siły zaprawiłem go prawą ręką w brzuch.

Zgiął się w pół, bezdźwięcznie chwytając powietrze. Mimo iż nabity mięśniami, nie miał ducha walki. Przysunąłem mu dłoń do twarzy, zahaczyłem palce o brodę i wyprostowałem go. Był biały.

- Nic z tych rzeczy - powiedziałem. - Nie zwymiotujesz ani nie zemdlejesz. Wyjdiesz stąd zaraz, jakbyś był dużym, dorosłym mężczyzną. Bo jak nie, to tak cię skopię, że połkniesz własne zęby.

Odwrócił się i bez słowa na oślepusz ruszył do kiosku z gazetami. Prawdopodobnie tam właśnie zmierzał, zanim go złapałem. Wróciłem do stołu, usiadłem i rozłożyłem gazetę.

Czułem się wspaniale. Już od wielu dni nie było mi tak dobrze. Bolały mnie zębra, lecz miałem to gdzieś. Czułem się znakomicie. Ale musiałem przejść do realizacji dalszych planów. Rozejrzałem się za Sonnym.

W tej samej chwili dostrzegłem Pete'a Grunera, wchodzącego do kawiarni od strony budowy. Złożyłem gazetę, wsadziłem ją sobie pod lewą pachę i rzuciwszy pieniądze na stół, podszedłem do niego.

- Szukałem cię - powiedziałem. - Chcę z tobą pogadać. To ważne. Ale teraz nie mam czasu.

- Ja też chcę z tobą pogadać - odparł Gruner z uśmiechem. - To już drugi raz. Wielkie umysły podążają...

- Szkoda języka - przerwałem mu. - Muszę natychmiast gdzieś iść. Możesz przyjść do tawerny Dmitriosa za dwie godziny? Albo za dwie i pół? Nie, lepiej za trzy?

Gruner obrzucił mnie kpiarskim spojrzeniem.

- Przyjdę.

Skinąłem głową i odszedłem. Sonny siedział przy stoliku Georginy; ruszyłem po niego. Chłoptaş Stevie też już tam był, tyle że siedział ponury i mało co się odzywał. Dotknąłem Sonny'ego i kiwnąłem ręką, żeby się zbierał.

- Chcę gdzieś popłynąć - wyjaśniłem mu, gdy szliśmy w stronę kiosku i brukowanej uliczki prowadzącej w dół na molo.

Perspektywa, że Stevie wskoczy w motorówkę i będzie nas śledzić niespecjalnie mnie martwiła.

Rozdział 44

Łatwo było obserwować z łodzi biegnącą wzdłuż wybrzeża drogę. Nie sposób było jej przegapić. Ale na zachód od portu znajdowało się mnóstwo małych zatoczek i droga skręcała tam w głąb łądu, by je ominąć. Bałem się, że na którymś z tych odcinków możemy minąć Chucka i zgubić go na dobre.

- Mógłbyś mi powiedzieć, co jest grane? - zapytał Sonny, zgodnie z moim poleceniem zawracając, by wpłynąć do zatoczki.

- Nieważne - odparłem. - Rób tylko, co ci każe. Za to ci płaci Freddy Tarkoff. - Nie wiedziałem, co z nim zrobię, jak go znajdę. Ale zamierzałem go znaleźć, choćbym sam miał przejść tę drogę piechotą.

Wreszcie znaleźliśmy go na długim, prostym i brzydkim odcinku trasy. Maszerował mozolnie z plecakiem na grzbiecie. Nawet z odległości stu jardów widziałem, że ma przy sobie maczetę. Nie sądziłem, że będę miał tyle szczęścia.

- Zawiań tam. Kawalek przed nim - poleciłem Sonny'emu. - Tam, gdzie jest piasek. - Kiedy przybiliśmy do brzegu, piasek okazał się niemal błotem. To dlatego ten odcinek drogi wyglądał tak nieapetycznie.

- Hej! - krzyknąłem. - Cześć! - Pode mną dziób łodzi łagodnie zarył w piach. Chuck spoglądał na nas przez chwilę, po czym ruszył w naszą stronę.

- Co ty tu robisz? - zawołałem.

- Idę do St Friday - odparł ponuro.

- No to wsiadaj. Podrzucimy cię.

- Tak? Naprawdę?

- Jasne. Czemu nie?

- Chętnie skorzystam, człowieku. - Stanął na skraju wody. Dopiero z bliska zauważyłem, że niedawno płakał. Wciąż jeszcze pochlipywał i ocierał nos. Na policzkach miał brudne smugi. Zrzucił trampki z nóg.

- Podaj mi plecak - rzekłem.

Wszedł do wody i podniósł go w górę.

- Daj teraz maczetę. Żeby nie zmokła.

Odpiął pochwę od pasa i wręczył mi ją bez słowa. Złożyłem ją obok plecaka.

Za moimi plecami Sonny w podziwu godny sposób trzymał głowę na kłódkę.

- No, dawaj rękę.

Nachyliłem się. Wszedł do wody po nogawki szortów. Chwyciłem go za rękę, pociągnąłem i wgramolił się przez reling.

- Siadaj - rzekłem uprzejmie. - Tak wygodniej niż na piechotę, - Skinąłem głową i Sonny zaczął wycofywać łódź.

- No pewnie - przyznał Chuck, zachlipał i otarł nos. Był wyraźnie ponury. Usiadł koło plecaka i maczety.

Ja też usiadłem. Ale byłem cały spięty.

- Po co idziesz do St Friday? - zapytałem.

- Za karę.

- Widzę, że płakałeś - stwierdziłem po chwili.

- Tak - przyznał i znów zaczął chlipać.

- Za co ta kara?

- Za to, że zabrałem wczoraj motorówkę - odparł Chuck. - Bez pozwolenia.

Czułem, jak ogień rozpała mi uszy. Musiałem zamrużyć powoli, żeby to zatuszować.

- Kto cię ukarał?

- Steve - wyjaśnił, nawet dosyć uprzejmie, i zachlipał. - Steve jest moim mentorem.

Dlatego muszę pójść do St Friday, odbyć trzydniowy post i wrócić na piechotę. Taka mam karę.

- To może nie powinniśmy cię zabierać, co?

- Ja mu nie powiem. - Podniósł wzrok. - Chyba że ty?

- Ja też mu nie powiem. Ale coś mi się zdaje, że on jest wobec ciebie za ostry.

- To prawda, człowieku - zgodził się. - Czasami.

Zapadło milczenie. Chuck siedział pochlipując. Sonny wycofał łódź i zawrócił. W upalnym pomarańczowym słońcu płynęliśmy wzdłuż brzegu w kierunku następnego cypla. Wciąż przetrawiałem w myślach to, co powiedział o motorówce. Trudno uwierzyć, że sam z siebie podał taką informację, nawet jeśli nie wspomniał o Marie.

Przypuszczam, że przy pewnej dozie dobrej woli można by się nad nim litować, jak nad zwierzęciem. Znałem takich, którzy by się nad nim ulitowali. Ale ja nie wykazywałem dobrej woli. Znając go, człowiek mógł się przekonać do eutanazji. No chyba że trafiło na takiego liberalnego anarchistę jak ja. Jego procesy myślowe przebiegały na poziomie zbliżonym do poziomu mądrego psa.

- Często musisz odbywać takie kary? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Ostatnio parę dni temu. Pobitem jakiegoś gościa. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ale nabrałem Steve'a. Nie poszedłem do samego końca, wróciłem po cichu. - Uniósł brwi. - Nie mogę tylko zrozumieć, skąd Steve wiedział, że tam nie dotarłem.

Sprawiło mi to śmieszna przyjemność, ponieważ to ja byłem tego przyczyną.

- Ciężko wytrzymać taki trzydniowy post?

- Jeszcze jak, człowieku. Ale mam w plecaku kurczaka i dwie butelki wina. Jutro Steve i Diane przywiozą mi drugiego kurczaka.

- Więc to nie jest ścisły post?

- No, w zasadzie jest. Strasznie się chce jeść. - Spuścił wzrok, przesunął dłońmi po maczecie i łzy znowu spłynęły mu po twarzy. - Chciałbym tylko, żeby nie kazał mi wyrzucać maczety.

- Chcesz powiedzieć, że zmusił cię do wyrzucenia tej pięknej maczety?

- Tak. Powiedział, że mam ją wyrzucić, człowieku. To część kary. Mam ją zabrać na urwisko w St Friday i wrzucić jak najdalej do morza. To ofiara błagalna, którą mam złożyć w pokucie Bogu Jedynemu. - Spojrzał na mnie.

Nie miałem na to gotowej odpowiedzi.

- On mi kupi nową - dorzucił Chuck z napiętą twarzą. - Ale ja chcę zatrzymać starą.

- Tak. Tak sądzę, skoro masz ją od dawna - powiedziałem. - Sądzę, że z czasem stała się jakby częścią ciebie samego.

- O to chodzi, człowieku, właśnie tak.

Zabił Girgisa i Marie czy nie, widać było jak na dłoni, że Steve nie ma wątpliwości co do jego winy.

Nagle zaczął wylewać przede mną wszystkie swoje życiowe żale. Przedtem spojrzał na rufę, upewniając się, że Sonny nas nie słyszy. W swej prostodusznej rozpaczycy zapomniał, że kiedykolwiek był na mnie wściekły i że podobno mnie nienawidził.

Kłopotów miał co niemiara. Odślonił przede mną obraz pseudoreligijnego dziwadła, skleconego naprędce kultu, kompletnie niezorganizowanego, scementowanego i okraszonego nieustannym paleniem haszu i trawy. Było tego dość, by zniszczyć system nerwowy dużo mniejszego bzika niż Chuck.

Wierzyli, że mają prawo nie pracować. Uznawali też za moralny obowiązek kraść, odrzucać hamulce seksualne, kochać przyrodę i chronić lasy i rzeki. Chuck został mianowany wielkim wezyrem. Przez Steve'a.

Na tym jednak jego kłopoty się nie kończyły. Gdzie tam. A więc Diane. On jest jej drugim mężem, wyjaśnił mi pokrętnie, odwołując się do poligamii, poliandrii, muzułmanów i

haremów, tyle że bez tych dużych słów. Steve był pierwszym mężem Diane. On drugim. W łóżku jeden mąż nie mógł zająć się nią jak należy. Ale teraz on, Chuck, zakochał się w Diane i jego życie stało się jedną wielką udręką. W dodatku Steve zmusza go do wyrzucenia maczety.

- Pokaż mi tę maczetę - rzekłem. - Mogę?

- Jasne, człowieku. - Podał mi ją.

- Piękna, szkoda gadać - stwierdziłem. Wysunąłem ją nieco z pochwy. Na ostrzu koło rękojeści znajdowały się te sławetne plamy krwi, rdzawe i brązowe. Niżej ostrze było czyste.
- To wygląda jak krew.

- Bo to jest krew - rzekł Chuck. - Krew kozy.

- Od krwi niszczy się ostrze. Rdzewieje.

- Wiem, człowieku. Wszystko to wiem. Ale to specjalna krew. Kiedyś musiałem walczyć maczetą w Meksyku. Z Meksykaninem. Miecz w miecz. On miał swoją maczetę i ja swoją i wygrałem. Przysiągłem, że nigdy nie zmyję jego krwi z mojego miecza. Gdybym zmył krew kozy, o tu, przy trzonku, to zmyłaby się też jego krew, rozumiesz? - Spojrzał na mnie badawczo. - Resztę utrzymuję w czystości.

- Nie byle pamiątka.

- Tak. Widzisz? Rozumiesz teraz, dlaczego tak trudno mi ją wyrzucić. Nawet jeśli to pokuta.

Schowałem ostrze i ważyłem maczetę w ręku

- Coś ci powiem. A może ja bym ci ją przechował? Nie chciałbym patrzeć, jak tracisz taką pamiątkę. Moim zdaniem Steve się myli. Tym razem. Przechowam ci ją i oddam za parę tygodni, jak Steve nie będzie już zły.

Przemyślał to sobie, jeżeli w jego przypadku można użyć tego słowa.

- Dobra - powiedział. - Układ stoi. - Wstał i z ożywieniem kilkakrotnie przeszedł na dziób i z powrotem. - Człowieku, to wspaniały pomysł, i mam nie mówić Steve'owi?

- Tak. Nic mu nie mów.

- Nie masz pojęcia, człowieku, jak mi pomogłeś.

- Drobiazg - rzuciłem. - Będę jej pilnował jak oka w głowie. Mówiąc to, wycierałem rękojeść maczety rąbkiem koszuli. Następnie ująłem ją za pochwę i wyciągnąłem do niego.

- U mnie będzie bezpieczna.

Chwycił ją za rękojeść. Delikatnie przyciągnąłem ją do siebie. Puścił.

- Schowam ją w bezpieczne miejsce - powiedziałem i zaniósłem ją na rufę. Zszedłem pod pokład, ukryłem maczetę w toalecie, wyjąłem tkwiący w zamku od środka klucz i

zamknąłem nim drzwi. Włożyłem klucz do kieszeni spodni i poklepałem go. A więc miałem ją. I to z doskonałym kompletem odcisków palców, które mogły się przydać Pekourisowi. Wróciłem na pokład.

- Daleko do St Friday? - zapytałem Sonny'ego.

- Jakieś dziesięć minut.

- No to przyspiesz. Jak tylko się da.

Wróciłem na dziób. Za mną silnik warkotał już o kilka tonów wyżej. Chuck siedział z rozpostartymi ramionami opartymi o reling, radośnie paląc papierosa, i wyglądał tak, jak gdyby olbrzymi ciężar spadł mu z serca. Miałem nadzieję, że tak będzie do końca. Choć bałem się, że nic z tego nie wyjdzie.

St Friday rzeczywiście było tak piękne, jak mówili. Wspaniała piaszczysta plaża przechodziła w głębi w piaszczystą glinę usłaną skałami, na której rosły wysokie stare sosny, szumiące cicho na wietrze od morza. Gliniastą ziemię pokrywał dywan brązowych igieł. Kaplica była niskim parterowym budynkiem z bielonego wapnem kamienia, krytym starożytnymi czerwonymi dachówkami. Osadzony na dachu grecki krzyż, nieco przekrzywiony na bok, przydawał kaplicy zawadiackiego wyglądu; miałeś wrażenie, że budynek mruga do ciebie. Najwyraźniej ktoś próbował ukraść krzyż, lecz nie udało mu się go wyrwać.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

W ciszy obłożyłem cumę dziobową na betonowym molo, zbudowanym przy skalnej ścianie zatoczki, i założyłem odbijacze, podczas gdy Sonny obłożył cumę rufową.

Następnie pomogłem Chuckowi z plecakiem. Ze spiżarni pod pokładem wyniosłem mu parę dodatkowych butelek wina. Ustawił je na molo koło plecaka i odwrócił się do mnie. Zszedłem na molo.

- Tak sobie myślałem - odezwał się posepnie. - I chcę dostać maczetę z powrotem.

Rozdział 45

W gruncie rzeczy spodziewałem się mniej więcej czegoś takiego. Upłynęło za dużo czasu. W ciągu dziesięciu minut nawet on potrafił zorientować się co i jak.

- O? - bąknąłem. - A to czemu?

- No bo myślałem o tym, człowieku, i wolę ją mieć przy sobie.

- Jeżeli ją weźmiesz, to w końcu wyrzucisz ją do morza, tak jak chce Steve.

- Jest mnóstwo miejsc, gdzie mogę ją ukryć.

- Zakopiesz ją i zmarnujesz. Zardzewieje.

- Nie rób ze mnie idioty, człowieku. - Zdobył się na półśmiech, przypominający raczej warknięcie. - Chcę ją dostać z powrotem. Jest moja.

- Uważam, że mądrzej byś zrobił, gdybyś mi ją zostawił na przechowanie.

Jego głos przeszedł w pisk.

- Myślisz, że dam się nabrać? Namówiłeś mnie, żebym ci ją dał. Wrobiłeś mnie tak, że zostawiłem nawet odciski palców.

- Daj spokój - rzuciłem. - Nie zrobiłbym czegoś takiego.

- Słuchaj, człowieku. To moja maczeta. Więc oddaj mi ją, dobra? - Zaczął strzelać palcami obu rąk, jak to już kiedyś widziałem; właśnie w takich chwilach Steve nie spuszczał z niego oka. Z ożywieniem zaczął podskakiwać na palcach.

- Ano, nie mogę tego zrobić - powiedziałem. - Ale przechowam ją dla ciebie.

Obrzucił mnie stekiem przekleństw.

- Ciota! Parowa! Gówniarz! - Szereg wariacji. - To oszukaństwo. To nieuczciwe. Złodzieju! Oddawaj moją maczetę!

- Zatrzymuję ją.

- Zmuszę cię, żebyś mi ją oddał! - wrzasnął Chuck.

- Dobra - rzekłem. - Zmuś mnie.

Był naprawdę szybki. Stał przede mną w jednej sekundzie. W następnej podskoczył, wyprowadził z biodra kopnięcie w moje krocze i odskoczył do tyłu. A wszystko to zanim zdążyłem wyrzucić słowa z ust. Nie zauważyłem tego, po prostu. Może spodziewałem się, że pogadamy dłużej.

Moje krocze ogarnął ból, którego promienie przeszyły mi pachwinę niczym zorza. Zaraz potem nastąpiły powolne, silne nudności w dołku. Cios jednak wydawał się lekki. Zupełnie jakby Chuck powstrzymał go, by się wycofać.

Instynkt nakazywał mi poddać się mdłościom i zwymiotować. Po moim trupie! Ja to nie chłoptaş Stevie. Ani żaden z gnojkw z budowy. Z wyszczerzonymi zębami ruszyłem na niego, widząc jak w jego oczach pojawia się zdumienie. Spodziewał się, że zemdleję.

Ponowił atak, swą postawą wskazując, że szykuje się do kopnięcia z biodra. Zrobiłem unik w bok, nachyliłem się ku niemu i rąbnąłem go silnym lewym prostym, który przełamał jego blok i wylądował mu na nosie, odrzucając go do tyłu. Kopnięcie chybiło celu; odskoczył. Ruszyłem za nim.

Nie byłem wściekły, to za mało powiedziane - ogarnęła mnie ślepa furia. Wystarczyłoby do tego już sam ból w kroczu i w boku. Ale myślałem też o Marie, o Girgisie, o całej reszcie. No i znajdowałem w tym jakąś dziką radość, od której głowa paliła mnie niczym przypiekana. Miałem gdzieś, czy mnie wyprawi na tamten świat. W razie czego zabrałbym go ze sobą.

Znowu zaatakował, a ja zrobiłem to samo: unik i lewy prosty. Gdy i tym razem chybił, a ja znów go trafiłem, kantem prawej dłoni wymierzył mi cios w szyję, co nie wyrządziło mi najmniejszej krzywdy. Za to on poczuł mój prawy ułokowany w jego brzuchu. Kiedy odskoczył, znowu ruszyłem na niego.

Ustępował mi pola. Nos miał już spuchnięty po moich dwóch ciosach. Zauważyłem jeszcze coś. Był szybki, lecz jego uderzeniom ręką i kopnięciom brakowało siły. Dziwne, lecz brakowało im przekonania lub mocy, jak gdyby w przeciwieństwie do mnie nie miał serca do walki. Uśmiechnąłem się do niego złośliwie.

Pokrzykiwał „Hu!” i „Ha!”, tak jak uczą tego w szkółkach karate na przedmieściach, lecz ja nie traćłem słów na próżno. Cisza może być równie straszna jak zgiełk. A z karate jest jak ze wszystkim - musisz być w tym dobry, jeśli chcesz być skuteczny. Właśnie dlatego wolałem walkę na pięści - dla mnie była czymś naturalnym. Chuck nie był aż tak dobry. Tylko na tyle, by móc sterroryzować jakiegoś gówniarza z budowy, ale to wszystko.

Ponawiając atak, spróbował trafić mnie kopnięciem z wysoku. Wysunąłem lewą rękę, opłotłem mu nogę w kostce i rzuciłem go na ziemię. Wylądował na plecach. Upadek omal nie pozbawił go tchu, lecz błyskawicznie przeturlał się, uwalniając nogę, i powstał. Znów uśmiechnąłem się do niego pełną gębą.

Tym razem natarł na mnie z twarzą pełną desperacji. Z jego ruchów wnosiłem, że chce wyprowadzić prawą nogą kopnięcie z biodra. Dążąc do zwarcia, wyszedłem mu naprzeciw, przyjmując cios w policzek, który sparaliżował mi pół twarzy, on zaś przeniósł ciężar ciała i wystrzelił z kopniakiem lewą nogą. Takim, jak za pierwszym razem. Najwyraźniej to była moja słaba strona.

Ból eksplodował mi w jądrach, lecz osiągnąłem swój cel - doprowadziłem do zwarcia. Zaprawiłem go w brzuch lewym sierpowym, który kompletnie pozbawił go tchu, po czym władowałem mu prawą pięść w skroń tak silnie, jak silnie potrafiłem bić. Poleciał do tyłu i spadł na plecy o dwa kroki dalej. Nie zważając na ból zrobiłem więc te dwa kroki, chwyciłem go za koszulę, poderwałem na nogi, uderzyłem z całą siłą, jaka we mnie została, i puściłem. Rozciągnął się jak długi, ja zaś schyliłem się, chwyciłem go za koszulę i znowu poderwałem w górę. Miałem zamiar powtórzyć to jeszcze raz. Chciałem powtarzać to w nieskończoność. A jednak coś mnie powstrzymało.

Słaniał się na nogach, nieprzytomny. Okulary już dawno spadły mu z nosa, wywracał zaszkłonymi oczami. Pięknie. Wszystko to pięknie. Z jego ust wydobywały się sylaby nie tworzące żadnych słów. Brzmiało to: „Tra ga go ka gie die”.

Podejrzywałem, że wciąż mnie przeklina, a przynajmniej tak mu się zdaje.

Miałem ochotę rozerwać go na strzępy. Miałem nadzieję, że Pekouris nie oszczędzi mu niczego. Miałem gdzieś, czy stanie przed plutonem egzekucyjnym. A jednak zmusiłem się, by opuścić pięść.

Nie było sensu łamać mu szczęki ot tak, dla zabawy. Zamiast tego chwyciłem go lewą ręką za koszulę i łagodnie potrząsałem nim w przód i w tył. Zadyndał bezwładnie. Puściłem go i usiadł na piachu.

Ruszyłem z powrotem do łodzi, z bólu w kroczu telepiąc się jak kaczka i powstrzymując wymioty. Przy każdym oddechu przeszywał mnie ból w boku. Też mi sposób na życie. Robiłem się już na to za stary.

Za mną Chuck powoli dochodził do siebie. Spróbował wstać i nawet udało mu się przykleknąć na kolanie. Sylaby, które przed chwilą deklamował, ułożyły się w przekleństwa. Miotał je na mnie niczym dziewczyna. Nie wiedział, co to znaczy przyjmować porażki z godnością.

Okulary, które spadły mu podczas walki, leżały na molo, jakimś cudem nietknięte. Wydało mi się to ze wszech miar niesprawiedliwe. Niemal odruchowo chciałem je zmiażdżyć obcasem. Miałby zabawę jak się patrzy, próbując je tu naprawić. Lecz znów powstrzymało mnie to samo „coś”.

Podniosłem je i obejrzałem. Szkoda gadać, były grube.

Trzymając je tak, żeby mógł je zobaczyć, zagwizdałem. Upewniwszy się, że patrzy na mnie, przełamałem oprawkę przy mostku i wrzuciłem okulary do głębokiej na siedem stóp wody.

- Możesz je sobie wyłowić, skurwysynu.

Chuck spojrzał wzrokiem krótkowidza najpierw na mnie, a potem na wodę.

- Załatwię cię za to! - wrzasnął. - Załatwię cię za wszystko!

- Tylko nie zapomnij ściągnąć kolegów! - odkrzyknąłem.

Skinąłem głową na Sonny'ego.

- Na miłość boską, Sonny, zjeżdżajmy stąd w cholerę.

Kiedy skręcaliśmy za cypel ograniczający zatoczkę, ginąc z widoku, Chuck grzebał w plecaku i wyciągał maskę do nurkowania.

Rozdział 46

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałem - oświadczył Sonny od steru, z podziwem w głosie. - Nie sądziłem, że bokser może pobić karatekę.

- Nie jestem bokserem - odparłem. - i prawdopodobnie nie dałbym rady pobić mistrza karate. Cassiusa Claya też bym nie pobił.

- No, ale w życiu nie widziałem takiego przedstawienia. Bolać cię jaja?

- Tak. Bola. A teraz zamknij się i daj mi święty spokój. - Odwróciłem się od niego, lecz tylko na chwilę. - Słuchaj, zawieź mnie wprost do Glauros. Jak okrążymy kraniec wyspy, płyn wprost tam. - Wciąż jeszcze miałem trochę czasu, by złapać Pekourisa przed odlotem.

- Czy to znaczy, że sprawa Girgisa jest zamknięta? - zapytał Sonny.

- To nic nie znaczy. Nic a nic. Sprawa Girgisa i tak już jest zamknięta. Pekouris sam ją zamknął. Pamiętasz?

- Słyszałeś chyba, że Chuck zabił tą maczetą jakiegoś Meksykanina? - rzekł Sonny.

- Słyszałem. Ty mi to właśnie powiedziałeś, Chuck mi to powiedział, Pekouris mi powiedział. Prawie wszyscy mi o tym mówili. Więc zamknij się wreszcie i daj mi spokój, i ani pary z gęby o tej bójkę.

Począłem na dziób i ostrożnie przysiadłem na dachu kabiny. Krocze bolało mnie jak wszyscy diabli, lecz bok jeszcze bardziej. Przy każdym oddechu przeszywały mnie ostre igły bólu.

Mimo to coś zaświtało mi w głowie. Siedząc bez ruchu, sięgnąłem po to coś, wyciągnąłem i okazało się, że jest to narastające we mnie przekonanie, że szalony Chuck-karateka jest niewinny. Po prostu wiedziałem, że nie popełnił żadnego z tych dwóch morderstw.

Po prostu wiedziałem, że jest niewinny. Byłem tego tak pewny, że zdecydowałem się oprzeć na tym swe dalsze działanie.

Nie miałem pojęcia, jak do tego doszedłem. Był to jeszcze jeden niezrozumiały łańcuch skojarzeń. Jak w wypadku przecucia, że znaleziono zwłoki Marie. Głupkowata twarz Chucka. Steve i jego strach przed wszystkim. Sposób, w jaki Chuck mówił o maczecie. Jak próbował mnie przeklinać, gdy był nieprzytomny. Jak to wykazał dość sprytu, by rozgryźć podstęp z odciskami palców. Jak przyznał się do zamiaru wyrzucenia maczety.

Dwie, trzy z tych rzeczy, to tak. To było do przyjęcia, ale nie wszystkie naraz.

Tak czy inaczej, byłem przekonany, że Chuck nie zabił ani Marie, ani Girgisa. Zrobił to kto inny.

Tym sposobem stanąłem wobec problemu jak się patrzy. Co by było, gdybym tak dostarczył maczetę Pekourisowi? Czy Pekouris zrobiłby z niej użytek? Miałem Chucka w głębokim poważaniu, co wcale nie znaczy, że chciałbym przyłożyć ręki do wrobienia go w morderstwo. A teraz już wiedziałem, że na ostrzu jest zaschnięta krew ludzka. Tego Meksykanina. Stara, to prawda. Ale gdyby tak ekspertom z laboratorium udało się ją wyizolować? I gdyby nie udało im się ustalić grupy krwi? Albo gdyby ją ustalili, a Meksykanin miał tę samą grupę krwi co Girgis?

Furia wciąż jeszcze mnie nie opuściła. Siedziałem na dachu kabiny, zadumany. Czulem zawód, który przychodzi po walce, gdy nie wyniosłeś z niej spodziewanej satysfakcji. Czyżbym litował się nad stukniętym Chuckiem? Czy myślałem o Marie, której nie można było przywrócić do życia, której zabójstwa nie można było cofnąć, choćbym je nawet wyjaśnił?

Po chwili poczłapałem na rufę do Sonny'ego.

- Rozmyśliłem się. Nie chcę już płynąć do Glauros. Chcę wracać wprost na przystań jachtów.

Rozdział 47

Ponieważ nie wybrałem się do Pekourisa z maczetą, miałem przed sobą godzinę czekania na pojawienie się Pete'a Grunera u Dmitriosa.

Schowałem maczetę w zamykanej szafce razem z zamkniętą na kluczyk teczką. Zaniósłem ją z molo przed tawerną do domu na tyle dyskretnie, że nikt jej nie zauważył. Nie wiedziałem, co mam z nią zrobić. W każdym razie nie zamierzałem przekazać jej Pekourisowi.

Pomijając inne rzeczy, które mi się przydarzyły, miałem teraz na sumieniu ukrywanie dowodów rzeczowych. W Ameryce czekałoby mnie za to oskarżenie o współudział po fakcie. Nie wiedziałem, co czeka mnie za to w Grecji. Zapewne dekapitacja.

Uporawszy się z maczetą, przeszedłem do rutynowej inspekcji mojego ciała pod kątem pierwszej pomocy. Zapowiadało się to na codzienny rytuał. Tak jak golenie czy zmiana bielizny.

Zamknąłem się w łazience i zbadałem swoje jądra. Bogu dzięki, nie były obrzmiałe. Ale bolały jak wszyscy diabli. Ledwie co mogłem ich dotknąć. Nudności ustąpiły, podobnie jak przeszywający ból. Ale bez przerwy odczuwałem ból, zwłaszcza gdy napinałem i naprężałem uda i chodziłem. Dziś Chantal nie miałyby ze mnie żadnego pożytku.

Wyglądało na to, że mój bok jest w coraz gorszym stanie, był rozpalony. Niewiele jednak mogłem na to poradzić. Bandaż trzymał się całkiem dobrze, był ściśnięty. Na obolałe jajka też nic nie mogłem poradzić. Bo i jak tu je zabandażować? Nie słyszałem jeszcze o bandażach na jądra.

Poza tym byłem bez szwanku. Cios z prawej ręki nie spowodował opuchnięcia policzka. Lewa strona karku bolała mnie trochę po uderzeniu w szyję.

Czułem, że bez dwóch zdań zapracowałem na zaliczkę Kronitisa i swoje sto pięćdziesiąt dolarów dziennie. Powinienem podbić cenę do dwustu pięćdziesięciu.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że straciłem podejrzanego o dokonanie morderstwa. Chuck odpadł. Musiałem więc zacząć od początku. Kto jeszcze został? Jim Kirk. Miałem Jima Kirka i ten potajemny przemyt heroiny, który się tu odbywał, albo może się odbywał, bo na ten temat padały jedynie niejasne aluzje.

Miałem nadzieję, że Pete Gruner wyjaśni mi to i owo. Usiadłem na werandzie, dając odpocząć moim biednym jajkom, i czekałem na niego.

Dostrzegł mnie nadchodząc i pomachał mi ręką. Nie wszedł jednak do domu. Skierował się do tawerny Dmitriosa i zajął stolik na zadaszonym, otwartym patio na tyłach lokalu. Uszanowałem ten sygnał. Żwawo zszedłem na dół i także zająłem stolik na zadaszonym patio. Poza nami nie było tam nikogo. Wszyscy inni klienci siedzieli na słońcu. Po chwili przysiadł się do mojego stolika.

- Co ci się stało w jajka? - zapytał.

- Złapałem trynia w Glauros - warknąłem. - A teraz koniec żartów. Sprawa, z którą przychodzę, jest poważna. Przynajmniej dla mnie.

- Wiem o tym - rzekł Pete i zerknął na mnie z ukosa.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, co mnie gryzie?

- No cóż, mam bardzo konkretne podejrzenia.

- Rozgryzłeś sprawę tej dziewczyny?

Poruszył głową i ramionami, nie tyle w geście lekceważenia, co współczucia.

- Właściwie to nie. Nie jestem z Wydziału Zabójstw. Ale mam bardzo konkretne domysły.

- Ano, twoje domysły trafiają w dziesiątkę - powiedziałem z krzywym uśmiechem. - Nie chcę się wdawać w szczegóły. To zbyt skomplikowane. Tylko byś się wynudził. Ale z pewnych powodów zabrnąłem w ślepią uliczkę. Myślałem, że mam podejrzanego jak się patrzy, a tu nic z tego... Ano, teraz w każdym bądź razie interesuje mnie heroina, i to, co się w związku z nią dzieje. Jestem pewien, że coś w tym jest.

Wpatrzył się w szklankę, obracając ją przez chwilę na blacie stołu. W końcu podniósł wzrok.

- Nic nie wiem o żadnej heroinie - oświadczył.

- W porządku - powiedziałem. Nie byłem w stanie wyrugować goryczy z głosu. - Jeżeli tak to wolisz załatwić... - Zacząłem wstawać z krzesła.

- Zaraz, zaraz - rzucił Pete. - Zaczekaj chwilę. Boże jedyny, ależ z ciebie nerwus. Nie dasz człowiekowi skończyć, a już się wściekasz. Weź i usiądź.

- Nie mam ochoty strzępić języka na próżno - rzekłem siadając posłusznie z powrotem. - Jeśli nie chcesz się przyznać, że jesteś od narkotyków, i powiedzieć, za czym tu wędzysz, to równie dobrze mogą się zbierać. Ja wiem, że jesteś od narkotyków, ty o tym wiesz, więc co u diabła? Do diabła z tym.

- Nigdy nie powiedziałem, że jestem od narkotyków - odparł Pete. - To ty to w kółko powtarzasz. Ja zaprzeczam.

- Dobra, dobra - burknąłem ze znużeniem.

- To prawda.

- Dobra.

- Co wiesz o heroinie na tej wyspie? - zapytał.

- Wiem, że Jim Kirk z „Agoraphobe” ściąga tu trochę hery dla specjalnych klientów. Takich jak ten stary amerykański ambasador i paru hipisów z budowy. Podobno towar z Aten. Liczy za niego dwa razy tyle co w Atenach. Ale zdaje się, że sam tego nie rozprowadza. Wiem, że Girgis nie był w to zamieszany i że nie tykał heroiny. Wiem, że Kronitis, który jest właścicielem obu łodzi, też nie jest zamieszany. A przynajmniej tak mi się zdaje - dorzuciłem, gdy Gruner spojrzał na mnie raptownie.

Wciąż obracając szklankę, wyduł wargi, jak gdyby chciał zagwizdać, i zastanawiał się przez chwilę.

- Nic więcej nie wiesz?

- Nie.

- Nic więcej nie podejrzewasz?

- Nie mam powodu do żadnych podejrzeń.

- W porządku - rzekł i opróżnił szklankę. - A teraz, jeżeli się zamkniesz, nie będziesz się napalał i dasz mi coś powiedzieć... - Skinął na kelnera.

- Zgoda - warknąłem i spojrzałem na niego spode łba. Wyprostowałem plecy i strzepnąłem papierosa, udając skupienie, na co mój bok i jądra wydarły się na mnie. - No dobra. Jestem gotów. Strzelaj.

- Twoje szczęście, że wyjeżdżam, bo inaczej w ogóle nie mógłbym z tobą pogadać - oświadczył i uśmiechnął się szeroko. - A teraz nie przerywaj. Wyjeżdżam stąd, prawdopodobnie dzisiaj wieczornym samolotem. Dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

- Będziesz miał Pekourisa za współpasażera - wtrąciłem.

- Świetnie. Nigdy go nie spotkałem. A teraz więcej już nie przerywaj. Wyjeżdżam stąd i wracam do Stanów. Wyjeżdżam z powodu śmierci matki. Nie przerywaj. Więc chciałem się z tobą zobaczyć. Jako stary bywalec na wyspie, a nie jako agent od narkotyków, mogę ci powiedzieć coś, co być może przyda ci się do zrealizowania twoich planów. Czyli prawdopodobnie do złapania tego, kto zabił Girgisa. I przypuszczalnie dziewczynę. - Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. - W porządku?

- Mówiłeś, że dlaczego wyjeżdżasz? - spytałem.

- Dlatego, że umarła mi matka. Jadę na pogrzeb. Może tu jeszcze wrócę, a może nie.

- Gdzie mieszkała twoja matka, w Waszyngtonie?

- Nie.

- To pewnie w Marsylii albo w Paryżu?

- Nie. Mieszkała w New Hampshire. I właśnie tam jadę.

- Dlaczego oni ci to robią? - rzekłem.

Wzruszył ramionami, rozmyślnie przeinaczając sens moich słów.

- Matki umierają. To nieuniknione. To coś, czego nie sposób kontrolować.

- I dlatego wybywasz tak po prostu i zostawiasz mnie tu samego z całym majdanem na głowie?

- Kiedy umiera ci matka, wracasz do domu i kropka.

- Nawet się tym nie zajmujesz?

Uśmiechnął się do mnie.

- Jasne, że się przejmuję. Śmiercią matki. Każdy przejmuję się śmiercią matki. A co do mojej nowej łodzi, o której ci mówiłem, to cóż, będzie musiała poczekać. Gdzieś, kiedyś, trafi mi się jakaś inna łódź, na jakiejś innej wyspie.

- W porządku - burknąłem. - W porządku. Co chciałeś mi powiedzieć?

- Niewiele - odrzekł Pete. - Właściwie to nie wiem nic takiego, co mógłbym ci powiedzieć. Naprawdę wiem tylko tyle, że miałem nagrany wygodną, dochodową robotkę na „Polarisie” i że miałem wejść w spółkę z Kirkiem. A tu moja matka wzięła i umarła.

- Jasne, jasne - mruknąłem. - Więc?

- Wszystko, co wiem na pewno, a co mógłbym ci powiedzieć, to jeden mały drobiazg. Posłuchaj. Zapamiętaj. Zakonotuj to sobie. Wykorzystaj. Drugi raz ci tego nie powtórzę. Tylko jedna informacja. Miej oko na ten statek „Polaris”. Miej na niego baczne oko. - Przerwał i podniósł jedną z dwóch nowych szklanek, które przyniósł nam kelner.

- To wszystko? - powiedziałem zirytowany.

- Wszystko. Ale to ważne. A zresztą może i nie. Ale to wszystko, co wiem na pewno. Co podejrzewam, to już inna sprawa, ale nie wolno mi na ten temat dyskutować.

- Dlatego, że umarła ci matka.

Zignorował moją uwagę.

- Mój wyjazd spowoduje średniej wielkości dziurę w tej maszynerii. Byłem już wynajęty i myślę, że liczyli na mnie. Po moim wyjeździe kto inny będzie musiał się tym zająć.

- Czym?

- Pracą na „Polarisie”.

- Czy Kirk już wie, że wyjeżdżasz?

- Nie. Jeszcze nie. Właśnie miałem zamiar mu o tym powiedzieć. Ale wyjechał.

- I naprawdę cię to nie obchodzi? Nic a nic?

- Jest wiele innych wysp.

- Gdzie jest teraz Kirk?

- Jeżeli cię to interesuje, mogę ci powiedzieć nawet bardzo dokładnie. Pojechał tą górską drogą na tej swojej motorynce, mniej więcej dwie mile pod górę i kawałek na prawo w las. Ma ze sobą żonę Sonny'ego Duvala. No jak? Starczy? Ja tu na niego zaczekam.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Sonny'ego. Po naszym rozstaniu wrócił na swój wielki kaik. Przypuszczałem, że nadal tam siedzi. Nie obchodziło mnie zresztą, gdzie jest.

- I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Obserwować „Polarisa „,?

- To wszystko - potwierdził Pete kiwając głową.

- No dobra. - Wstałem. - Pozdrów ode mnie swojego ojca, jak się z nim spotkasz. Mam nadzieję, że nie będzie musiał umrzeć przy twojej następnej robocie.

- Prawdę mówiąc, mój ojciec zmarł w zeszłym roku.

- To mam nadzieję, że nie zabraknie ci wujków i ciotek na przyszłość - powiedziałem.

- No to najlepszego. Przykro mi, że mnie opuszczasz. Do zobaczenia w Waszyngtonie. Jak wrócę, zatrudnię się w Urzędzie do spraw Indian. - Już miałem wyciągnąć rękę, lecz powstrzymałem się. Co za dużo, to niezdrowo. - Do widzenia.

- Aha, Lobo! - zawołał za mną.

Zatrzymałem się i odwróciłem.

- Wiem z doświadczenia, że jeżeli kupisz przepaskę, najmniejszy rozmiar, to pomoże ci przez pierwsze parę dni. Tylko kup naprawdę małą.

Obrzuciłem go wzrokiem, po czym parsknąłem lekko i ruszyłem dalej.

- Powodzenia! - zawołał. - Tak trzymaj.

Rozdział 48

Obserwuj „Polarisa”, powiedział. O ile mi było wiadomo, od śmierci Girgisa „Polaris” nie ruszył się ze swego miejsca w porcie.

Poza tym byłem pewien, że Marie nie skłamałaby mi, mówiąc, że Girgis nie tykał heroiny.

Skoro jednak kazał mi obserwować „Polarisa”, to miałem zamiar pójść za jego radą. Na tym etapie byłem już gotów na wszystko.

Ogarnęła mnie raptem od dawna narastająca wściekłość na gliniarzy. Wszyscy oni manifestowali to cholerne poczucie wyższości. Jediną cechą, którą się naprawdę wyróżniali, pomijając znaczek służbowy i pensję, była zadziwiająca gotowość do ślepego wykonywania rozkazów. Ja oblewałem wszystkie sprawdziany z posłuszeństwa już od lat dziecięcych.

Niemniej musiałem przyznać, że pomysł z przepaską jest wcale niezły. Drażniło mnie, że sam na to nie wpadłem. Niedaleko tawerny znajdował się grecki sklepik z galanterią, więc ruszyłem tam, by oszczędzić sobie wyprawy do portu, pieszo bądź łodzią Sonny’ego.

Kiedy mijałem tawernę, Grunera już nie było. Nieco wcześniej zajechał Jim Kirk, wioząc na tylnym siodełku Jane Duval, więc pomyślałem, że Gruner pogadał z nim i odszedł. Spakować się i złapać samolot.

Przepaska pomogła mi ogromnie, i to natychmiast, gdy założyłem ją po powrocie do domu. Siedziałem z pełną szklanką w ręku i czułem się jak młody bóg, kiedy zabrzączał telefon. Mogłem się tego spodziewać.

Dzwonił Kronitis.

Musiałem przejść przez cały ten bzdurny ceremoniał. Najpierw podejrzliwy sekretarz, potem stary we własnej osobie i jego arsenał sztywnych formułek powitalnych.

- Dzwonię dowiedzieć się, czy, uhm... poczynił pan jakieś postępy. W naszej sprawie - wydusił w końcu.

- Robię niejaki postępy - odparłem. - Odkryłem, że jeden z podejrzanych nie jest mordercą.

- Ale nie wykrył pan, kim jest, uhm... morderca? - zapytał po chwili przerwy.

- Nie, proszę pana. Tego nie wykryłem. Natomiast odwaliłem solidny kawał roboty. Poświęcając temu mnóstwo energii i wysiłku fizycznego. - Uznałem, że mogę to powiedzieć z ręką na sercu. - A jeszcze więcej pracy mam w planie na najbliższe dni.

Jego głos stwardniał.

- Rozumiem.

- Być może nie słyszał pan o tym, panie Kronitis, że popełniono tu następne morderstwo - rzekłem.

- Następne? - W jego głosie wyczuwało się szok.

- Tak jest. Młoda Amerykanka, ta, która nurkowała. Ona...

- A, o tym wiem wszystko. Dziewczyna przejechana przez łódź. Policja uznała jej śmierć za wypadek.

- A ja sądzę, że to było morderstwo - stwierdziłem. - I uważam, że dziewczynę zabiła ta sama osoba, co Girgisa.

- No cóż, bardzo mi przykro - rzekł Kronitis. - Naturalnie, że przykro mi z powodu śmierci tej dziewczyny. Ale jej śmierć mnie nie interesuje. Interesuje mnie wyłącznie zabójstwo Girgisa Stourkosa. I obawiam się, że jestem zmuszony zakończyć naszą krótką współpracę.

Tym razem to ja zaniemówiłem na chwilę.

- Pekouris dzwonił do pana? - zapytałem ostro.

- Pekouris? Inspektor? Nie, nie rozmawiałem z nim od dnia, kiedy dzwoniłem do pana ostatnim razem, panie Davies. Nie na tym polega problem. Problem w tym, że nadchodzi, uhm... sezon turystyczny.

- Ano, Pekouris też ma to na uwadze.

- Sezon turystyczny interesuje innych ludzi. Dużo potężniejszych niż Pekouris.

To mi dało prawo do kolejnej przerwy.

- Rozumiem - bąknąłem wreszcie. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Zastanawiałem się właśnie, czy mogę ufać Kronitisowi. Przypomniało mi się ostre spojrzenie Grunera, kiedy wymieniłem nazwisko starego.

- Dlatego też przykro mi, ale w związku z tym jestem zmuszony dać panu wymówienie, panie Davies. Przykro mi. Ale wymawiam panu pracę w trybie natychmiastowym. Począwszy od tej rozmowy. Dalsza dyskusja na ten temat niczego nie zmienia.

- W porządku, proszę pana - rzekłem. - Skoro tak pan sobie życzy. Czek na sumę zaliczki otrzyma pan w jutrzejszej poczcie. Dołączę też rachunek za moje usługi. Może mi pan przesłać czek tutaj.

- Nie, nie - zaprotestował. - Nie, nie. Nie chcę pańskiej zaliczki z powrotem.

- Ale dostanie ją pan - oświadczyłem.

- Nie, nie. Świadomie podjąłem ryzyko współpracy z panem, panie Davies. Obaj zabawiliśmy się w hazard. Nie udało się - trudno. Moja strata. Zaliczka jest pańska.

- Tak czy inaczej, odsyłam ją - rzekłem krótko.

- Nalegam, żeby pan ją zatrzymał.

Nie odpowiedziałem.

- Czy planuje pan natychmiastowe opuszczenie wyspy?

Pomyślałem, że to zabawne, usłyszeć to pytanie akurat od niego.

- Nie, nic podobnego - odparłem. - Myślę, że posiedzę tu jeszcze jakiś czas.

Przynajmniej do końca wakacji.

Zapadła cisza.

- Dobrze. Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję się spotkać. - Rozpoczął swój nie kończący się ceremoniał pożegnalny.

- Do widzenia, panie Kronitis. Jestem zajęty jak cholera - uciałem, na co wyłączył się.

Pies go trącał. Do diabła z nim. Nie zależało mi na kliencie, który cały czas próbuje się wycofać. Zwłaszcza odkąd straciłem pewność, że mogę mu ufać.

Pomyślałem, że mimo wszystko Pete Gruner powiedział mi całkiem sporo.

A więc do tego doszło. Spojrzałem na telefon. Mam gdzieś jego pieniądze... Pohamowałem się - to było kłamstwo. Zależało mi na jego pieniądzach. Ogromnie mi na nich zależało. Potrzebowałem tych pieniędzy, i to bardzo. Najgorsze jednak, że straciwszy w nim klienta, dla policji nie miałem żadnego oficjalnego statusu. Musiał o tym wiedzieć. Jeżeli o to właśnie chodziło Pekourisowi, to osiągnął swój cel. Nie wierzyłem staremu. Sądziłem, że Pekouris rozmawiał z nim po raz drugi.

Podszedłem do fotela i usiadłem, by sobie wszystko przemyśleć. Bok mnie palił, a krocze bolało. A więc straciłem pracę. Zaledwie usadowiłem się w wygodnej pozycji, cholerny telefon znowu zabrzączał. Tym razem dzwoniła Chantal.

Nie traciła czasu na czułości.

- Chcę się z tobą zobaczyć. Musimy porozmawiać - oświadczyła zimnym tonem zawodowej hrabiny.

- W porządku - rzekłem. - Nie gryź się. Wpadnę do ciebie późnym wieczorem. Idziesz gdzieś na kolację, prawda? Czy nie można poczekać z tym do wieczora?

- Tak. To znaczy nie można. Chcę się z tobą zobaczyć, i to zaraz.

- Słuchaj, może byś tak ochłoneła? Co takiego straszego się stało?

- Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon. To sprawa osobista.

Zastanowiłem się. Nie miałem specjalnej ochoty nigdzie się ruszać. Nawet wieczorem nie chciało mi się jej odwiedzać.

- Zgoda, zaraz będę. Za jakieś pół godziny.

Odłożyła słuchawkę bez pożegnania. Zastanawiałem się, o co chodzi tym razem. Nie zamierzała chyba zgłaszać pretensji za ubiegłą noc. Ale z pewnością czekała mnie kolejna porcja złych wieści.

Przeszedłem do zamykanej szafki, otworzyłem ją i wyciągnąłem zamkniętą teczkę, w której trzymałem nowojorską książeczkę czekową. Mój tajny dowód - maczeta - wciąż tam była, oparta o półki.

Kiedy jednak zabrałem się do wystawiania czeku dla Kronitisa, przyszło mi na myśl, że stan mojego nowojorskiego konta może nie wystarczyć na pokrycie tej kwoty.

W teźce nadal miałem jego cztery tysiące dolarów w gotówce. Nie wpłaciłem ich jeszcze do tutejszego banku.

Schowałem książeczkę czekową i pieniądze z powrotem do teźki, zatrzasnąłem ją i zamknąłem razem z maczetą. Będę musiał znaleźć jakiś sposób na zwrócenie mu jego gotówki.

Wsunąłem klucz do kieszeni, wyszedłem na dwór i przywołałem stojącą przed tawerną dorożkę. Nie czułem się na siłach wędrować pod górę do Chantal pieszko.

Rozdział 49

Czekała na górnym patio i nie traciła czasu na wymianę grzeczności czy miłosne gruchanie.

- Policja uznała śmierć Marie za wypadek.

- Wiem - odparłem. - Ale to w najmniejszym stopniu nie zmienia mojego zdania.

- Twojego zdania chyba nic nigdy łatwo nie zmienia, co?

- Bo ja wiem? Zależy jakie zdanie, i jaka sprawa. Jeśli chodzi o Marie, nie mam żadnych wątpliwości. Policja się myli. Ale z pewnością nie po to mnie tu wezwałaś, żeby rozprawiać na ten temat?

- W pewnym sensie tak, a w pewnym nie - odrzekła bez przekonania. - Miałam nadzieję, że znając raport policyjny poniechasz koncepcji morderstwa.

- Mowy nie ma - oświadczyłem.

- Mogłam się tego spodziewać - stwierdziła Chantal, przybierając sekutniczy wyraz twarzy. - W każdym razie - westchnęła głęboko - w każdym razie chciałam ci powiedzieć, że przestaję cię dłużej zatrudniać.

- Co takiego?!

- Po prostu, zwalniam cię - powiedziała i spłonęła rumieńcem. - Skoro już chcesz usłyszeć to bez ogródek. Nie życzę sobie, żebyś dla mnie dłużej pracował.

- Czyżbyś odnosiła wrażenie, że pracowałem dla ciebie?

- Tak. Pracowałeś przecież dla mnie, czyż nie? Ale teraz policja zamknęła sprawę Girgisa jako niewyjaśnioną. Śmierć Marie uznano za wypadek. Postanowiłam więc zapomnieć o wszystkim. Girgis nie żyje. Nikt mnie już nie szantażuje. Nie potrzeba mi więcej twoich usług. Chcę, żebyś spakował się i wyjechał, opuścił wyspę. Jedź stąd, trzymaj się z dala i nigdy nie wracaj. Tym swoim „śledztwem” przysparzasz tylko kłopotów. Wszystkim.

Przyglądałem się jej. Powoli przemierzaliśmy patio w stronę domu.

- Pozwolisz, że wpię się napiję? Przed pakowaniem?

Odwrociłem się, wszedłem do salonu i ruszyłem wprost do baru. Dopiero z pełną szklanką whisky w ręku odwróciłem się i ujrzałem, że portret młodej Chantal zniknął.

Jego miejsce zajął banalny pejzaż. Wieczne światło ponad obrazem było zgaszone. Chantal wciąż stała na zewnątrz. Podeszedłem do nowego płótna i zapaliłem lampkę. Wychynał ku mnie krajobraz greckiej wsi, w świetle lampki jeszcze mniej pociągający. Stałem zapatrzony. Chantal weszła do salonu i zobaczyła, że patrzę na obraz.

- Co zrobiłaś ze swoim portretem? - zapytałem.

- Zdjęłam - odparła z dziwnym uśmiechem, ni to cierpkim, ni to żalonym, błagalnym.

- To widzę. Ale dlaczego?

- Dlatego, że przestał mi się podobać - wyjaśniła. W jej oczach zamigotały ogniki. - Mam go dość. Często zmieniam w domu obrazy, gdy mi się znudzą. - Wypadło to nader blado.

Byłem gotów iść o każdy zakład, że jej portret nigdy dotąd nie zmienił miejsca.

- A więc chcesz, żebym spakował się, opuścił wyspę i więcej tu nie wracał, tak?

- Owszem, myślę, że to by było najrozsądniejsze i najbardziej szarmanckie posunięcie z twojej strony. Zważywszy na okoliczności.

- Być może. Tyle że dziwnie nagle to wypowiedzenie. Zaledwie wczoraj mówiłaś, że zakochałaś się we mnie.

Jej twarz zeszywniała.

- Możliwe, że to właśnie jeden z powodów.

- Możliwe. Sądzę jednak, że musimy sobie szczerze wyjaśnić kwestię mojej pracy dla ciebie. Ja dla ciebie nie pracuję, i nie pracowałem począwszy od dnia, kiedy zginął Girgis.

- No cóż, mówiłaś, że mi pomożesz, i zakładałam, że tak zrobisz. Uznałam, że skoro wmieszalaś się w to wszystko przeze mnie, muszę ci powiedzieć, żebyś nie robił tego na mój rachunek.

- Dobrze wiesz, że tak nie jest - rzekłem.

- Nie. Jeszcze przed śmiercią Marie sądziłam, że to mnie chronisz, czy raczej starasz się chronić.

- Założmy, że wyjadę. Co zrobisz z resztą kosztów wynajmu domu? Co zrobisz z resztą opłaty za łódź Sonny'ego?

- Postaram się odzyskać, ile się da, i zwrócić pieniądze Freddy'emu Tarkoffowi - odparła Chantal z uśmiechem.

- Akurat coś odzyskasz - prychnąłem.

Bez przekonania wzruszyła ramionami i kiwnęła głową. Bez słowa.

Przyglądałem się jej, próbując wykombinować, o co tym razem chodzi. To nie miało sensu. Nawet gdyby zakochała się we mnie do szaleństwa. A wątpiłem, żeby była we mnie aż tak zakochana. Cieszyło mnie to. Bo ja też aż tak jej nie kochałem, i sądziłem, że ona wie o tym.

- Rozmawiałaś z Kronitsem? - zapytałem.

Był to strzał na oślep. Jej twarz momentalnie przybrała zabawny wyraz. Zamrugła, by ukryć zmieszanie.

- Z Leonidem? Po co miałabym rozmawiać z Leonidem Kronitsem o tobie? - Tak przejrzyste kłamstwo nie wymagało nawet komentarza.

- Tak sobie tylko pomyślałem - rzekłem uśmiechając się od ucha do ucha. - Jesteś drugą osobą spośród moich klientów - choć co do tego, czy jesteś klientką, mam pewne wątpliwości - która mnie dzisiaj zwolniła. Pierwszą jest Kronitis. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że mam innego klienta?

- Nic o tym nie wiem - zaprzeczyła lojalnie. - I nie obchodzi mnie to. Troszczę się wyłącznie o siebie i swoje życie.

- Jasne - przytaknąłem. - A może rozmawiałaś też z Jimem Kirkiem?

To także ją ruszyło. Jej twarz jak gdyby się spłaszczyła od męcznej, lecz bezowocnej walki o zachowanie niewinnej miny. Ta niewinność obwiniła.

- Jim Kirk nie ma z tym nic wspólnego. Z niczym.

- Chciałbym być tego pewny. Zdajesz sobie sprawę, że Jim Kirk może być mordercą, którego szukam?

- Jim? Jim Kirk nie mógłby zrobić czegoś takiego.

- Być może. Nie jestem taki pewny.

- Och, chciałabym, żebyś wreszcie wyjechał! - powiedziała Chantal z goryczą. - Chcę, żebyś się stąd wyniósł, żebyś opuścił wyspę. To jedyne, czego chcę.

- Marne widoki - rzekłem. - Wierz mi, że siedzę tu równie niechętnie, jak ty mnie przyjmujesz. Gdy tylko wyjaśnię tę sprawę, natychmiast wybywam w siną dal. Ale dopóki jej nie wyjaśnię, lepiej żebyś przywykła do mojego widoku.

- Jest jeszcze inny ważny powód, dla którego powinieneś wyjechać.

- Jaki?

- Taki, że ja również wyjeżdżam. W najbliższym czasie czeka mnie podróż do Paryża. Prawdopodobnie za dwa lub trzy dni. Mam tam chorą przyjaciółkę, która mnie potrzebuje. Nie mogę jej sprawić zawodu. Tak że nie będzie mnie tu przez resztę twoich... - przerwała - twoich „wakacji”.

- Ano, będzie mi ciebie brak - rzekłem. Nie wątpiłem, że istotnie tak będzie. Ale to niczego nie zmieniło.

- Nawet to nie przekona cię do wyjazdu? Moja nieobecność?

- Mam wrażenie, że ty nic nie rozumiesz - powiedziałem. - Jestem tu, jak mawia moje pokolenie, na czas wojny. Nie wyjadę aż do rozwiązania.

- I podejrzewasz Jima Kirka?

- Właściwie to może i masz rację co do niego - rzekłem. - Kto wie, czy nie wykryłem już zabójcy. Złapałem dziś Chucka i zabrałem mu maczetę. Jest cała we krwi. - Obserwowałem ją bacznie przy tych słowach.

Kompletnie zbiłem ją tym z tropu.

- Co? Kto?

- To jeden z hipisów. Możliwe, że mimo wszystko możesz spać spokojnie, nie martwiąc się o Kirka. Inspektor Pekouris zdaje się myśleć, że to ten dzieciak.

Jej twarz jakby się rozchmurzyła.

- A zatem wyjaśniłeś już całą sprawę.

- Niezupełnie. Trzeba to jeszcze udowodnić.

Widać było po niej kompletne zaskoczenie.

- A więc zrobił to ten chłopak? Myślisz, że mordercą jest ten hipis?

- Możliwe. Obecnie wszystko wskazuje na niego.

- No i widzisz? Mówiłam ci, że Jim Kirk nie mógłby tego zrobić. Dlaczego nie powiedziałeś mi od razu o tym chłopaku?

- Bo mnie zaskoczyłaś. Mówiąc, że wyjeżdżasz - odparłem.

- I będzie ci mnie brakowało?

- Tak. Na pewno. Bez dwóch zdań.

Posłała mi nagły uśmiech, który wprawił w drżenie kąci jej ust. Następnie zakryła dłonią nos i usta i odwróciła się.

Przeszła na drugą stronę salonu, do baru, i zaczęła bawić się bezmyślnie butelkami i szklanką. Zdawało się, że zaraz zmiesza sobie koktajl, lecz zamiast tego odwróciła się do mnie z zupełnie zmienioną twarzą. Nie potrafię opisać tej zmiany. Ale nie uśmiechała się.

- Myślisz, że nie wiem, dlaczego to robisz? - rzuciła ochryple.

- Niby co?

- Pomagasz mi.

Nie odpowiedziałem. Pogubiłem się i nie chwytałem, w czym rzecz.

- Troszczysz się o mnie, opiekujesz, pomagasz uporać się z całym tym rozgardiaszem? Nawet kochasz się ze mną? Masz mnie za idiotkę? - wyrzuciła z siebie Chantal. - No więc wiem.

Zamilkła. Nie odzywałem się.

- Starość - powiedziała. - Tak. Starość. Widzisz ją we mnie tak samo jak w sobie. Litujesz się nade mną.

Była na skraju płaczu.

- Ale ja nie chcę twojej zakichanej litości. Ani niczyjej. - Zgarbiła się, jak gdyby nagle zniedołężniała. - Ty i ta twoja zakichana starość.

Zaczynałem pojmować sens jej słów, który jednak - o ile się orientowałem - w żaden sposób nie wypływał z niczego, co sobie powiedzieliśmy. Zażyła mnie intuicją, i to głęboką, nieoczekiwaną. Zaczynałem pojmować sens, a ona najwyraźniej skończyła. Rozpłakała się.

- Nikt nic na to nie poradzi - rzekłem cicho. - Nikt jeszcze nie wymyślił, jak temu zaradzić.

Nie odpowiedziała, wciąż zakrywając dłonią usta i nos. Jej ramiona drgały.

Podszedłem więc i objąłem ją, ona zaś oparła się o mnie na chwilę. Zaraz jednak odsunęła się i wyprostowała.

- Za kilka minut muszę wyjść na kolację - powiedziała piorunując mnie wzrokiem. - Będę wyglądała okropnie. Jak nieboskie stworzenie.

- Idź na górę i przemyj twarz - poradziłem. - Zimną wodą. A ja sobie pójdę.

- Zobaczymy się w nocy?

- Nie sądzę. Raczej nie. - Nie potrafiłem zdobyć się na wyjaśnienie dlaczego. - Ale może zadzwonię później. Albo jutro wieczorem.

Wychodząc zastanawiałem się, czy Pekouris zadzwoni do mnie rano w sprawie Chucka. Ot, ciekawostka.

Rozdział 50

Nie powinienem wracać pieszo. Zanim dotarłem do domu, pachwina bolała mnie okrutnie. Nie chciałem jednak siedzieć u Chantal i czekać na wezwaną telefonicznie dorożkę. Bok natomiast mniej mi doskwierał, a to dzięki temu, że po południu zapewniłem mu chwilę odpoczynku od wszelkich gwałtownych ruchów.

Na drzwiach oczekiwała mnie przypięta kartka - zaproszenie na przyjęcie na kaiku Sonny'ego. Zawiadomienie podpisali Sonny i Jane, a także Jim Kirk. Najwyraźniej Kirk był współgospodarzem zabawy. Zabrałem kartkę do domu.

Fakt, że Jim także podpisał się pod zaproszeniem, zakrawał mi na przesadę. Ale Jane Duval nie obchodziła mnie ani teraz, ani nigdy dotąd.

W domu zapaliłem światła i nalałem sobie kielicha. Kiedy wyruszałem do Chantal, już dawno minęła siódma, a teraz było całkiem ciemno. Z mojej - werandy przyjęcie na kaiku Sonny'ego było i widoczne, i słyszalne.

Rozważywszy za i przeciw, uznałem, że powinienem pójść. Zwłaszcza, że miał tam być Kirk. Chociaż nie miałem na to ochoty Nie jadłem obiadu, ale nie byłem głodny. Stara Greczynka już wyszła. Nie chciałem znowu jeść tych psich rzygowin, które serwował Dmitrios. Byłem zbyt obolały.

Po chwili nalałem sobie drugą szklanekę, zmieniłem na piętrze koszulę i spodnie, włożyłem sandały i zszedłem na dół. Na molo przed tawerną pożyczyłem czyjś skif i powiosłowałem na kaik.

Impreza rozkręciła się już na całego. Słyszając mój okrzyk, Sonny wyszedł na pokład i zaprowadził mnie na dół. Była to tak wzorcowa zabawa hipisów, jak gdyby została zainscenizowana. Wszyscy ulokowali się pod pokładem, a że miejsca było nie tak znów wiele, gnietli się ciasno upchani. Tak im się podobało. Było to odpychające, niechlujne, fizycznie brudne; czuło się przedsmak potencjalnej orgii. Powietrze było gęste od dymu z haszu. Wszędzie walały się butelki miejscowego wina. Byli tam Steve i Diane, Georgina Taylor, Sonny i Jane, Kirk i kilka par hipisów z budowy. Jane Duval nie sprawdzała się jako gospodyni. Dziecko spało na rozkopanej koi, pomimo ryczącego gramofonu. Przyjęcie skupiało się wokół tego właśnie drogiego sprzętu na baterie, a nie wokół kuchni.

Pod pokładem znajdowało się jedno wielkie pomieszczenie, bez grodzi, którego dziobową część zajmowało w całości olbrzymie, rozciągające się od poszycia do poszycia łoże, mogące pomieścić sześć śpiących osób. Cztery skulone pary, prawie nagie, migdały się

na nim i obłapiały. Partnerów zmieniano bez specjalnych zahamowań. Widziałem to już sto tysięcy razy.

Składany blat opuszczono na tę okazję i od czasu do czasu dwie lub trzy pary wyskakiwały na niewielką przestrzeń podłogi, podrygując w wymyślnych tańcach.

- Mam tu schowaną whisky - wyszeptał mi Sonny do ucha, szczerząc się do mnie głupkowato. Był nieźle naćpany. - Ale tylko dla ciebie i Jima. Nikt inny nie wie, gdzie jest. Chodź, pokażę ci.

Wyglądało na to, że Sonny i Kirk są w najlepszej komitywie. Georgina siedziała pałaszując i popijając wino radośnie. Jedynie Jane Duval nie wykazywała oznak radości.

Nalałem sobie pełen kubek czystej whisky, odstawiłem butelkę do kryjówki i przysiadłem na brzegu koi. Oprócz olbrzymiego łoża na dziobie, znajdowały się tam trzy koje, w tym dwie ustawione piętrowo. Zaledwie wyznaczyłem granice swojego terytorium, przyplątał się chłopaś Stevie i usiadł po turecku obok mnie.

Był wylewny, i wspaniale naćpany. Z zadowoleniem poinformował mnie, że wybrał się z wizytą do Chucka. Był z niego wyraźnie kontent. U Chucka wszystko świetnie - powiedział mi - poza tym, że stłukł okulary.

- O? Jak to się stało?

- Wszedł na nie. Zostawił je na molo koło plecaka, żeby popływać, i wracając nadepnął je. Przełamały się na środku. Ale skleił je plastrem.

- Bardzo głupio, nie sądzisz?

- Nie. Bez okularów na nosie on nic nie widzi. Po prostu ich nie zauważył.

Widzi wystarczająco dobrze, żeby skopać człowieka po jajach - miałem mu ochotę powiedzieć. Ale powstrzymałem się.

- Mmm - mruknąłem. - A jak tam jego maczeta?

- Zdaje się, że ją zgubił - rzekł Steve, uśmiechając się od ucha do ucha. - Nie wiem dokładnie, w którym miejscu. Gdzieś w wodzie. Gdzieś w wodzie po drodze stąd do St Friday.

- To pewnie trudno ją będzie znaleźć.

- Tak, pewnie tak. - Wyszczrzył zęby.

Pokiwałem głową.

- Sprytne.

Najwyraźniej Chuck nie wspomniał mi o naszym spotkaniu ani o walce. Najwyraźniej skłamał też, że wyrzucił maczetę ze skały.

Zamilkłem, więc Steve oddalił się. Widać było, że wprost tryska szczęściem. Nalałem sobie następną szklanekę whisky i czym prędzej wróciłem na koję. Najwyraźniej wszyscy wiedzieli, że to moje terytorium, bo trzymali się z daleka. A może to dlatego, że siedziałem akurat pod chrapiącym dzieckiem. Łyknąłem nieco whisky i rozejrzałem się.

Jane Duval sprawowała władzę nad przyjęciem z królewską wyniosłością. Manifestowała sardoniczne, lecz niewzruszone poczucie totalnej wyższości. Według mnie jednak owa wyniosłość kiepsko maskowała prawdziwy, głęboki gniew, widoczny w jej pełnych wyrazu brwiach. Z powodu panującego w tej ciasnocie upału zdjęła obszerną sukienkę. Mikroskopijne bikini ukazywało jej ciało w całej krasie.

Byłem natomiast zaskoczony jej stosunkiem do mnie. Wkrótce wstała i niby to doglądając dziecka, podeszła i usiadła koło mnie. Nie manifestowała nienawiści - zachowywała się intrygująco, wręcz kokieteryjnie na swój wyniosły sposób.

Początkowo zakładałem, że to Kirk mnie zaprosił. Ale teraz nie byłem już tego taki pewny.

- Nigdy jeszcze nie spotkałam prawdziwego prywatnego tajniaka - odezwała się, kładąc silny akcent na słowie „prywatnego”. - Zawsze myślałam, że to brzydkie i brudne ludziki w grubych okularach. Jak pokątni adwokaci.

- To już nie te czasy - odparłem. - Dzisiaj oni wszyscy wyglądają jak spece od komputerów. Bo i są nimi. Ja należę do wymierającego gatunku.

- Musi pan prowadzić podniecające życie. Na swój brudny sposób.

- Na swój brudny sposób - powtórzyłem. Jeżeli według niej miało to uchodzić za wyszukaną ripostę, to Bennington musi być jeszcze gorsze, niż słyszałem.

- Ile by mi pan policzył na przykład za sprawę rozwodową? - zapytała.

- Nigdy nie podejmuję się spraw rozwodowych. Za brudna robota. - uśmiechnąłem się szeroko. - Oczywiście, chyba że chodzi o kogoś z grona moich, uhm... specjalnych przyjaciół.

- Mężczyznę? - zapytała. - Czy dziewczynę?

Nie odpowiedziałem.

- Wie pan, że spałam ze wszystkimi mężczyznami w tym pokoju? Z wyjątkiem pana - rzekła Jane.

- Byczo dla ciebie - skwitowałem. - To były dłuższe związki czy faceci na jedną noc?

- Zależy od mężczyzny - odparła. - Wyłącznie od mężczyzny. Milczałem, nie mając ochoty ciągnąć tego tematu. Nie doczekawszy się odpowiedzi wstała i gwałtownie przeszła przez kabinę na drugą koję, wywijając do mnie tyłkiem niczym czerwoną płachtą na pasącego się byka.

Nie rozumiałem tej nagłej zmiany stosunku do mnie. Być może sprawiła to moja nieustająca obojętność. Obojętność jest jedną z najlepszych metod na kobiety. Te, których nie interesujesz, lubią cię za to i szanują. Te zaś, które się tobą interesują, twoja obojętność kłuje i rozpala, aż para z nich bucha.

Tak czy inaczej, przejawy jej edukacji w Bennington na nic mi się nie zdały. Nie pomogły mi ani trochę w moich poszukiwaniach.

Ponadto nie przyszedłem obserwować Jane, lecz Kirka. On zaś był wyraźnie oziębły i wyraźnie stronił od towarzystwa. Nie brał udziału w seksualnej błazenadzie ani nie palił haszu. Trzymał się na uboczu, blisko whisky. Wciąż nie mogłem namierzyć jego pozycji w całej tej imprezie.

W środku uroczystości zaczął mi dokuczać dym z haszu i zapachy spod pachy, więc wyszedłem na pokład, zaczerpnąć powietrza. Chwilę później Kirk poszedł w moje ślady i oświadczył, że chce ze mną pogadać.

Przeszliśmy na sam dziób.

- Coś strasznie trudno cię przekonać - rzekł Kirk z szerokim uśmiechem.

- Do czego?

- Do wyjazdu z wyspy.

- A więc to ty kazałeś Chantal wsiąść na mnie? - Zrewanżowałem się równie szerokim uśmiechem.

Nie odpowiedział. Nie było w nim krzty strachu, to się czuło. Ale czuło się także, że bije z niego wyraźna podłość.

- Pewnie, że trudno mnie przekonać - powiedziałem. - Pobito mnie, próbowano zastrzelić, grożono mi, skopano mi krocze, a wreszcie wywalono z pracy, za którą mi nawet nie zapłacono. Co jeszcze mogą mi zrobić?

- Wtykałeś nos w sprawy, które cię nie powinny obchodzić. Być może przez pomyłkę. Niechcący. Ale niektórym się to nie podoba. Do tej pory miałeś szczęście. Dużo szczęścia.

Postanowiłem zażyć go w ten sam sposób jak Chantal.

- Ano, ludzie, o których mówisz, nie mają już powodów do zmartwienia. Wkrótce wyjeżdżam. Znalazłem zabójcę.

Zaskoczyłem go kompletnie, tak jak Chantal. Zaczął przejawiać oznaki zadowolenia.

- Rzeczywiście?

- Tak mi się zdaje. To jeden z tych hipisów z budowy. Nie powiem ci jeszcze który, ale Pekouris najwyraźniej zgadza się ze mną. Gówniarz miał przy sobie zakrwawioną

maczetę. Zwędziłem ją i ukryłem. Zdaje się, że tą samą maczetą urządził jakiegoś faceta w Meksyku.

Kirk był wniebowzięty.

- Zwariowany Chuck. No, to dopiero wiadomość. A więc cała sprawa skończona.

- Tak. Przekażę ją Pekourisowi.

- Świetnie. Cały czas miałem nadzieję, że uda się komuś nakryć gościa, który załatwił mojego przyjaciela Girgisa - oświadczył Kirk świętoszkowatym tonem.

Omal nie parsknąłem śmiechem.

- Więc ludzie, o których mówiłeś, mogą się przestać martwić.

- Gdybym ich znał, sam bym im poszedł powiedzieć - odparł wesoło.

- Szkoda, że ich nie znasz.

Kirk wyszczerzył zęby w podłym uśmiechu.

- Bo byłoby nierozsądne z twojej strony, gdybyś się tu zasiedziało. Nawet pomimo twojego fantastycznego szczęścia. - Łagodnym ruchem, który zdradzał, że ta bryła mięsa dysponuje wyśmienitym refleksem, wyciągnął rękę z kieszeni. - Widzisz?

Zdawało się, że trzyma kawałek ciemnego drewna, niewiele dłuższy od palca. Gdy jednak nacisnął kciukiem, chromowane ostrze zamigotało, jak gdyby samoistnie wyskakując z drewnianej oprawki, niczym język węża. Nie był to nóż składany. Ostrze wyskoczyło z końca trzonka. Jego dłoń nawet nie drgnęła. Nie widziałem jeszcze takiego noża. Wyglądał na zdecydowanie śmiercionośne narzędzie. Kirk przytknął mi ostrze do boku.

- Może ci się przydarzyć wiele innych rzeczy, poza chybionymi strzałami.

- A więc w tamtym też maczałeś palce?

- Któżby inny?

- Ano, wprawny nożownik to chyba jedyne, co mi się tu nie przytrafiło - powiedziałem swobodnie.

Ostrze wskoczyło do oprawki, choć jego dłoń ani drgnęła. Kirk schował nóż do kieszeni.

- Chciałem tylko, żebyś zrozumiał.

- Nigdy więcej tego nie próbuj - rzekłem spokojnie. - Chyba że będziesz gotów pchnąć. Bo odbiorę ci go i połamię na zębach. No, to obaj już wiemy, na czym stoimy, co? - Odwróciłem się i odszedłem, nadstawiając mu plecy.

Przebrnąłem przez walające się bezładnie manele i zszedłem z powrotem pod pokład. Wkrótce Kirk także zszedł uśmiechając się pełną gębą.

Dwie próby nastraszenia mnie dowodziły, że Kirk jest w coś mocno zamieszany. Ale czy dowodziły również tego, że zabił dwoje ludzi?

Przyjęcie w oparach dymu toczyło się dalej.

Przerwała je w końcu Jane Duval. Wstała i wyniosłym ruchem zdjęła stanik bikini, mówiąc, że idzie popływać. Miała świetne cycki i widać było, że jest z nich dumna. Ciągnąc za sobą niemal całe rozwrzeszczane i wiwatujące towarzystwo, przedefilowała na pokład i rzuciła majteczki. Szczupła i wyprostowana, stała tak przez chwilę, by każdy mógł ją sobie dobrze obejrzeć, po czym zanurkowała w wodę przystani.

Skorzystałem z tego, by po cichu wynieść się pożyczonym skifem.

Kiedy wiosłowałem do brzegu, coś złapało za jedno z moich wiosł. Jane. Ze złączonymi stopami położyła się na powierzchni, tak że woda opływała jej ciemne krocze, i uśmiechnęła uśmiechem, który nie złagodził gniewnego wygięcia jej brwi.

Nie zareagowałem, czekając cierpliwie, a kiedy puściła wiosło, popłynąłem dalej. Odpłynęła ze śmiechem.

Z tyłu doleciał mnie chłopot innych wiosł, a potem okrzyk Sonny'ego. Wypłynął swoim skifem na poszukiwanie „żony”.

Przywiązałem łódkę do moła, ruszyłem do siebie i skrzypiąc położyłem się do łóżka. Nie zadzwoniłem do Chantal. Kiedy się kładłem, z pewnością nie wróciła jeszcze do domu.

Rozdział 51

Pogrzeb Marie odbył się następnego dnia w południe.

Rano spędziłem godzinę w porcie, siedząc w kawiarni i spoglądając na „Polarisa”.

Obserwuj „Polarisa”, powiedział Gruner. „Polaris” stał przycumowany do nabrzeża dokładnie tak, jak go zostawił Girgis. Mikry pomagier najwyraźniej zajmował się statkiem, który aż lśnił czystością, lecz nie dostrzegłem go tam. Nie dostrzegłem tam zresztą nikogo.

Stwierdziłem, że jakoś brakuje mi Grunera. Był tu jedynym, który płacił za siebie.

Ale jak u licha miałem obserwować „Polarisa”, jeśli nie przesiadując na okrągło dzień i noc w kawiarni przy porcie?

Kazałem Sonny’emu zawieźć się z powrotem na przystań jachtów i założyłem garnitur i krawat, szykując się na pogrzeb.

Chyba nie powinienem był go zakładać. Poczułem się w nim dziwnie obco i uświadomiłem sobie, jak bardzo przywykłem do tutejszego życia. Gdy Sonny zawiózł nas „Daisy Mae” z powrotem do portu i dotarłem na miejscowy cmentarz usytuowany na pagórku nad miasteczkiem, stwierdziłem, że oprócz starego eks-ambasadora Piersona jestem jedynym człowiekiem w garniturze. Czułem jednak, że powinienem go założyć dla Marie.

Stary ambasador był jedynym przedstawicielem z grona bogaczy i stałych letnich wczasowiczów, który się tam pokazał. Wcześniej zadzwoniłem do Chantal, ale wykręciła się pod pretekstem, że pogrzeby ją deprymują i że ich nie znosi. Nie mogłem mieć jej tego za złe. Ja też ich nie znoszę.

Przyszło ze trzech Greków. Poza tym stawili się niemal sami hipisi z budowy, ubrani w swe zwykłe stroje. To znaczy cudacznie. W sumie było ich tam stosunkowo niewielu. Ale prezentowali się bardziej stosownie niż ja ze swoim garniturem.

Zjawili się Steve i Diane, Sonny i Jane, Georgina i paru innych. Nie zauważyłem młodego Harveya Richarda. Powolny John najwyraźniej wymeldował się z wyspy. Przyszła też właścicielka domu, w którym Marie wynajmowała pokój, zwracając uwagę podniszczoną, długą czarną suknią. Odprowadzono Marie bez pompy, ale doszedłem do wniosku, że jej to i tak nie obchodzi.

To właśnie gospodyni Marie zajęła się większością przygotowań. Łamaną angielszczyznę wyjaśniła mi, że nikt nie potwierdził tożsamości zwłok. A ponieważ nie znano adresu, na który można by odesłać ciało do Ameryki, ona i miejscowy ksiądz przygotowali pochówek na miejscu. Ona chodziła po kweście. Pan Steve, ten młody człowiek z klubu

nocnego, był bardzo hojny. Ano, uznałem, że wierząc w to, w co wierzył, powinien być hojny. Gdy dałem jej z własnej kieszeni dwa tysiące drachm, rozszerzyła oczy i podziękowała mi.

W pełnym słońcu było gorąco, a w powietrzu unosił się pył. Na cmentarzu prawie nie było trawy. Poniżej miasteczka widać było zieleń morza, przechodzącą dalej od brzegu w błękit. Kiedy uroczystość dobiegła końca, podszedł do mnie stary ambasador i wyciągnął rękę.

- Nie spodziewałem się spotkać pana tutaj.

- Znałem ją trochę - odparłem.

- Ja nie - uśmiechnął się nieprzekonywająco - ale dowiedziawszy się, że chodzi o Amerykankę, uznałem, że powinienem przyjść.

- To ładnie z pańskiej strony - powiedziałem. - Ona by doceniła ten gest.

- O - bąknął niejasno i uśmiechnął się.

- Jak tam pańskie sprawy, ambasadorze? - zapytałem.

- Sprawy? Moje? A, wszystko dobrze. Doskonale. - Wyprostował się w białym tropikalnym garniturze z samodziału. - Przygnębiła mnie ta historia z morderstwem. Ale może ukróci to na jakiś czas przemysł haszyszu.

- Tak. Mam nadzieję. Ale raczej nie na długo.

- Raczej nie - zgodził się Pierson i spojrzał na morze. - No cóż, miło mi, że znów pana spotkałem. Choć szkoda, że w tak smutnych okolicznościach. Z przyjemnością wspominam nasz obiad. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze przed pańskim wyjazdem.

Uścisnąłem mu dłoń.

- Ja również, ambasadorze.

Patrzyłem, jak odchodzi w białym garniturze z czystego samodziału. Jego dom znajdował się nieopodal cmentarza. Samotnie wróciłem do portu.

Sonny Duval szedł w grupce ludzi przede mną. Kiedy doszliśmy do kawiarni, powiedziałem mu, że mogę go jeszcze potrzebować, więc niech będzie razem z łodzią pod ręką. Zajmując miejsca, wszyscy oni sprawiali wrażenie przybitych, lecz już wkrótce głośny śmiech dolatywał od stolika zastawionego pełnymi szklankami, przy którym Georgina znów odgrywała startą siostrę i płaciła rachunek. Doszedłem do wniosku, że Con Taylor zbija w Atenach ciężkie pieniądze, skoro stać go na finansowanie jej hipisowskich upodobań.

Samotnie zająłem stolik przy parapecie obok rozsypującego się działka i obserwowałem „Polarisa”.

Nie minął nawet kwadrans, gdy na nabrzeżu pojawił się Kirk i wszedł na „Polarisa”. Tuż za nim pojawił się mikry pomagier Girgisa i też wszedł na statek. Patrzyłem, jak odcumowują i zapuszczają silnik. Następnie mikry pomagier zszedł na brzeg, Kirk zaś wyprowadził statek za wejście do portu. Obrął kurs mniej więcej na kontynent i tak trzymał.

Mój Boże, poczciwy stary Gruner. Nie wystawił mnie rufą do wiatru. Nie wiedziałem, co ta wyprawa może oznaczać, ale miałem niezłomny zamiar się dowiedzieć, a zresztą nabrałem już pewnych podejrzeń. Wychyliłem campari do dna, zostawiłem pieniądze i podszedłem do stolika Sonny’ego.

- Chcę, żebyś śledził tamten statek - powiedziałem, gdy wypłynęliśmy za gardziel portu.

- „Polarisa”?

- Właśnie jego - rzekłem cierpliwie. - Tego tam. Widzisz tu jakieś inne?

Łódź była doskonale widoczna, jakieś trzy czwarte mili przed nami. Ze zdziwieniem Sonny zabrał się do śledzenia statku, płynąc dokładnie za nim, w pozostawionym na gładkiej powierzchni morza kilwaterze.

- Ciekaw jestem, kto wypłynął „Polarisem”? - zapytał.

Nie uśmiechało mi się dopuszczać go do moich tajemnic, lecz i tak odkryłby to prędzej czy później.

- Zdaje mi się, że Kirk - odparłem. Patrzyłem, jak trzyma ster. Nie przesunął go ani o włos. Po chwili podszedłem do niego.

- Hej, daj no mi ten ster.

- Dlaczego? Co się dzieje? - Oddał go jednak.

- Nic - rzekłem. - Ale nie mam specjalnej ochoty afiszować się z tym, że go śledzimy.

- Zmieniłem kurs bardziej na wschód. Kirk kierował się na północny wschód, wprost na odnogę kontynentu za Glauros, przypuszczalnie chcąc ją okrążyć i skierować się na północ wzdłuż wybrzeża. My się na nic nie kierowaliśmy, ale też przed nami nie było nic prócz otwartego morza. Gdyby jednak Kirk zechciał przypadkiem sprawdzić tyły, to z miejsca, gdzie się znajdował, nie byłby w stanie ocenić naszego kursu; zdawałoby mu się, że płyniemy dokładnie na wschód, na przystań jachtów.

Przez jakiś czas trzymałem ten kurs.

Sonny przyglądał mi się uważnie. Pomyślałem, że zaczyna rozumieć, w czym rzecz. W każdym razie nie zwracałem sobie głowy tłumaczeniem.

- Ciekawe, gdzie on płynie? - odezwał się.

- Prawdopodobnie do swojego szefa - odparłem. - Kronitisa. To tam, na wybrzeżu.

Wyglądało na to, że mam rację. Dotarłszy do odnogi lądu, „Polaris” skręcił na północ, wzdłuż wybrzeża, obierając prawie identyczną trasę jak ta, którą płynąłem niegdyś z Marie.

- Po co? - zapytał Sonny.

- Kto wie?

- To po co go śledzimy?

- Znowu: kto wie? - Uśmiechnąłem się do niego. - Być może wymyślę jakiś powód, jeżeli zostaniemy na wodzie dostatecznie długo.

Zamknąłem się.

Wypuściłem nas nieco dalej w morze, po czym skręciłem wprost na Glauros, pod kątem ostrym do naszego poprzedniego kursu. Pół mili dalej znów obrałem kierunek wschodni, tym jednak razem prawie dokładnie na północno-północny wschód zamiast na wschodnio-północny wschód jak poprzednio. Teraz kierowaliśmy się na wyspę Petkos i miałem nadzieję, że w razie czego będziemy wyglądać na zupełnie inną łódź.

Wcale nie byłem pewny, czy Kirk nie obserwuje tyłów.

- Możesz zdjąć tę plandekę przeciwsłoneczną? - zwróciłem się do Sonny'ego.

- Tak. Myślę, że tak. Przy tej prędkości brezent trzepocze jak wszyscy diabli, ale chyba dam radę.

- Dobrze. Przygotuj się, żebyś mógł ją ściągnąć, jak ci powiem. Bez tej zasłony będziemy wyglądali na zupełnie inną łódź. Zostaw ją przywiązaną od dziobu i zwiń z drugiej strony, żebyśmy w razie potrzeby mogli ją szybko rozwinąć i założyć.

- Pójdę rzucić na nią okiem - powiedział.

Kirk niemal już zniknął za horyzontem. Gdybym jeszcze trochę płynął obecnym kursem, oddaliłbym się od „Polarisa” i stracił go z oczu. Gdy stał się prawie niewidoczny, skręciłem lekko w prawo i manewrowałem „Daisy Mae”, dopóki nie weszliśmy na kurs równoległy do niego.

- Dobra, to ściągnij brezent - powiedziałem do Sonny'ego i pokręciłem nakrętką przepustnicy, żeby mu pomóc. Miałem nadzieję, że teraz będziemy wyglądali na całkiem inną łódź, kierującą się na północ na Hydrę, która majaczyła w oddali jak niebieska góra.

Gdy brezent był już ściągnięty, wstałem i pozwoliłem łodzi płynąć swobodnie, zewnętrzną stroną nogi trzymając ster w stałej pozycji.

Być może przesadzałem ze środkami ostrożności. Kirk nie miał powodu podejrzewać, że ktoś go śledzi. Wolałem jednak przesadną ostrożność, niż pozwolić, żeby nas zauważył i stał się czujny.

- Zręczne to było - odezwał się koło mnie Sonny, ściągając zmarszczki pod oczami. -
Gdzieżeś się tego nauczył?

- Śledzenia łodzi? Na Karaibach. Od tubylca z Jamajki, kiedy prowadziłem tam sprawę. On się tego nauczył od swego ojca, który w latach prohibicji był jednym z najzręczniejszych przemytników rumu w całej Zatoce Meksykańskiej.

- Bardzo to sprytne.

Na wybrzeżu, po lewej, ukazała się błyskająca bielą willa Kronitisa. Obserwowaliśmy, jak niemal wtopiony w morze „Polaris” skręca do małej zatoczki.

- W porządku - rzekłem. - Teraz czekamy. Podpłyniemy z milę wzdłuż wybrzeża i wrócimy z założonym brezentem.

Czekając, zagadnąłem Sonny'ego o akwalungi. Miał tylko jeden stary komplet, o którym mi kiedyś wspominał. Regulator co nieco przeciekał, ale on się tym nie przejmował, bo nigdy nie schodził z nim głębiej niż na dziesięć stóp, żeby oczyścić kadłub. Butla była tylko jedna. W tej chwili, jak sądził, powinna być w jakichś trzech czwartych pełna. Cały zestaw spoczywa sobie teraz w magazynie na tyłach lokalu Dmitriosa, wyjaśnił ze skrucą. Bo na swoim wielkim kaiku nie ma na niego miejsca. Nie był to sprzęt, na jakim bym chciał pracować, gdybym tylko miał wybór.

- Ano, będzie mi musiał wystarczyć - powiedziałem, - Rzecz w tym, żeby go szybko zdobyć. Myślisz, że znajdziesz go raz dwa?

Był pewien, że tak. Wiedział dokładnie, gdzie leży. Powiedziałem mu, że na razie zaczekamy i zobaczymy, ale jeżeli się nie mylę, to uda nam się popłynąć po niego, gdy Kirk wróci do portu.

Nie wyjawiałem mu przyczyny - czyli tego, że doszedłem do wniosku, iż Kirk będzie musiał wrócić do portu, by zabrać dawnego pomagiera Girgisa, zanim wybierze się nurkować. Gdybym mu to powiedział, musiałbym wyjaśnić, dlaczego Kirk w ogóle będzie nurkował, a wówczas musiałbym mu opowiedzieć całą historię do końca.

- Nie wiesz, czy Girgis kiedyś nurkował? - zapytałem.

- Tak, w rzeczy samej. W pewnym okresie miał dwa lub trzy akwalungi i zabierał ludzi na nurkowanie. Ale zaniechał tego i skupił się tylko na wycieczkach dla turystów, bo brakowało chętnych do nurkowania i do nauki.

- No i nie bardzo jest tu po co nurkować - dodałem.

- Możesz mi z łaski swojej powiedzieć, co my tu właściwie robimy?

- Nie. Nie powiem ci. Głównie dlatego, że sam nie wiem. I nie będę wiedział dokładnie, póki nie dostaniemy się tam i tego nie zrobimy. - Było to kłamstwo. Ale musiał się tym zadowolić.

Kirka nie było już pół godziny. Zataczaliśmy koła i ósemki, żeby nie zatrzymywać się na coraz silniejszym popołudniowym wietrze.

W końcu „Polaris” wypłynął z zatoczki Kronitisa i wziął kurs powrotny. Śledziłem go taką samą metodą, co w drodze na północ.

Minąwszy odnogę kontynentu, Kirk skierował się wprost do portu na Tsatsos i nie zmienił kursu, więc skręciłem nieco na południe, a kiedy zbliżyliśmy się do brzegu, z maksymalną prędkością, jaką można było wydusić z biednej staruszki „Daisy Mae”, popłynąłem do przystani jachtów wzdłuż fasady miasteczka.

Sonny poszedł wziąć akwalung z magazynu Dmitriosa, a ja pobiegłem tymczasem do domu i z zamkniętej teczki wyciągnąłem jeden z moich rewolwerów. Zawinąłem go w plastikową torbę, którą znalazłem w kuchni, i wsadziłem go sobie za pas, pod koszulę. Wróciwszy na pokład, ułożyłem go ostrożnie na jednej z zaopatrzonych w ścianki półek pod kabiną.

Wróciliśmy akurat w chwili, gdy „Polaris” minął gardziel portu i skręcał na zachód wzdłuż brzegu wyspy. Natychmiast skręciłem w stronę Glauros.

Czułem się wspaniale, znów w akcji i przy konkretnej robocie po tylu dniach siedzenia na tyłku i dumania.

Rozdział 52

Kirk płynął na zachód, trzymając się blisko brzegu. Wyglądało na to, że chce opłynąć wyspę. Wpuściłem go pół mili do przodu, po czym zszedłem z kursu na Glauros i zawróciłem w stronę lądu, aż cypel zakrył nas przed jego wzrokiem.

Postanowiłem śledzić go płynąc tuż przy brzegu. Przyspieszałem w zakolach, gdzie nie mógł mnie zobaczyć, po czym zwalniałem i ostrożnie opływałem cyple. Starłem się tak wyliczać czas, by mijać cypel w chwili, gdy Kirk znika za następnym.

W pewnym sensie było to nawet łatwiejsze. Jedyne szkopuł tkwił w tym, że mógł on zmienić kurs i zawrócić wtedy, gdy był dla nas niewidoczny. A ja mogłem wpaść wprost na niego. Musiałem pójść na takie ryzyko.

Ale nie zmienił kursu. A ja nie wpadłem na niego. Wszystko poszło znakomicie.

Zauważyłem, że Sonny przygląda mi się badawczo. Bawiło mnie to wszystko, miałem frajdę, więc odwróciłem głowę i puściłem do niego oko. Nie uśmiechnął się. Wydawał się zaszokowany, jak gdyby martwił się, że coś podobnego może mi sprawiać radość.

Mniej więcej milę przed St Friday Kirk skręcił do brzegu. Natychmiast zdławiłem przepustnicę i sam zemknąłem do brzegu, ginąc mu z widoku. Na bardzo wolnych obrotach prześliznąłem się dalej, aż dzieliły mnie od niego tylko dwie zatoczki.

Byliśmy teraz po tej stronie wyspy, która wychodziła na pełne morze, a nie kontynent. Dookoła nie było w zasadzie nic. Jedyne parę wysuniętych cypli daleko przed nami. O milę od brzegu znajdowała się skalista wysepka, całkiem goła, bo zbyt mała dla drzew. Poza tym było tylko otwarte morze. W zasięgu wzroku znajdował się jeszcze stary frachtowiec, płynący na zachód pod turecką banderą.

Doszedłem do wniosku, że musi to być ten statek.

Zatrzymałem „Daisy Mae” za skalistym występem, który zasłaniał nas przed „Polarisem”. Sonny miał na pokładzie lornetkę, więc ruszyłem z nią na brzeg, wdrapałem się na występ i wystawiłem głowę ponad skały.

Kirk, także z lornetką, wspinał się na cypel, przy którym zatrzymał łódź. Dotarłszy na szczyt położył się i skierował szkła na turecki statek. Leżałem obserwując go przez moją lornetkę, podczas gdy on obserwował statek przez swoją.

Turecka łajba powoli przedzierała się przez gładkie morze. Mniej więcej na wysokości St Friday skręciła nieco do brzegu i zaczęła łagodnie zawracać w stronę wyspy.

Nie miałem już najmniejszej wątpliwości. Przesunąłem lornetkę z Kirka na statek i patrzyłem.

Kiedy turecka jednostka zbliżyła się do skalistej wysepki, ujrzałem, jak na pokładzie trzykrotnie rozbłysło światło i coś białego wpadło do wody. Zapisałem sobie w pamięci to miejsce jak mogłem najlepiej, po czym zwróciłem szkła na Kirka.

Kirk nadal patrzył na statek; zapewne zapamiętywał miejsce. Następnie zawiesił lornetkę na rzemyku i zaczął schodzić do „Polarisa”. Statek na morzu wracał już powoli na stary kurs.

Puściłem moje własne szkła, zlałem ze skał i przebrnąłem przez wodę do „Daisy Mae”.

Doszedłem do wniosku, że Kirk nie będzie nurkował, dopóki tamten statek jest jeszcze na widoku. Ale nie wiedziałem, czy nie zanurkuje już za chwilę. Jeśli tak, to straciłbym szansę obejrzenia zrzutu i jedyne, co mógłbym zrobić, to śledzić go dalej.

Spodziewałem się, że podpłynię tam i zanurkuje albo z pokładu odszuka właściwe miejsce i zostawi boję znakową, by wrócić po pakunek później, o zmroku lub nawet po ciemku i bez świateł. Kiedy będzie bezpieczniej. Ale Kirk nie zrobił nawet tego.

Kilka minut później „Polaris” już wracał, przypuszczalnie zmierzając do portu na Tsatsos. Najwyraźniej Kirk dostatecznie często powtarzał tę operację, by wiedzieć dokładnie, gdzie szukać. Albo miał dużo lepszą pamięć do morza niż ja, co było bardzo prawdopodobne. Kiedy „Polaris” mijał nasz skalisty występ, ruchem ręki kazałem Sonny’emu położyć się i obaj zamarliśmy w bezruchu. Po dalszych kilku minutach „Polaris” zniknął nam z oczu za następnym cyplem.

Odczekałem piętnaście, może dwadzieścia minut.

- No dobra, czas się temu przyjrzeć - powiedziałem.

Nie byłem tak pewny siebie, jak na to wskazywał mój głos. Spodziewałem się, że Kirk zostawi boję znakową. Wymierzyłem wprawdzie na oko odległość od miejsca zrzutu do wysepki i najbliższego cypla, lecz płynąc tam mogłem się spokojnie pomylić o dobre pięćset jardów. Najbardziej martwiłem się o to, czy w butli jest wystarczająco dużo tlenu. W każdym razie nie odważyłem się użyć jej do poszukiwań.

Jedyne, co mi pozostawało, to zatrzymać łódź i opływać ją dookoła coraz większymi kręgami w samej tylko masce, rurce i płetwach. Gdybym nic nie znalazł, Sonny musiałby mnie holować za łodzią. Byłoby jeszcze zimniej. Miałem jednak pewność, że biały błysk, który dostrzegłem, jak wpadał do wody, jest znakiem orientacyjnym.

Koło wysepki manewrowałem „Daisy Mae” tam i z powrotem, spoglądając to na wyspę, to na cypel, aż uznałem, że jestem na miejscu. Następnie włożyłem stary podkoszulek Sonny’ego i wszedłem do wody. Była zimna.

Znalazłem zrzut za trzecim podejściem, gdy byłem już kompletnie przemarznięty. Płynąc około sto jardów od łodzi dostrzegłem po prawej ręce coś białego. Dno znajdowało się na głębokości osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu stóp. Kwadratowy pakunek leżał wciśnięty między dwie skałki koralowe, a ze dwadzieścia stóp nad nim unosiła się fosforyzująca biała boja. Biała boja, którą widziałem, jak wpadała do wody. Pomachałem Sonny’emu, by sprowadził łódź, założyłem akwalung, przywiązałem sobie linkę do ręki i rozpocząłem zejście.

Od razu zaczęły się kłopoty z przeciekającym regulatorem. Całe to nurkowanie znakomicie nadawałoby się do komedii z Redem Skeltonem. Ze mną w roli Skeltona i Sonnym odtwarzającym Keenana Wynna.

Przeciekające regulatory dzielą się na dwie kategorie. Jedne są kapryśne i psują się blisko powierzchni, lecz wraz ze wzrostem głębokości stają się twardsze, bardziej szczelne i czystsze. To zasługa ciśnienia. Drugie wraz ze wzrostem ciśnienia przeciekają coraz bardziej. Rzecz jasna, trafił mi się ten drugi rodzaj.

Zanim osiągnąłem sześćdziesiąt stóp, zachłystywałem się już wodą przy każdym oddechu i musiałem oddychać bardzo wolno, by w ogóle wciągnąć trochę powietrza przez słoną wodę. W duchu przeklinałem Sonny’ego za życiowe bylejactwo, ale płynąłem w dół. Ten cholerny regulator streszczał całe jego niezdyscyplinowane życie.

Jednak poniżej sześćdziesięciu stóp, jak to przeważnie bywa, ustatkował się i przestał sprawować się coraz gorzej. Kochane prawo starego Boyle’a. Znałem je, na szczęście. Objętość gazu jest odwrotnie proporcjonalna do jego ciśnienia. Gdybym tego nie wiedział, zrezygnowałbym przy sześćdziesięciu stopach.

Na dnie przeciągnąłem linkę pod sznurem, którym zawiązany był pakunek. Zerknąłem szybko na głębokościomierz - odczyt w metrach odpowiadał dziewięćdziesięciu dwóm stopom. Trząśłem się z zimna tak, że ledwie mogłem zrobić supeł.

Zostawiłem linkę przywiązaną do pakunku i ruszyłem w górę, starając się jak najmniej oddychać. Z wdzięcznością obserwowałem rosnącą w oczach sylwetkę łodzi.

Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że z takim regulatorem tylko taki wariat jak ja mógł zaryzykować to, co przed chwilą zrobiłem.

Na pokładzie skakałem dookoła, próbując się rozgrzać. Ale przynajmniej krocze zupełnie przestało mnie boleć, bok zaś tylko sporadycznie przeszywał mnie igłami bólu. Z

wściekłością objechałem Sonny'ego tam i nazad za jego tandetny i bylejaki styl życia. Gapił się na mnie bez słowa.

- Jak myślisz, co on robi? - zapytał, kiedy skończyłem. Tylko to go obchodziło.

Tym razem ja zagapiłem się na niego.

- Trudno powiedzieć - odrzekłem.

- No, ale masz chyba jakąś teorię?

- Widziałeś statek?

- Tak.

- Widziałeś, jak dawali znaki?

- Tak.

- No więc jak ci się zdaje, co on robi?

- Nie wiem. Bawi się w policjantów i złodziei.

- No a jak ci się zdaje, co ja tam robiłem na dole z tym cholernym przeciekającym regulatorem, ryzykując swoim cholernym życiem?

- Nie wiem. Szukałeś czegoś.

- No to do jasnej cholery wyciągnij to, tępa jełopo, i sam się przekonaj! - wrzasnąłem.

Zanim doholował paczkę na powierzchnię, odzyskałem trochę formę. Przynajmniej nie byłem już zmarznięty na kość. Pakunek był ciężki i musiałem mu pomóc wyciągnąć go z wody na pokład.

Paczka ważyła spokojnie sto pięćdziesiąt funtów i przypominała rozmiarem worek cementu. Była wymyślnie owinięta wodoszczelnym pokrowcem. Ostrożnie zacząłem rozplątywać i odwijać opakowanie, tak żeby można ją było zapakować z powrotem bez śladów. Pod wodoszczelnym pokrowcem znajdował się wodoszczelny worek, ten zaś był pełen małych woreczków z wodoszczelnej folii. One z kolei zawierały sypką brązową substancję z wyglądu i struktury przypominającą melasę.

Wziąłem jej trochę na rękę i powąchałem.

- Ano - mruknąłem. - To jest to.

- Co to takiego?

- Surowa morfina. Towar, z którego produkuje się czystą heroinę. - Podniosłem na niego wzrok i przekonałem się, że nie docenia wagi tego faktu. - Tego się nie oczyszcza. Przetwarza się to na drodze chemicznej. Innymi słowy, po przerobieniu w heroinę tego tutaj nie ubędzie. Mają więc ponad sto pięćdziesiąt funtów czystej heroiny, jeżeli przepuszczą to przez laboratorium. A małe laboratorium można urządzić wszędzie. Na przykład na opuszczonej farmie - powiedziałem spoglądając na dogasające popołudnie.

Słońce niemal już zniknęło za horyzontem.

- Albo w starej willi - dorzuciłem.

Zastanawiałem się jeszcze nad czym innym. Kirk może i nie zabiłby Girgisa i Marie z powodu drobnego handelku haszyszem, ale mógł ich zabić w związku z milionowej wartości przemytem heroiny. Zabrałem się do starannego zawijania pakunku.

- Co z tym zrobimy? - spytał Sonny.

- Nic - odparłem. - Wrzucimy z powrotem. A potem przekonamy się, gdzie to zabiorą.

- Więc jednak jesteś od narkotyków! - powiedział Sonny triumfalnie. - Pete Gruner poznał się na tobie od początku!

Bez słowa zmierzyłem go wzrokiem. Jeżeli chciał uważać mnie chwilowo za agenta od narkotyków, nie zamierzałem go wyprowadzać z błędu.

- Ile to jest warte? - zapytał i lekko kopnął paczkę.

- W postaci heroiny, po dostarczeniu do Francji, jakieś trzysta tysięcy dolarów - odrzekłem. - Ale cena idzie w górę, jeśli towar dotrze do Nowego Jorku. A jak trafi na ulicę, podskoczy w cenie jeszcze bardziej.

Sonny zagwizdał i zaczął zabijać ręce.

- Jezu, ależ mi zimno.

Był taki sam, jak oni wszyscy. Ci, którzy wiecznie gładzą o wrażliwości. Ciekawe tylko, że kiedy stają w obliczu faktów, ich wyczulona wrażliwość nigdy nie wysuwa się dalej niż sześć cali poza skórę.

Wrzuciliśmy pakunek do wody i skierowałem łódź na skalisty cypel, za którym schowaliśmy się poprzednio.

- Długo jeszcze będziemy tu sterczeć? - spytał Sonny po upływie pierwszej godziny.

- Aż przyptynie Kirk - odparłem.

- No to pozwól mi chociaż zapalić papierosa.

- Żadnego palenia! - warknąłem ostro.

- A nie mógłbym zejść na dół? Pociągnąć sobie choć raz?

- Chcesz się znaleźć w samym środku strzelaniny?

- Nie.

- To nie pal. Mnie też się chce palić.

Poza tym narzekał prawie na wszystko. Był zmęczony. Było mu zimno. Był głodny. Nie mógł tylko narzekać na pragnienie, gdyż picia było pod dostatkiem, tak wody, jak trunków. Ja pocieszyłem się kilkoma szklankami szkockiej i słuchając Sonny'ego,

medytowałem nad tym, jak dobrze by mu zrobiło parę lat w wojsku. Albo chociaż w harcerstwie.

Kirk pojawił się jakąś godzinę później.

Płynął zupełnie bez świateł. Było to oczywiście wbrew przepisom, ale nie tak, jak to, co go tu sprowadzało. Okolicę skalistej wysepki kilkakrotnie omiotło światło reflektora, którego nagły błysk poraził nas w ciemności niczym krzyk. Silnik umilkł. Na powierzchni morza dostrzegłem odbłask mocnej latarki podwodnej, i cisza. Dziesięć minut później silnik znowu zaskoczył.

Bacznie wsłuchiwałem się w zamierający warkot silnika. Oddalał się na zachód, okrążając wyspę tuż przy brzegu. Byłem pewny, że wiem, dokąd płyną, skoro obrali ten kurs.

- Nie będziemy ich śledzić? - zapytał Sonny teatralnym szeptem.

- Nie - odparłem normalnym głosem. - Myślę, że już wiem, dokąd płyną. My popłyniemy dookoła wyspy w drugą stronę. Tak będzie bezpieczniej.

Odczekałem, aż warkot silnika umilknie na dobre, i dopiero wtedy zapuściłem nasz. Przez pewien czas płynąłem bez oświetlenia, po czym włączyłem światła pozycyjne. Kierowaliśmy się z powrotem do portu.

Miasteczko było rozświetlone i pełne życia, kiedy je mijaliśmy. Muzyka i gwar niesły się do nas po wodzie.

Nieco dalej, koło przystani, dosięgły nas światła tawerny Dmitriosa i ryk jego szafy grającej.

- Samotnie tu, nie sądzisz? - odezwał się Sonny.

- Tak jak teraz? Nie. Jest wspaniale.

Za krzepką, choć niewielką latarnią morską, niezawodnie rzucająca światło nawigacyjne dla nocnych żeglarzy, tawerna Georgia stanowiła kolejny znak rozpoznawczy ułatwiający sterowanie.

Gdy dotarliśmy niemal do cypla na wschodnim krańcu wyspy, zdławiłem nieco przepustnicę, skręciłem do brzegu i wprowadziłem łódź na skąpaną w świetle księżyca plażę. Rzuciliśmy za siebie kotwicę na piaszczyste dno. Przywiązałem cumę rufową do drzewa. Zanim wysiadłem, wyjąłem rewolwer z plastikowej torebki i włożyłem go do kieszeni.

Musieliśmy pokonać dwa wzgórza, które porastały zarośla i nieliczne karłowate sosny. Nie miałem nic przeciwko temu. Mogłem podpłynąć bliżej, ale wolałem nie ryzykować. W świetle księżyca widzieliśmy zresztą ładną, wygodną ścieżkę. Mimo to Sonny Duval narzekał.

Na szczycie drugiego wzgórza skinąłem ręką na Sonny'ego i zwolniliśmy.

Wyglądając za grań ujrzelismy poniżej starą willę należącą do Kronitisa - a w każdym razie do jednej z jego spółek - na którą zwróciłem uwagę tak dawno temu, z Chantal, i którą odłożyłem do akt pamięci.

W willi paliły się światła, a w przepięknie urządzonej zatoczce stała szalupa z „Agoraphobe” i „Polaris”. Oba statki były przycumowane do wymyślnego nabrzeża z betonu, które już kiedyś wpadło mi w oko. Cała zatoczka była praktycznie niewidoczna, chyba że patrzyło się od strony morza z odległości kilku jardów na wprost wejścia. Ale nawet wtedy trudno było ją zauważyć.

Ukląłem w zaroślach i obserwowałem ją przez pięć minut. Objuczeni mężczyźni przenosili coś z „Agoraphobe” do willi. Na zewnątrz willi znajdowały się drzwi do piwnicy, zza których padało światło. Mężczyźni znieśli tam swój ładunek. Trzej z nich zbiegli po licznych betonowych schodkach do zatoczki i wskoczyli do szalupy. Jim Kirk i dwaj inni stali na patio na górze, machając im na pożegnanie. Szalupa odbiła i skierowała się na północ, ku latarni morskiej i przystani jachtów, drogą, którą dopiero co przyплыliśmy. Kirk i dwaj pozostali weszli do willi.

- No, to wracajmy do domu - zarządziłem.

Trzy kwadransy później zawiniliśmy do przystani jachtów, wyglądając na dwóch Bogu ducha winnych ludzi, którzy wybrali się na nocny połów. Nie miało to zresztą znaczenia, bo nie było tam prawie nikogo, kto mógłby nas zobaczyć. Tawerna zamykała podwoje.

Odprawiłem Sonny'ego, po czym złapałem jedne z ostatnich dorożek czekających przed tawerną i kazałem zawieźć się do domu hrabiny Chantal von Anders.

Rozdział 53

Nie uprzedziłem telefonicznie o mojej wizycie, więc dom Chantal był zamknięty na cztery spusty. Nie przejąłem się tym. Dopiero minęła północ, toteż byłem pewny, że Chantal jeszcze nie wróciła. Załomotałem w bramę do ogrodu i krzyknąłem.

Fragmenty układanki zaczynały pasować do siebie. Nie miałem jeszcze w rękę wszystkich elementów, lecz dostatecznie dużo, by zorientować się w kształcie łamigłówki. Brakowało mi już tylko mordercy.

Po kilku minutach gruba, dwudziestoczteroletnia Greczynka w średnim wieku kolebiąc się jak kaczką zeszła po schodkach z patio. Usłyszałem, jak przed otwarciem bramy zakłada łańcuch od środka.

Nie musiałem się przedstawiać. Na mój widok natychmiast uśmiechnęła się sztucznie i zdjęła łańcuch. Zamknęła za mną bramę i poprowadziła mnie na górę, zapalając po drodze światła. Na olbrzymie wymiona pod lichą koszulą nocną narzuciła wyświechtany szlafrok, a splecione w gruby warkocz włosy spływały jej na ramię. Spotkałem ją może ze dwa razy, ale ona mnie znała. Znała mnie wystarczająco, by wiedzieć, że jestem nowym kochankiem madame.

I tak też mnie traktowała. Z przyklepionym uśmiezkiem zaproponowała, że zaparzy mi kawę lub naszykuje coś do jedzenia, a kiedy odmówiłem, zostawiła mnie samego w salonie, przy barze.

Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Za bardzo nosiło mnie po wyprawie łodzią, śledzeniu Kirka i willi. Nalałem sobie coś do picia, wyszedłem na dwór i usiadłem na huśtawce w cieniu patio.

Wciąż tam siedziałem, gdy Chantal weszła do ogrodu i zamknęła bramę.

Rozszerzyła oczy, widząc jak siedzę w ciemnościach patio. Przypuszczam, że stanowiłem groźny widok. Bo też czułem się groźny.

Nie owijałem sprawy w bawełnę. Powiedziałem jej, że wiem wszystko o szajce handlarzy heroiną działającej na Tsatsos. Znow rozszerzyła oczy.

- Wiem dużo więcej - rzekłem ponuro. - Wiem, gdzie mieści się kwatery główna szajki. Wiem, że zamieszany jest w to Kirk i „Agoraphobe”. Wiem, że Girgis na „Polarisie” robił za naganiacza w tym interesie. Wiem, że Kronitis wyklada forszę. Inaczej nie korzystaliby z „jego” willi. Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

Odłożyła torebkę na ogrodowy stół i usiadła na ogrodowym krześle.

- Nie ma już chyba nic do dodania.
- A jest, jest, i to dużo. Zaczniemy od tego, gdzie ty w tym siedzisz?
- Ja w tym nie siedzę - zaprzeczyła cicho.
- Niemożliwe - rzekłem. - No dobrze, to potem. Kto jest szefem? Wielkim szefem?

Kto jest generałem?

Nie odpowiedziała.

- Może chcesz, żebym ci najpierw przyniósł coś do picia? - spytałem.
- Chętnie się napiję. - W wieczorowym makijażu było jej prześlicznie.
- Przyniosę dla nas obojga. Jeżeli przyrzekniesz na honor harcerki, że nigdzie nie zwiejesz. Nie chcę nawet myśleć, że po powrocie mógłbym cię nie zastać.

Wygięła brwi w łuk. Jej oczy miały gniewne błyski.

- Nie musisz być złośliwy.

Nie odpowiedziałem. Wyjaśnienia dlaczego moim zdaniem mam prawo być złośliwy, zajęłyby zbyt wiele czasu. Wszedłem do salonu i wróciłem z kieliszkami.

- Na początek chcę wiedzieć, kto jest szefem.
- Sądzę, że prawdziwym szefem jest Kirk - odparła.
- Nie, on nie. Kirk może być marszałkiem polnym. Ale nie wielkim szefem.
- Wobec tego przypuszczam, że Leonid. Ale on nic nie robi.
- A robi, robi. Załatwia, że turecki frachtowiec zrzuca w pobliżu Tsatsos ładunek ponad stu pięćdziesięciu funtów surowej morfiny. Płaci za to. Oddaje do dyspozycji szajki swoją starą willę, należącą do jakiejś lipnej spółki, by służyła za laboratorium i kryjówkę. Załatwia, jak sądzę, transport heroiny, którą produkują w laboratorium, do Europy i Ameryki. Powiedziałbym, że robi niemało.

Chantal bez słowa wychyliła kieliszek.

- Mogę cię prosić o następny?
- Poszedłem nalać jej drugą porcję.
- A jak to było z tym handlem haszyszem? Czy Kronitis o tym wiedział?
 - Nie. Nie miał o tym pojęcia. Był wstrząśnięty, kiedy mu o tym powiedziałeś.
 - Więc czyj to był pomysł?
 - Girgisa. Nie zadowalało go to, co zarabiał na heroinie. Chciał więcej. Zaczął rozprowadzać haszysz na własną rękę.
 - A ty się podłączyłeś?
 - Tak.
 - I Kirk się podłączył?

- Tak. Chodziło o pieniądze. Same się pchały w ręce. Byli hipisi, był zbyt. Gdybyśmy się tym nie zajęli, zrobiłby to za nas kto inny.

- I byliście zachłanni.

- Leonid był strasznie zły, kiedy się dowiedział od ciebie. Wezwał Jima i kazał mu przysiąc, że więcej się to nie powtórzy. Jim skłamał Leonidowi i zrzucił winę na Girgisa, twierdząc, że nie ma z tym nic wspólnego. Mnie Leonid nigdy nie podejrzewał.

- On miał absolutną rację, Kronitis - rzekłem. - Policja musiałaby się tu w końcu zjawić, przyjrzeć się, jak to jest z tym haszyszem. A wtedy mogliby wpaść przypadkiem na dużo większy interes z heroiną. Dziwię się, że do tej pory ich tu nie było. Gdzie się w tym mieści Pekouris?

Podniosła na mnie wzrok.

- Pekouris? Nic nie wiem o Pekourisie.

- W porządku. Nie ma o czym mówić. A co z tą heroiną dla ambasadora?

- To był pomysł Jima. Sam nawiązał kontakt z ambasadorem.

- Kradł heroinę z zapasów w willi - powiedziałem.

Skinęła głową.

- Tak. Później przyszedł do mnie i poprosił, żebym ją dostarczała od niego w ramach przysługi. Nie chciał, żeby go widywano w towarzystwie ambasadora.

- I zgodziłaś się?

Znów spiorunowała mnie brwiami.

- Zrobiłam to tylko dlatego, żeby pomóc ambasadorowi. Jim powiedział, że inaczej utnie dostawy. Nie brałam za to pieniędzy.

- A Girgis groził, że powie Kronitisowi o heroinie? - zapytałem.

- Nie. Nic nie słyszałam, żeby tak było.

- Podobno cię szantażował?

- To nie dlatego. Groził, że wszystkim rozpowie, że dla niego pracuję.

- Kirk i Girgis mieli ze sobą pieńku, tak?

- Tak. Jim chciał mieć większy udział w zyskach z haszyszu.

- I zamierza do tego wrócić, jak tylko się trochę uciszy?

Wzruszyła ramionami.

- Tak.

- Cóż za urocze trio - powiedziałem. - Cała wasza trójka. Nawet wasz nieuczciwy szef nie mógł wam ufać.

Podniosła wzrok i potrząsnęła głową.

- Ale on nie mógł zrobić czegoś takiego. Zabić go i... i odciąć mu głowę. - Znowu potrząsnęła głową.

- Tak ci się tylko zdaje - rzekłem. - Wróćmy jednak do twojego udziału w tym wszystkim.

- Mówiłam ci... - zaczęła, lecz wpadłem jej w słowo.

- Nie kłam. Jeszcze jedno kłamstwo, a dostaniesz po ślicznej buzi. Musisz być w to zamieszana. Zbyt dużo wiesz i jesteś zbyt blisko tego wszystkiego.

Zwiesiła głowę i wpatrzyła się w kamienną płytę posadzki patio.

- Wożę ją dla nich do Europy. Do Paryża.

Omam nie zaskowyczałem.

- Co?! Co takiego?!

Pokiwała głową i spojrzała na mnie bojaźliwie.

- W ten właśnie sposób wpakowałam się w Girgisa i haszysz. W ten sposób go poznałam.

- Jak do tego doszło?

- Leonid przyszedł do mnie. - Wzruszyła ramionami. - Mniej więcej dwa lata temu. Zapytał, czy mogłabym przewieźć coś do Paryża.

- Kto? Kto do ciebie przyszedł?

- No... - bąknęła i przełknęła ślinę. - Leonid.

Kłamała. Ale nie mogłem się zorientować dlaczego.

- I nie powiedział ci, co masz przewieźć, tak?

- Ależ nie. Powiedział. Pokazał mi wszystko. Kazał sobie zrobić specjalny komplet walizek z podwójnym dnem. W Rzymie. Kupił je w Paryżu i zawiózł do Rzymu, gdzie ktoś mu je przerobił. Miałam je zabrać. To wszystko, co zrobiłam. On sam się zajął szczegółami. Ja tylko zawiozłam walizki pod wskazany adres. Odesłano mi je z powrotem do hotelu. Powiedział, że zrobię u niego karierę. Z moim tytułem, klasą i stosunkami. Uważałam to za wspaniałą przygodę. No i zapłacił mi bardzo hojnie.

- Masz zimną krew, jak Boga kocham - stwierdziłem. - Więc jesteś europejskim kurierem. - Wciąż jeszcze nie chciało mi się w to wierzyć. - Zdajesz sobie sprawę, co by było, gdyby cię na tym złapali? Ile lat przesiedziałybyś w więzieniu? Jak doszło do tego, że się w to wplątałaś?

Uśmiechnęła się blado.

- Pieniądze. W sumie to bardzo proste. Zwyczajnie pieniądze. Wszystko, co posiadam, to ten dom na Tsatsos i akurat tyle pieniędzy, żeby go z trudem utrzymać. On znał moją

sytuację. Wiedział, że nie stać mnie na spędzanie zimy w Paryżu. Gdyby nie dodatkowe dochody, musiałabym mieszkać na Tsatsos przez okrągły rok. Więc umożliwił mi zarobek. Wyobrażasz sobie, co to znaczy mieszkać tu samotnie w zimie, kiedy nikogo nie ma?

Nie do wiary.

- Twoje życie towarzyskie - mruknąłem.

Milczała przez chwilę.

- Ja kocham moje życie towarzyskie.

- A co z tym bogatym eks-mężem? Z hrabią? Co z tymi wysokimi alimentami?

- Nic - odparła. - Wszystkie pieniądze wydaje na obwożenie młodych przystojnych chłopców po stolicach Europy. Przepuścił na to cały majątek i szybko trwoni resztę tego, co mu jeszcze zostało. Ja dostaję zaledwie tyle, że z trudem utrzymuję dom, który mi zostawił. Jak myślisz, dlaczego mówiłam, że nie stać mnie na twoje honorarium?

- Nie mogłabyś go pozwać do sądu?

- I zdemaskować jako homoseksualistę? - powiedziała Chantal i uśmiechnęła się. Bardzo europejskim uśmiechem. - A zresztą sąd prawdopodobnie nie przyznałby mi dodatkowych pieniędzy. Wystarczających na spędzanie zimy w Paryżu.

- I tym sposobem wszystko wyszło na jaw - oświadczyłem z szerokim uśmiechem. - Wszystkie brudy. Dla pieniędzy. Wszystko sprowadza się do pieniędzy, jak zawsze. Wy bogaci nie jesteście wiele lepsi od nas biedaków, sama powiedz? Jak wam brakuje gotówki?

- Cieszę się poniekąd, że to wykryłeś. Próbowalam się wycofać, ale mi nie pozwolili. To już przestało być zabawne. Teraz, kiedy wszędzie trąbią o narkotykach, a ci cholerni amerykańscy agenci kręcą się po całej Europie. Ale nie mogłam się zdobyć, żeby ci o tym powiedzieć. Nigdy nie stawiali sprawy otwarcie. Nigdy nie próbowali mi grozić. Byli aż nader uprzejmi. Ale kiedy mówiłam, że chcę z tym skończyć, zawsze mnie przekonywali, żebym się zastanowiła. A ja w końcu ulegałam.

- Jasne. A tymczasem zabito dwoje ludzi.

- Sądzisz, że na rozmyślanie o tym nie spędziłam bezsennych nocy?

- Nie, myślę, że nie. Nie bardzo... Ale nie rozumiem, jak mogłaś pozwolić tak sobą kierować. - Zamyśliłem się. - Oni. Wciąż mówisz „oni”. Miałaś romans z Kirkiem?

- Bój się Boga, nie. Z Jimem? Z nim nie mogłabym romansować. On się uważa za podrywacza. Kocha i rzuca. To idiota.

- Wrócił teraz do Jane Duval - rzekłem obserwując jej twarz.

- A, do tej. Ta to romansowała z połową ludzi na wyspie. Nawet z twoją Słodką Marie.

- Wiem o tym.

- Jim też miał romans z twoją Słodką Marie - powiedziała Chantal z uśmiechem. - O tym też wiedziałeś?

Spojrzałem na nią pustym wzrokiem. Coś zaświtało mi w głowie.

- Tak - bąknąłem.

Zanikające echo, przebrzmiały śmiech, kawałek spalonej gazety brązowiejący w ogniu. Sięgnąłem po to, macając dookoła, lecz odpłynęło ode mnie. Czy Marie kiedykolwiek wspominała przy mnie o romansie z Kirkiem?

Oparłem się o podporę huśtawki. Przed oczami stanęła mi nagle jak żywa twarz Marie, jasnyniebieskie oczy, szerokie usta, jasny włos na wiecznie drżących wargach. *Czy wie pan, że miałam romans z Jane Duval? Proszę mi podać te spodnie.* Czy kiedykolwiek wspomniała o Kirku?

- Co ci jest? - odezwała się Chantal. - Co się stało?

- Nic. Coś mi się przypomniało. Coś bardzo ważnego. Słuchaj, muszę iść.

Nie pamiętam, czy się ze mną pożegnała, czy nie.

Za bramą zatrzymałem się i przez chwilę stałem oparty o mur, spoglądając na czyste, usiane gwiazdami niebo.

Nie kazało to na siebie czekać. Znienacka, jak gdyby cegła spadła mi na głowę, wszystko ułożyło się na swoim miejscu, i przypomniałem sobie, że Marie nie wspominała o Kirku.

Miałem to przed sobą, proste jak mój nos i równie bliskie, przez cały ten czas, kiedy podejrzewałem tego biednego, tępego postrzeleńca, Chucka. Ciekaw byłem, czy Pekouris kiedykolwiek to podejrzewał.

Odepchnąłem się od muru i ruszyłem w dół zbocza w stronę przystani i domu.

Ale teraz, kiedy już znałem tego skurwiela, jak miałem to udowodnić? Jak miałem złapać tego skurwiela i udowodnić mu winę? Wymagało to głębszego namysłu.

Rozdział 54

Wróciwszy do domu pogasiłem wszystkie światła z wyjątkiem jednego i wyciągnąłem nową butelkę szkockiej, lód i szklankę. Zległem na jednym z tapczanów przed kominkiem, mając szkocką z lodem na podłodze w zasięgu ręki.

Jeśli opierałem ciężar ciała na lewym ramieniu lub wspierałem się na lewym łokciu, bok wciąż przeszywał mnie szpilami bólu. A niech to diabli. Pociągnąłem łyk zimnej whisky.

Kiedy zebrałem to do kupy, wszystko naturalnie wpasowało się na swoje miejsce. Nie było już żadnych wątpliwości. Wiedząc co i jak człowiek sam się dziwi, jak mógł nie wpaść na to wcześniej. Zawsze tak jest z takimi sprawami. Ale jak udowodnić morderstwo? Miałem w głębokim poważaniu tę ich szajkę. Mogłem ją rozbić. Mogli też dalej uprawiać przemyt. Miałem to gdzieś, bylebym tylko dorwał tego skurwysyna za zabicie Marie.

Ułożyłem się wygodnie, skrzywiłem i pociągnąwszy łyk szkockiej, zacząłem łamać sobie nad tym głowę.

Wciąż tam tkwiłem, gdy o ósmej piętnaście rano stara Greczynka weszła i obudziła mnie potrząsając za ramię.

Butelka szkockiej wciąż stała na podłodze, na wpół pusta. Lód stopniał. Szklanka leżała przewrócona na bok, na mokrej plamie.

Nie byłem ani trochę bliższy ostatecznego, decydującego rozwiązania niż wieczorem.

W nocy śniła mi się Chantal. Nie był to szczególnie oryginalny sen, za to żywy i straszny. Śniło mi się, że została złapana, a ja w żaden sposób nie mogłem jej pomóc. Musiała odsiedzieć dwadzieścia lat, czy jakiś równie straszliwy wyrok. Był tam Pekouris i próbowałem przekupić go, oddając wszystko, co posiadałem na tym świecie. Nawet alimenty żony. Ktoś jednak płacił mu więcej. Kronitis. I nic nie mogłem na to poradzić.

Wstałem i w ohydnej wannie na piętrze wziąłem szybką kąpiel. Ogoliłem się, włożyłem kąpielówki i świeżą koszulę, by zakryć bandaż, i wróciłem na dół.

Zapowiadało się na kolejny upalny dzień. Zastanawiałem się, czy mógłbym w jakiś sposób wykorzystać do swoich celów szajkę handlarzy heroiną? Nic jednak nie przychodziło mi do głowy.

Kawa miała gorzki posmak, niczym porażka na starość. Zamiast niej nalałem sobie whisky z wodą sodową i wyciągnąłem się na tapczanie w salonie. Nie chciało mi się nawet wyjść na werandę. Byłem jak człowiek próbujący grać w kręgle bez kuli. Po godzinie stara do tego stopnia zaczęła działać mi na nerwy, snując się po domu i udając, że sprząta, że dałem jej

dzień wolnego. Patrzyłem, jak oddala się frontowym chodnikiem i drogą ku tawernie Dmitriosa, gdzie zatrzymała się i usiadła. Żeby wydać moje pieniądze. Nagle poczułem do niej nienawiść. Bez powodu. Na dworze ludzie bawili się. Ich także nienawidziłem.

Wróciłem do salonu i nalałem sobie następną whisky. Jeżeli nie mogłem wykorzystać szajki handlarzy heroiną, to co mi zostawało? Wychodziło na to, że nic. Znowu wyciągnąłem się na tapczanie. Nagle usiadłem. Nagle położyłem się z powrotem.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i Jane Duval weszła nie czekając na zaproszenie.

- Spotkałam w tawernie pańską gospodynię - powitała mnie z uśmiechem. - Mówi, że dał jej pan dzień wolnego. - Przeszła po trzech schodkach z hallu. - Pomyślałam, że wpadnę sprawdzić, jak się panu podobała wczorajsza zabawa. Stracił pan najlepszą część. Po pana wyjściu bawiliśmy się dalej.

Miała na sobie tę swoją workowatą sukienkę, jej wygięte brwi pracowały na całego i była bez dziecka. Zdawało się, że w uśmiechu, którym bez przerwy mnie obdarzała, tkwi jakaś tajemna, pełna bezbrzeżnej wyższości wiedza. Najwyraźniej przyszła po to, by dać się uwieść, i nie wątpiła, że tak się stanie.

Jawna głupota, czy jak kto woli jawna próżność tego kroku była zdumiewająca. Po całym tym wyrafinowanym błędzeniu moich myśli przez ostatnie kilka godzin, zakrawało mi to na scenę z kiczowatego filmu.

- Myślał pan o mnie, panie Davies, prawda? Od tamtej nocy?

Nadal leżałem wyciągnięty. Podeszła bliżej i usiadła na drugim tapczanie, naprzeciwko mnie. Patrzyłem na nią nie podnosząc się z miejsca. Znikąd, z opustoszałych trybun, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Rozważyłem go. Być może to nią mógłbym się posłużyć.

- Trochę - odparłem uśmiechając się szeroko. - Ale chyba jakoś to przeżyję. - Nadałem swym brwiom rozbawiony wyraz.

- Wiedziałaś. Wie pan, ja wcale nie żartowałam pytając, ile pan sobie liczy za sprawę rozwodową.

- Ty i Sonny nie jesteście przecież małżeństwem.

- A tam, jesteśmy. On po prostu nie chce, żeby ludzie o tym wiedzieli. Wie pan, Sonny ma dużo pieniędzy.

- Nie ma o czym mówić - rzekłem. - Interesuje mnie co innego. Ile masz lat?

- Dwadzieścia cztery.

- A więc skończyłaś Bennington mając dwadzieścia?

- Dziewiętnaście. Byłam cudownym dzieckiem. - Uniosła głowę wysoko, prezentując szyję niczym aktorka na ujęciu filmowym, i wyjrzała na przystań przez okno po drugiej stronie pokoju. - Rzygać mi się chce od takiego życia. Mnie są potrzebne światła, muzyka, ruch, ludzie. Nie cierpię tak żyć jak włóczęga.

- A co z rewolucją?

- Żeby być rewolucjonistą, nie trzeba zaraz być włóczęgą.

- Powiadasz? - Nie ciągnąłem tego tematu. - Zdawało mi się, że byłaś związana z Conem Taylorem. Dobrze mówię?

- Tak, i wciąż jestem. Strasznie go lubię. Ale to z gruntu słabeusz.

- A odkąd wróciłaś, widzisz się z Kirkiem, tak?

Nie odpowiadała przez dłuższą chwilę. Zdawało się, że próbuje odgadnąć, co chciałbym usłyszeć.

- Oczywiście.

Posłałem jej spojrzenie starego satyra.

- Rozumiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Nie musiałem nawet wymyślać swoich kwestii. Zrobiła gibko dwa kroki, przeniosła tyłeczek ze swego tapczanu na mój i usiadła obok moich bosych stóp.

- Podobała ci się moja sztuczka, jak wypląnąłam wtedy koło łodzi, powiedz? Widziałam, że ci się podoba.

- Podobała mi się, że hej. Przeszkadzało mi tylko, że Sonny jest zaraz za nami. A tobie nie?

- Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać?

- Czy Sonny wie, że tu jesteś?

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Czy to ważne? - Zaczęła głaskać mi kostkę u nogi.

- Dla mnie nie - odparłem, uśmiechając się do niej.

- No więc?

Milczałem. Zamiast odpowiedzi oparłem bosą stopę o jej biodro pod workowatą sukienką.

- Było bardzo ciemno - rzekła Jane. - Obejrzałeś mnie całą?

- Obejrzałem cię całą. - Chryste Panie, podsuwała mi gotowe wszystkie kwestie.

- Podobało ci się to, co zobaczyłeś?

- Jasne. Ale skąd wiesz, czy Sonny nie obserwuje nas w tej chwili?

Jane uśmiechnęła się.

- Czegoś takiego by nie zrobił. On mnie „rozumie”. A gdyby nawet, przejmowałbyś się?

- Ja? Gdzie tam. Tym bardziej by mi się podobało.

Roześmiała się wstając.

- Strasznie tu gorąco. - Zdjęła sukienkę. Pod spodem nosiła bikini z tamtego wieczoru przed dwoma dniami. Usiadła z powrotem, tym razem na wysokości mojego pasa, i wsunęła mi dłoń pod koszulę.

- Hej, a to co?

- Plaster - wyjaśniłem.

- Po tamtej bójce?

- Tak. Zdaje się, że stratował mnie któryś z dorożkarskich koni.

Jane przytuliła mi twarz do policzka.

- Moje słodkie biedactwo.

- To nie boli - rzekłem. - Czy wiesz, gdzie jest teraz Kirk? - wyszeptalem jej do ucha.

- Nie, nie wiem. Zniknął na parę dni. Po tym naszym przyjęciu.

- Co byś powiedziała, gdybym ci zdradził, gdzie jest w tej chwili, i to sam? - szepnąłem.

Usiadła prosto i spojrzała na mnie.

- Nic bym nie powiedziała. Skoro jesteś tu ze mną.

- A gdybym ci zdradził, gdzie jest, poszłabyś do niego? - rzekłem, starając się, żeby wypadło to możliwie dwuznacznie.

Zdziwiła się i obrzuciła mnie przeciągłym spojrzeniem.

- Czy tego właśnie chcesz ode mnie?

Wyszczrzyłem zęby.

- Może.

Pomyślała przez chwilę.

- A poszedłbyś ze mną?

Znowu się wyszczrzyłem.

- Może. W końcu wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

Jej twarz wykrzywił nagle podniecony, drapieżny uśmiech rozkoszy.

- Więc to tak lubisz?

Wyszczrzyłem się do niej po raz trzeci, lecz uchyliłem się od bezpośredniej odpowiedzi.

- Jest w starej, nie zamieszkannej willi po drugiej stronie wyspy. Zdaje się, że to własność jakiejś spółki. Wiesz, o której mówię?

Skinęła głową. Jej oczy błyszczały jak szafiry w reflektorach muzeum.

- A więc to tak lubisz. Niegrzeczny chłopiec. Co on tam teraz robi?

- Popłynął „Polarisem”. Nie wiem. Myślę, że zwyczajnie wynosi się stąd.

I znowu dotknęła mojej piersi tam, gdzie był bandaż. Milczała.

- Byłaś tam z nim kiedy? - zapytałem. Gotów byłem postawić ostatnią koszulę, że tak.

Skinęła głową.

- Parę razy.

Nie wiedziałem, czy dopuścił ją do tajemnicy laboratorium i produkcji heroiny. Chyba nie.

- Przypadkowo wiem, że chętnie by się z tobą zobaczył. - I dorzuciłem po chwili: - Ja może wpadnę później.

Bez słowa, z oczyma nawet bardziej błyszczącymi niż podświetlone szafiry, wstała i wciągnęła długą sukienkę.

- Kiedy?

- Nie wiem. - Spojrzałem na zegarek. - Może zaraz po obiedzie? Jak zdążę, to nawet wcześniej. Ale jestem głodny.

Jej twarz przybrała drapieżny wyraz skrywanego triumfu. Bez słowa ruszyła do drzwi. Nagle odwróciła się.

- Wiedziałam, że masz w sobie coś przepysznego.

- Może lepiej nic mu o mnie nie mówić? Niech to będzie niespodzianka. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tym.

- Zrób jak uważasz - rzuciłem.

Posłała mi szeroki, drapieżny uśmiech.

- Niespodzianka będzie jeszcze lepsza.

Wyszła.

Stałem w oknie, patrząc jak odjeżdża na rowerze. Znowu spojrzałem na zegarek. Czasu miałem pod dostatkiem. Nalałem sobie szklaneczkę.

Rozpierała mnie radość. Rozpierała mnie tak, że bałem się, iż mogę się zająć od iskier, które trysną mi z czubków palców.

Podszedłem do zamykanej szafki i wyciągnąłem teczkę, a z niej dwa rewolwery, które ułożyłem obok siebie na zielonym blacie biurka. Na tym tle wyglądały ładnie i śmiercionośnie. Ekspozycja na wystawie.

Rozdział 55

Miałem może ze trzy godziny do zabicia. Jedną z nich poświęciłem broni. Trudno uwierzyć, że można siedzieć tyle czasu nad dwiema prostymi trzydziestkami ósemkami o krótkich lufach - a jednak. Już od dość dawna nie używałem żadnej z nich. Wyczyściłem je, nasmarowałem i wytarłem, po czym sprawdziłem wszystkie ruchome części, bębni i spusty. Następnie zająłem się paroma innymi drobiazgami, przydatnymi do moich celów. Do walki, której się spodziewałem i która - miałem nadzieję - przebiegnie pod moje dyktando. Jeżeli w ogóle do niej dojdzie.

Swego czasu z zapalem studiowałem balistykę i trajektorie. Bez trudu znalazłem niezbędne mi narzędzia pośród innych w szufladzie w kuchni Cona Taylora.

Była to karkołomna kombinacja, ten mój plan. Mój plan związany z Kirkiem. Był jakby żywcem wyjęty z kryminałów po dziesięć centów sztuka. Ale powinien się udać. Zwłaszcza jeżeli Jane Duval odegra swoją rolę jak należy.

Nie miałem pewności, czy nie uprzedzi Kirka o moim przybyciu. Cały urok mojego planu polegał jednak na tym, że musiał się udać bez względu na to, czy Jane uprzedzi Kirka, czy nie. Powiedzie się, nawet gdyby go uprzedziła.

Wrzuciłem rewolwery do jednej z licznych toreb lotniczych walających się po domu i schowałem je na łodzi. Znalazłem Sonny'ego, powiedziałem mu, że będzie mi potrzebny później razem z łodzią, i wróciłem do domu.

Przez pewien czas siedziałem na werandzie. Nie chciało mi się czytać, tak byłem nabuzowany. Wiedząc, jakie zadanie mnie czeka, nie chciałem już więcej pić. W końcu przypomniałem sobie mój nagły odwrót ubiegłej nocy, więc podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Chantal.

- Jak się czujesz? - zapytałem, kiedy pokojówka doprowadziła ją wreszcie do aparatu.

- Znakomicie - odparła. - Czy widzisz jakieś powody, dla których nie powinnam się czuć dobrze?

- Nie, skądże znowu. Co robisz?

- Siedzę w łóżku nad mango z sokiem cytrynowym i herbatą, i czytam gazety sprzed dwóch dni, które mi dostarczono dziś rano. Słońce świeci mi w okno.

Przypomniałem sobie, że w sypialni ma dodatkowe gniazdko do telefonu.

- Brzmi to wspaniale.

- Bo i jest wspaniale.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w nocy? - zapytałem.

W jej głosie zabrzmiała czujność.

- Tak.

- No więc ile czasu zabiera im przerobienie towaru, jak już go mają na miejscu? - Nie zamierzałem jej mówić, że widziałem, jak przywieźli go wczoraj w nocy.

- Potrafią to załatwić bardzo szybko - odparła Chantal. - Jeżeli solidnie zaborą się do roboty. Ale dokładnie nie wiem. A co? Chyba nie masz zamiaru ich złapać?

- Ja? Nie. Narkotyki to nie moja działka. Chodzi mi tylko o tego zabójcę.

- Ta dziewczyna bardzo wiele dla ciebie znaczyła, to widać - powiedziała. Zabrzmiało to nieco płaczliwie. - Ja też chciałabym dla ciebie tyle znaczyć.

Daj się zabić i masz to jak w banku, pomyślałem ponuro.

- W każdym razie możesz być spokojny, że Jim nie jest tym, którego szukasz - stwierdziła. - Co do tego mogę cię zapewnić. Wiem, że on by czegoś takiego nie zrobił.

- Cieszę się, że tak uważasz - rzekłem. - Słuchaj, wczoraj w nocy znów mi skłamałaś.

- Rzeczywiście? Skłamałam ci?

- Tak. W związku z Kronitsem. Nie rozumiem po co, ale zauważyłem to.

Zapadło milczenie.

- No cóż, nie widzę powodu, dla którego miałabym ci mówić o wszystkim, jeśli nie mam na to ochoty. Już dla mnie nie pracujesz, pamiętasz?

- Czy oni tam mają telefon? - zapytałem cierpliwie.

- Nie. W domach leżących tak daleko od miasteczka nie ma telefonów. Dlaczego pytasz?

- Ale Kronitis ma telefon.

- Nie zamierzam dziś dzwonić do niego, jeżeli o to ci chodzi - rzekła Chantal.

- To dobrze. Nie rób tego. Słuchaj, tak naprawdę to dzwonię, bo chciałem ci powiedzieć, że śniłaś mi się dziś w nocy.

- O? Jaki to był sen? - zapytała powoli.

- Głupi. Szłaś do więzienia.

- A ty nie mogłeś mi pomóc?

- Słuchaj, znajdę jakiś sposób, jeżeli chcesz się z tego wypłatać - powiedziałem. - Jeżeli naprawdę chcesz z tym skończyć, to cię z tego wyciągnę. Raz na zawsze.

- Cóż - bąknęła w zamyśleniu, przeciągle. - Jak chcesz to zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Ale załatwię to.

- Chciałabym z tym skończyć - oświadczyła.

- W porządku. To wszystko, co miałem do obgadania. Słuchaj, dzwoniemy się później. Teraz jestem umówiony. Postaraj się zatrzymać to wszystko dla siebie. Postaraj się.

- Nie widzę, co mogłabym zyskać opowiadając o tym.

- Świetnie. Zadzwoń później. Do widzenia.

- Do widzenia, kochany.

Odłożyłem słuchawkę. Nie było to najbardziej szczerze „kochany”, jakie słyszałem z jej ust. Przypomniałem sobie jednak, że Pekouris nie zadzwonił do mnie z Aten w sprawie Chucka i jego maczety - co podsunąłem i jej, i Kirkowi. Znaczyło to, że żadne z nich nie przekazało tej wiadomości Kronitisowi... Chociaż kto wie? Z Pekourisa był śliski gość.

Wróciłem spocząć na werandzie. Miałem ochotę na kielicha, ale powstrzymałem się.

Następną godzinę zabiłem przy obiedzie w tawernie. Niewiele zjadłem. Zaprawiłem obiad szkocką, lecz tylko dwiema szklaneczkami, które popijałem jak najdłużej. Czerwone wino odpadało - osłabia refleks. Natomiast whisky refleks wyostrza, jeżeli wypije się tylko troszeczkę i w ostatniej chwili.

Po obiedzie uznałem, że nadszedł czas. Wypiłem drugą kawę i poszedłem złapać Sonny'ego.

Wiedział, że ma być pod ręką, bo będę go potrzebował, więc kucnął na ziemi koło łodzi, w pełnym słońcu, i rozmawiał z paroma starymi Grekami, którzy całymi dniami wysiadali na krzesłach przed tawerną, przesuając greckie paciorki. Wystrzegaj się paciorków - przestrzegali mnie niektórzy starzy Grecy z uśmiechem; jeśli kupujesz paciorki, to znaczy, że jesteś stary. Jak wysiadujesz przed tawerną i przesuwasz paciorki, to jesteś stary.

Sonny i starcy zaśmiewali się. Było senne, leniwe letnie popołudnie; przy stolikach tawerny ludzie wciąż siedzieli nad poobiednim winem.

Zabrałem Sonny'ego na pokład „Daisy Mae” i przeszedłem z nim na rufę, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać.

- Wybieram się do tamtej willi, żeby zwinąć Jima Kirka - oświadczyłem powoli. - Chciałbym, żebyś popłynął ze mną. Wiemy, że on tam jest. Chcę dokonać aresztowania obywatelskiego, czy jak to tam nazywają w Grecji. Ale potrzebna mi czyjaś pomoc.

Głębokie zmarszczki pod jego oczami spojrzały na mnie z ukosa, a bujne wąsy w stylu Elliota Goulda zadrgały.

- Czy Kirk nie będzie się tam miał na baczności?

- Ano, postarałem się o coś, co go powinno zająć.

- Ale zostaje jeszcze dwóch innych - rzekł Sonny.

Pokiwałem głową.

- Myślę, że uda mi się ich zamknąć w piwnicy. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z moimi oczekiwaniami. Ale może się zdarzyć całkiem inaczej - stwierdziłem powoli. Nie chciałem go zbyt ekscytować. Sam też zresztą nie chciałem się podniecać. Spojrzałem na niego.

Sonny tylko pokiwał głową ze znużeniem.

- Wiem, że jesteś ostatnia dupa, co to sama nie trafi łyżką do gęby - powiedziałem powoli. - Wiem, że podobno nie znosisz gwałtu. Ale nie mam się tu do kogo zwrócić. A potrzebuję kogoś, kto mnie będzie ubezpieczał. Całą niebezpieczną robotę wezmę na siebie. Przynajmniej tyle, ile dam radę.

Sonny gapił się na mnie przez dłuższą chwilę.

- Aresztujesz go za heroinę?

Skinałem głową.

- Czy za zabójstwo Girgisa?

- Za to też. Jestem przekonany, że to jego robota. Podejrzewałem go już od jakiegoś czasu, a teraz mam wreszcie dowód. Coraz bardziej nabierałem pewności, że ten szczeniak Chuck tego nie zrobił. To jak, chcesz płynąć ze mną, czy nie? Jeżeli nie, to daj mi te cholerne kluczyki, popłynę sam.

Pomyślałem, że znalazłem na niego właściwą metodę. Nawet nie odpowiedział. Zamiast tego odwrócił się i zapuścił silnik.

Ja przeszedłem na dziób, żeby rzucić cumy.

Kiedy okrążyliśmy latarnię morską i zostawiliśmy za sobą płaski dach tawerny Georgia po prawej ręce, kazałem Sonny'emu zatrzymać łódź przy opustoszałym kawałku wybrzeża. Do celu mieliśmy może ze ćwierć mili.

Zszedłem pod pokład, wziąłem torbę lotniczą i wróciłem z nią na górę. Podałem Sonny'emu jeden z rewolwerów.

- Wiesz, jak się tym posługiwać? Nie chcę, żebyś sobie przedziurawił brzuch albo odstrzelił stopę. - Drugi rewolwer wsadziłem sobie za pas.

Wziął ode mnie broń i spojrzał na nią. Była to standardowa policyjna trzydziestka ósemka z krótką lufą, bliźniaczo podobna do mojej.

- Uczyłem się strzelać na zajęciach z wojska w szkole, ale zasadniczo jestem przeciwny broni palnej - odrzekł Sonny sztywno.

- Ano, tym razem może to być kwestia twojego tyłka albo Kirka - warknąłem. - Poza tym pukanie z karabinu wojskowego na przysposobieniu obronnym a strzelanie z rewolweru to dwie różne rzeczy.

- Strzelałem z czterdziestki piątki.

- I to wszystko?

- No, strzelałem też z innej broni. Dla zabawy. Na strzelnicy.

Rozejrzałem się. Chwyciłem pusty dwudziestolitrowy kanister, który stał obok pokrywy silnika, i wyrzuciłem go jakieś sześć, siedem jardów za burzę.

- Nie martw się, kupię ci nowy - powiedziałem. - No, przekonajmy się, czy w niego trafisz.

Sonny znów spojrzał na mały rewolwer, wymierzył, przez dłuższą chwilę tylko wzdychał, po czym strzelił. Kula trafiła w kanister na linii zanurzenia i rozległ się bulgot wody. Kanister zaczął tonąć. Szczerze mówiąc, nie był to zły strzał.

- W porządku - oświadczyłem kiwając głową. - Wcale nieźle. Musi nam to wystarczyć. Zbierajmy się. Daj mi rewolwer, wsadzę nową kulę. - Wziąłem od niego broń i kiedy zapuszczał silnik, odwróciłem się do cienia i wsadziłem nową kulę, po czym oddałem mu rewolwer.

- A co z ładowaniem? - zapytał Sonny.

- O to się nie martw - rzuciłem z uśmiechem. - Jeżeli dojdzie do tego, że będziesz go musiał ładować, to i tak już będzie za późno.

Wytrzeszczył oczy.

- Nie denerwuj się - uspokoilem go. - Mam nadzieję, że w ogóle nie będziemy musieli tego używać. W gruncie rzeczy zabieram broń tylko na wszelki wypadek. Hej, daj no mi ster. Pozwolisz, że dalej ja poprowadzę.

Rozdział 56

Wkrótce okrążyliśmy ostatni cypel przed willą i podprowadziłem łódź tak blisko brzegu, jak tylko starczyło mi odwagi. Zaledwie o kilka jardów od nas fale podnosiły się i opadały, rozpryskując się na skałach i skraplając nas mgiełką wodną.

- Mam zamiar wpłynąć tam bez żadnych ceregieli - poinformowałem Sonny'ego, manewrując łodzią. - Liczę na to, że nikogo nie będzie na dole w zatoczce. Szalupa z „Agoraphobe” stoi w przystani. Tamci dwaj pracują pewnie w laboratorium w piwnicy, a Kirk nie ma powodu schodzić na dół.

Odezwał się we mnie wrodzony instynkt walki. Rozpoczął się ów mobilizujący proces, nieodłącznie związany z wszelką fizycznej natury rywalizacją. Uczucie takie ogarnia zawodnika przed meczem. Albo boksera przed walką. Albo pianistę przed recitalem. Zawsze, gdy idzie o wielką stawkę. Gdy wszystkie zmysły zwierają się i sprężają w czysty koncentrat.

Uczucie to jest więcej niż niemiłe. Lecz wywołane nim podniecenie ożywia tak, że zapomina się o nieprzyjemnym wrażeniu. Z czasem działa to jak narkotyk, chyba że ktoś ma żelazną wolę. Chciało mi się gwizdać.

W tym momencie nie zamieniłbym swojego fachu na żaden inny. Już wkrótce miałem złapać zabójcę. Nic bardziej pewnego.

Płynęliśmy tak, że raczej nie mogli nas dostrzec z willi na urwisku. Wiedziałem też, że nie mogą nas usłyszeć. W dodatku o tej porze dnia wiatr wiał ku nam z północnego zachodu.

Na wysokości wąskiego wejścia do zatoczki wykonałem ostry skręt i natychmiast zgasilem silnik. W ciszy sunęliśmy do brzegu.

Jak przewidywałem, nie było tam nikogo. Cisza otaczała nas niczym bawełniany kokon. Fale uderzały cicho o skały. Z urwiska dolatywał śpiew ptasiej pary. Przy molo stał na cumach „Polaris”. Jego ochraniacze skrzypiały pod naporem kadłuba. Woda pluskała o burty.

- Złap za jego reling - zawołałem cicho, kiedy dryfowaliśmy w stronę „Polarisa”. Sonny wykonał polecenie, a ja zrobiłem to samo od strony rufy. Przywiązaliśmy naszą łódź do „Polarisa” i przemknęliśmy się po jego pokładzie na betonowe molo.

Skinąłem ręką na Sonny'ego, by ruszył za mną po schodach.

- Tylko żebyś mi tym nie odstrzelił tyłka - mruknąłem.

Po wysokich schodach szybko dostaliśmy się na górę. W trampkach, które założyłem sam i poleciłem założyć Sonny'emu, poruszaliśmy się bezszelestnie. Na szczycie schodów

zatrzymałem się. Nic się nie poruszyło. Nic nie pojawiło się w zasięgu wzroku. Wydawało się, że willa jest opustoszała. Powoli przebiegliśmy przez patio.

Stojąc bezpiecznie przy ścianie willi kazałem Sonny'emu poczekać, po czym zajrzałem na tyły, gdzie znajdowała się piwnica. Wsluchałem się w dolatujące spod pochyłych schodów dźwięki. Słyszałem dwóch mężczyzn rozmawiających przy pracy. Z dołu unosił się lekki zapach żaru. Po cichu zamknąłem i zarygłowałem podwójne drzwi i odczekałem chwilę, upewniając się, że nic nie słyszeli. Następnie przemknąłem się chyłkiem do Sonny'ego.

Nic się nie poruszyło. Nic nawet nie drgnęło. Ani w środku, ani na zewnątrz domu. Wysokie okna balkonowe willi nie były zamknięte, przeciwnie - otwarte na oścież, wpuszczały do środka popołudniowy wietrzyk. Ruchem ręki nakazałem Sonny'emu stanąć przy nich.

- Oślaniaj mnie od tyłu - powiedziałem cicho. - Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Tylko na miłość boską nie strzelaj w moim kierunku. W ogóle nie strzelaj, chyba że w ostateczności. Jeżeli będziesz musiał do kogoś strzelać, celuj w nogi.

Podkraǳłem się do otwartych drzwi balkonowych i oparłem o ścianę pod parapetem. Zbierając siły uprzytomniłem sobie nagle, że bawię się na sto dwa. Każda sekunda tej akcji sprawiała mi przyjemność.

Odwrociłem głowę i puściłem oko do Sonny'ego, po czym wysunąłem się zza ściany i przełożyłem nogę przez parapet. Skulony wskoczyłem do pokoju.

Była to urocza stara willa, tak z zewnątrz, jak w środku, choć może nieco zaniedbana. Zbudowano ją zgodnie z zasadami panującymi na przełomie wieku, kiedy wierzono jeszcze w rzeczy trwałe. Kiedy koncepcji nie opierano na założeniu, że z czasem wszystko obróci się w proch. Wielki pokój frontowy miał wysokie drzwi balkonowe, a nad nimi wysokie okna, wychodzące z trzech stron na morze. Stare na pierwszy rzut oka zasłony łopotały na morskiej bryzie jak obwisłe żagle. Na czwartej, równie wysokiej ścianie biegł balkon prowadzący do kilku pokoi - prawdopodobnie sypialni.

Za rogiem głównego pomieszczenia znajdowała się spiżarnia. Zrobiłem krok w przód, by tam zajrzeć. Po przeciwnej stronie spiżarni Jim Kirk stał przed lodówką, w skupieniu pijąc piwo z butelki. Najśmieszniejsze, że był w bieliźnie i skarpetkach.

Bieliznę stanowiły spodenki w pstrokaty, kwiecisty wzór. Skarpetki były całkiem zwyczajne, tyle że opadały. Kirk był bez koszuli. Włosy miał potargane. Za nim na plastikowej tacy stały dwie dopiero co wyjęte z lodówki butelki piwa, zroszone kropelkami

wilgoci, oraz dwie szklanki, które też chyba chłodziły się w zamrażalniku. Kirk wyglądał, jak gdyby dopiero co zostawił Jane Duval w łóżku na górze i zszedł po coś zimnego do picia.

Na tacy leżał ponadto wielki rewolwer marki Smith & Wesson. Prawdopodobnie dlatego, że nie miał go gdzie schować przy sobie.

Nie wiedziałem, dlaczego on, stary wilk morski, nosi skarpetki. Należałoby się spodziewać, że przywykł do chodzenia boso po pokładzie. A może on zawsze chodził z kobietami do łóżka w skarpetkach? W gruncie rzeczy niewiele o nim wiedziałem.

Pił piwo w takim skupieniu, że moja obecność do niego nie dotarła. Inna sprawa, że w razie potrzeby potrafię zachowywać się cicho.

- Spokojnie, Kirk - odezwałem się. - Skończ piwo. Ale potem odwróć się i wyjdź stamtąd z rękami na karku. W żadnym wypadku nie sięgaj do tacy.

Przestał przetykać i niespiesznie odjął butelkę od ust. Odwrócił głowę i odstawił butelkę na lodówkę.

- Co u diabła? - warknął, lecz wyszedł z rękami splecionymi na karku.

- W porządku, Sonny - powiedziałem. - Możesz wejść. Słyszałem odgłos jego kroków, gdy wchodził do pokoju. Nie zachowywał się tak cicho jak ja.

- Trzymaj go na muszce - poleciłem.

- Co to ma znaczyć, u diabła? - rzekł Kirk.

- Gdzie Jane? - zapytałem.

- Jest na górze. Ty tu czego? - Błysnął zębami. - Mogłeś przyjść bez broni. A ten co tu robi?

Stary wyga był z tego Kirka. Nie panikował. Przypuszczalnie nie pierwszy raz trzymano go na muszce. Ale tym razem miał prawo się dziwić. Ponieważ wiedziałem, że - przynajmniej tym razem - jest niewinny.

Zignorowałem pytanie.

- Lepiej ją tu zawołaj - rozkazałem.

- Świetnie - rzekł Kirk i ryknął: - Jane!

Z góry nie doleciała żadna odpowiedź, żaden dźwięk.

- Przepraszam cię za to, Sonny - powiedziałem. - Ale musiałem go czymś zająć. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Sonny milczał.

- Przysłałeś tu Jane? - zapytał po dłuższej chwili.

- To był jedyny sposób, na jaki wpadłem.

- Ty skurwysynu - powiedział Sonny.

- Przepraszam. Ale w czym problem? Wiedziałaś, że ona sypia z Kirkiem, odkąd wróciła z Aten. Może nie? Jak nie, toś głupi. Myślałem, że nie masz nic przeciwko temu.

Uszy Sonny'ego powoli spłoszowały.

- Pogodziłem się z tym - rzekł. - Co nie znaczy, że mi się to podoba.

- Ano, przepraszam. Nic nie poradzę. Lepiej załatwmy się z tym raz dwa. Jane! - Tym razem to ja na nią ryknąłem. Bez odpowiedzi. Musiała nas słyszeć. - Hej, masz broń? - rzuciłem do Sonny'ego. - To miej na niego oko, a ja się zajmę tą jego armatą.

- Zaraz, chcę wiedzieć, co tu jest grane, do licha ciężkiego! - warknął Kirk, kiedy go mijąłem. Wciąż trzymał ręce na karku. Wziąłem rewolwer. - Jeśli ci się zdaje, że uda wam się przerwać operację, którą nagraliśmy, to lepiej się nad tym zastanów. Ostrzegałem cię, Davies. Grzebiesz się w rzeczach, o których nie masz bladego pojęcia. Do tej pory miałaś szczęście, bo osłaniali cię pewni wpływowi ludzie. Inaczej już byś nie żył. Ale ta historia z pewnością im się nie spodoba.

- Zamknij się. - Zajrzałem do spizarni i kuchni. Nie zauważyłem schodów do piwnicy. Wróciłem i stanąłem przed Kirkiem. - A więc osłaniają mnie pewni ludzie? Kto?

- Dowiesz się, i to niedługo - odparł. - Po tej rozróbie.

- Zamknij się - powtórzyłem. - Chcę tylko wiedzieć, czy są tu w środku jakieś schody do piwnicy.

Zmierzył mnie wzrokiem. Pewnie liczył na pomoc kumpli, ale teraz wiedział już, że nic z tego. Malowało się to na jego twarzy i wystarczało za odpowiedź. Uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

- Taak - powiedziałem. - Są pięknie zamknięci na cztery spusty. A więc chcesz wiedzieć, co jest grane? No to ci powiem. Aresztuję cię pod zarzutem zabójstwa Girgisa i Marie. Oto co jest grane, kolego.

- Że co?! - Na jego wielkiej twarzy malowało się kompletne zaskoczenie.

- Ano tak. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Zabiłeś Girgisa, żeby przejąć cały interes z heroiną tylko dla siebie, a potem musiałeś zabić Marie, bo wiedziała, co zrobiłeś.

- Chyba ci całkiem odbiło - stwierdził Kirk z niedowierzaniem.

- Względy osobiste nic do tego nie mają - oświadczyłem szczerząc zęby. - Nie przyszliśmy tu dlatego, że cię nie lubimy. Prawda, Sonny? - Spojrzałem na niego przez ramię i wróciłem wzrokiem do Kirka. - Co więcej, aresztuję Jane Duval jako twoją współniczkę. A co najmniej za współudział po fakcie. A teraz zawołaj tu tę szprote. - Na ostatnim słowie położyłem szczególny nacisk.

- Tyś zwariował - oświadczył Kirk i rozdziawił usta. - Tyś naprawdę zwariował.

- Jazda, zawołaj ją tu. Bo wejdę tam i sam ją przywlokę.

Usłyszałem, jak Sonny zaklął za moimi plecami.

- Chryste Panie - wyszeptał Kirk i ryknął nagle: - Jane! Chodź tu! Złaż tu, do jasnej cholery!

Na chwilę wszystko jakby zamarło. Zdawało się, że nawet zasłony przestały łopotać na wietrze. Po chwili na górze zaskrzypiały drzwi i wyszła Jane Duval. Wszyscy trzej podnieśliśmy na nią wzrok. Za całe okrycie służył jej ręcznik, którym się otuliła. Był to krótki ręcznik, okrywał ją zaledwie od sutek do pępka. A my patrzyliśmy na nią w górę. Z trudem powstrzymałem się, by nie wrzasnąć: „O, cipa!”. Podeszła do samej poręczy balkonu z szerokim, lubieżnym uśmiechem na twarzy. Fałszywym. Chyba po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, nie prezentowała swej wyższości i pewności siebie. Sprawilo mi to niejaką przyjemność.

- Sonny! - zdziwiła się. - Co ty tu robisz?

Za moimi plecami Sonny znowu zaklął.

- Lepiej się cofnij, złotko, wystawiasz na pokaz swoje sekrety - powiedziałem. Głos mi stwardniał. - A potem lepiej włoż coś na siebie, jest przeciąg, i zjeżdż tu do nas. Musimy poważnie porozmawiać.

Za mną Sonny znów zaczął przeklinać, tym razem bez przerwy. Odwróciłem się do niego. Rewolwery trzymałem w lewej ręce, palcem wskazującym za osłonki spustów. Sonny był blady jak śmierć. Twarz pomiędzy bujnymi brwiami a wąsem w stylu Elliota Goulda miał pomarszczoną niczym pogniecione spodnie na owłosionym wieszaku. Rozdziawione usta wykrzywił sypiąc przekleństwami.

- Ja tego nie zrobiłam! - krzyknęła z balkonu Jane Duval. - Ja z tym nie miałam nic wspólnego. Zupełnie nic. Zgoda, spałam z nimi. Girgis mówił, że zabierze mnie stąd, do Ameryki. Marie chciała kiedyś wracać ze mną do Nowego Jorku. Con Taylor obiecał zabrać mnie do Rzymu. Ale ja ich nie zabiłam, i mam to gdzieś. Mam to gdzieś i będę o tym krzyczała po wszystkich sądach. Powiem to każdemu. Postawcie mnie przed sądem, a zobaczycie! Stanę przed sądem. Jestem gotowa stanąć przed sądem. Ja się domagam sądu! Udowodnię, że tego nie zrobiłam! Nie wiem, kto ich zabił. Ale nie ja! - Ścisnęła mocniej ręcznik.

Kiedy umilkła, zapadła głucha cisza. Odwróciłem głowę, by spojrzeć na Sonny'ego. To samo zrobił Kirk, tak więc obaj widzieliśmy, jak Sonny przesuwając rewolwer.

- Spokojnie! - rzucił Kirk pospiesznie. - Zaczekaj. Pogadajmy chwilkę.

- Niech cię wszyscy diabli! - wybuchnął Sonny. - Niech was wszyscy diabli. Davies, odwróć się tu. Połóż rewolwery na podłodze. Prawą rękę trzymaj z daleka. Połóż je lewą ręką i popchnij do mnie.

Odwróciłem się, położyłem rewolwery na podłodze i pchnąłem je ku niemu potulnie. Kirk obserwował mnie wygłodniałym wzrokiem. Sonny z wściekłością kopnął broń w róg pokoju, co było raczej ryzykowne, zważywszy że iglica mogła uderzyć w ścianę i odpalić.

- Zdawało ci się, że jesteś lepszy cwaniak, co? - rzekł Sonny zmienionym głosem.

Nie odpowiedziałem. Sonny dyszał ciężko.

- Myślałeś, że jak mnie tu sprowadzisz, to sam się zdemaskuję, tak? Nie ma sprawy, zaraz to zrobię. Zabiłem ich. Zabiłem ich oboje. Ja, Sonny Duval. Cona Taylora też bym dostał, gdybyś nie wpakował w to swojego cholernego nosa. I tego też. - Spojrzał na Kirka z nienawiścią. - Jego też bym dostał. Myślisz, że mnie to obchodzi? Mam to w dupie. W dupie, rozumiesz?

Ze świstem wciągnął powietrze.

- Ale gównu ci z tego przyjdzie, cwaniaczku. Zapomniałeś o jednej rzeczy. Nie pomyślałeś o tym. Dałeś mi broń, ty dumny skurwysynu. - Wyszczerył zęby.

- Wygląda na to, że jesteś górą, Sonny - powiedziałem. - Przechytryłeś mnie.

Obok mnie Kirk coraz bardziej wytrzeszczał oczy. Przenosił wzrok to na Sonny'ego, to na mnie.

- A żebyś wiedział, że tak. Przechytryłem wszystkich. Póki ty się nie wtrąciłeś, Davies. Ale nie szkodzi. To wyjście jest wcale nie gorsze od innych, i tak miałem zamiar wywiać stąd w najbliższym czasie. Jak tylko załatwiłbym się z Conem Taylorem. Ale dostanę go innym razem.

Urwał i przełknął ślinę. Szybko zerknął na górę.

- Jane, zejdź tutaj! Ubierz się, kochanie, i zejdź do nas. Nie masz się czego bać. Te chamy nic ci nie zrobią. Nikomu już nic nie zrobią. Zejdź, odpłyniemy stąd. Na dobre.

Spojrzałem na balkon. Oczy Jane Duval także rozszerzały się błyskawicznie. Dłonie ze zbieleńcami kostkami zacisnęła na balustradzie balkonu. Ręcznik zsuwał się z niej powoli. Była już niemal całkiem goła. Ale w tej chwili nikogo to chyba nie obchodziło. A już na pewno nie mnie.

Sonny przeniósł wzrok na mnie.

- Już od dawna mam odłożone pieniądze, i mam łódź. Potrzebuję tylko naszych paszportów. Wszystko przygotowałem już dawno. Nikt nas nigdy nie złapie. Jak masz pieniądze, nic cię nie ruszy. Trzeba tylko mieć dość pieniędzy, Davies. A ja je mam.

Wyszczrzył zęby i przełknął ślinę.

- Nawet się nie dowiedzą, że to ja was wykończyłem. Postaram się, żeby to wyglądało tak, jakbyście się sami pozabijali. Kochanie, ubierz się! Dlaczego stoisz? Nie bądź taka wystraszona. Nie ma się czego bać.

Jane ani drgnęła. Sonny nie wiedział, w czym rzecz, ale ja mógłbym mu to wyjaśnić. Jane nigdzie się z nim nie wybierała, za nic w świecie. Prędej już wyszłaby za mnie.

Sonny spojrzał na Kirka.

- Żaden z was jej nie rozumiał. Myśleliście, że to łatwa dupa. Powtarzałem wam na okrągło, że jej nie rozumiecie. Wielcy, twardzi supermani. Każda kobieta to kolejny karb na waszej strzelbie. Zaliczacie je jak kaczki na strzelnicy. Jasne.

Wycelował pistolet we mnie.

- Myślałeś, że nie widziałem jej wtedy u ciebie z rana? Widziałem, i zapisałem to sobie. Tutaj - poklepał się wolną ręką po skroni.

Wrócił do Kirka.

- Ale ty. Ty tłuściochu. Ty jesteś najgorszy ze wszystkich. Należy ci się przywilej pierwszeństwa.

Zerknąłem ukradkiem na Kirka, któremu z niedowierzania oczy wyszły na wierzch. Zdawało się, że cała jego twarz wybrzusza się do przodu w przemożnym pragnieniu powstrzymania biegu wypadków. Oto tu stoję, ja, Jim Kirk - zdawała się krzyżeć jego twarz - w obliczu śmierci, naprawdę w obliczu śmierci, w rękach szaleńca, który strzela do mnie, który strzela do mnie w tej właśnie chwili, to czyste wariactwo, a nikt nie próbuje temu zapobiec.

Na naszych oczach Sonny nacisnął spust małego rewolweru. Iglica odchyliła się i opadła. W jej ruchu zawierała się nieubłagana nieuchronność.

Rozległ się huk, w czterech ścianach nienormalnie głośny. Jim Kirk stał z pustką na twarzy, czekając na uderzenie kuli.

Miałem nieprzepartą ochotę wybuchnąć śmiechem. Sonny wciąż strzelał, do Kirka i do mnie, wśród ogłuszającego trzasku broni. Kirk i ja staliśmy bez ruchu, patrząc na niego. Na balkonie Jane podniosła wrzask, dorzucając swój udział do ogólnego zgiełku. Pomyślałem, że choć raz w życiu mogę sobie przyznać główną nagrodę przynajmniej za reżyserię i scenografię.

Mniej więcej w chwili, gdy skończyła mu się amunicja i słychać było tylko trzask iglicy, Sonny'ego oświeciło, że żaden z nas nie padł. Spojrzał w dół na rewolwer w swoim ręku.

- Tak jest, Sonny - odezwałem się spokojnie. - Zgadza się. Sam je tam dla ciebie włożyłem.

Znów spojrział w dół na broń, tym razem przyglądając się dłużej.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął nagle, cisnął we mnie rewolwerem i wypadł z pokoju.

Uchyliłem się i skoczyłem w róg, gdzie leżały dwie sztuki nie spreparowanej broni. Miałem do pokonania jakieś osiem kroków. Unik kosztował mnie jednak ułamek sekundy potrzebny, by wyprzedzić Kirka, i on dotarł tam pierwszy. Zablokował mnie olbrzymim tyłkiem, opadł na kolana i chwycił oba rewolwery. Szlochał.

- Zabiję skurwysyna! Zabiję!

- Durniu ostatni! - ryknąłem. - Nikogo nie zabijesz. Daj mi broń. On ucieka.

Zmierzył mnie pełnym nienawiści wzrokiem.

- Zabiję skurwysyna! Zabiję go! Zabiję!

Wyprostował się już, więc rąbnąłem go w szczękę jak mogłem najsilniej. Usiadł z zamglonym wzrokiem, lecz wciąż trzymał oba gnaty. Jeden z nich wycelował chwiejnie we mnie. Nie byłem pewny, czy nie bierze mnie za Sonny'ego.

Tak czy inaczej, nie miałem czasu dyskutować z nim na ten temat. Odwróciłem się i pobiegłem do drzwi.

Na balkonie Jane Duval wciąż darła się monotennie, bez właściwej śpiewaczkom operowym modulacji głosu.

Rozdział 57

Wpadłem na patio galopem i popędziłem do schodów na molo. Byłem pewny, że Sonny pobiegnie do łodzi i chciałem go dopaść, zanim ją uruchomi. Myśl, że mógłby mi teraz uciec, była nie do zniesienia. Tymczasem zaś wpadłem na niego, niemal zderzyłem się z nim czołowo, na podeście u szczytu schodów.

Nie wiedziałem, dlaczego się zatrzymał. Nie miałem czasu na zastanowienie. Raptem ukazał się wprost przede mną. Zatrzymał się na schodkach prowadzących do zatoczki, po czym biegiem wrócił na górę. Przez okamgnienie mignęła mi jego twarz, wykrzywiona z popłochu i wściekłości. Wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy zdać się na łódź, czy też próbować szczęścia w górach. Na tak maleńkiej wysepce jak Tsatsos tylko nieuleczalny ryzykant mógłby wybrać góry.

Próbowałem zwolnić, zebrać się w sobie i zamachnąć do ciosu.

Sonny wyskoczył w powietrze i zbliżył się do mnie o dwa stopnie. Wyprowadziłem cios w pół kroku i chybiłem. Sonny, skamłając przenikliwie jak dzikie zwierzę, chwycił mnie oburącz powyżej pasa, podniósł i rzucił na plecy na kamienne patio.

Ważylem sto dziewięćdziesiąt pięć funtów. Był to zupełnie nieprawdopodobny wyczyn. Nawet Kirk nie miał aż tyle siły, a co dopiero Sonny.

Upadłem na wznak i całe powietrze uszło ze mnie w jednej chwili. Zdawało mi się, że mój obity bok pękł jak dojrzały melon. Ból przeszył mi pierś niczym elektrowstrząs. Miałem wrażenie, że ktoś wsunął mi rozpaloną do białości szablę między uszkodzone żebra i pchał ją, by dotknęła skóry po drugiej stronie ciała.

Mógł mnie wtedy zabić. Wystarczyło, żeby na mnie skoczył. Albo kopnął w głowę. Ale on odwrócił się i zbiegł pędem po schodach do łodzi. Zupełnie jak gdybym pomógł mu podjąć decyzję, którą ma uciekać.

Przeturlałem się i stanąłem na nogi niczym kulawy ptak ze złamanym skrzydłem, klnąc niemrawo. Całe moje ciało ogarnęła słabość. Lewe ramię, które przyciskałem do boku, było jak sparaliżowane. Musiałem go ścigać. Musiałem go złapać. Cholera. W takim stanie co miałem z nim zrobić, do ciężkiej cholery, jeżeli go złapię? Nie mogłem jednak znieść myśli, że mógłby mi teraz uciec.

Ruszyłem w dół, schodek po schodku. Nawet to wymagało ode mnie wysiłku. Zdawało mi się, że ostatnie schodki, tam w dole, są oddalone o dobrą milę. Nie mogłem schodzić szybciej. Lewe ramię przyciskałem do boku. Wciąż sypałem przekleństwami.

Mogłem zaciskać dłoń w pięść i rozwierać ją, ale nie byłem w stanie poruszać ramieniem. Zmusiłem się do kurczenia i rozkurczania palców. Widziałem, jak na dole Sonny gramoli się na pokładzie „Polarisa” i odwiązuje cumy „Daisy Mae”. Pobiegnął do steru.

Z odchyłoną do tyłu głową i napiętą szyją przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem. Jego rozchylone usta stanowiły czarną dziurę. Białka oczu wydawały się nienaturalnie wielkie. Kuśtykałem w dół, zmuszając się do biegu. Nie było sensu do niego wołać - wiedział, o co mi chodzi.

Jego twarz widziana ze schodów przypominała zbiór płaszczyzn i kątów. Była to całkiem inna twarz, pozbawiona zaokrągleń i zmarszczek. Zdawało się, że nawet oczodoły przybrały kształt prostokątów.

Zapuścił silnik w chwili, gdy byłem już prawie na samym dole. Zeskoczyłem z ostatnich trzech schodków.

Poruszałem się już nieco sprawniej, jednak wstrząs wywołany skokiem odnowił ból. Pobiegnąłem przez zbudowane w kształcie podkowy molo w stronę „Polarisa”. Mogłem już jako tako poruszać lewym ramieniem. Doleciało mnie wycie silnika. Tam, na urwisku, prawdopodobnie nawet go nie słyszeli, a jeśli tak, to z trudem.

Myśl, że mógłby mi uciec, była nie do zniesienia.

Sprzyjała mi tylko jedna okoliczność. Musiał zawrócić, żeby wypłynąć. To zaś musiało potrwać - zatoczka była wąska. Musiał wracać obok nieco wyższej rufy „Polarisa”, jeśli nie chciał wycofać się wprost na fale, które uderzały z ukosa i rozbijały się w wąskim wylocie zatoczki. Nie miał wyboru.

Nie sądziłem, żeby ktokolwiek chciał wycofywać się łodzią wprost na te fale, sunące z olbrzymią siłą po roztrzaskaniu się na nieporuszonych skalach u wylotu.

Kiedy wskoczyłem na „Polarisa”, dziób „Daisy Mae” zataczał łuk, oddalając się od niego. Za daleko na skok. Nie zwracałem sobie głowy przechodzeniem na drugą stronę pokładu, lecz pobiegłem wzdłuż relingu prawej burty na rufę.

Dotarłem tam w chwili, gdy Sonny mijał mnie majestatycznie, obrzucając pałającym wzrokiem znad czarnego otworu ust. Teraz już w żaden sposób nie mógł zmienić kursu. Nie odezwał się ani słowem. Ja również.

W momencie, gdy mijała mnie środkowa część „Daisy Mae”, zeskoczyłem na dach kabiny i przytrzymałem się plandeki przeciwsłonecznej.

Przy tym skoku też mnie zabolalo. Bardziej niż przy pierwszym. Miałem wrażenie, że piorun przeszył mi bok. Krew za to we mnie zawrzała. Wzdłuż boku ruszyłem na Sonny'ego.

Sonny miał kłopoty. Usiłował manewrować łodzią, uważać na skały za rufą i na mnie przed sobą, a wszystko to jednocześnie. Ja byłem wolny od takich trosk. Wyszczrzyłem do niego zęby. Z dziwnie spłaszczonej, graniastej twarzy patrzyły na mnie pełne wściekłości, pałające oczy. Obaj milczeliśmy. Jednym skokiem pokonałem odległość z dachu kabiny do obudowy silnika i rzuciłem się na niego.

Wcześniej już przestawił silnik na jałowy bieg, lecz siła rozpędu popychała „Daisy Mae” rufą na skały. Kiedy skakałem, przesunął dźwignię biegów do przodu, jednocześnie podnosząc płaski klucz maszynowy, który trzymał tam do naprawy silnika. Ciężki klucz.

Nie pozostawało mi nic innego, jak dążyć do zwarcia. Uznałem, że im mniej czasu zostawię mu na przygotowanie się, tym lepiej. Na tym etapie nie miałem zamiaru pozwolić wyłączyć się z gry kluczem maszynowym.

Skacząc na Sonny’ego wyraźnie widziałem nadciągający cios. Sonny zamachnął się kluczem i uderzył z całej siły. Zgarbiłem się i przyjąłem uderzenie lewym ramieniem, zarazem odwracając głowę, lecz klucz odbił się w górę i trafił mnie w kość policzkową. Całą lewą stronę mojej twarzy poraził paraliż. Udało mi się jednak chwycić Sonny’ego lewą ręką za rękaw. Gdyby ten cios gładko doszedł celu, już bym nie żył.

Wyprowadzony został z taką siłą, że obrócił mną w powietrzu. Wylądowałem stopami na nadburciu, odbiłem się i znów skoczyłem, nadal uczepony rękawem Sonny’ego. Sonny upadł pod moim ciężarem. Przekreśliłem się, przygniatając go plecami, i oburącz zacząłem wrywać mu klucz. Przeklinał pode mną, parskał i świstał, z całej siły grzmocąc mnie lewą ręką w bok głowy. Jego pięść ślizgała się na krwi zalewającej mi lewą stronę twarzy. Nagle z całej siły ugryzł mnie w plecy.

Znalazłem ścięgno na jego nadgarstku, wyszarpnąłem mu klucz i wypchnąłem za burtę. Oswobodziłem się z uścisku zębów, przeturlałem przodem do niego i prawą ręką wyrznąłem go w szczękę.

Rąbnąłem go z całą siłą, na jaką mnie było stać. Powinien stracić przytomność, tymczasem nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Leżąc pode mną, okładał mnie raz prawą, raz lewą ręką. Rozdzwoniło mi się w głowie. Waliłem go bez przerwy prawą ręką. Lewa nie na wiele mogła mi się przydać, lecz także puściłem ją w ruch i grzmociłem go z obu stron tak szybko, jak to było możliwe.

A jednak nie mogłem pozbawić go przytomności. Oddawał ciosy, zwijał się i skręcał, walcząc zdawałoby się z czterokrotnie większą siłą niż ta, jaką dysponował. Jak szaleniec, którym niewątpliwie był, przynajmniej w tej chwili. Ale i mnie zaczynało ogarniać szaleństwo. Wtem, przez czysty przypadek, trafił mnie w lewy bok pod pachą.

Przed oczami zawirowała mi wielka biała plama. Przez dłuższą chwilę myślałem, że zemdleję. Kiedy odzyskałem wzrok, wszystko było mgliste i mleczone. Nie sędzę, żebym kiedykolwiek zaznał takiego bólu. Byłem pewny, że jeszcze jeden cios w to samo miejsce, a zemdleję. Sonny nic jednak nie zauważył i nadal okładał mnie po głowie.

I nagle pomyślałem, że nie zemdleję. Gdyby trafił mnie tam jeszcze raz. Nawet gdyby uderzył mnie tam dziesięć razy. Miałem wrażenie, że nabrzmięcam od środka mocą, której nikt nie przewycięży. A już na pewno nie on. Poczułem się szczęśliwy.

Tak czy inaczej, utrata przytomności w tych okolicznościach równała się śmierci. Myśl, że mógłby mi uciec, nawet gdybym już nie żył, wciąż była nie do zniesienia.

Sprawną ręką chwyciłem go za gardło, słabą za włosy i przesunąłem się tak, by spływająca mi z twarzy krew kapłała mu na oczy. Zacząłem go dusić i walić jego długowłosą głową o pokład. Słabą ręką nie mogłem go dusić, za to mogłem pchać.

Bił coraz wolniej, coraz słabiej, aż przestał. Ja przestałem walić jego głową o pokład. Kiedy puściłem mu gardło, poderwał prawą rękę, próbując mnie uderzyć. Jeszcze raz walnąłem jego głową o deski. To załatwiło sprawę.

Wstałem na chwiejnych nogach i rozejrzałem się. Wszystko wyglądało całkiem inaczej. Wszystko wydawało się wyblakłe, dziwne i nowe, niczym na obcej planecie. Łodzi nic nie groziło. Ster przestawiony był skrajnie na lewo i „Daisy Mae” zataczała powolne, małe koła w prawo. Wiatr znosił ją stopniowo na przeciwległy kraniec molo, ale jeszcze przez jakiś czas nie groziło zderzenie. Podniosłem zwój woskowanej liny i związałem Sonny’ego, zanim odzyskał przytomność. Skrępowiałem mu ręce za plecami, związałem nogi, po czym przeciągnąłem pętlę między obiema linami i zacisnąłem ją mocno. Wykluczone, żeby udało mu się oswobodzić. Następnie zająłem się łodzią.

Na urwisku Kirk i Jane Duval stali na skraju patio, obserwując nas. Trafiły im się miejsca w łoży honorowej. Pomachałem im beztrąsko.

Gdy przycumowałem łódź do „Polarisa”, Sonny nie odzyskał jeszcze przytomności, lecz jego oddech wrócił do normy. Zostawiłem go tam.

Zszedłem pod pokład i wziąłem pełną garść opatrunków z gazy, by zatamować krwawienie. W lusterku zobaczyłem, że przez policzek biegnie mi otwarte cięcie. Wciąż jeszcze nie miałem w nim czucia. Żeby go załatać jak należy, potrzeba będzie z osiem, dziesięć szwów. Przez dobry rok będę chodził ze śliczną szramą.

Poza tym otarłem sobie dwie kostki i wybiłem kciuk. Nie mogłem obejrzeć pleców. Ale wszelka ocena strat mijała się w tym momencie z celem. Obolały, trawiony gorączką bok prawie nie pozwalał mi oddychać.

Zszedłem z łodzi przyciskając gazę do policzka.

Ponowna wspinaczka po schodach była długa i mozolna. Starąłem się zachować pozory, że idzie mi dziarsko.

Rozdział 58

- Niech skonam, to była walka! - powitał mnie Kirk, kiedy dotarłem na patio.

Tutaj, na urwisku, pod konarami drzew wiał ożywczy wiaterek. Usiadłem na kamiennej ławie, wystawiając się na jego działanie.

Przyjemnie było siedzieć w cętkowanym cieniu. Ale bok mnie dobijał. Zbliżył się Kirk.

- Gdyby cię pobił, byłbym go zastrzelił - oświadczył podnosząc wielkiego Smith & Wessona. Wyglądało na to, że minęło mu już przerażenie. Podał mi obie moje trzydziestki ósemki. Nie miał mi za złe tamtego podstępu.

- Dzięki. - Wsadziłem rewolwery za pas. - Mam rozumieć, że zanim by mnie zabił? Czy dopiero potem? - Żebra dawały mi się we znaki jak cholera.

- Ba, jak mógłbym strzelać do niego, gdyby cię zabijał? Mógłbym trafić w ciebie. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Podeszła za nim Jane Duval, jak gdyby obawiała się zostać sama. Stała za jego plecami, bez słowa. Nadal była w szoku. Miała teraz na sobie tę workowatą sukienkę. Nie przyszło jej jeszcze do głowy, że wkrótce będzie dysponować większą częścią pieniędzy Sonny'ego.

Było jasne, że nigdy nie przeszło jej przez myśl, iż to właśnie Sonny jest mordercą.

Co nie zmieniało faktu, że z najwyższym trudem wykrzesalem dla niej odrobinę współczucia.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na nią niewesoło, ale nie odezwała się do mnie. Więc i ja milczałem. Nie odrywała wzroku od Kirka. Teraz zdała się tylko na niego. Miałem ochotę kopnąć ją w zadek.

- Gdybym tylko mógł, tobym go zabił - rzekł Kirk. - Gdybyś nie wszedł w paradę.

Nie odpowiedziałem. Mógłbym tam siedzieć na wietrze w nieskończoność.

- Robię się za stary do tego fachu - stwierdziłem.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze. Jak się czujesz? Zmusiłem się, by wstać.

- A jak myślisz? Cały pękam w szwach, oto jak się czuję. Odwróciłem się do Jane.

- Wracaj do domu i zaczekaj tam - rozkazałem władczo, jak przystało na męskiego szowinistę.

Oddaliła się bez słowa. Ale spojrzenie, jakim mnie przedtem obrzuciła, trudno byłoby uznać za przyjazne.

- Chcę, żebyś ją odwiózł do miasteczka - powiedziałem. - Ja wolę jej nie zabierać, bo jeszcze rozwiąże Sonny'ego i spróbują mnie zabić pospołu.

Nie mogłem znieść myśli, że miałbym się znaleźć z nią na łodzi. Łypnął na nią pożądliwie.

- Już ja się nią zajmę. Jest taka potulna. W tej chwili. Już ja wiem, czego jej potrzeba. Co chcesz z nim zrobić?

- Oddam go w ręce miejscowego komendanta policji i złożę zeznanie. Potem zadzwonię do Pekourisa do Aten. Wcale nie jestem pewny, czy się ucieszy. To może zdeorganizować turystykę.

Kirk uśmiechnął się szeroko. Przyjrzałem mu się. Chciałem tylko jednego - znaleźć się możliwie jak najdalej zanim podłoży mi świnię. Pozwoliłem sobie usiąść z powrotem.

- Tak przy okazji, twoi dwaj ludzie z „Agoraphobe” wciąż siedzą zamknięci w piwnicy. Nie sądzisz, że powinieneś ich wypuścić?

Wzruszył ramionami.

- Czort z nimi. Wypuszczę ich później.

- Będą mi też potrzebne zeznania twoje i dziewczyny. Więc nie wybieraj się z nią póki co na miodowy miesiąc. Po południu chcę ją widzieć w miasteczku.

- Zdaje się, że będę je musiał złożyć - przyznał. - W tych okolicznościach.

- Też mi się tak zdaje. Jeżeli policja tego od ciebie zażąda.

- To chyba opuścisz już wyspę? - Kirk odezwał się nagle przebiegłym tonem. - Co? I zostawisz nas w spokoju? W każdym razie mam nadzieję. Skoro już znalazłeś zabójcę.

Sposób, w jaki to powiedział, doprowadził mnie do szału. Kariera szła mi w kratkę i w jej trakcie dopuściłem się wielu niskich czynów, lecz osłanianie wytwórni heroiny jeszcze mi się nie zdarzyło. Pokażna część zleceń zawdzięczałem ludziom pokroju Kirka. Pół życia spędzałem szukając zbłąkanych durnych szczeniaków i pomagając durnym rodzicom postawić ich na nogi po tym, jak strzelali sobie w kanał herę, którą ludzie pokroju Kirka dostarczali do naszej amerykańskiej Ziemi Obiecanej. Wolałbym raczej nie mieć tylu zleceń.

Rozmowa z Kirkiem nic by mi jednak nie dała. On był tylko capo. A ja chciałem pogadać z samym szefem. Nadal nie mogłem jakoś uwierzyć, że Kronitis jest mózgiem tego interesu.

- Mówiłeś coś przedtem o jakichś wpływowych ludziach, którzy mnie osłaniają - powiedziałem.

- Tak mówiłem? Nie przypominam sobie - odparł. - Widocznie byłem podniecony.

- Widocznie. - Wstałem po raz drugi. - I to by było na tyle. - Czułem się znudzony i zmęczony. Oto kolejna z setek tysięcy bezwartościowych rozmów, jakie prowadziłem z setkami tysięcy kombinatorów i kanciarzy. Popatrzyłem na niego z odrazą i zapytałem, gdzie mógłbym znaleźć lekarza, który opatrzy mi twarz. Powiedział, że w Glauros jest taki jeden, który ma rentgena, fluoroskop i normalny gabinet chirurgiczny.

Podziękowałem mu. Nie wyciągnąłem ręki, ale Kirkowi było wszystko jedno.

- To był kawał pięknej walki, tam na dole! - zawołał za mną, gdy zmierzałem do schodów.

Skinąłem tylko głową. Skupiłem się, by jakoś zejść po tych schodach i się nie wykopyrtnąć. Ruszyłem w dół. Droga wydawała się równie długa, jak pod górę.

Z pokładu „Daisy Mae” jeszcze raz spojrzałem na urwisko. Jane Duval wyszła przed dom i stała obok Kirka na skraju patio. Kirk machał ręką. Widziałem, jak nakłania dziewczynę, żeby zrobiła to samo. W końcu uległa.

Doszedłem do wniosku, że mogę im się zrewanżować.

- Zadzwoń do Kronitisa! - ryknął Kirk. - Zanim cokolwiek zrobisz. - Odwrócili się.

Pomyślałem, że wrócą do łóżka, nim zdążę opłynąć cypel.

Rozdział 53

Gdy wróciłem na pokład, Sonny pojękiwał. Zostawiłem go w spokoju. Podejrzywałem, że symuluje i że nie jest już nieprzytomny. Miałem to zresztą gdzieś.

Za każdym razem, gdy na niego spoglądałem, ogarniała mnie ślepa furia. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Tak samo, jak nic nie mogłem poradzić na śmierć Marie. Zrobił to, co zrobił, i koniec.

Nie byłem w stanie dłużej kryć utykania. Ból mi zbyt doskwierał. Zająłem się wyprowadzaniem łodzi. Odwiązałem cumy dziobową i rufową, zapuściłem silnik, wycofałem łódź na miejsce, z którego chciał skorzystać Sonny, i w pełnym słońcu popłynąłem ku spienionym falom u wejścia do zatoczki.

Sonny leżał bez ruchu, pojękując co chwila. Miałem nadzieję, że jęczy naprawdę, bo nie znalazłem dla niego ani krzty współczucia. Wszystko, co się z nim wiązało, wzbudzało we mnie nienawiść.

Rozgryzłem to ubiegłej nocy u Chantal. Od tej pory wiedziałem już, kto jest zabójcą. Lecz rozmyślenia nad tym, jak go złapać, a potem realizacja planu tak mnie zaprzętały, że cała sprawa stała się czymś abstrakcyjnym. Grą.

Teraz jednak nastąpiła rzeczywistość. Patrząc, jak tam leży i oddycha, żywy, trójwymiarowy, uzurpujący sobie prawo do nazywania się człowiekiem, szybko wróciłem na ziemię.

To słowa Chantal o romansie Jane Duval z Marie zapaliły lampkę alarmową w mojej głowie.

Wiedziałem o tym już wcześniej, nigdy jednak nie patrzyłem na sprawę pod tym kątem. Jane miała romans z Mario. Jane miała romans z Kirkiem. Miała romans z Girgisem. Miała romans z Donem Taylorem. Dwoje z nich nie żyło. Proste zestawienie faktów.

Szukałem zabójcy Girgisa w kręgach związanych z przemytem haszyszu i heroiny. Marie, która pracowała dla niego, musiała mieć z tym związek. Nie szukałem nikogo z kręgu jego podbojów miłosnych. Ani Marie.

Kiedy spojrzałem na to od tej strony, wszystko stało się jasne jak słońce.

Nie miałem podstaw winić się za to, że nie uratowałem Marie życia. A jednak czułem winę i żal. Lecz było to uczucie niekontrolowane, irracjonalne. Przepraszam, Marie. Przepraszam za moja głupotę.

Kto by jednak pomyślał, że na wyspie z jednej strony tak szykownej i eleganckiej, z drugiej zaś tak propagującej wolną miłość i orgie, ktoś zabije dwoje ludzi z powodu jednej dupy?

Kiedy już na to wpadłem, nietrudno było zrekonstruować całość. Girgisa zabito tej nocy, gdy po raz pierwszy odwiedziłem Chantal. Tej samej nocy Sonny przywiózł Jane z Aten. Przed kolacją kręcił się w pobliżu tawerny. Gdy wróciłem tam później i po raz pierwszy spotkałem Kirka, Sonny gdzieś zniknął.

Marie zabito następnego dnia po mojej bójce z hipisami pod klubem „Cloud 79”. To Sonny mnie tam znalazł. Zwolniłem go na następny dzień. Wiedział, że zostanę w domu. Na dobrą sprawę on sam poprosił o dzień wolny.

A zatem w obu przypadkach miał sposobność.

Był to kruchy dowód. Bardziej kruchy niż to, co z Pekourisem mieliśmy przeciwko Chuckowi i jego maczecie. Ale ja nie potrzebowałem dalszych dowodów. Wiedziałem, że Chuck tego nie zrobił, i wiedziałem, że winnym jest Sonny, dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej wychodząc na plażę przed tawerną Georgia wiedziałem, że znajdę zwłoki Marie.

Sonny hipis. Sonny pacyfista. Sonny rzecznik wolnej miłości. Sonny przeciwnik gwałtu. Sonny milioner, który żył tylko z zarobków. Sonny przewoźnik. Mój Sonny. Mój „dziś na uniwersytecie, jutro na całym świecie” Sonny. Który w minionym tygodniu nadzwyczaj przebiegle zabiegał o moją przyjaźń. W moim przekonaniu nie zasługiwał nawet na określenie „nikczemny”. W każdym razie jedno pewne, że go nie lubiłem.

Za każdym razem, gdy na niego patrzyłem, widziałem Słodką Marie - Marie w wodzie, z niemal odciętym, broczącym krwią ramieniem, jak próbuje uciec sprzed łodzi Sonny’ego, która z wyciem silnika pędzi na nią po raz drugi. Marie, która usiłuje odrzucić na bok głowę, jednocześnie zaciskając krwawiące, zmasakrowane ramię. Znowu zacząłem się zastanawiać, czy wiedziała? Czy rozpoznała łódź? Czy za pierwszym razem myślała, że to wypadek? Czy widziała Sonny’ego?

Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie wzburzonych fal u wejścia do zatoczki, udał, że odzyskuje przytomność. Pojękiwał coraz częściej. Nagle podniósł głowę i spróbował poruszyć rękami. Udał zdziwienie. Ale odezwał się zbyt szybko. Symulował, a jakże.

- Co się stało?

Nie odezwałem się.

- Rozwiąż mnie, proszę. Proszę cię, zdejmij mi ten sznur. Dobja mnie. Nie wytrzymam.

Nie odezwałem się.

Okrażaliśmy już cypel.

- Prosiłem, żebyś mnie rozwiązał. Pozwól mi przynajmniej usiąść. Zamięczę się w tej pozycji. Łapią mnie skurcze.

Milczałem, zajęty prowadzeniem łodzi. Tutaj, na pełnym morzu, nie miałem z tym wiele roboty.

- Proszę cię, pozwól mi przynajmniej usiąść. Umieram z bólu. Tak mi niewygodnie, że zwariuję, do cholery!

Za pomocą dwóch lin unieruchomiłem ster. Nie śpieszyłem się. Rozwiązałem sznur łączący jego skrepowane ręce i nogi i pozwoliłem mu się wyprostować. Zaprowadziłem go na ławę i przywiązałem mu ręce do pachołka za plecami.

- Możesz mi rozwiązać nogi? Złapał mnie skurcz.

- Nie. - Wróciłem na swoje miejsce. Nie odwiązałem lin przytrzymujących ster.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Do portu, na komisariat.

- Nic ci z tego nie przyjdzie. Wyprę się wszystkiego.

- Spróbuj.

- Oni nie będą zeznawać przeciwko mnie. Jane nie może, a Kirka kupię. Zostanie tylko twoje słowo przeciwko mojemu.

- Świetnie.

- Nienawidzisz mnie, powiedz?

- A co byś wołał? Żebym potwierdził, czy zaprzeczył?

- Żebyś potwierdził - rzekł Sonny.

- No to nie. Ja ciebie nie nienawidzę.

- Owszem, nienawidzisz mnie. Wiem o tym.

- Przestań się zgrywać, Sonny. Zgrywałeś się już zbyt długo. Jesteś produktem tego, co my, socjolodzy przestępczości, nazywamy przerostem pobłażliwości dla samego siebie. Przypuszczam, że nie możesz temu zaradzić. Ale gównu mnie to obchodzi.

Odczekałem chwilę, lecz nie zareagował.

- Wiesz, co z tobą zrobią? - powiedziałem. - Wyprowadzą cię na dziedziniec więzienia, postawią przed murem i założą ci opaskę na oczy. A potem oddział Greków podziurawi ci klatkę piersiową kulami z karabinów. Kłopot w tym, że w Grecji nie słyszeli jeszcze o pobłażliwości. Tutejsze społeczeństwo nie opływa w dostatki. Powinieneś poczekać z zabójstwem kochanków żony, aż wrócisz do kraju.

- Jesteś za karą śmierci? - zapytał.

- Nie, nie jestem - odparłem. - Ale też nie jestem Grekiem. Ja bym cię skazał na dożywocie, zrobił z ciebie królika doświadczalnego i badał, co też ci się popaprało tam w środku.

- Ja jestem za karą śmierci - oświadczył. - Kiedyś nie byłem. Ale przekonałem się do tego. W ostatnim czasie.

- Ano, tym lepiej dla ciebie - rzekłem. - Moja rada, Sonny, to myśl o tym jak o grze. To gra. Taka, jak wszystkie inne, które uprawiałeś. Jak wtedy, gdy przejechałeś Marie motorówką. Albo jak odciąłeś Girgisowi głowę i zakopałeś ją. To tylko gra. Dzięki temu może nie sfajdasz się w portki, jak cię postawią pod mur.

- Jesteś kawał okrutnego skurwysyna - powiedział.

- Pewnie tak - zgodziłem się. Pozwoliłem mu trochę posapać. - Chcesz o tym porozmawiać?

Odwrócił głowę i tytnął na mnie spode łba.

- Nic ci nie powiem, ty faszystowska świno.

Puściłem unieruchomiony linami ster, podszedłem do niego i wyrznąłem go prawym sierpowym w szczękę, a wszystko to jednym płynnym ruchem. Szarpnęło nim do tyłu, aż zatrzymały go przywiązane ręce. Cios nie był silny - byłem zbyt słaby i obolały. Prawdopodobnie bardziej zabolął mnie niż jego. Sprawił mi jednak nie lada satysfakcję.

- Uważaj, co mówisz - pouczyłem go siadając z powrotem. Byłem rozdygotany, lecz nie wiedziałem, czy wynika to z wściekłości, czy ze zmęczenia.

- O to mi właśnie chodziło - stwierdził Sonny. - Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Macie obowiązek traktować więźniów kryminalnych po ludzku. Znam swoje prawa. Nie muszę nic mówić.

- Zgoda. Więc nie mów. Nagle rozplakał się.

- Nie wyobrażasz sobie, jak to było - odezwał się po chwili.

Milczałem.

- Całymi nocami nie mogłem spać - ciągnął Sonny - Myślałem tylko o tym. O niej. I o nich. Żaden z was jej nie rozumiał. Tylko ja. Znałem jej potrzeby.

- A sam nie miałeś żadnych innych kobiet?

- Bardzo krótko. Ale ich nie pragnąłem. Pragnąłem tylko jej. Wiedziałem, że to niedobrze, pragnąć tylko jednej kobiety. Ale nic na to nie mogłem poradzić.

- Kiedy postanowiłeś zabić Girgisa?

- Wracając z Aten. W samolocie. Postanowiłem, że jego zabiję najpierw. To był taki wredny drań.

- A potem wzięłeś z końca listy?

- Nie. Chciałem zabić ich po kolei. Ale to było za trudne. Po tej twojej bójce wiedziałem, że nie będziesz w stanie nurkować, i wiedziałem, że Marie wybiera się na polowanie. Prawdę mówiąc, Kirk był przed nią, ale zachowanie ścisłej chronologii okazało się zbyt trudne. Dlatego Marie znalazła się na drugim miejscu.

Przez dłuższą chwilę zaciskałem zęby.

- Po co odciąłeś Girgisowi głowę?

- Wpadłem na ten pomysł pod wpływem chwili. Tak bardzo go nienawidziłem. A do tego pomyślałem, że w ten sposób będzie to wyglądać na porachunki gangsterów, z powodu haszyszu. To wcale nie było takie łatwe, jak ci się zdaje.

- Pewnie tak - mruknąłem. - Gdzie ją zakopałeś?

- Na dziedzińcu tej kaplicy w lasku za zbozem. Schowałem ją pod jednym z tych starożytnych ołtarzy. Razem z nożem.

- Najpierw go zabiłeś, czy zginął dopiero od noża?

- Najpierw go zabiłem. Uderzyłem go kamieniem, a potem zadusiłem.

- Czy gardło tłoczyło krew, kiedy mu je podcinałeś, czy wypływała sama?

- Tłoczyło. Ale to nieważne. Praktycznie rzecz biorąc, on już nie żył.

- I wszystko to nie zrobiło na tobie specjalnego wrażenia, co?

- W pewnym sensie tak. Nienawidziłem tego, co musiałem zrobić. Wiesz, właściwie to nigdy mi nie przeszkadzali tacy na jedną noc, jak Steve czy inni. Chodziło o tych jak Girgis, Kirk, Marie i Con Taylor, którzy chcieli nawiązać z nią prawdziwe romanse. Rozmawiać z nią o miłości, i kłamać. To właśnie oni jej nie rozumieli.

- Marie nie rozmawiała z nią o miłości - wtrąciłem. - Możliwe, że było na odwrót.

- Ależ tak, rozmawiała. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Nie sprzeczałem się.

- Tak dla porządku, ile razy przejechałeś Marie?

- Dwa. Ale sądzę, że jeden raz i tak by wystarczył.

- Tak. Też tak sądzę.

- Prawda wygląda tak, że jestem męczennikiem - powiedział, jak gdyby przymierzał nowy garnitur. - Męczennik, oto czym jestem. Kiedyś nastanie wolność. Prawdziwa wolność. Całkowita.

- Czy krzyczała? - spytałem. Odkryłem, że to mnie gnębi, że mam nadzieję, iż nie wpadła w panikę. Że odeszła spokojna, myśląc jasno i przejrzyście.

- Nie - odparł Sonny. - A jeśli tak, to nie słyszałem. Oczywiście trudno byłoby ją usłyszeć poprzez ryk silnika.

Rozmawiając z przerwami, minęliśmy tawernę Georgia, okrążyliśmy latarnię morską i zbliżaliśmy się do molo przed portem, wdzierającego się białą w błękitne morze. Łódki tłumnie wypłynęły na wodę, a ludzie tłumnie wylegli na plażę.

- Ano, ty już tu wysiadasz, Sonny - powiedziałem.

Zdławiłem nieco przepustnicę.

- Pewnie uważasz, że jestem zły, co? - rzekł Sonny. - Ludzie zawsze tak sądzą o męczennikach.

- Nie wiem, Sonny. Pewnie tak. Nie wiem.

- Na pewno. Wy zawsze tak myślicie. Weź takiego Savonarolę. On też zwalczał dekadencję swoich czasów.

- Tak - mruknąłem. - Savonarola to ten, który przekabacał dzieciaków na swoich fanatycznych wyznawców, by donosili na rodziców.

- Uściśniesz mi dłoń, zanim pójde siedzieć?

- Tak - obiecałem mu. - Uścisknę ci dłoń. Ale dopiero jak cię rozwiążę.

Oplłynąłem molo i jeszcze bardziej zdławiłem przepustnicę, wpływając do portu.

Rozdział 60

W porcie wywołaliśmy zamieszanie jak się patrzy. Obaj byliśmy upačkani moją krwią, Sonny był związany, a ja utykałem. Musiałem przeprowadzić go zatłoczonym nabrzeżem z łodzi do komisariatu i zanim tam dotarliśmy, wokół nas zebrał się gęsty tłum. Turyści, hipisi, pedały, Grecy.

Wrócił mi radosny nastrój, co jak sądziłem należało przypisać temu, że już wkrótce miałem się pozbyć Sonny'ego. Czułem, że znów jestem niezrównany, niezniszczalny, zgięty, lecz nie dający się złamać - jestem sobą.

Wyniosłem się stamtąd jak mogłem najszybciej. Podyktowałem zeznanie młodej Greczynce z okolicznego sklepu, która władała angielskim, i podpisałem je. Powiedziałem komendantowi, że zabieram „Daisy Mae”. Zezwolił mi na to z największą przyjemnością. Chciałem popłynąć do Glauros, żeby mi zeszyli twarz.

Kiedy jednak wyprowadziłem „Daisy Mae” za molo, skręciłem przez prawą burtę i skierowałem się ku przystani jachtów. Chciałem zadzwonić do Chantal. Nie miałem zamiaru osłaniać szajki handlarzy heroiną i chciałem jej o tym powiedzieć.

Chciałem też zadzwonić do Aten do Pekourisa. Gruby komendant właśnie w tej chwili dzwonił do niego z miasteczka. Tyle że w swoim zeznaniu ani słowem nie wspomniałem o handlarzach heroiną, więc chciałem poinformować inspektora o moich odkryciach. A potem przekonać się, co w tej sprawie zrobi.

Kiedy w łazience na piętrze stanąłem przed moim wiernym lustrem i przystąpiłem do codziennych reperacji, przekonałem się, że policzek mam rozcięty od kości policzkowej aż do ucha. Na dnie między wargami cięcia przeświecała biała kość. Ta blizna będzie widoczna dużo dłużej niż rok.

Umyłem się, przebrałem w czyste ubranie i namoczyłem zakrwawione ciuchy w zimnej wodzie. Przyłożyłem do rany świeży opatrunek, zabandażowałem go i zadzwoniłem do Chantal.

Była piąta, więc powinna akurat wrócić do domu z popołudniowej partyjki brydża z paniami z chóru greckiego.

Wróciła.

Nie spodziewałem się, że wpadnie w zachwyty, kiedy usłyszy, co mam jej do powiedzenia.

- Spędziłem bardzo ciekawe popołudnie - powitałem ją. - A ty?

- Znakomicie. Wygrałam kilka drachm.

- A ja złapałem mordercę - oświadczyłem. - Jest skrepowany, zakneblowany i odstawiony na komisariat.

Po jej stronie sznura zapadła pełna strachu cisza.

- Naprawdę?

- Nie zapytasz, kto to?

- Kto?

- Sonny Duval. Przyznał się już do winy. Zabił ich oboje, ponieważ romansowali z jego żoną. Zamierzał też zabić Cona Taylora i Jima Kirka. I co ty na to?

- O nie! - Zabrzmiało to jak bezbronny lament. - O nie!

- Nie słysząc, żebyś się specjalnie ucieszyła - rzekłem ponuro.

- Ależ cieszę się. Cieszę się, naprawdę. Żałuję tylko, że wcześniej o tym nie wiedziałam.

- Cały czas myślałaś, że to Kirk, przyznaj się?

- No cóż, na to wyglądało. Czyż nie? Do licha! - rzuciła tym samym płaczliwym głosem.

- Ale nie w tej sprawie dzwonię.

Znowu zapadła ta pełna strachu cisza. Odchrząknąłem.

- Za chwilę dzwonię do Pekourisa w sprawie morderstw, a także żeby powiedzieć mu wszystko, co wiem o waszej szajce. Mówię ci o tym, żebyś mogła zniknąć stąd na jakiś czas.

- Więc jednak doniesiesz na mnie - rzekła.

- Doniosę na ten wasz proceder, nie na ciebie - sprostowałem. - Przykro mi, że jesteś w to zamieszana. Ale na wasz proceder doniosę, i owszem.

- Czyli doniesiesz na nas - powiedziała z goryczą.

- Jeżeli tak to chcesz ująć. Gdybyś wiedziała, co zrobiła heroina z tysięcy mieszkańców mojego miasta, z tysięcy dumnych dzieciaków, zrozumiałabyś, że nie mogę postąpić inaczej.

Odetchnąłem głęboko.

- Przykro mi z powodu ciebie. Ale nie interesuje mnie, co się stanie z Kronitsem i innymi. Kronitis zresztą najprawdopodobniej kupi sobie wolność. Chciałbym jednak zobaczyć, jak Kirk i cała reszta wędrują do więzienia na długie lata.

- No cóż - wyrzekła powoli. - Przypuszczam, że w żaden sposób nie odwiodę cię od tego. Rujnujesz mi życie, ot i wszystko.

- Wyjedź na sześć miesięcy albo na rok - doradziłem. - Właściwie to dzwonię, żeby ci to powiedzieć. Kiedy wrócisz, wszystko już ucichnie. Nawet cię pewnie nie wsadzą.

- Tyle że będę przekreślona w gronie przyjaciół i wszędzie, gdzie tylko mnie znają. W Paryżu, w Rzymie.

- Może nie. Może zostaniesz swego rodzaju bohaterką. Sławą. Tak to się dzisiaj rzeczy mają. Telewizja nowojorska zrobi z tobą program.

Przez jakiś czas nie odzywała się. Słuchałem, jak myśli. W końcu oświadczyła:

- Cóż, wygląda na to, że ja też mam ci coś do powiedzenia. W związku z tą sprawą. Skoro chcesz ją załatwić w ten sposób.

- Co masz na myśli?

- Czy Leonid... czy Kronitis dzwonił już do ciebie?

- Nie. Ale obiecałaś mi, że dziś do niego nie zadzwonisz.

- Nie dzwoniłam do niego. To on dzwonił do mnie.

- No i?

- Z pewnością odezwie się do ciebie. Możliwe nawet, że dzwonił, kiedy byłeś zajęty wyjaśnianiem morderstw. - Na ostatnim słowie położyła silny nacisk. Następnie przerwała i odetchnęła. - Jest tu Freddy Tarkoff.

- Tarkoff? - zdziwiłem się.

- Właśnie, Tarkoff. Prawie pewne, że będzie chciał się z tobą zobaczyć. Przyleciał do Grecji z Nowego Jorku dziś rano i dotarł tu prywatnym samolotem. Zatrzymał się u Kronitisa.

- Tarkoff - powtórzyłem i w głowie błysnęła mi jeszcze jedna lampka. - Żeby tak pękł!

- Tak! Tak, Tarkoff! Jak ci się zdaje, kto tym wszystkim kierował i to obmyślał? Chyba nie sądzisz, że poczciwy Leonid? To był pomysł Freddy'ego. To on tym kierował od samego początku.

- Tarkoff. Żeby tak pękł! Mój Freddy Tarkoff.

- To Freddy nakłonił mnie, żebym została jego kurierem. To on wszystko zorganizował. Właśnie dlatego ci wczoraj skłamałam. Pozwoliłam ci myśleć, że to Leonid. Musiałam przysiąc, że ci nie powiem.

- Teraz wiem, co Kirk miał na myśli mówiąc, że osłaniają mnie wpływowi ludzie - stwierdziłem.

- Gdy wczoraj sprawy przybrały naprawdę zły obrót i myśleliśmy, że to Kirk i że go aresztujesz, Leonid zadzwonił do Freddy'ego do Nowego Jorku. Przyleciał najbliższym samolotem.

- Freddy Tarkoff - powtórzyłem bezmyślnie.

- Może to sobie przemyślisz, zanim zadzwonisz do Pekourisa. Proponuję, żebyś najpierw porozumiał się z Freddym.

- Zadzwonię tak czy inaczej - uciałem. - Poza tym wyjeżdżam jeszcze dzisiaj, promem o siódmej wieczorem.

- Dlatego, że przyjechał Freddy? - spytała Chantal. - On chce się z tobą spotkać.

- I tak miałem to w planie - odparłem gwałtownie. - Ale teraz jestem już pewien.

Rozłączając się słyszałem jej głos, nadal dobiegający ze słuchawki.

Podszedłem do baru i nalałem sobie solidną miarkę whisky, którą ledwie zwilżyłem wodą sodową. Zaraz po powrocie wypilem wprawdzie jednego, lecz ten smakował o wiele lepiej. Ze szklanką w ręku rozejrzałem się po mieszkaniu. Niewiele świadczyło o tym, że kiedykolwiek postąpiła tu moja noga. Nieważne. Uniosłem szklankę, wznosząc toast za wiszący nad kominkiem portret nadętego angielskiego mieszcza z dziewiętnastego wieku - jednego z przodków Georginy. A tak naprawdę, wznosiłem toast za Freddy'ego Tarkoffa.

Następnie podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Pekourisa. Głos sekretarki poinformował mnie bezbłędną angielszczyzną, że inspektor wyjechał już z Aten na Tsatsos i że powinien dotrzeć na miejsce w ciągu dwóch godzin. Działał szybciej, niż się spodziewałem. Dużo szybciej. Ano, złapię go tutaj trochę później. Żeby się z nim spotkać, byłem gotów nawet przełożyć wyjazd.

Słuchawka niedługo leżała na widelkach, gdy z telefonu rozległ się dzwonek typowy dla połączeń zamiejscowych i odezwał się Kronitis. Ceremonialnie wymieniłem z nim grzeczności, wysłuchałem z szacunkiem tego, co miał mi do zakomunikowania, i powiedziałem, że z największą przyjemnością bezzwłocznie wybiorę się do niego na spotkanie z moim starym i drogim przyjacielem Freddym Tarkoffem.

Po czym - ale dopiero potem - uświadomiłem go, że właśnie wróciłem po schwytaniu mojego mordercy. A raczej mordercy Girgisa i Marie. Właśnie przekazałem rzeczony mordercę w ręce miejscowego komendanta policji. W słuchawce zapadła długa cisza. Mordercą jest Sonny Duval, amerykański milioner, który mieszkał na starej łodzi tutaj, na przystani. Podziękowałem panu Kronitisowi za telefon i odłożyłem słuchawkę.

Następnie nalałem sobie kolejną szklaneczkę, krzywiąc się co nieco wbiłem się w czystą koszulę, otworzyłem szafkę i wyciągnąłem z teczki cztery tysiące dolarów zaliczki Kronitisa, które schowałem do portfela. Starłem się nie myśleć o tym, jak będzie wyglądał już niedługo mój portfel - cienki jak papier. Chromolę jego parszywe trefne pieniądze. Wyszedłem i zapuściłem silnik „Daisy Mae”, by popłynąć do Glauros.

Ale przedtem golnałem sobie szybko jeszcze jednego.

Rozdział 61

Płynąc na orzeźwiającym wietrze po roziskrzonym morzu w stronę kontynentu, uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy jestem na „Daisy Mae” sam. Przedtem zawsze ktoś ze mną był - Sonny, Chantal albo Marie. Sam na łodzi - to było coś wspaniałego.

Niczego bym bardziej nie pragnął, niż wypuścić się w samotny rejs wzdłuż wybrzeża. Zamiast tego wziąłem kurs na Glauros.

Szofer i wielki czarny rolls czekali przy moło. Zapowiadało się na znany mi cyrk ze mną w roli piłki futbolowej. Ano, ostatnio nabrałem w tym wprawy. Powiedziałem szoferowi, że będzie musiał ciut poczekać na pierwszy gwizdek.

- Tak jest, proszę pana - odpowiedział z właściwym Anglikom niezmaconym spokojem ducha. Wciąż dźwigał pod pachą olbrzymie magnum kaliber 0,357.

Lekarz praktykował przy końcu jedynej uliczki z witrynami sklepów urządzonymi w zachodnim stylu. Miał wykwintną poczekalnię. Na widok mojej twarzy recepcjonistka wprowadziła mnie do niego poza kolejką, składającą się z kilku biednych Greczynek o wymizerowanych obliczach. Szycie zajęło mu dziesięć minut. Dziewięć szwów.

Ale dopiero widok zdjęć rentgenowskich moich żeber wprowadził go w podniecenie.

Pech chciał, że władał angielskim. Cechował go poza tym przerost poczucia własnej ważności, które zawód lekarza wyrabia w ludziach przyzwyczajonych do inkasowania wygórowanych honorariów za pomaganie ludzkości.

- Kiedy to się stało? - padło surowo.

- Cztery dni temu.

- Mój drogi panie, przez cztery dni chodził pan z dwoma złamanymi żebrami. Pańska działalność, nie wnikając w jej istotę, w znacznym stopniu pogorszyła tylko pański stan. Powinien pan leżeć w łóżku. Tymczasem zaś wszystko wskazuje na to, że wdał się pan w jakąś bijatykę. Ma pan na plecach dziwne obrażenie, wyglądające na ślad po ugryzieniu przez człowieka.

- Doktorze, czy da się coś zrobić z moimi żebrami? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Zabandażować, a potem do łóżka. Niech pan na siebie uważa, póki się nie zrosną.

- Zrobię tak, doktorze, najszybciej jak to będzie możliwe - obiecałem.

- Pan musi to zrobić natychmiast - rzucił szorstko. - Nawiasem mówiąc, znakomity był ten pański opatrunek. Kto go założył?

- Ja sam.

Wlepił we mnie wzrok.

- No... poinformowałem przyjaciółkę, jak ma to zrobić. Właściwie to ona zakładała bandaż.

Posłał mi wyraźnie donżuanowskie spojrzenie, wobec czego w ramach rewanżu wesoło puściłem do niego oko.

- A teraz, doktorze, jeśli mi pan z łaski swojej powie, ile jestem panu winien za tę humanitarną pomoc i radę, to zapłacę i będzie pan mógł wrócić do zdzierania skóry ze swoich stałych klientów.

Jego oczy przysłonił ponury gniew. Porwał papier z nadrukiem firmowym gabinetu, jak nic po dolarze za arkusz, nabazgrał coś na nim i podał go swojej pomocnicy. Odczytała mi treść po wyjściu z gabinetu, jak gdyby wrażliwość lekarza była ponad tak przyziemne sprawy.

Niewąska sumka, jak za dziewięć szwów, prześwietlenie i wykład.

Szofer Kronitisa nadal czekał cierpliwie obok wielkiego rollsa. Otworzył mi drzwiczki, wsiadłem i zabawa się zaczęła. Pokonaliśmy te same suche, wyschnięte wzgórza. Bramy pilnował ten sam wieśniak, a w każdym razie miał tę samą twarz.

Kiedy znalazłem się w olbrzymim, wyłożonym puszystym dywanem gabinecie, tym razem ujrzałem dwóch mężczyzn zamiast jednego. Kronitis siedział za biurkiem.

Drugi mężczyzna odwrócił się do mnie, gdy sekretarz zamknął za sobą drzwi. Na twarzy miał smutny, bolesny uśmiech.

Tarkoff był opalony, szczupły, muskularny. Ale on zawsze był opalony, szczupły i muskularny. Jego nowojorskie spodnie od garnituru, biała koszula i krawat pasowały tutaj jak pięść do nosa. Był bez marynarki.

- Cześć, Freddy - odezwałem się.

- Cześć, Lobo - powiedział ciepło i ruszył ku mnie z wyciągniętą ręką.

Włożyłem ręce do kieszeni.

- Załatwmy to szybko - rzekłem. - Jest tylko parę spraw. Zwracam tu obecnemu panu Kronitisowi cztery tysiące dolarów zaliczki, bo zwolnił mnie, zanim doprowadziłem sprawę do końca. Wystawiłem rachunek na moje honorarium i wydatki do czasu, kiedy zostałem zwolniony. Może mi przesłać czek na konto w Nowym Jorku.

Wyjąłem banknoty Kronitisa z portfela. Skurczył się jak przekłuty balon. Schowałem go.

- Następna sprawa: przekazuję Pekourisowi wszystkie informacje, jakie zebrałem na temat tego waszego interesu z heroiną. Szczerze mówiąc nie wiem, co on z tym zrobi. Ani czy w ogóle cokolwiek zrobi. Dalej wy się tym martwicie.

Obaj zaczęli mówić jednocześnie. Freddy uniósł smukłą, opaloną dłoń.

- Najpierw pieniądze.

- Mówiłem mu, że powinien je zatrzymać, Freddy - rzekł stary Kronitis. Wyszedł z biurka. W towarzystwie nas dwóch wyglądał na starca.

- Wobec tego powinieneś je zatrzymać - zawyrokował Freddy patrząc na mnie.

- Nie uważam, że bym je zarobił - stwierdziłem. Podeszedłem do biurka i ułożyłem na blacie czterdzieści banknotów studolarowych w wachlarz. Były tylko trochę bardziej pogniecione niż wtedy, gdy dostałem je nowusieńkie od Kronitisa. - A zresztą to brudne pieniądze - dorzuciłem. Nie wyglądały na brudne.

- Jeśli chodzi o Pekourisa, to nie mamy z nim żadnych specjalnych układów - oświadczył Freddy.

Nic nie wskazywało na to, że wymienili spojrzenia między sobą. Bo i nie wymienili. Raczej starannie wystrzegali się wszelkich gestów, które można by poczytać za próbę tajnego porozumienia. W tym momencie był to dla mnie wystarczający dowód.

- Dlatego też żaden z nas nie wie, co on zrobi z twoimi informacjami - ciągnął Freddy.

- Zakładamy, że będzie je musiał włożyć w tryby maszyny. Jeżeli wyłoży mu się to czarno na białym.

- Trudno nie wierzyć, skoro mówią mi o tym dwaj tak uczciwi i praworządni obywatele jak wy - rzekłem.

- To chyba trochę za ostro - upomniał mnie Kronitis.

Spojrzałem na niego kamiennym wzrokiem.

- Czyżby? - Potrząsnąłem głową. - Wyprowadził mnie pan w pole, panie Kronitis. Wyprowadził mnie pan w pole kompletnie. Trochę to rani moją próżność. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że taki otwarty, przyzwoity starszy pan może być handlarzem heroiny na międzynarodową skalę. Wierzyłem, że był pan wobec mnie szczery. Mój błąd.

- Uwierzyłeś mu dlatego, że on naprawdę był szczery - wtrącił Tarkoff. - Nie miał pojęcia, że Kirk i Girgis Stourkos są zamieszani w ten głupi lokalny handelek haszyszem. Powiedział ci prawdę.

- Nie powiedział mi prawdy o innych rzeczach.

- Bo nie pytałeś - odparował Tarkoff.

- Racja. Mój błąd. - Odwróciłem się do Freddy'ego. - Naturalnie w żaden sposób nie łączyłem obecnego tu pana Tarkoffa z szajką handlarzy heroiną. Kolejny błąd.

- Cholernie mi przykro, że do tego doszło, Lobo - powiedział Tarkoff. Wskazałem ręką na pieniądze, a potem na Kronitisa.

- Ja się z tego wypisuję. Od tej pory panowie przejmujecie to w swoje ręce. - Odwróciłem się i skierowałem do drzwi.

- Chwileczkę - zatrzymał mnie Kronitis. - Chcielibyśmy zamienić z panem jeszcze kilka słów.

- Ja się wypisałem. Pogadacie z Pekourisem.

- Czy już pan mu powiedział? - spytał Kronitis.

- Jeszcze nie. Ale to tylko dlatego, że nie zdążyłem go złapać w Atenach. Powinien tu dotrzeć lada chwila. - Tworzyli zgrany zespół. Pracowali na jednej fali. Zupełnie jak para dobranych gliniarzy. Gdyby to pytanie zadał mi Tarkoff, odesłałbym go do wszystkich diabłów.

- Może nas pan posłuchać przez pięć minut? - zapytał Kronitis swym zimnym głosem matematyka.

Nie odpowiedziałem. Freddy podszedł do mnie od tyłu i oparł mi dłoń na ramieniu.

- Lobo...

- Nie rób tego! - warknąłem ostro. Cofnął rękę.

- Chcielibyśmy tylko, żeby pan nas wysłuchał. - W głosie Kronitisa brzmiała szczerłość. - Wydaje mi się, że to rozsądne.

Odwróciłem się do nich.

- Wysłucham was - powiedziałem. - Ale nic nie zmieni mojego zdania.

- Nie chcemy zmieniać pańskiego zdania - wyjaśnił cierpliwie Kronitis.

- Moje zdanie jest takie, że jesteście parą podłych, podstępnych, kłamliwych i zbrodniczych drani - oświadczyłem.

- Mimo to nie chcemy zmieniać pańskiego zdania - rzekł Kronitis. - Chcielibyśmy natomiast przedstawić panu niektóre faktyczne aspekty sytuacji.

- Śmiało - rzuciłem. - Niech mi pan poda niektóre faktyczne aspekty.

- Po pierwsze, rozmawialiśmy z Kirkiem.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Jak u licha mogliście z nim rozmawiać?

- Przyplłynął tu - wyjaśnił Kronitis suchym, obojętnym tonem. - Gdy tylko opuścił pan willę z Sonnym Duvałem na pokładzie „Daisy Mae”, przyplłynął tu „Polarisem”. Okrążył

wyspę z drugiej strony. Przywiózł ze sobą tę dziewczynę... uhm, kobietę... Jane Duval. Z nią także rozmawialiśmy.

Patrzyłem na niego bez słowa.

Freddy Tarkoff, który wcale nieźle potrafił czytać z mojej twarzy, odezwał się:

- To najświętsza prawda, Lobo.

- Oczywiście, że to prawda - przytaknął Kronitis pośpiesznie. - Oni wciąż jeszcze tu są. Jeżeli wyjrzy pan przez okno, zobaczy pan „Polarisa” przy molo.

Podszedłem do okna. W sztucznie utworzonej zatoczce pod oknem ujrzałem nadbudówki „Polarisa”. Stał tam, kiwając się spokojnie na wodzie. Na pokładzie nikogo nie było widać. Okna kabin spoglądały na mnie pustym wzrokiem.

- Kawał cwanego skurwysyna - przyznałem niechętnie.

- Czekają na łodzi - rzekł Kronitis.

- Nie mam ochoty spotykać się z nimi - powiedziałem. - Mógłbym im dać po głowie, a nie nadaję się teraz do tego.

- Nie musisz się z nimi spotykać - uspokoił mnie Freddy.

- Rzecz w tym, że rozmawialiśmy z obojgiem - Kronitis mówił dalej, nie tracąc cierpliwości. Nagle odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z dobrze zaprogramowanym i dobrze naoliwionym robotem, który udaje człowieka. - Ale dziewczynie też będziemy musieli zapłacić. W każdym razie zgodziła się milczeć na temat willi i interesów, które tam prowadzimy. Żeby osłonić Kirka, nie piśnie o tym ani na policji, ani zeznając w sądzie.

- Rozumiem. A co z Sonnym?

- Myślę, że uda mi się dojść z nim do porozumienia - odparł Kronitis. - Mam pewne wpływy w Atenach i chyba będę mu w stanie zagwarantować, że uniknie kary śmierci. Oczywiście, w zamian za to będzie musiał milczeć na temat naszych interesów. Dziewczyna zapewnia mnie, że Duval przystanie na taki układ.

- Jednym słowem, zostają tylko ja.

- Zgadza się - przytaknął z nikłym, suchym uśmiechem.

- Nie spodziewam się być tutaj podczas procesu - rzekłem. - Sonny i tak przyznał się już do winy. Gdyby jednak miało to pomóc w uzyskaniu wyroku skazującego, to wsiadam w pierwszy samolot i wracam na rozprawę.

- Uparty z pana człowiek, jeśli wbije pan sobie coś do głowy - stwierdził Kronitis.

- Wracasz do Nowego Jorku, Lobo? - zapytał Freddy Tarkoff.

- Nie wiem - odparłem lakonicznie.

- Dziewczyna jest sprytna - mówił dalej Kronitis. - Jeżeli się nie dogadamy, jeżeli przekaże pan informacje inspektorowi Pekourisowi, albo innym przedstawicielom prawa i wmiesza pan w to Kirka, to podczas rozprawy ona powie wszystko, co wie. Wyraźnie wspomniała o Chantal von Anders. Zdaje się, że wie, co pan czuje do Chantal.

- Od kogo się o tym dowiedziała?

Kronitis uniósł ramiona.

- Mogę się jedynie domyślać, że od Kirka, kiedy instruował ją w drodze tutaj.

Nie wierzyłem mu. Nie wierzyłem mu ani trochę. Ale to niczego nie zmieniało.

- Czy Jane Duval próbuje załatwić Sonny'emu bezwarunkowe zwolnienie? - zapytałem.

- Myślę - odparł Kronitis - myślę, uhm, że gdyby miała wybór, gdyby mogła sama wybrać zakończenie, to załatwiłaby mu wyrok skazujący go na pobyt w jakimś zakładzie dla umysłowo chorych. Najlepiej w Stanach Zjednoczonych.

To musiało budzić podziw. Z niedowierzaniem potrząsnąłem głową.

- Wydaje mi się, że są podstawy, by uważać go za nieco obłąkanego - rzekł cicho Kronitis.

- Owszem. Są - przyznałem. - I całe jej szczęście.

Kronitis znowu uniósł ramiona i rozłożył ręce. Nie odpowiedział.

- Ano, czyli wszystko jest w moich rękach - stwierdziłem.

- Otóż to - potwierdził Grek.

Nie musiałem się zastanawiać. Myślałem o tym już wcześniej. Odkąd po raz pierwszy wspomniał o Chantal. Mieli mnie w garści, chyba że powiedziałbym im, że to chromołą.

- Tak to jest, jak w grę wchodzi grube ryby i forsa - powiedziałem i wyszczerzyłem się do nich. Zabolał mnie policzek. - Każdy coś sobie zachowuje na czarną godzinę. Wciąż o tym zapominam, zbierając fakty podczas mojej parszywej roboty w East Village. Tak samo robiliśmy w Chicago. „Handryczyliśmy się”, jak mawiał mój ojciec.

Właściwie nie miałem nic przeciwko temu.

- To jeden z powodów, dla których wyniosłem się z Chicago - dorzuciłem.

W zasadzie było to wcale niezłe rozwiązanie. W gruncie rzeczy nie chciałem, żeby stracono Sonny'ego. I nie chciałem zmarnować życia Chantal. Ta, którą naprawdę chciałem zniszczyć, która była prawdziwą morderczynią Girgisa i Marie, była nietykalna. Nie sposób było jej dosięgnąć.

- Zgoda - powiedziałem. - Układ stoi. Tyle że ja też potrafię się handryczyć. I ze swej strony stawiam dwa warunki.

- Jakie? - zapytał Freddy Tarkoff.

- Po pierwsze, Chantal wycofa się z waszego interesu i spod waszych wpływów. Powiedziała mi, że chce z tym skończyć. Obiecałem jej, że to załatwię. Żądam zapewnienia, że nigdy nie spróbujecie wykorzystać jej jako kuriera, bez względu na okoliczności.

Freddy uśmiechnął się.

- A jeśli zmieni zdanie i sama się do nas zwróci?

- Nawet wtedy.

Freddy wzruszył ramionami.

- Po drugie, macie z tym skończyć. Tu, na Tsatsos. Całkowicie. Rozebrać, rozmontować, zwinąć cały interes.

- Co do tego nie ma dwóch zdań - rzekł Freddy ze smutkiem. - Ty sam skutecznie to już załatwiłeś. Być może niechcący, niemniej jednak nieodwracalnie. Zaraz po powrocie Kirk zabierze cały towar i zatopi na pełnym morzu. Myślę, Lobo, że możemy ci zagwarantować i jedno, i drugie.

- W tym tygodniu - powiedziałem. - A ja myślę o przyszłym miesiącu. Będę miał oczy i uszy otwarte, Freddy. I jeżeli usłyszę, że zaczęliście od nowa, tutaj czy gdzie indziej, to wrócę i jak mi Bóg miły, rozpędzę was na cztery wiatry. Udam się nawet do Waszyngtonu. Mam tam swoje kontakty. Nie wiedzieliście o tym, ale przez cały czas pracowałem pod waszym nosem tajniak z Wydziału Narkotyków. Omal nie przyjęliście go do pracy na „Polarisie”.

Spojrzeni po sobie. Freddy obrzucił Kronitisa twardym wzrokiem.

- O Boże! - jęknął Kronitis. - Ten Gruner? Agentem od narkotyków?

- Dowodów nie mam - rzekłem. - On się wypierał. Ale postawiłbym na to ostatni grosz. A prawda - dodałem - prawda jest taka, że jesteście parą marnych amatorów. Może i potrafi pan rachować - zwróciłem się do Kronitisa - ale nie ma pan pojęcia o tym, jak sobie radzić z takimi mętami jak Kirk. Okradał pana i oszukiwał na okrągło.

- Ma pan absolutną rację - przyznał stary. - O niczym nie miałem pojęcia.

- Ale ciebie to już zupełnie nie rozumiem - zwróciłem się do Tarkoffa. - Zasiadasz w Miejskim Komitecie Przeciwdziałania Narkomanii. Jeździsz do Waszyngtonu radzić nad zwalczaniem handlu narkotykami. Na uniwersytetach wygłaszasz pogadanki o szkodliwości narkotyków. Nie rozumiem cię.

- To dwie różne sprawy - wyjaśnił z uśmiechem. - Tutaj prowadzę interes. Tam spełniam obowiązek społeczny.

- Więc jesteś gniewnym obywatelem zwalczającym handlarzy narkotyków na wielką skalę. Czyli, jak się okazuje, samego siebie. Udało ci się kiedy złapać siebie na gorącym uczynku? Masz chyba ciężką schizofrenię.

- Być może - odparł. - Ale to był interes. Cholernie dobry interes. Gdybym ja go nie poprowadził, zrobiłby to kto inny. A to drugie... - wzruszył ramionami - cóż, z zasady jestem przeciwnikiem handlu heroiną.

- Spec od miliona interesów - rzuciłem pogardliwie. - Któregoś dnia rozsypiesz się od tego.

- W gruncie rzeczy to ty mi podsunąłeś ten pomysł - rzekł Freddy i uśmiechnął się do mnie ze smutkiem. - Chodząc z tobą, kiedy prowadziłeś swoje sprawy, uświadomiłem sobie, jak wielki jest popyt na narkotyki w Ameryce. Miałem co trzeba... kontakty, odpowiednio położoną bazę; przypadkiem wszystko na mnie czekało. Im bardziej naciskają na francuskie laboratoria w Marsylii, tym szybciej przenosi się interesy w spokojniejsze okolice. - Wzruszył ramionami. - To był naturalny bieg wypadków.

- Czy pieniądze, które pomogłem ci odzyskać, pochodziły z tej działalności?

Posłał mi nieodgadnione spojrzenie.

- Częściowo. Ale tylko drobna ich część. To prawda, Lobo.

- Toś chyba zgłupiał, wysyłając mnie tu na wakacje.

Znowu wzruszył ramionami, z żalem.

- Kto mógł przewidzieć, że jakiś wariat zacznie zabijać ludzi i wszystko wyjdzie na jaw? Normalnie przyjechałbyś i wyjechał nie mając o niczym pojęcia.

- Nawet nie próbuję tego zrozumieć - powiedziałem. - Ani ciebie. Nawet nie chcę próbować. Ale jeżeli usłyszę, że zacząłeś tutaj od nowa albo że chciałeś wplątać w coś Chantal von Anders, to wytropię cię choćby na księżycu. Ja nie żartuję.

- Wiem o tym. I wiem, jaki potrafisz być, kiedy wbijesz w coś zęby. - Uśmiechnął się do mnie smutno. - Przykro mi, że tak się stało. Ale teraz już nie mamy szans. Wycofujemy się. Całkowicie. Jak słusznie zauważyłeś, jesteśmy chyba tylko amatorami.

A po chwili dorzucił:

- Uściśniesz mi dłoń?

- Nie - odparłem. - Mogłem podać rękę Sonny'emu Duvalowi, ale nie tobie. Wyrządziłeś mi krzywdę, z której nawet nie zdajesz sobie sprawy. Jeśli o mnie chodzi, przestałeś być moim przyjacielem. Nie znamy się. Być może za dziesięć lat będę mógł o tym myśleć. O podawaniu ci ręki. Ale tylko myśleć, nic więcej, i to by było na tyle, panowie - rzekłem, akcentując słowo „panowie”. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w ich twarze.

Wyglądali jak psy zabijające owce, jak by to powiedział mój dziadek. - Aha, i jeszcze jedno - dodałem. Podszedłem do biurka i wziąłem plik wciąż nowych banknotów studolarowych - Zabieram je.

- Ależ bardzo proszę - przyzwolił Kronitis.

- Nie. Żadne proszę. Zabieram je. Wy mi ich nie dajecie. Nie macie nic do tego. Nie moglibyście mnie powstrzymać. Spróbujcie myśleć o tym w ten sposób. Myślcie o tym tak, jak gdybym przystawił wam pistolet do głowy i zabrał pieniądze, a wy nic nie mogliście na to poradzić.

- Jak pan chce - rzekł Kronitis. - Skoro tak pan to woli traktować.

- Właśnie tak - przytaknąłem. - Wolę to traktować tak, jak gdybym was napadł i obrabował.

Schowałem plik banknotów do portfela, czując, jak znowu pęcznieje, i włożyłem go z powrotem do kieszeni.

- A panu zostawiam rachunek - zwróciłem się do Kronitisa. - Niech mi pan przyśle czek do Nowego Jorku. Żegnam panów - powiedziałem i ruszyłem po puszystym dywanie do drzwi. Z tyłu nie doleciał mnie najmniejszy dźwięk.

Za drzwiami wróciłem do swojej starej roli piłki futbolowej, którą należało odstawić do Glauros, na „Daisy Mae”.

Rozdział 62

Niewiele miałem do zrobienia. Tylko spakować walizkę.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Chantal. Pomyślałem jednak, że do diabła z nią. Dosyć mi już nałgała. Na dobrą sprawę kłamała dziesięć razy na dziesięć. Co za sens zaprzepaścić taki wynik dając jej okazję do powiedzenia prawdy choć raz w życiu.

Samotny rejs przez farwater sprawił mi wiele radości. W ostatniej chwili skręciłem przed przystanią, opłynąłem cypel z latarnią morską i wróciłem. Kiedy już przycumowałem łódź przed tawerną, założyłem odbijacze, zszedłem na brzeg i zostawiłem Dmitriosowi kluczyki na przechowanie, poczułem się jak lotnik przeniesiony na emeryturę.

Idąc zakurzoną drogą w kierunku domu zatrzymałem się nagle i raz jeszcze obejrzałem na krępy, mały kaik.

W głębi duszy liczyłem, że Pekouris będzie na mnie czekał w salonie. Ale nie. Na to był o wiele za sprytny. Teraz już mnie nie potrzebował. Byłem pewny, że rozmawiał telefonicznie z Kronitsem.

Zostawiłem starej dwa tysiące drachm pod talerzem na stole kuchennym. Napiwek przekraczał wartość jej usług.

Następnie nalałem sobie solidną miarkę i usiadłem ze szklanką na werandzie.

W gruncie rzeczy nie był to wcale zły finał. Układ też nie był taki zły. Przypuszczam, że kilka lat wcześniej byłbym wściekły na jawną nieprzyzwoitość takiego zakończenia. Ale dzięki niemu Chantal wyszła z całej afery obronną ręką. Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić.

W ostatniej chwili wpadło mi coś do głowy, więc połączyłem się z willą Kronitisa i poprosiłem do aparatu Tarkoffa. Zażądałem, żeby on i Kronitis wypłacili Chantal sześć tysięcy dolarów. Mogą to potraktować jako rozławkowe, dodałem. Zgodził się. Nie miał wyjścia, zważywszy ile miał na sumieniu, czego nie omieszkalem mu przypomnieć. Nie wiem, dlaczego arbitralnie wyznaczyłem sumę sześciu tysięcy dolarów zamiast, powiedzmy, pięciu czy siedmiu tysięcy.

Musiałem się jeszcze spakować. Na piętrze było pełno jakiegoś dziwnego dymu. Śwąd przypominał palące się śmieci. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że za tawerną Dmitriosa faktycznie palą śmieci w beczce po benzynie. Orzeźwiająca bryza pędziła chmury gryzącego, cuchnącego dymu wprost na mój dom. Stałem przy oknie, zapatrzony. Pomyślałem, że trudno o bardziej stosowny akcent pożegnalny.

Spakowałem walizkę, zapiąłem ją na paski i zniosłem na dół do salonu.

Wyciągając z zamykanej szafki teczkę, by położyć ją obok walizki, zobaczyłem, że wciąż tam leży maczeta Chucka. Zniosłem ją Georginie, żeby zwróciła ją Steve'owi i Chuckowi. Na pytanie, czy chcę dołączyć do niej jakąś wiadomość, po chwili zastanowienia odparłem, że nie. Cóż u licha mógłbym powiedzieć tym dwóm? Nie lubiłem ich ani trochę bardziej teraz, niż kiedy ocaliłem im tyłki od ławy oskarżonych.

- Wiesz, to są naprawdę dobrzy chłopcy - powiedziała Georgina.

Spojrzałem na nią.

- Twoje opinie pasują jak widły do dupy, Georgina. Taka jest prawda - rzekłem. - Ci dwaj to zwykłe łobuzy. Wśród hipisów procent oszustów nie jest ani wyższy, ani niższy niż w innych grupach społecznych. Innymi słowy, wynosi jakieś osiemdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych. Faceci od ubezpieczeń nazywają to stałą statystyczną.

- Okropny ten dym, nie sądzisz? - powiedziała.

- Powinnaś coś z tym zrobić - odparłem. - Ale nie ze względu na mnie.

Podąłem jej rękę i uciekłem do siebie na górę.

Zadowolony siedziałem ze szklanką w ręku na werandzie, czekając na prom. Pal licha dym.

Nie słyszałem skrzypnięcia otwieranych drzwi, lecz usłyszałem kroki na schodach.

- Nie pozwoliłabym ci wyjechać tak po prostu - odezwała się wychodząc z salonu na werandę. - Nie pocałujesz mnie nawet na pożegnanie?

- Jasne - mruknąłem. Odstawiłem szklankę, objąłem ją i pocałowałem słabo, beznamiętnie.

- Myślisz, że uda nam się spotkać w Paryżu?

- Nie bardzo wiem jak - odrzekłem. - Obracamy się w innych kręgach. - Cofnąłem się o krok i przyjrzałem jej się. Jej dolna warga drżała. - No, w każdym razie tamto masz już z głowy. Być może wypłacą ci nawet rozłakowe.

- Sama nie wiem, czy cieszyć się z tego, czy nie - powiedziała. - Co ja teraz ze sobą pocznę? - Zdobyła się na uśmiech. - Myślę, że mogłabym sprzedać swoje gorące ciało jakiemuś bogatemu Grekowi. Chociaż nawet na to jestem już chyba za stara.

- Na pewno znajdzie się tu paru chętnych - uspokoiłem ją i wychyliłem resztę whisky.

- Czeka na mnie dorożka, złotko. Zejdź, napij się z Georginą.

Przeszedłem obok niej i podniosłem walizkę i teczkę.

- Możesz mi powiedzieć jedną rzecz? - zapytałem od drzwi.

- Tak, jeśli tylko będę wiedziała.

- Po co zwróciłaś się do mnie z tą lipną bajeczką, że Girgis cię szantażuje?

Stała bez ruchu, patrząc na mnie.

- Wymyśliłam to na poczekaniu. Bo chciałam zbliżyć się do ciebie. Pociągałeś mnie, więc chciałam, żebyś się mną zainteresował.

Skinąłem głową. Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

W porcie wszedłem na prom, odstawiłem walizkę i stanąłem przy relingu. Nikt nie przyszedł mnie pożegnać, tak samo jak nikt nie wyszedł mi na spotkanie, kiedy przyjechałem.

Nade mną wielka syrena zahuczała dwukrotnie. Przypomniałem sobie, że za dwa tygodnie przypada termin płatności alimentów.